

ĆWIEK

JAKUB



DRELICH

PROSTO W SPLOT

MARGINESY



DRE
LICH



ĆWIEK
JAKUB

DRELICH

PROSTO W SPLOT

MARGINESY

Zabijanie nigdy nie było dobrym pomysłem, chyba że skończyły się inne.

Richard Stark, Backflash



1

Najstraszniejsze zdanie, jakie Milena kiedykolwiek przeczytała, zaczynało się od „kochanie” i składało z czterech słów. Ich autorem był jej mąż, Zygmunt Wójcik. Dwa dni wcześniej wyjechał służbowo i miał wrócić w sobotę. Ostatnio często jeździł i bardzo dużo pracował w domu, ale wreszcie zaplanował sobie urlop. Obiecał, że zaczną go z kopyta i w niedzielę zrobią sobie dzień rodzinny. Pójdą z dziećmi na jakiś film, zjedzą na mieście, może wybiorą się na długi spacer albo nawet wyjadą za miasto. A potem tradycyjnie do wesołego miasteczka.

„Niedługo dzieci zapomną, jak wyglądam” – powiedział ostatnio jej matce, choć Milena wątpiła, by to w ogóle było możliwe.

Złożone z czterech słów straszne zdanie Zygmunt Wójcik wysłał do żony wraz ze zdjęciem na WhatsAppie o godzinie piątej czterdzieści pięć, ona jednak odczytała je dopiero czterdzieści minut później, już po porannych ćwiczeniach i szybkim prysznicu. Dwa miesiące wcześniej obejrzała dokument o skutkach uzależnienia od internetu oraz smartfonów i przysięgła sobie solennie, że oduczy się rozpoczynania dnia od Instagrama czy Facebooka. Świat był w stanie poczekać z wiadomościami, zanim Milena Wójcik się ogarnie i zasiądzie do śniadania.

Tak też zrobiła tego dnia. Krzątając się po kuchni, nuciła refren jakiejś piosenki, kilka taktów, które chodziły za nią od

wczoraj, choć nie potrafiła ich zidentyfikować. Towarzyszył jej pies, wiekowy, schorowany czarny labrador wabiący się Murzyn. Liczył, że załapie się na miche, i stał teraz na środku kuchni, między wyspą a zmywarką, tarasując przejście. Często tak robił, a gdy Milena się spieszyła, potrafiła na niego fuknąć albo wręcz trącić nogą. Tego dnia pogładziła go po łbie i poczęstowała smakołykiem w kształcie kostki ze słoiczka przy lodówce.

Z przygotowanym jedzeniem usiadła przy stole w jadalni, jak zawsze bokiem do przeszklonej ściany wychodzącej na taras i ogród, i dopiero wtedy z kieszeni szortów wyjęła telefon. Trzymała go w lewej ręce, prawą wznosząc łyżeczkę owsianki na mleku z truskawkami, gdy urządzenie rozpoznało jej twarz, odblokowało ekran i poinformowało, że na WhatsAppie ma jedną nową wiadomość.

Usłyszała dochodzące z góry klaskanie bosych stóp o płytki, a potem mocne uderzenie we włącznik światła – to przebudziła się sześćioletnia Wanesa. Kilka sekund później zabrzmiała piosenka otwierająca z Fineasza i Ferba, co znaczyło, że czteroletni synek Bartuś również wstał i jak zwykle, korzystając z nieobecności taty, od razu włączył telewizor w sypialni rodziców.

Milena wiedziała, że powinna przypomnieć Wanesie o kapciach. Oboje byli przeziębieni, dlatego zostali w domu. Wiedziała też, że powinna wejść na górę i kazać synowi najpierw włożyć przygotowane na krzesełku ciuszki, a potem dopilnować, by faktycznie to zrobił.

Za chwilę, postanowiła. Jeszcze przez pięć, może dziesięć minut miała czas dla siebie. Mogła w spokoju zjeść owsiankę, pobuszować w internecie, zobaczyć kilka ulubionych profili, stron.

Pośmiać się z memów, które nie powinny już jej, prawie czterdziestoletniej baby, śmieszyć, a jednak śmieszyły czasem aż za bardzo. Ale najpierw wiadomość.

Kliknęła w powiadomienie, spojrzała na zdanie, a gdy zdjęcie się doczytało, zamarła. Poczowała, jak krew odpływa jej z twarzy, zabiera ze sobą całe ciepło, paraliżuje każdy mięsień. Lodowaty chłód rozchodził się po ciele, rozgałęział jak kwiaty mrozu na szybach w styczniową noc i pełził w stronę dekoltu, w stronę serca.

Wzdrygnęła się, gdy po kręgosłupie przeszedł jej impuls nie tyle bólu, ile ostrzeżenia przed nim. Jakby coś ostrym szponem przejechało od potylicy w dół pleców. Kilka razy w życiu już to czuła, ale nigdy nie potrafiła nazwać tego zjawiska, nie potrafiła go wytłumaczyć ani się z nim oswoić. Dziś poczuła to mocno, wyraźnie jak jeszcze nigdy.

Szumiało jej w uszach. Z oddali słyszała pełen pretensji krzyk Bartusia, brzdęk uderzającej o blat łyżeczki, mlaskanie Murzyna zlizującego z apetytem odrobinę owsianki, która spadła na podłogę.

Na zdjęciu, print screenie zrobionym z jej niedawnej messengerowej konwersacji, dobrze zbudowany mężczyzna stał na śródziemnomorskiej plaży. Był mokry, jakby dopiero wyszedł z wody. Miał na sobie tylko kąpielówki w pionowe czerwono-czarne paski i okulary przeciwsłoneczne typu Aviator, ze szklami o niebieskim poblasku. Lewą dłońią przeczesywał włosy, w prawej trzymał papierową paczkę z churros obtoczonymi w cynamonie i cukrze. Szcherzył się w głupkowskim uśmiechu wyrośniętego dziecka.

Milena знаła to zdjęcie bardzo dobrze. Wiedziała też, co w konwersacji, z której je wyrwano, znajdowało się powyżej i poniżej. Samo zdjęcie, w gruncie rzeczy niewinną fotkę z nad morza, można by przecież jeszcze jakoś wytłumaczyć, nazwać wyglupem ze znajomym, może nawet omyłkową wrzutką, ale już rozmowy, fotografie i filmiki, które ona sama kręciła w łazience, czując się przy tym chcianą jak chyba nigdy wcześniej – nie, tego wyjaśnić już się nie dało.

„Kochanie, kto to jest?” – zapytał w swojej wiadomości Zygmunt. Mimo że z pewnością znał odpowiedź. Aż za dobrze.

A może nie?

Uczepiła się tej myśli. Wbiła weń hybrydowymi paznokciami, wgryzła równiutkimi białutkimi zębami za kilkadziesiąt tysięcy. Może nie wie? Może dostał od kogoś tylko to jedno zdjęcie i teraz po prostu zarzuca przynętę? Bo tamten ktoś zażądał pieniędzy za więcej, a Zygmunt Wójcik nie lubił sięgać do kieszeni, skoro mógł mieć coś za darmo. Jeśli tak, była gotowa zapłacić temu komuś każdą cenę, byleby mąż nigdy się nie dowiedział. Każdą. Każdą, kurwa, cenę!

Nigdy mnie nie uderzył, uświadomiła sobie nagle. Słowa te zabrzmiały w jej głowie wypowiedziane głosem Mileny, ale obce, nienaturalne, jakby z syntezatora mowy. Nigdy mnie nie uderzył.

To prawda, nigdy. Nawet rzadko kiedy krzyczał. Był niczym pazur sunący po jej kręgosłupie.

„Kochanie, kto to jest?”

Zapraszam na zajefajna.com

Wpatrywała się w tę wiadomość, a chaos myśli w głowie powoli cichł niczym muchy krążące nad truchłem, które

poderwały się nagle, by znów wrócić na miejsce. Bo, czuła to coraz mocniej, Zygmunt nie zarzucał przynęty. On wiedział już wszystko. Jakimś cudem, mimo że od razu i starannie wszystko kasowała, zdobył całą tę rozmowę i wiedział...

– Nigdy mnie nie uderzył – szepnęła. – Nigdy.

Nie miała pojęcia, jak długo siedziała w tej pozycji, ale gdy wreszcie się ocknęła i uniosła głowę, zobaczyła, że Wanesa stoi przy schodach i z uwagą jej się przygląda. Śliczna mała blondyneczka o zadartym nosku i dużych jasnych oczach, teraz pełnych niepokoju.

Milena spróbowała się uśmiechnąć.

– Włóż kapcie, skarbie – poprosiła cicho, tym samym głosem, który słyszała we wnętrzu głowy. Jej własny syntezator mowy.

Telefon w ręce zawibrował. Aż podskoczyła ze strachu, ale nie krzyknęła ani nie upuściła aparatu. Spojrzała na ekran. Kolejna wiadomość od Zygmunta. Musiał zobaczyć, że odczytała poprzednią.

„Będę w południe. Nie szykuj obiadu”.

2

Drelich obudził się o siódmej dwadzieścia trzy, siedem minut przed sygnałem budzika. Przewrócił się na plecy, zaplótł ręce na karku, przymknął oczy i czekał. Gdy sygnał wreszcie rozbrzmiał, uciszył go po pierwszym dźwięku i poszedł do niewielkiej obskurnej łazienki. Tam się wysikał, wziął prysznic i umył zęby, odhaczając punkty na liście w głowie. Na koniec dwiema wodoodpornymi kredkami, cielistą i brązową, narysował sobie dwie blizny.

Pierwsza była krótka, ale szeroka i postrzępiona. Zaczynała się przy lewym oku i ciągnęła dwa centymetry w stronę ucha. Druga, długa i prosta, przecinała policzek pokryty dwutygodniowym zarostem. Obie utrwalił za pomocą kolodiu rozprowadzonego pędzelkiem na naciągniętej skórze, a następnie odczekał cztery minuty, starając się nie poruszać mięśniami twarzy. Środek zastygł, tworząc efekt pomarszczonej zabliznionej skóry. Wyszło równie dobrze jak wczoraj.

Spakował niewielką rolowaną kosmetyczkę, upewnił się, że o niczym nie zapomniał, i wyszedł, zostawiając ręczniki na podłodze pod umywalką.

W pokoju włożył przygotowane dzień wcześniej rzeczy – bieliznę, czarne dżinsy i grafitową koszulkę, stopy wcisnął w lekkie sportowe buty, które następnie zawiązał na podwójny węzeł. Na lewej ręce zapiął zegarek, jak zawsze umieszczając

kopertę od wewnętrznej strony nadgarstka, tam gdzie zwykło się badać puls. Stryj Józef robił tak, bo wierzył, że w ten sposób wyczuwa czas podskórnie, w żyłach – coś jak nauka przez chowanie książki pod poduszkę. Drelich uważał po prostu, że tak jest wygodniej.

Zwinął ładowarkę, wrzucił ją do plecaka, po czym go zapiął i postawił między nogami. Telefon przysunął do krawędzi komody, przeczesał krótkie wilgotne włosy, rozluźnił mięśnie, wyrównał oddech i zamarł w oczekiwaniu na drugi dzwonek. Normalnie miałyby teraz czas na szybki trening, ale nigdy nie ćwiczył w ten ostatni dzień. Wtedy każda zgromadzona energia mogła być na wagę złota.

Równo o ósmej wstał, zarzucił plecak na jedno ramię i schował masywnego smartfona do przedniej kieszeni spodni. W progu jeszcze raz omiół spojrzeniem pokój, po czym wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Czterdzieści pięć minut później, już po śniadaniu złożonym z jajecznicy na boczku, dwóch frankfurterek i filiżanki kawy, wymeldował się z hotelu. Tym razem – inaczej niż w czterech pozostałych przybytkach z okolicznych miast, w których spędził ostatni tydzień – nie potrzebował faktury, więc tylko wrzucił klucz do skrzynki z przezroczystej pleksi obok kontuaru.

Gruba dziewczyna w wyblakłej koszulce z logo hotelowej sieci podniosła wzrok znad telefonu, a gdy ich spojrzenia się spotkały, znudzonym głosem podziękowała za wizytę i zaprosiła go ponownie. Drelich widział, że z całych sił stara się nie patrzeć na bliznę na policzku.

- Trzeba wymienić żarówkę w lampce przy łóżku – zauważył.
- I w szafie chyba coś zdechło, przytrzaśnięte żelazkiem.

Dziewczyna westchnęła, niechętnie odłożyła telefon i przysunęła się do komputera. Poruszyła myszką, by obudzić ekran. Zauważył, że nie wpisała po tym żadnego hasła.

- Który pokój? – zapytała.
- Sto piętnaście. Naprawdę coś z tym zrobicie?

Uśmiechnęła się tak, że przez krótki moment wyglądała nawet ładnie.

- Od tygodnia szukamy żelazka – odparła.

Trzy minuty przed dziewiątą Drelich zaparkował skodę rapid pod Biedronką na obrzeżach miasta. Wybrał miejsce w czwartej alejce od sklepu, tak by nie znaleźć się w zasięgu kamer ani nie stanąć przy samym trawniku i drodze. Przeszedł się po bilecik, który następnie umieścił na desce rozdzielczej od strony kierowcy. Z bagażnika wziął szary zapinany polar, drugi, mniejszy plecak, podłużny rulon zawinięty w papier i czapkę z mocno wygiętym daszkiem. Tę ostatnią założył, a gdy okazała się za ciasna, wyregulował. Wszystkiemu, co robił, przyglądała się trzyletnia dziewczynka czekająca cierpliwie, aż jej mama znajdzie coś na tylnym siedzeniu samochodu. Mała miała krótkie kręcone włosy układające się nieomal w afro i sukienkę w czarno-białą kratę z eleganckim kołnierzykiem. Pod pachą ścisnęła pokraccznego stworka o włosach jak sprężynki z – o ile Drelich dobrze pamiętał – telewizyjnej reklamy cukierków.

- Co się panu stało w buzię? – zapytała.
- Nie słuchałem mamy i upadłem na szkło – odparł.

Dziewczynka powoli, z rozmysłem pokiwała głową.

– Bolało?

– Bardzo – przyznał.

Kolejne pełne rozmysłu kiwnięcie.

– A mama kazała panu nie upadać?

Na to pytanie już nie zdążył odpowiedzieć, bo mama, która do tej pory była parą pośladek w spranych dzinsach wystających z tylnego siedzenia, stała się blondynką pod trzydziestkę, z prostym wąskim nosem, włosami przyciętymi do linii żuchwy i bardzo zmęczonymi oczami.

– Miśka, daj panu spokój! – rzuciła do córki, po czym przeniosła wzrok na Drelicha. – Przepraszam pana najmocniej, czasem trudno przewidzieć, co jej strzeli do głowy.

Uśmiechnął się lekko, uważając, by nie uszkodzić blizn.

– Na razie wygląda na to, że jest ciekawa i chce się uczyć na cudzych błędach – odparł. – To nie są takie znowu złe cechy.

Założył plecak i wyregulował paski, upewnił się, że zamknął samochód, po czym ruszył w stronę pobliskiego osiedla.

Białe sfatygowane renault kangoo stało tam, gdzie je wczoraj zostawił – vis-à-vis salonu fryzjerskiego Afrodyta, dwa miejsca od śmietnika. Odebrał je wczoraj z parkingu przy Castoramie koło szesnastej. Czekano na niego z kluczykami zamocowanymi do prawego przedniego nadkola i z kopertą na siedzeniu kierowcy informującą, że auto należy do drobnego przedsiębiorcy, który obecnie przebywa z rodziną na krótkich wakacjach w Hiszpanii. Dla Drelicha była to informacja zbędna. Dość konkretnie wyraził swoje zapotrzebowanie, ufał dostawcy, ale nie interesowały go zaśmiecające pamięć szczegóły. Upewnił się natomiast, czy

w bagażniku są dodatkowe tablice rejestracyjne, po czym przeparkował auto we wcześniej zaplanowane miejsce.

Z osiedla wyjechał o dziewiątej piętnaście. Siedem minut poświęcił na korek wygenerowany przez dwa ronda znajdujące się zbyt blisko siebie na drodze przelotowej, a potem jeszcze trzy na wyjazd z miasta. O dziewiątej czterdzieści trzy skręcił z głównej drogi na wybrany przedwczoraj leśny parking, zaparkował za wiatą dla podróżnych i sprawnie wymienił tablice rejestracyjne. Z plecaka wyjął trzy tubki farby – białą, szarą oraz czarną – i za ich pomocą zaimprovizował kilka ptasich kup na dachu i przedniej szybie, ze szczególnym uwzględnieniem naklejki z hologramem i rejestracją. Mógł to zrobić wczoraj, ale z prognozy pogody wynikało, że w nocy możliwe są deszcze, więc wolał nie ryzykować. Z rulonu wyjął dwa zwinięte magnesy przedstawiające uproszczony przekrój domku jednorodzinnego z instalacją rozchodzącą się od słoneczka ukrytego w piwnicy. Jedna ze ścian domku stanowiła również literę I w napisie „InstalDom”.

Drelich umieścił magnesy na przednich drzwiach kangoo, następnie umył ręce wodą z małej butelki i środkiem odkażającym, po czym wszedł do auta. Zrobił kilka kółek na pylistym parkingu, by magnesy przestały się wyróżniać czystością, i o dziesiątej cztery z powrotem był na drodze. Zgodnie z planem miał teraz co najmniej pięćdziesiąt sześć minut, z czego jedenaście na dojazd na miejsce. Nie musiał się spieszyć, a że nie jechał na lokalnych tablicach, utrzymywał prędkość poniżej dziesięciu kilometrów niż dozwolona.

3

Z tego wszystkiego wjechała w jednokierunkową pod prąd. Wyjeżdżający właśnie SUV zatrąbił i zahamował gwałtownie, a siedzący za kierownicą łysiejący mężczyzna zaczął krzyczeć, gestykulując energicznie. Iza uśmiechnęła się przeproszająco i obejrzała przez ramię, czy może wycofać.

– Dobra, Ewa, teraz naprawdę nie mogę – powiedziała, wyjeżdżając ostrożnie tyłem na główną drogę. Ktoś w niebieskim seacie mignął jej światłami, dając znać, że śmiało, on zaczeka. – A, i przez godzinę nie dzwoń, bo będę w szkole Nikodema... Nie wiem, co się stało. Wezwali mnie, więc zaraz się dowiem. W każdym razie daj znać, jak tylko przyjdzie... No to skoro masz nie dzwonić, to chyba esemesem, nie? I napisz mi, co z tymi eklerami. Cześć.

Rozłączyła się delikatnym puknięciem w bezprzewodową słuchawkę, wbiła jedynekę i ruszyła. Po paru metrach mignęła awaryjnymi, by podziękować kierowcy seata, ale zamiast tego mignęła temu z SUV-a, który zdążył się wcisnąć tuż za nią. Widziała w lusterku, że facet wciąż jest czerwony z wściekłości i ewidentnie mamrocze pod nosem. Mógł rzecz jasna, jak ona przed chwilą, rozmawiać przez słuchawki, ale raczej w to wątpiła. No ale cóż, kto jest bez winy... W jego sytuacji zachowałyby się pewnie podobnie.

Na następnym skrzyżowaniu skręciła już prawidłowo i po dwustu metrach zaparkowała pod szkołą. Przejrzała się w lusterku, złapała za torebkę i wysiadła.

Trwała akurat przerwa i na boisku panowała iście piknikowa atmosfera. Niektórzy uczniowie siedzieli na rozciągniętych na trawie kurtkach, inni wprost na ziemi, schodach albo oparciach ławek. Grupka starszych chłopców grała w piłkę na jedną bramkę, smukły nastolatek popisywał się przed siedzącymi na murku koleżankami, sprawnie podbijając skórzaną dwukolorową zośkę. Kto miał drugie śniadanie ze sobą, zajmował miejsce przy kamiennych stolikach; kto nie miał, ruszał w niezgodną z regulaminem pielgrzymkę do pobliskiej Biedronki.

Nikodem czekał na nią przy bramie, opierając się o siatkę, wyraźnie podenerwowany, ale nie jak wtedy, gdy faktycznie coś przeszkrobał. Wyglądał teraz jak chłopięca wersja matki: szczupły, drobny, z ciemnymi włosami raz po raz przeczesywanymi nerwowym ruchem. Na jego coraz już mniej dziecięcej buzi malowała się wściekłość na niesprawiedliwość świata. Gdy zauważył Izę, ruszył w jej stronę.

– Cześć, mamó – mruknął

– Nawijaj. Tylko prawdę – zastrzegła, nawet nie zwalniając. – Do której trwa przerwa?

– Dopiero się zaczęła – odparł jeszcze normalnym głosem, by zaraz płynnie osiągnąć wyższy rejestr. – I to serio nie moja wina. To Kajetan zaczął!

Jego głos falował, jakby ktoś regulował to basy, to znów wysokie tony, trochę jak przy mutacji, na którą jako jedenastolatek był jeszcze za młody. To znaczy chyba. Iza nigdy

nie pozowała na matkę roku i nie ukrywała, o jak wielu sprawach związanych z rodzicielstwem nie miała pojęcia.

Weszli na teren szkoły. Szeroki na osiem płyt chodnik wiódł do sześciu schodów prowadzących do głównego wejścia. Dzieciaki, zwłaszcza te młodsze, oglądały się na nich i komentowały coś cicho. Najstarsi chłopcy, kryjący się pod daszkiem wiaty po lewej, gapili się na jej opalone nogi. Jeden z nich powiedział coś do pozostałych i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Mów całą prawdę i po kolei – poleciła, wyjmując słuchawki z uszu i chowając je do pudełeczka. – Tylko się skup, bo nie mamy za wiele czasu. Co zaczął Kajetan? I kto to w ogóle jest? Z twojej klasy? Jakiś nowy?

– On jest z c. No i powiedział... – Chłopiec zawahał się. – Powiedział, że klękasz i obciążasz za pieniądze.

Iza aż przystanęła.

– Co takiego?

– No, powiedział...

– Dobra, słyszałam – przerwała mu. – On w ogóle wie, co to znaczy?

Wzruszył ramionami.

– Pewnie gdzieś usłyszał. Ja wiem.

Spojrzała na niego i na widok jego zaciętej miny mało nie parsknęła śmiechem. Oczywiście, że wiesz, panie mały mądralo, pomyślała. Oczywiście, że, kurwa, wiesz!

Odkasznęła w zaciśniętą dłoń i w myślach policzyła do pięciu.

– Dobra, powiedział to, co powiedział. A co ty zrobiłeś?

– Walnąłem go. – Nikodem odparł takim tonem, jakby to była najoczywistsza rzecz pod słońcem. – I chyba złamałem mu nos.

Schody wiodące na pierwsze piętro wyklejono angielskimi czasownikami nieregularnymi. Kończyły się na „do”, a Iza, prześlizgując się wzrokiem po trzech formach, mimowolnie próbowała sobie przypomnieć, ile ich wszystkich jest i czy w podstawówce jej syna wystarczy dla nich schodów. A może przeciwnie, było ich za mało i któreś schody świeciły pustkami? Albo wyklejono je czymś innym? Z A J E F A J N A. P L

Zdała sobie sprawę, że ponieważ klasa Nikodema mieściła się na parterze, a wcześniej ta Zośki na pierwszym piętrze, niedaleko schodów, nigdy nie zapuszczała się w inne rejony szkoły. Czy to z jakiegoś powodu czyniło ją złą matką? A może bardziej to, że jedenastoletni syn właśnie złamał nos koledze w obronie jej honoru? Cóż, pomyślała, za to drugie jest chyba więcej ujemnych punktów.

Telefon w jej dłoni zawibrował. Spojrzała na ekran i odczytała esemesa od Ewy: „Przyszedł wreszcie. Ale pączki nie rosną. Choć zaczn w porządku”.

Jak cholerne haiku, pomyślała Iza. Koślawe haiku o bardzo złym dniu.

Nikodem włókł się pół kroku za nią, co zdawało się zaprzeczać prawom fizyki. No bo jak to było możliwe, że ona się spieszyła, niemal łamiąc na schodach obcasy, on się włókł, a mimo to cały czas dzieliło ich tylko pół kroku? Wystarczyło lekko skrócić głowę i już go widziała – naburmuszoną minę, zaciśnięte piąstki, wicherek na czubku zwieszanej głowy. Czuł się wyraźnie skrzywdzony tym, że na niego krzyknęła, gdy powiedział, co zrobił

i dlaczego. A może raczej zawstydzony, że zrobiła to przy kolegach i koleżankach.

Teraz, gdy tak szli, dzieciaki też się gapiły. Wszystkie. I te oparte o poręczę, i te siedzące na ławeczkach czy podłodze, stojące w kolejce do mikrogo sklepiku – każde z nich poświęciło Nikodemowi i jego matce przynajmniej jedno przeciągłe spojrzenie pełne niechęci.

Ludzie patrzą tak czasem na bezdomnych, pomyślała Iza. Jakby ochronna maseczka z pogardy mogła ich ustrzec przed zarazkami biedy i życiowego niefartu.

Kajetan i jego tata czekali już na nich pod gabinetem dyrektora. Kajetan był chłopcem o wielkich tępych oczach cielaka i stanowczo za małych bladych ustach. Z postury podobny do Nikodema, choć nieco chudszy. Nos miał teraz nabrzmiąły i opuchnięty, jednak z pewnością nie złamany, co Iza potraktowała jako mały, ale zawsze prezent od losu.

Ojciec Kajetana był natomiast naprawdę dużym mężczyzną. Przynajmniej metr osiemdziesiąt pięć, typ topornego klocka z dużą okrągłą głową, do której nie pasowała modna fryzura z wysoko podgolonymi bokami. Na podwójnym podbródku nosił krótki, równo przycięty zarost, a na nosie okulary od Hilfigera. Całkiem ładny garnitur leżał na nim swobodnie, choć marynarka była rozpięta raczej z konieczności niż przejawu nonszalancji. Trzy, cztery kilo temu pewnie jeszcze się dopinał.

Na widok Izy i Nikodema pochylił się i zwrócił do syna najpewniej z zapytaniem, a ten odpowiedział, kiwając głową. Mężczyzna wyprostował się, wyprężył i uśmiechnął paskudnie.

– Dzień dobry – powiedział głośno, gdy Izę dzieliły od niego jeszcze przynajmniej trzy metry. – Nie sądzi pani, że w takiej sprawie powinien się tu zjawić raczej ojciec chłopca?

Trzeba było poczekać z aferą do pieprzonego jutra, pomyślała, nie zwalnając kroku. Jeden cholerny dzień i miałbyś swoją męską pogawędkę, dupku. Przygryzła wargę, co facet, sądząc po jego minie, uznał za zakłopotanie. Szybko wyprowadziła go z błędu.

– Och, to zależy. Pana syn dostał podbródkowym czy prostym? Facet zamrugął, odchrząknął nerwowo.

– Nie widzę związku – powiedział w końcu, gdy była już właściwie przy nim.

Zatrzymała się i uniosła lekko głowę, by spojrzeć mu w oczy.

– Gdyby to był podbródkowy, to miałby pan rację – odparła, siląc się na powagę. – Tego ciosu faktycznie nauczył się od ojca. Chodź, Nikodem.

Zapukała, otworzyła drzwi i weszła do sekretariatu.

4

Według informacji, jakie Drelich wyszukał w internecie, miasteczko miało obecnie około piętnastu tysięcy mieszkańców i zajmowało powierzchnię siedmiu i pół kilometra kwadratowego. Miejscowość w okresie międzywojennym uzdrowiskowo-wypoczynkowa w latach sześćdziesiątych została siłą wepchnięta w objęcia przemysłu, co zaowocowało fabryką armatury przemysłowej, zakładami odzieżowym i produkcji mebli. Za komuny miasteczko wychodziło na tym całkiem dobrze, ale na początku lat dziewięćdziesiątych mieszkańcy ciężko przeżyli zmianę ustrojową, reformę Balcerowicza i całe to przyspieszone gonienie Zachodu. W nowe tysiąclecie wchodzili z jednym z najwyższych współczynników bezrobocia, paskudną statystyką przestępstw drobnych i jednym z najwyższych współczynników spożycia alkoholu na mieszkańca.

Na prostą wyszli dopiero koło dwa tysiące siódmego za sprawą wysiłków młodego przedsiębiorczego burmistrza i przede wszystkim dużych, dobrze spożytkowanych dotacji z Unii. To dzięki nim i społecznemu zaangażowaniu udało się przywrócić miastu status uzdrowiska, odbudować okoliczne szlaki, ściągnąć turystów. Wciąż było jeszcze dużo do zrobienia, ale, co najważniejsze, ludzie zaczęli rozumieć, że opłaca się być miłym dla obcych.

Rzecz jasna nie wszystkich, ale szczęśliwie dla Drelicha rozróżnienia na dobrych i złych dokonywano zwykle po fakcie.

O dziesiątej szesnaście białe kangoo z logo InstalDomu wjechało na rynek miasteczka. Był to prostokątny plac złożony z dwóch porośniętych zielenią kwadratów z przekątnymi w postaci brukowanych chodników i rozdzielony szerokim deptakiem wiodącym z jednej strony prosto do kościoła parafialnego z zabytkowym portalem, z drugiej pod schody znajdującego się naprzeciwko domu kultury. Zgodnie z przepisami ruchu drogowego rynek stanowił skrzyżowanie o ruchu okrężnym. Wjeżdżało się jedną z trzech dróg, ale jedyną sensowną była ulica Jana Pawła II. Druga wiodła od strony granicy polsko-czeskiej, a trzecia prowadziła z płataniny starych kamieniczek w najbardziej zaniedbanej części miasteczka.

Drelich wjechał od Jana Pawła i jeszcze raz, dla pewności, włączył stoper w komórce. Pokonał dwie trzecie pełnego objazdu i zerknął na cyfry. Wciąż mieścił się w przedziale między pięćdziesiąt sekund a minuta dziesięć. Oczywiście do czasu operacyjnego przyjmował najniższą wartość, ale wolał uwzględnić ewentualne konsekwencje tej najwyższej. Mówiąc krótko, bardziej gotowy już być nie mógł.

Objechał rynek i znalazł się na tej samej drodze. Pięćdziesiąt metrów dalej udało mu się zaparkować pod apteką, więc wysiadł i opłacił bilet parkingowy, choć musiał zrobić dwa podejścia, bo parkometr zażądał numerów rejestracyjnych, których nie znał.

O dziesiątej dwadzieścia siedem zajął miejsce w kawiarni Motyla Noga, złożywszy uprzednio przy barze zamówienie na cappuccino i szarlotkę z lodami. Obsłużył go młody chłopak

o patykowatym ciele i nieproporcjonalnie dużej głowie. Ewidentnie chciał pogadać, najwyraźniej mu się nudziło – nic dziwnego, w kawiarni prócz nich dwóch nie było nikogo – ale Drelich nie miał ochoty na pogawędkę. Przeprosił grzecznie i usiadł na kanapie przy okrągłym stoliku, mając za plecami ścianę i wiszący na niej plakat z planszą kolorowego komiksu, a przed sobą widok na całe pomieszczenie.

O dziesiątej czterdzieści dostał wiadomość, na którą czekał.

„Już”.

Szybko przeliczył w myślach i zakodował sobie przesunięcie czasu operacyjnego najwcześniej na jedenastą czterdzieści pięć. Kolejny raz pożałował, że nie może określić go precyzyjniej i ponownie przeanalizował wszystkie rozwiązania awaryjne, łącznie z tym ostatecznym. Jeśli do trzynastej nic się nie wydarzy, mimo wszystkich przygotowań i zainwestowanych środków, będzie zmuszony zrezygnować.

O jedenastej czterdzieści Drelich wyszedł z Motylej Nogi, wsiadł do samochodu, wykręcił i wrócił na rynek, objeżdżając dwie trzecie ronda. Za schodami wiodącymi do domu kultury wjechał całym pojazdem na szeroki chodnik, minął bankomat i zaparkował zaraz za nim, przy wejściu do, jak głosił szyld, Centrum Techniki Ciepłno-Sanitarnej. Włączył światła awaryjne, włożył czapkę i zabrał plecak.

Zamknął kango, upewnił się, że piesi mają wystarczająco szerokie przejście obok auta, i zajął miejsce na pobliskiej ławce, tak by widzieć wjazd od Jana Pawła, po czym założył okulary przeciwsłoneczne.

Czuł, jak zegarek tyka mu na nadgarstku. W tym momencie miał wrażenie, że faktycznie zestraja się z pulsem.

5

Sekretarką wciąż była pani Basia, zbliżająca się do emerytury pogodna okularnica z platynową trwałą. Zmienił się za to dyrektor. Iza czytała coś na ten temat w ogłoszeniach w dzienniku elektronicznym. Szkoła Nikodema wchłonęła inną placówkę powstałą po reformie oświaty, jednak ta dość szybko okazała się za duża jak na lokalne zapotrzebowanie, więc szkoły połączono, uratowano część tamtejszej kadry, a wiekowy pan dyrektor Wnęk – noszący jakże adekwatne imię Sędziwój – dostał odgórnie przydzielonego zastępcę. Niedługo potem wylądował na rekonwalescencji z powodu powikłań po zapaleniu płuc. Dlatego to właśnie zastępca, dobrze zbudowany szpakowaty czterdziestolatek w sportowej marynarce, przywitał ich w sekretariacie, w progu swojego gabinetu.

– Waldemar Olszewski, dzień dobry państwu – powiedział, wyciągając rękę do Izy. – Dziękuję, że państwo przyszli. Pani Drelich, jak zgaduję?

– Lemańczyk – poprawiła. – Drelich to nazwisko syna. I byłego męża.

Za plecami usłyszała prychnięcie i nie musiała się odwracać, by domyślić się miny ojca Kajetana.

Olszewski natomiast taktownie skinął głową, nie przestając się uśmiechać.

– Rozumiem i przepraszam. Bardzo mi miło panią poznać.

Przesunął się lekko, by przepuścić Izę w progu i wyciągnąć rękę do stojącego za nią mężczyzny.

– W tym przypadku już raczej się nie pomylę, prawda? Pan Rawicz?

– Od urodzenia do śmierci – odparł tamten z dumą.

Gdyby Iza tylko chciała, spokojnie mogłaby się powstrzymać. Ale zdecydowanie nie chciała.

– Skąd ta pewność? Pan, przepraszam, właśnie umiera? – zapytała z udawaną troską.

Tym razem Olszewski parsknął, nieudolnie próbując zamaskować wesołość kasznięciem.

– Teraz to ja już się nie dziwię, skąd ta cała sytuacja – sapnął Rawicz.

– Tak, ja również nie – zgodziła się.

– Drodzy państwo, zapraszam do siebie – wtrącił się Olszewski. – Chłopcy może niech zaczekają przed sekretariatem, dobrze, chłopaki? Mogę na was liczyć? Nie pobijecie się?

Nikodem już otwierał usta, ale spiorunowany spojrzeniem matki zaraz je zamknął i tylko pokręcił głową.

– Nie, proszę pana – wymruczał ledwie zrozumiale Kajetan.

Gabinet wicedyrektora był urządzone dość skromnie. W kącie narożny stoliczek o trójkątnym blacie z baterią kubków i kapsułkowym ekspresem do kawy. Naprzeciwko okna nowiutkie regały z Ikei, stopniowo wypełniające się segregatorami, książkami o wychowaniu, rozporządzeniami ministra edukacji. Na jednej z niższych półek Iza zauważyła także kilka komiksów, dwie powieści Childa i pudełko jakiejś gry planszowej, a ponieważ

nie były to przedmioty, które można skonfiskować uczniom podstawówki, poczuła do wicedyrektora cień sympatii.

Na ścianie na wprost wejścia znajdowało się godło, a po obu jego stronach, niczym dwóch biblijnych łotrów, wisały duże antyramy – jedna z fotografią zamku w Ogradzieńcu o wschodzie słońca, druga z kodeksem praw dziecka stylizowanym na stronicę średniowiecznej księgi. Pod godłem czyste biurko Olszewskiego i stół z czterema krzesłami układały się w literę T. Iza zajęła miejsca po lewej stronie stołu, tak by mieć za plecami okno i nie musieć nieustannie mrużyć oczu. Rawicz, chcąc nie chcąc, usiadł naprzeciwko.

Czuła, jak jej się przygląda, i wnioskuje z jego pełnego satysfakcji półuśmiechu, dość szybko była w stanie wywnioskować, jaki obraz stworzył sobie w głowie. Niemal wszyscy faceci zwracali uwagę na to samo: duże ciemne oczy, które w ich przeświadczeniu miały świadczyć o naiwności i uległości, prosty mały nos i pełne usta. Czasem zauważali też wyraźne kości policzkowe i to za ich sprawą przypisywali jej podobieństwo do różnych, zupełnie do siebie niepodobnych hollywoodzkich aktorek. Coś w każdym razie było w tym zestawie uroczo naiwnego i właśnie to dostrzegła w oczach i uśmiechu Rawicza.

– Komuś z państwa kawy? – zaproponował Olszewski, obchodząc stół. Gdy oboje podziękowali, zajął swoje miejsce, zamknął laptopa i oparłszy łokcie o blat, zaplótł dłonie w tę cholerną nieszczerą piramidkę, tracąc tym gestem niemal wszystkie punkty, jakie w oczach Izy zyskał komiksami

i planszówką. – Zakładam, że oboje państwo wiedzą, dlaczego tu się spotykamy.

– Tak – powiedziała Iza. Odłożony na blat telefon zawibrował kolejnym esemesem od Ewy: „Jakieś sugestie, co robić?”. Wyłączyła wibracje.

Rawicz nie odpowiedział na zadane pytanie. Rozsiadł się za to wygodnie na swoim krześle, wyciągając nogi pod stołem i przerzucając niedbale prawą rękę przez poręcz, tak by zwrócić się w stronę biurka i całym sobą pokazać, że w zasadzie tylko wicedyrektor jest tu dla niego partnerem do rozmowy.

– To znaczy ja wiem – doprecyzowała Iza. – Za wiedzę obecnego tu pana...

– Och, dajmy już spokój! – wszedł jej w zdanie Rawicz. – To oczywiste, że wiemy, w czym problem. Wszyscy widzieliśmy twarz mojego syna.

Tym razem Iza nie powiedziała pierwszego, co przyszło jej na myśl. Skupiła natomiast wzrok na Rawiczu, zmuszając go niejako, by wreszcie na nią spojrzeć. Gdy to zrobił, uśmiechnęła się.

– Nikodem uderzył Kajetana w twarz – powiedziała. – Uderzył go z pięści, na szkolnym boisku, i z tego, co powiedziała mi przez telefon pani Ślusarczyk, zaraz po tym, gdy to zrobił, poszedł do niej, żeby się przyznać.

– I co to niby zmienia?! – warknął Rawicz.

– Niczego to nie zmienia. Ja tylko ustalłam fakty i upewniam się, że wszyscy wiemy to samo. Bo na razie wiemy to samo, prawda, panie dyrektorze?

Olszewski skinął głową.

– Pani Ślusarczyk skontaktowała się z wychowawczynią pana syna, panią... – Zawahała się.

– Kostrzewską – podpowiedział dyrektor. – Pani Kostrzewska uczy u nas matematyki i jest wychowawczynią piątej c.

– Tak właśnie, dziękuję. Skontaktowały się ze sobą, zadzwoniły do pana, do mnie i zgłosiły panu dyrektorowi. Nie wiem, w jakiej kolejności. W tym czasie pana syn był, o ile się orientuję, u pielęgniarki. Zgadza się?

Rawicz ostentacyjnie zadarł lewą rękę, by spojrzeć na zegarek.

– Naprawdę będziemy marnować czas na te oczywistości? – zapytał Olszewskiego.

– Obawiam się, że po to właśnie się spotkaliśmy – odpowiedział dyrektor tonem, który znowu przysporzył mu kilka punktów.

– Pan zjawił się w szkole przede mną – kontynuowała Iza. – I tu mamy pierwszą nieścisłość. Czy najpierw straszył pan poprawczakiem mojego syna czy sądem panią...

– Kostrzewską – raz jeszcze uczynnie podpowiedział dyrektor. Widziała, że z całych sił próbuje ukryć, jak bardzo bawi go ta sytuacja, i w tych okolicznościach była mu nawet skłonna wybaczyć tę piramidkę.

Rawicz wyprostował się, poprawił i przyklepał krawat, a następnie oparł łokcie na biurku i nachylił się do niej.

– Pani syn to smarkaty bandzior, który zaatakował znieńacka mojego. Za takie rzeczy...

– Znieńacka? Naprawdę? Taka jest pana wersja? Znieńacka? Rawicz z miejsca poczerwieniał.

– Nie skończyłem! – warknął.

– Panie Rawicz, proszę – odezwał się Olszewski. – Rozumiem nerwy, to nie jest łatwa sytuacja, ale...

– O nie, to jest bardzo prosta sytuacja, panie dyrektorze – odparł Rawicz. – Sytuacja jest taka, że syn tej pani uderzył mojego syna. Bez powodu. I nie zamierzam tego tak zostawić! Ani zamiatać pod dywan!

– Nikt nie zamierza niczego zamiatać pod dywan, panie Rawicz – zapewnił dyrektor. – Właśnie dlatego tu wszyscy jesteśmy.

Iza zerknęła na telefon. Kolejny esemes od Ewy: „Stara mąka była. Dlatego nie rosły”. No, pomyślała, przynajmniej jedna sprawa mniej. Policzyła w głowie do pięciu i odezwała się najspokojniej jak potrafiła:

– Nikt nie zaprzecza, że mój syn uderzył pańskiego, ale nie wiem, czy Kajetan powiedział panu dlaczego. Wie pan, co pana syn powiedział na mój temat?

Rawicz machnął ręką.

– Słyszałem. To bzdura. Kajetan tak nie powiedział.

Iza wzruszyła ramionami.

– Skoro tak, to sprawa zamknięta. Bo mój go nie uderzył. Kajetan pewnie wpadł na ścianę.

Rawicz potrząsnął głową.

– Ta rozmowa robi się kuriozalna – stwierdził.

– Zgadza się – potwierdziła.

– Ja rozumiem, że pani jako matka za wszelką cenę będzie próbowała bronić swojego syna...

– Nie, panie Rawicz. Nie za wszelką. Na przykład wbrew temu, co myśli i opowiada o mnie pana syn, nie zamierzam w tej

sprawie nikomu obciążać.

Rawicz zamarł z otwartymi ustami. Zamrugał kilka razy, odchrząknął i spojrzał na nie mniej zaskoczonego Olszewskiego.

– Pan to słyszał? – upewnił się.

– Słyszał, bo to powiedziałam – odpowiedziała za dyrektora Iza. – I nawet powtórzę. Jeśli na takie rozwiązanie sprawy pan liczył, to bardzo mi przykro.

– Pani nie jest poważna!

Pokręciła głową.

– Nie, proszę pana, nie jestem. Ale też i trudno mi zachować powagę w obliczu kogoś, kto sugeruje, że podobne rozmowy powinny się odbywać wyłącznie w męskim gronie, kto wybiórczo zaprzecza faktom mimo świadków i kto wreszcie straszy w szkole małego chłopca, bo ten pobił się z kolegą... Nie skończyłam, więc proszę przestać łapać co chwilę powietrze jak karp! Jeśli pan chce, żebyśmy potraktowali tę sprawę poważnie, to możemy. Pan naśle prawnika na mojego syna i szkołę, ja na pana za zastraszanie mi dziecka. Do tego zgłoszę do szkolnego pedagoga, a także pewnie do opieki społecznej kwestię związaną ze słowami pana syna i wszystkim, co się z tym wiąże. Bo seks oralny to nie jest temat dla jedenastolatka. Zareagują albo nie, ale może mi pan wierzyć, sprawdzę to jeszcze dziś. I oczywiście, jeśli będzie taka potrzeba, Nikodem przeprosi pana syna publicznie, na apelu, przy całej szkole, ale zapewniam pana, że choćbym miała mu osobiście te przeprosiny napisać, choćby miał się tego uczyć jak wierszyka do pieprzonej recytacji, zrobi to tak, że koledzy nie przestaną Kajetanowi dokuczać do końca studiów!

Zapadła cisza.

– Pani mnie straszy? – zapytał w końcu Rawicz.

– Nie, proszę pana – odpowiedziała Iza. – Ja tylko tłumaczę, dlaczego wolałabym mimo wszystko nie traktować tu wszystkiego specjalnie poważnie.

Podniosła telefon i spojrzała na wyświetlacz.

– No dobrze, czy możemy wreszcie zacząć ustalać jakieś konkrety?

6

Zjawili się o jedenastej pięćdziesiąt trzy. Biały ford transit zatrzymał się na przejściu dla pieszych tuż przed wjazdem na rynek, by przepuścić kobietę pchającą głęboki wózek. Drelich był niemal pewien, że to oni, ale z tej odległości nie widział ani kierowcy, ani pasażera, więc w pełnej gotowości poczekał, aż pojazd wjedzie na rynek i ustawi się do niego bokiem. Gdy zobaczył czarno-czerwone logo Gwarant Security, włączył stoper, wstał i ruszył, zarzucając plecak. W lewej ręce trzymał zalaminowany kartonik podklejony dwustronną taśmą. Przekraczając próg Centrum Techniki Ciepłno-Sanitarnej, przykleił go do zamkniętego skrzydła drzwi. Napis na kartoniku przepraszał potencjalnych klientów, informując jednocześnie, że właśnie trwa przyjęcie towaru.

W środku panował półmrok. Drelich zdjął okulary przeciwsłoneczne i wcisnął je do kieszeni. Minął drzwi po prawej wiodące do niewielkiej przybudówki na potrzeby obsługi bankomatu i szereg rozstawionych na paletach piecyków gazowych. Stojący za szeroką ladą starszy mężczyzna jeszcze się nie zorientował, że ktoś wszedł, i wciąż układał coś na środkowych półkach rozłożystego regału.

Drelich zerknął na zegarek. Czterdzieści sześć sekund od wstania z ławki. Bardzo sprawnie. Od lady dzieliło go już może z pięć kroków.

Wtedy facet go usłyszał i odwrócił się powoli.

Miał zmęczoną, pomarszczoną twarz, a niezdrowa żółtawa skóra wisiała na policzkach i pod brodą, jakby niedawno stracił sporo na wadze. Na zgrubieniu kartoflowatego nosa opierały się okulary połówkowe.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytał skrzekliwym głosem.

Drelich miał gotową odpowiedź na wypadek, gdyby mężczyzna – wiedział, że nazywa się Kazimierz Wolny, ma sześćdziesiąt siedem lat, jest żonaty i jako właściciel Centrum siedzi tu sam codziennie do trzynastej – zauważył go pośrodku sklepu. Teraz szkoda już było czasu na rozmowy. Przyspieszył, mijając ladę.

– Proszę pana, tu nie wolno...

Drelich wyciągnął rękę, złapał Wolnego za połą sztruksowej marynarki i mocno szarpnął, odwracając go tyłem do siebie. Nie wymagało to za wiele wysiłku. Był większy od sprzedawcy – przy wzroście metr osiemdziesiąt trzy ważył około dziewięćdziesięciu kilo – i w naprawdę dobrej kondycji, czego właściciel Centrum Techniki Ciepłno-Sanitarnej na pewno nie mógł o sobie powiedzieć. No i dochodziły jeszcze element zaskoczenia oraz technika. Drelich nie robił tego pierwszy raz.

Przywarł do niego, kładąc mu lewy łokieć na ramieniu i obejmując go prawą ręką za szyję tak, żeby biceps uciskał tętnicę. Prawą dłoń położył na zgięciu lewej ręki, a lewą na karku Wolnego, przyciskając do niej twarz. Zacisnął i w ten sposób zablokował również tętnicę z drugiej strony.

Wzmocnił uścisk i liczył cicho, patrząc na drzwi i nie zważając na szarpanie i wierzganie starszego mężczyzny. Trzy sekundy, pięć, siedem. Gdy Wolny przestał się szarpać, Drelich zaciągnął

bezwładnego na zaplecze. Z plecaka wyjął srebrną taśmę i dwie długie trytytki, po czym skrupował Wolnemu ręce i nogi oraz zakleił usta. Dopiero wtedy uniósł ofierze nogi, czekając, aż męczyzna odzyska przytomność.

Zerknął na zegarek. Minuta trzydzieści siedem od wstania z ławeczki. Konwojenci powinni od co najmniej dwudziestu siedmiu sekund gramolić się już z auta. Pewnie ich kierowca przy okazji sklął na czym świat stoi tego kretyna z kangoo za parkowanie na chodniku, nie myśląc, że właśnie sam chciał zrobić dokładnie to samo.

Drelich zakładał, że opuszczenie pojazdu i przejście tych kilku metrów zajmie im przynajmniej półtorej minuty. Przy takim ostrożnym szacunku została mu minuta.

Właściciel sklepu przebudził się, zamrugął i szarpnął nerwowo. Drelich, wciąż trzymając w górze jego nogi, nachylił się do przodu, by spojrzeć mu w oczy.

– Nie zabiorę niczego z twojej kasy – zapewnił cicho. – Nie zrobię ci też większej krzywdy niż teraz, o ile nie będziesz się szarpał. W najgorszym przypadku za mniej więcej godzinę zjawi się tu twoja córka i cię uwolni, choć gdybym miał się zakładać, powiedziałbym, że poleżysz tak góra piętnaście minut. Jeżeli natomiast będziesz hałasował, będę musiał skrzywdzić naprawdę poważnie ciebie i jeszcze dwie osoby. Zrozumiałeś?

Kazimierz Wolny zamrugął raz i drugi, wreszcie powoli skinął głową.

– Świetnie.

Drelich opuścił jego nogi i znowu zerknął na stoper. Zostało trzydzieści sekund. Wstał, zdjął czapkę i przeczesał włosy.

Z plecaka wyjął dwa tasery. Pierwszy wetknął za pasek spodni, drugi wziął do lewej ręki i zważył, upewniwszy się po raz nie wiadomo który, że dobrze leży. Do jednej tylnej kieszeni upchnął też kilka niespiętych trytytek, a do drugiej kilka szerokich pętli.

Na rączce tasera miał magnes, do którego teraz przymocował plastikową podkładkę do papieru z kilkoma kartkami wpiętymi pod klips – dzięki temu wyglądał, jakby sprawdzał z dokumentacją przyjęty towar, a w razie potrzeby wystarczyłby jeden szybki ruch i podkładka poleciałaby w kąt.

Tak przygotowany, wyszedł z zaplecza akurat w chwili, gdy konwojenci weszli do budynku.

Dwaj mężczyźni w kamizelkach, obaj postawni, choć jeden, ten asekurowający i w hełmie, zdecydowanie powinien popracować nad brzuchem. Drelich starał się nie patrzeć na broń uwieszoną na pasku. Wystarczyła mu świadomość, że tamci są uzbrojeni i pewnie w jakimś stopniu przeszkoleni do użycia broni.

Przynajmniej żaden z nich nie jest kobietą, pomyślał. Wiedział, że w ciągu najbliższej minuty wszystko się rozstrzygnie.

– W czymś panom pomóc? – zapytał głośno, widząc zdziwienie malujące się na ich twarzach. W takich sytuacjach liczyło się, kto pierwszy się odezwie, kto pierwszy pokaże, że ma prawo tu być – atak uprzedzający, który wywołuje dwukierunkowe zaskoczenie. A to, zamiast dzielić, łączy.

– Cholera, nikt mnie nie uprzedził o panów wizycie. Powinienem, nie wiem, zamknąć sklep albo coś?

Wyszedł zza kontuaru i ruszył w ich stronę, trzymając prawą rękę daleko od ciała, a lewą zgiętą w łokciu, tak by dłoń z podkładką znajdowała się blisko zeber. Konwojenci poruszali się

wolno, pewnie przyzwyczajali oczy do półmroku. Brał to pod uwagę, choć nie zakładał, że tak będzie. Stryj Józef często powtarzał, żeby mieć nadzieję na najlepsze, ale liczyć się z najgorszym. Oczywiście sam tego nie wymyślił, tylko ukradł komuś i używał jak swojego. W tym zawsze był dobry.

– To znaczy i tak mamy zamknięte, przyjęcie towaru, ale zawsze może ktoś wejść z ulicy, karteczki nie zobaczyć...

– Nie trzeba zamykać – zapewnił ten gruby chropowatym niskim głosem, pasującym do spracowanej twarzy. Na krzywym nosie miał zgrubienie u nasady przypominające o złamaniu. – A w ogóle to pan Kazimierz gdzie?

– Wujek? Skoczył na moment do apteki, pewnie się zagadał. – Drelich cały czas skracał dystans. – Swoją drogą, nie widzieliście tam panowie naszego dostawcy? Już z dziesięć minut temu wyszedł pieniądze rozmiąć.

– To ten kutas, co na chodniku stanął? – zapytał młodszy z konwojentów. Wyższy o pół głowy od tamtego i ogolony na łyso, na pewno dużo czasu spędzał na siłowni, ale wnioskując po ruchach, gładkiej buźce i tym, jak w pierwszej chwili się spał, raczej nie był sprawdzony w boju. Teraz odzyskał rezon i cwaniakował.

– Kutas nie kutas, muszę się z nim rozliczyć, bo mi sklepu otworzyć nie wolno. – Drelich uniósł rękę z podkładką, ale ostrożnie, by nie pokazać tasera. – Noż cholera, gdzie on jest?

Przyspieszył nieznacznie i skręcił tak, by odnieśli wrażenie, że chce ich obejść szerokim łukiem. Począł, aż łyso otworzy drzwi i zrobi krok w głąb wnęki z bankomatem, a gruby ustawi się

bokiem do niego i frontem do wejścia, by obserwować drzwi. Wtedy zaatakował.

Skoczył gwałtownie, machnięciem ręki odrzucił podkładkę i nim ta dotknęła ziemi, przysunął taser do szyi mężczyzny. Nacisnął przycisk. Rozległa się seria trzasków, a gruby spał się, zeszywniał i ni to zacharczał, ni zbulgotał, przewracając oczami. Potem zwiotczał, osuwając się na kolana. Łysy, który właśnie przyklęknął, by otworzyć maszynę, zdążył się tylko obejrzeć. Drelich płynnie przeszedł za plecami grubego, wyrwał zza paska drugi taser i poraził go, gdy konwojent próbował uniknąć tego w lewej ręce, po czym korzystając z przewagi wysokości, kopnął go z kolana w twarz. Chrząst i jęk zwiastowały złamanie nosa.

– Ręce, młody, przed siebie. Razem.

Drelich odrzucił jeden taser na bok sięgnął po trytytkową pętlę. Wysypały się wszystkie, ale to nie był problem, w przeciwieństwie do biernego oporu ze strony chłopaka.

– Naprawdę nie chcę cię zabijać, chłopcze – powiedział przerażająco spokojnie, głosem wyćwiczonym tak w teorii, jak i bojowej praktyce. – Ani szukać potem na podstawie twojego dowodu całej rodziny, by zrobić jej coś naprawdę paskudnego. Więc ręce, kurwa, przed siebie, razem. Liczę do trzech. Raz...

Na „dwa” zacisnął pętlę na nadgarstkach łysego. Potem luźną trytytką spał mu nogi, a następnie unieruchomił też grubasa.

Obejrzał się na drzwi, nagle pewien, że kogoś tam zobaczy. Przypadkowego gapia, człowieka, który nie zauważył kartki, kogokolwiek. Przez pięć dni, kiedy obserwował ten sklep, przyjeżdżając tu co rano z innego z okolicznych miast, widział tylko siedmiu klientów. Ale może właśnie teraz, właśnie w czasie

tej jednej kluczowej minuty, przyszedł czas na klienta numer osiem?

W progu jednak nikogo nie było. Złapał kasetkę, którą przyniósł łysy. Nie wiedział, ile jest w środku, ale na liczenie łupu przyjdzie czas za chwilę, teraz musiał sprawnie się stąd wydostać.

Zebrał trytytki, podniósł drugi taser. Jeszcze raz zerknął w stronę drzwi, poderwał się i pognął na zaplecze, skąd zabrał swoje rzeczy. Z plecaka wyjął przygotowaną wcześniej pustą torbę z logo DHL-u i założył na ramiona, a kasetkę wpakował do torby, zakleił ją, po czym jak gdyby nigdy nic zaniósł oburącz do auta.

– Przepraszam pana bardzo – zaczepił przechodzącego obok mężczyznę. – Czy mógłby mi pan przytrzymać paczkę? Muszę wyjąć kluczyki, a nie chcę kłaść na ziemi.

Wysoki szesnasto-, może siedemnastolatek, wyraźnie doceniony potraktowaniem go jak dorosłego, ochoczo przejął przesyłkę.

– Ciężkie – stwierdził. – Co pan tam ma?

Drelich wzruszył ramionami.

– Trochę zbędnego kosztownego żelastwa – odparł. Otworzył drzwi do kangoo i przejął paczkę. Położył ją ostrożnie na przednim siedzeniu. – Dziękuję panu bardzo.

– Drobiazg – odparł chłopak.

Drelich bez pośpiechu obszedł auto, posyłając długie spojrzenie dziewczynie siedzącej za kółkiem transita konwojentów. Ładna, drobna, z zaciętą, skupioną miną. Złapał się na myśli, jakby mu poszło, gdyby to ona weszła do środka.

Na zegarek zerknął, dopiero gdy zjechał z rynku w Jana Pawła. Brakowało piętnastu sekund do dwunastej.

7

Tuż przed dwunastą otworzyła się brama i na teren posiadłości Wójcików wjechały trzy samochody marki BMW: dwa czarne SUV-y, a pomiędzy nimi lśniący metalicznie ametrynowy M8 gran coupe.

Milena знаła dobrze model, markę i nazwę koloru ukochanego samochodu męża. Nie miała natomiast pojęcia, jakimi konkretnie modelami były te dwa SUV-y. Kiedyś w ogóle mówiła na takie auta jeepy, tak jak na wszystkie sportowe buty zwykła mówić adidas. W niedużych miastach, jak jej rodzinny pobliski Udaniów, z którego nie wyściubiła nosa przez całe lata dziewięćdziesiąte, tak się po prostu mówiło. Jeepem było każde terenowe auto, nieważne jakiej firmy. Dopiero Zygmunt, śmiejąc się z niej pewnego razu, że nazwała tak ubłoconego land rovera, koło którego zaparkowali, wyprowadził ją z błędu.

Z SUV-ów wysiadło w sumie sześciu mężczyzn. Wszystkich znała. Jako pierwszy przejechał przez bramę Natan, najstarszy z całej grupy, żylasty typ średniego wzrostu z pociągłą twarzą, płaskim nosem z usuniętą chrząstką i wąsko rozstawionymi oczami. Mało się odzywał, nie pił kawy, tylko herbatę owocową. Za to lubił ich dzieci. Czasami bawił się z Bartusiem tak, że pozwalał mu naciskać swój miękki nos i wydawał przy tym dźwięki jak piszczałka. Za pasażerów miał Pumbę, rubasznego rudzielca o pucułowatych policzkach i z dołeczkiem w brodzie, który śmiał

się jak samochodowy czujnik cofania, oraz Adasia, dwudziestoparolatka, który był kiedyś wicemistrzem świata w jakiejś sztuce walki, ale gangsterka kręciła go bardziej. Zanim trafił do Zygmunta i z jakiegoś powodu awansował do najbliższego grona, walczył w klatce na pipidówkowych galach i robił drobnicę jako szeregowy siepacz.

Drugi samochód prowadził Litwa, kiedyś zwany Ruskim. Niewiele starszy od Zygmunta, przedwcześnie posiwiał i niemal białe teraz włosy zaczesywał do tyłu jak włoski mafiozo. Zdaniem Mileny jego nos przypominał dziób drapieżnego ptaka, zwłaszcza z profilu. Powiedziała o tym nawet kiedyś Zygmunтови, sugerując ze śmiechem, że powinni mu zmienić ksywkę na jakiegoś orła, sępa czy coś, ale on spojrzał na nią tak, że od razu straciła ochotę na żarty.

Wraz z Litwą przyjechali jeszcze Szary, burkliwy blady typek wygolony na rekruta i obwieszony tandetnymi ozdobami z białego złota, oraz wesoły, przystojny brodacz Stówka, który lata temu poznał ze sobą Wójcików na dyskotecie. Milena była niemal pewna, że gdy ją wtedy zagadywał przy barze, robił to dla siebie. Przekierowanie jej zainteresowania na szefa nastąpiło dopiero jakoś w połowie wieczoru.

Stówka gramolił się z auta dłużej niż reszta, bo – jak się okazało – miał kilka opakowań sushi w cienkich foliowych torebkach z japońskimi napisami.

Cała szóstka zebrała się, rozmawiając swobodnie. Szary zapalił, Adaś mówił coś, gestykulując zawzięcie, Natan odwrócił się do reszty plecami, rozmawiał przez telefon. Milena patrzyła na nich z wysokości pierwszego piętra, przez okno sypialni,

bezwiednie ssąc końcówkę kciuka. Rój much w jej głowie jazgotał niemiłosiernie, doprowadzając niemal do obłądu, a wśród wszystkich tych myśli ta jedna najważniejsza brzmiała: dlaczego on nie wysiada?!

Wyjaśniło się po minucie, gdy w coupe otworzyły się drzwi pasażera i wysiadła młoda dziewczyna, trochę w typie Dody z jej najlepszych czasów. Zgrabne długie nogi i jędrna dupka obciągnięta króciutką spódniczką, pod białą koszulką z wystrzępionym dekoltem duże cycki, całkiem możliwe, że naturalne, włosy do linii ramion, tak jak lubił, ładna, nienapompowana buzia. Milena zdała sobie sprawę, że nie ma siły czepiać się dziewczyny, szukać wad, nienawidzić. Co więcej, trochę ją nawet rozumiała, a trochę zazdrościła. Chciała być na jej miejscu. Chciała stać tam teraz na podjeździe, a potem wejść do domu jako ostatnie upokorzenie dla niewiernej żony. Chciałaby móc po prostu dać dupy w zamian za miły dzień, błyskotkę, przejażdżkę luksusowym autem. A potem, o tak, tego chciałaby najmocniej, wrócić do swojego szarego życia, nie mając nic więcej oprócz naturalnie ładnej buzi, nóg i cyków.

– Nigdy mnie nie uderzył – szepnęła jeszcze raz Milena, odsuwając się od okna. Co więcej, nic nie wskazywało na to, by miał zamiar zrobić to teraz. Raczej nie przy chłopakach, nie przy tej dziewczynie. Nie podniesie ręki, nie podniesie głosu. Pewnie zrobi coś dużo gorszego, ale na pewno nie pokaże, że w jakikolwiek sposób go to obeszło.

Była w połowie schodów, gdy weszli. Zygmunt jako pierwszy, niemal pod ramię z tą dziewczyną, niższy od niej o pół głowy, co wyjątkowo zdawało mu się nie przeszkadzać. Na co dzień mocno

to przeżywał, nosił specjalne wkładki i zabraniał żonie chodzić na obcasach. Milena oczywiście stosowała się do tych wymogów, choć uważała, że mąż przesadza. Był bardzo dobrze zbudowanym mężczyzną, owszem, niskim, ale szerokim w ramionach, wyrzeźbionym ciężką pracą na siłowni. W ogóle nie było po nim widać zbliżającej się pięćdziesiątki.

Dziś natomiast wyglądało, jakby nie tylko jego metr siedemdziesiąt jeden przestał być problemem, ale wręcz napawał go dumą. Jakby nagle poczuł się cholernym Tomem Cruise'em.

– Kochanie, gdzie są dzieci? – zapytał. – Przyprowadziłem im opiekunkę na czas, kiedy będziemy rozmawiać.

Dziewczyna, słysząc to, zachichotała głupio i Milena zdała sobie sprawę, że właśnie zbliżyła się do granicy znienawidzenia tej młodej. Przełknęła ślinę.

– Poprosiłam mamę, by zabrała je do lekarza – powiedziała. – Tego swojego znajomego. Akurat udało się załatwić wizytę.

Ściągnął usta, zmrużył oczy, jakby usiłował upewnić się, że nie blefuje. Choć tak naprawdę wiedział, że to kłamstwo, że nie ma zbiegów okoliczności. W końcu najwyraźniej uznał to za drobiazg, bo wzruszył ramionami i wyszczerzył zęby.

– Dobra, Weronika, wygląda na to, że na razie masz wolne – zwrócił się do dziewczyny. – Idź teraz na górę, w sypialni jest telewizor, włącz sobie coś. My tu w salonie porozmawiamy.

– Dobrze – odparła i posłusznie ruszyła w stronę schodów, kręcąc dupką jak modelka.

Nie popisywała się, po prostu tak miała. Była zgrabna, ładniejsza niż Milena kiedykolwiek wcześniej, a że przy tym trochę głupiutka? Gdy przyjdzie czas, zapłaci za to z nawiązką.

Kiedy się mijaly, dziewczyna uśmiechnęła się trochę jakby przepraszająco, niezręcznie. Milena odpowiedziała smutnym, gorzkim uśmiechem.

Nie zastępujesz mnie, kochanie, pomyślała. Nie zastępujesz, choć w tym momencie obie bardzo byśmy chciały, by tak było.

Zeszła na dół, z całych sił starając się zapanować nad drzeniem nóg.

– Cześć, chłopaki – rzuciła, starając się zabrzmieć beztrzesko.

Żaden nie odpowiedział.

– Idźcie do salonu, ja zaraz przyjdę – polecił Zygmunt i zniknął w łazience.

Gdy wrócił, chłopcy zdążyli się już rozsiaść – Natan z Szarym na kanapie, Adaś, Litwa i Stówka przy stole, na którym stały teraz pudełka z sushi, a Pumba zajął miejsce na hokerze przy wyspie oddzielającej salon od kuchni. Chwilę wcześniej Milena zaproponowała im wszystkim coś do picia, ale żaden nie skorzystał.

– No dobra – powiedział Zygmunt, wycierając ręce w papierowy ręcznik. – To kto chce jeść, ten je. Kochanie, pozwolisz tu do nas? Tylko weź sobie taboret, dobrze?

Sam zajął ostatnie miejsce przy stole i sięgnął do pierwszego z pudełek. Milena zauważyła, że było ich łącznie dziewięć, z czego dwa kolorowe, wyraźnie dziecięce. To znaczyło, że ani jej, ani dziewczyny, z którą przyjechał, nie brali pod uwagę.

„Nie szykuj obiadu” przypomniała sobie. Kolejne z małych upokorzeń.

Wzięła taboret i ustawiła na środku salonu. Uznała, że nie ma co dłużej udawać, że to spotkanie jest czymś więcej niż

pokazowym sądem. A skoro tak, usiądzie niczym oskarżona i po prostu się temu podda. Usiadła więc, splotła ręce, dociskając je do łona, i wtuliła głowę w ramiona.

Nigdy mnie nie uderzył, pomyślała. Mógłby, ale nigdy tego nie zrobił.

Przez dwie albo trzy minuty słyhać było tylko odgłosy jedzenia i telewizor w sypialni na górze. Milena zaczęła się zastanawiać, jak długo to czekanie jeszcze potrwa. Aż zjedzą? Aż zapalą po wszystkim? Aż jej mąż pójdzie na górę i przeleci swoją małolatę w ich łóżku? Ile?!

Być może Zygmunt Wójcik usłyszał te myśli, a może po prostu uznał, że to już, bo nagle odwrócił się i wycelował w nią kawałkiem sushi trzymanym między pałeczkami.

– To co, powiesz mi, kto to w ogóle jest? – zapytał.

Drgnęła, po czym powiodła wzrokiem po zebranych.

Zauważył to.

– Spokojnie, chłopaki są zaznajomieni ze sprawą. Jeszcze bez szczegółów, bo nie chciałem ci tego odbierać. Wiesz, jak mawiają...

– Przerwał, by zamoczyć kawałek sushi w sosie sojowym i nałożyć na nią odrobinę wasabi. Pałeczkami uniósł otoczony glonem krążek na wysokość oczu i obejrzał. W końcu ponownie spojrzął na nią. – Każda kurwa ma swoją opowieść. Słucham.

Przełknęła ślinę, przypominając sobie, że Zygmunt nigdy jej nie uderzył. Ale syntezytor we wnętrzu jej głowy tym razem zauważył, że owszem, nie uderzył, ale przecież nigdy nie musiał. Nigdy nie było powodu. A dziś co? Zresztą czy to właśnie nie aby pierwszy raz nazwał ją kurwą przy ludziach?

– Zygmunt, ja... ja...

Patrzył na nią wyczekująco. Świdrował tymi swoimi jasnymi oczami, takimi samymi jak oczy ich córki. Mała była do niego podobna, a Milena wiedziała, co mówią o dziewczynkach podobnych do ojców. Takie wyrosną na piękne kobiety. Najpiękniejsze.

– No – zachęcił, kręcąc młynka pałeczkami. – Wysłów się wreszcie. W rozmowach ze swoim pięknym jakoś nigdy nie brakowało ci słów. Nawet nie wiedziałem, że aż tyle ich znasz. Takie wyszukane. Aż muszę sprawdzić słownik, czy kartki nie lepią się od twojego śluzu.

Prawie wszyscy chłopcy zarechotali. Nie śmiał się tylko Natan. On patrzył na nią z powagą i nie umiała powiedzieć, czy nią gardzi, czy jej współczuje. Po nim w takich sytuacjach nigdy nie było widać. Jakby rozumiał się tylko z dziećmi.

Wójcik uniósł kolejny owinięty glonem krążek. W ostatniej chwili powstrzymał się przed włożeniem go do ust. Odłożył pałeczki, wyjął telefon, przejechał palcem po ekranie.

– W sumie to ja się nawet nie dziwię, że na niego poleciałaś – stwierdził, puszczając telefon w obieg. – Zobaczcie go sobie, chłopaki, bo chyba jeszcze nie pokazywałem. Niebrzydki, nie? Co prawda spodziewałem się, że raczej w młodych pójdiesz, co by dobrze zrobiło i tobie, i im. W końcu na starej piczy...

Znowu rechot. Znowu świdrujące spojrzenie Natana.

– Ale pomyślałaś, kochanie, jak to będzie wyglądało? – kontynuował Zygmunt. – Jak to wpłynie na mój wizerunek? No nie przed chłopakami akurat, bo oni są jak rodzina, rozumieją. Rozumieli, jak kupiliśmy twoim rodzicom nowe meble, nawet je nosili, to rozumieli, pamiętasz? Albo jak twój brat dostał kredyt

na firmę, choć bank nie chciał go udzielić. Stówka wtedy ładnie poprosił i było. Pamiętasz?

Pokiwała głową, wpatrzona we własne ręce splecione na podołku.

– No właśnie. W drugą stronę to też działa. Jak ta kurwa głupia chciała Pumbie zabrać dzieciaka i straszyla adwokatem, pamiętacie to? Pumba, jak ona się nazywała, ta twoja?

– Tak jak powiedziałeś, szefie – zaśmiał się grubas. – Kurwa głupia.

– Na pewno nie – stwierdził Litwa również ze śmiechem. – W urzędzie by nie przyklepali.

– Jakby mieli przyklepać, toby przyklepali – stwierdził Zygmunt. Spojrzał na Milenę, która akurat podniosła wzrok, i wzruszył ramionami. – No sama widzisz. Nawet w trudnej sytuacji potrafimy żartować. I zawsze trzymamy się razem, bo chłopaki są jak rodzina.

Sięgnął po pałeczki, podniósł kawałek sushi, obejrzał.

– Nie jak – poprawił się. – Są rodziną.

Wrzucił krążek do ust i przeżuwając, wstał. Podniósł ze stołu zwinięty w kulkę kawałek papierowego ręcznika, wytarł w niego opuszki palców, a następnie podszedł do żony, przykucnął i tymi samymi palcami ujął jej brodę. Uniósł lekko i uważnie popatrzył Milenie w oczy.

– Jeszcze nie zdecydowałem, co z tobą zrobię – powiedział cicho. – Jeszcze rozważam wszystkie opcje, ale możesz mi wierzyć, że w żadnej nie będziesz, kurwa, szczęśliwa, rozumiesz? Nie zdecydowałem nie dlatego, że mi na tobie zależy. Nie dlatego, że jesteś warta więcej niż to, za co sam zapłaciłem. Po prostu tak się

niefortunnie złożyło, że moje dzieci przyzwyczały się mówić do ciebie „mamo”. Rozumiesz to, Milena?

Ścisnął jej podbródek, jeszcze nie naprawdę mocno, ale już zabolalo.

– Rozumiesz?

– Tak – odpowiedziała. – Rozumiem.

Oczy zasły jej łzami, za co nienawdziła się teraz najbardziej na świecie. Nigdy jej nie uderzył. Ale też nigdy, przenigdy nie powiedział wprost tego, co teraz. Nie wprost! Dziś był zatem dzień pierwszych razów.

Puścił jej brodę i wstał.

– W tych rozmowach, które mam, nie było adresu, a nie będę używał mocy przerobowych do znalezienia gacha mojej żony – oznajmił, przechodząc do kuchni. Nalał sobie wody z dzbanka z filtrem. – Dlatego za chwilę pójdziesz po swój telefon i podasz Natanowi wszystkie dane tego faceta. Jego numer, prawdziwe nazwisko, adres. Wszystko. Gdzie masz telefon?

– W sypialni.

– To najpierw zapukaj. Nie chcemy przecież naruszać prywatności Weroniki, prawda?

Pokręciła głową.

– Nie chcemy – wyszeptała.

– No to idź.

– Chyba nie będzie potrzeby, szefie – odezwał się nagle Adaś, podnosząc jego telefon. – Bo ja znam tego faceta.

– Serio? – zdziwił się Zygmunt.

Milena też spojrzała na Adasia zaskoczona. Ten jeszcze raz przyjrzał się zdjęciu i skwapliwie pokiwał głową.

– Na bank, szefie. Kilka TIR-ów razem zrobiliśmy ze cztery lata temu, moje pierwsze zresztą. Dla Kracha pracował, pracza takiego z Warszawy, co to czasem ogarnia jakieś mniejsze i większe robótki. Ten typ to wolny strzelec, nazywa się... – Pomyślał chwilę. – O, już wiem! Drelich. Właśnie tak! Drelich! Marcin albo Marek, jakoś tak. Krach będzie wiedział.

– No to świetnie – ucieszył się Wójcik. – Czekaaj, prześlę ci tę fotkę tak na wszelki i zadzwonię do Freda, niech was zapowie. Weź ze sobą Szarego i Pumbę i przywieźcie mi tego Drelicha. Tylko wiecie, po cichu.

– Jasne, szefie – zgodził się Adaś. Szczeniacki entuzjazm aż z niego kipiał. – Weźmiemy mój wóz, nie rzuca się w oczy.

Wójcik przeciął pokój, ale zatrzymał się przy żonie. Znowu przykucnął, uśmiechnął się i przechylił głowę.

– Widzisz, kochanie, to po prostu kolejna rzecz, w której mogę bez trudu poradzić sobie bez ciebie.

8

Przy pierwszej okazji Drelich zjechał z drogi krajowej w boczną, prowadzącą przez wioski. Znał tę trasę, pokonał ją drugiego dnia, by upewnić się, czy jest przejezdna, bo mapa w każdej chwili mogła się zdezaktualizować, a GPS-om i wszelkim systemom wzajemnego wspierania kierowców nie ufał nawet na autostradach czy w dużych miastach, a co dopiero w przypadku dróg, które mogły liczyć jedynie na to, że w pewnym momencie chłopu skończy się cierpliwość i zasypie większe dziury tłuczniem bądź żwirem.

Przejazd kontrolny pozwolił mu zakwalifikować tę trasę jako ucieczkową, pod warunkiem że nie będzie obfitych deszczów. Szczęśliwie nie było, bo opcją B włókłby się do celu półtorej godziny.

Gdy tylko minął pola i wjechał za pas drzew, zatrzymał się na poboczu, szybko zdjął magnesy i wymienił tablice. Jedno i drugie zawinął w papier, po czym ruszył dalej. To jeszcze nie był czas na główny postój. Następne dwanaście minut snuł się czterdziestką, a czasem i pięćdziesiątką, po wąskich tasiemkach podziurawionego asfaltu, dwujezdniowych tylko w teorii i na mapach.

Kiedy jechał tu za pierwszym razem, podziwiał eklektyzm współczesnej polskiej wsi: anteny satelitarne na wiekowych stodołach, sypiące się chatynki, a obok okolone żywopłotem wille

i nowoczesne przeszklone klocki z kupionych w sieci projektów. Widział i obiecał sobie nawet zapamiętać – bo mierząc czas, nie mógł się przecież zatrzymać – jak przy popegeerowskich blokach krowy pasły się na placu zabaw. Kawałek dalej koza na postronku patrzyła z dezaprobatą na dzieciaki siedzące na oparciu ławki i łupiące słonecznik. Tu też, myślał wtedy, wyszłoby świetne zdjęcie.

Teraz jego umysł skupiony był na liczbach.

Na wyjazd z miasta potrzebował dwóch minut i trzydziestu sekund. Kolejne trzy minuty to dojazd do drzew, zdjęcie magnesów i wymiana tablic. Razem pięć. Jeżeli – na co z całego serca liczył – w tym czasie nikt przypadkowy nie wszedł do Centrum Techniki Ciepłno-Sanitarnej, wciąż miał około siedmiu, ośmiu minut bezpiecznego zapasu, bo uzupełnianie kasetki rzadko trwa krócej niż dziesięć, piętnaście minut.

Potem wchodziła pierwsza kwestia nie do przewidzenia, czyli nerwowość dziewczyny za kierownicą. Ale tu Drelich był optymistą. Raczej nie była w branży nowa, bo agencje ochroniarskie i przewozowe to środowisko szowinistyczne, i to w ten prząsny, remizowy sposób. Żeby kobieta mogła usiąść za kierownicą i jeździć w konwoju, musiała zasłużyć. A skoro tak, nie powinna się zacząć niepokoić przez kolejne pięć, siedem minut. Mogłaby co najwyżej odezwać się przez radio, ale czy brak odpowiedzi wywoła natychmiastową reakcję? Wątpliwe.

Siedem plus pięć dawało dwanaście, czyli teoretycznie wszystko powinno się zacząć teraz. Dziewczyna za kierownicą wywołuje grubego przez radio, ten nie odpowiada, ona się niepokoi, próbuje jeszcze raz. Czy postępuje zgodnie

z procedurami i kontaktuje się z bazą, czy opuszcza pojazd? Drelich pamiętał spór o to, czy kierowcy konwojów z przewozem pieniędzy również powinni być uzbrojeni, by w razie problemów wzmocnić drużynę siłą ognia, ale nawet jeśli postulat przeszedł w innych firmach, Gwarant – wiedział to na pewno – jeszcze ich nie wprowadził.

Czyli raczej baza. Zwarty raport, który tamci weryfikują telefonem do konwojenta. Dodatkowa minuta. Kontaktują się z policją, streszczają sprawę – od dwóch do czterech minut. Na tym etapie lokalna komenda powinna dostać markę auta, może nazwę InstalDom i, jeśli naprawdę wkurzył tamtych parkowaniem na ich zwyczajowym miejscu, pewnie także numery blach. Jak szybko ruszą do akcji i ile z trzech posiadanych radiowozów wypuszczą – tego już nie sposób było przewidzieć.

Zresztą, pomyślał Drelich, równie dobrze wszystko mogło się posypać zaraz po jego odjeździe. Ale cóż, pecha jak i szczęścia nie dało się uwzględnić w planie. Zdolność do działania po uświadomieniu sobie tej prawdy odróżniała ludzi czynu od wiecznych teoretyków. Kolejna pieprzona mądrość stryja. A może to już któregoś z jego synów? Wszyscy się mądrzyli, czasem trudno było rozróżnić.

Przy wjeździe do miasta skręcił w lewo i po ubitej drodze dojechał do szeregu smętnych garaży o wyblakłych bramach z blachy falistej. Wsiadł, z większego plecaka wyjął lusterko, elektryczną maszynkę do golenia oraz zestaw do demakijażu i kosmetyczkę. Usiadł na siedzeniu pasażera, postawił lusterko na desce rozdzielczej i najpierw starannie usunął blizny, a potem ogolił się na gładko i natarł twarz kremem nawilżającym.

Upewniwszy się, że nadal nikogo nie ma w okolicy, płynem do czyszczenia startł odciski z tablic i magnesów, zmienił koszulkę, decydując się na białą z logo Supermana, i wyjął z etui okulary zerówki w modnej oprawce. Spakował mały plecak do dużego, sięgnął do bocznej kieszonki po jednorazowe lateksowe rękawiczki i już w nich startł odciski z kierownicy, drążka zmiany biegów oraz wszystkiego, czego tylko mógł dotknąć. Paczkę z logo DHL-u włożył do reklamówki z Biedronki.

Uznawszy, że jest gotowy, przejechał kolejny kilometr i zaparkował tym razem przy sklepie Dino, w rogu parkingu, pod drzewami. Wsiadł, założył plecak, z przedniego siedzenia wziął reklamówkę, przezornie wkładając ją pod pachę. Kluczyki umieścił z powrotem nad nadkolem, a potem upewnił się w telefonie, że poprzednim razem zanotował właściwy adres dla tego miejsca, i ruszył w dół ulicy.

Do parkingu, na którym zostawił swój samochód, miał trzy i pół kilometra. Pół godziny forsownego marszu.

Drelich nie zamierzał się forsować.

9

Iza nie mogła wjechać na parking przed cukiernią, bo wjazd blokował transit firmy kurierskiej, który dość nieudolnie próbował wpasować się w zdecydowanie za małe miejsce. W pierwszym odruchu chciała skłąć siedzącego za kierownicą okularnika, ale zauważyła, że dzieciak i tak jest cały w nerwach, a poza tym na maleńkim parkingu brakowało miejsc. Odpuściła więc i z wbitym lewym kierunkowskazem dojechała do następnego skrzyżowania. Przez wąską uliczkę przecisnęła się niemal na lusterka, ponownie skręciła w prawo i zaparkowała pod prywatną kliniką medycyny naturalnej. Tabliczka głosiła co prawda, że miejsce jest tylko dla klientów, jednak Iza знаła podejście straży miejskiej do takich zapisów. W najgorszym wypadku mogła spodziewać się rysy na lakierze, ale wtedy, hej, nie ona zacznie tę wojnę.

Wysiadła, zarzuciła torebkę na ramię i przeszła wydeptaną ścieżką na skos małego zalesionego skweru.

– Dzień dobry szanownej pani słodkiej – zagadnął do niej jeden z siedzących na ławce lokalnych pijaczków.

Duży siwy chłop o wielkich dłoniach, kanciastych, jakby ociosanych maczetą. Jeden z tych, których brała czasem do rozładunku mąki i którym często po fajrancie podrzucała niesprzedane pączki i drożdżówki. Miał na imię Gracjan, co często podkreślał, dodając, że to znaczy wdzięczny i on już, kurwa, „dziękuję” mówić nie musi, wystarczy, że się przedstawi.

– Dzień dobry. Proszę mam. Pan mi zerknie na auto w wolnej chwili, czy w porządku wszystko. Pod kliniką stoi.

Gracjan zasalutował puszką wojaka.

– Się wie, pani kochana – rzucił, po czym zaraz spojrzął na brudnego wyrostka zgarbionego pod drzewkiem bzu. – Ty, twarzowy, cho no!

Chudy, spłoszony i brudny stworek w podniszczonym swetrze – Izie natychmiast skojarzył się z filmowym Gollumem – wyglądał, jakby tylko na to czekał. Rozejrzał się nerwowo, sztachnął się fajką trzymaną w kóleczku kciuka i wskazującego i podszedł.

– Skocz no na parking pod klinikę, przyfiluj pani słodkiej kochanej auto, żeby tam żadnej hecy nie było – polecił. – A jakby jakaś menda z miejskiej się kręciła, to weź mu tam powiedz.

Rzucił to wszystko takim tonem, jakby nawykł do wydawania poleceń. Osiedlowe siwe głowy czasem tak miały. Ojciec Izy mówił na takich jak on capo di tutti frutti i mimo że często z nich żartował, to jednak u siebie, na starym rewirze, chętnie korzystał z ich wiedzy, kilku lubił, a dwóch czy trzech nawet szanował.

Gollum zgniótł niedopałek pod butem, charknął i splunął na bok, na trawę.

– Jakie auto? – zapytał.

Iza przyjrzała mu się, nie przestając się uśmiechać.

– Czerwone – powiedziała w końcu.

Ławeczkowi jak na komendę ryknęli śmiechem.

Cukiernia mieściła się na parterze wolnostojącego ceglanego budynku między apteką a pasmanterią. Był to średnich rozmiarów lokal z dwoma boksami, czterema stolikami w środku

i jeszcze dwoma na wąskim, z trudem wywalczonym ogródku sezonowym. Nad drzwiami znajdował się szyld, a nad witryną zwijana markiza.

Nazwę Cake Is a Lie Iza zawdzięczała Darkowi, swojemu młodszemu o sześć lat kuzynowi, który podczas urodzin dziś już świętej pamięci dziadka usłyszał, że Iza otwiera na Dolnym Mokotowie cukiernię i szuka nazwy.

Szybko wyjął telefon i zaproponował Cake Is a Lie, a potem spędził dobre pół godziny na tłumaczeniu, że hasło jest motywem przewodnim bardzo popularnej gry komputerowej Portal i wiąże się z uroczą piosenką odtworzoną w jej finale. Podobno stało się popularnym powiedzonkiem, zwłaszcza w Stanach, trochę jak „łyżka nie istnieje” z Matrixa, i jak on miałby cukiernię, nie mógłby jej nazwać inaczej, bo to żyła złota i ściągnie fanów. A potem jeszcze puścił wspomnianą piosenkę i to przesądziło sprawę. Iza się zakochała. Drelich mówił jej co prawda, że to głupie, ale choć byli jeszcze wtedy razem, przynajmniej formalnie, to jego zdanie liczyło się już dla niej coraz mniej. Tak zostało Cake Is a Lie.

Wbrew zapewnieniom kuzyna nazwa nie narobiła zamieszania. Owszem, gdy już cukiernia znalazła się w rankingu najśłodszych miejsc Warszawy, pojawiło się paru graczy, jednak rozczarował ich brak telewizorów, stolików z konsolami i automatów obowiązkowych w modnych ostatnio cyberpubach. O ile Iza mogła to stwierdzić, żaden nie wrócił.

Szyld z pikselowym ciastkiem z czasem spowszedniał w natłoku zalewającej gastronomiczną Warszawę hipsterskiej kreatywności. W końcu już tylko sporadycznie zdarzało się, że

ktoś nawiązał żartobliwie do nazwy, prosząc na przykład „o cake, ale taki real one”. Albo jak wtedy, gdy młoda dziewczyna zaśpiewała ładnym, trochę za cichym głosem, żeby dać jej „lie, sweet little lie” na melodię przeboju Fleetwood Mac.

Przypomniała sobie o tej dziewczynie właśnie teraz, kiedy wyłoniła się zza rogu i dostrzegła chłopaka o wysoko podgolonym karku, stojącego na czteroszczeblowej drabince i pucującego szyld szarą ściereczką. Z tylnej kieszeni wystawał mu smartfon, z którego dochodziły przytłumione dźwięki innego przeboju Fleetwood Mac – The Chain.

– Dzień dobry. Ty jesteś Jacek, tak?

Chłopak odwrócił się i spojrzał na nią z góry.

– A kto pyta?

Pokręciła głową z rozbawieniem. Chyba nawet nie miała dzisiaj siły się denerwować.

– Niepunktualny, nieuprzejmy i niewidomy? – zapytała. – Już chyba wiemy, jaka literka jest sponsorem dzisiejszego odcinka.

Nie zrozumiał. Widziała to na jego twarzy poznaczonej bliznami po trądziku, widziała w jego ciemnych, nawet ładnych oczach. I w sumie nie powinno jej dziwić, bo ile mógł mieć lat – dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy? Całkiem możliwe, że nigdy w życiu nie widział choćby jednego odcinka Ulicy Sezamkowej.

– Cóż, jeśli nie jesteś przypadkowym typem, który przyniósł sobie drabinę z domu, by myć ludziom szyldy z dobroci serca, to obstawiam, że pracujesz dla mnie i powinieneś widzieć moje nazwisko na podpisanej kilka dni temu umowie. Lemańczyk. Mówi ci coś?

Mówiło. Chłopak speszył się wyraźnie, przełknął ślinę i zszedł z drabiny. Już stojąc na ziemi, skłonił się lekko, niezdarnie, wyraźnie zastanawiając się, co zrobić z rękami. Wyciągnąć? Spleść? Zrolować ścierkę? Zdecydował się na to ostatnie.

– Dzień dobry, proszę pani – wydukał, a ona zorientowała się, że to, co wcześniej brała za cień pod jego nosem, jest cieniutkim rzadkim wąsikiem. – Tomek Majchrzak jestem. A co do tego spóźnienia, to już mówiłem pani Ewie, że...

– Skoro mówiłeś, to nie marnujmy czasu – przerwała mu. – Jeśli tylko zakończyłeś zdaniem, że więcej się nie powtórzy, a mnie zapewnisz, że postarasz się być bardziej uprzejmy dla potencjalnych klientów, to mi na razie wystarczy.

Pokiwał głową.

– Tak, proszę pani.

– Świetnie. To przesuń tę drabinę, żebym mogła wejść.

W środku pachniało świeżym ciastem drożdżowym i cynamonem, choć pierwsze rzucały się w oczy nie drożdżówki czy pączki, a apetyczne torty i desery w ladzie chłodniczej. Wszystkie stoliki były puste, ale na dwóch stały brudne talerzyki, szklanki i kubki, co oznaczało, że ktoś niedawno stąd wyszedł. Iza zebrała je i odniosła do okienka zwrotu naczyń.

Ewa, niska krągła blondynka dosypująca właśnie ziarna kawy do młynka, spojrzała na nią przez ramię.

– Jesteś – powiedziała. – Nie wiem, czy ci już pisałam, ale te pączki...

– To przez mąkę. Pisałaś. – Iza podniosła deskę i weszła za kontuar. – Poczekaj, zaraz pogadamy.

Weszła na zaplecze, odstawiła torebkę i starannie umyła ręce. Na stołach leżały wypieczone spody do ciast na jutro, kolejne dochodziły w piecach. Drzwi od podwórka były otwarte, docierały zza nich przytłumione żeńskie głosy, stanowiące barwną mieszaninę polskiego i ukraińskiego z angielskimi wtrętami. Iza zanotowała sobie w pamięci, żeby przypomnieć dziewczynom, by, kiedy idą na papierosa, brały ze sobą klucze i jednak zamykały drzwi. Wyjęła z torebki telefon i przełożyła go do tylnej kieszeni spodni.

Gdy wróciła do Ewy, ta właśnie uruchamiała urządzenie, które przy akompaniamencie wysokoobrotowych wizgów i zgrzytów przemieliło ziarna.

– Kawy? – zapytała.

– Poproszę. Jak ruch rano w ogóle?

– Kilka z budyniem zostało, a tak to wszystko zeszło. Mówiłam, że jak otworzą ten biurowiec, to się nie opędzimy. Kawy trzeba będzie dokupić. Zapisałam.

– Świetnie. – Iza wzięła talerzyk i otworzyła ladę. Przez moment zastanawiała się, co wybrać, aż zauważyła puszysty pomarańczowo-biały sernik mango. Ciasto, specjalność pracującej z nimi od pół roku Nataszy, było chyba jej ulubionym z całego dostępnego asortymentu. – A ten nowy jak? Poza tym, że się spóźnił?

Ewa włączyła ekspres i odczekała, aż urządzenie przestanie hałasować.

– Na razie trudno jeszcze cokolwiek powiedzieć. Coś tam niby umie, radzi sobie, ale powiem ci, że jak na rzekomo dobrą szkołę gastronomiczną i specjalizację, to... – zrobiła pauzę i zakołysała

otwartą dłonią – o tyle, o ile. Najlepszy z ostatnich, ale wciąż nie dobry. Usiądziemy?

Iza podniosła deskę, przepuszczając koleżankę.

– A ty tak bez kawy?

– Już dwie dzisiaj piłam. Ale herbatę mam, koło ekspresu stoi, to mi weź, proszę. I bezę. I mów, co z tą szkołą.

– A co ma być?

– No, po co cię wezwali tak pilnie?

Iza postawiła tacę z herbatą i ciastkami i zajęła miejsce w boksie naprzeciwko Ewy.

– Nikodem uderzył kolegę, bo ten powiedział, że obciążam za pieniądze. Ojciec tego uderzonego zaczął straszyć prawnikiem, więc dyrektor uznał, że najlepiej zrobić konfrontację.

Ewa pokręciła głową.

– Dobrze, że nie mam dzieci – stwierdziła. – I jak się skończyło? Załagodziłaś?

– Pewnie. – Iza odkroiła łyżeczką kawałek sernika. – Znasz mnie przecież.

Otworzyły się drzwi i do cukierni wszedł Tomek z wiaderkiem pod jedną pachą i drabiną pod drugą. Gdy się zorientował, że Iza na niego patrzy, uśmiechnął się krzywo i przyspieszył kroku, tak że mało się nie przewrócił.

– Swoją drogą, ciekawe, co go bardziej dotknęło – odezwała się po chwili Ewa.

Iza uniosła brew.

– O kim mówisz?

– No o twoim małym. Wiesz, co różni chłopca od mężczyzny? Tego pierwszego ruszyłaby sama idea, że jego mama komuś całuje

siusiaka, a mężczyznę, że robi to za pieniądze.

– Myślę, że potrafiłabym wskazać więcej różnic – stwierdziła Iza. Ewa zbyła to machnięciem łyżeczki.

– W ogóle to ciekawa sprawa, relacje syna z matką, nie sądzisz? Twój były miał dobre czy złe?

– Z moją bardzo dobre. Swojej kazał się pierdolić dawno temu. Ewa zachichotała.

– Ideał. Przypomnisz mi jeszcze raz, dlaczego w ogóle się rozstaliście?

Iza już miała odpowiedzieć, gdy poczuła wibrację telefonu. Wyjęła go z kieszeni i zobaczyła zdjęcie naburmuszonej, marszczącej nos pięcioletniej dziewczynki. W rzeczywistości Zosia miała już piętnaście lat i we wrześniu zaczęła liceum.

Odebrała.

– Tak, kochanie? – zapytała, a potem usłyszała serię zmieszanych ze słowami trzasków i szumów, z których rozumiała raptem co trzecie słowo. Nie było jednak sensu prosić córki o powtórzenie, bo raz, że efekt byłby podobny, a dwa, że domyśliła się, o co chodzi. – Wiesz, że ja normalnie nie mam nic przeciwko temu, żebyś u nich spała, jeśli rodzice Marty się zgadzają, ale dziś wieczorem wraca tata i miał was przecież zabrać do siebie...

Kolejnego festiwalu trzasków i szumów nie musiała nawet słyszeć. Przewróciła oczami i odkroiła kolejny kawałek sernika. Ewa nadrobiła zaległości w bezie.

– Dobrze, porozmawiam z nim, jak już będzie. Wolałabym, żebyś sama to zrobiła... Nie, teraz jeszcze nie można do niego dzwonić, ale później... Nie, dobra, Zośka, bo ja cię już kompletnie nie słyszę. Możesz iść, tylko lekcje odrób najpierw i obiad zjedz.

I wpadnij do cukierni po drodze, to weźmiesz coś dla rodziców Marty, dobrze? Kocham cię, pa.

Rozłączyła się i położyła telefon obok talerzyka. Westchnęła ciężko.

– Dobrze, że nie mam dzieci – powtórzyła Ewa.

Iza kopnęła ją pod stołem.

10

Drelich zatrzymał się na leśnym parkingu, jak najdalej od drogi. Ze schowka wyjął przenośny ekspres do kawy przypominający niewielki termos, do którego włożył specjalną tabletkę z kawą. Uzupełnił pojemnik wodą, po czym podłączył urządzenie do gniazdka zapalniczki. Wnętrze samochodu wypełniło się najpierw szumem, a potem mocnym, gorzkim, ziemistym aromatem świeżego espresso.

Z kubkiem w ręce wysiadł i przeszedł kilka metrów tam i z powrotem, by rozprostować nogi. Od dwóch i pół godziny był w drodze, bez postoju, więc zdążył trochę zeszywnieć. Zrobił kilka przysiadów, wypił kawę i wrócił do wozu, zajmując miejsce od strony pasażera.

Uporanie się z zamkiem kasetki nie zajęło mu dużo czasu. Gdy to zrobił, ponownie sięgnął do schowka, wyjął z niego jeszcze jeden wzmocniony worek foliowy z logo firmy przewozowej i przesypał do niego zawartość skrzynki.

Zgodnie z informacjami, jakie pozyskał przed skokiem, limit podobnych bankomatów wynosił sześć tysięcy banknotów i zgodnie z przyjętym przez banki założeniem nie powinien schodzić poniżej jednej czwartej tej liczby. Gdy zawartość kasetki zbliżała się do granicznej wartości, komputer powiadamiał placówkę, a ta planowała uzupełnienie. W przypadku urządzeń w mniejszych miastach, bez oddziału banku – a takie były właśnie

Zęboszyce, które Drelich odwiedził dziś po raz ostatni na bardzo długo – dokonywano regularnych uzupełnień raz w miesiącu, do pełnego limitu. Według źródła Drelicha w ciągu ostatnich czterech miesięcy było to między pięćdziesiąt a siedemdziesiąt procent limitu.

To oznaczało, że w torbie powinno się teraz znajdować między trzy a cztery tysiące banknotów. W zależności od tego, który z trzech dostępnych nominałów – pięćdziesiąt, sto i dwieście złotych – dominował, mogła to być zatem kwota od stu pięćdziesięciu do nawet ośmiuset tysięcy złotych. Drelich świadom, że finalnie tylko trzydzieści procent będzie należało do niego, miał szczerą nadzieję na kwotę przynajmniej z trójką z przodu.

Wyjął telefon, wymienił kartę SIM na tę z portfela, a starą wrzucił do kasetki. Na parking wjechał akurat opel vectra kombi z czteroosobową rodziną. Zaparkowali daleko, ale Drelich i tak przełożył kasetkę i worek na tylne siedzenie, po czym nakrył je swetrem. Następnie uruchomił telefon, wybrał numer i przyłożył telefon do ucha. Słuchając sygnałów, obserwował pasażerów opla.

Jako pierwszy wysiadł siedmio-, może ośmioletni chłopczyk. Jego matka, rudowłosa kobieta o pulchnej miłej twarzy, krzyknęła coś za nim, otwierając drzwi. Chłopiec nawet się nie obejrzał. Dopadł pierwszych drzewek i stanął w rozkroku jak westernowy kowboj w samo południe.

- Krasowski, słucham – rozległo się w słuchawce. Głęboki radiowy głos, trochę zasapany. W tle głośny szum ruchliwej ulicy.
- Zrobione – powiedział Drelich.
- Wiem. Oddzwonię z biura za piętnaście minut.

Drelich się rozłączył.

Wysiadł z auta i podszedł do bagażnika. Z przenośnej lodówki wyjął kupione dzień wcześniej kanapki w trójkątnym opakowaniu i jogurt pitny. Zamykał akurat klapę, gdy zobaczył, że zmierza ku niemu kierowca opla.

Facet był niewysokim drobnym blondynem z modną fryzurą i starannie przystrzyżoną kocią bródką. Miał na sobie błękitną koszulę z krótkim rękawem i luźne płócienne spodnie, a na nadgarstku kilka różnych opasek z ciemnego rzemienia. Uśmiechał się szeroko, choć niepewnie, lekko unosił ramiona i troszkę się garbił. Drelich wiedział, co oznacza taka mowa ciała, ale nie zamierzał niczego facetowi ułatwiać. Wepchnął pudełko z kanapkami pod pachę, odkręcił butelkę z jogurtem i upił trochę.

– Przepraszam pana bardzo, zna się pan na samochodach? – zapytał w końcu tamten z odległości pięciu, może sześciu kroków.

Drelich odstawił butelkę na dach i wziął się za pudełko z kanapkami.

– Umiem wymienić koło, olej i dolać płynu do spryskiwaczy – odparł, odrywając folię. – Jeśli coś poważniejszego, to niestety nie pomogę. Kanapkę?

Wyciągnął pudełko w stronę mężczyzny, ale ten pokręcił głową z rezygnacją i uśmiechnął się smutno.

– Nie jestem głodny, dziękuję – powiedział. – A co do usterki, obawiam się, że chyba jednak coś poważniejszego, bo przed chwilą podczas jazdy wszystko mi nagle zgasło i przez moment nawet zablokowało kierownicę. Trwało to może sekundę, ale bardzo się przestraszyłem i...

Drelich pomyślał chwilę.

– Wjechał pan w dziurę? – zapytał. – W sensie zanim to się stało?

– Nie wiem, możliwe.

Drelich ugryzł kanapkę.

– No dobra – zdecydował, gdy już przeżuł pierwszy kęs. – Chodźmy zobaczyć, bo chyba mam pomysł, co to jest.

Facecik się rozpromienił.

– Bardzo panu dziękuję. Bo ja naprawdę nie mam pojęcia... Tak w ogóle to Grzegorz Toczek jestem. Grzesiek znaczy.

Wytarł rękę o spodnie i wyciągnął do niego, by zaraz się zorientować, że tamten z pudełkiem w jednej dłoni i kanapką w drugiej nie ma jak odwzajemnić uścisku.

– Marek. – Drelich zdecydował się darować sobie nazwisko. – Co do auta, to obstawiam, że poluzowała ci się klema na akumulatorze. Samochód podskoczył na wyboju, akumulator na chwilę się rozłączył. Kierownica nie tyle się zablokowała, ile zostałeś bez wspomagania.

Ruszyli w stronę opla.

– Miałeś tak kiedyś? – zapytał Toczek.

– Raz – potwierdził Drelich, ale nie rozwinął tematu.

Żona Toczka gdzieś zniknęła z córką. Chłopiec, któremu wcześniej tak pilnie było, żeby się wysikać, teraz dość nieporadnie próbował wspiąć się na wiatę, raz po raz zerkając przez ramię, czy rodzice patrzą.

Toczek otworzył maskę. Drelich poszukał wzrokiem akumulatora. Gdy namierzył źródło problemu, wskazał na nie kanapką.

– Aha – mruknął z pełnymi ustami. – Mówiłem.

Toczek przyjrzał się klemom, złapał za jedną, potem za drugą i rzeczywiście ta z plusa zeszła gładko i bez wysiłku.

– Trzeba to będzie dokręcić – zauważył Drelich. – Masz jakieś narzędzia?

Mężczyzna skrzywił się, jakby mu właśnie podano coś wyjątkowo kwaśnego.

– Niespecjalnie. Znaczą lewarek i trójkąt.

Drelich zerknął na zegarek.

– Poczekaj, mam w aucie multitoola.

Gdy był w połowie drogi do samochodu, oddzwonił Krasowski.

– Jak tam? – zapytał bez zbędnych powitań. – Wszystko gra? Trzeba ci czegoś?

– Wszystko gra.

– Faktury masz?

– Wszystkie oprócz ostatniego hotelu, do tego dwie na paliwo, tak jak się umawialiśmy. – Drelich wrzucił pudełko z połówką kanapki do lodówki i sięgnął do plecaka. – Wyszło łącznie dziewięćset trzydzieści. Plus minus. Coś wiemy o sytuacji?

– Pod kontrolą. Pogadamy, jak przyjedziesz. O której planujesz być?

Drelich zerknął na zegarek, przeliczył sobie szybko w głowie.

– Myślę, że siedemnasta, siedemnasta trzydzieści. – Znalazł multitoola i zamachał nim, by pokazać Toczkiowi, że znalazł. Potem coś jeszcze sobie przypomniał. – Jest szansa, że przygotujesz mi ze dwa tysiące gotówką?

– Pewnie, weźmiesz sobie z puli.

– Ale czyste, wiesz. Izce muszę zawieźć.

– W gotówce? – zdziwił się Krasowski, ale zaraz wycofał się z pytania. – Na dwa tysiące to ci chyba mogę jakąś premię ulepić. Jeździsz ostatnio dużo, wyniki w tabelkach dobre... Niech będzie, zaraz księgową ścignę. Ogarniemy.

– Dzięki.

Drelich rozłączył się i wrócił do opla. Niemal w tym samym momencie, gdy pani Toczek z córką wróciły z lasu.

– Poznaj moją żonę, Jagodę – przedstawił Grzegorz. – Gusia, to Marek i chyba znalazł przyczynę naszego problemu.

Kobieta się uśmiechnęła.

– Bardzo panu dziękujemy. Jak to się stało, naprawdę się przestraszyliśmy i ja już byłam pewna, że zaraz... – Urwała i potrząsnęła głową, jakby w ten sposób chciała odpędzić traumatyczne wspomnienie.

– Drobiazg – odparł Drelich, pochylając się nad silnikiem. Gdy skończył, upewnił się, że klema trzyma się sztywno, i przyjął od Jagody nawilżaną chusteczkę. – Powinno działać.

Toczek wszedł do auta i przekręcił kluczyk. Natychmiast poleciały dźwięki radia. Spikerka mówiła właśnie o wypadku z udziałem premiera, a w kolejnym newsie o zakończonej wyrokiem sprawie dzieciobójczyni z Kielc. Trzecim z kolei newsem okazał się ten, na który Drelich mimowolnie czekał.

– Trwają poszukiwania sprawców dzisiejszego napadu w Zęboszycach na Opolszczyźnie. Jak już wiecie z faktów w RMF FM, przed południem uzbrojeni napastnicy sterroryzowali tam pracownika sklepu AGD i dwóch konwojentów uzupełniających bankomat, rabując kasetkę z pieniędzmi. Dokładna wysokość skradzionej kwoty nie została upubliczniona. Policja udostępniła

natomiast rysopis jednego ze sprawców, który znajdziecie na naszej stronie. Słuchacie faktów w RMF...

Komunikat się urwał, gdy Grzegorz wyjął kluczyk.

A więc jednak sprawcy, pomyślał Drelich. Dokładnie tak, jak przypuszczał, konwojenci, obawiając się reakcji na fakt, że załatwił ich jeden człowiek, postanowili dla pewności wymyślić mu kolegę i tym samym rozmyć sprawę.

Toczek wysiadł z auta, wypiął podporę i zatrzasnął maskę.

– Bardzo ci dziękuję – powiedział, raz jeszcze wyciągając przed siebie rękę, w której tym razem trzymał wizytówkę. – Jakbyś kiedyś potrzebował, nie wiem, zeszytów dla dzieciaków, papieru, torebek czy wizytówek dla firmy, wal jak w dym, załatwimy po kosztach. Bo nie wiem, jak mógłbym inaczej...

Drelich wziął wizytówkę i wsunął do kieszeni.

– Nie trzeba w ogóle – zapewnił. – Cieszę się, że mogłem pomóc.

– A ciasta by pan nie chciał? – zapytała nagle Jagoda. – Świeże, z dzisiaj rana, szarlotka. W pudełeczku dam.

Uśmiechnął się.

– Szarlotkę zawsze chętnie.

11

Telefon leżał na kuchennym blacie już przeszło dwie godziny. Zygmunt sam poszedł po niego do sypialni niedługo po tym, jak koło czternastej Szary, Pumba i Adaś przyjechali tu wozem tego ostatniego, by dać znać, że ruszają w kierunku Warszawy.

Przyniósł go, położył na blacie i postukał palcem w wyświetlacz.

– Na wypadek, gdyby był ci potrzebny – powiedział, patrząc jej w oczy. – Myślisz, że będzie?

Potrzebowała kilku sekund, by zrozumieć, co Zygmunt ma na myśli. W jej głowie wciąż bzyczał spanikowany, rozbudzony ul.

– Nie będzie – wyszeptwała w końcu. Odchrząknęła, oblizała spierzchnięte wargi i powtórzyła nieco głośniejszym głosem: – Nie będzie.

Patrzył na nią jeszcze długo, prosto w oczy, nie mrugając. Pojedynek sów, tak to nazywał, bo lubił tę grę i był w nią naprawdę dobry. Na jednej z pierwszych randek zagrali w ten sposób o kolację. Wygrała, ale i on patrzył wtedy na nią inaczej. Tym razem wytrzymała na tyle długo, by nie uznał, że poddaje się bez walki, a gdy oczy zaszyły jej łzami i zaczęły boleć, mrugnęła.

Wtedy Zygmunt uśmiechnął się z satysfakcją, jeszcze raz zastukał paznokciem o wyświetlacz i kazał chłopakom się zbierać.

– Zrób dzieciom gofry czy coś – powiedział na odchodnym. – Swojej matce, jak z nimi przyjedzie, też daj. Lubi słodkie.

Gdy wyszedł, Milena od razu zabrała się do pracy. Wyjęła gofrownicę, owoce i produkty na ciasto z lodówki, starając się ze wszystkich sił nie patrzeć na urządzenie – zupełnie jakby nie istniał nie tylko sam telefon, ale i cały blat. Jakby patrzenie w tamtym kierunku było patrzeniem na słońce w zenicie. A mimo to nie mogła się powstrzymać i raz po raz zerkała nerwowo, zwłaszcza gdy przychodziły kolejne powiadomienia. Wtedy telefon wibrował, przesuwiał się nieco po marmurowej płycie, a na górze wyświetlacza przez kilka sekund migiała przychodząca wiadomość. Gdy znikala, wracała czerń ekranu upstrzona gdzieś tam pęcherzykami powietrza, które dostało się pod folię ochronną.

A ona myślała: czy to Zygmunt? Sprawdza ją, prowokuje, znęca się, stojąc akurat na świątłach? Czy to matka raportująca, że właśnie wyszła z dziećmi od lekarza i jadą do domu?

Zerknęła na zegar na wyświetlaczu kuchenki. Tak, zdecydowanie mama powinna już być. Umówiły się na po trzeciej, a już minęła czwarta. To znaczyło, że Milena powinna się pospieszyć. Zygmunt na pewno zapyta dzieci, czy czekały na nie gofry.

A może to on – przemknęło jej nagle przez myśl. W sumie pasowało, bo to zasadniczo była jego pora. Mniej więcej o tej godzinie zwykle ze sobą rozmawiali. Gdy on kończył pracę, u niej dzieci bawiły się w swoich pokojach, a ona po ogarnięciu domu i obiadu miała wreszcie czas dla siebie. Czy to w wannie, na kanapie czy na leżaku w ogrodzie.

Drelich, tak nazwał go Adaś. Marcin albo Marek. Jej przedstawił się inaczej. Podobno obrabiał kiedyś TIR-y, ale gdy

ona pytała go o pracę, opowiedział o nudnym biurze w średniej wielkości miasteczku, z którego pochodził. Nic szczególnego. Z dużo większym entuzjazmem opowiadał o swojej pasji: autostopie, podróżach z plecakiem, spaniu w namiocie czy pod gołym niebem w różnych zakątkach świata. Wysyłał jej linki do swojego bloga, gdzie raz bardzo rzeczowo pisał o sytuacji we francuskich gettach, innym razem niemal poetycko o zachodzie słońca nad sawanną. Najbardziej chyba urzekł ją podzieloną na osiem odcinków opowieścią o odkrywaniu siebie w Tybecie. Nie mówiła mu, ale przeczytała wszystkie pięćdziesiąt wpisów na jego blogu w niecałe dwa dni.

Drelich. Marcin albo Marek. Nie pasowało do niego. Nie pasowało do człowieka, który robił przepiękne zdjęcia zwykłych ludzi z takim wyczuciem, że mogła niemal powiedzieć, co w danej chwili myśleli, co czuli. Widziała znajome strach i smutek, nieco już zapomnianą radość, widziała szczęście na twarzach postaci siedzących na progach ruder i zastanawiała się, czy ona sama ma w życiu coś, czego nie byłaby gotowa zostawić, ot tak, w jednej chwili, by poczuć się właśnie tak jak oni.

Pierwszy raz wysłała mu swoje zdjęcie pod wpływem impulsu, którego już sekundę potem strasznie się wstydziła. Skasowałyby je, usunęła, ale zdążył zobaczyć. I skomentował tak, jakby była dziełem sztuki.

Drelich. Marcin albo Marek. Chciała to powiedzieć, choćby szeptem, by usłyszeć, jak te słowa układają się na języku, jak brzmią wypowiedziane nie przez Adasia, ale przez nią. Dopasować lepiej brzmiące imię. Chciała, tylko zwyczajnie się

bała, tak samo jak bała się podnieść ten pieprzony telefon i go zwyczajnie, kurwa, ostrzec!

Zygmunt wiedział, że tego nie zrobi. Nie skorzysta ani z tego telefonu, ani z żadnego innego. Nie robi nic, bo jest zwyczajną głupią, tchórzliwą kurwą. Taką, która zamiast myśleć, że z jej powodu zaraz zginie człowiek, modli się, by to nie był ten.

Coś poruszyło się w przedpokoju. Milena odwróciła się przekonana, że to Murzyn, i aż podskoczyła na widok Weroniki. Była pewna, że Zygmunt zabrał ją ze sobą, ale widać z jakiegoś powodu zostawił sobie na później. By zerznąć w ich sypialni? Nawet jeśli, Milenie było to teraz obojętne.

Dziewczyna stała w progu, wsparta o framugę i uśmiechała się niepewnie.

– Hej, przepraszam. Jest szansa na szklankę wody?

Milena w pierwszej chwili nie wiedziała, co powiedzieć. Zaraz jednak potrząsnęła głową, odłożyła nóż, którym kroїła właśnie kiwi, i sięgnęła po szklankę.

– Jasne, proszę.

Napełniła ją filtrowaną wodą i postawiła na blacie obok telefonu. Dziewczyna podeszła, wypīła zawartość na raz i otarła usta.

– Jeszcze? – zapytała Milena.

– Nie, dziękuję – odparła tamta i zaraz dodała: – Weronika jestem.

– Wiem. – Milena wróciła do krojenia owoców. – Myślałam, że pojechałaś z nimi.

Dziewczyna odchrząknęła.

– Pan Wójcik... znaczy twój mąż powiedział, że później mnie odwiezie, bo teraz mają robotę jakąś – wyjaśniła. – Chciałam wziąć ubera, ale powiedział, że mam się nie wygłupiać.

Milena przez chwilę miała ochotę zapytać, dlaczego Zygmunt to dla niej pan Wójcik, ale z nią szczeniara już przeszła na ty. Jaki to jednak miało sens? Przecież znała odpowiedź. Dlatego w milczeniu przełożyła kiwi do miseczki i zabrała się za krojenie brzoskwini z puszki.

– Nie spałam z nim – dodała Weronika po kilku minutach niezręcznej ciszy. – Z twoim mężem znaczy.

– Nie pytałam o to, ale dziękuję – odpowiedziała Milena.

– On może i chciał, ale nie dzisiaj, tylko wcześniej, ale ja... Jezu, to brzmi, jakbym się chwaliła. Przepraszam.

Milena odetchnęła głęboko.

– Nie musisz mnie przeproszać – powiedziała.

Odwróciła się i wskazała nożem na lodówkę.

– Zjesz coś? Zostało trochę sushi.

– Nie, dziękuję. – Weronika pokręciła głową. – Ja... nie lubię sushi. Nie umiem go jeść. Jestem z małego miasteczka i kiedyś znajomi zabrali mnie do takiej jednej restauracji...

– Daj sobie spokój – weszła jej w zdanie Milena. Odłożyła nóż, odwróciła się i skrzyżowała ręce na piersi. – Czujesz się niezręcznie, rozumiem. To musi być dla ciebie chujowa sytuacja. Więc zrobmy tak, że weźmiesz sobie gofra czy coś, wrócisz do sypialni i posiedzisz tam, aż wróci Zygmunt. Możemy tak się umówić?

Zobaczyła, że oczy dziewczyny się zaszklily, i w jednej chwili jednocześnie była na nią wściekła i poczuła żal. Dlaczego nie

zostałaś tam na górze? Po co tu, kurwa, zeszłaś?!

– On naprawdę potrzebował kogoś do opieki nad dziećmi – powiedziała Weronika. – Przyszedł dzisiaj do klubu i zapytał, czy ktoś zna się na dzieciach, a ja jestem na pedagogice, to się zgłosiłam, więc mnie zabrał.

– Tak się ubiera studentka pedagogiki? – rzuciła Milena i natychmiast poczuła się stara. Jak własna matka.

Dziewczyna wzruszyła ramionami

– Zależy, z kim ma akurat zajęcia.

Milennie udało się powstrzymać na kilka sekund, w końcu jednak parsknęła śmiechem. Dziewczyna też się roześmiała i przez ten krótki moment nie było między nimi nic prócz rozbawienia.

– Idź już – powiedziała w końcu Milena, a Weronika skinęła głową i wstała z hokera. Wyglądała, jakby chciała jeszcze coś dodać, pewnie ponownie przeprosić, ale na szczęście dała sobie spokój.

Dziesięć minut później otworzyła się brama i na teren wjechało bmw Zygmunta, a zaraz za nim mała biała corsa jej mamy.

Milena szybko zalała formy gofrownicy.

– Mama! – zawołała Wanesa, która weszła pierwsza. Zatrzymała się, poruszyła nozdrzami jak królik i krzyknęła z jeszcze większym entuzjazmem: – Gofry!

Bartuś też się ucieszył, choć jego uwagę mocniej zajmował gumowy Pepe Pan Dziobak z Fineasza i Ferba. Bawiąc się nim, pozwolił babci przyklęknąć i zdjąć sobie buty.

– Daj, mamó, ja to zrobię – powiedziała Milena, ale jej matka, kobieta o zmęczonej twarzy, sporo starszej, niż sugerował zapis w metryce, tylko machnęła ręką.

– Spokojnie, aż tak zniedołężniała nie jestem – odparła.

– Ale jego też nie trzeba rozpieszczać – odezwał się Zygmunt, wchodząc do środka. – On już jest dużym chłopcem, da sobie radę, prawda, Bartuś?

Przeniósł wzrok na Milenę.

– Ach i właśnie, kochanie – dodał, uśmiechając się paskudnie.

– Mówiłem przed chwilą twojej mamie. Na jutro wyskoczyła dodatkowa, dość niespodziewana praca i zajmie mi pewnie cały dzień, przez co muszę poprzestawiać sobie grafik na cały tydzień i mogę nie mieć w piątek czasu, by zawieźć tatę na badania. Przeniosłem je na drugi tydzień czerwca. To tak, żebyś wiedziała. I odpowiedz koniecznie Magdzie od Stówki w sprawie dnia... znaczy pierwszego czerwca, dobrze? Ponoć już od godziny dobija się do ciebie na Messengerze, próbuje dogadać szczegóły, bo oni będą jechać z Katowic chyba czy coś. Odezdziesz się do niej?

– Oczywiście.

Uniósł rękę i spojrzał na zegarek.

– Dobra, to wy sobie, panie, posiedźcie, poplotkujcie, a ja odwiozę Weronikę. Zostawcie mi kilka gofrów, dobrze?

– Dobrze, tatusiu – powiedziała Wanesa.

Tak słodko i uroczo, że Milena poczuła mdłości.

12

Recepcjonista był starszym niedużym mężczyzną o siwych włosach i popielatym wąsie. Zgarbiony, wpatrywał się w płaski monitor, a zmrużone oczy, palce dociśnięte do skroni i zboląła mina sugerowały mocny ból głowy. Może nawet początki migreny.

Drelich przyglądał mu się z zewnątrz, oparty o maskę swojej skody. Sześć minut temu poinformował Krasowskiego, że jest na miejscu i czeka na sygnał, by wejść z pieniędzmi. Odpowiedź w formie gotowego szablonu dostał niemal natychmiast: „Nie mogę teraz. Dam znać”. Co mogło właściwie znaczyć wszystko, także opcję: mam kłopoty, nie mogę gadać, spieprzaj.

Ponieważ jednak szklana tafla frontowej ściany dawała Drelichowi pełen przekrój budynku i widział, że na pierwszym piętrze, na którym znajdowały się biura, panowało akurat małe, ale raczej nieszkodliwe zamieszanie, postanowił dać Krasowskiemu jeszcze cztery minuty. Po tym czasie odjedzie i zamrozi pieniądze do następnego spotkania, potrącając sobie za to stosowny procent.

Na parterze otworzyły się drzwi do jednej z sal konferencyjnych i wyszła stamtąd grupka dzieciaków. Chłopców, choć co do jednego, zwłaszcza stąd, Drelich nie miał pewności. Mogli być trochę starsi od Nikodema, szczególnie ten najwyższy. Szedł w środku i mówił coś, gestykulując, a pozostali wpatrywali się w niego z uwagą i skupieniem.

Recepcjonista coś do nich powiedział. Jeden z dzieciaków, piegus w pasiastej koszulce polo, odwrócił głowę w jego stronę i musiał odpyskować, bo recepcjonista uniósł się na krześle, a chłopcy przyspieszyli. Zaraz też wypadli na zewnątrz i śmiejąc się oraz klnąc na starego dziada, przecięli parking, zmierzając w stronę przystanku.

Drelich sprawdził czas. Minęły dwie minuty. Na piętrze się przerzedziło, ludzie rozeszli się do gabinetów, ktoś przemknął do łazienki. Przeszklona winda zjechała na parter i wysiadł z niej szczupły chłopak w garniturze, z marynarką zawieszoną na ramieniu. Drelich znał go z widzenia, może kiedyś przez chwilę nawet z imienia. Prawie na pewno robili coś razem, choć raczej nie z tych samych pozycji. Chłopak wyglądał mu na kogoś ze sztabu. Gdy wyszedł z budynku, wyjął z kieszeni okulary przeciwsłoneczne, założył je i otaksował Drelicha spojrzeniem, ale nie wykonał żadnego gestu sugerującego powitanie czy choćby rozpoznanie. Gdy wsiadł do srebrnego mercedesa, Drelich dostał wiadomość, wziął paczkę z pieniędzmi i ruszył w stronę budynku. W progu minął się z kolejną, tym razem większą grupką nastolatków.

– Prowadzisz tu przedszkole, Krach? – zapytał, gdy już podali sobie z gospodarzem ręce na powitanie.

Potężny brodacz z gęstą kręconą czupryną, który kompletnie nie pasował do designerskiego biura ze szkła, stali i cegły, zaśmiał się rubasznie.

– Znasz mnie – odparł. – Gdyby tylko był z tego lepszy biznes, szedłbym w ciemno. Napijesz się czegoś? Kawy, herbaty?

– Herbata będzie w porządku.

Krasowski wskazał Drelichowi miejsce na kanapie. Sam wyjrzał przez drzwi, złożył dyspozycje sekretarce, po czym usiadł w fotelu, zdawałoby się, że trochę dla niego przyciasnym, i założył nogę na nogę.

– Ta firma od gier, co u nas biura podnajmowała, wyprowadziła się niedawno do nowej siedziby – wyjaśnił. – Zostawiła trochę sprzętu, to pomyślałem, że dokupię, co trzeba, podnajmę speców i wpuszczę tu lokalną dzieciarnię. Wiesz, darmowe lekcje programowania i trochę rozrywki, niech szczeniaki sobie trochę pograją. Projekty nawet na to napisałem. I wniosek do budżetu obywatelskiego.

Drelich uśmiechnął się pod nosem.

– Nie wątpię, że wszystko przeszło.

– A czemu miałyby nie przejść? – zdziwił się Krasowski. – Dobrze napisane, realizujące społeczną potrzebę, przyszłościowe i wyrównujące szanse. Słyszałeś o Fortnicie?

– Mój dzieciak w to gra.

– Dobry jest?

Drelich pokręcił głową.

– Pojęcia nie mam, nie znam się na grach. Musiałbyś Izki zapytać. Wiem, że gra, bo próbował mnie na coś tam naciągnąć. Jakies wu dolary czy coś, żebym mu z karty kredytowej kupił.

– O, a pamiętasz może co? – zaciekawił się Krach. – Bo mamy tu paru magików z kodami twórców, mogą coś tam ogarnąć. No i nie wiem, jak twój dzieciak jest zaawansowany, ale jakby coś, mogę ci odpalić całkiem ładne konto z kilkunastoma tysiącami V-bucksów na start.

Drelich nie odpowiedział. Zaraz zresztą weszła do gabinetu sekretarka Krasowskiego, okrągła na buzi brunetka z postrzępioną grzywką. Rozstawiła na stolyczku zawartość tacy: kawę, herbatę, talerz z ciastkami i talerzyki, podziękowanie od szefa skwitowała uśmiechem i wyszła.

Krach nałożył sobie od razu trzy.

– Nie ciekawi cię, skąd tyle wiem na temat gry dla szczeniaków? – zapytał.

– Każdy ma swój sposób na zachowanie młodości.

– Ha, dobre!

Krach odłożył talerzyk. Wygiął się, by sięgnąć do kieszeni spodni, wyjął z nich rozkładane okrągłe lusterko i uważnie obejrzał brodę. Wytrzepał okruszki i starł resztkę kremu budyniowego z wąsa. Drelich przyglądał mu się znad filizanki herbaty.

W końcu Krasowski zamknął lusterko, wepchnął je do kieszeni i poprawił się na fotelu. Brodą wskazał torbę leżącą obok Drelicha.

– Ile tego wyszło? – zapytał.

– Nie wiem. Nie liczyłem. Ale sporo setek.

– To dobrze – stwierdził Krasowski. – Jak ci się spieszy, możemy to zaraz puścić przez maszynę, ale mówiąc szczerze, wolałbym później, wieczorkiem. Wysłałbym ci raport esemesem.

Drelich skinął głową.

– Później będzie w porządku. A z tą oficjalną premią coś się udało?

Krach klepnął się w czoło i podniósł się z fotela.

– Cholera! Znaczy tak, w sensie poprosiłem, ale zapomniałem wziąć od księgowej kwity. Która jest?

– Siedemnasta czterdzieści – odparł Drelich pewnie, choć nie spojrzął na zegarek.

– Czekaj, sprawdzę, czy pani Marlenka jeszcze jest, to mi zaraz podpiszesz. Te fakturki masz?

Drelich wyjął z torby wypełnioną papierami foliową koszulkę i podał Krachowi.

– Dobra, świetnie. Zaraz wracam.

Wyszedł energicznym krokiem, wpuszczając na moment do wytłumionego biura gwar z holu i zaskakujący, bardzo intensywny zapach cynamonowych bułeczek.

Drelichowi zaburczało w brzuchu. Upewnił się co do godziny, wyjął telefon i napisał wiadomość: „Jestem w mieście. Będę do godziny”.

Nie zdążył schować aparatu, gdy na ekranie pojawiła się wiadomość od Izy: „To poczekasz. Będziemy po siódmej”.

Odpowiedź niby neutralna, ale i oschła, więc nie zadał pytania o to, czy ma szansę załapać się na kolację. Sięgnął do talerzyka z ciastkami, wybrał to, którym najtrudniej było się ubrudzić, i wrzucił je do ust. Smakowało cukrem, proszkiem do pieczenia i kwaskiem cytrynowym.

Krach wrócił po pięciu minutach i położył przed nim kilka zadrukowanych kartek, długopis oraz kopertę z gotówką.

Drelich podpisał w zaznaczonych miejscach i schował kopertę.

– Kiedyś będziesz mi musiał powiedzieć, co ja właściwie dla ciebie oficjalnie robię – oznajmił.

– No jak to co robisz? – Krach wziął od niego długopis i postawił kilka szybkich parafek. – Jesteś przedstawicielem handlowym.

– Ale co sprzedaję?

– To, co wszyscy przedstawiciele handlowi, Mareczku. Niezależnie od branży.

Zabrał dokumenty i wsunął je do szuflady biurka. Kilka razy kliknął myszką na laptopie i włączył drukowanie.

– A, właśnie. W przyszłym miesiącu zwolniło się miejsce na robotę. Cztery osoby, łatwa fucha z ubezpieczeniem w tle. Piszesz się?

Drelich wstał.

– Nie ma łatwych robót na cztery osoby, Krach – odparł. – Poza tym dwa miesiące to za szybko.

Krasowski wyszczerzył się w głupim uśmiechu.

– Musiałem spróbować, sam rozumiesz.

– Tak, rozumiem. Obaj robimy, co musimy.

Zaszumiała drukarka. Krach wyjął z niej kartkę, którą następnie przekazał Drelichowi.

– Kiedy się widzisz z dzieciakiem? – powiedział. – Bo mam tu coś dla niego.

– Dzisiaj, śpi u mnie. Co to jest?

– A kilka kodów do gry. Będzie wiedział, jak ich użyć.

– Na pewno. Dzięki. – Drelich złożył kartkę na cztery i wsadził do kieszeni spodni. – Powinienem się martwić? O dzieciaka w sensie? Z tą grą jest coś nie tak?

– Zależy, o co pytasz – odparł Krasowski. – Bo jeśli o to, czy wpuszcza ci wirusa albo otwiera furtkę do kompa, to nie. Jeśli nie

będzie kupował kodów czy kont z podejrzanych źródeł, to grozi mu jedynie uzależnienie. Ale który dzieciak dzisiaj jest od tego wolny?

– Czyli dla branży to po prostu pralnia? – domyślił się Drelich.

– Kradzione bliki, karty, inne takie?

Krasowski wzruszył ramionami.

– Dla kogoś może tak – odparł wesoło. – Dla mnie to... Jak to ująłeś? Sposób na zachowanie młodości.

13

– Po drodze wstąpimy na chwilę do Luny, dobrze? – powiedział Wójcik, zapinając pas. – Mam stamtąd coś do odebrania.

– Oczywiście. – Weronika poprawiła swój, obciągnęła i wygładziła spódniczkę. – Nie spieszy mi się.

– Świetnie. A dała ci coś jeść w ogóle?

– Proponowała, ale nie byłam głodna.

Wójcik zaśmiał się i pokręcił głową.

– Ja nie wiem, czym wy się, dziewczyny, żywicie. Powietrzem chyba.

Wykręcił na niewielkim placyku akurat w czasie otwierania się bramy. Gładko, jedną ręką, jakby auto samo się prowadziło, a on wyłącznie pozorował ruchy. Gdy znalazł się między słupkami bramy, wcisnął gaz i wyrwał na ulicę, wchodząc w zakręt szerokim łukiem.

– Przepraszam – rzucił. – Nigdy nie mogę się powstrzymać.

Weronika potrząsnęła głową.

– Nie, nie. Ja lubię szybką jazdę. W ogóle ten samochód...

– Fajny, prawda?

– Fajny – przyznała. Przejechała koniuszkami palców po ozdobnej listwie na desce rozdzielczej, która tuż nad schowkiem miała podświetlony fragment. – Taki elegancki. Ale z tymi wszystkimi światełkami trochę jak statek kosmiczny.

– Albo samochód z Nieustraszonego – zauważył Wójcik. – No ale ty pewnie nie wiesz, co to, nie?

Tym razem to ona się roześmiała.

– Wiem, mój tata kiedyś oglądał i nawet ma płyty. To o tym aucie, co gada, prawda?

– Prawda. – Zerknął na nią. – Czeka, ile twój tata ma lat?

– No tak w pana... – zaczęła, ale urwała gwałtownie i kaszlnęła w zaciśniętą pięść. – Przepraszam, znaczy ja...

Akurat zatrzymali się na światłach, więc mógł spokojnie odwrócić się i na nią spojrzeć. Zrobił to, wyraźnie rozbawiony.

– I teraz nie wiem, czy się czerwienisz, czy to te kosmiczne światełka – rzucił. – Spokojnie, ludzie miewają czasem młodych rodziców i to żaden powód do wstydu.

Ruszyli, tym razem spokojnie, bez gwałtownych przyspieszeń. Wójcik minął skrzyżowanie i zjechał z kończącego się pasa.

– Czym się zajmują? – zapytał.

– Moi rodzice? Tata jest elektromonterem i prowadzi internetowy sklep wędkarski. Mama pracuje w salonie kosmetycznym. To znaczy jest współwłaścicielką, z przyjaciółką.

– Obrotni. – Wójcik pokiwał głową z uznaniem. – Zawsze chciałem się nauczyć łowić ryby. Do tego chyba trzeba cierpliwości, nie?

– Albo desperacji – odparła Weronika. – Mama strasznie dużo gada, a tata lubi spokój.

– Jak ja go rozumiem, to sobie nawet nie wyobrażasz.

Na kolejnym skrzyżowaniu skręcili w lewo i trzy ulice dalej wjechali na parking pod stary magazyn z cegły, wyremontowany i przemianowany na klub Luna. Informował o tym ogromny, teraz

jeszcze wyłączony neon przedstawiający kobietę siedzącą na księżycu w nowiu.

Parking był w zasadzie pusty, ale Wójcik i tak podjechał pod samo wejście główne i zaparkował ukośnie przy samych słupkach.

– Zaraz wracam – rzucił i wysiadł z auta. Przywitał się z bramkarzem, a gdy ten otworzył mu drzwi, wszedł do środka.

Weronika poprawiła się nerwowo na siedzeniu. Ochroniarz, kulturysta – z pewnością miał problem, by znaleźć marynarkę, którą właśnie miał na sobie – zerknął w jej stronę tylko raz. Co sobie pomyślał? Czy potraktował jako oznakę statusu i bogactwa, idealny dodatek do tego auta? Może znał żonę Wójcika i brzydził się kurewstwem Weroniki, jednocześnie zazdroszcząc szefowi, że ma takie jak ona na skinienie? A może źle go oceniła? Może po prostu zdziwił się, że została w samochodzie?

Wójcik wrócił po dziesięciu minutach z paczką. Wsiadł i wrzucił ją na tylne siedzenie.

– Jestem. Mogłaś sobie muzykę włączyć – powiedział, odpalając silnik.

– Nie wiedziałam jak – przyznała Weronika po części zgodnie z prawdą. W rzeczywistości bała się tu czegokolwiek dotykać, zabrudzić, niechcący uszkodzić.

Wyjechali na ulicę.

– Potrzebuję twojego adresu – oznajmił Wójcik, a gdy mu go podała, powtórzył głośno i na ekranie pośrodku deski rozdzielczej pojawiła się mapa z sugerowaną trasą oraz informacja o dystansie do pokonania. Według urządzenia powinni być na miejscu za dwadzieścia dwie minuty i mniej więcej tyle samo kilometrów.

Weronice zrobiło się głupio.

– Ja naprawdę mogę wziąć ubera – powiedziała. – Nie ma powodu, żeby pan tyle jeździł.

– Bzdura. – Machnął ręką i zaraz zmienił temat. – Ty jesteś na pedagogice przedszkolnej, nie? Dobrze zapamiętałem?

– I wczesnoszkolnej, tak – potwierdziła.

– Skąd taki wybór? Bo raczej nie masz dzieci. Rodzeństwo?

– Brata i siostrę – odpowiedziała. – Brat jest młodszy o trzy lata, ale siostra prawie o piętnaście, więc trochę przy niej pomagałam. Potem pracowałam w Funnylandii. Organizowałam bale, zabawy, urodziny i znam chyba z pięćset piosenek o zwierzątkach.

– O, proszę. Zaśpiewaj jakąś.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Teraz?

– No a kiedy? – Zerknął na nią. – No zaśpiewaj. Masz przyjemny głos, jak mówisz.

Odchrząknęła.

– Trochę się wstydzę.

– Nie będę na ciebie patrzył, słowo. No już, nie daj się prosić.

Zamknęła oczy, przełknęła ślinę, zdając sobie sprawę, że nie pamięta żadnej z piosenek, które śpiewała tysiące razy. Uleciały, rozmyły się, zostawiając pojedyncze wersy i banalne rymy. W końcu z trudem wyłowiła jedną z odmętów pamięci.

– Cztery słonie, zielone słonie, każdy kokardę ma na ogonie – zaczęła cichutko. – Ten kudłaty, ten łaciaty, kochają się jak...

Nie zdążyła zaśpiewać, jak bardzo kochają się słonie, bo samochód nagle rozbrzmiał sygnałem telefonicznym, a na ekranie wyświetliła się informacja, że dzwoni Fred.

Wójcik przyłożył palec do ust i odebrał.

– Siema, Fred – przywitał się i zaraz dodał: – Jesteś na głośnomówiącym. Co tam?

Człowiek po drugiej stronie słuchawki nazwany Fredem wyraźnie się zmieszał.

– Eee, ale mogę mówić? – upewnił się.

Wójcik puścił oko do Weroniki.

– Tak, tylko ogłędnie i bez nazwisk. Udało się załatwić to, o co prosiłem?

– Eee, tak. Szef pozwolił, więc dzwoniłem do Warszawy i ten Krasow... znaczy ten facet jest uprzedzony, że będzie prośba. Powie ci wszystko, co chcesz wiedzieć. Tylko rano, od siódmej, bo już go teraz w robocie nie ma, a prosił, żeby nie do domu.

– Co znaczy prosił, żeby nie do domu? – zdziwił się Wójcik.

– No normalnie, dymów nie robił, nie dopytywał, to chyba można uszanować prośbę. A ty już dzisiaj tam jesteś?

– Nie ja, tylko chłopaki. Jadą dopiero, ale dzisiaj będą. Ty, Fred, ale nie mówiliście typowi, o co chodzi, prawda?

– Przecież ja sam nie wiem – zdziwił się Fred. – Powiedziałeś tylko, że sprawa osobista. – Zawahał się. – To nie jest żadna mina, Wujas, nie? Nie wjechałeś mnie na nic?

Wójcik się roześmiał.

– Wyrażaj się, Fred. Mówiłem ci, że na głośniku jesteś. I żadna mina. Nie jestem samobójcą.

Wbił kierunkowskaz i skręcił z głównej drogi w uliczkę nie dość, że węższą, to jeszcze pełną samochodów zaparkowanych wzdłuż lewego krawężnika.

– Dobra, muszę kończyć. Daj znać, jak będziesz w którymś z klubów, to podjadę, wódeczki się napijemy. A na razie dzięki wielkie. Już dzwonię do chłopaków.

– Jasne, spoko – odparł Fred. – Trzymaj się, Wujas.

Gdy się rozłączyli, Wójcik szybko wybrał numer Adasia.

– Tak, szefie?

– Załatwione macie, ale rano dopiero. Weźcie tam sobie jakieś spanie i podjedziecie koło siódmej, siódmej trzydzieści. Facet powie, co wie. Tylko wiecie... żeby się nie spruł potem ani D... delikwentowi, ani nikomu innemu. I dajcie znać, jak będziecie wracać.

– Jasne.

Wójcik rozłączył i tę rozmowę, po czym znowu zerknął na Weronikę.

– Przepraszam – powiedział. – A wracając... bardzo ładna piosenka, naprawdę. I ładnie zaśpiewana. Musisz robić furorę wśród dzieciaków.

Wzruszyła ramionami.

– No, faktycznie lubią, jak śpiewam.

– Moja żona kompletnie tego nie umie. Kiedyś próbowała, ale szło jej tak fatalnie, że dzieci wołały płytę. Czujesz? Płytę od własnej matki! Jak beznadziejnym trzeba być, żeby dzieci wołały płytę?

Wyjechali na szeroką ulicę, ale po dwustu metrach wbili się w kolejną wąską, w dodatku w fatalnym stanie. Wójcik zaklął pod nosem, gdy wpakował się w dziurę, i zwolnił.

– To ja może stąd już pójdę. Moi rodzice mieszkają tu na końcu ulicy...

Spojrzał na nią zdumiony.

– Mieszkasz z rodzicami? – zapytał. – Właśnie byłem zaskoczony, że tak daleko od miasta. Nie lepiej coś wynająć, a nie tak tutaj, na odludziu?

Wzruszyła ramionami.

– Na razie oszczędzam. Zresztą tu jest ładnie. Cisza, spokój, niech pan zobaczy.

Rzeczywiście, przy uliczce, którą jechali teraz pod szpalerem z bukowych koron, stało tylko pięć jednorodzinnych domów, z czego jeden ewidentnie niezamieszkały. Bure budynki z podwórkami okalanymi powyginaną siatką czy szczerbatym płotem z próchniejących desek nie robiły najlepszego wrażenia, ale ciszy i spokoju faktycznie trudno było odmówić.

– Dobra – zdecydował Wójcik, dojeżdżając do końca ulicy. – To na podwórko już nie będę wjeżdżał, tu sobie nawrócę. Poczekaj.

Wykonał manewr i zaparkował kilka metrów dalej, blokując na całą długość auta wjazd na opuszczoną posesję.

Weronika wypięła się z pasów.

– Bardzo panu dziękuję za podwózkę – powiedziała, uśmiechając się. – I w ogóle...

– Bardzo proszę.

On również odpiął pas i nacisnął breloczek na kluczach. Szczęknęły zamki. Weronika obejrzała się nerwowo, jeszcze przez kilka sekund nie rozumiejąc.

– Tylko się pospiesz – powiedział Wójcik, rozpinając pasek i spodnie. – Za godzinę chciałbym być w domu.

Przełknęła ślinę, patrząc na niego z niedowierzaniem.

– Proszę, panie Wójcik. Ja...

Zerknął w lusterko wyraźnie zniecierpliwiony.

– Raczej nie chciałabyś, by ktoś cię zobaczył w trakcie, prawda?

Nie była w stanie się ruszyć. Nie była w stanie nawet drgnąć.

W końcu wzruszył ramionami i uśmiechnął się jak wcześniej.

– Skoro wolisz, żebym wrócił tu później... – rzucił, zapinając spodnie.

Powstrzymała go.

Odchylił fotel.

14

Milena miała urodę po matce, co kiedyś wydawało się zaletą, ale z biegiem lat stało się powodem do obaw. Bo Halina Bielik, przez wiele lat zjawiskowa wręcz piękność, gdy tylko przekroczyła czterdzieści pięć lat, nagle, właściwie z miesiąca na miesiąc, zaczęła się starzeć. Jej cera poszarzała i zmatowiała, zniknęły gdzieś krągłości, pojawiły się za to obwisła skóra i z czasem coraz głębsze zmarszczki na twarzy oraz szyi. Milena, wówczas jeszcze w szkole średniej, myślała, że to może jakaś choroba, ale badania niczego nie wykazały. Potem uznała, że to stres związany z pogarszającym się stanem taty, jednak chodziło o co innego.

Po prostu, jak to mówiła Eliza od paznokci, jej matka starzała się na rodzynkę.

– W dodatku wcześniej zaczęła – stwierdziła Elizka. – I nie chcę cię martwić, złotko, ale to bywa dziedziczne. Musisz się pilnować!

Więc Milena, której uroda nigdy nie mogła dorównywać tej matczynej, pilnowała się, jak mogła. Uprawiała sport, przestrzegała zasad prawidłowego nawadniania, stosowała kremy ujędrniające, a pod prysznicem masowała się szorstką rękawicą. I mimo iż specjaliści, z których usług korzystała, chwalili efekty, a i ją samą zadowalało lustrzane odbicie, to ilekroć patrzyła na matkę, jak choćby w tym momencie, niemal słyszała tykanie

biologicznego zegara. Była za to na nią zła. I była zła na siebie, że ją to złości.

– Jak z Dniem Dziecka w tym roku? – zapytała Halina Bielik, upewniwszy się, czy nie ma w pobliżu wnuków. – Znowu jedziecie do tego wesołego miasteczka?

Siedziały we dwie w kuchni, dzieci bawiły się w pokoju obok, zgodnie jak rzadko. W gofrownicy dochodziły ostatnie gofry, te, które zgodnie z życzeniem Zygmunta miały być odłożone dla niego. Zdaniem Mileny i tak pewnie ich nie zje, bo nie lubił zimnych, ale wolała mieć gotowe, gdy się zjawi. Miała też trochę ciasta, gdyby chciał jednak świeże. A te zje najwyżej ona albo Murzyn.

– Tak, mamo, jedziemy – odpowiedziała, choć wcale nie była tego taka pewna. To znaczy on i dzieci pewnie pojada, ale ona? Czy reputacja Zygmunta dźwignie nieobecną żonę? A może każe jej się pochorować? – To nasza rodzinna tradycja. Co roku jeździmy.

Matka pokiwała głową.

– No tak, tak, wiem – powiedziała. – Wiesz, za co lubię twojego męża? Właśnie za to, jak pilnuje takich rzeczy. Tyle pracuje, ale pamięta, co jest naprawdę ważne.

– Tak, mamo. Masz rację – odparła Milena, powstrzymując westchnienie. Od dwudziestu minut zbierała się, by poprosić mamę o użyczenie na chwilę telefonu. Przed kilkoma sekundami była tego naprawdę bliska. Po tych słowach jednak stwierdziła, że raczej się nie odważy.

Wstała i przełożyła świeże gofry na talerzyk. Upewniła się, że ma dość śmietany, sprawdziła w lodówce otwarte dzemy. Telefon,

na którym odważyła się odpisać tylko Magdzie od Stówki w sprawie pierwszego czerwca, palił ją w kieszeni spodni. Widziała wszak, że do niej napisał. Proste krótkie zagajenie, jak zwykle o tej porze. Nie odczytała, choć bała się, że może to zrobić przypadkiem, tak trzęsły jej się ręce. Teraz znowu nie reagowała na wibracje.

Ale przecież musi mu pomóc, musi go ostrzec. Do jasnej cholery, nie może go tak zostawić samemu sobie!

Sięgnęła po słoiczek konfitury wiśniowej, ulubionej Zygmunta. Odkręciła wieczko i zajrzała do środka. Było tego niewiele, ale dość na cztery gofry, jeśli posmarować cienko. Obejrzała się przez ramię.

Gdyby matka w tym momencie na nią spojrzała, gdyby wiedziona matczynym instynktem, przecuciem, czymkolwiek, odwróciła lub choć podniosła głowę, Milena po prostu odstawiłaby słoik, a wraz z nim całą tę szaloną myśl.

Ale mama siedziała zgarbiona i ze ściągniętymi ramionami wpatrywała się w talerzyk i filizankę z resztką kawy. Stara, zmęczona, pomarszczona jak rodzyńka. Do Mileny dotarło natomiast, że gdy i ona stanie się właśnie taka – za rok, za dwa, za pięć – to nie będzie miała obok siebie kogoś takiego jak ojciec. I już chrzanić Drelicha czy jak on się tam nazywa, bo przecież nie chodzi tak naprawdę o niego. Wiedziała, że jeśli teraz, w tym momencie odstawi ten jebany słoik, to już nigdy, przenigdy nie odważy się choćby spróbować!

Jeszcze raz odkręciła wieczko i zajrzała do środka. Cztery gofry, cienka warstwa. Zygmunt mógłby zjeść nawet z sześć.

– Cholera, skończył się dżem wiśniowy, ulubiony Zygmunta – powiedziała i zaraz zrugła się w myślach za teatralność tej kwestii.

Czy jeśli jej mąż ma podsłuch albo kamery, zwróci na to uwagę? Ale nawet jeśli, było już za późno. Powiedziała A. Otworzyła więc drzwiczki pod zlewem i szybko wrzuciła słoik do odpadów zmieszanych.

– Mamo, mogłabyś posiedzieć jeszcze chwilę i popilnować dzieciaków? Ja skoczę tylko do Kauflandu.

– Oczywiście, Milenko, nie ma problemu – zapewniła Halina Bielik tak gorliwie i ochoczo, jakby od dwudziestu minut tylko na to czekała. – Chcesz wziąć moje auto? Nie będziesz musiała swojego z garażu wyciągać.

– Tak, mamo, to świetny pomysł. Zaraz będę.

Wzięła kluczyki, w przedpokoju założyła sportowe buty i wyjęła z torebki portfel. Zaraz jednak przypomniała sobie, że nie może tak po prostu użyć karty. Przeszła więc przez garaż i zajrzała do swojego fiata 500, który Zygmunt kupił jej, by mogła jeździć na zakupy czy odwozić dzieci do przedszkola. Chciał większy, ale ona spanikowała na jeździe próbnej rodzinnym hyundaiem, więc uznał, że nie poradzi sobie z dużym autem. Właściwie miał rację. Nienawidziła dużych samochodów, bała się, że się nie zmieści na drodze.

Sięgnęła do schowka po opakowanie tamponów i rozejrzała się odruchowo, zanim wyjęła z niego zrolowane ciasno banknoty. Niedużo, z sześćset złotych, ale ponieważ odkładała je po dziesięć, dwadzieścia złotych z tego, co jej zostawało po zakupach, jak

gówniarz podkradający rodzicom pieniądze, zwitek był całkiem gruby. Wrzuciła go teraz do kieszeni i uchyliła drzwi garażu.

Wsiadła do sfatygowanej corsy, wyregulowała siedzenie i lusterka, spojrzała na zegarek.

– Jeszcze możesz się wycofać – szepnęła, jednak odpaliła silnik i położyła rękę na drążku zmiany biegów. Musiała sobie przypomnieć, jak w tym aucie wbija się wsteczny, a gdy już to zrobiła, wykręciła i mało nie wjechała w bramę, której zapomniała otworzyć.

Zbierało jej się na płacz, ale nie pozwoliła sobie na łzy. Wcisnęła przycisk pilota przywieszony do kluczyków fiata, odczekała, aż brama się odsunie, i wyjechała z posesji.

Droga do Kauflandu zajęła jej sześć minut, czyli niewiele więcej niż zwykle, mimo iż po drodze dwa razy załapała się na czerwone. W obu przypadkach zareagowała tak samo – zacisnęła ręce na kierownicy i zerkając na zegarek na tablicy rozdzielczej, niczym mantrę albo litanię błagalną powtarzała w myślach „no dalej”. Za drugim razem, gdy światło się zmieniło, mało nie wjechała w samochód przed nią.

Na parkingu zaparkowała odruchowo tam gdzie zwykle, czyli na oznaczonym na zielono miejscu dla rodzin. Gdy wysiadła, poczuła na sobie pełne pogardy spojrzenie przechodzącej kobiety z dużym sklepowym wózkiem, ale udała, że jej nie widzi. Zamknęła samochód i wbiegła do sklepu.

Na wprost miała teraz aptekę, a obok wejście na teren marketu. Ją jednak interesował środkowy sklep niewielkiego pasażu po prawej. Szybkim krokiem minęła więc mały sklep

zoologiczny, pralnię oraz salonik prasowy i weszła do sklepu z akcesoriami GSM.

Siedzący za ladą dziewiętnastoletni chłopak z fatalną fryzurą i rzadkim wąsem uniósł głowę znad książki.

– Dzień dobry, pomóc w czymś?

– Nie – odpowiedziała odruchowo i zaraz się poprawiła: – Poproszę kartę do telefonu. I telefon. Tani taki. Do pięciuset złotych.

Chłopak odłożył otwartą książkę grzbietem do góry, podniósł się z krzesła i minął ladę, żeby podejść do jednej z przeszklonych gablot.

– To zależy, jaki ma być i do czego ma służyć. Bo w tej cenie to ja bym pani zaproponował na przykład xiaomi redmi 8A albo...

– Dobrze, biorę – weszła mu w zdanie. – I kartę.

Wyjęła z kieszeni rulonik pieniędzy i rozwinęła go, nie mogąc powstrzymać drżenia rąk. Kilka banknotów upadło na podłogę. Schyliła się, by je podnieść.

– Proszę pani, czy coś się stało? – zaniepokoił się chłopak.

– Nie, nie – zapewniła. – Tylko ten telefon i kartę. I jakby mógł pan od razu włożyć, bo muszę pilnie wiadomość wysłać.

Chłopak otworzył gablotkę i wyjął aparat. Zawahał się.

– Ale jak pilnie? – zapytał. – Bo wie pani, że numer trzeba jeszcze zarejestrować?

– To znaczy?

Wzruszył ramionami.

– No normalnie. Trzeba podejść do salonu, do Żabki albo na pocztę i tam z dokumentem.

Potrząsnęła głową nerwowo.

– Nie, pan mnie nie zrozumiał. Ja taki numer na kartę potrzebuję. Ja nie chcę abonamentu ani nic... Ja muszę pilnie wysłać wiadomość, to naprawdę ważne.

Widziała, jak chłopak patrzy na nią coraz bardziej zaniepokojony, ale dopiero gdy poczuła łaskotanie na policzku i wielką ciepłą łzę na dłoni, zdała sobie sprawę, że płacze. Spróbowała się uśmiechnąć, sięgnęła do kieszeni po chusteczkę. Kilka banknotów upadło na podłogę. Tym razem schylili się po nie oboje.

– Jeśli to tylko jedna wiadomość, proszę skorzystać z mojego – powiedział, gdy się podnieśli. – Zna pani numer?

– To na Messengerze – odparła. – Do znajomego.

Chłopak podrapał się po głowie.

– Jak nie ma mnie w znajomych, to może nie odczytać – pomyślał na głos. – No ale spróbujemy.

Wyjął telefon, maznął palcem po ekranie i szybko wynalazł stosowną ikonkę.

– To będzie trzeba przez Fejsa i wiadomość. O, proszę... Da pani radę sama wpisać?

Pokiwała głową, podała mu trzymane w ręku pieniądze i wytarła ręce w spodnie.

– Tak, myślę, że tak.

Wzięła od niego aparat, szybko wpisała nazwisko. Urządzenie wyświetliło pięć osób nazywających się tak samo. On był drugi. Weszła na profil, otworzyła okno wiadomości i napisała szybko: „Mój mąż jedzie po ciebie, uciekaj. Milena”.

– Niech pani od razu skasuje – poradził chłopak.

Zanim jednak wybrała właściwą opcję, obok jej tekstu pojawiła się maleńka miniaturka jego profilowego. To znaczyło, że odczytał wiadomość.

Zaraz potem pod jej wpisem zafalowały trzy kropki.

„Dziękuję za wiadomość. Będę ostrożny”.

Z uczuciem niewysłowionej ulgi skasowała wszystko i oddała telefon chłopakowi. Ten chciał jej zwrócić pieniądze, ale pokręciła głową.

– To dla pana, dziękuję.

Spojrzał na gotówkę, potem na nią, a następnie zrobił coś, czego kompletnie się nie spodziewała. Złapał ją za rękę, mocno, stanowczo, i wcisnął jej banknoty w dłoń.

– Jeśli pani chce – powiedział poważnie – to mogę zadzwonić na policję. Jeśli to dotyczy przemocy domowej...

Zamrugła gwałtownie, jakby ją uderzył, i prawie przez minutę nie była zdolna wydusić z siebie choćby słowa.

– Nie było mnie tutaj – powiedziała w końcu cicho, błagalnie.
– Po prostu mnie tu nie było, dobrze? Błagam pana. Już pan pomógł. Już wystarczy. Bardzo panu dziękuję i proszę, żeby pan zapomniał, że tu byłam.

Widziała, że się waha, że walczy sam ze sobą. I tak nie zapomni, była tego pewna. W końcu jednak skinął głową.

– Nikomu nie powiem – zdecydował. – Ale proszę wziąć te pieniądze.

– Dziękuję. – Wcisnęła je do kieszeni i otarła łzy ręką. – Naprawdę dziękuję.

Wychodząc ze sklepu, trzymała głowę nisko i zasłaniała twarz, czując na sobie zaciekawione spojrzenia. W samochodzie

doprowadziła się jako tako do ładu i już miała odjechać, gdy przypomniała sobie, że nie kupiła dżemu.

15

Przez pierwszą godzinę dzielącą moment powitania na parkingu od chwili, gdy Drelich opuścił pokój syna już jako wielki przegrany ośmiowyścigowego turnieju w grze Crash Team Racing Nitro-Fueled, Iza odezwała się do byłego męża łącznie cztery razy. Były to kolejno: „Cześć!”, „Pomożesz mi z zakupami?”, „Śpi dziś u koleżanki”, a potem, już w mieszkaniu, szybkie pytanie: „Kawy?”. Na więcej nie było szans, bo już i tak z każdą z tych wypowiedzi musiała się bardzo uważnie wstrzelić w przerwy na oddech Nikodema. Odkąd bowiem chłopiec wyskoczył z samochodu na powitanie ojca, nie przestawał mówić, zmieniając tematy co kilka zdań.

– Ej, a w ogóle Marcin mówi, że takie pegi to on może mieć za cztery dychy nowe, a kiedy ja patrzyłem w sklepie, to prawie stówka bez wysyłki. Ale on ciągle ściemnia, nie tylko z rowerem. W zeszłym tygodniu mówił, że kupił sobie nową lotnię w Fortnicie, taką rybę z kości, co jak lecisz, to się rusza jak chiński latawiec. A wiesz, że wrzucili ostatnio skina z Bruce'em Lee? I Marcel nie wiedział, kto to jest Bruce Lee! I mówi, że ostatnio widział Johna Wicka z tatą i że John Wick skopałby Bruce'a! Debil, nie? A w ogóle wiedziałeś, że w Mortal Kombat Liu Kang to Bruce Lee? Bo Jasiek ma Mortala 11 na switcha i przyniósł do szkoły. Znaczy nie tak całkiem to Bruce Lee, ale wzorowany, wiesz...

Drelich przyjmował ten słowotok ze spokojem. Spodziewał się, że tak będzie, wręcz trochę tego wyczekiwał, a nawet, choć wolałby głośno się nie przyznawać, cieszył z tego jazgotu. Owszem, na dłuższą metę byłoby to pewnie męczące, ale znał syna i wiedział, że tematy prędzej czy później mu się wyczerpią, liczba słów na minutę spadnie do normalnego poziomu, a chłopak będzie miał poczucie, że został wysłuchany. Podobno w kontaktach z dzieckiem istniała tak zwana zasada trzech minut mówiąca, że po czasie rozłąki, nawet tej codziennej związanej ze szkołą i pracą, pierwsze trzy minuty należy mu poświęcić całkowicie, najlepiej patrząc w oczy. Drelich rozciągał tę regułę do godziny, tyle że musiał podzielić czas między dwójkę dzieci. Dziś, decyzją Zosi, ta kwestia rozwiązała się sama.

Tym, z czym kompletnie sobie nie radził, było natomiast sterowanie za pomocą konsolowego pada wielkim kreskówkowym dobermanem wciśniętym do maleńkiego gokarta. I to niezależnie od tego, czy ścigał się na amerykańskiej prerii ze zwiniętymi w kulkę pancernikami, czy na Antarktydzie, na której musiał robić drifty na krach i uważać na pingwiny. Nie radził sobie ze zrzucaniem z siebie skrzynek TNT ani z wystrzeliwaniem samonaprowadzających pocisków, ani nawet z przeskakiwaniem przepaści czy wybijaniem się na rampach. Był do tego stopnia beznadziejny, że nawet na rajskiej wyspie, właściwie wprawce do wyścigu, kończył jako ostatni – za synem i szóstką konsolowych botów.

– Musisz trzymać kciuk na X, ale trochę tak jakby pomiędzy X a kółkiem – tłumaczył cierpliwie Nikodem po każdym wyścigu, w ogóle nie patrząc na ekran, gdzie jego Crash, zadziorny lisek,

amator jabłek, wznosił ku górze puchar zwycięzcy. – I pamiętaj, drift to w bok i L1, a jak chcesz złapać boosta, to jak zobaczysz ogień, to L2. Albo odwrotnie.

– Jasne, rozumiem – powtarzał raz za razem Drelich, by po kilku minutach znowu być tym, któremu nie udało się dojechać do mety.

Zagrali osiem razy, a potem Nikodem spojrzął na zegarek noszony na ojcowską modłę z kopertą po wewnętrznej stronie lewej ręki i stwierdził, że muszą kończyć, bo zaraz jest umówiony z kumplami na grę w sieci.

– Czeka, a lekcje masz zrobione? – zapytał Drelich.

Nikodem machnął ręką.

– W świetlicy zrobiłem – odparł. – Tylko spakować się muszę i zabrać książki na następne dni.

Drelich wstał.

– Do godziny będziemy się zbierać – powiedział.

– Zdążę.

Ledwie otworzył drzwi pokoju, doszedł go przyjemny zapach ciasta i natychmiast zaburczało mu w brzuchu, a usta wypełniły się śliną. Iza przebrana już w luźny dres stała w kuchni pochylona nad piekarnikiem. Obok, na ściereczce rozłożonej na blacie, zobaczył formę pełną parujących muffinek.

– Załapię się? – zapytał.

– Nie, to na zamówienie jest, na jutro.

– Przynosisz pracę do domu?

Wyprostowała się, zdjęła z dłoni silikonową rękawicę kuchenną i odgarnęła niesforny kosmyk z twarzy.

– Po pierwsze, mam taki oficjalny papier z sądowymi pieczętkami i podpisami, który dość wyraźnie stwierdza, że to już nie twoja sprawa. – Sięgnęła po szklankę do połowy wypełnioną gazowaną wodą. – A po drugie, z nas dwojga chyba lepiej, żebym to ja przynosiła pracę do domu, nie sądzisz?

Uniosła szklankę i uśmiechnęła się lekko.

– Kawę masz pod ekspresem, pewnie już wystygła. I możesz sobie wziąć jedną muffinę. Tylko brzydką jakąś.

– Ty nie robisz brzydkich.

Westchnęła, kręcąc głową. Odstawiła szklankę.

– Wiesz, że ten oficjalny papier ma w uzasadnieniu punkt: prawil chujowe komplementy, nie?

– To ja mam chyba jakiś inny. – Drelich pochylił się nad formą. – Ej, czemu u młodego zniknął ze ściany plakat ze Zwierzogrodu? Sam zdjął czy mu kazałaś?

– Sam. Czemu miałam mu kazać? – Podała mu talerzyk. – Pamiętasz, jak we wrześniu mieli zrobić plakat rodzinny do szkoły? Mówiłam ci, takie trochę drzewo genealogiczne, trochę tablica pamiątkowa.

– Coś chyba pamiętam.

– No to pani powiedziała, że ma być do końca roku, ale on jak zawsze: słomiany zapał. Wywołaliśmy więc od razu zdjęcia, zrobiliśmy z dziesięć szkiców projektu, a potem temat przepadł i dopiero niedawno wrócił. Wyszedł z tego fajny plakat. Teraz czekamy na opracowanie.

– Chętnie zobaczę – powiedział. – Zamówiłaś też dla mnie?

Posłała mu jedno z tych spojrzeń.

– A jak myślisz? – zapytała. – Nawet gdybym ja zapomniała, to pan szanowny przypomniał chyba z cztery razy. A skoro już mówimy o tym, jak uroczy jest nasz syn, mówił ci, co wczoraj zrobił?

– Nie. Co zrobił?

– Rozkwasił koledze nos na przerwie. Wzywali mnie do szkoły, było podejrzenie złamania.

Drelich ostrożnie wyjął muffinkę z formy i położył na talerzyku. Przyjrzał się od spodu ciemnym plamom na cieście.

– Jagodowe?

– Słyszysz, co mówię?

Pokiwał głową, nie przestając przyglądać się muffince. W końcu odłożył talerzyk na blat i przeniósł wzrok na byłą żonę.

– Zrobił to z jakiegoś konkretnego powodu?

– Podobno tamten powiedział, że obciążam za pieniądze.

– Aha.

– Nie „aha”, Marek – zjeżyła się. – Żarty żartami, ale nie możemy uczyć dziecka, żeby było innych tylko dlatego, że powiedzą coś głupiego! Nikodem trenuje od małego, jest sprawniejszy niż inne dzieciaki...

– To nagle źle? Że trenuje?

– Wiesz, o co mi chodzi.

– No właśnie nie wiem – rzucił. – Jakiś gówniarz dostał, bo powiedział coś złego o tobie. Jeżeli dostał solidnie, już drugi raz tego nie zrobi. To taki wiek, że uczysz się tego, że rzeczy mają konsekwencje, tak?

Iza przez długą chwilę wpatrywała się w niego w milczeniu. Walczyła ze sobą. Dostrzegł to w jej oczach, w drganiu warg,

widział, jak się powstrzymuje i uważnie wyławia teraz pojedyncze słowa z chaosu ripost. Przeanalizował na szybko w głowie wszystkie słowa, które przed chwilą padły, i wyobraził sobie, co w tym momencie mogło jej się cisnąć na usta. A mogło sporo, dlatego też docenił milczenie i sam również siedział cicho. Szkoda, przemknęło mu przez myśl, że nauczyli się tego, dopiero gdy na wiele rzeczy już dawno było za późno.

– Dobrze, porozmawiam z nim – powiedział w końcu.

Skinęła głową.

– To mogło się skończyć sprawą, Marek. Gdyby Nikodem złamał chłopakowi nos albo gdyby ojciec tamtego nie był aż takim kretynek... – Machnęła ręką. – W każdym razie naprawdę z nim porozmawiaj. Ja już to zrobiłam, ale ty też powinienes. Może nawet szczególnie ty.

– Jasne. – Podniósł talerzyk i oderwał chrupiący kawałek muffinki. – A zmieniając temat, Zośka jest na mnie zła czy tak po prostu olała?

– Po prostu. Ma piętnaście lat, nie stanowisz konkurencji dla pogaduch z koleżankami.

– Chyba ustaliliśmy, że nie pozwalamy im sypiać poza domem w tygodniu?

Zdał sobie sprawę, że palnął, jeszcze zanim zaczęła się uśmiechać. A robiła to powoli i stopniowo, jakby kontrolowała każdy poszczególny etap tego grymasu – błysk w oku, drgnięcie kości policzkowych, powolne unoszenie się kącików ust. To był uśmiech kogoś, kto już wie, że zwyciężył, i teraz musi tylko uzmysłwić to pozostałym. Ona nie musiała, co oczywiście jej nie powstrzymało.

– Okoliczności były wyjątkowe, a sprawa wyszła w ostatnich dniach. Miałam dzwonić? – zapytała.

Mieli się zebrać koło dwudziestej trzydzieści, ale ponieważ mecz się przeciągnął, wyszli dopiero po dziewiątej. Z jakiegoś powodu, zupełnie dla Drelicha niezrozumiałego, Iza uznała, że kolejna porcja muffinek jej nie wyszła. Dostali je więc na śniadanie wraz z napomnieniem, by nie siedzieli do późna, bo potem są skargi, że Nikodem przysypia na lekcjach. Chłopiec, słysząc to, przewrócił oczami i odparował, że gdyby lekcje nie były nudne, toby nie przysypiał. Następnie zapytany, czy na pewno wszystko zabrał na nadchodzące dni, westchnął ciężko i zapewnił, że tak, a potem musiał trzy razy wracać – najpierw z za drzwi, potem spod windy, a na końcu z parkingu.

Gdy wreszcie zajął miejsce z tyłu, celowo obok podkładki pod tyłek, którą uznawał za zbyt dziecinną, Drelich zapytał go, czy tym razem na pewno wszystko ma.

– Tak, tato – zapewnił chłopiec. – Możemy jechać.

– Ale jesteś pewien? Bo jak już ruszymy, to nie wracam.

– Na pewno!

Drelich odpalił silnik, włączył światła i powoli ruszył. Tuż przy wyjeździe z parkingu nagle się zatrzymał.

– Kurwa! – zaklął pod nosem i sięgnął do kieszeni po kopertę z pieniędzmi dla Izy, po czym zawrócił. Pod domem zaciągnął hamulec.

– Poczekaj tu – polecił. – I nie śmieję się głupio. Zaraz będę.

Wysiadł i pognął na górę.

16

Toaleta na stacji była nieczynna, o czym informowała kartka formatu A4 w koszulce do dokumentów, przyklejona przezroczystą taśmą do drzwi. Zgodnie z zapisem klientom, których oczywiście przepaszano za niedogodności, zostawała chwilowo tylko stara toaleta na zewnątrz budynku, znajdująca się za rogiem po lewej stronie. Prowadziły do niej osobne drzwi zamykane na klucz dostępny na prośbę klienta w kasie. I właśnie ten klucz połączony rozwarstwiającym się sznurkiem z brelokiem z logo stacji mało nie doprowadził do nieszczęścia.

Zatrzymali się na tej stacji dwadzieścia minut wcześniej, po blisko dwugodzinnej jeździe. Czarna trzydrzwiowa honda civic VIII podjechała do dystrybutorów od prawej strony i zatrzymała się przy tym bliżej budynku. Adaś wyskoczył pierwszy, by zatankować, a zaraz po nim z drugiej strony wytoczył się Pumba, sapiąc i stękając.

– Kurwa, mniejszego auta nie można było wziąć, nie?

Przeciągnął się, aż strzeliło mu w stawach i karku, podrapał się najpierw po policzku, potem po tyłku.

– Wypuścisz mnie? – zapytał Szary z tylnego siedzenia.

– Sam się, kurwa, wypuść – odparł Pumba. – Idę po hot doga.

Szary zaklął, ale wsunął rękę między próg a fotel, szarpnął za dźwignię i pchnął oparcie. Wysiadł.

– Daleko jeszcze? – zapytał.

– Godzinka z hakiem – odparł Adaś, spoglądając na telefon. – Trzeba by się rozglądać już za jakimś spaniem, nie? Zaraz coś ogarnę.

– Pewnie, spoko. Idę się odlać i wezmę kawę. Chcesz coś?

Adaś odkręcił korek baku.

– Jebnąć grubasowi, to na pewno.

– He, he, to się będziesz musiał w długiej kolejce ustawić.

Gdy Szary wszedł na stację, Pumba właśnie wybierał hot doga. Wodził palcem po szkle jak dzieciak w zoologicznym przy ścianie z akwariami, aż w końcu zdecydował się na megakabanosa chili.

– Tylko weź, człowieku, przypiecz tę bułkę porządnie – skomentował, płacąc zbliżeniowo. – Chrupka ma być, a nie ciepława i miękka jak cipa twojej starej.

Szary uśmiechnął się pod nosem. Chłopak za ladą, wiejski przystojniaczek z kocią bródką, burknął coś w odpowiedzi, ale na tyle cicho, że Pumbie, który już skupił się na stojaku z drażami, nie chciało się nawet na niego spojrzeć. Następni w kolejce, szpakowaty facet w polarze i grubsza dziewczyna w okularach i koszulce na ramiączkach, zgodnie skupili się na ekranach swoich smartfonów.

Szary przeciął sklep i gdy znalazł się przy toaletach, szarpnął za uchwyt. Nie miał nawyku czytania ogłoszeń, nawet powieszonych na samym środku przeszklonych drzwi, więc w pierwszej chwili się zdziwił. Zaraz jednak dojrzał kartkę, zaklął pod nosem i odwrócił się w stronę kas. Teraz to on miał ochotę zjechać chłopaka za ladą, że ten go nie uprzedził. Po namyśle stwierdził jednak, że mimo wszystko żał mu dzieciaka. Dlatego zamiast się awanturować, podszedł i grzecznie poprosił o klucz.

– Chwila, obsługuję – odburknął chłopak.

Coś go jednak najwyraźniej tknęło, bo uniósł głowę i zamarł na widok twarzy Szarego.

Pumba parsknął.

– Na twoim miejscu, chłopie – powiedział do sprzedawcy – popierdalałbym po ten kluczyk na jednej, kurwa, nodze. Ani bułce, ani kabanosowi źle nie zrobi, jak się trochę dopiecze, a ty ryj zachowasz. No już!

Chłopak jeszcze przez kilka sekund nie ruszył się z miejsca. Ponownie spojrzął na Szarego, potem na Pumbę, na dwójkę w kolejce za nim i wreszcie na zaplecze, gdzie jego koleżanka ze zmiany rozmawiała przez telefon. W końcu wytarł ręce o spodnie, przeprosił cicho i poszedł do kasy po klucz. Podał go Szaremu ponad stojakiem Durexa.

– Nie oddawaj potem, przyjdę tam zaraz – powiedział Pumba.

– Jasne – mruknął Szary. – Weźmiesz mi kawę? I może dwa grzeški.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył wzdłuż regałów, na moment zatrzymując się przy gazetach. Z przyzwyczajenia powiódł wzrokiem po fotomontażach z czołowych tygodników i po laskach z pornoli ukrytych za kawałkiem czerwonej pleksi, tak że wystawały tylko do ramion. Na tej stacji przesłonka była nieco dłuższa niż zwykle i częściowo zachodziła też na gazetki motoryzacyjne i „Angorę”, z miejsca czyniąc je również pisemkami „tylko dla dorosłych”. Brakowało dosłownie trzech centymetrów, by załapało się też magazynowe wydanie „Gościa Niedzielnego”.

W drzwiach wejściowych Szary minął się z Adasiem.

– Nie spiesz się – powiedział. – Do kasy kolejka, a kibel na zewnątrz.

Zamachał kluczami na breloczku. Adaś skinął głową i wcisnął trzymany w ręce portfel do kieszeni. Ruszyli wzdłuż budynku.

– Słuchaj – zagadnął Szary. – Bo jak mówiłeś wcześniej w aucie o tym Drelichu, to nie chciałem pytać przy Pumbie...

– No?

– Ten typ to jakiś napierdalacz? Będą z tego kłopoty?

Adaś się roześmiał.

– Żaden napierdalacz – odparł. – Znaczy wiesz, ja z nim ze trzy razy na akcji byłem, nie znam go dobrze, ale on to głównie za kierownicą siedział. No i czasu bardzo pilnował. Punktualny w chuj, co do minuty. Ale się nie spinał, spokojny był. Jak Natan trochę.

– To akurat nie brzmi jak luz – zauważył Szary, ale Adaś zbył to machnięciem ręki.

– Nie, raczej, że cichy jak Natan, a nie jebnięty jak on. Nawet spluwy nie chciał. Miał chyba tylko taser. Mówił, że za jebnięcie prądem to w razie co inny wyrok niż za kulkę. Taki cykor, rozumiesz... Mogę pierwszy? W chuj mnie ciśnie.

– Jasne. – Szary podał mu klucz. – Wiesz, zastanawiam się nad tym typem. W sensie jak mógł być tak głupi, żeby akurat żonę szefa brać? Co, on nie wie, że to mały świat? Że nawet jak się ludzie nie znają, to w środowisku każdego da się namierzyć?

Adaś wzruszył ramionami.

– Ludzie to czasem najebane we łbie mają. Z miłości zwłaszcza. Co zrobisz? – stwierdził, uporał się z zamkiem i wszedł do środka. W okienku nad framugą zapaliło się światło.

Szary wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Odpalił, oparł się o ścianę i patrzył na ciągnące się za ogrodzeniem pole. Miał wątpliwości, coś mu nie grało. Strasznie nie lubił tego uczucia. Jakby swędział go mózg.

Gdy Adaś wyszedł, wziął od niego klucze, cisnął niedopałek do kratki i zamknął się w toalecie. Stał przed pisuarem, ale po namyśle spuścił spodnie i usiadł na sedesie. Sprawdził pocztę i Facebooka, klnąc na słaby zasięg, przez który raz po raz musiał odświeżać otwierane podstrony.

Pumba czekał już na zewnątrz z kawą oraz megahot dogiem ociekającym keczupem i sosem tysiąca wysp. Podał kubek Szaremu, przejął klucze.

– Grześki masz w kieszeni kurtki – powiedział, odwracając się bokiem. – Wyjmij sobie.

– Dzięki. – Szary wyciągnął batoniki i upił kawy. – I weź trochę odpuść młodemu, co? Ja wiem, że mało z nim robiłeś, ale ja tak, i chłopak naprawdę się stara. Szef mu ufa, Litwa go lubi. W porządku jest.

Pumba wzruszył ramionami i odgryzł solidny kawałek kabanosa.

– Ja nic do niego nie mam – oznajmił, gdy przeżuł. – Tylko na chuj się z tym autem wyrwał? Wzięlibyśmy normalny wóz, a nie że sobie kolanami ryj rozpierdalam.

To była oczywista bzdura, bo Pumba rozsiadł się w wozie jak panisko, ale Szary znał go na tyle dobrze, by nie włączyć się od razu w ślepią uliczkę dyskusji.

– Wiesz tak jak ja, że dobrze się wyrwał, bo trzydrzwiowy wóz do takiej roboty jest w porządku – stwierdził tylko i zaraz, zanim

Pumba znowu przełknął, dodał pojednawczo: – Ja tylko mówię, że młody jest okej i robi, co trzeba. Teraz na przykład spanie nam ogarnia.

Pumba wyciągnął z kieszeni serwetkę i wytarł z brody keczup.

– A coś ty się taka, kurwa, matka Teresa zrobił nagle?

Dymasz go tam po kątach czy jaki chuj?

Szary nie odpowiedział.

– Spoko, odpuszczę – stwierdził w końcu Pumba.

– Dzięki. Będę w aucie.

Szary upił kolejny łyk kawy i zębami otworzył grześka. Wychodząc zza winkla, mało nie zderzył się z chłopakiem na pierwszy rzut oka niewiele starszym od Adasia, prowadzącym za rękę małego, może czteroletniego chłopca. Chłopak miał brodę, jedną z tych modnych ostatnio, długich, wypielęgowanych i aż lśniących od olejków, a w uszach kolczyki czy niewielkie tunele – Szary się nie znał. Mówił coś do dziewczyny zamykającej właśnie passata kombi i zwrócony głową w jej stronę, nie zauważył idącego mężczyzny.

– Uważaj, kolego – rzucił Szary.

– Jasne, sorry – odparł brodacz, odruchowo przyciągając do siebie chłopca. – Nie oblał się pan, mam nadzieję?

Szary pokręcił głową.

– Nie, w porządku.

Chłopak jeszcze raz przeprosił, po czym pokonał kilka metrów dzielących go od Pumby i grzecznie stanął przy nim. Ten tylko zerknął na niego znad komórki i ugryzł hot doga.

Stali tak może minutę, aż dzieciak trzymający brodacza za rękę zaczął go szarpać, przebierając nóżkami.

– Jeszcze moment, synek – powiedział chłopak, po czym zwrócił się do Pumbi: – Przepraszam, tu kolejka jest?

– A nie widać?

Brodacz odsunął się nieco od ściany i spojrzał w okienko nad drzwiami toalety.

– Ale tam w ogóle ktoś jest w środku? – zapytał. – Bo się nie świeci.

– Może, kurwa, lubi po ciemku?

– Ale to pan ma klucze – zauważył chłopak. – Może da mi je pan i spokojnie doje, a ja...

– Nie.

Brodacz natychmiast się zaperzył.

– Jak to nie? Ej, to nie są twoje klucze, ludzie potrzebują skorzystać. Nie można tak sobie zabrać klucza i po prostu stać pod kibelem!

Pumba sapnął i schował telefon.

– Człowieku, odpierdol się ode mnie, dobrze ci radzę – powiedział, celując w niego resztką hot doga. – Weź dzieciaka na trawkę czy coś.

Chłopak obejrzał się przez ramię. Gdy zobaczył swoją partnerkę, która zdążyła wyłonić się zza rogu, pochylił się do syna, coś mu szepnął i puścił jego rękę. Mały z ociąganiem podszedł do mamy.

– Weź go wysikaj na trawie, dobrze? – poprosił chłopak, patrząc przez ramię. – Bo ten facet tutaj...

Nie dokończył. Pumba nagle odbił się plecami od ściany i złapał go lewą ręką za tizert. Szarpnięciem przyciągnął do

siebie i rozgniółł ociekający sosem papier z resztką hot doga na twarzy brodacza.

– Ten facet tutaj co?! – warknął, sięgając do kieszeni spodni. Wyjął z niej składany nóż i otworzył go energicznym ruchem. – Co, kurwa, ten facet?!

Dziewczyna krzyknęła coś, zasłaniając synkowi oczy.

– Spokojnie, Karolina. Spokojnie – zapewnił drżącym głosem chłopak. – Nic się nie sta...

Urwał, gdy ostrze znalazło się tuż przy jego twarzy. Pumba dźgnął go lekko w policzek i uśmiechnął się paskudnie.

– Portfel wyciągnij – powiedział. – Ruchy, kurwa!

Brodacz ostrożnie sięgnął do tylnej kieszeni, nieustannie zezując na ostrze. Podał Pumbie skórzany portfel.

– Otwórz – polecił Pumba. – A teraz wyjmij dowód. Dziękuję, panie... Rup urodzony w Częstochowie. Wisisz mi hot doga, kurwo. Kabanos, sos tysiąca wysp, dobrze spieczona bułka. Kawę dołożysz w gratisie. Już!

Puścił ramię chłopaka i złożył nóż o udo.

– A jak będziesz coś kombinował, pamiętaj, wiem, gdzie mieszk...

Tym razem to Pumba urwał na widok srebrno-niebieskiego policyjnego transita. Zobaczył, jak wyłania się zza winkla i powoli skręca. Dostrzegł też ruch chłopaka, ale jego reakcja go nie martwiła. Za to mina dziewczyny, sposób, w jaki otworzyła usta, jak się spięła, sugerowały bardzo nieciekawy rozwój wypadków.

– Powiedz tej dziwce, że nie radzę – syknął do brodacza. – Na stacji są moi kumple i jeśli nie chcesz tu pierdolonej strzelaniny, niech, kurwa, nie próbuje.

Chłopak przytaknął.

– Karolina! – zawołał. – Kochanie, spójrz na mnie!

Przez moment wyglądało, że dziewczyna się nie odwróci, że jest zdeterminowana, by wyjść policjantom na drogę i poprosić o pomoc. Zrobiła już nawet krok w ich stronę i uniosła lekko rękę.

– Karolina! Daj spokój, proszę!

Zawahała się. Obejrzała i spojrzała najpierw na swojego partnera, potem na Pumbę. Musiała przy tym mocno ścisnąć rękę chłopczyka, bo ten skrzywił się nagle, stęknął i zaczął się wyrywać.

Stała tak w bezruchu, aż radiowóz wyminął ją i przyspieszając, wjechał na pas dojazdowy autostrady. Dopiero wtedy Pumba schował nóż, a z kurtki wyjął klucz z brelokiem na sznurku.

– Rozmyśliłem się – powiedział do brodacza, otwierając toaletę. – Weź mi dwa snickersy i colę. Tylko, kurwa, w puszcze.

17

Powoli dojechali do linii i jako pierwsi stanęli na czerwonym. Nikodem skupił wzrok na sygnalizatorze, policzył cicho do trzech i pstryknął palcami. Nic się nie stało.

– Szlag! – mruknął rozczarowany.

Drelich zerknął na niego z ukosa.

– No, no, kolego. Wyrażaj się – powiedział, po czym uniósł rękę, odczekał dwie sekundy i pstryknął. Do czerwieni doszła żółć i światło zmieniło się na zielone.

Nikodem pokręcił głową z miną wyrażającą jednocześnie niezadowolenie i podziw.

– Jak ty to robisz? – zapytał.

– Nie mówię „szlag”, może to to. – Drelich wbił jedynekę i powoli ruszył. – Światła są wrażliwe na brzydkie wyrazy.

– „Szlag” nie jest brzydkim wyrazem. Można tak mówić!

Drelich wzruszył ramionami.

– Najwyraźniej nie do świateł. Potrzebujemy czegoś ze stacji?

– Cola? – spróbował chłopiec.

– Powinna być w lodówce. Nowa, niewygazowana, więc nie rób min.

– No to nic. Mamy muffinki. – Nikodem postukał palcem w zęba w zamyśleniu. – Tylko na śniadanie coś, bo ostatnio nie miałeś, a nie chcę na słodko.

– To rano podejść do Biedronki.

Dojechali do kolejnego skrzyżowania. Chłopiec podjął jeszcze jedną próbę zmienienia świateł pstryknięciem, z takim samym skutkiem jak poprzednio. Drelich uniósł rękę, westchnął, pstryknął. Światła się zmieniły.

– Patrzysz na światła dla pieszych! – zawołał chłopiec.

Drelich wzruszył ramionami.

– Więc dlaczego ty tak nie robisz?

– Próbowałem – przyznał Nikodem. – Nie działa. Światła się nie zgadzają. To znaczy czas się nie zgadza. Na różnych skrzyżowaniach jest inaczej i... – Urwał, westchnął, zaplótł ręce na piersi i zwiesił głowę jak naburmuszony pięciolatek.

Kilkaset metrów za światłami wjechali na obwodnicę. Ruch był spory, samochody tasowały się na trzech pasach bez ładu i składu. Migaly światła niecierpliwych, zapalały się czerwone u hamujących. Drelichowi się nie spieszyło, ale też nie zamierzał utknąć za ciężarówkami, więc przy pierwszej okazji wjechał na środkowy pas i na nim pozostał, dostosowując prędkość do jadących przed nim.

– Powiesz mi, co się wydarzyło w szkole? – zapytał w końcu i zaraz dodał: – O bójkę pytam.

Nikodem prychnął.

– Żadna bójka, tato – powiedział, nawet nie próbując kryć dumy. – Dostał w ryj i się popłakał.

– Tak slyszalem – potwierdził Drelich. – I że prawie złamales mu nos.

Slyszac spokojny głos ojca, chlopak zmruzył oczy i nastepne zdanie dobral juz ostrozniej.

– Ale wiesz, że on obraził mamę? – zapytał. – Tak bardzo, bardzo.

– Wiem.

– I że mówiłeś, że mamy i Zośki trzeba bronić?

– Mówiłem, że masz się o nie troszczyć – doprecyzował Drelich. – Tak jak one mają się troszczyć o ciebie... Ej, poczekaj, nie skończyłem. Nie twierdzę przecież, że zrobiłeś źle.

– No mama tak mówi.

– Ale ja nie jestem twoją mamą, jak pewnie zauważyłeś. I czasem się z nią nie zgadzam.

Przerwał i spojrzał w lewo. Omiótł wzrokiem kierowcę eleganckiego złotego audi, który przed chwilą mignął mu kilkakrotnie światłami drogowymi, a teraz wyprzedzał go, krzycząc coś i gestykulując. Młody chłopak, modna fryzura. Ewidentnie popisywał się przed siedzącą obok dziewczyną. Drelich wyjął z kieszeni telefon i sfotografował jego blachy.

– Po co to zrobiłeś? – zapytał Nikodem.

– Jeśli zauważył, jest szansa, że da mu to do myślenia. Albo choć troszkę wystraszy – odparł Drelich. Zerkając na drogę, dwoma kliknięciami wysłał zdjęcie pod numer z napisem „Warsztat”, skasował kopię i schował telefon.

– Mama mówi, że nie można pisać i prowadzić jednocześnie.

– Ma rację. A wracając do sprawy, nie twierdzę, że zrobiłeś źle, Nikodem. Twierdzę, że zrobiłeś głupio.

Chłopiec nie odpowiedział. Spojrzał w dół, na swoje dłonie, po czym odwrócił głowę w stronę bocznej szyby, a zęby zacisnął tak mocno, że aż zgrzytnęły. Drelich milczał przez ponad minutę. W końcu jednak podjął:

– Jeżeli komuś pomagasz, musisz pamiętać o jednej ważnej zasadzie. Żeby faktycznie mu pomóc. To, co powiedział twój kolega...

– On nie jest moim kolegą! – oburzył się Nikodem.

– Racja, przepraszam. Tamten chłopak – poprawił się Drelich.

– To, co powiedział, wymagało reakcji. Ale gdybyś złamał mu nos, a byłeś przecież blisko...

Chłopiec potrząsnął głową.

– Nie byłem. Przesadza.

– Ja myślę, że byłeś. – Drelich nie powstrzymał uśmiechu. – Masz parę w łapach i technikę. I właśnie dlatego powinieneś być ostrożny, szacować szkody i wybierać najlepsze opcje, odpowiednie do sytuacji. Bo popatrz... – przerwał, by spokojnie przebić się na pas do zjazdu – ...gdybyś złamał tamtemu nos, mama miałaby kłopoty i nieprzyjemności: lekarz, prawnik, awantura w szkole. Wtedy ona musiałaby bronić ciebie. Co zresztą robiła i tak, nie? I jasne, poradziłaby sobie, ale byłyby to większe kłopoty, niż gdybyś zostawił tę sprawę. Źle oszacowane szkody, rozumiesz?

Nikodem myślał przez chwilę, w końcu pokiwał głową.

– Chyba tak – stwierdził po chwili cicho, znowu wlepiając wzrok w swoje dłonie. Milczał na tyle długo, że zdążyli dojechać do celu.

Zaparkowali niemal pod samym blokiem, Drelich wyłączył silnik, wypiął się z pasów i położył ręce na udach. Przymknął oczy. Czekał.

– To co powinienem być zrobić? – zapytał w końcu Nikodem.

– Nigdy nie jest tak, że masz tylko jedno rozwiązanie – odparł Drelich. – Myślę, że powinieneś mu odpowiedzieć, ale słowami.

Ośmieszyć go przed resztą, żartując z niego, nie z jego rodziny, a potem, już na osobności zastraszyć. Masz argumenty, jesteś silniejszy, umiesz się bić. Nie musisz tego używać, by z tego korzystać. Nauczę cię.

Odwrócił się i spojrzał na syna z powagą.

– Ta rozmowa zostaje między nami – powiedział. – Ani słowa mamie, kolegom, nikomu, rozumiesz?

– Jasne, tato – zapewnił Nikodem poważnie, a potem przez chwilę powtarzał sobie niemal bezgłośnie „szacowanie szkód”. W końcu odetchnął głęboko i zapytał o ostatnią z zastanawiających go kwestii.

– A co, jeśli on tak czy siak by się nie przestraszył?

Drelich wstrzymał się z odpowiedzią, odprowadzając wzrokiem sąsiadkę z psem, która przyglądała im się z osiedlową ciekawością.

– W takiej sytuacji musisz zrobić to samo co w sztuczce ze światłami – wyjaśnił. Uniósł dłoń, policzył w myślach do trzech i pstryknął palcami. – Zaczekać na właściwy moment.

Pachnące lawendą i czystością mieszkanie Drelicha mieściło się na piątym piętrze po prawej. Dotarli tam schodami.

Drelich wszedł pierwszy, włożył klucze do drucianego koszyczka na wąskiej szafce, przyklęknął i rozwiązał buty. Upewnił się, że Nikodem zrobił to samo, a nie zsunął bez rozsznurowywania, i poszedł do kuchni.

– Herbaty chcesz? – zapytał.

– Coli.

– To przyjdź i sobie weź. Ja robię herbatę.

Nastawił wodę w czajniku elektrycznym i przeszedł się po pozostałych pomieszczeniach, robiąc kontrolny obchód.

Mieszkanie urządzone było skromnie, bo wszędzie tam, gdzie o wystroju decydował sam gospodarz – czyli poza dwoma niewielkimi pokojami dzieci – liczyły się prostota i intuicyjna funkcjonalność. W przedpokoju znajdowały się małe lustro z szafką, stojak na buty i pusty wieszak; w łazience pralka, kabina prysznicowa, umywalka i lustro z miejscem na rolowaną kosmetyczkę. W dużym pokoju, w którym Drelich spędzał większość czasu, przy jednej ścianie stała prosta kanapa, a przed nią ława rozkładająca się do rozmiarów stołu. Naprzeciwko komoda z dużym telewizorem i najnowszym nabytkiem: wciąż jeszcze niepodłączoną konsolą PS4, którą kupił wyłącznie ze względu na Nikodema.

Składane krzesła, deska do prasowania, odzież i wszelkie osobiste drobiazgi znalazły swoje miejsce w płytkiej szafie na lewo od wejścia. Gdy Iza pierwszy raz przywiozła tu dzieci, stwierdziła, że tak mogłaby wyglądać cela więzienna zaprojektowana przez ludzi z Ikei. No, może bez balkonu.

Jedyne rzeczy, które Drelich uważał za cenne, a nie miał ich zawsze przy sobie, znajdowały się w kuchni. Pierwszą z nich był nieduży akryłowy obraz, stojący na pustym stojaku na przyprawy i otoczony dawno już ułożonymi metalowymi oraz drewnianymi łąmigłówkami. Obraz przedstawiał samotną kobietę czekającą wieczorem na pociąg na maleńkiej wiejskiej stacji. Wystarczyło dobrze się przyjrzeć, by dostrzec obserwującą ją zza płotu postać o głowie szakala. Drugim cennym dla Drelicha przedmiotem był wyszczerbiony biały kubek z nadrukiem tak mocno wyblakłym, że

aż nieczytelnym, zaś trzecim niewielki czarny nesoser umieszczony pod zlewem, za deską zamocowaną na magnes. O nim i tym, co znajdowało się w środku, wiedział tylko jego właściciel.

W ostatniej kolejności Drelich zajrzał do pokoju Nikodema, pukając uprzednio we framugę. Chłopiec wypakowywał właśnie książki na zavalone papierami biurko.

– Tato, możesz powiedzieć pani sprzątacze, żeby tu też czasem sprzątnęła? – zapytał.

– Twój pokój, twoje porządki – odparł Drelich. – A pani Maria nie jest sprzątaczką, mówiłem ci już.

– Ale sprząta tu, nie? I smrodzi tymi kwiatami.

– Sprząta, ale nie jest sprzątaczką. I co masz niby do konwalii?

– Są trujące dla kotów, pani Sanocka nam mówiła. Koty je jedzą i umierają.

Drelich uśmiechnął się pod nosem.

– Widziałeś tu gdzieś martwego kota? – zapytał. – W mieszkaniu znaczy?

– No nie.

– Więc albo to nie jest w ogóle mój problem, albo pani Maria radzi sobie równie dobrze z kocimi ciałami co z kurzem.

Nikodem zrobił głupią minę.

– Bardzo śmieszne, tato.

W rzeczywistości pani Maria była emerytowaną nauczycielką mieszkającą samotnie dwa piętra wyżej. Drelich nie utrzymywał kontaktów sąsiedzkich, ale też specjalnie od nich nie stronił, dlatego ujrawszy emerytkę z ciężkimi zakupami, zadeklarował

pomoc. Podczas przygotowanej w ramach podziękowań kawy pani Maria pożaliła mu się mimochodem, że cieknie jej kran, a administracja nie chce pomóc. Zjawił się jeszcze tego samego dnia z zestawem narzędzi, a dzień później naprawił też dwa wyrwane gniazdko i doprowadził kabel telefoniczny tak, by można było przenieść telefon z przedpokoju do sypialni. W rewanżu dostał kilka zaproszeń na domowy obiad oraz blachę świeżo upieczonej szarlotki.

Kilka tygodni później Drelich i pani Maria zawarli układ o wzajemnej pomocy i przypieczętowali go rytualną wymianą kluczy. Od tamtej pory ona dbała u niego o porządek, on po powrocie do domu upewniał się, że wszystko u niej działa jak należy.

W kuchni pstryknął czajnik. Drelich zalał herbatę i przeszedł z nią do salonu. Usiadł na kanapie i dmuchnął w kubek.

Nikodem zjawił się po pięciu minutach.

– Oglądamy coś dzisiaj?

Drelich zerknął na zegarek.

– Trochę późno – stwierdził cicho, jakby do siebie, ale zaraz sięgnął lewą ręką po pilota. – No dobra, ale rano nie będzie problemów ze wstawaniem. Co to ostatnio chciałeś? Creed? To było na Netfliksie czy... Ej, młody, co to za mina? Coś się tak skrzywił?

Chłopiec energicznie potrząsnął głową.

– Nie, tato, nic – zapewnił, uśmiechając się jakoś sztucznie. – I tak, Creed. Może być Creed! Na Netfliksie.

Drelich odstawił kubek na stół. Przejechał ręką po twarzy.

– Dobra, w czym problem? – zapytał. – Widziałeś już, tak?

– Noo. – Nikodem zwiesił głowę. – Z Krystianem. To znaczy on oglądał, a ja jadłem, ale potem się wciągnąłem i...

Zaszklily mu się oczy.

– Przepraszam – mruknął. – Wiem, że mieliśmy razem i w ogóle.

Drelich westchnął i poczochnął syna po głowie.

– Ech, ty czasem jesteś taki głupi, chłopie – powiedział. – Taki głupi. Krystian to jest ten chłopak mamy, tak?

Nikodem wzruszył ramionami, co w tym przypadku, o ile Drelich znał choć trochę mimikę syna, oznaczało, że tak, ale nic go to nie obchodzi.

– To chyba dobrze, że ogląda fajne filmy, nie?

Kolejne wzruszenie ramion, tym razem wzbogacone o pociągnięcie nosem.

Drelich objął syna ramieniem.

– Słuchaj, już kiedyś o tym gadaliśmy, nie? My z mamą nie wrócimy do siebie, wiesz o tym, prawda? Możemy się lubić, ale nie wrócimy.

– Wiem, tato.

– No a ten Krystian jest w porządku? Ale tak szczerze?

Chłopiec się skrzywił.

– Nudziarz. I w Crasha jeszcze gorszy od ciebie.

– No to już jest jakieś osiągnięcie, nie? – zaśmiał się Drelich. – A poważnie, stary. Jak jest w porządku dla was i dla mamy, to daj mu trochę luzu, okej? Ile oni się spotykają? Ze trzy miesiące? Cztery?

– Zośka go nie lubi. Mówi, że się rządzi w domu.

– A rządzi?

– Czasami. – Nikodem podrapał się po nosie. – No i jak zostaje na noc, to wieczorami każe nam iść spać i nie siedzieć przed telefonem. To znaczy teraz to nie zostaje, bo jest na jakiejś delegacji czy coś, ale jak przychodzi, to się rządzi.

Na ekranie telewizora włączyło się menu Netfliksa. Drelich bezrefleksyjnie zaczął przeskakiwać z filmu na film.

– Dobra – stwierdził w końcu. – Pogadam z mamą, dowiem się, jak to tam wygląda. Coś zaradzimy.

Nikodem zmarszczył czoło.

– A jeśli nie?

Drelich uniósł rękę i pstryknął.

– Zaufaj mi.

18

Krasowski zjawił się w biurze już o szóstej piętnaście, licząc, że spokojnie napije się kawy i ogarnie sprawy, których po wczorajszym telefonie nie dokończył.

Właściwie nie był zdenerwowany, ani wtedy, ani teraz. Co najwyżej trochę zaniepokojony. Rozmowa z tym facetem z Gdańska była kulturalna i rzeczowa, gość zachowywał się uprzejmie, nie podnosił głosu, zapytał, czy może zająć chwilę i czy to nie będzie problem. Gdy Krach zapewnił, że to żaden kłopot i słucha uważnie, facet poprosił o przysługę w imieniu swojego bezpośredniego zwierzchnika, pana Ornowskiego, dla kogoś, kto wkrótce się zjawi i powoła na jego nazwisko. I nie, niestety nie może podać więcej szczegółów, bo po pierwsze, ich nie zna, a po drugie, i tak nie mogliby rozmawiać o tym przez telefon, ale mimo to szczerze ufa, że Krach zrobi wyjątek w swoim godnym podziwu ostrożnym podejściu i zgodzi się w ciemno.

Krasowski oczywiście się zgodził. W Trójmieście był może ze cztery razy w życiu, w tym raz za dzieciaka, na wycieczce z kolonią, ale doskonale wiedział, kim jest pochodzący stamtąd Michał Ornowski i co może oznaczać wyświadczenie mu osobistej przysługi. Miał też graniczące z pewnością podejrzenia co do skutków ewentualnej odmowy.

Wszedł do budynku, przywitał się z nocnym stróżem, młodym barczystym chłopakiem o opuchniętych oczach, powoli szykującym

się do zejścia ze stanowiska. Wjechał na piętro windą i otworzył biuro. Jeszcze zanim przeszedł do siebie, włączył ekspres i wziął jedną z ulotek pobliskich śniadaniowni. Miał nadzieję, że gdy już odhaczy rozmowę, zachce mu się jeść. Kompletnie nie miał apetytu, ale dzień rozpoczęty bez śniadania zawsze kończył się bólem głowy.

Tym, co budziło niepokój Kracha, była całkowita niezdolność do przewidzenia, o jaką właściwie przysługę chodzi.

Raczej nie o pranie pieniędzy, bo trójmiejski boss z pewnością miał od tego swoich ludzi i szereg placówek o mniejszej i większej przepustowości. Nawet gdyby, co zawsze trzeba zakładać, coś mu się wysypało, Krach już by o tym usłyszał, a zresztą człowiek pokroju Ornowskiego na pewno miał jak i gdzie szybko przekierować strumień nielegalnej gotówki. Jeżeli opowieści o jego biznesowej sprawności były choć w połowie prawdziwe, cała operacja byłaby dla niego prostsza niż przestawienie wajchy na kolejowej zwrotnicy.

Gorzej, jeśli chodziło o wykorzystanie budowanej przez Kracha siatki. Jeżeli Ornowski potrzebował zewnętrznego złodzieja, włamywacza czy sklecenia mu na szybko grupy interwencyjnej, zapewne chciał nadepnąć komuś na odcisk. Tak robili pomniejsi, lokalni watażkowie z miast powiatowych w całym kraju, poszerzając w ten sposób strefy wpływów czy walcząc z napływowymi grupami, które próbowały osiedlić się na terenie w może nie do końca białych, ale przynajmniej jasnych rękawiczkach.

Rzecz w tym, że Ornowski nie był pomniejszym watażką. Miał na pęczki własnych ludzi, jeszcze więcej na wezwanie w razie

potrzeby. Nade wszystko jednak mógł działać otwarcie, gdy coś mu się nie podobało. Gdyby więc chciał wykorzystać siatkę, to wobec kogoś sobie równego albo nawet większego od siebie. Takiego kogoś, kto w razie ewentualnej wpadki nie będzie zadawał pytań: „Czy miał pan jakiś wybór, panie Krasowski?”, „Czy mógł pan odmówić?”. Czyli misja wysokiego ryzyka. Tylko czy wtedy człowiek Ornowskiego określiłby to mianem drobnej przysługi?

Zrobił sobie latte w wysokiej szklance i postawił ją na parapecie na czas włączania komputera. Odkąd pół roku wcześniej w nerwach zalał sprzęt i ważne dokumenty, bardzo tego pilnował. Gdy już wszystko było gotowe, usiadł, spił górną warstwę pianki i oblizał wąsy. Przeklikał kilka excelowych arkuszy i prezentację przesłaną mejlem, ale wciąż nie umiał się skupić. Miał tylko nadzieję, że skupienie przyjdzie wraz z apetytem – po rozmowie. Rozparł się na fotelu, splatając palce na karku.

Oczywiście pozostawała jeszcze trzecia ewentualność, najbardziej optymistyczna. Może Ornowski miał po prostu sprawę do załatwienia na miejscu. Fucha dla dzieciaka znajomego? Jakiś stażyk? Może załatwienie zniżki na mieszkanie, samochód czy wynajem lokalu? Gdyby chodziło o coś tej skali, faktycznie mógłby nie chcieć mówić o tym przez telefon, a i wybór Krasowskiego byłby tu całkowicie zrozumiały – człowieka, który załatwia rzeczy nie tylko legalne, suwaka regulującego skalę szarości według indywidualnych potrzeb.

Zadzwoił telefon z recepcji. Ponieważ Krasowski często zostawał po godzinach w biurze i czasami miewał wtedy gości,

sekretarka, wychodząc, zawsze ustawiała automatyczne łączenie z jego gabinetem. Odebrał.

– Panie prezesie, trzech panów do pana – powiedział chłopak z recepcji. – Nie chcą się przedstawić ani wpisać do księgi, ale mówią, że są z panem umówieni.

Krasowski zerknął na zegarek. Wpół do siódmej. Był pewien, że umawiał się na siódmą. Nie lubił ludzi przychodzących przed czasem chyba nawet bardziej niż spóźnialskich. Chociaż im szybciej udałoby mu się to załatwić, tym szybciej zjadłby normalne śniadanie i wziął się do pracy. Zresztą czy mógłby ich teraz nie wpuścić?

– Niech wejdą – polecił. Napił się kawy, wytarł wąsa i odsunął się na fotelu, by łatwiej mu było wstać.

A może to jednak szansa na coś dużego, jakiś przełom, przemknęło mu przez głowę, choć szybko stłumił tę myśl. Krach bywał optymistą, ale nigdy idiotą.

– Dzień dobry, panie Krasowski – powiedział ten, który wszedł pierwszy. – Kopę lat.

W zasadzie ze dwa, góra trzy, pomyślał Krach. Pamiętał dobrze chłopaka, jak zresztą wszystkich, którzy przewinęli się przez jego siatkę. Adaś, wciąż młody zadziór, trochę wyrywny, ale w gruncie rzeczy w porządku. Zaczynał od stania na bramkach i pilnowania agencji na mieszkaniach, potem trochę włamów, wreszcie kilka akcji na TIR-ach. Były z nim problemy, ale nie większe niż z każdym, kto przyszedł z ringu czy maty. Ot, trochę popisowy, niewyparzona gęba, kilka razy łapówki, by psiarnia nie szukała

tak intensywnie sprawcy pobicia. Krach żałował, gdy chłopak odchodził. Teraz nie miał pewności, czy cieszy się, że wrócił.

Wraz z Adasiem weszło dwóch gości wyraźnie od niego starszych. Pierwszy zwykłej budowy, o niezdrowej ziemistej cerze, miał na szyi złoty łańcuch, na nadgarstku zegarek z bransoletą w tym samym kolorze, a na serdecznym palcu prawej dłoni sygnet. Na czarny tiszert narzucił cienką grafitową kurtkę, chyba tylko po to, by nie afiszować się kaburą pod pachą. Drugi kumpel Adasia był nalany typem w tandetnej marynarce z podciągniętymi rękawami. Zaróżowione policzki i perły potu na czole sugerowały słabą kondycję albo początki jakiejś choroby. Mina, kwaśna i zboląła, przemawiała raczej za tym drugim.

Krasowski widział ich, gdy tylko weszli do sekretariatu, ale podniósł się, dopiero gdy zachęcony gestem Adaś wszedł do środka i wygłosił powitanie. Obszedł biurko i wyciągnął rękę do chłopaka.

– Faktycznie, Adaś, kopę lat – powiedział. – Widzę, że dobrze ci się wiedzie.

– Jest tu gdzieś kibel? – wtrącił się nalany.

Krasowski zamiast spojrzeć na niego, przeniósł wzrok na tego z ziemistą cerą.

– Przepraszam, bo się nie orientuję. W Gdańsku to opcjonalne?

Ziemisty parsknął. Dość otwarcie, co potwierdziło przypuszczenie Kracha, że ci dwaj są raczej równi rangą. Adasia ze względu na wiek traktowali pewnie trochę jak przynies podaj, ale zabrali tu jako znajomą gębę.

– Za sekretariatem w lewo i za zakrętem drugie drzwi po prawej – wyjaśnił Krach, wskazując na drzwi. – Powinno być

otwarte, ale jeśli nie, kolejne drzwi to toaleta dla niepełnosprawnych i tamtych nigdy nie zamykamy.

Nalany sapnął, ale nie skomentował. Gdy wyszedł, Krasowski przywitał się z ziemistym.

– Krasowski – przedstawił się. Zrobił pauzę, jakby się namyślał, po czym uśmiechnął szeroko i dodał: – W zasadzie to Krach.

– Szary. – Tamten uścisnął podaną rękę. Dłoń miał wąską, zimną, ale uścisk solidny.

– Siadajcie. – Krach wskazał na kanapę. – Wybaczcie, że nie przyjąłem was wczoraj. Miałem umówione spotkanie. Dobrze spaliście? Napijcie się czegoś?

Szary pokręcił głową.

– W zasadzie, panie Krasowski – Adaś podrapał się za uchem – to my tak na szybkości. Adres nam potrzebny jednego typu, co to nawywijał trochę. Pan z nim pracował i na pewno ma w bazie, więc jakby pan mógł, to weźmiemy i spadamy.

Zapadła cisza. Krasowski zmarszczył czoło i zmrużył oczy, jakby potrzebował chwili, by upewnić się, czy się nie przesłyszał. Adaś zerknął nerwowo w stronę Szarego, ale ten tylko uśmiechnął się krzywo.

– W zasadzie to napiłbym się kawy – powiedział. – Jakby pan mógł czarną, a ja szybko zadzwonię do Gdańska, że już jesteśmy na miejscu.

Krach wciągnął i wypuścił powietrze. Przejechał dłonią po brodzie. W końcu skinął głową.

– Dobrze, czarna kawa. Dla ciebie, Adaś, nic?

– A skoro już pan robi – chłopak minął ławę i opadł ciężko na kanapę – to ja bym chciał takie coś, jak pan tam ma na biurku. Nigdy nie wiem, to latte, nie?

– Tak, latte. Czyli czarna i latte. Zaraz wracam.

Poszedł do sekretariatu, upewnił się, czy w pojemniku jest dość mleka, i podstawił szklankę. Wykonując te czynności, machinalnie ganił się w myślach, że od razu nie wziął tego pod uwagę. A przecież takie rzeczy już się zdarzały. Nieczęsto, ostatnia lata temu, ale powinien był to przewidzieć.

Ktoś z jego siatki nawywijał, podpadł Ornowskiemu, robiąc coś głupiego na cudzym terenie, i teraz trzech ludzi przyjechało specjalnie po niego aż z Gdańska. Czyli raczej nie chodziło o drobiazg. Pierdoły dałoby się załatwić samym telefonem i prośbą o przysługę, bez fatygowania kogokolwiek przez pół Polski.

A co, jeśli przyjechali tu sprawdzić, czy on, Krach, nie miał z ową głupotą nic wspólnego? Czy nie była to robótka na jego zlecenie, cokolwiek tam się stało. Jeśli tak, to jak w razie czego udowodni, że nie jest wielbłądem?

– Kurwa. – Stuknął kostkami palców o blat. – Kurwa!

– Coś się zjechało?

Krach obejrzał się. Nalany wrócił z łazienki. W ręce wciąż trzymał fragment papierowego ręcznika, którym właśnie ocierał pot z czoła.

– Nie, w porządku. – Krach uśmiechnął się sztucznie. – Zapomniałem dolać mleka.

Nalany skinął głową.

– To dla mnie też jakaś z mlekiem, dobra? I cukrem.

– Jasne.

Krach odczekał, aż tamten wejdzie do gabinetu, i rozejrzał się za tacą, a potem cukierniczką. Latte akurat skończyło się parzyć.

Zupełnie inny problem, myślał, wiązał się z wydawaniem jednego ze swoich. Kimkolwiek był, jeśli pracował w siatce, często czy rzadko, znajdował się poniekąd pod ochroną Kracha. Jak się wyda i pójdzie fama, że wystarczy jeden błąd i telefon, by cała ta tarcza poszła się walić, to jaki zawodowiec będzie chciał z nim pracować? Kto go będzie szanował? Te poprzednie przypadki były ewidentne, bezdyskusyjne, a i tak odbiły się echem. Ten dzisiaj? Cholera wie. Tylko czy Krach mógł w ogóle rozważyć odmowę?

Gdy wrócił do gabinetu, Szary z Adasiem siedzieli już wygodnie na kanapie. Trzeci gość, do którego Adaś właśnie zwrócił się „Pumba”, zajął miejsce na jednym z dwóch foteli. Krach ustawił tacę na ławie, wziął swoją kawę z biurka i usiadł w tym drugim.

– I co, dodzwoniłeś się? – zapytał Szarego.

Ten skinął głową.

– Mam przekazać pozdrowienia i jeszcze raz podziękować za wolę współpracy.

– No właśnie, à propos... Pan Ornowski z pewnością zdaje sobie sprawę...

– Ograniczmy nazwiska do absolutnego minimum – wszedł mu w zdanie Szary. – W tej rozmowie potrzebne będzie właściwie tylko jedno. To, które połączysz dla nas z adresem.

Krach przymknął oczy, odetchnął i policzył w myślach do czterech.

– Wszyscy dobrze wiemy, że moja działalność opiera się na zaufaniu – powiedział spokojnie. – Ludzie, z którymi pracuję,

wierzą, że współpraca ze mną pozwoli im zachować anonimowość. To absolutna podstawa.

– A ktoś im zamierza odebrać tę wiarę? – zdziwił się Szary. Jednocześnie uniósł rękę, by uspokoić wierzącego się w fotelu Pumbę. – Panie Krasowski... Krachu, jeśli wolisz. Nie przyjechaliśmy tu rozmawiać o podstawach. Przyjechaliśmy zawinać jednego typa. Jeśli dasz nam jego adres, wyjdziemy, nawet nie dopijając tej pięknie pachnącej kawy, a o całej rozmowie będzie wiedziało nas czterech i dwie osoby w Gdańsku. Jeśli nam go nie dasz, szef będzie musiał zadzwonić po kolejną przysługę. A wtedy to ty pojedziesz z nami do jakiegoś przytulnego miejsca, pewnie niedaleko. Tam porozmawiamy w taki sposób, że ostatecznie spełnisz naszą prośbę. Różnica polega na tym, czy będziesz po tym w stanie jeszcze prowadzić swój biznes.

– I chodzić – odpowiedział Pumba, nie mogąc się już powstrzymać. – No dalej, chcesz coś powiedzieć, nie? Chcesz...

Krach milczał. Spojrzał na Adasia. Ten sprawiał wrażenie zażenowanego całą sytuacją. Pytanie tylko, czy bardziej wstydził się za kolegów przed nim czy przed kolegami za niego. Może obiecał im, że załatwi sprawę od ręki, bez najmniejszego problemu? Może to była jego szansa na awans w strukturach?

Sięgnął po kawę. Upił, palcami przetarł wąsa.

– O kogo chodzi? – zapytał w końcu.

Szary błysnął poźółkłymi zębami pasującymi kolorystycznie do ozdób, którymi się obwiesił.

– Zanim powiem, Krach, chciałbym, żebyśmy ustalili jeszcze jedno – powiedział. – Ja nie żartowałem z tymi sześcioma osobami. Naprawdę nikt poza nami nie wie o naszej wizycie,

nikogo więcej nie pytaliśmy o tego typu, więc jeśli teraz okaże się, że ktoś go ostrzeże... No cóż... Sobie ufamy, rozumiesz, prawda?

Krach pokiwał głową. Powoli, niechętnie, ze świadomością, że może zapomnieć dziś o śniadaniu czy robocie. Czuł, jak narasta w nim ten najgorszy rodzaj wkurwu. Bezsilny.

– Rozumiemy się – mruknął. – Jak nazywa się wasz facet?

– Drelich – powiedział Adaś. – Chodzi nam o Drelicha.

Nie odprowadził ich, gdy wychodzili. Wstał tylko, uściśnął im po kolei ręce i bez zbędnego komentarza przyjął podziękowania za współpracę. Gdy zniknęli za drzwiami, usiadł za biurkiem, oparł łokcie na blacie i zanurzył palce we włosach.

– Kurwa, Drelich, w co ty się wjebałeś?

Spojrzał na leżący na stole smartfon, potem na drzwi i na zegarek. Dał im trzy minuty na zjazd windą oraz wyjście z budynku, sięgnął po pęk kluczy, wyłowił najmniejszy z nich i otworzył najniższą szufladę w biurku. W środku leżało pięć telefonów, każdy naładowany z kartą prepaid zarejestrowaną w salonie na jakiegoś Ukraińca. Wybrał jeden, włączył go i dopijając kawę, czekał, aż się uruchomi. Zastanawiał się, dla jak wielu ludzi, z którymi przez lata pracował, zdobyłby się na coś takiego. Przyszło mu do głowy czterech. Dwóch dawno nie żyło.

Sprawdził w swoim telefonie numer Drelicha i wbił go w nowym aparacie. Jeszcze raz zerknął na zegarek, a potem na drzwi. Westchnął i wybrał „Połącz”.

19

Drelich rozpoczął dzień w sposób typowy dla siebie – od szklanki wody z cytryną, dwudziestu minut intensywnych ćwiczeń i kilkuminutowego prysznica pod na przemian letnią i lodowatą wodą. Robił to wszystko bez kontrolowania czasu, na wyczucie, ale gdy wyszedł z kabiny, sprawdził godzinę. Była szósta czterdzieści pięć.

Wytarł się energicznie, aż zaczerwieniła mu się skóra, ubrał się, zapiął zegarek, a następnie przestawił budzik w telefonie na siódmą piętnaście i cicho wszedł do pokoju Nikodema. Chłopiec spał na boku, z lewą ręką pod poduszką i z kołdrą wciśniętą między podkurczone nogi. Pochrapywał cicho, oddychając przez rozchylone usta. Normalnie o tej porze powinien już jeść śniadanie, ale wczoraj późnym wieczorem na Librusie odwołano pierwszą lekcję z powodu choroby nauczyciela, więc Drelich – nauczony przez stryja w dzieciństwie, że prawdziwy przyjaciel to ten, kto daje ci jedzenie albo spokój – pozwolił synowi jeszcze pospać.

Teraz upewnił się, że dźwięk w telefonie nie jest wyciszony, i położył urządzenie na biurku. Wyszedł równie cicho, w przedpokoju włożył buty, wziął z szafki portfel, materiałową torbę i wyszedł na zakupy.

W Biedronce po drugiej stronie ulicy prawie nie było ludzi, ale gdy już wrzucił do koszyka jajka, chleby dla nich i pani Marysi,

masło, wędzony boczek, trzy pomidory i dwa jabłka, okazało się, że akurat niemal wszyscy w tym samym momencie ustawili się w kolejce do jedynej otwartej kasy.

Drelich stanął na końcu ogonka wchodzącego pomiędzy regały z chemią spożywczą i zerknął w stronę nieczynnych kas samoobsługowych. Sześć stanowisk instalowano już przeszło miesiąc i choć dziś wyglądały w zasadzie na gotowe i w pełni funkcjonalne, ekrany monitorów wciąż pozostawały czarne, a przejście niczym na miejscu zbrodni blokowała rozciągnięta taśma.

Minęło pięć minut, zanim zbliżył się do kasy na tyle, by mógł wyłożyć zakupy, i niemal w tym samym momencie ogłoszono, że zostanie otwarta kasa obok. Dwie z trzech osób, które stały za Drelichem, natychmiast się tam przenieśli i zostały obsłużone szybciej niż on, bo kobieta przed nim próbowała wmieszać między dwa kilo jabłek cztery awokado, a potem za wszelką cenę wmówić kasjerce o zmęczonej twarzy, że to nieporozumienie. W końcu anulowała zakup i wyszła, klnąc pod nosem, a Drelich, sprawdzwszy czas, stwierdził, że chleb zanieśie pani Marysi już po śniadaniu.

Wrócił do domu i zdziwił się, bo Nikodem nie tylko już nie spał, ale zdołał się nawet zebrać do łazienki. Wyszedł stamtąd akurat, gdy Drelich wykladał zakupy na blat w kuchni. Buzię miał jeszcze napuchniętą od snu, ale oczy przytomne, a ruchy pozbawione porannej ociężałości.

- Wcześniej wstałeś – zauważył Drelich.
- Bo zostawiłeś u mnie telefon – odparł z wyrzutem chłopiec. – Jakiś nieznany numer się do ciebie dobija.

– Co znaczy dobija?

– No ze cztery albo pięć razy dzwonił. I ze trzy esemesy wysłał.

Drelich odłożył opakowanie boczku, które właśnie miał zamiar otworzyć.

– Patelnię wyjmij – polecił i pobiegł do pokoju syna.

Złapał za telefon, odblokował i nie czytając wiadomości, oddzwonił na nieznany numer. Sygnał był zajęty, więc rozłączył się i odczekał trzydzieści sekund, obstawiając, że pewnie próbują dobić się do siebie nawzajem.

Odebrał, gdy tylko urządzenie zawibrowało mu w ręce.

– Jestem – powiedział.

– Drelich, kurwa, nareszcie! – Usłyszał w telefonie podekscytowany głos Krasowskiego. – Powiedz mi, bo to ważne: ty masz dzisiaj u siebie swoje dzieciaki, nie? Dobrze kojarzę?

– Syna.

– Kurwa mać! – sapnął Krasowski. – Kurwa, pierdolona...

– Co się dzieje?

– To się dzieje, że jadą po ciebie! – Głos Krasowskiego wszedł w wyższy rejestr. – Próbowałem się dodzwonić od razu, jak ode mnie wyszli, ale...

– Poczekaj! Moment!

Krasowski posłusznie zamilkł. Drelich przymknął oczy i zrobił dwa głębokie wdechy. Następnie rozejrzał się po biurku w poszukiwaniu czegoś do pisania. Znalazł ołówek i kartkę z jakimś koślawym rysunkiem. Przyłożył telefon do drugiego ucha i docisnął aparat ramieniem.

– Teraz. Po kolei, konkretnie. Kto po mnie jedzie?

– Trzech gości z Gdańska. Z ramienia Ornowskiego. Jest z nimi Adaś, z którym kiedyś robiliście razem TIR-y, pamiętasz? Taki młody chłopak, zadziorny...

– Pamiętam – skłamał Drelich, ucinając wątek. – Czego chcą?

– Nie powiedzieli. Ale to poważna sprawa. Człowiek Ornowskiego dzwonił, goście mają spluwy, to znaczy jeden na pewno, drugi chyba też. Tylko ten Adaś...

– Kiedy wyjechali? Dokładny czas.

Krasowski nie musiał się zastanawiać.

– Odczekałem trzy minuty od momentu, jak wyszli, na wypadek, gdyby mieli...

– Dokładna godzina, Krach!

– Czekaj, sprawdzam... Szósta pięćdziesiąt cztery.

Drelich zerknął na zegarek. Dochodziła siódma piętnaście, co dawało im dwadzieścia minut. Szybko zapisał na kartce normalną długość trasy od Krasowskiego do niego, która wynosiła około piętnastu minut autem przy normalnym natężeniu ruchu. To poranne mogło mu kupić od kwadransa do nawet pół godziny, jeśli faktycznie goście byli nie stąd i posługiwali się GPS-em. Ale jeśli ten cały Adaś znał Warszawę albo mieli aplikację do omijania korków, to w zasadzie powinni tu być lada chwila.

– Drelich – odezwał się Krasowski. – Jak się dowiedzą, że dałem ci znać...

– Wiem, Krach. Rozumiem.

– I Drelich, musiałem im powiedzieć. Wiedzieli, że się znamy, że dla mnie robisz. A gdyby nie u mnie...

– ...szukaliby innymi kanałami – dokończył Drelich, domyślając się, co tamten chce powiedzieć. I właściwie się

zgadzał. – Dobrze zrobiłeś. Ktokolwiek to jest, lepiej, żeby dotarł do mnie bezpośrednio, nie przez Izkę i dzieciaki. Dzięki. Odezwę się później. Cześć.

Rozłączył się i z telefonem w ręce przeszedł do drzwi wejściowych.

– Zostaw śniadanie, wkładaj buty – polecił, mijając kuchnię. – Żadnych pytań teraz.

Wyszedł na klatkę. Winda stała, więc posłał ją na najwyższe piętro i kilka sekund nasłuchiwał, czy ktoś nie idzie po schodach, po czym wrócił do mieszkania.

Nikodem siedział na stołku z kolanem podciągniętym pod brodę i stopą na siedzisku. Wiązał buta, z niepokojem przyglądając się ojcu.

– Coś się stało? – zapytał.

– Tak – odpowiedział Drelich, możliwie spokojnym głosem. – Nic bardzo poważnego, ale potrzebuję, byś teraz współpracował i nie zadawał pytań, dobrze?

Chłopiec powoli skinął głową.

– Tak, tato – powiedział. Głos mu drżał, w szeroko otwartych oczach pęczniał strach.

– Obiecuję ci wszystko wyjaśnić wieczorem, dobrze? – Drelich spróbował się uśmiechnąć. – Na razie pójdziesz do pani Marysi i zaczekasz tam na mamę. Zaraz po nią zadzwonię i...

– Tato, co się dzieje? – Głos Nikodema załamał się jak przy mutacji, a oczy zaszklily.

Drelich poczuł przemożną ochotę, by przyklęknąć teraz i przytulić chłopca, jakoś go pokrzepić, podbudować, może mimo wszystko załagodzić sprawę. Zamiast tego wszedł do kuchni, wziął

chleb dla sąsiadki i muffiny, które zostały im z wczoraj. Zapakował wszystko do reklamówki, upewnił się, że Nikodem ma już na nogach oba buty, i wcisnął chłopcu torbę w rękę.

– Nie denerwuj się. Wszystko będzie dobrze, wyjaśnię ci wieczorem. Telefon masz?

Chłopiec otarł oczy rękawem.

– Mam.

– No to idziemy.

Złapał za plecak syna i wyszedł na korytarz. Zobaczył, że winda zjeżdża z samej góry, i momentalnie wcisnął przycisk przywołania.

– Windą? – zdziwił się Nikodem.

– Nie, chodź.

Weszli piętro wyżej i Drelich zadzwonił dwa razy. Usłyszał krzątanie za drzwiami, a zaraz po niej dźwięk odsuwanej klapki wizjera i szczęk zamków. Zerknął na windę. Na zegarek. Na syna.

W progu stanęła kobieta po siedemdziesiątce o krótkich, nieregularnie przyciętych włosach, teraz rozczochranych i odstających każdy w inną stronę. Miała na sobie ładny szlafrok w słoneczniki, a na nosie duże okulary w szerokich czerwonych oprawkach.

Gdy zobaczyła chleb w rękach Nikodema, rozpromieniła się.

– Och, panie Marku. Naprawdę nie trzeba... – zwróciła się do Drelicha, ale ten uciszył ją, przykładając palec do ust.

– Pani Marysiu, prosba jest. Bo ja muszę teraz pilnie coś załatwić i czy Nikodem mógłby u pani zaczekać na mamę? Wszystko później wyjaśnię, tylko żeby dała mu pani jakieś śniadanie i żeby mógł zaczekać.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– No oczywiście, panie Marku. Chodź, Nikodem.

Chłopiec zerknął na ojca.

– Tato, powiedz...

– Powiem, obiecuję. Później – powiedział tonem ucinającym dyskusję. Zaraz jednak, by troszkę go złagodzić, uśmiechnął się lekko i sięgnął do kieszeni. – Zapomniałbym. To dla ciebie. Do Fortnite’a.

Wręczył synowi kartkę, po czym delikatnie wepchnął go w głąb mieszkania. Plecak podał pani Marii.

– Wszystko wyjaśnię. Proszę teraz nie wychodzić, dobrze? Przez co najmniej pół godziny albo nawet godzinę.

Nie czekając na odpowiedź, zbiegł po schodach. Dopiero kiedy usłyszał z góry szcęk zamków, wszedł do mieszkania.

Zamknął drzwi na klucz. Wybrał numer do Izy, przełączył na głośnik i położył telefon na stołku, który Nikodem zostawił w przedpokoju. Zsunął buty i skarpetki i boso przeszedł do dużego pokoju. Otworzył jedną z szuflad i wyjął z niej małe pudełko, a z niego dwa plastry – jeden okrągły na odciski, a drugi zwykły, cielistej barwy, oba z podwójną warstwą wypełnienia. Pierwszy z nich przykleił do palucha prawej stopy, drugim owinał i okleił palec wskazujący lewej ręki, usztywniając go od paznokcia aż po drugi staw.

Sygnal telefoniczny wybrzmiał miarowo po raz piąty i odezwała się poczta. Drelich usłyszał głos Izy zapewniającej, że choć teraz jest zajęta, a poczta głosowa to już właściwie przeżytek, ona i tak odsłucha oraz oddzwoni, gdy tylko będzie mogła. Wrócił do przedpokoju akurat, gdy wybrzmiał sygnał.

– Iza, Nikodem jest u pani Marysi, dostanie śniadanie i będzie na ciebie czekał. Ma swój telefon. – Mówił spokojnie, głośno i wyraźnie, starając się uporządkować myśli i skupić na konkretach. – Mam kłopoty, ale nie znam szczegółów. Ktoś po mnie jedzie. Zamierzam ich odciągnąć od domu i odezwę się, gdy to załatwię. Jest w tej chwili – sprawdził zegarek – siódma dwadzieścia trzy. Nie przyjeżdżaj przed ósmą. Młody ma na dziewiątą do szkoły, więc zdąży. Ten telefon będzie nieaktywny. Odezwę się z innego. Cześć.

Wrócił do pokoju, wyłączył komórkę i wrzucił ją do szuflady, a z leżącego tam pudełka wyjął mniejszy, mocno sfatygowany aparat. Włączył i wepchnął do kieszeni. Włożył skarpetki, w łazience zdjął tiszert i zwilżył włosy, by wyglądały, jakby świeżo wyszedł spod prysznica.

Zamknął drzwi do pokojów dzieci, wyłączył telewizor, przełączył na śniadaniówkę, pogłośnił i przeszedł do kuchni.

Zdażył rozgrzać patelnię, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Sprawdził czas. Za siedemnaście ósma. Zdjął patelnię z gazu.

Dzwonek rozbrzmiał ponownie, trzy naciśnięcia, raz za razem, po czym ktoś energicznie zastukał.

– Chwila! Pali się? – zawołał. W odpowiedzi ponownie rozległo się pukanie. – No dobra, idę już, idę!

Odetchnął głęboko, podszedł do drzwi i poruszył klapką wizjera, ale nie przyłożył do niego oka, tylko na moment zasłonił kciukiem.

Przekręcił klucz w zamku, otworzył. Zobaczył dwóch mężczyzn: młodego, którego rzeczywiście mgliście kojarzył, i grubszego spoconego typu z podwiniętymi rękawami marynarki.

Trzeciego, który stał na schodach przyklejony do ściany, usłyszał, ale nie dał tego po sobie poznać.

– O co chodzi? – zdążył zapytać, nim ten trzeci nagle wyskoczył zza winkla i wepchnął go do mieszkania. Pozostali dwaj rozejrzeli się, po czym również weszli i zamknęli za sobą drzwi.

20

Iza leżała na brzuchu po przekątnej materaca, ubrana wyłącznie w satynowe spodenki od piżamy i przecięta niemal na pół szerokim pasem białego światła z niedociągniętej żaluzji. Ręce i nogi rozrzuciła szeroko, jakby próbowała stworzyć na pomarszczonym prześcieradle śnieżnego anioła. Kosmyki rozrzuconych w nieładzie włosów opadały jej na twarz, jeden z krótszych, unoszony oddechem, musiał ją łaskotać, bo raz po raz wywoływał nerwowe tiki. Z kącika jej lekko rozchylnych ust sączyła się cienka strużka śliny. Wsiąkała w małą czerwoną poduszkę w kształcie uproszczonego, ale zgodnego z anatomią serca.

Na parapecie obok dogorywającego białego storczyka stała lampka z niedopitą resztką różowego wina. Obok niej pilot do telewizora z salonu i telefon, na którym w ciszy pojawiały się i znikwały kolejne informacje o połączeniach, esemesach i powiadomienia czatu.

Tuż przed siódmą Krystian, zakłęty w maleńkie messengerowe kółeczko przystojny szatyn, oblepiony zaschniętym błotem pokonanego Runmagedonu, podziękował jej za nocne telefoniczne pogaduchy. Napisał, że choć jest niewyspany i nie ma pojęcia, jak da radę na dzisiejszej konferencji, to zdecydowanie było warto. Wyraził też nadzieję, że następny film obejrzą już za dwa dni, siedząc tym razem na tej samej kanapie.

Na koniec dorzucił GIF-a z łysym staruszkim pytającym „Netflix and chill?”.

Iza zamruczała coś niezrozumiale, przewróciła się na bok i podrapała w nogę. Za oknem przejechał samochód, z którego łomotało basowe technodudnienie. Skrzywiła się i oblizała wargi.

Pięć po siódmej po raz pierwszy zadzwoniła Ewa. Telefon ustawiony w tryb nie przeszkadzać i tym razem nie przepuścił dźwięku, ale na ekranie pojawiło się zdjęcie z ostatniego sylwestra: Iza z przesuniętą na bok maską starej wiedźmy, a Ewa z podniesioną na czoło tekturową twarzą Putina. Obie śmiały się do obiektywu, pijąc kolorowe drinki przez zakręcone słomki. Były już wtedy solidnie pijane.

Ewa próbowała się dobić pięć razy, dzwoniąc co cztery, pięć minut. Pomiedzy połączeniami napisała dwie wiadomości: „Oddzwoń, pilne”, i niedługo później, bardziej szczegółową: „Hotel na dziś nie ma wolnej chłodni”.

W międzyczasie zadzwonił Drelich. Nie miał przypisanego do kontaktu zdjęcia, więc przez kolejne trzydzieści sekund pozostał tylko jasnym nazwiskiem na ciemnym tle w górze ekranu. Gdy zniknął, do puli esemesów dołączyła informacja poczty głosowej o jednej nowej wiadomości. Iza uczciła ten fakt mimowolnie, skopując kołdrę na podłogę.

Trzydzieści sekund później Ewa podjęła ostatnią już próbę, a Zosia za pomocą WhatsAppa chciała się dowiedzieć, czy może po szkole pojechać do Arkadii, bo jest jakaś akcja w kinie, a tata nie odbiera. Gdyby akurat ona zadzwoniła, zamiast skorzystać z aplikacji, miałyby szansę na uzyskanie odpowiedzi, bo Iza, ustawiając opcję wyciszania telefonu, wpisała numery dzieci jako

wyjątki. Pytanie, czy byłaby to odpowiedź satysfakcjonująca dla piętnastolatki.

Ostatecznie Izę obudził dopiero pojedynczy sygnał domofonu kwadrans później. Krótki urwany trel, głośny i niespodziewany jak przypadkowy wystrzał, sprawił, że nagle się poderwała. Odgarnęła włosy z twarzy, z obrzydzeniem starła ślinę z odrętwiałego policzka i spojrzała na stojący na komodzie zegarek. Dochodziła ósma. Domofon nie zadzwonił ponownie, co oznaczało albo pomyłkę, albo listonosza.

Usiadła na skraju łóżka, podrapała się po nagiej piersi i mlasnęła kilka razy z niesmakiem, czując w ustach nieprzyjemną kwaśność. W skroniach pulsowały załączki kaca, miała też wrażenie, że ktoś sypnął jej piaskiem w oczy.

Rozejrzała się po pokoju. Zobaczyła kołdrę na podłodze, ale nie miała siły się po nią schylać. Z tego samego powodu nie sięgnęła do parapetu po telefon i pilota. Poszła do kuchni, łyknęła aspirynę i wypila jedną po drugiej dwie szklanki wody z cytryną i miętą, a potem do łazienki, żeby się wysikać i nastawić kąpiel. Z rozlicznych płynów, których nakupowała na promocjach, wybrała ten o zapachu mango, chlusnęła nim solidnie i pieniąc wodę, przyrzekła sobie, że gdy już wejdzie do wanny, nie opuści jej przynajmniej przez godzinę. Wszystkie zaplanowane na dziś aktywności, poczynając od treningu, a kończąc na dekorowaniu tortu, i tak miała zaplanowane dopiero na popołudnie.

Próbowała sobie właśnie przypomnieć, jaki film oglądali wczoraj z Krystianem, oddaleni od siebie o tysiąc kilometrów czy ile tam było z Warszawy do Sztokholmu, gdy telefon w końcu zadzwonił, rozbrzmiewając muzyką z filmu Fortepian.

Utwór ucichł, zanim doszła do pokoju, ale rozległ się znowu, gdy wzięła aparat do ręki. Na ekranie mały szczerbaty chłopiec śmiał się do obiektywu i szedł w jego stronę, ściskając palce wskazujące dużych męskich dłoni.

Nawet, kurwa, dnia spokoju, pomyślała, zaczesując włosy do tyłu i spinając je gumką. Odchrząknęła i odezwała się na próbę, by upewnić się, że nie zachrypi jak ostatni menel. Odebrała.

– No co tam, Niko, czego zapomniałeś? – zapytała.

Chłopiec nie odpowiedział od razu, a gdy się w końcu odezwał, ton jego głosu i słowa, które wypowiedział, z miejsca ją rozbudziły.

– Mamo, możesz już po mnie przyjechać?

21

Przynajmniej jeden cios, nawet jeśli zupełnie niepotrzebny, był nieunikniony. Drelich zdał sobie z tego sprawę, gdy tylko zobaczył grubasa przekraczającego próg. Jednocześnie już wtedy wiedział, że jeśli tamten nie założy kastetu, cios będzie również kompletnie niegroźny. Grubemu pewnie zdarzało się w życiu bić ludzi, ale sądząc po tym, jak się ruszał i w jaki sposób zacisnął pięść, raczej nie zaliczał się do fachowców.

Żyłasty typek obwieszony złotem, który wepchnął Drelicha do mieszkania, teraz przypierał go do ściany, jednocześnie trzymając za tizert i dociskając przedramieniem krtań. Jego oddech śmierdział wspomnieniem po sosie czosnkowym. Pod pachą miał spluwę, ale zważywszy na ustawienie, w jakim się znajdowali, była to bardziej opcja dla Drelicha. Wystarczyłyby maksymalnie cztery ruchy.

– To na pewno on? – zapytał facet.

– On – zapewnił wesoło ten młody, Adaś. – Siema, Drelich. Pamiętasz mnie?

Żyłasty poluzował nacisk na krtań.

Drelich odchrząknął, rozejrzał się, mając nadzieję, że jego dezorientacja sprawia wrażenie przekonującej. Uznał ją za zdrowy kompromis – przestрах byłby krokiem za daleko, cwaniakowanie głupotą. Piętro wyżej Nikodem wciąż czekał na Iżę, a oni we trzech znajdowali się na jego terenie. Jedyne, co tak

naprawdę masz ze swojego terenu, jak mówiła jedna z mądrości stryja Józefa, to swoje szkody po wszystkim.

– Pamiętam – powiedział. – Pracowaliśmy razem. Powiecie, o co tu chodzi? Bo chyba zaszła jakaś pomyłka.

Gruby prychnął i wyjął z kieszeni telefon. Odblokował i patrząc na ekran, położył rękę na ramieniu żylastego.

– Szary, puścisz mnie? – zapytał.

Żylasty – Drelich zakodował sobie jego ksywkę – odsunął się na dwa kroki. Gruby zajął jego miejsce i zrobił gospodarzowi kilka zdjęć. Następnie schował aparat do kieszeni i uśmiechnął się szeroko. Na jego pucułowatej, choć nalanej twarzy ten grymas wyglądał nawet przyjaźnie.

– No to zaraz się dowiemy, czy to pomyłka, nie? – powiedział.

I wtedy właśnie zadał cios. Bardzo krótki, niewprawny, wyprowadzony prosto na napięte mięśnie brzucha. Drelich musiał się naprawdę postarać, by wiarygodnie wyrzucić z siebie resztkę powietrza wraz z drobinkami śliny, zrobić wielkie oczy i zgiąć się, a potem lekko osunąć na kolana.

Jednocześnie kątem oka obserwował Adasia. Wiedział, że chłopak umie walczyć i z tych trzech to on stanowiłby potencjalnie największe wyzwanie w pojedynkę. Trudno powiedzieć, ile ze sportowych doświadczeń przeniósł kiedykolwiek na ulicę, ale oczywiście lepiej było zakładać, że sporo. Dodatkowy problem stanowiło to, że Drelich nie miał pojęcia, co chłopak o nim wie. Nie przypominał sobie, by tamten kiedykolwiek widział go w innej roli niż jako kierowcę, ale mogli przecież zasięgnąć języka.

– No, już, już, wstawaj – powiedział Gruby. – Sam tu jesteś?

– Sam.

Gruby zajrzał do salonu, cmoknął, splunął na podłogę.

– Czysto – zauważył. – W lodówce coś masz?

Drelich przeniósł wzrok na Adasia. Wolałby na tego drugiego i to z nim rozmawiać, ale musiał pozostawać w roli, a zaskoczony w domu człowiek w takiej sytuacji odruchowo szuka punktu zaczepienia. Czegoś znajomego, do czego może się odnieść. Lub kogoś.

– Słuchaj, naprawdę nie wiem, o co chodzi – zaczął. – Może mi powiecie, a ja spróbuję wyjaśnić.

– A co chcesz wyjaśniać, jak to pomyłka? – zapytał Gruby.

Wszedł do kuchni, spojrzał na blat z wyłożonymi zakupami.

– To wszystko na śniadanie? – zapytał.

– Nie, zakupy zrobiłem – odparł Drelich. – Pokończyło się w lodówce.

– Tak nagle się skończyło?

Szarego wyraźnie irytowała ta wymiana zdań, bo raz po raz zerkał na zegarek i wybijał palcami rytm na szwie spodni. W końcu nie wytrzymał.

– Sprawdzisz, czy dostałeś odpowiedź? – zapytał Grubego.

– Zawibruje mi – mruknął tamten. – Kurwa, chyba sobie jajka zrobię. Naprawdę zgłodniałem.

Szary przewrócił oczami.

– Adaś, ty jesteś pewien, że to on? – zapytał.

– Na sto procent.

– No to czekajcie, przeszukam go.

Zrobił to pobieżnie i bez specjalnego starania. Gdy skończył, odsunął się i zajrzał do kuchni.

– Bierzemy go, Pumba. Zjesz po drodze.

– Gdzie, kurwa, na Orlenie staniemy?! Z nim?!

Adaś parsknął, Szary przejechał ręką po twarzy. Drelich wodził wzrokiem od jednego do drugiego, jednocześnie składając w głowie strzępki pozyskanych informacji. Wciąż pełno było niewiadomych, ale zważywszy na to, jak swobodnie przy nim rozmawiali, nie będzie musiał w ogóle zadawać pytań, jeśli tylko okaże się karny i posłuszny. Teraz liczyło się w zasadzie jedynie to, czy przewidział wszystkie warianty rozwoju obecnej sytuacji. Obstawiał, że dowie się w ciągu godziny.

– Słuchaj – zwrócił się do niego Szary. – Rozumiesz, że jesteś w dupie, nie? Na razie tylko troszkę i może na tym się skończy, ale chciałbym, żebyś wiedział, że to poważna sytuacja. A jak będziesz utrudniał, wylądujesz w dupie po uszy, łapiesz?

Drelich skinął głową.

– Zabierzemy cię teraz i zawieziemy do człowieka, który musi z tobą porozmawiać – kontynuował Szary. – On ci powie, w jakiej sprawie, on też stwierdzi, czy mówisz mu prawdę. Od niego wszystko zależy. Łapiesz?

Drelich ponownie skinął głową. Obejrzał się na Adasia i wrócił wzrokiem do Szarego.

– Daleko? – zapytał.

– Co daleko?

– Czy daleko będziemy jechać? – uściślił Drelich. – Słyszałem o jedzeniu na jakimś Orlenie, czyli pewnie za miasto. Nie pytam gdzie, ale pytam, czy daleko.

– A na chuj ci to wiedzieć? – zapytał Pumba, który właśnie wychylił się z kuchni, trzymając w ręce dwa owsiane ciastka. – Masz tu jakiegoś dzieciaka?

Drelich westchnął. Wiedział, że nie ma sensu kłamać, skoro grubas namierzył pudełko śniadaniowe z ciastkami, którego Nikodem nie zabrał, a on nie zauważył. Teraz wystarczyłoby, żeby weszli do zamkniętych pokoi i zobaczyli meble, rzeczy. Wybrał bezpieczną opcję.

– Mam. W szkole jest.

– O której wraca? – zainteresował się Szary.

– Nie wraca – odparł Drelich i zaraz doprecyzował. – Znaczą matka go odbiera dzisiaj. Był u mnie tylko kilka dni.

Pumba pokręcił głową z dezaprobatą.

– Kurwa, stary, dałeś sobie dzieciaka odebrać? Co ty naprawdę kolegów w branży nie masz?

– No właśnie mam. – Drelich pokazał brodą na Adasia, czym wywołał wesołość całej trójki. Postanowił skorzystać z niej, by wrócić do wcześniejszego tematu. – A pytałem o tę odległość, bo jak daleko, to muszę jakąś kasę na powrotny wziąć. Kartę chociaż. Przecież mnie nie odwieziecie, gdy już to wszystko okaże się pomyłką.

Szary odruchowo łypnął w stronę Pumby.

– Weź, weź – powiedział. Uśmiechnął się nawet, ale było już za późno. To jedno niekontrolowane zerknięcie powiedziało Drelichowi wszystko, co chciał wiedzieć.

Adaś wszedł do windy pierwszy, za nim Drelich z rękami skrępowanymi trytytką z przodu i zasłoniętymi bluzą, Szary i na wdechu Pumba. Zjechali w milczeniu i dopiero na parterze Drelich powiedział dzień dobry sąsiadce spod dziewiętnastki szarpiącej się ze spacerowym wózkiem.

– Pomóc? – zaproponował i natychmiast poczuł gniewne spojrzenie Szarego.

Kobieta zachichotała i szybko pokręciła głową.

– Nie, dziękuję. Mąż zaraz będzie, to pomoże.

Z jej mężem, chudym chłopakiem po trzydziestce o grafitowych włosach, sterczących bez ładu we wszystkich kierunkach, minęli się w wejściu. Cofnął się, by ich wypuścić, przywitał się z Drelichem i wyglądało, jakby chciał o coś zapytać, ale odpuścił.

Wyszli na zewnątrz. Było ciepło, choć jeszcze nie gorąco. W powietrzu niósł się mocny zapach smażeniny z pobliskich bud gastronomicznych i mieszał z kwietną wonią płynu do mycia okien. Na parkingu zamiast samochodów sterczały czerwono-białe blokady miejsc. Ławkę pod drzewem zaklepało dwóch emerytów, a łysy facet ze szczeniakiem na smyczy próbował jednocześnie sprzątnąć psią kupę z trawnika, utrzymać pupila w ryzach i kontynuować rozmowę przez telefon dociskany uchem do barku.

Drelich rozejrzał się, jednak nigdzie nie dostrzegł samochodu Izy. Uniósł ręce, by spojrzeć na zegarek, ale zasłaniała mu bluza.

– Spieszysz się gdzieś? – zapytał Adaś. – Jakies plany na dziś?

– Żadnych.

Zatrzymali się przy czarnej hondzie civic VIII, trzydrzwiowym modelu sportowym. Drelich jeździł kiedyś takim, ale tylko raz jako kierowca. Uważał, że to dobre auto, dynamiczne i zaskakująco pojemne. W dodatku hatchback, więc założył, że raczej nie powiozą go w bagażniku.

Adaś wcisnął przycisk na pilocie, obszedł auto i otworzył drzwi od strony pasażera. Z jakiegoś powodu nie chciał ruszać fotela kierowcy, co mogło, ale nie musiało mieć znaczenia.

– Jak jedziemy? – zapytał.

– Tak samo – odparł Szary i wsiadł jako pierwszy. Zajął miejsce za kierowcą, nie zapinając pasa.

Drelich uśmiechnął się do dwóch dziewczyn, które przechodziły właśnie chodnikiem po drugiej stronie niskiego żywopłotu. Jedna z nich, filigranowa krótkowłosa brunetka odpowiedziała uśmiechem.

– Teraz ty – polecił Pumba, klepiąc go w plecy.

Posłusznie obszedł auto i powoli wsiadł. Po drodze przyjrzał się progowi drzwi i uchwyтови regulacji siedzenia. Na wszelki wypadek, żeby w razie czego nie polegać na zawodnej pamięci. Usiadł i sięgnął po pas.

– Zostaw – polecił Szary. – Nie będzie ci potrzebny.

Oparcie opadło, a zaraz potem samochód przysiadł mocniej na amortyzatorach. Pumba poprawił się na siedzeniu pasażera i zapiął pas, a miejsce za kierownicą zajął Adaś. Wycofał i spokojnie wyjechał na drogę. W tym czasie Szary usiadł bokiem i patrzył, uśmiechając się prowokująco, jakby tylko czekał na jakiś ruch ze strony Drelicha.

Drelich siedział spokojnie, trzymając ręce między nogami. Odłożył na bok bluzę, by nikt nie myślał, że cokolwiek kombinuje. Bo w zasadzie nie musiał. Gdy usiadł, raz jeszcze przeanalizował swoje położenie, uznał, że ze wszystkich wariantów, jakie brał pod uwagę i na które był przygotowany, trafił mu się jeden z korzystniejszych.

Teraz zerknął na zegarek, po czym oparł głowę na zagłówek. Przymknął oczy i czekał, aż wyjadą z Warszawy.

22

Tego ranka Milena nie była w stanie podnieść się z łóżka. Leżała na brzuchu, z rękami wzdłuż ciała, z brodą na poduszce, wpatrzona w ścianę. Zanurzona w ścieku brudnych, czarnych, tłustych myśli. Przytłumiony alarm w jej głowie powtarzał głosem syntezatora mowy, że powinna wstać, zająć się dziećmi, że przecież taką postawą może wszystko jeszcze pogorszyć! Dopiero pieczenie oczu uświadomiło jej, że powinna zacząć choćby mrugać. Gdy to zrobiła, łzy pociekły już ciurkiem.

Wczoraj, gdy wróciła do domu po eskapadzie do sklepu, potrzebowała jeszcze pół godziny w łazience, żeby się ogarnąć. Mama oczywiście została na ten czas z maluchami, ale gdy Milena wyszła, wyraziła zaniepokojenie stanem emocjonalnym córki.

– Wszystko w porządku, kochanie? – zapytała. – Zachowujesz się jakoś dziwnie.

– W porządku, mamó – odparła i zaraz zaśmiała się nerwowo. – I co to w ogóle znaczy „jakoś dziwnie”?

Matka przyjrzała jej się uważnie, mrużąc oczy.

– No, po mojemu to ty taka nerwowa i rozchwiana, jakbyś znowu w ciąży była.

Milena wiedziała, że to mało prawdopodobne i przecież, na litość boską, wiedziała, dlaczego zachowuje się tak a nie inaczej i że nie ma to nic wspólnego z rozstrojem hormonalnym! Ale coś

w niej sprawiło, że uczepliła się tej myśli ze złudną, desperacką nadzieją, od której aż zrobiło jej się niedobrze.

Bo nie chciała już nigdy, za żadną cenę przeżywać tego, co przeżyła poprzedniego dnia, aż po kulminację w tym cholernym Kauflandzie. To wszystko było dla niej obce i całkowicie ją rozchwiało. Gdy już załatwiła sprawę, gdy ostrzegła Drelicha i zobaczyła jego odpowiedź, poczuła, że to koniec. Że coś umarło bezpowrotnie, że stoi przed pustką. A kolejne dziecko... Czy nie oznaczałoby nowego startu?

Pamiętała, jak Zygmunt zachowywał się przy obu ciążyach. Stał się troskliwy, opiekuńczy, obecny. Nagle zapragnęła gorąco, by znowu był taki, choćby przez kilka miesięcy. To nie było przecież niemożliwe, przekonywała się, nawet po tym, co wczoraj powiedział. Mógł być wściekły, bo dała mu powód, ale nie spała z Drelichem. Wszystko jeszcze dało się naprawić, przecież Zygmunt nigdy jej nie uderzył, wciąż tworzyli związek i stali po właściwej stronie brzegu.

Obiecała mamie, że zrobi test, pożegnała się z nią i poszła przyszykować dzieci do spania. Kolejna normalna rzecz.

Zygmunt wrócił dopiero przed północą. Musiał zahaczyć o któryś z klubów, bo ciągnął się za nim ogon splecionych zapachów właściwych Lunie czy Huntress – mieszanina alkoholu, dymu, potu i nakładających się na siebie perfumowych nut. Gdy zobaczył żonę siedzącą w jadalni z kubkiem herbaty, powiedział cześć i zapytał, czy jemu też robi. Zwyczajnie, normalnie. Zupełnie jakby cały poranek się nie wydarzył. Tego również desperacko się uczepliła, jak wcześniej myśli o ciąży. Może ochłonął i sprawa jakoś się rozejdzie? Ona przecież już nigdy nie

odezwie się do Drelicha. Może Zygmunt wybaczy jej te zdjęcia, filmiki, rozmowy? Tam przecież nie wydarzyło się nic więcej!

Zrobi mu herbaty, myślała, za tydzień pojedą do tego cholernego wesołego miasteczka świętować jak co roku pierdolony Dzień Dziecka. Ich tradycja, fundament, który przecież tak naprawdę trudno zburzyć.

Zaniosła mu herbatę do gabinetu. Siedział przy komputerze, bokiem do biurka, z wyciągniętymi nogami o bosych stopach. Podwinął rękawy, rozpiął koszulę, błękitny blask bijący od monitora rozświetlał mu twarz. Rozmawiał przez telefon, ale na jej widok uśmiechnął się i pokazał, żeby postawiła kubek na biurku.

– Tak, ciociu. Tak, oczywiście, że będziemy całą rodziną. Bartuś zobaczył ostatnio tę waszą nową karuzelę i nie mówi o niczym innym. Zresztą Milenka jest tutaj ze mną i pozdrawia. Właśnie przyniosła mi herbaty, bo pracuję jeszcze. – Odsunął telefon od ust. – Masz pozdrowienia od cioci Anny. Martwi się, czy będziemy wszyscy, podobno grypa ostatnio krąży.

Milena uśmiechnęła się niepewnie, postawiła kubek na biurku, możliwie daleko od krawędzi, komputera i papierów. Już kiedyś popełniła ten błąd, a wtedy...

Nigdy mnie nie uderzył, powtórzyła sobie. Wciąż jesteśmy po właściwej stronie rzeki.

– Ciociu, a masz tam gdzieś wujka pod ręką? – zapytał Zygmunt. – No, ja wiem, że późno na interesy, ale tę sprawę muszę pilnie. Dziękuję. I też już się nie mogę doczekać.

Milena wyszła z gabinetu, jednak zdążyła jeszcze usłyszeć, jak mąż wita się z wujem, potwierdza datę i zapewnia, że na pewno

nie będzie Pumby.

– Ja wiem, że Pumba jest specyficzny, wuju – powiedział z rozbawieniem Zygmunt, po czym wybuchnął śmiechem. – No tak, to też dobre określenie. W każdym razie na pewno nie on. Myślę, że na pewno Stówka, Litwa i Adaś albo Natan i Adaś. Bo Adasia musisz poznać. Złoty chłopak. I też boksował...

Zorientowała się, że przystanęła, by posłuchać, i na myśl, jak zareagowałby Zygmunt, gdyby to zobaczył, zrobiło jej się zimno. Szybko przemknęła do łazienki, a potem położyła się spać.

To było wczoraj. Teraz dobiegł ją gwar z dołu i usłyszała najpierw pełen pretensji głos Bartusia, a potem śmiech Zygmunta. Czyli został dziś w domu, dotarło do niej. Dzieci nie są same.

Każda z tych myśli była spranym, bezbarwnym komunikatem, pozbawionym choćby cienia emocji. Czowała, że nie jest w stanie nawet się poruszyć. Gdyby nie oddech, mruganie raz po raz, gdyby nie łzy, można by jej wmówić, że nie żyje.

Wczorajszej nocy spała już, gdy się położył. Przebudziła się, gdy ułożył ją na boku, zsunął majtki i wszedł w nią od tyłu. Syknęła cicho, ale wciąż udawała, że śpi. Dochodząc, mocno ścisnął ją za pierś. Gdy skończył, odwrócił się i zasnął. Nawet nie podciągnął jej majtek.

Wtedy pomyślała z ulgą, że po tym wszystkim jednak jej się nie brzydzi, że nie tylko nie przekroczyli rzeki, ale wręcz wracają w głąb lądu. W nocy nienawidziła się za tę myśl. Teraz było jej wszystko jedno.

Usłyszała kroki na schodach i uciszające się nawzajem szepty. Nagle dotarło do niej, co się dzieje. Idą tutaj, żeby ją obudzić.

A ona leżała odkryta, pewnie wciąż z dupą na wierzchu, z jego nasieniem zaschniętym pomiędzy nogami. Leżała i nie była w stanie drgnąć.

Stali już na ostatnim schodku, gdy wreszcie jej się udało. Odwróciła się, przetarła policzki, poprawiła bieliznę, okryła się i dała sobie radę nawet z udaniem zaskoczenia, gdy drzwi otworzyły się nagle i do środka wpadł Bartuś, szeroko rozrzucając ręce, a za nim z gracją damy wkroczyła Wanesa z tacą ze śniadaniem. Jajecznica, croissant, miseczka konfitury. Brakowało tylko kawy, ale tę niósł Zygmunt zamykający pochód.

– Ale zaskoczyliście mamę – powiedział. – Zupełnie się nie spodziewała, prawda?

Pokręciła głową, tym razem dla odmiany niezdolna wykrztusić słowa. Łzy znowu pociekły jej po twarzy.

– Czemu płaczesz, mamó? – zaniepokoił się Bartuś.

– Nic, nic, kochanie. To ze szczęścia. – Uśmiechnęła się, ocierając łzy. – Dziękuję wam pięknie.

Usiadła, a Zygmunt rozstawił jej na kolanach podstawkę. Wanesa postawiła tacę z jedzeniem, on kawę, a Bartuś wgramolił się na łóżko i objął ją za kark.

– Wszystkiego najlepszego, mamó, z okazji... eee... – Urwał nagle i obejrzał się na siostrę. Ta odpowiedziała mu teatralnym szeptem:

– Z okazji Dnia Mamy.

Chłopczyk powtórzył, a Milena znowu się rozpląkała.

– Zobaczcie, jak mama się wzruszyła – powiedział Zygmunt. – No pięknie po prostu. Czekałcie, pójdę po telefon, zrobię wam zdjęcie.

Zniknął za winklem, a gdy po kilku minutach wracał, usłyszała, jak mówi, najpewniej do telefonu:

– Wygląda jakby on, ale zaraz zapytam Mileny. Poczekajcie...

Zakręciło jej się w głowie. Poczowała mdłości.

Taka jest cena, powiedział syntezytor Mileny. Taka jest cena za nieprzekraczanie rzeki.

Pokazał jej zdjęcie. Potwierdziła skinieniem głowy.

– To on – oznajmił Zygmunt, po czym rozłączył się i ustawił aparat. – No, kochani, ustawcie się jakoś. Uśmiechy poproszę!

23

– No dobra, muszę zapytać. – Adaś zerknął w lusterko. – Co ci, człowieku, odjechało? A może ty w ogóle nie sprawdziłeś, kogo jebiesz na boku?

– Jeszcze raz. Nie mam pojęcia, o czym mówisz – odparł Drelich, wpatrzony w widok za oknem.

– Dobra – zaśmiał się kierowca. – Ciągnij dalej tę swoją śpiewkę, chojraku. Wszystkiego dowiemy się na miejscu.

Jechali już ponad godzinę. Trasa A2 na Łódź nie była zdaniem Drelicha najlepszą opcją, jeśli faktycznie zmierzali do Gdańska. Kierując się na Olsztyn, sprawniej wydostaliby się z miasta, a do celu dotarliby w podobnym czasie. Część jego umysłu, ta, którą musiał zająć, by pozostać opanowany, zastanawiała się nad powodem takiej decyzji. Czy na trasie numer siedem rozpoczęto niedawno jakieś roboty? Czy GPS użyty w mieście zwyczajnie się pogubił? A może Adaś uznał, że tu będzie mógł bardziej przycisnąć?

Jeśli Drelich miał rację z tym ostatnim, Adaś rzadko jeździł Autostradą Wolności, jak szumnie nazywano najdroższą autostradę w kraju. W ciągu dnia zagęszczenie samochodów ciężarowych oraz tych zdecydowanych nie przekraczać przepisowych stu czterdziestu kilometrów na godzinę właściwie uniemożliwiało płynną, szybką jazdę.

Cokolwiek spowodowało wybór tej trasy, Drelich nie miał zamiaru narzekać. Monotonia autostrady działała na jego korzyść, co dało się zaobserwować już pół godziny po tym, jak wyjechali z Warszawy. Ożywione z początku dyskusje, komentarze i niewybredne żarty zmieniły się w muzykę z radia i z rzadka rzucane komentarze. Z kolei bierność przewożonego i jego pokorne pogodzenie z losem stopniowo przytępiały czujność eskortujących. Szary przyjął wygodniejszą pozycję, a Pumba na przednim siedzeniu rozmawiał z kimś na komunikatorze, o czym świadczyły ciche piknięcia odpowiedzi. I jeden, i drugi raz po raz zerkali na Drelicha – pierwszy patrząc w bok, drugi obserwując go w lusterku umieszczonym w osłonie przeciwsłonecznej – ale robili to coraz rzadziej. Zwłaszcza Szary był niczym znużony nocny stróż, walczący ze snem o czwartej nad ranem.

Adaś z kolei większość uwagi poświęcał prowadzeniu. Jechał bardzo chaotycznie i nerwowo. To przyspieszał, to zwalniał, wyprzedzał raz z lewej, raz z prawej, a przy tym klął, wyzywał i groził każdemu zawalidrodze, że go dojedzie na parkingu.

Czasem jednak, na bardziej luźnych odcinkach, zagadywał do Drelicha i próbował bezskutecznie wyciągnąć od niego choćby najmniejszy pikantny szczegół. Powód, dla którego warto było zrobić to, co zrobił.

Po przeszło godzinie Drelich wciąż nie miał dla niego żadnych odpowiedzi. Miał natomiast kilka dla siebie. Wiedział już na przykład, że chodzi o jego rzekomy romans z żoną ich szefa. Wiedział też – bo ledwie ruszyli, zadzwonił telefon w sprawie zdjęcia zrobionego przez Pumbę – że nie ma mowy o pomyłce. Ponadto na podstawie strzępów wypowiedzi i hermetycznych, acz

swobodnych rozmów wnioskował, że ci trzej nie pracowali dla Ornowskiego, tylko dla kogoś, komu tamten uczynił uprzejmość. I wreszcie, że temat nie jest duży i rozgrywa się raczej w dość zamkniętym, wąskim gronie.

Tyle na razie Drelichowi wystarczyło. Mógłby jeszcze ewentualnie poznać jakieś nazwiska, złapać słowa klucze, ale na tym etapie nie było mu to do niczego potrzebne, właściwie tylko rozpraszało. Przestał więc nasłuchiwać, idąc za kolejną mądrością stryja Józefa: ze słuchaniem idiotów jest jak z piciem wódki – gdy nie wycofasz się w porę, zaczniesz robić głupoty. Dlatego Drelich skupił wzrok na widokach za oknem, by jeszcze raz przeanalizować sytuację oraz to, co krok po kroku zamierzał teraz zrobić.

Gdy skończył, zerknął na zegarek. Przeliczył w głowie czas, zastanawiając się, czy Iza już odebrała Nikodema, a ta myśl gładko poprowadziła go do kolejnych: jak się czuje chłopiec? Jak Iza wytłumaczy mu to, co się stało, by go uspokoić? I wreszcie co on sam powie mu dziś wieczorem, by zabrzmiało przekonująco. Bo że to zrobi, nie wątpił. Obiecał.

Kolejne kilka minut myślał o pierdołach, takich jak właśnie powody wybrania przez Adasia tej, a nie innej trasy na Gdańsk czy spalanie hondy przy takim obciążeniu i niezbilansowanej jeździe.

W rzeczywistości był już w trybie aktywnym – instynkt się rozbudził, puls zgrał z zegarkiem, wzrok wyostrzył, jednocześnie rozmywając na krawędziach pola widzenia. Od adrenaliny szumiało mu w uszach, w ustach czuł jej metaliczny posmak.

Pomyślał, że przy zaplanowanych z góry robotach już dawno tak się nie czuł. W pewnym sensie za tym tęsknił.

Za oknem, tuż za barierką, pojawiły się dwie tablice. Pierwsza, brązowa, podobna do tych rozstawionych na wjazdach do miasta, przypomniała, że znajdują się na Autostradzie Wolności. Druga, niebieska, informowała o odległości do Poznania, Konina, Świecka i Łodzi. Zaraz za nimi zaczynał się ekran dźwiękoszczelny, wzdłuż którego jechała teraz kolumna ciężarówek.

Adaś wbił gwałtownie na lewy pas, wciskając się przed transita z brezentową paką. Teraz jechali tuż za jasnoniebieskim peugeotem. Gdzieś z przodu trwał właśnie wyścig dylizansów, jak Drelich zwykł nazywać powolne wyprzedzanie się ciężarówek, więc oba pasy poruszały się mniej więcej w tym samym tempie. Drelich wolno odwrócił głowę, spojrział przez przednią szybę na wąski pas zieleni oddzielający pas ruchu od barierek i zerknął kątem oka w bok, jednocześnie minimalnie przesuając się na środek. A potem zaatakował.

Z całej siły uderzył Szarego łokciem w nos. Zamach był krótki, ale mocny, bo ruch został wyprowadzony już z biodra. Drugie uderzenie, słabsze, wymierzył w odsłoniętą krtani.

Adaś i Pumba zareagowali natychmiast, jednak ten pierwszy musiał zwracać uwagę na samochody, więc zmarnował cenne sekundy na zastanawianie się, co zrobić, a drugiego, gdy tylko się szarpnął, zablokował pas. Drelich splótł dłonie, przywarł do siedzenia pasażera i przerzucił ręce nad zagłówkiem. Pumba chciał się odsunąć, ale nie zdążył. Podduszony, złapał za rękę Drelicha i drapnął, próbując ją odciągnąć, jednak nie miał szans. Trytytka uniemożliwiała mu rozerwanie splotu.

– Co ty... – Adaś zamachnął się, uderzając Drelicha w plecy, ale stracił tym samym kontrolę nad jazdą, więc szybko złapał oburącz kierownicę, by nie wbić się pod ciężarówkę.

Drelich wykorzystał ten moment, by wciągnąć nogi na siedzenie i usiąść bokiem. Kopnął piętą wciąż jeszcze zdezorientowanego po ciosie Szarego i wcisnął się barkiem w szczelinę między drzwi a fotel, dzięki czemu znalazł się poza zasięgiem rąk zdezorientowanego Adasia. Dostrzegł, że Pumba próbuje sięgnąć do kieszeni. Pewnie miał tam nóż, którym chciał przeciąć trytytkę, jednak Drelich nie zamierzał dawać mu aż tyle czasu.

Wsunął się głębiej, mocniej wciskając zgięcie łokciowe pod szyję grubasa. Napiął biceps, dociskając mu tętnicę i lekceważąc jego krzyki, zaczął liczyć. Raz, dwa, trzy...

Dostrzegł, że Szary, łapiący dotąd oddech, powoli się zbiera i nieskoordynowanym ruchem sięga po broń. Cztery, pięć, sześć... Poczul, że Pumba wiotczeje, ale wytrzymał jeszcze dwie sekundy, zanim poluzował uścisk. Wysunął się ze szczeliny i kopnął Szarego najpierw jedną nogą, a gdy ten nieudolnie sparował, drugą.

– Zajebię cię, kurwo! – darł się Adaś, zerkając nerwowo to na niego, to na jawiący mu się ziemią obiecaną skrawek szarej, oddzielonej linią przestrzeni awaryjnej. Dzielilo ich od niego może z dwieście metrów. – Zajebię cię!

Drelich przerzucił z powrotem ręce znad zagłówka, ponownie kopnął Szarego i wyciągnął mu broń z kabury. Na wszelki wypadek grzmotnął go też kolbą, po czym pochylił się między siedzeniami i wypiął pas Adasia.

– Zajebię cię! – powtórzył Adaś.

– Jeśli nawet, to nie teraz – odparł Drelich. – Teraz wyłamiesz lusterko.

– Chuja zrobię!

Drelich zdzielił go kolbą w ucho, chłopak krzyknął bardziej z zaskoczenia niż z bólu, a samochód na moment odbił w stronę barierek.

– Wyłam to lusterko.

Przezornie się cofnął, gdy Adaś uniósł rękę, poczekał, aż ten wykona polecenie, i pozwolił sobie na moment dekoncentracji, sięgając po swój pas.

– Teraz wbij pomiędzy te ciężarówki – polecił. – Za pięć kilometrów masz zjazd na stację. Zjedziesz tam.

Szary drgnął, więc raz jeszcze dostał łokciem. Drelich sięgnął do jego kieszeni i wyciągnął kilka trytytek, a potem zmusił go do założenia rąk za siebie i ciasno spiął nadgarstki.

– Adaś, lewa ręka na kark – polecił.

Kierowca ani drgnął.

– Lewa ręka na kark, powiedziałem – powtórzył.

– Pierdol się. Nie słucham cię już! – krzyknął Adaś. – Jesteś trupem, kurwa, trupem, słyszysz?! Najwyżej obaj tu zginiemy!

– Nie, Adaś – odparł Drelich spokojnie, kciukiem rozklejając plaster na palcu wskazującym. – Nie zginiemy obaj, bo to ty musiałbyś nas zabić. A nie zrobisz tego, bo chcesz wierzyć, że faktycznie pozwolę ci przeżyć. I dopóki masz tę szansę, będziesz się jej kurczowo trzymał. Nie zaryzykujesz wypadku.

– Ty też nie!

– Ja nie muszę – stwierdził Drelich. Spomiędzy podwójnej warstwy plastra wysunął połówkę żyłki i zabrał się za cięcie trytytki. Gdyby spięli go od tyłu, jak zresztą zakładał, od tego właśnie by zaczął. Spięty z przodu, z odsłoniętymi rękami, wolał wcześniej nie ryzykować. – Jesteśmy na autostradzie, Adaś, więc po prostu sobie poczekam, aż zwolnisz na zjeździe, ślimaku czy na bramkach. I wtedy strzelę ci w łeb.

Zrobił pauzę, by upewnić się, że Szary nic nie kombinuje, a Pumba wciąż jest nieprzytomny.

– Daj lewą rękę na kark.

Chłopak wahał się jeszcze przez moment, ale gdy pojawiła się tabliczka informująca, że do zjazdu zostały dwa kilometry, podniósł rękę i oparł ją na karku. Oswobodzony już Drelich sprawnie przypiął mu nadgarstek do zagłówka.

– Wiesz, że już nie żyjesz, nie? – zapytał Adaś.

– Zjedź z drogi.

– Podpisałeś na siebie wyrok, stary.

– Zjedź z drogi. – Drelich przyłożył chłopakowi lufę do skroni. Dzieciak wzdrygnął się, jakby była lodowata.

– Wcześniej mogło się skończyć na wpierdolu, ale teraz... – zaczął Adaś.

– Nie pod stację, skręć tu w prawo.

Wjechali w boczną uliczkę, na której zgodnie ze znakiem obowiązywał zakaz ruchu z wyjątkiem grup wyszczególnionych na osobnej tabliczce. Sto metrów dalej znajdowała się otwarta brama, a za nią ciągnęła się wąska, w miarę nowa droga.

Pokonali nią ze trzysta metrów, aż wreszcie Drelich kazał zjechać w polną drogę po prawej.

– Stary, wiesz, jakie to auto ma niskie zawieszenie? – zaprotestował Adaś.

– Wiem – odparł. – Jedź wolno.

Zaparł się kolanami o oparcie przedniego fotela, by nie stracić równowagi na wertepach, i sprawdził, czy nikt za nimi nie jedzie. W ten sposób dotoczyli się do niewysokiego pagórka, przypominającego zarośnięty schron.

– Dobra, stój – oznajmił Drelich. – Prawą ręką otwórz drzwi... Wolne ruchy. Pchnij mocniej, na oścież. Teraz kluczyki, wyrzuć daleko. Świetnie. Druga ręka na kark.

Użył kolejnej trytytki i na wszelki wypadek sprawdził, czy zagłówka nie da się zdjąć szarpnięciem. W modelu, którym kiedyś jeździł, nie było to takie proste, ale w tym mogło być inaczej.

– Naprawdę... – zaczął Adaś, ale Drelich wszedł mu w słowo.

– Jeszcze jedno słowo, o które nie zapytam, a przestrzelę ci kolano – powiedział. – Nie pytam, czy zrozumiałeś, więc nie odpowiadaj.

Upewnił się, że Pumba wciąż jest nieprzytomny, po czym zabrał Szaremu telefon z kieszeni i ściągnął mężczyznę z siedzenia. By wepchnąć go w wąską przestrzeń między fotelami, musiał na moment odłożyć pistolet. Na końcu sprawdził potencjalny zasięg nóg leżącego na podłodze – wyglądało na to, że zaoszczędził trytytkę.

– Teraz wychodzę – powiedział do Adasia. – Niczego nie kombinuj i nie utrudniaj. Odpowiedz jednym, dobrze dobranym słowem. Zrozumiałeś?

– Tak.

Drelich przeszedł za siedzenie kierowcy, sięgnął ręką i szarpnął za dźwignię, jednocześnie zapierając się barkiem. Pamiętał, że z siedzeniem mogło być coś nie tak, więc myślał już nad opcją awaryjną, jednak wszystko było w porządku. Pchnął Adasia i wysiadł, przeciskając się przez powstałą szczelinę. Kolejnym szarpnięciem dźwigni położył siedzenie kierowcy, przygniatając Szarego, spiął Adasiowi nogi ostatnią trytytką, zamknął drzwi i obszedł samochód. Został Pumba.

Przechodząc przed maską, przyjrzał się uważnie grubasowi. Ten sprawiał wrażenie wciąż nieprzytomnego, a jednak powieki drżały mu jak u dziecka, które udaje, że nie śpi, a ręka bardzo powoli zaczęła sięgać do kieszeni. Drelich otworzył drzwi szarpnięciem, cofnął się i szybko ustawił w pozycji strzeleckiej.

– Z was trzech, Pumba, ciebie jednego miałbym ochotę zabić – powiedział. – Dlatego na twoim miejscu modliłbym się, żeby w schowku było coś, czym mogę cię związać. Inaczej rozwalę ci łeb. Wyjmij tę rękę z kieszeni i sprawdź, czy masz szczęście.

– Ale ja tu mam trytytki – stęknął grubas. – Mogę?

– Powoli.

Pumba wyjął z kieszeni kilka czarnych plastikowych pasków.

– Zrób pętlę – polecił Drelich. – Trochę ciaśniej... Jeszcze. Wsuń w nią obie ręce i wystaw je do mnie. W porządku.

Gdy już go skrupował i położył jego siedzenie, ręce zaczepił mu o zagłówek jedną trytytką o drugą. Zabrał grubasowi broń, telefon, portfel i nóż, przeszukał też kieszenie Adasia, po czym uznał, że nie będzie już marnował czasu na Szarego.

– Dobra, panowie. Teraz potrzebne mi PIN-y do waszych komórek – powiedział w końcu. – Jeśli mi ich nie dacie, będę

zmuszony odciąć wam kciuki.

24

Iza zaparkowała przed domem Drelicha na jedynym dostępnym teraz miejscu, czyli dla niepełnosprawnych. Wzięła z siedzenia obok plastikowe pudełko i wysiadła. Obeszła samochód, by spojrzeć na świeże otarcie na nadkolu – efekt zbyt szybkiego przejazdu przez jedną ze zbyt wąskich uliczek. Nie wyglądało strasznie, więc zamknęła auto pilotem i weszła do otwartej na oścież klatki.

Wcisnęła przycisk windy. Wolałaby pobiec schodami, ale już i tak prezentowała się źle – napuchnięta od snu i kaca, rozczochrana. Nie żeby w tych okolicznościach przejmowała się wyglądem, ale obawiała się reakcji Nikodema, gdy zobaczy ją jeszcze spoconą, czerwoną i zdyszaną. Przez telefon brzmiał na wystarczająco zaniepokojonego.

Winda zjechała, ale minęło kilka sekund, nim odsunęły się drzwi. Ze środka wyszedł starszy mężczyzna z kundelkiem na smyczy. Zmierzył Izę wzrokiem i mruknął coś, co mogło być przywitaniem. Nie odpowiedziała. Weszła do kabiny, wybrała piętro, zaklepała i wcisnęła przycisk wyżej, a kiedy drzwi się zamknęły, oparła się plecami o lustro i kilka razy głęboko odetchnęła.

W głowie huczała jej wiadomość od Drelicha. Rzeczowa, konkretna, wypowiedziana spokojnym głosem. Kiedyś kochała go za ten ton, bo w sytuacjach trudnych sprawiał, że czuła, jakby

wszystko miał pod kontrolą. Potem go znienawidziła, gdy zrozumiała, z czego bierze się ta pewność. Z ciągłej gotowości na najgorsze, nieustannego analizowania sytuacji. Życia pod presją zła, które potencjalnie może się wydarzyć.

I które właśnie, cholera, się dzieje.

„Mam kłopoty, ale nie znam szczegółów – powiedział. – Ktoś po mnie jedzie”. Czyli w jego przypadku mogło to oznaczać wszystko: od policji, przez wkurzonego okradzionego, po mafię. „Zamierzam ich odciągnąć od domu i odezwę się, gdy to załatwię”.

Iza wierzyła, że tak właśnie będzie. Czuła niepokój, jasne, przecież zawsze coś mogło pójść źle, ale to była kolejna cecha Marka. Nie rzucał słów na wiatr i kiedy mówił, że coś jest takie a nie inne, takie właśnie było.

Drelich zawsze, a znali się całe jej dorosłe życie, był uważny i ostrożny. Sprawdzał i dopinał akcje, zanim się w nie angażował, nie brał żadnych fuch, w których nie mógł uczestniczyć na etapie planowania, a z tych, które wyglądały niepewnie, potrafił się wycofać nawet ze sporą stratą. Pilnował finansów, nie pozwalał, żeby coś mu wyskakiwało, nie brał robót na już ani tych o podwyższonym stopniu ryzyka. Gdy urodziła się Zośka, podjął szereg dodatkowych kroków, by wyraźnie oddzielić pracę od rodziny. Kiedy wzięli rozwód, usiedli przy stole i ustanowili nowe zasady, a on się ich trzymał.

Zawsze wracał w umówionym terminie, zabierał dzieciaki na czas i odstawiał je do niej, woził je na wszystkie zajęcia i spędzał z nimi tyle czasu, ile potrzebowały. Nigdy nie spóźniał się z alimentami, pieniądze były z legalnego źródła, miejsca, gdzie oficjalnie pracował. Czasem uzupełniał to nadprogramową,

również czystą gotówką, gdy pojawiała się potrzeba, choćby dodatkowe lekcje fortepianu Zośki. Jak to kiedyś Iza powiedziała Ewie, wszystko to, co sprawiało, że nie mogli być dłużej małżeństwem, doskonale sprawdzało się po rozstaniu.

Tyle że...

No właśnie. W tym wszystkim jedna myśl nie dawała jej spokoju. Ta myśl napełniała ją narastającym krzykiem wściekłości i sprawiła, że jeszcze dwie minuty temu pędziła tu jak wariatka, łamiąc po drodze wszystkie możliwe przepisy. Drelich był dobry w tym, co robił, przewidujący. Miał swoje sposoby na kontrolowanie otaczającego go świata i dlatego dowiedział się z wyprzedzeniem, że po niego jadą, a potem zareagował prawidłowo. Odstawił ich syna do sąsiadki, zadzwonił do niej, a gdy nie odbierała, to się nagrał. Wszystko w idealnym porządku.

Ale teraz w głowie Izy pojawiło się tłumione dotąd pytanie: a gdyby Drelich się nie dowiedział? A gdyby dowiedział się za późno? A gdyby ci, co po niego jechali, zastali w jego domu Nikodema?!

Winda zatrzymała się i Iza już miała wysiadać, ale przypomniała sobie, że zostało jeszcze jedno piętro. Postukała językiem o zęby, patrząc, jak drzwi odsuwają się powoli, aż do pełnego rozwarcia. Poczowała się jak na filmie w zwolnionym tempie – przed jej oczami rozgrywała się scena zwiastująca coś złego: ktoś zaraz wpadnie, zacznie się strzelanina.

– Pieprzyć to – mruknęła i wysiadła z kabiny, po czym wbiegła piętro wyżej. Potrzebowała kilku sekund, by przypomnieć sobie, do których drzwi powinna zapukać.

Gdy to zrobiła, w środku zapanowało poruszenie. Usłyszała szybkie kroki, odsuwaną klapkę wizjera, trzask zamków. Wreszcie w progu stanął Nikodem gotowy do wyjścia.

– Cześć, mam – powiedział. Za jego plecami pani Maria uśmiechnęła się i ukloniła skromnie.

– Cześć. I dzień dobry pani. – Iza odpowiedziała szczerym uśmiechem, bo na ile zdążyła poznać emerytkę, lubiła ją. – Mam nadzieję, że nie narobiliśmy pani za dużego kłopotu?

Pani Marysia machnęła ręką.

– A jaki to kłopot? Że człowiek sobie z kim inteligentnym porozmawia, a nie tylko komentuje głupoty z telewizji? – Podeszła bliżej. – Bo mądrego państwo tego dzieciaka macie. Tyle co on na komputerze wytłumaczył w tę godzinę, to nikt mi na kursie nie potrafił wyjaśnić.

Iza się roześmiała.

– No tak, na tym to się zna. – Wyciągnęła przed siebie rękę z pudełkiem. – Proszę to przyjąć. Wczoraj wieczorem piekłam, chociaż tak się odwdzięczę.

– Odwdzięczać się nie trzeba – odpowiedziała pani Maria – ale pani wypieków nigdy nie odmówię, ot co. Swoją drogą, świat staje na głowie, kiedy stare baby od młodych ciasto biorą zamiast im na wyjściu wciskać.

– Wiesz, co z tatą? – zapytał Nikodem, gdy już znaleźli się w windzie. – Co się stało?

– Niedokładnie – odpowiedziała. – To znaczy wiem, że ma jakieś kłopoty związane z pracą, ale nie zdradził mi szczegółów.

– Poważne kłopoty?

– Nie wiem. Zapytasz go później.

Nikodem nie przestawał się w nią wpatrywać, co zaczynało doprowadzać ją do szału. Jakby ją sprawdzał, jakby czekał, aż się potknie na jakimś kłamstwie.

– Zwolnią go? – zapytał w końcu.

Pokręciła głową.

– Nie wydaje mi się – odparła z pełnym przekonaniem. Teraz, gdy już miała Nikodema obok, nerwy i czarne myśli ustąpiły pola.

– Twój tata jest za dobry w tym, co robi.

Chłopiec potrzebował dwóch pięter, by to przetrwać.

– Nie zdążyłem do szkoły – powiedział w końcu, tuż zanim otworzyły się drzwi windy. – Miałem mieć kartkówkę z histy.

– Zrobimy ci dzisiaj wolne – zdecydowała Iza – bo, serio, Niko, nie dam rady cię odwieźć. Ciotka Ewka napięprza we mnie telefonami, jakby w cukierni trwał właśnie armagedon.

W samochodzie Nikodem szybko zajął miejsce z przodu. Wyregulował siedzenie i zajrzał do schowka.

– Masz jeszcze jakieś muffinki? – zapytał.

– Nie, ale słyszałeś, co mówiłam? Zaraz będziemy w cukierni.

Westchnął.

– Ktoś cię otarł. Z boku.

– Tak? – udała zdziwienie. – Dobra, później to sprawdzę. Pas zapnij.

Sama sięgnęła po swój, uśmiechając się do grupki ludzi stojących pod klatką i – sądząc po minach oraz spojrzeniach – komentujących, jak fatalnie zaparkowała. Ktoś coś do niej zawołał, ale nie słyszała przez szybę. Wycofała, a przy wylocie

uliczki minęła wjeżdżający na parking samochód straży miejskiej. Pewnie wezwali go do mnie, pomyślała. I w sumie mieli rację.

Ledwie wyjechała na drogę, kolejny raz zadzwoniła Ewa.

Iza rozejrzała się za słuchawkami, ale przypomniała sobie, że zostawiła je w domu.

– Szlag – mruknęła i odebrała przyciskiem na kierownicy. – Ewa, bez paniki, już jadę! Zaraz będę. Kłopoty z Nikodemem miałam.

Chłopiec spojrział na nią z wyrzutem, na co odpowiedziała bezgłośnym „sorry”.

– Cześć, ciociu – powiedział.

– A, cześć, Nikoś. I czekaj, to ty nie miałeś z tatą być dzisiaj?

– Miałem, ale...

– Wyjaśnię, jak przyjadę – ucięła Iza. – Będę mniej więcej za pół godziny, może czterdzieści parę minut.

– Dobra, ale...

– Czekaj, Ewcia, ktoś się do mnie dobija. Oddzwonię.

Szybko przełączyła na drugi, nieznany numer, obstawiając, że to najprawdopodobniej Drelich. Nie pomyliła się.

– To ja – powiedział. Coś u niego w tle bardzo szumiało, jak mocny wiatr, morze albo autostrada.

– Jesteś na głośniku. Właśnie odebrałam Nikiego.

– Cześć, tato.

– O, cześć. Czyli nie zdążyłeś dziś do szkoły?

Iza miała wrażenie, że coś w środku nie tylko z miejsca jej się zagotowało, ale podbiło pokrywkę i zaczęło kipieć.

– Tak, nie zdążył – odpowiedziała. – Jedzie ze mną do cukierni. A skoro, jak słyszę, u ciebie już w porządku, to zadzwoń

później, okej?

– Jasne.

– Tak najwcześniej za godzinę, bo mam dzisiaj... – Urwała, bo już się rozłączył. Nienawidziła, gdy tak robił.

Zorientowała się, że Nikodem jej się przygląda.

– Co?

Wzruszył ramionami.

– Dlaczego od razu powiedziałaś tacie, że tu jestem? – zapytał.

W pierwszej chwili nie zrozumiała, do czego on zmierza.

– No bo jesteś przecież – odparła zdziwiona.

– Ale dlaczego od razu to powiedziałaś? Cioci nie musiałaś, a tacie tak.

– A, o to ci chodzi – dotarło do niej. – Nic nie chcemy przed tobą ukrywać, chłopie. Powiedziałam mu po to, żeby nie przeklinał.

– Ale to ty zwykle przeklinasz – zauważył chłopiec, sprawiając swą pieprzoną przemądrzałością, że natychmiast puściła w myślach ostrą wiązanekę. Synalek tatusia, cholera jasna!

Zwolniła, podjeżdżając do świateł, ale te zmieniły się w porę, więc tylko zredukowała bieg.

– Masz rację – odparła w końcu. – Powiedziałam mu to, żeby się nie zdziwił, że ja nie przeklinam. Chociaż powinnam.

– Bo musiałaś po mnie przyjechać?

– Nikodem, na miłość boską, co ja na egzaminie jestem?! Łeb mi pęka od tych pytań!

– A co, masz kaca? – Wyszczerył się złośliwie i w tej jednej chwili, Boże przebacz, szczerze pożałowała, że jej syn już się nie boi. Przedtem wydawał się spokojniejszy.

– Przede wszystkim mam przemądrzałego syna, który zadaje mi milion niepotrzebnych pytań w naprawdę zły poranek – odparła. – I tak, dla twojej wiadomości, piłam wczoraj wino, i tak, mam kaca. Zadowolony?

Pokiwał głową, jakby do tego właśnie zmierzał, wykazał swoje i teraz mógł wreszcie zająć się innymi sprawami. Sięgnął do stojącego między nogami plecaka i nagle zatrzymał się w połowie ruchu.

– Ale możesz prowadzić?

25

Do stacji znajdującej się po przeciwnej stronie autostrady miał niecały kilometr. Pokonał ten dystans w osiem minut, idąc szybkim, równym tempem najpierw do głównej drogi, by przejść pod wiaduktem, a następnie na postój ciężarówek odcinkiem dojazdowym dla dostawców.

Poprawił słuchawkę w uchu wpiętą do telefonu Adasia z wyłączonym mikrofonem. Zanim zostawił tamtych, zadzwonił z tego aparatu na numer Szarego, po czym wcisnął jego smartfona do bagażnika, do schowka na lewarek. Dźwięk był przez to przytłumiony, ale póki nie szeptali, Drelich słyszał ich rozmowy. Zresztą i tak jedyne, co na razie mówili, sprowadzało się do przekleństw, odgrążania się, co mu zrobią, gdy już go dorwą, oraz pomysłów na to, jak oswobodzić się z więzów. Adaś najprawdopodobniej próbował zrobić coś z zagłówkiem, a Pumba zamierzał przegryźć jedną trytytkę. Szary zastanawiał się, czy nie dałby rady pomóc w podobny sposób Adasiowi, ale w tym celu musiał się odwrócić, co przerosło jego możliwości. Drelich wiedział, że żadne z tych rozwiązań nie ma szans powodzenia – tym lepiej, bo naprawdę nie miał teraz czasu, by wracać i cokolwiek poprawiać.

Już po drugiej stronie wiaduktu pozbył się obu sztuk broni, ukrywając je pod dużym kamieniem. Wcześniej wyjął z nich magazynki i kule z komory, a potem – w trosce o dzieciaki

z mijanej właśnie wioski – wyrzucił je do zalanego wodą rowu przy samym postoju ciężarówek. To samo zrobił z portfelami całej trójki, wyciągając z nich uprzednio papierową gotówkę, łącznie prawie osiemset złotych, oraz dokumenty ze zdjęciami. Nóż Pumby sobie zachował.

Miejsce obsługi podróżnych, na które dotarł, zaliczało się do kategorii tych największych, ze stacją benzynową, McDonaldem i trzema liniami miejsc postojowych dla TIR-ów. Drelicha jednak nie interesowały ciężarówki o ograniczonych możliwościach poruszania się w mieście. Potrzebował szybkiego transportu w zasadzie pod same drzwi domu.

Spojrzał w stronę McDonalda. Przed budynkiem stało siedem pojazdów, w kolejce do okienek McDrive cztery. Te ostatnie niespecjalnie go obchodziły, bo ich kierowcom albo się spieszyło, albo zamierzali zjeść w samochodzie, a za sprawą cwaniaczków handlujących na parkingach perfumami czy kradzionymi telefonami ktoś, kto chodzi od auta do auta i puka w szyby, zwraca na siebie uwagę.

Przeciął parking i wszedł do restauracji. Przy kasach nie było nikogo, ale dwie osoby z obsługi – pracowniczka oraz menadżerka – obserwowały klientów, stojąc przy okienku wydawania zamówień. W sali cztery boksy zajmowały rodziny z dziećmi, kobieta żująca chicken burgera i oglądająca serial na tablecie, a przy podwójnym stoliku dojrzała para dojadła wspólnie porcję ziemniaczanych łódeczek. Czyli z jego perspektywy nikt interesujący.

Zerknął na zegarek, podszedł do kasy i oparł dłonie na kontuarze. Jedna z dziewczyn z obsługi, ta w koszuli menadżerki,

wykrzywiła się z wyraźną niechęcią.

– Za sobą ma pan kiosk – powiedziała. – Proszę zamówić w kiosku.

– Chciałbym zapłacić gotówką – odparł Drelich. W słuchawce rozległ się głos Adasia zastanawiającego się, jak długo mogą tam siedzieć niezauważeni. Według Pumby tak długo, aż ktoś ze wsi pomyśli, że się tu ruchają, i przyjdzie popatrzeć.

– To proszę w kiosku wybrać opcję płatności gotówką – powiedziała menadżerka.

– To urządzenie przyjmuje gotówkę?

– Nie, proszę pana. Zapłaci pan przy odbiorze tutaj.

Roześmiał się i potrząsnął głową, ale bez dalszej dyskusji podszedł do kiosku. Wybrał jeden z zestawów promocyjnych z kawą i dodatkowym ciastkiem, po czym pobrał numerkę, który zaraz pojawił się na ekranie nad kasami. W międzyczasie dostrzegł, jak do lokalu wchodzi dwóch młodych chłopaków. Jeden, w koszulce z Iron Maiden, miał długie, spięte w kucyk włosy, drugi, z podgolonym po kozacku łbem, próbował bez powodzenia wyhodować rudego wąsa. Rozmawiali głośno o jakimś filmie, ewidentnie mając na jego temat to samo, bardzo pozytywne zdanie.

Drelich minął się z nimi, idąc do łazienki. Zajął kabinę, zdjął but i skarpetkę. W słuchawce Szary szydził właśnie z Adasia, że ponoć Drelich miał być tchórzem i nie sprawnie rozwiązywać problemu.

– Jakbym to ja siedział z tyłu, a nie prowadził, to za chuja by mnie tak nie załatwił – odpyskował chłopak. I w tej kwestii Drelich był skłonny się z nim zgodzić. W każdym razie z Adasiem byłoby mu na pewno dużo trudniej.

Odkleił plaster z dużego palca u nogi, spomiędzy podwójnej warstwy wyjął kartę mikro-SIM i przełożył ją do telefonu Pumby. Włączył urządzenie, upewnił się, że pobrało zapisane na karcie oznaczone numerkami kontakty, po czym kartę Pumby włożył do portfela, wysikał się, umył ręce i wyszedł.

Jego numerek wciąż wisiał na tablicy po stronie dań w przygotowaniu, teraz jako jedno z trzech zamówień na liście. Metal i Kozak zajęli miejsca na wysokich stołkach barowych przy części kawiarnianej i wciąż prowadzili ożywioną rozmowę, choć zdążyli zmienić temat i teraz mówili chyba o grze. Drelich wyszedł przed lokal, by zadzwonić do Izy, a potem rozejrzał się za samochodem chłopaków. Z zadowoleniem przyjął fakt, że sfatygowany srebrny saab, jedyny pojazd, którego wcześniej tu nie było, miał warszawskie blachy.

Gdy wrócił do środka, zamówienie już na niego czekało. Zapłacił i usiadł w narożnym boksie. Jedząc, sprawdził, ile zajmuje dojazd do Gdańska, po czym od trzech i pół godziny dla bezpieczeństwa odjął trzydzieści minut. Po tym czasie ten, kto wysłał swoich ludzi – z rozmów dochodzących przez słuchawkę dowiedział się, że facet nazywa się Wójcik – powinien zacząć się niepokoić. Oczywiście mógł wcześniej, jeśli był paranoikiem, ale ponieważ nic na to nie wskazywało, Drelich wolał nie zakładać tego na wyrost. Czyli miał co najmniej trzy godziny. Do Warszawy była godzina, do domu godzina dwadzieścia, może mniej.

Spojrzał na chłopaków odbierających właśnie swoje zamówienia. Jeśli nie będą sprawiać problemów, powinien zdążyć. Jadł więc spokojnie, przeglądając wiadomości w telefonie Pumby.

W międzyczasie do środka weszło jeszcze kilka osób, w tym parka, którą Drelich uznał za opcję awaryjną, gdyby z jakiegoś powodu z tamtymi dwoma nie wyszło. Wiedział, że z parą musiałby spróbować innego podejścia, mniej bezpośredniego. Musiałby wymyślić coś, co pozwoliłoby mu zmiękczyć serce dziewczyny, a chłopakowi nie tylko zarobić, ale i nabić sobie punktów bohaterstwa. Dojadając frytki, w ramach myślowego ćwiczenia ułożył sobie opowiadanie, która powinna załatwić mu podwózkę pod same drzwi.

W hondzie Pumba podjął próbę przetarcia trytytki o słupek zagłówka. Rozgrzany w ten sposób plastik miał jego zdaniem raz-dwa puścić. Szary stłumionym, zrezygnowanym głosem życzył mu powodzenia, po czym stwierdził, że zaraz nie wytrzyma i się zleje. Adaś warknął, że jeśli to nastąpi, urwie mu jaja.

W końcu chłopaki zjadły i zaczęły zbierać się do wyjścia. Drelich szybko sprzątnął swoją tacę i podszedł do nich, gdy zmierzali w stronę łazienki.

– Hej, przepraszam – powiedział, zwracając się do Metala, który trzymał w ręku kluczyki. – Panowie nie jedzicie aby do Warszawy?

Wymienili szybkie spojrzenia.

– No tak – zaczął Kozak – ale...

– Potrzebuję pilnej podwózki, bo jestem trochę w dupie – wszedł mu w zdanie Drelich. Sięgnął po portfel i wyjął z niego trzy stówki. – Dobrze zapłacę, jeśli mnie podrzucicie.

Począł na kolejną wymianę spojrzeń, po czym westchnął ciężko i dołożył kolejną stówkę.

– Panowie, naprawdę w potrzebie jestem. Jeśli za niecałe półtorej godziny nie będę na ważnym spotkaniu, to stracę robotę. A jeszcze muszę o dom zahaczyć. To jak?

Widział, że się łamią, ale i tak żaden z nich nie podjąłby decyzji samodzielnie. Już miał się wycofać, by dać im czas do namysłu, gdy odezwał się Metal.

– Pan poczeka chwilę, musimy z łazienki skorzystać.

– Jasne. – Drelich uśmiechnął się i zaraz dodał: – Mnie też najlepsze myśli przychodzą do głowy w kiblu.

Zniknęli w łazience, skąd wyszli po trzech minutach. Już po ich minach wiedział, jaka będzie odpowiedź.

– Dobra, podrzucimy pana – powiedział Kozak. – Ale kasa z góry.

– Oczywiście sprawa, panowie – odparł Drelich, podając im cztery stużłotowe banknoty. – I bardzo wam dziękuję.

Gdy wsiedli do auta, sprawdził czas operacyjny. Wedle przyjętych założeń zostały mu dwie i pół godziny. Sytuacja w hondzie wciąż pozostawała bez zmian.

– A właściwie to co się stało, że pan tak musi o podwózkę prosić? – zapytał Kozak, ledwie wyjechali na drogę.

Drelich nachylił się do przodu.

– Nie rozmawiajmy – powiedział. – Tu macie mój adres.

26

Dzwonek do drzwi nie zdążył jeszcze wybrzmieć, a już z łazienki wybiegł Bartuś, mało nie zabijając się o własne spodnie.

– Wujek Natan! – zawołał.

Milena przerwała wyrabianie ciasta, opłukała ręce z mąki i wytarła je w ścierkę.

– Poczekaj, włóż spodnie. Ja otworzę.

Natan chyba jako jedyny nigdy nie wszedł do ich domu sam z siebie. Zawsze, gdy się zjawiał, zaproszony czy też nie, parkował samochód poza posiadłością, przy ulicy. Z klucza, który dostał, korzystał tylko, żeby otworzyć sobie furtkę. Przechodził przez parking, stawał na ganku, pukał i czekał. W końcu Zygmunt zainstalował dla niego dzwonek, bo zdarzało się, że Natan czekał tak pod drzwiami dziesięć minut i dłużej, pukając raz po raz, ale nigdy nie łapiąc za klamkę. Stówka zażartował kiedyś, że jest trochę jak wampir – musi zostać zaproszony. Według Mileny z wampirem łączyło Natana co innego. Wzbudzał strach.

Poznała go nieco później niż pozostałych, bo choć był w bliskim kręgu od samego początku, to gdy zaczęła spotykać się z Zygmuntem, Natan albo siedział, albo ukrywał się przed odsiadką. Któregoś dnia po prostu wrócił, stanął przed ich drzwiami i zapukał, a Wójcik przywitał go jak wytęsknionego brata czy wujka.

Kiedy zobaczyła Natana po raz pierwszy, wzięła go za tępego bandziora. Jak chyba każdy, najpierw zwróciła uwagę na płaski nos sugerujący bokserską przeszłość. Potem pomyślała, że jest umięśniony jak robotnik z budowy, w ten naturalny, surowy, nieładny sposób świadczący o wypracowanej latami sile, ale nienadający się na okładki magazynów typu „Men’s Health”. Zdaniem jej mamy z kolei Natan był trochę jak stary nieładny pomnik PRL-owskiego stachanowca, ciosany topornie, a gładzony tylko wiatrem i deszczem.

Zaraz po swoim powrocie nie odzywał się prawie wcale. Zwykle tylko siedział i patrzył przenikliwie, nieprzyjemnie, zwłaszcza na nią, ale gdy już zabierał głos, Zygmunt zdawał się słuchać go uważniej niż reszty.

Wtedy sama zaczęła go słuchać i szybko doszła do wniosku, że Natan mógł nie studiować, mógł nie czytać w życiu zbyt wielu książek i nie mieć zdania na temat globalnego ocieplenia, jednak na pewno nie był tępy. Pewnego dnia, gdy zobaczyła w internecie mem z obrazkiem starego lwa o poznanym głębokimi szramami pysku, od razu pomyślała, że taki właśnie jest Natan. Ktoś, kto niekoniecznie czysto czy w ładnym stylu, ale zawsze wygrywa.

Tego dnia miał na sobie koszulę khaki z krótkim rękawem, jasne spodnie i skórzane sandały, a na nosie tanie okulary przeciwsłoneczne, pewnie kupione z jakiegoś stojaka. Z ramienia zwisał mu parciany chlebak.

– Cześć – powiedziała Milena. – Zygmunta nie ma.

Skinął głową.

– Wiem, poczekam w salonie.

Minął ją, wyciągając rękę, jakby chciał ją przesunąć. Usunęła się sama i zdążyła tylko dostrzec, jak na jego pociągłej surowej twarzy rozkwita nagle szeroki uśmiech. Widziany z boku zdawał się tak upiorny, że aż przeszedł ją dreszcz.

– Ho, ho, ho – odezwał się Natan. – A kogo my tu mamy? Cześć, dzielny zuchu!

Zrobił jeszcze krok i przyklęknął akurat w porę, by mocno przytulić Bartusia. Zaraz też sięgnął do chlebaka, z którego wyłowił mleczną kanapkę.

– Nie dawaj mu, nie chciał zjeść śniadania – powiedziała Milena, ale niespecjalnie się tym przejął. Otworzył przysmak, odwinął folię tak, by łatwiej było chwycić, i podał chłopcu, po czym ruszył w stronę salonu.

– Tę z owocami granatu – rzucił, rozsiadając się w fotelu. – A jeśli nie ma, to malinową.

Milena zerknęła na syna i miała wrażenie, że ten, gryząc kanapkę, przygląda jej się z zaciekawieniem. Co robi? Zabierze mu smakołyk? Nie pozwoli? Dostrzegła, że u szczytu schodów pojawiła się Wanesa.

– Idź – szepnęła – podziel się z siostrą.

Bartuś skrzywił się najpierw, następnie obejrzał i w końcu ruszył, ale zamiast na górę, skierował się do jadalni. Wgramolił się na kanapę obok Natana, znacząc skórzaną poduchę czekoladowym odciskiem małej rączki.

– Co masz, wujek? – zapytał.

– To się nazywa nintendo switch – powiedział Natan. – Takie do grania. Chcesz spróbować?

– Chcę.

– Poczekaj, zaraz się włączy. Idź do mamy, niech ci wytrze ręce.

– Sam potrafi umyć ręce, prawda, Bartuś? – Tylko na taki bunt była w stanie się w tym momencie zdobyć. – A mamusia jest teraz zajęta, bo robi drożdżówkę dla taty.

Sprawdziła, czy w czajniku jest dość wody, wyjęła kubek, wrzuciła do środka torebkę herbaty i zaplótłszy ręce, wsłuchiwała się w konsolowe dźwięki, pytania Bartusia dotyczące gry i cierpliwe, nieco rozbawione odpowiedzi Natana. Skrzywiła się na udawany dźwięk klaksonu, który oznaczał, że Bartuś znowu bawił się w naciskanie pozbawionego chrząstki nosa.

Akurat zalewała herbatę wrzątkiem, gdy na podjeździe pojawił się samochód Zygmunta. Zaraz potem Wójcik wszedł do domu – wyglądało na to, że w bardzo dobrym humorze.

– Jest już Natan? – zapytał od progu.

Nie zdążyła odpowiedzieć.

– Jestem. Czekał na herbatę.

Zygmunt zdjął marynarkę i przewiesił ją przez ramię.

– To ja poproszę kawę, kochanie.

– Jasne.

Natan podniósł się z sofy.

– Jakiś sygnał od chłopaków, szefie?

– Nie, to znaczy zwinęli go i jadą. Obstawiam, że będą koło pierwszej. – Wójcik wszedł do salonu. – Co tam masz? Pokaż... A czemu tu wszystko jest wyświnione czekoladą?

Powiedział to niby oburzonym tonem, ale wziął się przy tym pod boki i zrobił taką minę, że Bartuś tylko się roześmiał. Wójcik

wziął od Natana konsolę, przez minutę mierzył się z gałkami oraz przyciskami i w końcu oddał.

– Widziałem ostatnio coś takiego u Amerykanów – stwierdził.
– A właśnie, Litwa ustawił spotkanie z ruskimi, nie? Nic się nie zmieniło?

– Nic – odparł Natan i spojrzał ponad jego głową na Milenę. Chciała wytrzymać to spojrzenie, teraz, w obecności Zygmunta bała się mniej i była w końcu całkiem niezła w pojedynkę sów. Szybko jednak zorientowała się, że on nie zamierzał grać według zasad. Nie wstrzymywał mrugania, po prostu patrzył, świdrując ją, dziurawiąc wzrokiem na wylot i zmuszając, by odwróciła głowę. Gdy to wreszcie zrobiła, trącił knykiem czubek nosa.

– Pogadamy w gabinecie? – zapytał.

– Dobry pomysł – zgodził się Wójcik. – Milena, przynieś nam to do gabinetu, dobrze? Coś słodkiego możesz dodać. Co tam robisz?

– Drożdżowe – powiedziała. – Ale to jeszcze trochę, zanim będzie.

Zmartwił się, jednak zaraz znowu się uśmiechnął.

– No dobra, może coś znajdziesz. I sprzątnij tę czekoladę, bo się porzygać można od patrzenia. Chodź, Natan.

Gdy wyszli, Milena sięgnęła po świeżą ściereczkę, namoczyła ją i wykręciła.

– Chodź, Bartuś, posprzątam, co nabroiłes – powiedziała. – Najpierw weź to opakowanie i wyrzuć do śmietnika.

Chłopiec spojrzał na nią, przekrzywił głowę.

– Tata tobie kazał – oznajmił w końcu.

– Ale ja każę tobie – odpowiedziała, siląc się na spokój.

Pokręcił głową.

– Tata jest ważniejszy – stwierdził i już miał wyjść, gdy doskoczyła do niego i mocno chwyciła go za przedramię.

Za mocno. Skrzywił się natychmiast, buzia wygięła się w podkówkę, a oczy wypełniły łzami.

– Puszczaj mnie! – krzyknął. – Puszczaj!

Cofnęła rękę gwałtownie, jakby nagle zaczął parzyć.

– Przepraszam – szepnęła. – Ja... przepraszam, Bartuś, nie chciałam.

Wyciągnęła do niego ramiona, ale odsunął się od niej i pobiegł na górę z płaczem.

Z gabinetu wychylił się Zygmunt.

– Co się stało?

Milena w pierwszej chwili nie była w stanie odpowiedzieć. Potrzebowała kilku sekund, by przełknąć cholerną gulę, która urosła jej w gardle.

– Chciałam, żeby posprzątał – powiedziała. – Kazałam mu sprzątnąć.

Pokiwał głową.

– I bardzo słusznie – stwierdził. – Nie powinnaś mu folgować.

Zamknął drzwi, a ona usiadła na podłodze i zaczęła płakać. Po chwili zorientowała się, że z piętra, pomiędzy szczebelków balustrady patrzy na nią Wanesa.

27

Wysiadł pod sklepem ulicę od swojego domu. Na parkingu sprawdził godzinę i wyciszył telefon Adasia. Po drodze dowiedział się kilku ciekawych rzeczy, które od razu zapisał sobie w notatkach telefonu Pumby, ale od przeszło pół godziny tematem numer jeden w hondzie były groźby kierowcy, czym skończy się oddanie w wozie moczu, a mniej więcej pięć minut temu przestały to być teoretyczne dywagacje. Drelich zakładał, że może sobie pozwolić na przerwę w nasłuchiowaniu przez co najmniej kwadrans. Przepiął słuchawki do drugiego telefonu i zadzwonił do Izy.

Odebrała po trzech sygnałach, wyraźnie podenerwowana.

– Mamy zapierdol. Zadzwonię za pięć minut, na przerwie – powiedziała i natychmiast się rozłączyła.

Drelich wszedł do sklepu po małą butelkę wody i snickersa. Zadzwoniła akurat, gdy wrócił na parking.

– Dobra, mam teraz chwilę – oznajmiła Iza. – Mów, co się wydarzyło. Gdzie jesteś w ogóle?

– Koło swojego domu – odpowiedział. – Idę tam właśnie. Wróciłem do Warszawy przed kwadransem.

– Wróciłeś do Warszawy? To gdzie ty właściwie byłeś?

Streścił jej pokrótce wydarzenia poranka, zaczynając od telefonu od Kracha. Nie zwracał uwagi na to, że niektóre wiadomości powtarza, nie wdawał się w szczegóły, nie dzielił

wnioskami, a wszystkie pytania zbywał krótkim: później. Gdy skończył, przystanął przy murku, położył na nim telefon Adasia i odkręcił butelkę.

– Dobrze, teraz możesz pytać – powiedział i upił łyk wody.

– Dziękuję, łaskawco – mruknęła. – Dobrze, zacznijmy od sedna sprawy. Ten romans, który rzekomo miałeś z żoną tego... Jak mu tam?

– Wójcika.

– Tak, Wójcika. To prawda?

Zakręcił butelkę i wsadził ją do kieszeni. Podniósł z murka telefon. Przechodzący obok dzieciak z piłką pod pachą powiedział dzień dobry. Drelich skinął mu głową.

– Mam taki papier z pieczętkami... – zaczął, ale weszła mu w słowo.

– Nie jestem w nastroju, Drelich – powiedziała spokojnie. – Kiedy żartujemy, to żartujemy, ale kiedy sprawa jest poważna i mój były mąż zostawia naszego syna, bo ktoś po niego jedzie, to próbujemy się, kurwa, skupić.

– Nie.

– Co nie?

– Nie miałem niczego, co można by nazwać romansem albo związkiem od czasu, gdy się rozstaliśmy.

Od skrzyżowania dzieliło go pięćdziesiąt metrów. Zdążył je przejść, zanim odezwała się znowu.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie uprawiałeś seksu od...

– Nie, Iza. Powiedziałem to, co chciałem powiedzieć. Nie miałem niczego, co można nazwać związkiem czy romansem. Na pewno nie prowadziłem z żadną kobietą konwersacji na

komunikatorach ani nie wysyłałem żadnych zdjęć. A z tego, co między sobą mówili, właśnie to miało miejsce.

Słyszał, że ktoś zwrócił się do Izy w sprawie odebrania kwiatów. Odpowiedziała, że potrzebuje jeszcze pięciu minut i że Ewa może pokwitować, tylko niech je wcześniej obejrzy.

– Dobra, musimy się streszczać. Jak teraz wygląda sytuacja? Co zamierzasz? I kim jest Wójcik dla tego Ornowskiego, że boss zgadza się wyświadczać mu przysługi?

Drelich zatrzymał się po przeciwnej stronie bloku i rozejrzał uważnie. Nie dostrzegłszy niczego niepokojącego, wszedł do budynku.

– Poczekaj, zaraz będę w mieszkaniu – poprosił.

Wbiegł szybko, pokonując po dwa, trzy schody, i lekko zdyszany nacisnął klamkę. Wcześniej zostawili mieszkanie otwarte, ale zawsze istniała opcja, że pani Maria zeszła tu sprzątnąć i zamknęła. Jej, jak sobie przypominał, nie ostrzegł, żeby do niego nie schodziła.

– Dobra, jestem – powiedział, wchodząc do przedpokoju. Zamknął za sobą drzwi na klucz, położył telefon Adasia na komodzie, a obok zostawił butelkę i snickersa.

– Dobra, to odpowiadając po kolei. Teraz wróciłem do mieszkania, zamierzam sprzątnąć wszystko, co pozwoliłoby im zidentyfikować dzieci czy ciebie. W branży wie o was w zasadzie tylko Krach, a jego jestem pewny.

– Przecież cię wsypał – zauważyła.

Drelich nie skomentował. Wyjął z szafy walizkę, rzucił ją na łóżko i otworzył.

– Dzieciaki mają Facebooka, prawda? – zapytał.

– Brawo, ojcie roku! – zadrwiła. – Zośka ma, Instagrama też, ale oba nie pod nazwiskiem. Jakaś postać, zabij mnie, nie pamiętam jaka. Mam zapisane. Niko ostatnio męczył o Facebooka, ale na razie pozwoliłam mu tylko na Messengera z kolegami. Też używa jakiegoś nicka.

– Dobrze, bo właśnie o to miałem... Ej, czy mi się wydaje, czy ty właśnie palisz? Nie rzuciłaś aby?

– Odcinanie się od złych decyzji życiowych nie idzie mi, jak widzisz, najlepiej – warknęła. – Co dalej zamierzasz?

– Na razie gdzieś się przeniosę – odpowiedział. – Spróbuję załagodzić sprawę, dowiedzieć się czegoś więcej. Załatwię to, Iza.

Słyszał, jak wzdycha.

– Wiem – odparła w końcu. – Wiem, że załatwisz.

– Jak Niko to znosi?

– Teraz już w porządku. Powiedziałam mu, że zawaliłeś coś w pracy i masz kryzys. Zarzucił mi, że jeżdżę na bani, a ja pozwoliłam zainstalować tego Fortnite'a na służbowym laptopie. Co ty mu dałeś za kody, tak w ogóle? Mówi, że się wykosztowałeś, bo to warte z pięćset złotych.

– Nie kupiłem ich. Mam od Kracha.

– A, no tego mu nie powiem – stwierdziła. – To matka powinna być od wujków dających dzieciom drogie prezenty, nie?

– Bardzo śmieszne. Ty możesz żartować?

– Odwołałam dziś trening i kosmetyczkę, a rano zapieprzałam na kacu do ciebie, choć miałam się wyspać. Czyli tak, ja mogę.

Drelich wrzucił do walizki cztery komplety skarpetek, bokserek i tiszertów. Dorzucił parę spodni, kosmetyczkę i mały komputer w gąbkowym etui. Wyjął też z szafy dwa duże

marynarskie worki. Z ostatniej szuflady komody zabrał dwie duże żarówki, kilka telefonów i plastikowe pudełko przypominające nieco śniadaniowe, ale większe i masywniejsze. Wszystko prócz żarówek i worków wrzucił do walizki.

– Wracając do sprawy – podjął. – Myślę, że to wszystko jest albo nieporozumieniem, albo ktoś mnie wrabia. Odniosłem też wrażenie, że Ornowski jest tu jakby poza sprawą, ale mimo wszystko mam do ciebie prośbę. Ten twój Krystian to w porządku facet, nie?

Prychnęła cicho, jednak darowała sobie wszystkie złośliwe riposty, które niewątpliwie przysły jej teraz do głowy.

– Tak, w porządku – odpowiedziała.

– A czy jest opcja, byście przenieśli się do niego na kilka dni?

Długo nie odpowiadała. Zdążył w tym czasie przynieść z kuchni stołek, wejść na niego i wymienić żarówkę w przedpokoju. Sprawdził na aplikacji, czy ma dobry ogląd na drzwi, po czym skorygował ustawienie żarówki tak, by kamera w środku obejmowała równo całą framugę.

– Myślisz, że coś grozi dzieciom? – zapytała w końcu Iza.

– Nie wiem. W ogóle zbyt wielu rzeczy nie wiem na ten moment, więc wolę nie ryzykować z niczym. Dlatego jeśli nie do Krystiana, to może do twojego ojca...

Tym razem sobie nie darowała.

– To może od razu do twojego stryja, co? Dzwoniłeś już do niego?

– Iza, pytam poważnie.

– A ja poważnie odpowiadam. Jeśli pojedę do taty i powiem mu, w czym problem, już nigdy nie będziesz mógł się do nas

zbliżyć, Drelich, i dobrze o tym wiesz. Sam wypełni za mnie wniosek o zakaz zbliżania się i każe zrobić obdukcję na siniaki z treningów. Słowem, nie dostaniesz kolejnej szansy.

– Kolejnej? – zdziwił się.

– Och, oczywiście, że kolejnej. Rozwiedliśmy się, a mimo to żyjesz, nie jesteś kaleką i nie siedzisz. Mój ojciec może nie jest diabłem na czele stada diabląt jak twój stryj, ale znasz go na tyle, by wiedzieć, że mam rację. – Słyszał, że się zaciąga, a potem wypuszcza dym. – Dobra, porozmawiam z Krystianem. On co prawda wraca dopiero pojutrze, ale myślę, że się zgodzi i nie będzie drażył, jeśli wymyślę jakiś dobry powód. Lubi dzieciaki.

– Nie wątpię. I dziękuję. Załatwię tu parę spraw i koło szóstej pomogę wam się przenieść, dobrze? I tak muszę porozmawiać z Nikodemem, bo mu obiecałem.

– Dobrze, wpadaj. Muszę kończyć, bo naprawdę mamy tu dzisiaj piekło. A jeszcze czeka mnie rozmowa z Zośką, która, jak się domyślasz, nie będzie zachwycona.

– Jasne. Dziękuję, Iza. I przepraszam.

– Ja się zastanowię, czy przyjąć przeprosiny, a ty dowiedz się, za co tak naprawdę przepraszasz. Do szóstej.

Rozłączyła się. Drelich przepiął słuchawki do telefonu Adasia, pogłośnił i wrzucił aparat do kieszeni. Z jednym marynarskim workiem wszedł do pokoju Zośki i szybko, bez specjalnego przeglądania zaczął pakować rzeczy córki.

W hondzie rozmawiali akurat o wesołym miasteczku. Pumba mówił o tym, że karuzele i rollercoastery to zajebista rzecz, bo zaburzenia błędnika wpływają na seksualną aktywność kobiet.

– Znaczy nie na wszystkie – tłumaczył. – Ale u wielu jest tak, że jak zejda z karuzeli, to przez pierwsze pięć minut przeruchałyby wszystko. Wtedy warto być w pobliżu.

– Są na to jakieś badania? – nie dowierzał Adaś.

– No, sprawdzałem moim próbnikiem.

Drelich uporał się z workiem, uzupełnił rzeczami Zośki z łazienki i kuchni, sprawdził zakamarki oraz duży pokój. Następnie ściszył trochę urządzenie i z drugą żarówką wyszedł na korytarz. Tu problemem był klosz z mlecznego szkła, ale po prostu go zdjął i zostawił gołą żarówkę. Sądząc po zwyczajowym tempie, z jakim spółdzielnia zabierała się do likwidowania usterek, raczej nie musiał się obawiać, że fachowcy pojawią się tu z kolejnym kloszem w przeciągu trzech najbliższych dni.

Wrócił do mieszkania i zabrał się za czyszczenie pokoju syna, a potem wyjął z szuflady swój używany na co dzień telefon. Włączył go, szybko przejrzał wiadomości i listę nieodebranych połączeń. Dwa od Kracha i jedno od Izy. Uznał, że pewnie oddzwoniła odruchowo przed wysłuchaniem wiadomości. Wybrał numer oznaczony jako WS i odczekał cztery sygnały.

– Waldemar Szulim, słucham. – Mężczyzna po drugiej stronie słuchawki miał głos emerytowanego nauczyciela, zniszczony i zmęczony. Pasował do jego wyglądu, ale już zupełnie nie do charakteru tego w gruncie rzeczy pogodnego faceta, który był świadom, że życie mu sprzyja.

– Panie Waldku, z tej strony Tomasz Wit – przedstawił się Drelich. – Ja tak ze specjalnym zamówieniem, bo potrzebuję czegoś na tydzień.

– Tydzień? – zdziwił się Szulim. – U, panie kochany, to wyjątkowa kobieta musi być!

– No, musi – przyznał. – Dałoby się tę moją ulubioną kawalerkę?

– Chwileczkę.

Przez kilka minut pakował dyplomy Nikodema i jego obrazki w ramkach, nasłuchując najpierw skrzypienia podłogi, a potem wertowania zeszytu. Przypomniawszy sobie, że z Szulimem widział się na żywo ze trzy razy, ale kompletnie nie miał pojęcia, jak facet mieszka czy żyje. Jego mieszkania rozrzucone po całej Warszawie prezentowały wysoki standard, choć sądząc po tym skrzypieniu, sam mieszkał raczej w znacznie niższym. I jeszcze to zapisywanie rezerwacji w zeszycie. Człowiek zdecydowanie z innego czasu.

– Panie Wit, mieszkanie stoi wolne, więc może pan choćby dzisiaj. Standardowo klucze w schowku, pieniądze proszę do koperty i do skrzynki.

– Dobrze, a ile to będzie?

Szulim podał kwotę bez specjalnych zniżek, którą Drelich bez gadania zaakceptował. Ze schowka za wieszakiem w przedpokoju wyjął dziesięć paczek banknotów po sto i pięćdziesiąt złotych. Dwie wrzucił do walizki, resztę do worków, po czym zwiózł je windą do piwnicy i wrzucił za zimowe opony.

Z mieszkania zabrał jeszcze obrazek, kubek i walizkę ze skrytki pod zlewem i tak przygotowany wyszedł.

W samochodzie ulokował graty w bagażniku i podłączył do ładowania telefon Adasia. Z tego, co pamiętał, ten Szarego miał lepszą baterię, choć Drelich nie wiedział, jak długo urządzenie będzie jeszcze działało w trybie połączenia. Wolał jednak nie

dopuszczając do sytuacji, kiedy jako pierwszy padnie aparat, który miał przy sobie.

Zanim odpalił silnik, sprawdził czas – zostało mu pół godziny. Gdy czas minie, powinien mieć za sobą jedną trzecią drogi powrotnej. Dobry moment, by zadzwonić do Wójcika.

28

Ciepły, przyjemny zapach pieczonej drożdżówki unosił się już w całym rozpromienionym słońcem domu. Murzyn leżał na tarasie, smętnie patrząc na trójnogi stoliczek i dwie szmacianki oraz jedną Barbie cierpliwie czekające, aż Wanesa zejdzie na dół, by wypić z nimi niewidzialną herbatkę. Z pokoju na górze dochodziły southern rockowe dźwięki piosenki z Fineasza i Ferba, o dziobatym jeźdźcu, który wiezie banany z centrum Alabamy. Milena знаła ten utwór na pamięć i teraz mimowolnie podśpiewywała sobie pojedyncze wersy, domywając miskę z resztek ciasta. Miała wrażenie, że jest sobota, pewnie dlatego, że dzieci były w domu, nie w przedszkolu. Nie potrafiła, nie chciała sobie odpowiedzieć, dlaczego dziś znowu nie poszły, bo wiązałoby się to z przywołaniem w myślach poranka, tymczasem sięganie pamięcią choćby pół godziny wstecz wypełniało jej oczy łzami.

A przecież nie można płakać, odezwał się w jej głowie syntezator, gdy w domu tak pięknie pachnie drożdżówka, a dziobatemu jeźdźcowi poprzez całe Stany gra muzyk rozebrany!

Roześmiała się głośno, nieco zaskoczona tym, że głos w jej głowie zmienił nagle usposobienie na tak pozytywne. Nie spodziewała się tego po nim. Odstawiła miskę na ociekacz, sięgnęła po silikonową rękawicę i zajrzała do pieca.

Aromatyczny gorąc buchnął jej w twarz niczym obozowe ognisko. Wysunęła blachę, sięgnęła po przygotowany wcześniej patyczek i kilka razy dźgnęła ciasto tuż obok plam kruszonki. Nic się nie kleiło do drewnianka, więc postawiła blachę na owiniętej ścierką desce, zamknęła piekarnik i sięgnęła po talerzyki.

Zygmunt lubił ciepłe drożdżowe. Im gorętsze, tym lepsze, i nic sobie nie robił z ostrzeżeń, że będzie go potem bolał brzuch. Zresztą nawet jeśli go bolał, co jednak nie zdarzało się często, mówił, że warto było pocierpieć. Jego drożdżówka musiała być na gorąco krojona w poprzek, smarowana masłem tak, by wsiąkło, i czasem też dżemem. Podawana koniecznie z zimnym odtłuszczonym mlekiem.

Milena nie miała pojęcia, jak Natan lubił jadać drożdżowe, ale nie zamierzała dopytywać. Będzie jadł jak Zygmunt albo sobie poczeka, aż mu wystygnie – jego sprawa. Nie będzie się dupkiem przejmować.

Pokroiła parujące ciasto, ułożyła je na talerzu, a ten postawiła na tacy. Dobrała nóż do smarowania, miseczkę masła oraz dżemu i dwa duże kubki. Gdy podchodziła do lodówki, otworzyły się drzwi do gabinetu i niemal w tym samym momencie w dźwięki kolejnej piosenki z kreskówki wciął się ksylofon melodyjki iPhone'a. Drzwi zamknęły się, co znaczyło, że Zygmunt bądź Natan zrezygnował z wyjścia.

Milena zerknęła na zegarek na piecu. Dochodziła dwunasta czterdzieści, więc choć oczywiście nie miała pewności, bo nie odważyła się sprawdzić w telefonie dystansu dzielącego Warszawę od Gdańska, zakładała, że to któryś z chłopaków – pewnie właśnie podjeżdżają. Jeśli tak, Zygmunt i Natan zaraz będą się

zbierali, bo przecież nie przywiozą Drelicha tutaj. Już prędzej do Luny czy Mefista.

To może wstaw drożdżówkę do pieca, podpowiedział jej syntezytor mowy. Tam nie straci ciepła. Podgrzana nie będzie już tak samo smakować.

Gdy zadzwonił telefon, Natan najpierw tylko się odwrócił z ręką na klamce. Właśnie skończyli omawiać plany na kolejne dni, więc miał zamiar skorzystać z łazienki i zobaczyć, co z tym pięknie pachnącym ciastem.

Zygmunt stał przy oknie, z rękami splecionymi na pośladkach i albo nad czymś myślał, albo po prostu gapił się na atrakcyjną sąsiadkę opalającą się topless na swoim tarasie.

Jego iPhone leżał na biurku ekranem do góry. Kiedy zadzwonił, Zygmunt obejrzał się przez ramię.

– Pumba – powiedział.

Natan zamknął drzwi i wrócił do biurka. Zygmunt usiadł, odebrał.

– No i jak tam, Pumba, gdzie jesteście? – zapytał, przełączając urządzenie na głośnik.

W pierwszej chwili Natan usłyszał tylko charakterystyczny szum, świadczący o tym, że rozmówca jest w jadącym samochodzie.

– Pumba? Słyszysz mnie? – powtórzył Wójcik.

– Dzień dobry – odezwał się nieznany Natanowi głos. – Przepraszam, ale muszę się upewnić. Rozmawiam z panem Wójcikiem?

Na twarzy Zygmunta zaskoczenie błysnęło niczym kumulacja nerwowych tików. Uniósł głowę i spojrzał na Natana. Ten zakreślił młynka palcami, sugerując, że powinien odpowiedzieć.

Zygmunt odchrząknął.

– Nazywam się Wójcik, tak. Z kim rozmawiam?

– Drelich – odpowiedział tamten. – Posłał pan po mnie swoich ludzi. I właśnie w tej sprawie dzwonię.

Natan usiadł. Wójcik poprawił się na krześle, złożył dłonie w piramidkę, kilka razy stuknął opuszkami o opuszki.

– Co z nimi?

– Musiałem ich trochę poobijać i skrępować, ale poza tym są cali i zdrowi – odparł Drelich. – Zaraz do nich przejdziemy, panie Wójcik. W pierwszej kolejności chciałbym porozmawiać o sprawie, przez którą znaleźliśmy się w tej sytuacji. Bo mam wrażenie, że doszło do nieporozumienia.

Zygmunt już otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale Natan pstryknął palcami, by zwrócić jego uwagę. Gdy mu się to udało, powoli pokręcił głową i przyłożył palec do ust.

– Czy dobrze zrozumiałem, że chodzi panu o mój rzekomy romans z pana żoną? – zapytał Drelich.

Tak jak wcześniej zaskoczenie było rozbłyskiem, tak teraz gniew rozlał się na twarzy Zygmunta powoli, zwięzając oczy w szparki, zaciskając mięśnie szczęki i rozszerzając nozdrza. Natan wiedział, co to oznacza – gdy tamci trzej wrócą, dostanie im się za gadulstwo.

– A miał pan? – wycedził Zygmunt, by zaraz odchrząknąć i spróbować jeszcze raz. – Czy miał pan romans z moją żoną?

– Nie – odparł Drelich. – I jestem tego pewien, bo nie znam pańskiej żony ani od lat nie miałem żadnej relacji, którą można by nazwać romanssem.

Zrobił pauzę. Zygmunt ani Natan też się nie odzywali, więc przez chwilę słychać było tylko szum z telefonu i przytłumione dźwięki piosenki z dziecięcej kreskówki.

– O ile dobrze zrozumiałem, w grę wchodziły jakieś zdjęcia i rozmowy przez komunikatory? – zapytał w końcu Drelich. – Bo jeżeli tak, zapewniam pana, do niczego takiego nie doszło.

Zygmunt prychnął.

– I co, mam ci niby uwierzyć na słowo? – rzucił.

– Nie chcę panu mówić, co ma pan zrobić, panie Wójcik. Ja nie miałem romansu z pańską żoną. A jeśli nawet uprawiałem z nią seks...

– To, kurwa, miałeś ten romans czy nie miałeś?! – nie wytrzymał Zygmunt. I tym razem nic nie dało kręcenie głową przez Natana. Wójcik zrobił się cały czerwony na twarzy, a dłonie splótł tak mocno, że pobieleły na kłykciach. – Zdecyduj się i nie rób ze mnie debila!

Drelich nie odpowiadał przez prawie pół minuty, a o tym, że się nie rozłączył, świadczył tylko dochodzący z słuchawki szum.

– Jesteś tam jeszcze, palancie?

– Jestem – odezwał się Drelich. – Nie doprecyzowałem wcześniej, mój błąd. Przez romans rozumiem relację romantyczną. Rozmowy, randki, zaangażowanie emocjonalne. Jestem pewien, że nie utrzymywałem takich relacji z pańską żoną, bo nie utrzymuję takich relacji z nikim.

Zrobił pauzę, jakby dawał Wójcikowi czas na odpowiedź. Gdy jej nie usłyszał, ciągnął dalej.

– Co do seksu, nie mogę mieć już takiej pewności, bo nie pytam kobiet, z którymi sypiam, o ich status formalny. To nie moja sprawa. Ale jeśli rzecz miała miejsce w Gdańsku bądź ogólnie na Pomorzu w ciągu ostatnich dwóch lat, to również nie...

– Przestań na chwilę gadać!

Drelich posłusznie umilkł i znowu słychać było tylko szum oraz ciche dźwięki piosenki. Zygmunt wstał, po czym zaczął się przechadzać tam i z powrotem wzdłuż biurka. Natan przyglądał mu się z twarzą pozbawioną wyrazu.

– Skoro taki jesteś pewien, że to wszystko pomyłka, dlaczego nie dałeś się tu przywieźć? – zapytał w końcu Wójcik.

– Bo, wybaczy pan, nie tak się zaprasza na rozmowy.

Natan zaśmiał się bezgłośnie, odchylił na krześle i zaplótł ręce na piersi. Zygmunt łypnął na niego wściekle, ale się nie odezwał.

– Jeżeli uprawiałem seks z pańską żoną, panie Wójcik – podjął Drelich – wynikało to z mojej niewiedzy, za którą przepraszam. Nie chciałem pana urazić. Do dzisiejszego poranka nie miałem pojęcia o pana istnieniu.

– Wsadź sobie w dupę swoje przepraszam – warknął Zygmunt na tyle cicho, że nie było pewności, czy Drelich go usłyszał.

– Wnioskując po metodzie, jaką pan przyjął, by mnie ściągnąć, jak i po tym, że zatrudnia pan kogoś, kogo pamiętam z dawnych czasów, rozumiem, że działamy w jednej, szeroko rozumianej branży.

Tym razem to on nie doczekał się odpowiedzi, ale najwyraźniej wcale jej nie potrzebował.

– Jeśli tak, z pewnością mogę poprosić kogoś, kogo obaj szanujemy, o zorganizowanie nam bezpiecznego spotkania, byśmy mogli omówić wszystkie wątpliwości. Co pan na to?

Zygmunt spojrział na Natana, a ten wzruszył ramionami.

– Gdzie są moi ludzie? – zapytał Wójcik.

– Niedaleko Łowicza – odparł Drelich. – Za chwilę prześlę panu dokładne koordynaty GPS wraz z adresem mejlowym, na który, gdyby się pan zgodził, proszę o przesłanie kilku sugerowanych przez pana mediatorów. Jeśli to możliwe, niekoniecznie z Trójmiasta, bo tam znam tylko kilka największych nazwisk, a ich wolałbym nie kłopotać sprawą o podłożu osobistym. Pan pewnie również nie?

– Dlaczego nie mogę po prostu oddzwonić na ten numer, gdy się namyślę?

– Bo będzie on nieaktywny. Pozostałe dwa zresztą również, zaraz po tym, jak z jednego z nich wyślę esemesa. To niestety niezbędne środki ostrożności, jakie muszę podjąć, dopóki nie poznam pańskiego stanowiska.

– Dobra, czekam na esemesa i się odezwę – powiedział Wójcik i się rozłączył.

Natan wciąż milczał. Z rękami splecionymi na piersi patrzył, jak Zygmunt oparł się rękami o biurko, dociskając pięści do blatu, a policzek i kącik ust drgały mu rytmicznie, gdy ścigał usta.

Wójcik długo i w milczeniu wpatrywał się w drzwi do gabinetu. W końcu usiadł. Zabębnił palcami o stół.

– Kurwa – mruknął najpierw cicho, ale potem powtórzył nieco głośniejszym głosem: – Kurwa!

Natan czekał.

– Słyszałeś, co on mówił? – zapytał Wójcik. Mało brakowało, a znowu by wstał. W ostatniej chwili się powstrzymał. – Słyszałeś?! Kurwa, wszystko wiedział, wszystko. Że Gdańsk, że romans, że zdjęcia, że rozmowy. Wszystko, kurwa. Wszystko!

Natan potwierdził skinieniem głowy.

– Słyszałem.

– I jeszcze ten tekst na koniec. To o Ornowskim mówił, nie? O to największe nazwisko, którego nie chciał kłopotać, chodziło, dobrze myślę?

– Nie wiem.

– Na pewno! – Zygmunt podrapał się po karku. – To też musieli wypaplać. Ja pierdolę, no języki im ujebię, jak tu przyjadą. Języki, kurwa, z gęb upierdolę, jak Boga kocham!

Podniósł się, opadł na fotel i sięgnął po długopis. Trzy razy stuknął nim o blat, wreszcie wstał i podszedł do drzwi. Otworzył je.

– Milena, jest już to ciasto? Bo czuć w całym mieszkaniu. Ślina mi gębę zatyka!

Zostawił otwarte i wrócił za biurko. Usiadł i znów sięgnął po długopis.

Natan wciąż uważnie go obserwował.

– Teraz to nie mogę tego tak zostawić – podjął znowu Wójcik. – Po prostu nie mogę. Już chuj, czy z nią spał, czy to jakaś ściema, ale gdy się wyda, że mi chłopaków pogonił, zaraz będę pośmiewiskiem. Już widzę, jak ruscy będą chcieli z nami robić albo Amerykanie. Wyobrażasz to sobie w ogóle?

– Nie, szefie. Nie wyobrażam.

Zygmunt oparł łokcie o blat, położył głowę na dłoniach.

– Przecież jak to dojdzie do Ornowskiego albo do wujka... – Urwał, bo do gabinetu weszła Milena. W rękach trzymała tacę, więc musiała biodrem trącić drzwi, by otworzyły się szerzej.

– Gdzie postawić? – zapytała, uśmiechając się przymilnie.

Natan widział, jak ta przymilność właśnie przepełnia czarę. Jak ten słodki głos, to niewinne pytanie sprawia, że w Wójciku coś pęka, ulega pod naporem ciśnienia. Uprzedzając wydarzenia, wstał, podszedł do niej i bez słowa zabrał jej z rąk tacę. Zdziwiła się, ale nie skomentowała.

– Podejź tu – powiedział Zygmunt. Całkiem spokojnie, ale i tak się zawahała.

Natan widział, jak spina mięśnie karku, powstrzymuje się, by nie spojrzeć w stronę drzwi. Podeszła powoli, niemal na palcach, jakby się skradała. Widział, jak porusza ustami, powtarza bezgłośnie jakieś słowa niczym mantrę.

– Wiesz, kto właśnie dzwonił? – zapytał Wójcik, gdy znalazła się przy biurku.

Pokręciła głową.

– Twój dobry znajomy Drelich. Zadzwonił, by powiedzieć, że nigdy nie miał z tobą romansu i nigdy z tobą nie spał, wyobrażasz sobie?

Raz jeszcze zaczęła kręcić głową, ale w połowie ruchu zdała sobie sprawę, że to już nie jest prawidłowa odpowiedź.

– Bo to prawda, Zygmunt – powiedziała. – My tylko rozmawialiśmy w internecie. I nigdy, znaczy ja...

Uderzył ją w brzuch. Szybko, bez ostrzeżenia i na tyle mocno, że wyrzuciła z siebie powietrze i zgięła się w pół, uderzając twarzą

o biurko. Zatoczyła się, czując, jak ból rozlewa się jej po brzuchu i podcina kolana.

– Gównu mnie obchodzi, co ty nigdy, suko – warknął, wycierając rękę o spodnie. – I wcale mnie nie dziwi, że cię nie chciał! Bo nikt cię nie chce. Natan, masz ochotę? Jak tak, to się nie krępuj, wiem, że lubisz na ostro. Serio mówię!

Natan zaśmiał się pod nosem.

– Nie, szefie. Nie mam ochoty.

– Nie to nie. – Wójcik wzruszył ramionami i ponownie spojrzał na żonę. – Zabieraj mi się stąd, niech cię nie widzę. Dość mam kłopotów przez ciebie. A jak dzieci zapytają, czemu się tak zwijasz, powiedz im, że się najadłaś ciepłego ciasta. Jasne?

Pokiwała głową, łykając łzy.

– No to już. Wypierdalaj stąd!

Gdy wyszła, Natan postawił tacę na stole. Zygmunt sięgnął po pierwszy kawałek, przekroił i nałożył masła. Smartfon zawibrował, powiadamiając o esemesie.

– Trzeba pojechać po tych debili. Skoczysz?

Natan również sięgnął po ciasto, ale nie zamierzał kłopotać się masłem. Zdjął za to kruszonkę z wierzchu i położył na talerzyku.

– Mam lepszy pomysł, szefie – powiedział. – Niech jadą Litwa ze Stówką. Ja zajmę się tym typem.

– Jeśli nie jest głupi, to się zabunkruje.

– Też tak sądzę, szefie – zgodził się Natan. – Ale ja mam swoje sposoby na wyciąganie z bunkra. Na spotkaniach być nie muszę, do Kłodzka może jechać Litwa, a jak mi dasz kilka dni, to ci go przywiozę.

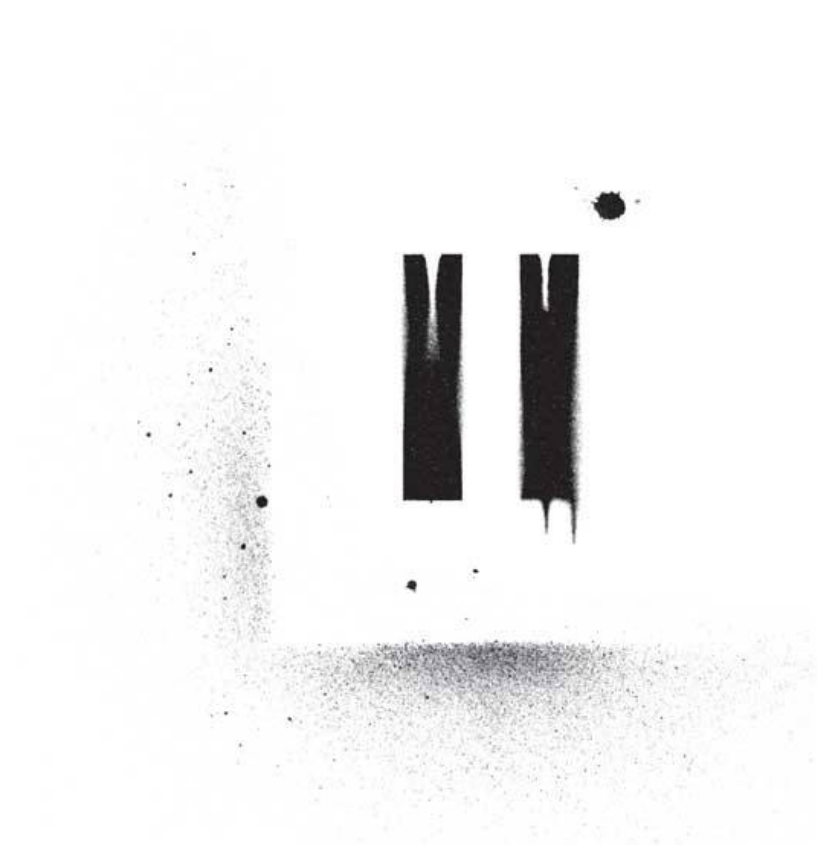
Zygmunt przez chwilę żuł i myślał. Gdy skończył, popił mlekiem i otarł usta chusteczką.

– Cholera, umie piec – stwierdził z uznaniem.

Natan przytaknął, choć raczej z uprzejmości.

– I kurwa, mogliśmy od razu wysłać ciebie – dodał Wójcik.

Tu Natan przytaknął już całkowicie szczerze.



Drelich zaparkował przy McDonalddie, dokładnie naprzeciwko MOP-u, z którego zabrał się saabem do Warszawy. Podpiął z powrotem słuchawki do naładowanego już telefonu Adasia i z numeru Pumby wysłał obiecane wcześniej esemesa z mejlem i koordynatami, po czym otworzył bagażnik. Z walizki wyjął plastikowe pudełko, a z niego niewielką plastikowo-gumową kostkę. Wymienił w urządzeniu baterię, upewnił się, że działa, i po zsynchronizowaniu z aplikacją opartą na mapach Google'a schował je do kieszeni.

Sprawdził godzinę i spojrzał na drugą stronę autostrady. W porównaniu do tamtego, MOP, na którym był teraz, z zaledwie dwoma pauzującymi ciężarówkami i raptem trzema osobówkami, wydawał się wyludniony. Przez chwilę Drelich rozważał, czy przenieść gdzieś albo zabrać ze sobą broń ukrytą po drodze, ale uznał, że szkoda nawet nie tyle czasu, ile energii. Już i bez tego czekał go teraz spacer.

Obszedł budynek i minął restauracyjny plac zabaw. Na nieruchomej huśtawce siedziała smętnie znudzona dziewczynka, a nieco dalej wesoła grupa motocyklistów obsiadła jeden z kilku drewnianych stolików. Starsza szczupła brunetka w obcisłym kombinezonie zapytała, czy nie ma ochoty usiąść z nimi.

– Nie – odparł, nie łagodząc tego ani uśmiechem, ani żadnym uzasadnieniem. Pokonał dwadzieścia metrów świeżo skoszonej

trawy i stanął przy płocie.

Hondy nie dało się stąd dostrzec, ale widział pagórek, za którym ją ukrył, i w zasadzie całą drogę dojazdową. Ktokolwiek chciałby się zbliżyć do auta, musiał przejechać właśnie tędy albo przebijać się przez pola i przynajmniej jeden zagajnik.

Taki ogląd sytuacji musiał mu wystarczyć, bo niestety nie dysponował lornetką, odkąd pod naciskiem Izy pożyczył ją Zośce, gdy ta potrzebowała jej na wycieczkę i na tej wycieczce ją zgubiła. Drelich miał zamiar kupić nową, ale przy pierwszym większym zamówieniu zapomniał, a potem tak długo jej nie potrzebował, że w końcu zrezygnował. I teraz się mściło.

W hondzie toczyły się luźne rozmowy. Cała trójka narzekała na smród i gorąc, od czasu do czasu wplatając w to informacje warte zapamiętania i rozważenia. Najwięcej mówił Pumba.

Wyglądało na to, że wesołe miasteczko, o którym wcześniej wspominał, jest ważne dla interesów Wójcika i że jego ludzie czasem kursują tam w sezonie po kilka razy. Adaś jeszcze nie, więc starszy kolega chętnie dzielił się z nim doświadczeniem. Drelich nie musiał się długo zastanawiać, po co przestępcom wesołe miasteczko. Odnotował natomiast w głowie, by zaraz, gdy tylko usiadzie, zapisać to sobie, żeby w razie czego później wykorzystać – tak samo jak uwagę Szarego o amerykańskich żołnierzach i ruskich, z którymi mieli się spotkać na dniach. Wspólnych interesów ludzi z amerykańskiego kontyngentu i półświatka też raczej nietrudno było się domyślić.

Wracając z trawnika na parking, Drelich ponownie przepiął słuchawki i zadzwonił do Kracha. Ten odebrał dopiero po czterech sygnałach, wyraźnie zdyszany.

– I jak sytuacja? – zapytał. – Byli?

– Byli – odparł Drelich.

Brunetka w kombinezonie, widząc, że zbliża się do niej i porusza ustami, uśmiechnęła się i wskazała na siebie, unosząc pytająco brwi. Pokręcił głową i pokazał słuchawkę w uchu. Posmutniała.

– A żyją?

– Żyją.

Krach wyraźnie odetchnął.

– Dobra, Drelich – powiedział po krótkiej pauzie – to teraz musimy szybko ustalić, jak jest. Między nami znaczy.

– Jest w porządku. Zadzwońeś.

Doszedł do auta i skręcił w lewo, w stronę stacji. Minął go autokar pełen dzieciarni. To znaczyło, że przez najbliższe pół godziny w McDonalddie nie da się usiąść, jak pierwotnie planował. Miał nadzieję, że chociaż motocykliści zmyją się, zanim wróci.

– A jak z dzieciakiem? – dopytywał Krach. – Zdążyłeś...

– Gdybym nie zdążył, zdecydowanie nie byłoby w porządku – odparł Drelich. – Albo gdybym wciąż z nimi mieszkał. Ale wtedy, zakładam, wymyśliłbyś coś innego, prawda?

Krach nie odpowiedział od razu. Drelich uśmiechnął się pod nosem, myśląc, że właśnie to zawahanie, ta wątpliwość rozwiewała już ostatecznie jego własne. I tak zamierzał skorzystać z pomocy Krasowskiego, ale teraz nabrał pewności, że robi dobrze.

– Chyba bym wymyślił – powiedział w końcu Krach.

– No właśnie. – Drelich minął stację z lewej, kolejny raz wszedł na trawnik i przeciął go, zmierzając do drogi z zakazem ruchu. – Więc teraz słuchaj. Ja opowiem ci, co usłyszałem i co dotąd wiem, a potem poproszę cię o pomoc. Jeśli powiesz nie, dasz mi tylko słowo, że nikomu tego nie powtórzysz i że za nic nie dowiedzą się od ciebie o Izce i dzieciakach. No i że dasz mi znać, jeśli choćby o to zapytają. Zgoda?

Tu Krach już się nie wahał.

– Zgoda, mów.

Drelich poprawił słuchawkę w uchu, upewnił się, że nikt nie patrzy, i pchnął lekko bramę. Prześliznął się szybko i domknął ją z powrotem.

– Szefem tych trzech nie jest Ornowski, tylko jakiś Wójcik. – Zaczął, a potem w zwięzłych słowach streścił wydarzenia od rana do tej chwili, wplatając między nie pozyskane informacje.

– Wszystko to mówili przy tobie?

– Spokojnie, mam ich samochód na nasłuchu od dobrych trzech godzin.

Śmiech Krasowskiego zadudnił mu w uchu tak głośno, że musiał na moment wyciszyć telefon.

– Coś ty im zrobił, Drelich?

– Zabezpieczyłem i zadzwoniłem do Wójcika, by ich sobie odebrał.

– Zadzwoniłeś do Wójcika?!

– Tak. – Drelich zszedł na pobocze, by przepuścić nadjeżdżający traktor z szeroką przyczepą. – Bo facet myśli, że mam romans z jego żoną.

– Żartujesz?! Naprawdę... Poczekaj chwilę. – Głos w słuchawce przycichł, jakby Krach przysłonił mikrofon ręką. Drelich słyszał pojedyncze słowa, ale domyślił się, że tamten tłumaczy coś swojej sekretarce. – No dobra, jestem. Naprawdę chodzi o zdradę?!

– O romans – poprawił Drelich. – Podobno wysyłałem jego żonie jakieś zdjęcia, filmiki i coś do niej pisałem.

Krach znowu się roześmiał.

– Kurwa, Drelich, no pyszne to jest! – stwierdził. – Znaczy, gdyby nie to całe straszenie ci dzieciaka, rzecz jasna. Ale to komedia po prostu. Ciebie nie można się doprosić, byś do esemesa uśmiezek dołożył, a co dopiero bajerowanie kobiet w sieci.

Drelich nie skomentował. Doszedł do polnej drogi, w którą wcześniej kazał zjechać Adasiowi, i tu się zatrzymał.

– To oczywiście nieprawda? – upewnił się Krach. – Ten romans?

– Nieprawda – potwierdził Drelich. – Spać z nią raczej też nie spałem, choć tu nie mam aż takiej pewności. Na wszelki wypadek przeprosiłem i zaproponowałem konfrontację z udziałem kogoś, komu obaj zaufamy, by znaleźć rozwiązanie. Kogoś dużego. Nie powiedziałem wprost o Ornowskim, by cię nie wsypać, ale zasugerowałem. I wiesz, jakie odniosłem wrażenie?

– Czekaj, niech pomyślę. – Krach zrobił pauzę, choć raczej dla efektu niż z rzeczywistej potrzeby. – Odniosłeś wrażenie, że ten Ornowski to był blef, a facet wolałby nie rozpowszechniać plotek o tym, że jego stara puszcza się z podrzędnym złodziejem?

Drelich uśmiechnął się pod nosem.

– W moim wrażeniu nie było nic o podrzędnym, ale poza tym się zgadza – powiedział. – Z tego, co słyszałem, wynika, że Wójcik ma jeszcze co najmniej trzech innych zaufanych ludzi. Jeśli wyśle ich po tę trójkę z auta, potwierdzi mi się, że trzyma temat w zamkniętym kręgu.

– Mhm – mruknął Krach i milczał przez dłuższą chwilę. – To czego ci trzeba ode mnie? I jak w ogóle myślisz, co się teraz stanie?

– Od ciebie potrzebuję, byś mi sprawdził to wszystko, co ci powiedziałem. Chcę wiedzieć o tym Wójciku i jego ludziach jak najwięcej, by w razie potrzeby się przygotować. Prześlę ci do godziny ich ksywy.

– Dobra.

– A co do tego, co teraz się stanie... – Drelich zamyślił się, wpatrzony w ledwie widoczny zza pagórka tył hondy. – Piłka jest po ich stronie. Zabezpieczę wszystko najlepiej, jak umiem, i czekam na sygnały.

– Rozumiem – odparł Krach i znowu westchnął ciężko. – Sprawdzę, co mogę, ale bez wychylania się, dobra? Nie chciałbym, by myśleli, że węszę.

– O nic innego nie proszę – odparł Drelich. – Dziękuję, Krach.

– Nie ma sprawy. Czegoś jeszcze ci trzeba? Pieniądzy, lokum na przeczekanie?

– Wszystko mam, dzięki. Teraz muszę kończyć, ale odezwę się wieczorem.

Rozłączył się, wyciszył telefon i ostrożnie podkradł się najpierw do pagórka, a potem nisko, przy samej ziemi, do hondy. Z plastikowo-gumowej kostki odkleił folię zabezpieczającą

i zamocował urządzenie głęboko pod nadkolem. Gdy dotknął karoserii, zdał sobie sprawę, że auto faktycznie solidnie się nagrzało. Dobrze, że chociaż uchylił im okna.

Wrócił do McDonalda, w którym na szczęście nie było już wycieczki, choć dzieciarnia pozostawiła po sobie zgliszczą w postaci przepełnionych koszy, tacek na stołach, frytek na podłodze i śladów po keczupie na blatach. Zanim zajął miejsce przy w miarę czystym stoliku i zabrał się do robienia notatek, zamówił sobie przez kiosk kawę.

Kwadrans później z rykiem silników odjechali motocykliści.

30

Koło czternastej w Cake Is a Lie nie było żadnych klientów, więc Iza pozwoliła Nikodemowi wyjść z komputerem z zaplecza i rozłożyć się na jednym ze stolików. Zrobił to zaskakująco niechętnie, jakby już przyzwyczaił się do skulonej pozycji na podłodze i uważał, że jakiegokolwiek przenosiny to głupia fanaberia.

No jasne, pomyślała z rozbawieniem. Piece cukierni są niczym kuźnia, tu hartują się prawdziwi wojownicy. Wsparta o kontuar, patrzyła, jak siedzi w kącie z jej słuchawkami w uszach, a na ekranie monitora jego awatar – facet o ciele G.I. Joe i wielkiej głowie pandy – szybuje nad kolorową krainą na łopoczącym szkielecie ryby.

– Dobra, biszkopty są przekrojone, sernik stygnie – zakomunikowała Ewa, wychodząc z zaplecza. W rękach trzymała małą szklaną miseczkę wypełnioną ciemną mazią. – Fruzelinę musisz sprawdzić, bo ja już sama nie wiem.

– Co nie wiesz? – Iza obejrzała się na koleżankę.

Ewa postawiła miseczkę na blacie, podeszła do lady chłodniczej, swoim zwyczajem otworzyła ją i zaczęła przestawiać torty tak, by do klientów zwrócone były niewykrojoną częścią.

– No temu nowemu kazałam zrobić – wyjaśniła. – I trzy razy powtarzałam, żeby dał ziemniaczaną na wrzątek, ale albo mam omamy, albo nadal ją czuję. Weź, spróbuj.

Iza sięgnęła po łyżeczkę i skosztowała.

– Jak dla mnie w porządku – stwierdziła. – Co chłopak robi?

– Wyciągał biszkopty z rantów, a teraz ma przerwę, bo musiał zadzwonić – odparła Ewa, po czym łypnęła na Nikodema i ściszyła głos. – No dobra, powiesz mi wreszcie, co się stało? Co ten twój były odwalił?

Iza wzruszyła ramionami.

– Coś im się wysypało w firmie, jakaś kontrola. Wyszły nieprawidłowości, szef się wystraszył, kazał ściągnąć wszystkich i teraz sprawdzają.

Wiedziała, że choć Ewka powstrzymywała się taktownie do tej pory, to pytanie prędzej czy później by nadeszło, więc po rozmowie z Drelichem, która trochę ją uspokoiła, przygotowała nie tylko odpowiedź, ale i odpowiednią pozę, z jaką ją wygłosi. Znudzona i nonszalancką – w sam raz, by przekonać koleżankę, że nic poważnego się nie dzieje. Ot zwykła niedogodność, i tyle.

Ewa zmarszczyła brwi.

– Myślisz, że ten twój coś odwalił?

Rozbawiona Iza pokręciła głową.

– Marek, Ewuś – odpowiedziała. – Znasz go przecież. Doceniam solidarność, ale to nie jest Harry Potter, żeby nie można było wymawiać czyjegoś imienia.

Jej koleżanka zrobiła jeszcze bardziej zaskoczoną minę.

– Harry Potter?

– Nieważne. – Iza machnęła ręką i zerknęła w stronę syna. Nikodem akurat budował swoim pandoczką schody do nieba. Wbiegł po nich w pogoni za strzelającą dziewczyną w lateksowym wdzianku. Westchnęła, myśląc, że czasem tęskni za tym beztroskim podejściem, które pozwalało dzieciakom zapominać

o złych rzeczach, gdy tylko coś odwróciło ich uwagę. Zaraz zdała sobie jednak sprawę, że to przecież bzdura. Bo dzieci tak naprawdę nie zapominają. Takie rzeczy jak poranek jej syna prędzej czy później wróca.

– Bierzmy się za ten tort, co? – powiedziała. – Serniczki już powinny być gotowe, krem widziałam. Zrobiłaś?

– Tak – odparła Ewa. – Ale użyłam trzydziestki, bo trzydziestka szóstka wyszła i nie było kogo posłać.

Iza udała, że łapie się za głowę.

– Jezus Maria, i co teraz? – zakpiła. – Wszyscy umrzemy.

Do cukierni weszła młoda szczupła dziewczyna w krótkich spodenkach, koszulce z zeszłorocznego biegu przełajowego i kolarskich getrach. Na nosie miała okulary w szerokich plastikowych oprawkach, nadające im wygląd jarmarcznego badziewia za dziesięć złotych. W rzeczywistości, sądząc po logo na zauszniku, kosztowały grubo ponad tysiąc. Poprosiła o torcik bezowy i serniczek mango, a Iza, obsługując ją, zastanawiała się, czy widziała u Krystiana taką samą koszulkę czy też wszystkie te pamiątki z biegów zlewały jej się w jedno. Na myśl o Krystianie z kolei przypomniawszy sobie o ustaleniach z Drelichem i telefonie, który odwlekała, chcąc najpierw porozmawiać z córką.

– To wszystko? – zapytała.

– Tak. – Dziewczyna uśmiechnęła się ładnie i zamachała trzymanym w dłoni telefonem. – Kartą.

Do środka wszedł chłopak z długą wypielegnowaną brodą i dredami spiętymi w grubą kitkę. Rozejrzał się, z wprawą namierzył stolik, pod którym kryło się gniazdko, i szybko przy nim usiadł. Z plecaka wyjął komputer, zrolowany przedłużacz,

zasilacz oraz ładowarkę do telefonu. Rozstawił wszystko, po czym wyłowił z plecaka słuchawki, podpiął je i zabrał się do pracy.

Ewa aż się zagotowała na ten widok, gotowa do interwencji. Iza podeszła do niej i położyła jej rękę na ramieniu.

– Zostaw, zaraz załatwię – powiedziała. – Kwiaty przyszły?

– Przyszły. – Ewa nie odrywała wzroku od chłopaka i sądząc po jej minie, najchętniej utopiłaby go we fruzelinie. Wrzuciłaby go oczywiście jak mąkę na wrzątek, by nie dało się potem wyczuć smaku. – Róże, eustomy, wrzos, kolory zgodne z zamówieniem. Wszystko czeka. Tylko z tą chłodnią...

– Chłodnią też się nie martw – weszła jej w zdanie. – Już ogarnęłam. Ale zajmij się szpachlą, dobrze? Ja wyjdę na dwie minutki i zaraz biorę się za składanie.

– Jasne.

Iza zza lady podeszła do syna i stała nad nim minutę, czekając, aż skończy rozgrywkę. Dopiero wtedy wyjął słuchawkę z ucha i uniósł głowę.

– Jest już po czternastej – powiedziała. – Dowiedz się od kolegów, co było dzisiaj w szkole i co macie zadane.

Chłopiec z miejsca spochmurniał.

– A wiadomo już, co z tatą? – zapytał głosem zbitego psa.

– Jakoś nie interesował cię tata, gdy dezintegrowałeś pana rybogłowa i Spider-Mana.

– To jest Deadpool! – oburzył się Nikodem.

Wzruszyła ramionami.

– Przerwa, lekcje i dopiero potem granie. Co chcesz na obiad? Standardowy wybór.

– Meksykańskie. I to, co zwykle.

Skinęła głową i uniosła telefon, by to samo pytanie zadać Zośce, kiedy zobaczyła córkę idącą ścieżką przez park od przystanku w stronę cukierni.

Dziewczyna szła z rozpuszczonymi włosami, które lekki wiatr układał w kudłatą chmurkę wokół głowy. Miała na sobie czarną koszulkę z puchatym jednorożcem tańczącym na czaszkach. Stworzonko trzymało w kopytku tabliczkę z napisem: „Jestem z innej bajki”. Sunęła wolno, całkowicie skupiona na trzymanym przed nosem telefonie.

Iza wyszła z lokalu. Dostrzegła siedzącego na murku pana Gracjana i podeszła do niego z uśmiechem. Ten zamachał do niej połówką zawiniętej w papier drożdżówki, którą dostał poprzedniego dnia.

– Dzień dobry, pani słodka – przywitał się wesoło. – Ciągle najlepsze w całej Warszawie. Wszystkim to mówię.

– Powinnam pana na billboardy wziąć z tym hasłem – stwierdziła ze śmiechem.

Skłonił się.

– A służę!

Śmierdział przetrawionym alkoholem, ale nie w ten gęsty, lepki i duszący sposób, gdy alkoholowy pot miesza się z brudem i zaniedbaniem. Po prostu parował wczorajszym dniem. Gdy usiadła koło niego, sięgnął za murek i podał jej świeżą puszkę piwa. Zawahała się.

– No, pani słodka. – Wyszczrzył brudne zęby. – Widzę, że sprawa jest, a sprawa na sucho to jak, za przeproszeniem, na sucho jebanie. Nic przyjemnego.

Parsknęła i przyjęła puszkę.

– Ale upiję tylko – zastrzegła.

Wzruszył ramionami.

– Ja się po szanownej pani brzydzić nie będę – stwierdził. – To co za sprawa? O tego z brodą chodzi?

– Dobry pan jest – przyznała i odciągnęła paznokciem kluczyk puszk. Rozległ się syk, piana pociekła po wieczku i ściance. Piwo było ciepłe i niedobre, ale i tak upiła solidny łyk. Odstawiając puszkę na murek, zerknęła ukradkiem w stronę wylotu ścieżki. Zośka miała jeszcze kilka metrów do parkingu, a poza tym wciąż widziała tylko ekran smartfona.

– Pani słodka schowa za murek, bo po co kłopoty – powiedział Gracjan. – A co się tyczy brodatego, to wiedziałem, że to jeden z tych. Co, jedna mała kawka i trzy godziny?

– Na razie dopiero przyszedł – odparła. – Ale stolik na cztery osoby obstawił i nie zamówił nic. Ewa piany dostała.

Gracjan charknął i splunął na bok w wyrazie głębokiej dezaprobaty.

– Pasożyty! – wycedził. Wyprostował się, aż mu strzeliło w plecach, wsadził drożdżówkę do jednej kieszeni, a z drugiej wyłowił garść drobnych. – Na miękko? Na twardo?

– Na miękko, panie Gracjanie. – Podniosła się. On również wstał. – I bardzo panu dziękuję. Proszę tam sobie jakąś kawę z ciasteczkiem... Pan wie, dla wiarygodności.

– Dla wiarygodności. – Skinął głową z powagą. – Ale to ja sobie Stefka wezmę za pani pozwoleniem. On ma, wie pani, prezencję, a wietrzyć nie będzie trzeba jak z Siwuchą.

Roześmiała się i wyciągnęła do niego rękę.

– Pełna profeska z pana, panie Gracjanie – powiedziała, gdy uścisnął jej dłoń. Delikatnie, szarmancko, jakby zaraz miał przekręcić i pocałować. – Dziękuję. I muszę już lecieć, bo córka idzie.

Obejrzał się.

– Piękna pannica – stwierdził. – I ciągle nie do pomyslenia, że córka.

– Flirciarz. – Puściła do niego oko.

Przebieła parking, wychodząc Zośce naprzeciw. Ta zauważyła ją, gdy dzieliły je raptem dwa metry.

– O, cześć mamó. – Dmuchnęła na włosy, które opadały na oczy, i szybko odpisała coś na telefonie. Jej palec wykonał kilka nieokreślonych ruchów, co Iza zawsze podziwiała, bo dla niej pisanie za pomocą Swype’a było czarną magią. – Możemy nie zamawiać dziś meksykańskiego? Zjadłabym coś lekkiego.

Zaczyna się, pomyślała Iza. Policzyła w myślach do pięciu, zanim powiedziała spokojnie:

– Schowaj telefon, musimy pogadać.

Zośka uniosła głowę i przekrzywiła ją lekko.

– Coś się stało?

– I tak, i nie – odparła. – Schowaj telefon i chodź na chwilę do cienia.

Kiedy szły pod budynek, Zośka wciąż uważnie wpatrywała się w matkę. Przy drzwiach do cukierni pan Gracjan i jeszcze jeden żulek minęli się właśnie z wychodzącą starszą panią. Ta obejrzała się za nimi ostentacyjnie – wyglądało na to, że więcej już się w Cake Is a Lie nie zjawi.

– No mów – ponagliła Zośka.

Iza skupiła wzrok na córce i zaczęła.

– Pamiętasz o zasadzie, że mówimy sobie prawdę, nie? Od tej akcji z...

Dziewczyna przewróciła oczami.

– Tak, mam, wiem, od jakiej – mruknęła. – I nic nie zrobiłam, słowo. Zresztą jak ta zasada ma tak działać, że ty mnie tylko wypytyjesz...

– No właśnie nie. – Iza sięgnęła do kieszeni po zapalniczkę i paczkę papierosów. Wyjęła jednego, włożyła do ust i odpaliła.

– Miałaś rzucić – zauważyła Zośka z wyraźnym wyrzutem w głosie.

– Rzuciłam – odpowiedziała. Zaciągnęła się i wypuściła dym na bok. – Słuchaj, mówię ci to, żeby trzymać się tej zasady, ale musisz obiecać, że ani słowa przed bratem i żadnej paniki.

– Zaczynam się martwić.

Iza przyjrzała się córce, myśląc – nie pierwszy raz, ale wciąż z tym samym zaskoczeniem – że to niesamowite, jak to czasem działa. Przez cały czas widzisz dziecko, a potem pstryk i już masz przed sobą kogoś dorosłego. Czasem na dwie sekundy, czasem na godzinę. Coś jak odwrotny przebłysk świadomości u chorego na demencję.

– Musiałam dzisiaj odebrać pilnie Nikodema od taty – zaczęła.

– Tata ma jakieś kłopoty i właśnie próbuje sobie z nimi poradzić.

– Kłopoty? Co się stało?

Mina i strach Zośki znów zrobiły z niej dziecko. Duże sarnie oczy, drgnięcie wargi, ruch nozdrzy. Iza zawahała się, jednak uznała, że umowa to umowa. Córka nie wybaczyłaby jej, gdyby teraz skłamała.

– Jakiś facet podejrzewa go o romans ze swoją żoną. I mu grozi.

– Tata? – Zośka mimowolnie prychnęła. – Tata miałby mieć romans?

Iza wzruszyła ramionami i znów wypuściła kłęb dymu.

– Wiesz, od jakiegoś czasu nie wnikam w życie seksualne taty, ale myślę, że jakieś jest.

Zośka pokiwała głową.

– No tak, w sumie racja – zgodziła się. – I myślisz, że naprawdę miał ten romans?

– On mówi, że nie. A ja mu wierzę.

Kolejne skinienie głową – tym razem wolniejsze, z rozmysłem i po chwili zawahania – świadczyło, że Zośka musiała to sobie ułożyć w głowie.

– No i jak ten facet grozi tacie? Przecież nie, że go pobije. Tata trenuje i...

– Nie wiem jak. Wiem, że grozi i tata się przejął. Załatwia sprawę, ale prosi, żebyśmy na dwa, trzy dni przenieśli się do Krystiana.

– Jezu, to komu on podpadł?!

– Nikomu takiemu, ale znasz tatę. Dostaje świra, gdy się za coś bierze i nie weźmie jakiegoś aspektu pod uwagę. Nawet policja mówi mu, żeby trochę wyluzował.

Zośka przyjrzała jej się, mrużąc oczy. Szesnastoletni, cwany i pyskаты wykrywacz kłamstw dokonywał właśnie skanu mikroreakcji, tików, wszelkich znamion fałszu. Najwyraźniej nie znalazł niczego, bo Zośka po raz trzeci przytaknęła.

– Krystian wie? Że u niego śpimy?

Iza wiedziała, że to test. Na szczęście wiedziała też, że zda go pomyślnie.

– Nie, chciałam najpierw zapytać ciebie, czy się zgadzasz, czy szukamy innej opcji.

Dziewczyna rozpromieniła się.

– Dobra – stwierdziła w końcu. – Więc ja się zgadzam, ale mam dwa warunki.

– Aż dwa? To wykorzystywanie sytuacji. – Iza roztarła niedopałek o ścianę i rozejrzała się za koszem.

– Dwa. Po pierwsze, nie idę jutro do szkoły, bo z tego zadupia dojeżdżać nie będę. Po drugie, nie będziesz mnie męczyć o pomaganie dzisiaj przy torcie.

Iza wyszczerzyła się w uśmiechu.

– Ostro grasz – stwierdziła. – Ale zgoda. Dobra, chodźmy, bo muszę się brać do roboty.

– Nie dzwonisz do Krystiana?

– Później. Najpierw tort.

Gdy weszły do Cake Is a Lie, Gracjan z kolegą, już obsłużeni, zajęli miejsca przy stoliku obok brodacza i rozmawiali głośno. Jeden mlaskał nad wuzetką, drugi nad bezą z kajmakiem i raz po raz zaczepiali coraz bardziej zniecierpliwionego chłopaka. Zagadywali go, żartowali z niego i wreszcie komentowali to, co wyjątkowo szpetny Stefek zobaczył, zerkając mu przez ramię na monitor.

Gdy brodacz zobaczył wchodzącą Izę, zdjął słuchawki i spojrzał na nią z wyrzutem, ale coś – najpewniej jej rozbawiona mina – sprawiło, że nie ubrał tego wyrzutu w słowa. Zamiast tego odłożył słuchawki na blat, podniósł się i wyjął płaski portfel. Podszedł do

baru i przez minutę wpatrywał się najpierw w zapisane kredą rodzaje kaw, a następnie na ciasta w ladzie chłodniczej.

– Dużą latte poproszę – zwrócił się do stojącej za kontuarem Ewy. I najwyraźniej, gdy tylko chciał, nad wyraz dobrze radził sobie z mową ciała, bo zaraz dodał: – I może jeszcze ten sernik z truskawkami.

– Kartą? Gotówką? – Ewa z trudem powstrzymała śmiech, zerkając w stronę Zośki i Izy. – Cześć, Zosiu.

– Cześć, ciociu – rzuciła dziewczyna.

Iza puściła oko do koleżanki.

– Ach, i czy mogłaby pani poprosić, żeby ci panowie zachowywali się ciszej? – zapytał chłopak, gdy już zapłacił i schował kartę.

– Oczywiście. – Ewa wychyliła się zza lady. – Panowie, troszkę ciszej?

– Jasne, kierowniczo. – Gracjan przepił do niej filiżanką, która w jego wielkich łapach wyglądała jak zabawka z dziecięcej zastawy. – Przepraszamy.

Po przeciwnej stronie lokalu Nikodem skończył właśnie kolejny pojedynek. Zdjął słuchawki, odwrócił się i zobaczył siostrę.

– Meksykańskie dzisiaj – poinformował.

Iza westchnęła, spoglądając na zegarek. W alternatywnej rzeczywistości, w której Drelich nie wpakował się w kłopoty, byłaby już po treningu, kosmetyczce i zrelaksowana zabierałaby się za ten tort w spokoju. Jeśli to prawda, co mawiają niektórzy, że emocje cukiernika udzielają się ślubnym tortom, a potem gościom, to uroczystość nie dobrnie nawet do oczepin.

31

Trzy godziny po telefonie do Wójcika Drelich wrócił pod płot. Na szczęście trochę się zachmurzyło, bo poważnie już rozważał powrót do hondy i napojenie całej trójki. Upał dał im się solidnie we znaki i jeśli cokolwiek mówili od przeszło godziny, to jedynie o temperaturze w aucie.

Dochodziła szesnasta, powoli zbliżał się czas, kiedy Drelich powinien poinformować Izę, że się spóźni, ale postanowił dać sobie czas do wpół do. Zjawili się dwanaście po.

Srebrny SUV. Jechał powoli od strony wiaduktu, skrząc się w promieniach słońca. Nie od razu zauważył zjazd w polną drogę, ale zaraz wycofał i wjechał w pole.

Drelich włożył drugą słuchawkę do ucha. W samą porę, bo minutę później w hondzie zapanowało ożywienie.

– Ktoś jedzie – wychrypiał Pumba. – Słyszycie?

– Weź, nie bujaj autem, bo pomyślą, że ktoś się rucha – odpowiedział mu stłumionym głosem Szary.

Zaraz potem ukryty telefon wyłapał dźwięk silnika, trzask drzwi i głosy. Czyli przyjechało przynajmniej dwóch.

– To Litwa! Litwa i Stówka! – zawołał Pumba i zaraz się rozkaszał.

Drelich dopisał Stówkę, którego wcześniej nie miał na liście.

Ktoś otworzył drzwi hondy i jęknął.

– Jezu, jak tu jebie! – odezwał się niski, głęboki głos.

– Kurwa, nieźle was urządził. – Drugi głos, wyższy, trochę chrapliwy, mówił z lekkim wschodnim akcentem. Drelich założył, że to raczej jest Litwa.

– Z zaskoczenia nas wziął – zapewnił Adaś. – Wykorzystał moment...

– Macie jakąś wodę? – wszedł mu w zdanie Pumba.

– Mamy, czekaj – rzucił Stówka, a Litwa zapytał:

– Ej, zaraz, a gdzie jest Szary?

– Tu, kurwa, jestem. Pod siedzeniami.

– Gdzie? – zapytał Litwa i ryknął śmiechem. – Job twoju mać, jak on cię tam wcisnął?!

W chaosie następujących później dźwięków Drelich rozpoznał ten podnoszenia foteli i, jak przypuszczał, gramolenia się Pumby oraz Adasia.

– Kurwa, jak mi łapy ścierpły – narzekał ten pierwszy. – Mrówy jak chuj! Jezuuu!

– Dobra, mam wodę – powiedział Stówka. – To który pierwszy? Dużo tego nie ma, ale zaraz na stacji kupimy. Telefony macie? Gdzie kluczyki?

– Kluczyki wyrzucił – powiedział Adaś. – Ale gdzieś niedaleko i... O, tam chyba leżą.

– Resztę zajebał, kutasiarz – mruknął Pumba. – Telefony, kasę, klamki... Musisz mi polać do ust, bo nie utrzymam butelki.

Stówka się roześmiał.

– To klękaj. Z A J E F A J N A. P L

– Pierdol się!

Sądząc po głośnych stęknieniach i jękach, Litwa ewakuował właśnie Szarego pomiędzy siedzeń. Ten darł się przy każdym

ruchu, mówił, że ścierpł i żeby go nie dotykać. Wydostawali się z auta ponad pięć minut.

Gdy już im się to udało, odeszli od wozu. Drzwi co prawda zostawili otwarte, ale dźwięk był tak przytłumiony, że przez kolejne pięć minut nie dało się niczego zrozumieć.

– Dobra, ale jak mam sam jechać w oszczanym, to pomóżcie mi chociaż wyjechać te dywaniki! – powiedział w końcu Adaś.

Odjechali stamtąd o szesnastej dwadzieścia dwie. Wjeżdżając na drogę, skręcili w lewo. To oczywiście o niczym jeszcze nie rozstrzygało, jednak gdyby kierowali się w stronę Warszawy, powinni odbić na prawo, dotrzeć nielegalnie bokiem do MOP-u i stamtąd na autostradę, albo jechać wiochami pięć kilometrów do wjazdu.

Czyli Gdańsk, pomyślał Drelich, ale i tak ledwie zniknęli mu z oczu, pobiegł do auta, odpalił silnik i cofnął się pod prąd najpierw do stacji, a potem do drogi z zakazem ruchu i bramy. Wysiadł, otworzył ją na oścież, lekceważąc ostre „hej!” gdzieś za sobą, po czym wjechał na drogę i dwa razy skręcił w prawo. Minął wiadukt i nieopodal kamienia, pod którym zostawił spluwy, teraz już pewien, że nie zamierza ich ruszać, odbił w stronę kolejnej bramy. Kilka godzin temu była jeszcze otwarta, ale teraz spinał ją łańcuch z kłódką.

Drelich wysiadł z auta, otworzył bagażnik i plastikowe pudełeczko. Wyjął z niego górną warstwę, a z dolnej wybrał mały skórzany pokrowiec z zestawem do otwierania zamków, po czym błyskawicznie uporał się z kłódką. Wjechał na teren MOP-u i zaraz skręcił na wjazd na autostradę. Nie obawiał się kamer –

tyle razy w życiu robił TIR-y na takich parkingach, że zasięgi monitoringów mogłby wykreślać z dokładnością do pół metra.

Dziesięć minut później aplikacja zsynchronizowana z nadajnikiem zamocowanym w hondzie pokazała, że Adaś wjechał na autostradę w kierunku Gdańska. Wtedy też silnik hondy, wprowadzony na wysokie obroty, ryknął tak głośno, że Drelich skrzywił się i wyjął słuchawki z uszu.

Zatrzymał się trzydzieści kilometrów dalej na kolejnym postoju. Zaparkował prostopadle do drogi, tak by zza przedniej szyby widzieć autostradę. Jeszcze raz obejrzał sobie mapę na telefonie.

Brał pod uwagę, że skręt w lewo i obranie kierunku na Gdańsk mogło być z ich strony jedynie zmyłką. Tyle że jeśli faktycznie chcieli go oszukać i zmierzali do Warszawy, musieliby tłuc się prawie dziesięć kilometrów wiochami do kolejnego wjazdu. Zakładając, że przekroczyli dozwoloną prędkość, ale nie na tyle, by zwrócić na siebie uwagę, Drelich powinien znaleźć się tu, gdzie się znalazł, przed nimi. Wystarczyło poczekać z kwadrans, by się przekonać, czy będą tędy przejeżdżać.

Dla pewności poczekał pół godziny. Naliczył w tym czasie sześćdziesiąt trzy srebrne lub szare SUV-y, jednak żaden z czterema mężczyznami. Mógł go co prawda przeoczyć, jeśli akurat pruli lewym pasem, a jemu widok zasłoniły ciężarówki, ale był prawie pewien, że wrócili do Gdańska.

Sprawdził czas. Dochodziła siedemnasta, co niemal gwarantowało mu spóźnienie. Idąc na stację do toalety, zadzwonił do Izy. Nie odebrała, więc napisał esemesa:

„Spóźnię się. Nie zaczynajcie beze mnie”.

Zdażył przejechać kolejne dziesięć kilometrów, zanim Iza odpisała „OK”.

32

Natan dojechał pod Warszawę mniej więcej w tym samym czasie, gdy Litwa ze Stówką dotarli do hondy.

Wójcik informował go na bieżąco o ich działaniach, oni natomiast w ogóle nie wiedzieli o jego zaangażowaniu. Tak było lepiej. Zgodnie z oficjalnym komunikatem, jaki Natan ustalił z Zygmuntem po krótkiej rozmowie, mieli wrócić do domu i zająć się ważnymi sprawami, a potem domknąć sprawę. Jego dwudniowa nieobecność nie powinna nikogo zaskakiwać, za to podanie do wiadomości Szaremu i reszcie, że Natan jedzie załatwić to, co oni spaprali, mogłoby wywołać niepotrzebne napięcie. A tego przecież nie potrzebowali. Ot nie docenili faceta – zdarza się, nie ma co kręcić dramy. Ale skoro już się stało, to trzeba było na nowo przeanalizować sytuację, a wynik tych rozważań nie zachęcał do pochopnych działań. Facet się wywinął i teraz wiedział, że się na niego czają. Pewnie gdzieś się zaszyje i poczeka, aż sprawa przyschnie. Jeśli rzeczywiście nie kłamał i to pomyłka, pewnie będzie chciał się dowiedzieć, co się właściwie stało i kto go wrabia. I to ostatnie rzecz jasna im nie pasowało, ale szukanie go na pełnej kurwie na jego terenie mijało się z celem, a poza tym zrobiłoby sporo szumu.

Nie musieliby nawet prosić nikogo miejscowego o pomoc, by sprawa wyszła i zaczęła generować plotki. Wystarczyłaby fama na mieście, że ekipa z Gdańska szuka w stolicy jakiegoś złodzieja.

Psiarnia od razu nastawiłaby uszu, bossowie zasięgnęliby języka wysoko ponad głowami ludków z ulicy i wszystko by się rypło.

Co innego wysłanie Natana. On wiedział, jak załatwia się sprawy, które – bardzo lubił to powiedzenie, odkąd przeczytał, skąd się wzięło – doszły do trzeciego szeregu. Podobno w armii starożytnego Rzymu dwa pierwsze szeregi wymieniały się płynnie w czasie bitwy, tak by zawsze frontem i tarczą do wroga stał ktoś w miarę wypoczęty. Na wypadek gdyby wróg okazał się jednak mocniejszy, w trzecim rzędzie ustawiano najlepszych, zaprawionych w boju weteranów. Trzeci szereg zaangażowany w bitwę oznaczał więc sytuację poważną, ale taką, na którą jest się gotowym. Wójcik był gotowy. Miał Natana.

Ostatnia przed wjazdem do miasta stacja benzynowa miała dużą część gastronomiczną z osobnymi kasami i bogatą ofertą. Natan, gdy już zgłodniał, wybrał z niej schabowego z ziemniakami, o dziwo wyglądającego na talerzu niemal tak jak na zdjęciu w reklamie.

Jadł wolno, starannie przeżuując i wpatrując się w wyciemniony ekran telefonu, jakby chciał siłą woli pobudzić go do życia. Jednocześnie odruchowo nasłuchiwał otoczenia.

Za oparciem jego boksu, w części sklepowej, formowała się coraz dłuższa kolejka zniecierpliwionych klientów, komentujących z drwiną aktualnie obsługiwanego i jego problemy z danymi do faktury. W boksie obok dwóch tirowców spotkało się po raz pierwszy od kilku miesięcy i postanowili uczcić ten fakt wspólnym obiadem oraz narzekaniem na warunki w spedycji. Obok młody chłopak z bezprzewodowymi słuchawkami w uszach jadł żur,

wpatrzony w tablet oparty na nóżce zamontowanej w skórzanym etui.

– Ciasto wiśniowe na ciepło! – zawołała ekspedientka.

Natan odłożył sztucce, otarł usta papierową serwetką. Gdy szedł po odbiór, dostrzegł, że drzwi do toalety dla niepełnosprawnych otworzyły się powoli i wyłoniła się zza nich może dwudziestoletnia Romka. Miała rozmazany makijaż, włosy lśniące wilgocią i napuchniętą twarz. Poruszała się niepewnie, kuląc się i kulejąc, każdy krok akcentując skrzywieniem pełnym bólu. Na widok przyglądającego się jej Natana, cofnęła się i rozejrzała przerażonym wzrokiem.

Wiedział, kogo szuka. Wiedział, że trzech Romów, jeden zapewne w jej wieku i dwóch młodszych, siedzi teraz na ławce na zewnątrz, czekając cierpliwie, aż ona wróci. Wiedział, że dziewczyna pójdzie do nich po pomoc i powie im, co zrobił, gdy dwadzieścia minut temu weszli do tej łazienki. Jak stał z jej ust pewny siebie uśmiezek kurwy tak doświadczonej mimo wieku. Jak sprawił, że zaczęła się bać, czy w ogóle stamtąd wyjdzie. Wreszcie wiedział coś, o czym ona jeszcze nie miała pojęcia, ale zaraz się dowie. Że gdy skończył, zapiął spodnie i zmusił ją, by zamknęła za nim i jakoś się ogarnęła, poszedł do tych trzech i dorzucił dwie stówki za jej czasową niedyspozycyjność. Zapytali tylko, czy będzie w stanie wyjść sama.

– Jeśli nie, dorzucę wam za fatygę – zapewnił.

Teraz wrócił z ciastem do stołu i zdążył podnieść sztucce, gdy zobaczył przez okno, jak dziewczyna dociera do ławki. Nie dali jej mówić za długo, mowa gestów była dość wymowna. Potem jeden wyjął z kieszeni banknot i jej podał. Zanim go wzięła, spojrzała

w stronę restauracji, być może nawet wprost na niego. Powiedziała coś jeszcze, wyraźnie zrezygnowana, co wprawilo ich w konsternację, a potem wciąż trzymając się za brzuch, pokuśtykała na parking. Natan jadł spokojnie, patrząc, jak Romowie dyskutują zawzięcie, zerkając w stronę drzwi, a potem jak jeden z nich wstaje i wchodzi do środka.

– Na pewno nie będę z tobą gadał tu i teraz – powiedział, ledwie Rom podszedł do jego stolika. – Nie tu i nie teraz. Jem.

Rom zawahał się, ale wrócił do kolegów. Coś im powiedział, obejrzał się, machnął ręką. Niedługo potem zebrali się i poszli w stronę ciężarówek.

Natan w spokoju skończył obiad. Odsunął od siebie talerz, z termosu nalał sobie herbaty jaśminowej, powąchał i puścił oko do małego chłopca uwieszonego u nogawki mamy stojącej przy kasie. Chłopiec schował twarz za jej udem, ale zaraz wychylił się znowu. Natan nacisnął nos i jednocześnie nadał policzki. Chłopiec uśmiechnął się i znowu schował za matką, a potem oglądał się, gdy szli do stolika.

Zawibrował telefon. Natan odebrał.

– Dobra, zadałem im wszystkie twoje pytania – powiedział Wójcik bez wstępów. – Najpierw musiałem ich trochę wyciszyć, bo są wkurwieni na maksa. Zwłaszcza Adaś chce go zajebać za to, jak ich załatwił.

– Jak się wypinasz, to się nie dziw, że ktoś cię rucha – stwierdził Natan i upił herbaty. – Będą z tego spiny, ale to kłopot na później, szefie. Co odpowiedzieli?

– Ponoć mieszka z nim dzieciak – odparł Wójcik. – To znaczy nie widzieli go i nie do końca mieszka, bo opiekę ma chyba jego

była żona, tak mówił Pumba. Ale rzekomo zjawili się niedługo po tym, jak młody wyszedł do szkoły, z której miała go odebrać matka.

– Albo gość tak twierdzi. Dobra, sprawdzę to sobie. Dzieciak to chłopiec?

– Chłopiec... Poczekaaj chwilę. Milena, Murzyn w drzwi drapie. Wypuść go na taras! Jestem. Pumba mówił po prostu „dzieciak”, ale z kontekstu wynikało, że chłopak.

– Dobra. – Natan sięgnął po ciastko, pokroił je widelczykiem na kawałki. – Wieku, jak rozumiem, nie mamy?

– Nie.

– Spokojnie, dojdziemy do tego – stwierdził. – Jeszcze tylko zdjęcia potrzebuję, co mu zrobili.

– Zaraz dostaniesz. Nadal nie chcesz cisnąć tego Kracha?

– Nie, szefie. Zakładam, że Drelich nie jest głupi, więc pewnie obstawił, skąd mamy jego adres. Zwłaszcza że był tam Adaś, a ich punktem styku jest właśnie Krach. – Zrobił pauzę na kawałek ciasta i łyk herbaty. – Poza tym, jeśli pojedę zapytać o adres rodziny Drelicha, to nie obejdzie się bez pytań. I ktoś może powiedzieć, że gramy nieczysto.

Wójcik roześmiał się głośno.

– A nie gramy?

– Gramy tak, szefie, by nikt nie mógł tego o nas powiedzieć.

Rozłączył się, dokończył ciastko i wstał, strzepując pozostałe krople herbaty z kubeczka na podłogę. Wzbudziło to czyjś sprzeciw, ale nie miał czasu na awantury. GPS pokazywał, że od domu Drelicha dzieliło go trzydzieści pięć minut.

Wyszedł ze stacji i ruszył w stronę nieco sfatygowanego, oblepionego kurzem srebrnego mercedesa. Zobaczył znajomą Romkę, która rozejrzała się i wsiadła do kabiny ciężarowego renault o szybach zasłoniętych srebrnymi ekranami. Kierowca, gruby wąsacz z wielkim plackiem łysiny sięgającym ciemienia, również się rozejrzył, zanim wsiadł za nią.

Natan wykrzywił się z pogardą i splunął na chodnik. Zaraz potem dostrzegł tamtych trzech – rozmawiali z kilkoma tirowcami. Najstarszy Rom, ten, który próbował wcześniej zagadać do Natana, również go zauważył – powiedział coś do kolegów i przeciął parking, zmierzając w jego stronę.

Natan nie zmienił tempa marszu, spokojnie doszedł do auta i otworzył pilotem bagażnik.

– Ej! – zawołał Rom z odległości siedmiu, może ośmiu metrów.
– Ej, poczekaj!

Natan pochylił się nad bagażnikiem. Wymacał uchwyt, szarpnął i podniósł dno kufra. Oparł klapkę o ściankę, by wyeksponować wnętrze skrytki.

– Musimy pogadać, facet! – powiedział Rom.

Natan wyprostował się i odwrócił, zaplótł ręce na piersi.

– Do mnie mówisz... facet? – zapytał takim tonem, że tamten odruchowo zwolnił, przez co na moment zgubił rytm.

– Kurwa, człowieku, wsadziłeś jej głowę do kibla!

Nie odpowiedział, ale kącik ust uniósł mu się lekko, jakby rozbawiło go wspomnienie.

Brakowało jeszcze raptem kilku kroków, by mężczyzna znalazł się w odpowiednim miejscu. Tym, w którym Natan chciał go mieć.

– Głowa w kiblu? Kto normalny robi coś takiego podczas jebania?! Nawet jak, kurwa, płacisz ekstra...

Rom zamilkł. Zerknął na zawartość bagażnika i nie był już w stanie skupić się na kierowcy mercedesa.

Natan pozwolił mu popatrzeć, a potem rozplótł ręce, odwrócił się do niego plecami i zamknął najpierw schowek, a następnie bagażnik.

– Spierdalaj – mruknął i nie sprawdzając nawet, czy dotarło, wsiadł do samochodu.

Dopiero w lusterku zobaczył, jak tamten spogląda na kolegów i w końcu rusza w ich stronę. Przekręcił kluczyk, by zaczęła pracować klimatyzacja, ale nie ruszył od razu, tylko odpalił w telefonie Google Earth i sprawdził adres Drelicha. Ujrzał standardowy blok z parkingiem oddzielającym go od ulicy, Biedronkę i zaułek całkiem nieźle nadający się na punkt obserwacyjny, gdyby go jednak potrzebował. To, czego szukał, znajdowało się za kolorowym placem zabaw po lewej – ogrodzony wysokim płotem orlik, a przy nim prościutki skatepark złożony z dwóch betonowych ramp i paru poręczy.

Nie miał stuprocentowej pewności, że syn Drelicha bywał w jednym z tych miejsc podczas wizyt u ojca, ale był to zdecydowanie lepszy punkt startu, niż gdyby Natan miał się włamywać do mieszkania złodzieja i niepotrzebnie go alarmować.

Bo zakładać, że facet nie ma teraz w domu choćby podstawowego monitoringu, byłoby niedocenieniem go, a ten błąd już raz popełnili.

Gdy ponownie przełączył telefon na GPS, Romowie wciąż stali tam, gdzie wcześniej, choć już tylko we własnym gronie. Patrzyli

w jego stronę, rozmawiali. Jeden palił.

Natan miał ogromną ochotę podjechać do nich i porozbijać im łby. Gołymi rękami, ot tak, dla samej frajdy spuszczenia komuś wpierdolu, krwi na palcach, chrzęstu pękających nosów. Dawno tego nie robił, a tęsknił także i za tym. Potrzebował tego tak bardzo, że aż swędziało go od tego całe ciało.

Tyle że to już by nie przeszło, nawet z takimi jak oni. Mogli się trzymać osobno, nie robić interesów i nie rozmawiać z miastowymi, snując się po parkingach i kurwiąc swoimi kobietami, mogli być dla wszystkich niewidzialni. Dlatego pokazanie im zawartości bagażnika nie miało znaczenia, bo nikomu nie pisnęliby o tym słowa. Ale krew to krew. Ta na asfalcie, przelana w biały dzień, przyciąga nie tylko psy – wszystkich skłania do zadawania pytań. Dlatego teraz odpuścił. Liczył, że to, co miał w perspektywie, zapowiadało się lepiej.

Wbił wsteczny, wycofał i ruszył w stronę głównej drogi.

33

Drelich dojechał w okolice cukierni prawie o czasie. Zatrzymał się dwieście metrów od Cake Is a Lie przy zwalniającym się właśnie miejscu. Kierowcy w żółtym renault za nim nie spodobało się najpewniej to, że zablokował na chwilę pas, bo najpierw zatrąbił, a potem wyminął go nerwowo z prawej, by zaraz zwolnić i wrzasnąć coś przez zamkniętą szybę.

Telefon Szarego ukryty w hondzie padł dwadzieścia minut wcześniej, co w zasadzie i tak nie miało już znaczenia. Adaś jechał sam, a jako że nie dysponował telefonem, tylko słuchał radia, to śpiewał pod nosem i klął na kierowców. Przy pobieraniu opłaty na bramkach coś się zacięło, więc najpierw rzucił kurwami, gdy ktoś na niego zatrąbił, a potem zaczął się zastanawiać, czy starczy mu kasy, by zjechać. Niedługo później bateria w telefonie Adasia się wyładowała, więc Drelich wrzucił go do schowka.

Gdy Drelich wysiadł, przeciągnął się i rozejrzał, sprawdzając auta w okolicy. Tylko w jednym samochodzie, który stał na światłach awaryjnych i blokował w ten sposób wyjazd z trzech miejsc parkingowych, ktoś siedział. Młody mężczyzna z nosem w komórce wyglądał, jakby czekał na kogoś, kto wyskoczył na pobliską pocztę. Jak na potencjalnego obserwatora był za daleko i za mało razy zerkał w stronę cukierni. Poza nim nikt nie wzbudzał podejrzeń.

Między krzewami niskiego żywopłotu znajdowała się wydeptana ścieżka. Drelich wszedł na nią, obchodząc w ten sposób parking szerokim łukiem. Dzięki temu mógł spojrzeć z oddalenia na witrynę Cake Is a Lie, samemu pozostając w cieniu drzew.

Ani na murku okalającym parking, ani na ławkach nie zobaczył nikogo podejrzanego. Grupkę pijaczków znał i wiedział, że lubią Izę, bo czasem daje im coś za darmo, a dwie matrony plotkujące na pobliskiej ławce nie interesowały się nawet wnukami w namiastce piaskownicy, a co dopiero cukiernią.

Uspokojony już miał przeciąć parking i wejść do środka, gdy przy stoliku zauważył wpatzonego w monitor Nikodema, a za ladą Zośkę pomagającą Ewie w sprzedaży. Uznał, że zanim się z nimi zobaczy, powinien porozmawiać z Izą, zapytać o wspólną wersję wydarzeń, więc obszedł budynek, by wejść od zaplecza.

Z tamtej strony również był park. Drelich dostrzegł biegaczy w jaskrawych dresach, matkę pchającą wózek i kilkoro uczniów siedzących na oparciach ławek, z nogami na siedzisku, po czym podszedł do solidnej nowej furtki, która na tle sfatygowanej siatki otaczającej podwórko cukierni wyglądała niczym złoty ząb wstawiony cierpiącemu na próchnicę. W dodatku była otwarta, wystarczyło pchnąć. Drelich skrzywił się, obejrzał przez ramię i szybkim krokiem podszedł do drzwi. Ku jego rozczerowaniu te również stały otworem – wsunięta cegła pilnowała, by się nie domknęły. Z wnętrza rozchodził się zapach świeżego ciasta, owoców i karmelu.

Pociągnął za klamkę i wszedł do środka, wykopując cegłę. Zobaczył dwie kobiety i młodego chłopaka zajętych pracą przy

blatach.

– Gdzie jest Iza? – zapytał.

Zaskoczona trójka uniosła głowy, ale gdy starsza z kobiet zorientowała się, że to Drelich, wskazała ręką pomieszczenie po jego lewej. Miała zmęczoną twarz i tak mocny makijaż, że wyglądała jak bardzo smutny klaun.

Chłopak, ten nowy, najwyraźniej chciał coś powiedzieć, jednak widząc obojętną reakcję kobiet, odpuścił.

– Nie zastawiajcie drzwi cegłą – rzucił Drelich.

Młodsza, ta pucułowata, uśmiechnięta, o policzkach różowych jak na obrazkach w ruskiej książeczce, wzruszyła ramionami.

Gdy wszedł do wskazanego mu pomieszczenia, większość poziomów była już gotowa i czekała na zapakowanie, a Iza przygotowywała właśnie najniższą warstwę tortu. Biskopt z szeregiem zdobień i imionami młodych wpisanymi pomiędzy żłobione pnącza leżał na drewnianej podstawie. Deska była ładna, choć nie najdroższa i nie najbardziej finezyjna spośród tych, które Drelich tu widywał.

Jego była żona raz po raz sięgała do otaczających ją misek i nakładała kolejne warstwy tortu. Miała słuchawki w uszach i pracowała w takt piosenki, wykonując płynne, niemal taneczne ruchy oraz poruszając bezgłośnie ustami. Biskopt, nasączenie, krem na bazie mascarpone, frużelina, znowu biskopt, nasączenie, krem, frużelina, warstwa sernika – specjalny, robiący furorę amerykański patent – znowu krem, frużelina i biskopt. Pamiętał, jak kilka razy prosiła go o pomoc na ostatnią chwilę.

Siedzieli po nocy w cukierni, w której kiedyś pracowała, i składali te słodkie klocki na melodię przebojów Billy'ego Joela.

Patrzył teraz na nią, oparty o framugę, i czekał, aż skończy albo go zauważy. Co chwilę przekręcał nadgarstek, by spojrzeć na zegarek, choć w zasadzie nigdzie mu się już nie spieszyło.

W końcu się odwróciła. W pierwszej chwili podskoczyła nerwowo, omal nie wkładając ręki w tort, zaraz jednak westchnęła, pokręciła głową i wyjęła słuchawki z uszu.

– Chcesz, żebym dostała zawału, nie?

– Wolałbym, żebyś zainstalowała monitoring od zaplecza i przycisnęła pracowników w sprawie cegły – odparł. – Widziałem dzieciaki. Co im powiedziałaś?

Iza sięgnęła po ścierkę.

– Wiesz, kiedyś terapeutka zapytała, czy nie mam czasem wrażenia, że ty specjalnie generujesz w moim życiu nieustanne poczucie zagrożenia, by móc mu potem zaradzić i wyjść na bohatera – powiedziała, wycierając ręce. – Jak ci strażacy, którzy sami podpalają stodoły, by mieć co gasić.

Drelich musnął czubek nosa opuszką kciuka. Był czas, że o panią psycholog mieli kilka poważnych kłótni – przede wszystkim dotyczących tego, co i jak Iza mogła powiedzieć, by rozwiązać swój problem i nie wtajemniczać jej zarazem w szczegóły jego zawodowego życia. Wypracowali, zdawałoby się, sensowny kompromis, ale i tak kobiecina mieszała im w życiu przed i po rozwodzie bardziej, niż by sobie tego życzył. Teraz jednak Iza mówiła rozbawionym głosem, wyraźnie się drocząc. Uznał więc, że może pociągnąć temat.

– Co jej odpowiedziałaś? – zapytał.

Wzruszyła ramionami.

– Że to niemożliwe. Bohaterowie stoją na piedestale, a ty masz paranoję i czułbyś się zbyt odkryty – odparła. – Jak poszło? Wiesz już coś więcej?

– Rozmawiałem z facetem, wyjaśniłem mu temat, na wszelki wypadek przeprosiłem i zaproponowałem spotkanie. Ludzie, których przysłał po tamtych, wrócili do Gdańska, więc jest szansa, że odpuścił całkowicie lub na razie.

Przez minutę przyglądała mu się uważnie.

– Ale nadal chcesz, żebyśmy pojechali do Krystiana, tak?

– Tak. Poprosiłem Kracha o informacje. Zbiera je dla mnie, a ja muszę przemyśleć, skąd wzięła się ta cała sytuacja. Może ktoś mnie wrabia, celowo ustawia przeciwko temu facetowi.

– Albo naprawdę przeleciałeś mu żonę. – Uśmiechnęła się krzywo.

Pokręcił głową.

– Myślałem nad tym. Coraz mniej mi to pasuje – stwierdził. – Ale nie było mowy o pomyłce, ewidentnie zgadzała im się twarz i nazwisko. Czyli to coś wymierzone we mnie. I dobija mnie, że nie wiem co.

Iza jeszcze przez moment mu się przyglądała, po czym sięgnęła po miskę z kremem do dekoracji. Szpachla, jak ją nazywała, miała barwę zimnej niebieskawej bieli. Tytanowej – według napisu na opakowaniu barwnika.

– Ze spaniem u Krystiana nie będzie problemu – powiedziała. – Zaniepokoił się, zapytał, czy powinien przyjechać szybciej.

– Nie ma takiej potrzeby – stwierdził Drelich.

– Może nie ma, może jest – odparła zaskakująco cierpko. – W każdym razie możemy tam nocować. Powiedziałam, że przez dwa dni i że to kwestia awarii kanalizacji.

Uznał, że Iza nie potrzebuje jego aprobaty, więc przez moment tylko w milczeniu patrzył, jak nakłada szpachlę na ciasto i rozprowadza ją równo po brzegach.

– Co natomiast tyczy się dzieci – kontynuowała – wersja dla Nikodema jest taka, że spieprzyło się coś u ciebie w pracy i szef wszystkich wezwał. To samo wyjaśnienie poszło dla Ewy. Zośce musiałam powiedzieć coś bliższego prawdy.

– I co powiedziałaś?

– Że jakiś facet ci grozi, bo podejrzewa o romans ze swoją żoną.

Mimowolnie parsknął.

– Co jest bliższego prawdzie niż prawda? – zapytał. – No dobra, o której kończysz? Zabiorę was do Krystiana.

Pokręciła głową.

– Zabierz dzieciaki. Wciąż nie przywieźli mi chłodni, a muszę jeszcze poskładać na miejscu to cholerstwo, więc przyjadę później. Będiesz mógł tam na mnie poczekać?

– U Krystiana?

– Tak. Powiedziałam mu, że podrzucisz dzieciaki. Nie miał nic przeciwko temu.

Drelich mimowolnie zacisnął zęby, ale powstrzymał cisnący mu się na usta komentarz.

– Odprowadzę je na górę i potem sprawdzę okolicę – powiedział. – I będę w pobliżu, dopóki nie wrócisz.

Westchnęła, czym w pewnym stopniu zirytowała go jeszcze bardziej.

– Weź je najpierw do domu, niech się spakują – dodała. – Zaraz wyślę ci adres Krystiana.

– Wystarczy, że mi go podasz. Tobie też coś spakować?

– Wolałabym, żebyś nie grzebał mi po szafkach – odparła. – Zresztą na dwa dni niczego dodatkowego nie potrzebuję.

Zauważył, że gdy to powiedziała, spięła się lekko i na kilka sekund zamarła, jakby szykowała się na odpowiedź, którą będzie musiała sprawnie i ostro skontrolować. On jednak tylko zerknął na zegarek.

– Idę porozmawiać z Nikodemem – powiedział.

– Wyjaśnij mi, czemu śpi u Krystiana, bo powiedziałam, że to zrobisz – rzuciła jeszcze, po czym włożyła do uszu słuchawki i wróciła do pracy.

Zośka przywitała go uściskiem i nieco kpiącym uśmiechem, Ewa chłodnym „cześć”. Akurat obsługiwały obie starszą parę – zasuszoną filigranową laleczkę w sukience w kwiaty i niegdysiejszego macho w stylu porucznika Borewicza, z kwadratową szczęką, gęstą siwą czupryną i złotym łańcuchem na porośniętej kudłami klatce. Gdy Drelich wyłonił się z zaplecza, facet namawiał właśnie wybrankę na brownie z lodami takim tonem, jakby kupował jej najdroższą diamentową kolbę.

– Po takim spacerze, moja złota – mówił – naprawdę zasłużyłaś. I jeszcze dwie kawy, moja droga. Czarne jak noc, słodkie jak miłość.

– Ja poproszę białą – zaproponowała filigranowa staruszka.

I tyle z miłości, skonstatował w duchu Drelich.

– Jak myślisz, za ile będziesz mogła się zebrać? – zwrócił się do córki.

– Chyba już mogę, nie, ciociu? Nie ma dużego ruchu.

Ewa wzruszyła ramionami.

– To nie chińska fabryka przecież – odparła. – Nie zatrudniamy dzieci... na pełen etat.

Borewicz roześmiał się na tyle głośno, że aż Nikodem uniósł głowę znad komputera. Gdy zauważył ojca, uśmiechnął się szeroko, ale nie wstał. Mruknął coś tylko, bo nad przerośniętą głową pandy jego awatara pojawił się dron i go zdezintegrował.

– To ja tu może napiwek dla młodej pani zostawię – powiedział Borewicz, kładąc na ladzie pięćdziesiąt złotych. – Tak na lepsze popołudnie.

– Dziękuję. – Zośka skłoniła się i posłała mężczyźnie szeroki uśmiech, mimo iż szybkie zerknięcie na ekranik kasy uświadomiło jej, że wzbogaciła się o niecałe dwa złote.

– Porozmawiam z twoim bratem – powiedział Drelich.

– Jasne. Ja wezmę rzeczy z zaplecza. – Minęła go i zatrzymała się zaraz za progiem. – Tato...

– No?

– Powiesz mi, o co chodzi?

Uśmiechnął się.

– A co, chcesz sprawdzić spójność wersji?

– Nie – odpowiedziała. – Chcę wiedzieć, czy to poważna sprawa. Ten facet, co ci grozi...? Mama mówi, że zajmuje się tym policja.

– Tak, zajmuje się – skłamał. – Ale ja też działałam. To pomyłka i myślę, że lada chwila wszystko się rozstrzygnie. Do tego czasu wolę jednak, żebyście opuścili dzień czy dwa w szkole i posiedzieli u Krystiana.

Przyjrzała mu się.

– Wiesz, że Krystian cię nie lubi, prawda?

– Wiem.

Skinęła głową.

– Bo zabrzmiało, jakbyś mówił o koledze. Powiesz Nikodemowi, że jutro nie może się już rozplakać, by dostać meksykańskie?

– Jasne.

Zniknęła na zapleczu, a on podniósł ladę, przeszedł przez salę i usiadł koło syna. Przez moment patrzył, jak ten gra, poczekał, aż skończy się odliczanie i pokaże plansza, podsumowując rozgrywkę. Nikodemowi nie poszło najlepiej, ale zniósł to dzielnie. Drelich nauczony doświadczeniem, wiedział, że najpierw powinien pochwalić liczbę fragów, czyli zastrzelonych przez młodego wrogów.

– No dobra, obiecałem wyjaśnić, co się stało – powiedział, gdy już wymienili growe grzeczności, a Nikodem odłożył na bok słuchawki. – Okazało się, że mam kłopoty w pracy. Mój szef...

– Wiem, mama mi mówiła – przerwał mu chłopiec. – Zwolnili cię?

– Jeszcze nie, ale muszę dziś posiedzieć u was i przetrząsnąć dom w poszukiwaniu starej dokumentacji.

– Mogę ci pomóc!

Drelich potrząsnął głową.

– Będę musiał wyciągać po kolei wszystkie stare pudła i sprawdzać każdy papierek – wyjaśnił. – Pamiętasz, jak kiedyś szukaliśmy z mamą aktu ślubu? Teraz będzie jeszcze gorzej. Będę się denerwował, bo to ważne, bym znalazł te dokumenty, i nie chcę, żeby ci się oberwało.

– Ale ty nigdy się nie denerwujesz – zdziwił się Nikodem.

– Czasem jednak tak, a wtedy jest źle. Możesz zapytać mamy – odparł Drelich i wskazał na komputer. – No już, pakuj się i pogoń siostrę. Czekam przed wejściem. Cześć, Ewa!

Tym razem nie odpowiedziała, czym specjalnie się nie przejął. Wszedł na zewnątrz i dostrzegł, że najstarszy spośród pijaczków – miał na imię Gracjan, przypomniał sobie – uniósł rękę w pozdrowieniu. Drelich odpowiedział tym samym gestem i nagle przyszedł mu do głowy pomysł. Podbiegł do auta, z walizki w bagażniku wyjął jeden z zabranych z domu dodatkowych telefonów, sprawdził listę numerów, po czym dołożył swoją ładowarkę i wrócił na parking.

– O, widzę, szanownemu na sporty się zebrało – zauważył Gracjan.

– Trochę aktywności nie zaszkodzi. – Drelich się uśmiechnął. – Możemy na bok na chwilę?

– Jakie na bok, jak tu sami swoi? – obruszył się chudzielec o wyłupiastych oczach, za co zaraz zebrał od wstającego Gracjana poślizgowym w tył głowy.

– A ty się, szczyłu, nie wtrącaj w sprawy dorosłych.

Drelich odszedł kilka metrów i poczekał, aż Gracjan do niego doczłapie.

– No co tam, panie szanowny? Pan mówi.

Drelich podał mu telefon z ładowarką, a potem dołożył stówkę.

– Bez szczegółów, panie Gracjanie – powiedział. – Ale mam powody podejrzewać, że ktoś będzie chciał obserwować moją byłą żonę. Z samochodu, z krzaków gdzieś, jechać za nią...

Widział, jak zmienia się twarz stojącego przed nim mężczyzny. Wzrok mu się wyostrzył, uciekła gdzieś ta dobrotliwa pijacka rozlazłość. Za nią natomiast krył się doświadczony życiem facet, który w dodatku wiedział, jak się stawia na swoim. Zupełnie niczym stryj Józef, choć Drelich mimo wszystko miał nadzieję, że na tym podobieństwa się kończą.

Ale to dobry znak, pomyślał, że tak się przejął.

– Chodzi o to, panie Gracjanie, żeby pan i pana koledzy...

– Wiem, o co chodzi – powiedział Gracjan już bez żartów. – Jak tylko kogoś zobaczymy...

– To robi mu pan zdjęcie tym telefonem i natychmiast wyśle je do mnie na numer zapisany pod AA – tym razem Drelich nie dał mu dokończyć. – To ważne, by pan sam nic nie robił, chyba że naprawdę będzie trzeba. Umie pan to obsłużyć, prawda?

Gracjan powoli skinął głową. Wziął telefon i ładowarkę.

– Umie – odparł. – Pieniądze pan sobie schowa. Pan tego nie wie, ale ja bym dla pani słodkiej to na śmierć zajebał. Bo mało jest takiego dobra na tym świecie jak ona.

Drelich nie odpowiedział. Gracjan upchnął ładowarkę do kieszeni, maznął paluchem po ekranie i włączył aparat. Zrobił zdjęcie drzewom, wysłał Drelichowi, po czym schował urządzenie.

– Pan jesteś głupi, żeś się pan z nią rozwiódł, tyle panu powiem.

Drelich raz jeszcze zmilczał. Z cukierni właśnie wyszła Zośka, a za nią Nikodem.

34

To była najlepsza z dostępnych ławek. Ustawiona bokiem, a nie frontem do boiska, pod drzewem, lekko na uboczu. Siedząc na niej, miał skatepark w polu widzenia, więc nawet nie musiał tam zerkać, co mogłoby wzbudzić czyjeś podejrzenia. Wystarczyło, żeby podniósł głowę.

Natan już prawie pół godziny grał na nintendo, wzbudzając zaskoczenie i uśmiechy mijających go ludzi. Stary chłop przygryzający język i całkowicie pochłonięty gierką, z której dochodziły wesole dźwięki rodem z japońskich kreskówek. Obok na ławce leżała otwarta paczka wafli Familijnych i stała butelka coli. Przy nodze miał termos z końcówką letniej już jaśminowej herbaty.

Czekał. Cierpliwie, bo nigdzie mu się nie spieszyło. Zakładał, że Drelich nie jest głupi, a skoro tak, raczej się tu dzisiaj nie zjawi. Powinien za to zadbać o obserwację mieszkania czy to za pomocą kamery, czy życzliwego sąsiada bądź sąsiadki.

Natan nie uważał, by cokolwiek w domu Drelicha było warte wzbudzania alarmu, dlatego w ogóle nie czuł potrzeby, by wchodzić choćby na schody. Odpuścił sobie także obserwowanie wejścia do klatki oraz sprawdzanie, czy w bloku są łączone piwnice. To wszystko nie miało znaczenia, bo Natan wcale nie czekał na Drelicha. Ten nie był mu, przynajmniej na razie, do niczego potrzebny.

- To switch? – zapytał nagle jakiś dzieciak.
- Tak – odparł, nie odrywając wzroku od konsoli.
- Da pan pograć?

Natan wcisnął pauzę i uniósł wzrok. Przed nim stał może dwunastoletni chudy piegus w krótkich dresowych spodniach i koszulce z Hulkiem. Pod pachą trzymał piłkę do kosza.

– W sumie nie wiem, czy mogę – odpowiedział Natan. – To nie moje, tylko syna kolegi. Zostawił u mnie. Właśnie przyjechałem mu oddać.

Kątem oka dostrzegł, że przyglądają im się dwaj chłopcy. Jeden z nich, grubasek z żelem na włosach i wysoko podgolonymi bokami, zerkał na niego już wcześniej, ale bał się albo krępował podejść. Teraz ewidentnie zbierał się na odwagę i przekonywał wygolonego na rekruta okularnika.

- A ten kolega to stąd? – zapytał piegus. – Bo może znam?

Natan wzruszył ramionami. Sięgnął po wafelka, wziął całego do ust na dwa gryzy i odblokował grę.

– Jak chcesz, to się częstuj – powiedział, plując okruchami na ekran. – Coli jeszcze nie ruszałem.

Dzieciak się obejrzał, a gdy zobaczył idących w ich stronę kolegów, strategicznie zajął miejsce obok Natana. Położył piłkę pod nogami i sięgnął po wafla.

- Co to za gra?
- Messenger – odparł Natan i jakby przypominając sobie nagle poprzednie pytanie, dodał: – A kolega nazywa się Drelich.

- Niko? Niko Drelich?

Natan uśmiechnął się, mimo iż na ekranie jego kanciasty pikselowy ninja właśnie zginął uderzony zawieszonym na grubym

łańcuchu blokiem pikselowego betonu.

– Tak. Widziałeś go dzisiaj? Bo czekam już z pół godziny.

– A on nie jest u mamy teraz? – zdziwił się piegus. – Bo on tu nie mieszka normalnie.

Natan znowu zginął. Westchnął, podał piegusowi konsolę i sięgnął po termos. Grubasek i okularnik byli już blisko, ale musieli przepuścić parę rowerzystów na przecinającej im drogę ścieżce.

– Mogę od nowa? – zapytał piegus.

– Możesz. Graj. – Odkręcił termos, przelał herbatę do kubka nakrętki i upił łyk. – Kurczę, myślałem, że teraz jest u ojca. Nie wiesz, do której szkoły chodzi, prawda? Bo może bym mu w takim razie rano podrzucił.

Piegus wzruszył ramionami, wyraźnie zafascynowany urządzeniem.

– Gdzieś na Mokotowie – odparł nieco zniecierpliwionym tonem, by zaraz zapytać: – Jak to się cofa do początku?

Natan odstawił kubek, wziął konsolę, ustawił nową grę i oddał switcha.

– Dzień dobry – powiedział grubasek.

– Dobry – dorzucił okularnik. – My też chcieliśmy zobaczyć.

– To patrzcie. – Natan udał, że go to nie obchodzi.

Wypił herbatę, strzepnął krople z nakrętki i zakręcił termos, upewniając się, czy nie zwrócił szczególnej uwagi kogoś dorosłego. Niczego takiego nie zauważył. Ludzie rozmawiali na ławkach, spacerowali, wysiadali z samochodów, a wszystko do wtóru prostej, wpadającej w ucho komputerowej melodyjki nie z tej epoki.

– Fajna konsola – rzucił grubasek, próbując od góry spojrzeć na ekran. Okularnik był mądrzejszy i po prostu obszedł ławkę, by patrzeć koledze przez ramię. – Dużo pan dał?

– To nie jego – odpowiedział piegus, po czym najwyraźniej dotarło do niego, jak to zabrzmiało, bo uniósł głowę i nieco spłoszonym wzrokiem łypnął najpierw na Natana, potem na kolegów. – Znaczy pana. Nie pana jest, tylko Niko Drelicha.

– O, Niko przyjechał? – ucieszył się okularnik. – Wyjdzie?

– Nie wyjdzie, bo chyba nie przyjechał – oznajmił Natan. – Częstujcie się wafelkami, ja już nie mogę.

Grubasek sięgnął, biorąc od razu dwa. Okularnik zrezygnował.

– Dasz mi też? – zapytał piegus.

– A dasz pograć?

– To się wal!

Natan uśmiechnął się pod nosem. Przeczesał włosy.

– Niko jest w waszym wieku, nie?

– Młodszy – stwierdził okularnik. – Ja i Krzysiek mamy dwanaście, a Bartek trzynaście. Niko to ma jedenaście chyba teraz.

– Który to Bartek?

Grubasek podniósł rękę. Gdyby Natan miał zgadywać, nie uznałby go za najstarszego, ale przecież grubszy często wyglądają młodziej.

Wstał.

– Dobra, pograjcie tu sobie, ja muszę coś sprawdzić. Krzysiek, odpowiadasz za konsolę.

Piegus pokiwał głową.

– A mogę tej coli?

– Jak ci ktoś odkręci.

Odszedł kilka kroków od chłopców, sięgnął do kieszeni i wyjął telefon.

– Niko grywa z wami w piłkę, nie? – upewnił się.

– Noo, w kosza też – odparł grubasek.

– Z tobą to raczej nie – zadrwił okularnik, co wywołało lawinę przekomarzanek.

Natan odsunął się jeszcze trochę. Stał tak, by słońce nie świeciło mu w ekran, odblokował urządzenie i włączył wyszukiwarę Google'a. W przypadku osoby dorosłej użyłby raczej wyszukiwania na Facebooku, ale dzieciak, w dodatku poniżej limitu wieku aplikacji, mógł mieć kłopot z założeniem konta pod swoim imieniem i nazwiskiem. Szczeniaki co prawda obchodziły zakaz przez używanie ksywek i być może powinien zapytać o to tamtych, ale najpierw chciał sprawdzić najrealniejszy trop: szkołę. Jeśli skądś naprawdę bez kontroli wyciekały zdjęcia i dane dzieciaków, to właśnie stamtąd.

Wpisał „Nikodem Drelich Szkoła Podstawowa Mokotów” i już po chwili miał zdjęcie grupy chłopców z plastikowym pucharem międzyszkolnych rozgrywek. Pod spodem znajdował się skład drużyny, numer szkoły i klasa. Skopiował te dane do notatki i schował telefon.

– Dobra, chłopaki, muszę się zbierać. Ma ktoś z was kontakt na Messengerze do Niko? Albo telefon.

– On chyba nie ma Messengera – powiedział okularnik, a w jego głosie pobrzmiwał smutek. – Ani Facebooka nawet.

Dobrze, pomyślał Natan. To oszczędzi mu przekonywania tych trzech, że konsola – wcześniej zepsuta i oddana do naprawy – ma

być niespodzianką, więc nie powinni nic mówić małemu Drelichowi. Posiedział z nimi jeszcze z dziesięć minut, a gdy po tym czasie powiedział, że musi się zbierać, byli niepokieszeni.

– Może pan zostawi switcha, a my przekazemy Niko, jak wróci? – zaproponował grubasek.

Natan wymierzył w niego z pistoletu z palca.

– Dobra próba, cwaniaczku – odparł ze śmiechem. – Chcecie te ciastka? I colę?

Chcieli. Natan zabrał termos, wziął konsolę pod pachę i ruszył w stronę samochodu. Poszło łatwiej, niż myślał, i teraz potrzebował na szybko załatwić jakiś hotel. Najlepiej na Mokotowie, by rano mieć blisko do szkoły.

35

– Tato, a nie mógłbyś nas zabrać, gdy już skończysz szukać dokumentów? – zapytał Nikodem, kiedy przestał nawijać o grze, co robił przez pół drogi, przeskakując chaotycznie z wątku na wątek. – Ja przecież i tak nie kładę się wcześniej.

Siedział na przednim siedzeniu, na co Zośka wyrozumiale się zgodziła, i teraz wpatrywał się w profil ojca z chytrym skupieniem.

Drelich usłyszał głośne westchnięcie z tyłu, zerknął w lusterko i mrugnął do córki.

– A może właśnie powinienes? – powiedział. – Czytałem, że programerzy mają bardzo uporządkowany plan dnia.

– Nieprawda! – zaprotestował chłopiec. – Kiedyś grałem z Ninją o trzeciej w nocy!

Drelich zerknął na niego przelotnie.

– Po pierwsze, jakim cudem grałeś o trzeciej w nocy? – zapytał.

Nikodem wyraźnie się zmieszał.

– To... – zaczął niepewnie, ale nagły przypływ natchnienia rozjaśnił mu twarz. – To sobota była. I mama pozwoliła!

Tym ostatnim zagrał zbyt pewnie, więc Drelich od razu się domyślił, że syn blefuje. Nikodem podejmował już w przeszłości takie próby, czasem skutecznie. Tekstem, że mama pozwoliła, przenosił odpowiedzialność na Izę, a potem sprawnie powoływał

się na dni, w których ta miała największy zapieprz i mogła coś nieopatrznie chlapnąć. Drelich śmiał się kiedyś z Izą, że to taktyka godna naprawdę cwanego prawnika i cholera wie, czy lepiej w nim to zwalczać czy podsycać.

Teraz jednak nie zamierzał zapuszczać się w ten zaułek.

– Dobra, to drugie pytanie: kto to jest ten cały Ninja?

Oburzenie Nikodema warte było upamiętnienia na zdjęciu. Momentalnie się wyprostował, otworzył szeroko oczy i nabrał powietrza, jakby miał zaraz zanurkować albo krzyknąć.

– Nie wiesz, kto to jest Ninja?! – zawołał.

– No, tato, chlapnąłeś – zaśmiała się Zośka, unosząc wzrok znad telefonu. – Ninja to taki youtuber...

– Streamer! – poprawił Nikodem.

Zośka szybko wklepała coś w komórkę i podsunęła bratu telefon pod nos.

– Youtuber – powtórzyła z naciskiem, ale i, jak Drelich dostrzegł w lusterku, ze złośliwym uśmieszkiem. – Dwadzieścia milionów subskrypcji. To taki fortnite’owy celebryta. I nic dziwnego, że grałeś z nim o trzeciej w nocy, bo mieszka w Stanach. U niego był wczesny wieczór.

Nikodem poczerwieniał. Sapnął i odwrócił się do siostry.

– Z tatą rozmawiam. Co się wtrącasz?

Drelich zobaczył w lusterku, że z Zośki błyskawicznie ulatuje dojrzałe stonowanie. Przewidując kryzys, szybko odwrócił uwagę syna.

– O, czerwone. Spróbujesz?

Chłopiec westchnął.

– Nie, to głupie – stwierdził.

– Stawiam dyche, że nie dasz rady – oznajmił Drelich. – Jak przegrasz, wymyjesz mi auto.

– To wyzysk!

– To dycha. I dostałeś dziś kody za kupę kasy.

Nikodem rozważył w myślach. Szybko, bo na przejściu dla pieszych już migało zielone.

– Dobra – stwierdził w końcu i uniósł rękę.

Pstryknął, gdy światło już się zmieniało, co było jawnym oszustwem, ale i tak wydał z siebie okrzyk zwycięstwa, po którym szybko zerknął na ojca.

Drelich skinął głową.

– Wygrałeś dyszkę – powiedział. – Naciągane, ale niech ci będzie.

Zjechał na parking Lidla i zaparkował w jednej ze środkowych alejek.

– Zaczekajcie tu, proszę – rzucił. – Muszę skoczyć po parę rzeczy.

– Ja też chcę. – Nikodem wypiął się z pasów.

– Nie, siedź w aucie.

Drelich wysiadł i ruszył w stronę sklepu. Zamiast jednak wejść do środka, przebiegł truchtem wzdłuż budynku, przeciął ulicę na skos i spokojnie podszedł do bloku, w którym mieszkała Iza z dziećmi. Przyjrzał się pobliskim parkingom i ławkom, po czym podszedł do altany śmietnikowej, skąd miał widok na prawie wszystkie klatki schodowe. Powiódł po nich wzrokiem, udając, że mocuje się z zamkiem.

– O, dobrze, że pan tu jest. – Starszy mężczyzna właśnie wyłonił się zza winkla. Łysy, w okularach, z ciemnym

wypielegnowanym zarostem okalającym usta. – Bo zapomniałem kluczy i już się bałem, że będę musiał wracać.

Drelich przyjrzał się facetowi, jego kapciom, bermudom i białemu tiszertowi wiszącemu jak na szkielecie. Uśmiechnął się.

– No właśnie coś mi się zacięło – powiedział, sięgając do kieszeni. – Chyba trzeba będzie zamek wymienić.

– O, to, to – rzucił mężczyzna. – Najlepiej na kod, toby ludzie kluczy nie zapominali.

– Słusznie. – Drelich stanął tak, by niby przypadkiem zasłonić mu dostęp do zamka. Otworzył go raz dwa, ale dla zachowania pozorów udał, że się szarpie.

– O, już!

– Dziękuję. I proszę, pan pierwszy... A w ogóle gdzie ma pan śmieci?

Drelich nie dał się zaskoczyć.

– Córka przez pomyłkę zeszyt wyrzuciła – odparł. – Zaraz czeka mnie grzebanie, obawiam się.

Facet się skrzywił.

– Oj, to nie zazdrozczę.

Gdy poszedł, Drelich nie fatygował się więcej zamkiem. Jeszcze raz się rozejrzał i zerknął na zegarek. Gdy zorientował się, że minął prawie kwadrans, pokręcił głową i pobiegł na parking Lidla. Zanim wrócił do auta, uspokoił i wyrównał oddech.

– Nic nie kupiłeś? – zdziwił się Nikodem.

Wzruszył ramionami.

– Nie mieli.

Gdy się pakowali, czekał w kuchni. Zośka zrobiła mu kawę, więc stał oparty pośladkami o parapet i z kubkiem w dłoni porządkował myśli. Starał się nie wchodzić w szczegóły ani nie wysnuwać żadnych teorii, bo raz, że był zmęczony i wykorzystał już te trzy godziny w ciągu dnia, gdy umysł pracuje na najwyższych obrotach, a dwa, że czekał na wiadomości od Kracha. Na razie ograniczał się do formułowania pytań i układania ich w stosowne wątki.

Zośka spakowała się pierwsza. Słyszał, jak wychodzi z pokoju i kładzie niewielki plecak koło szafki z butami. Gdy pojawiła się w kuchni, zauważył, że przebrała się w tiszert od niego. Czarny z ustami z logo Rolling Stonesów, wyglądał na stary i sprany, choć miał nie więcej jak pół roku.

– Nie wiem, co on pakuje – stwierdziła. – Przecież my tam tylko na dwa dni jedziemy.

Nie było to pytanie, ale wiedział, że ten pytajnik gdzieś tam się czai. Dlatego skinął głową.

– Tak, maksymalnie dwa dni. Potrzebuję wyjaśnić tę sprawę – powiedział i zaraz dodał: – Twoja mama uważa, że przesadzam, i trochę się z nią zgadzam, ale...

– ...ale czujesz się winny i chcesz, by wszystko było dobrze – dokończyła za niego.

Przepił do niej kawę.

– Kiedy ty się zrobiłaś taka dorosła? – zapytał.

Wzruszyła ramionami.

– Nie myśl, że to wyrzut, tato, ale mam na to sporo czasu, gdy cię nie ma.

Uśmiech, którym próbowała złagodzić tę wypowiedź, nie do końca wykonał zadanie. Drelich przyglądał się córce z uwagą przez prawie minutę.

– No już, nie obrażaj się. – Zaśmiała się troszkę nerwowo. – Ty potrzebujesz swojej małej córeczki, mama potrzebuje kumpeli. Ja się nie rozdwoję, a z nią siedzę więcej.

– Jasne, łapię – odparł i odstawił filizankę na bok. Również się uśmiechnął, a wtedy ona, traktując to jak sygnał, podeszła do niego i przytuliła się mocno.

– Kocham cię, tato – powiedziała. – I trochę się martwię.

– Wiem.

Odsunęła się o krok i pokręciła głową.

– Nie tym – oznajmiła. – O ciebie się martwię. Bo mama ma Krystiana, ma nas... Znaczy na co dzień. A ty?

Już miał odpowiedzieć, gdy do kuchni wszedł Nikodem.

– A może będziesz z nami spał u Krystiana? – zaproponował.
– Jak już znajdziesz te papiery.

– Jestem pewien, że Krystian by się ucieszył – powiedział Drelich. – Ale najpierw muszę poćwiczyć w Crasha, by spuścić mu łomot.

– Już byś spuścił. – Nikodem machnął ręką. – On jest cienki jak dupa węża.

Odwiózł ich pod dom Krystiana i odprowadził na górę. Nikodem koniecznie chciał, by wszedł, ale tu z pomocą przyszła Zośka, która puściła do ojca oko i zaraz odwróciła uwagę brata, mówiąc, że zajmuje telewizor. Drelich skorzystał z zamieszania i został na korytarzu. Począł, aż szczęknę zamek, ocenił

masywność drzwi i zadzwonił do Izy z informacją, że dzieciaki są bezpieczne. Ona zrewanżowała się informacją, że ze składaniem tortu i podpisaniem protokołu powinna się uporać do godziny.

– Będę w okolicy – powiedział.

Obejrzał sobie starannie klatkę schodową, wejście od garażu, windy. Z podmienieniem żarówki na kamerę mógłby mieć tu problem, więc tego nie zrobił – poza tym nie zakładał, by naprawdę była taka potrzeba. Jak mawiał stryj Józef, paranoja to wściekły pies ostrożności. Zakładanie, że ktoś dotrze aż tutaj, byłoby przesadą. No i mimo wszystko Drelich wciąż wierzył, że to nieporozumienie, które uda się wyjaśnić w ciągu najbliższej doby.

Przeparkował auto pod drzewa, skąd miał widok na zamknięty dziedziniec, klatkę schodową i wjazd do garażu. Podłączył telefon do ładowarki i udał, że coś na nim sprawdza, jednocześnie obserwując okolicę. Iza zjawiała się po niespełna dwóch godzinach. Począł, aż wjedzie do podziemnego garażu, zamknie się za nią brama i po chwili na klatce zapali się światło. Nikt za nią nie jechał.

Włączył silnik i niemal w tym samym momencie przyszła wiadomość od Kracha.

„Tam gdzie zwykle. Tyle udało mi się zebrać po cichu. Trzymaj się”.

Podziękował, ale nie sprawdził właściwej wiadomości. Postanowił, że zrobi to już z domu.

Ruszył. Po kwadransie dostał też wiadomość od Izy.

„Dotarłam”.

36

Po przeszło siedmiu godzinach miejsce, w które uderzył ją Zygmunt, wciąż pulsowało. Nie bólem, ten szybko minął. Teraz czuła coś jak odrętwienie, martwość tkanki. Dawno temu durny kuzyn zdzielił ją otwartą dłonią w środek pleców i potem przez wiele dni miała wrażenie, że czuje każdy odbity między łopatkami palec. To było właśnie takie wrażenie. Zastanawiała się, czy jej czegoś nie uszkodził. Czy w brzuchu są nerwy?

Gdy uderzył, chciał ją oddać Natanowi, a potem kazał wyjść – nie, nie wyjść, kazał wypierdalać! – siły starczyło jej tylko, by dotrzeć za próg i zamknąć za sobą drzwi. Wtedy niemal natychmiast ugięły się pod nią drżące nogi i Milena osunęła się na podłogę, a przez głowę przeleciała jej paniczna myśl – tylko nie zahacz o klamkę, nie otwórz przypadkiem drzwi, bo...

No właśnie, bo co? Bo już raz przekroczył granicę i teraz nie mógł się cofnąć? Nie mógł zrobić odwrotu, więc zostawał tylko jeden kierunek? Bo pieprzony Natan, patrzący na nią z pogardą, mógł zmienić zdanie?

Posadzka była przyjemnie zimna, tak, że chciała przewrócić się na brzuch i przywrzeć do niej bolącym miejscem. Ale bała się ruszyć, drgnąć. Leżała więc, oddychając płytko i poruszając nosem, ilekroć załaskotała ją łza. Słowa sączyły się spod drzwi i mimowolnie słuchała Zygmunta klnącego na niekompetencję Adasia, Szarego oraz Pumby, a potem Natana cierpliwie

tłumaczącego, dlaczego zamiast jechać po tamtych trzech, powinien zająć się tym, co spieprzyli.

Słyszała, jak jedzą ciasto i Zygmunt chwali jej wypiek, by po dłuższej chwili ciszy wrócić wreszcie do kwestii Drelicha.

– No dobra, ale ja muszę wiedzieć, co zamierzasz – stwierdził.

– Dość pierdolenia o tym, że masz sposoby. Co zamierzasz?

– Zawsze trzeba szukać w ludziach dobra, szefie – zadrwił Natan. – Największy skurwiel ma ojca, matkę, psa. Gdy już znajdziesz, to jak przy ruchaniu: twardym w miękkie. Nie będę go szukał, sprawię, że sam przyjdzie. Niczym się nie martw i daj mi kilka dni, a przywiozę ci go na tacy.

Zygmunt milczał przez chwilę, a w końcu powtórzył to, co mówił już wcześniej:

– Trzeba było cię od razu posłać. Zmarnowaliśmy czas.

Jakoś się stamtąd zabrała. Podniosła się, dotarła najpierw do kuchni, a potem na górę, do sypialni i łazienki. Musiała to zrobić sama, nikt jej przecież nie pomógł, ale nie potrafiła przypomnieć sobie ani jednego kroku, ani jednej towarzyszącej tym krokom myśli. Czy zrobiła to z powodu dzieci – bała się, że zobaczą ją na podłodze i się wystraszą? A może ze strachu przed Zygmuntem? Albo jedno i drugie? Bała się, że dzieci podniosą na jej widok larum, Zygmunt wyjdzie i...

Wzdrygnęła się. Po dwóch godzinach od ciosu wciąż towarzyszyło jej to samo uczucie, które miała dwa lata temu, gdy wpadła w poślizg i przez dwusekundową wieczność sunęła przeciwnym pasem prosto pod koła auta nadjeżdżającego z przeciwka. Kiedy już się zatrzymała i wyłączyła silnik, zaczęła jednocześnie drzeć i płakać, a umysł raz po raz, coraz szybciej,

odtwarzał błysk świateł, ryk klaksonu, jej krzyk, panikę wobec bezwładności wozu i euforię odzyskanej kontroli. Tu, siedząc na łóżku z kolanami podciągniętymi pod samą brodę, oglądała w głowie stroboskopowy klip. Drgnienie źrenic męża, grymas, ruch ręki. Cios.

Dwa dni! Pierdolone dwa dni, odkąd wszystko zaczęło się sypać jak domek z kart. W ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin zderzyła się z tym, co do tej pory czaiło się w cieniu, w mroku, czego doświadczała, ale nie chciała zauważać. Matka, dzieci, ta dziewczyna, podejście chłopaków, Natana – to przecież nie wzięło się znikąd. Po prostu teraz wypaliło jej prosto w twarz!

To tylko jedno uderzenie, powtarzał zapętłony syntezytor, aż jego głos rozlał się, rozciągnął jak guma, obniżył i w końcu wyczerpała mu się bateria. A w tle opętańczo wyła alarmowa syrena, rwanymi, krótkimi sygnałami: dwa dni! dwa dni! dwa dni!

Poszła się wykąpać i przebrać, musiała zmyć z siebie zapach drożdżowego ciasta. Dopiero wtedy, ubrana w luźny dres, zeszła na dół.

Natana już nie było. Zygmunt, bosy, z podwiniętymi rękawami koszuli, bawił się na dywanie z dziećmi i psem. Wanesa stroiła Murzyna w krawat taty i szpiczastą papierową czapeczkę z urodzin, a Bartuś śmiał się tak, że i Milena mimowolnie się uśmiechnęła. Lubiła jego śmiech. Taki czysty, beztroski, taki...

„Tata tobie kazał”.

Poczuła gułę w gardle. Zacisnęła pięści, wbijając sobie paznokcie we wnętrze dłoni.

– Zrobiłem ci herbatę, kochanie – powiedział Zygmunt, gdy w końcu ją zauważył. Wskazał ręką kubek na blacie, zwyczajny,

jeden z tych anonimowych, dla gości. Zupełnie jakby nic się nie stało. – Ale chyba musisz sobie podgrzać.

– Dziękuję.

Nigdy w życiu nie wypowiedziała żadnego słowa tak świadomie. Jeszcze nigdy również żadne jej słowo nie było tak dwuznaczne. Bo gdy już nabrało mocy i wyrwało się z gardła, zdała sobie sprawę, że nie dziękuje mu za tę pieprzoną zimną herbatę.

Wtedy po raz pierwszy na ułamek sekundy wynurzyła się spod powierzchni otaczającej ją beznadziei. Wychynęła z zimnej, oblepiającej toni tego przekłętego wymarzonego życia, wspaniałego domu, cudownych dzieci, matki zachwyconej zięciem i świadomości, że inne nie tylko mają gorzej, ale marzą o tym, by się z nią zamienić. I wszystko to było niczym ciemna woda pochłaniająca kolory, wypaczająca perspektywę, ograniczająca ruchy. A cios był jak pierwszy haust powietrza, spojrzenie w słońce.

Wtedy właśnie zdała sobie sprawę, że podziękowała Zygmuntowi nie za herbatę, a za to, że – jakby to obrzydliwie, koszmarnie nie brzmiało – wreszcie po tylu latach ją uderzył. Że nareszcie wydarzyło się w jej życiu coś realnego, zgodnego z tym, co czuła. Była niczym paranoik, który nagle odkrył, że wszystkie jego lęki są prawdziwe, że przecucie – ten cholerny dzwonek nad drzwiami Żabki, rozbrzmiewający raz po raz, aż się przyzwyczaisz i zaczniesz go ignorować – cały czas ostrzegało przed tym, co miało nadejść. A gdy już nadeszło, okazało się straszne, ale i w jakiś przerażający sposób wyzwalające.

Jeden krótki oddech, właściwie bardziej zachłyśnięcie się niż nabranie tchu, a jednak w tamtej chwili zdała sobie sprawę, jak wiele znaczyło. Bo przez ten ułamek sekundy nie czuła strachu. I zapragnęła nie czuć go znowu, może tym razem dłużej. Albo – nie daj Boże zbłądzić zbyt wielkim marzeniem – już nigdy.

Tamten moment smakował i pachniał gniewem. Sprzeciwem. Jej organizm nie umiał może jeszcze postawić w tym miejscu granicy, zbudować barykady i bronić się zza niej do upadłego, ale właśnie uzmysłowił sobie, że to jest ten punkt. To miejsce, ta linia na piasku, na której będzie gotowa – może dziś, może kiedyś – powiedzieć: dość!

Na razie wróciła do sypialni i sięgnęła do najniższej szuflady komody. Wyciągnęła z niej album ze zdjęciami i zaczęła go kartkować. Nie do końca wiedziała, czego szuka – to był impuls wywołany obrazkiem zobaczonym na dole: Zygmuntem, dziećmi, psem, przebierankami. Kiedy fotografie przesuwały się przed jej wzrokiem, przypomniwała sobie o tamtym zdjęciu. Musiała je znaleźć, zobaczyć. Bez niego nie mogła skończyć tej układanki. Stanowiło coś na kształt rozpoznania zwłok w kostnicy. Ostateczne potwierdzenie.

Przez uchylone okno słyszała otwierającą się bramę i wjeżdżający samochód. Wysiedli z niego ludzie Zygmunta, a niedługo potem jej mąż opieprzał ich w swoim gabinecie, że dali się załatwić pieprzonemu idiocie i mieli przy nim ozorami jak pierdolone przekupy. Kiedy już się uspokoił, docierały do niej tylko strzępki zdań odnoszące się do ruskich, Amerykanów, pierwszego czerwca i innych ważnych dla niego spraw.

Choć słyszała tylko pojedyncze słowa, nagle zaczęły się układać w całość. Jak wtedy, gdy oglądała ciurkiem francuskie seriale i z roztargnienia nie włączyła polskich napisów, co wcale jednak nie przeszkodziło jej w rozumieniu rozmów.

Odłożyła album i sięgnęła po następny, ale to, czego szukała, znalazła dopiero w trzecim. Kilka razy zamawiali sesje rodzinne u różnych fotografów, by potem z tych wesołych fotek robić świąteczne pocztówki. Tę konkretną fotografkę – miała chyba na imię Magda – ściągnęli ze Szczecina i jako jedyną wpuścili do domu. Dużo pięknych kadrów, ujęcia w każdym pomieszczeniu, łącznie z garażem i schodami do piwnicy, a wśród nich to właściwe zdjęcie.

Bartuś i Wanesa w ich sypialni. Ona na kolanach na krześle, przechyłona nad blatem toaletki Mileny, ubrana w jej zwiewny szlafroczek z podwiniętymi rękawami, z różem na policzkach i szminką w dłoni. Usta w ciup, skupiona mina, wzrok wlepiony we własne odbicie. Dwuletni Bartuś stoi na łóżku, ubrany tylko w koszulę Zygmunta i jego krawat. Spod koszuli wystaje jedna bosa stópka, a na buzi maluje się rozbawienie. Milena pamiętała, że śmiał się wtedy tak samo, jak kilka godzin wcześniej przy zabawie z psem.

Kiedyś uwielbiała tę fotografię. Teraz wyjęła ją z albumu i po krótkim namyśle przedarła najpierw na pół, a następnie porwała na strzępy. Gdy skończyła, zebrała wszystkie skrawki, wrzuciła je do toalety i spuszczała wodę tak długo, aż zniknął ostatni kawałek.

Ten cios, to „dziękuję” i wreszcie to zdjęcie, które dopiero teraz naprawdę zrozumiała.

„Tobie kazał. Tata jest ważniejszy”.

Schowała albumy do szuflady, a potem położyła się na boku z lekko podciągniętymi kolanami i prawą ręką pod głowę. Zdała sobie sprawę, że lewą mimowolnie gładzi uderzone miejsce. Dokładnie tak jak podczas ciąży – ta sama pozycja, ten sam odruch.

– Ten sam sprawca – szepnęła i zaśmiała się cicho i smutno.

Z dołu wciąż dochodziły pojedyncze przytłumione słowa, a ona nadal wiedziała, co znaczą i do czego prowadzą.

Pomyślała, że gdyby chciała, mogłaby mu zaszkodzić. Gdyby tylko ktoś wysłuchał tego, co ona wie.

Ale nikt taki nie istniał. Tak właśnie dotąd sądziła, bo skoro Zygmunt potrafił sobie zjednać nawet jej matkę, skoro panował nad sobą nawet w obliczu zdrady, skoro nigdy nie uderzył żony i stali za nim wierni jak psy zaufani ludzie, to zwyczajnie nie mógł mieć wrogów. A przynajmniej nie dość silnych.

Dziś jednak człowiek, który pisał czule o podróżach i sprawił, że znowu czuła się chciana, załatwił sam jeden Pumbę, Szarego i Adasia. Sam jeden!

Czy to dlatego, że mu pomogła? Że zdążył się dzięki temu przygotować? Jeszcze rano, gdy okazało się, że go schwytali, była pewna, że wygłupiła się w Kauflandzie, a jednak najwyraźniej Drelich okazał się sprytniejszy, niż mogło się wydawać.

Jest jeszcze Natan, przypomniał syntezator Mileny. Jakimś cudem zdołał podładować baterie i teraz wrócił, by zabić kiełkującą nadzieję. Natan, który jechał po bliskich Drelicha.

Pomyślała, że powinna znów go ostrzec, ale zaraz przypomniała sobie cios, „dziękuję” i zdjęcie. Zdała sobie sprawę,

że potrzebowała kogoś, kto jej wysłucha, kto zrozumie, kim naprawdę jest Zygmunt, i nie da mu się uwieść jak jej matka. Kogoś, kto tak jak ona znajdzie się w punkcie bez odwrotu.

37

Natan wstał tuż przed szóstą. Nie czekając na budzik, podniósł się, opłukał twarz zimną wodą, włożył spodnie i bluzę, po czym z termosem zszedł na śniadanie. Zrobił sobie cztery kanapki, z czego dwie zjadł na miejscu, i wypił dwie szklanki herbaty – każda z osobnej torebki. Mieli akurat nie najgorszy wybór, co go ucieszyło, bo przetestował kilka nowych smaków. Na drogę wziął zieloną z granatem i mango. Zalał termos wrzątkiem i wrócił do pokoju.

Nie wyszedł stamtąd przed siódmą trzydzieści. W tym czasie jeszcze raz uważnie przyjrzał się zdjęciom Nikodema Drelicha dostępnym na szkolnym profilu. Na żadnym chłopiec nie był sam, ale raz stał na szczycie podium biegów przełajowych, trzymając nad głową puchar. Zdjęcie zrobiono przed dwoma laty, od tamtej pory chłopiec pewnie się zmienił, choć nie aż tak, by go nie rozpoznać. Natan sprawdził też plan lekcji chłopca dostępny na stronie internetowej, na wypadek gdyby z jakiegoś powodu musiał wdrożyć plan awaryjny.

Tuż przed ósmą przyszedł esemes od Wójcika z zapytaniem o sytuację. Odpisał, że wszystko pod kontrolą, ale się nie spieszy. I że będzie informował. Był już wtedy pod szkołą, obserwował dzieciaki wchodzące głównym wejściem, rodziców odprowadzających je pod bramę, a czasem nawet pod budynek. Ci ze starszych klas szli sami. Do skrzyżowania dochodzili małymi

grupkami lub pojedynczo, ale już bliżej szkoły łączyli się w coraz większe grupy niczym krople deszczu sunące w dół szyby.

Do budynku wszedł dopiero dziesięć minut po dzwonku, gdy korytarze zdążyły opustoszeć. Przy wejściu stał ochroniarz, jednak Natan się nim nie przejął. W takich miejscach jak to wystarczy iść pewnym krokiem, a na pytanie, dokąd idzie, powiedzieć, że do dyrektora. Ten tu nawet nie zapytał.

Natan pokonał schody obklejone angielskimi czasownikami, sprawdził numerację klas i obejrzał plan ewakuacyjny budynku. Nie spieszył się. Miał czas na rozważenie dostępnych opcji.

– W czymś pomóc? – zagaił go woźny niskim ochryplym głosem. Już wcześniej mu się przyglądał, jednocześnie reperując klamkę w drzwiach do łazienki. Teraz podszedł, wycierając ręce w szmatkę wyjętą z kieszeni roboczych ogrodniczek.

Natan odwrócił się i zmierzył go wzrokiem. Rosły chłop, surowa twarz, wąs żółty od nikotyny. Szerokie barki, brzusek, ręce poznaczone bliznami i zgrubieniami. O takich nigdy nie można było powiedzieć z góry, czy stanowią wyzwanie czy nie. Natan czuł wielką ochotę, by to sprawdzić. Zamiast tego uśmiechnął się i zrobił taką minę, jakby czekał właśnie na woźnego.

– Tak, szukam sekretariatu.

Mężczyzna odwrócił się i uniósł rękę, by wskazać schody, ale zamiast tego podrapał się po potylicy.

– Pan idzie za mną, i tak tam szedłem.

– Dziękuję.

Ruszyli na górę, nie zamieniając ze sobą po drodze ani słowa. Dopiero na piętrze woźny wskazał mu właściwe drzwi i Natan

ponownie podziękował.

Zdawał sobie sprawę, że mężczyzna może czekać, aż on wejdzie do środka, więc zapukał cichutko i wszedł.

Za wysokim biurkiem siedziała kobieta w okularach, o zaokrąglonej twarzy i jasnych włosach. Skupiona na ekranie komputera, operowała komputerową myszką, przygryzając przy tym koniuszek języka. Zerknęła na Natana i znów spojrzała na monitor.

– Pan dyrektor jest na lekcji – powiedziała.

– Ja nie do niego – odparł zgodnie z prawdą, ale w pewnym sensie ucieszyła go ta wiadomość. Wiele ułatwiała. Nieco chaotyczny plan, który miał w głowie, obejmował co prawda wariant z dyrektorem i bez niego, jednak ten bez był zdecydowanie łatwiejszy i szybszy.

Dostrzegł torebkę sekretarki zawieszoną na oparciu krzesła, a także pękaty portfel w kwiaty obok wypełnionej do połowy butelki z sokiem Kubuś i brudnej szklanki. Nie zauważył kluczy, ale wcale ich nie potrzebował, bo na drzwiach wejściowych znajdował się zamek z łucznikiem. Przekręcił go.

Tymczasem kobieta za biurkiem uporowała się z nurtującym ją problemem, poprawiła okulary, obróciła na krześle i skupiła wzrok na Natanie.

– W takim razie w jaki sposób mogę panu pomóc?

Zbliżył się do biurka tak, że portfel miał na wyciągnięcie ręki. Sięgnął po niego ponad blatem, od razu otworzył i spojrzał na karty oraz dokumenty. Wszystko, zanim zdążyła zaprotestować.

– Już wiem, jak się nazywasz, dziwko – powiedział i wyjął z kieszeni telefon. – Jeden głupi ruch, a grzecznie stąd wyjdę. Ale

potem odwiedzę w domu albo ciebie, albo któreś z tych ślicznych dzieci, które tu nosisz. To wnuki?

Kobieta przełknęła ślinę, niezdolna do wypowiedzenia choćby słowa.

– Zakładam, że tak – dodał Natan. Wyjął dowód, zdjęcia rodziny i szybko je sfotografował.

– Ja nie mam... – Sekretarka mimo wszystko podjęła próbę odezwania się.

Pokręcił głową i przyłożył palec do ust.

– Nie chcesz mnie wkurwić swoim gadaniem – rzucił. – Wstań.

Posłusznie odjechała na krześle i podniosła się.

– A teraz podejdź do ksera.

Wykonała polecenie. Natan zajął jej miejsce i przejrzał ikony na pulpicie komputera. Znalazł system Librus, kliknął i wszedł. Ot tak, po prostu, nie musząc jej nawet pytać o hasło, bo się nie wylogowała, głupia krowa.

Szybko wpisał nazwisko Drelich i tak jak się spodziewał, wynik był tylko jeden. Wiek się zgadzał, imię też. Obok znalazł adres domowy i kontaktowy numer do Izabeli Lemańczyk, zapewne matki chłopca. Zrobił ekranowi zdjęcie i zamknął program.

– Gdzie są pieniądze z komitetu rodzicielskiego? – zapytał. Nie żeby go obchodziły, ale miał nadzieję, że jeśli kobieta mimo wszystko się spruje, właśnie to pytanie zostanie jej w pamięci. I powtórzy je policji.

Zgodnie z jego oczekiwaniami sekretarka potrząsnęła głową.

– Nie ma. Nie trzymamy ich tutaj. Wszystko wpłaca się na konto i...

– Teraz wychodzę i już nie wrócę – przerwał jej, wstając. – Chyba że powiesz komuś o mojej wizycie. Wtedy znajdę ciebie, twoje dzieci i wnuki, rozumiesz?

Wolno pokiwała głową, co uznał za niesatysfakcjonujące. Sięgnął po telefon, szarpnął ją za ramię i pokazał fotografię małej pyzatej dziewczynki o umorusanej malinami buzi.

– Nie, chyba nie rozumiesz – powiedział. – Więc wyjaśnię dosadniej. Zerznę tę małą, jeśli piśniesz chociaż słowo. Dotarło?

Zobaczył drżącą szczękę i przerażone oczy wypełniające się łzami. Wtedy się uśmiechnął.

– Po prostu nikomu nie mów, a przysięgam, że nic się nie stanie. Nikomu. Nigdy.

Podszedł do drzwi i otworzył zamek.

– Widzisz? Wychodzę.

Pokiwała głową i pociągnęła nosem. Zachwiała się, musiała wesprzeć się o biurko, by nie upaść.

– Idź do łazienki, bo zbladłaś – poradził, zanim wyszedł.

Już za bramą szkoły przepisał numer telefonu i wysłał go pod trzy różne numery opisane nazwami operatorów sieci komórkowych. Nie minęło pięć minut, a dostał dwa esemesy o tej samej treści: „Nie nasz”. Trzecia wiadomość, która przyszła po pięciu minutach, informowała go, że numer jest na firmę Cake Is a Lie Izabeli Lemańczyk.

Wygooglał cukiernię, w samochodzie wpisał adres domowy z Librusa, włączył nawigację i ruszył.

Na miejscu był koło dziewiętej trzydzieści. Przejechał ulicą, na skrzyżowaniu skręcił i zaparkował przy pobliskim Lidlu, do którego wstąpił po dwa duże opakowania ręczników papierowych i dwie reklamówki oznaczone logo sklepu. Pierwsze wsadził w drugie i tak obciążony podszedł pod blok Izy Lemańczyk.

Nie czekał długo pod drzwiami. Młody chłopak w przylegających do ciała rowerowych ciuchach wyszedł z klatki, prowadząc rower. Ukłonił się grzecznie Natanowi, a widząc, że ten niesie reklamówki, przytrzymał mu drzwi.

– Dziękuję – powiedział Natan.

Wszedł po schodach na pierwsze piętro, by sprawdzić układ mieszkań. Przeliczył liczbę numerów na poziom i na właściwy wjechał już windą. Na górze rozejrzał się i ruszył korytarzem. Nie musiał dojść do właściwego mieszkania, wystarczył mu rzut oka na identyczne drzwi dwóch najbliższych – antywłamaniowe, z zamkami patentowymi. Raczej nie zakładał, że Izabela Lemańczyk wymieniła swoje na gorsze niż standardowe. To oznaczało, że włamanie się do środka i zaczekanie na nią w domu nie wchodziło w grę.

Zjechał na parter i zszedł poziom niżej, gdzie wrzucił reklamówki pod schody. W drodze powrotnej do auta rozejrzał się jeszcze za dobrym punktem obserwacyjnym na później, na wypadek gdyby musiał z niego skorzystać, i wybrał w nawigacji drogę do Cake Is a Lie.

Brakowało mu jeszcze tylko jednej informacji, a tu akurat internet nie był w stanie mu pomóc. Nie wiedział, jak Izabela Lemańczyk wygląda.

38

Mieszkanie od Szulima spełniało wszystkie wymagania Drelicha. Miało ściany, sufit i mocne drzwi, łóżko, łazienkę oraz kuchnię z lodówką i kuchenką mikrofalową. Do tego szafa, stół, krzesło i lampka z Ikei, mocny internet, duży płaski telewizor z dostępną kablówką, dwie butelki wody – gazowana i niegazowana – a także widok z okna na Wisłę. Było to lokum idealne, by się schować i przeczekać, ale zdaniem Drelicha za małe, by mieszkać.

Poranną kawę wypił wpatrzony w okno. Napój bardzo mocny i bardzo słodki w mig uporał się z posmakiem, jaki zostawiła mu w ustach jajecznicą. Z resztkami snu rozprawiły się już wcześniej porcja ćwiczeń, szklanka wody z cytryną i letni prysznic. Teraz, wyspany i ogarnięty, siedział przy stole przed zeszytem otwartym na pustej stronie.

Na łóżku leżał włączony laptop. Dziesięć minut wcześniej Drelich przejrzał na nim informacje, jakie zdobył dla niego Krach. Sporo jak na tak krótki czas: w większości odniesienia do wcześniejszych domysłów Drelicha, adres domowy Wójcika i dwóch spośród sześciu jego ludzi, kilka zdjęć eleganckiego niewysokiego faceta pod pięćdziesiątkę oraz siedem zbiorowych z różnych wydarzeń. Na wszystkich bez trudu dało się rozpoznać Pumbę i Szarego, na trzech przewinął się Adaś. Oprócz tego bohaterami fotek byli Wójcik, chudy facet z nosem podobnym do

dzioba i rubaszny brodacz. Tylko na jednej towarzyszył im jeszcze ktoś, ale stał w cieniu i do tego bokiem.

Brakowało jakiegokolwiek zdjęcia pani Wójcik, rzekomej bohaterki romansu, jednak Krach poinformował, że nad tym pracuje i dośle w osobnej przesyłce.

Udało mu się za to zgromadzić konkretne informacje o trzech należących do Wójcika klubach – w jednym z nich współwłaścicielem i zarządzającym był Pumba – oraz jego procentowym udziale w kilkunastu trójmiejskich interesach, ze szczególnym uwzględnieniem innych klubów nocnych, sieci lombardów i kilku restauracji.

Drelich dostał też, z oczywistych względów mniej precyzyjne, ciekawostki na temat biznesów całkowicie nielegalnych, jak handel narkotykami, samochodowa paserka czy przemyt papierosów na Zachód. We wszystkim Wójcik uczestniczył po trochu, niczym dobry makler, uważnie lokując energię, czas i środki. Zatem albo jego dyplom z ekonomii coś znaczył, albo miał całkiem sensownych doradców, choć wydarzyło mu się po drodze kilka wtop wyraźnie sugerujących pośpiech i pazerność.

Zawibrował telefon i Drelich zerknął na wyświetlacz. Z samego rana wysłał esemesa do Izy z zapytaniem, czy wszystko w porządku. Nie odpowiadała aż do tej pory, ale teraz dała znać, że tak i że właśnie dociera do pracy, a dzieciaki zostały w domu. Nikodema usprawiedliwiła u wychowawczyni przez Librusa, Zośka sama dała znać wychowawcy, że jest chora.

Drelich podziękował, upił kawy i ponownie pogрузył się w myślach.

Jak się okazało, z większości ciemnych spraw Wójcik wycofał się przed dwa tysiące piętnastym, czyli według Kracha zaraz po narodzinach drugiego dziecka. Wtedy to zajął się przede wszystkim legalną działalnością, która przynosiła mu większy dochód, ale też – ku zaskoczeniu wielu ludzi z branży – niemal z dnia na dzień został praczem. I to nie dla byle kogo, bo głównie dla samego Ornowskiego, wciąż uważanego za jednego z najgroźniejszych na Pomorzu – zwłaszcza po tym, jak motocyklowy klub Happy Triggers odstrzelił mu konkurencję w postaci Zefira odzyskującego wpływy po wyjściu z paki.

Przebranżowienie umożliwiły Wójcikowi nie tyle własne umiejętności i wiedza, ile działalność rodziny. Jego wuj Zenon Wichrzak, konserwatysta z okolic Kłodzka, w latach dziewięćdziesiątych hotelarz i jednokadencyjny parlamentarzysta, w odpowiednim momencie wszedł w spółkę z niemiecką firmą projektującą parki rozrywki. Dzięki temu oraz szczodremu wsparciu z unijnych dotacji założył najpierw trzy parki linowe i dwa westernowe miasteczka po obu stronach granicy polsko-czeskiej, a po niespełna trzech latach cztery kolejne placówki. Wedle stanu na wczoraj, jak donosił Krach, Wichrzak był w posiadaniu jedenastu mniejszych i większych parków rozrywki, w tym dwóch dużych lunaparków – w Polsce i Czechach – z blisko sześćdziesięciomilionowym rocznym przychodem z samych karnetów.

Drelich nie znał się za dobrze na praniu pieniędzy, ale wiedział, czym jest tak zwany blending i jakie możliwości daje tej metodzie placówki o wysokim obrocie. Opcja mieszania gotówki z nielegalnych źródeł z tą wpływającą po bożemu do kas

lunaparku, punktów gastronomicznych czy sklepów z pamiątkami musiała stanowić nie lada pokusę dla kogoś takiego jak Ornowski. A to z kolei znaczyło, że plecy Wójcika były szerokie i mocne. Wyeliminowanego pośrednika dałoby się łatwo zastąpić, gdy jednak ten jest członkiem rodziny partnera biznesowego, sprawa się komplikuje.

To właśnie Drelich zanotował sobie jako pierwsze w zeszycie. Zwrócenie się do Ornowskiego o rozwiązanie sporu, o czym wspomniał Wójcikowi w rozmowie, mogło być ewentualną kartą przetargową, ale już nie dźwignią do użycia w sytuacji podbramkowej. Bo nawet jeśli Wójcikowi zależało, by temat się nie rozszedł, to nie straciłby ani pozycji, ani wpływów, gdyby tak się jednak stało. Co prawda straciłby twarz i stał się pośmiewiskiem, a wówczas z pewnością chciałby się wykazać i zagrać z Drelichem ostrzej. Tym bardziej że nie musiałby już przejmować się dyskrecją i mógł poprosić o wsparcie kogoś z Warszawy.

Za oknem kierowca dostawczaka klął właśnie na nieprawidłowo zaparkowany samochód i krzyczał, że jemu się spieszy i czyjekolwiek jest to jebane auto, niech natychmiast, kurwa, schodzi i przeparkuje, bo zaraz nie będzie czego. Drelich upił kolejny łyk kawy i ponownie sięgnął po ołówek.

Wypisał sobie sześć ksywek: Szary, Adaś, Stówka, Pumba, Litwa i Natan. Zaufani ludzie Wójcika. Wyglądało na to, że są kojarzeni w trójmiejskim półświatku, choć od dawna nie z solowych osiągnięć. Adaś – to Drelich już wiedział – trenował sztuki walki i długo robił dla innych jako żołnierzyk za psie pieniądze. Ojciec Pumby, poznański esbek, wraz ze zmianą ustroju poszedł za kolegami w gangsterkę i szybko wciągnął

w temat syna. Pumba miał za sobą sprawę o przemoc domową i dość mocne, ostatecznie wygrane przepychanki z byłą partnerką. Oficjalnie zarządzał klubem Luna. Litwa, wcześniej zwany Ruskim, faktycznie przyjechał ze Wschodu i jakiś czas temu porzucił zbieranie haraczy głównie na rzecz lichwy. Był podejrzanym w jakiejś sprawie związanej z przemytem, ale ktoś – możliwe, że Ornowski – ukręcił jej łeb. Miał kilka lombardów i sieć kantorów, w których, przynajmniej według dokumentacji, pracowali Adaś i Szary.

Stówka zarządzał pozostałymi dwoma klubami – Mefisto i Huntress. Ponadto jego siostra, półfinalistka Master Chefa, prowadziła modną restaurację z kuchnią fusion w jednej czwartej należąca do Wójcika. O ostatnim z ekipy, Natanie, informacje były nieco innej natury.

Siedział. Ponoć zdecydowanie krócej, niż powinien. Kiedyś trenował boks i plotki głosiły, że zajmował się egzekucjami dla Wołomina. W latach dziewięćdziesiątych groziła mu sprawa o gwałt, ale zarówno świadkowie, jak i sama ofiara wycofali zeznania i prokurator nie miała się na czym oprzeć. Trzy lata później ta sama prokurator została pobita i zgwałcona na ogródkach działkowych trzysta metrów od własnego domu. Natan, który znalazł się na liście podejrzanych, miał na ten czas rzekomo żelazne alibi.

Drelich podkreślił sobie trzykrotnie tę ksywkę w zeszycie i zanim przeszedł do następnej kwestii, zanotował: „potrzebne dobre zdjęcie Natana!”.

Na dole wreszcie pojawił się właściciel źle zaparkowanego auta, a że okazał się równie wybuchowy, a przy tym większy od

kierowcy dostawczaka, sytuacja zrobiła się napięta i groziła bójką. Drelich na wszelki wypadek odsunął się od okna. Usiadł na skraju łóżka, kubek postawił na szafce i wziął laptopa.

W informacjach nadesłanych przez Kracha nie znalazł prawie nic o ruskich czy Amerykanach, choć ten temat padł w aucie kilkakrotnie i zdawało się, że był dość istotny. Jedyna wzmianka dotyczyła rzekomego szukania przez Wójcika nocnych lokali do wsparcia lub przejęcia w Słupsku w związku z budową w Redzikowie amerykańskiej bazy antyrakietowej. Jeżeli faktycznie chodziło o bazę, deal na linii ruscy, amerykańcy żołnierze i pracownicy bazy mógł – co zakładał Krach, a i Drelich się ku temu skłaniał – dotyczyć narkotyków, zwłaszcza miękkich. Jeśli tak, pytanie, na jaką skalę i czy Ornowski wiedział o tym cieście do podziału. Drelich uznał to za rzecz wartą sprawdzenia.

Wciąż jednak, zdawał sobie z tego sprawę, zajmował się pobocznymi tematami. Bo najistotniejszą kwestią pozostawał jego udział w całej tej sprawie. Czy rzeczywiście przespał się z żoną Wójcika? Czy to ona potwierdziła jego tożsamość na podstawie zdjęcia, wykluczając tym samym pomyłkę?

Jeśli to rzeczywiście była ona, jaki miała w tym interes? Czy to jakaś jego dawna, odrzucona miłostka? A może ktoś, kogo okradł, postanowił się przez nią zemścić? Nie mógł tego wykluczyć, choć brzmiało jak z taniej powieści sensacyjnej. Mimo wszystko zanotował i ten wariant, po czym narysował pod nim pionową kreskę, dzieląc kartkę na strefę za i przeciw.

Nie zdążył wpisać niczego w żadną z rubryk, gdy przyszła kolejna wiadomość od Kracha, a w niej tym razem paczka zdjęć Wójcika, dwójki dzieci: dziewczynki i chłopczyka, oraz kształtnej

blondynki pod czterdziestkę, ładnej, choć zdaniem Drelicha nieco zbyt sztucznej, lalkowatej. Na wszystkich fotografiach szeroko się uśmiechała, choć miała smutne, przygaszone oczy.

Milena Wójcik, napisał Krach. Żona.

Drelich przyjrzał się jej uważnie. Z każdym kolejnym zdjęciem utwierdzał się w przekonaniu, że widzi tę kobietę pierwszy raz w życiu.

39

Tuż przed wejściem do Cake Is a Lie Natan zadzwonił do osoby, od której poprzedniego dnia dostał informację o tym miejscu.

– Za dwie minuty zadzwoń na ten numer – polecił. – Dzwoń przynajmniej trzy razy i w razie czego przygotuj się na wciskanie jakiejś oferty albo informacji o opóźnionej płatności. Dwie minuty.

Schował telefon i wszedł do cukierni.

W środku, przy stoliku po lewej, siedziało dwóch chłopców i dziewczyna – raczej późna podstawówka niż wczesne liceum. Odrabiali lekcje i dyskutowali z ożywieniem, każde nad innym ciastkiem. Ubrani markowo, schludnie. I żadne z nich nie było Nikodemem Drelichem.

Przy stoliku po prawej, niemal pod samym wejściem do toalet, gruby, mocno spocony jegomość o rzadkich jasnych włosach i nieładnym zaniedbanym zarostcie czytał książkę zatytułowaną Krótkie rozmowy z paskudnymi ludźmi. Leżący przed nim na talerzu stosik z czterech bajaderek przyprószonych wiórkami kokosowymi w tym świetle i z tej odległości wyglądał na spleśniały.

W kolejce do kasy stały cztery osoby, Natan był piąty. Obsługiwała rumiana blondynka o szerokim, pewnie szczerym i zdecydowanie głupkowatym uśmiechu. Za nią, przy ekspresie,

brunetka składała właśnie przez telefon zamówienie na jakieś produkty.

Natan wyjął komórkę z kieszeni i udał, że coś sprawdza. W ten sposób przeczekał szybkie zakupy dwóch pierwszych osób. Gdy zamawiać zaczął trzeci klient, mężczyzna o szarej twarzy, ubrany w niedopasowany niebieski garnitur, na ekranie smartfona pojawiła się wiadomość: „Numer ciągle zajęty”.

„Próbuj dalej” odpisał i uniósł wzrok, by uważniej przyjrzeć się brunetce. Zgrabna i zadbana, stwierdził. Najprawdopodobniej aktywna fizycznie. Mocno zarysowane kości policzkowe, pełne usta, duże ciemne oczy. Gdy mówiła, sprawiała wrażenie konkretnej, zdecydowanej, trochę po cwaniacku pyskatej. Natan lubił u kobiet taką zadziorność, pewność siebie. Jeszcze bardziej lubił patrzeć, jak pod jego wpływem kruszy się, pęka, ściera na pył. Po niespełna dwóch minutach obserwacji miał szczerą nadzieję, że to właśnie ona.

Blondynka obsłużyła niebieski garnitur i zapytała rozczochraną zmęczoną kobietę o kształtach gruszki, w czym może pomóc. Ta zastrzegła, że bierze wszystko na fakturę, i wyciągnęła kartkę.

Brunetka skończyła rozmawiać, ale nie zdążyła odłożyć telefonu, gdy ten rozdzwonił się znowu. Westchnęła, patrząc na numer na wyświetlaczu, wyraźnie zawahała się, czy odebrać. Gdy to w końcu zrobiła, od razu przejęła inicjatywę.

– Dzień dobry, jeśli dzwonią państwo z ofertą, to jestem zadowolona z aktualnej – oznajmiła. Przez pół minuty, może nieco dłużej, słuchała, po czym odpowiedziała: – Dziękuję pani bardzo,

ale pozostanę przy tym, co mam, nie potrzebujemy dodatkowego telefonu.

– Wszystkim wciskają te telefony – zauważyła kobieta o kształtach gruszki. – Kuszą, kuszą, a potem trzeba płacić.

– Dlatego ja zmieniam telefon, dopiero gdy muszę go ładować co dwie godziny – odparła blondynka. – To będzie dwieście sześćdziesiąt trzy złote. Poproszę NIP.

Brunetka rozłączyła się, odłożyła telefon i podeszła do lady. Uśmiechnęła się do Natana.

– A dla pana? – zapytała.

– Dwa gniazdka poproszę. – Pokazał palcem. – I jeszcze kawałek tego z truskawkami.

Skinęła głową.

– Na wynos?

– Tak, poproszę.

– To będzie dwadzieścia siedem złotych.

Zapłacił, wziął zamówienie i wyszedł. Zanim wsiadł do auta przecznicę dalej, wyrzucił reklamówkę z ciastkami do kosza. Ustawił GPS ponownie na adres Lemańczyk i wrócił pod jej dom.

Znalazł miejsce, z którego miał widok na właściwą klatkę schodową, po czym ze schowka wyjął rejestrator samochodowy z opcją wi-fi. Kupił go zainspirowany opowieścią Pumby, jak to za pomocą auta z takim właśnie rejestratorem wzmocnili monitoring na parkingach pod Luną i pozbyli się psującej interesy domorosłej dilerki.

Gówniarze handlujący im tuż pod nosem długo czuli się bezpieczni, znając całą obsługę i rozkład kamer wokół lokalu.

Pomógł dopiero sprzęt za trzy stówki i prosta aplikacja, na której z kilkusekundowym opóźnieniem można śledzić obraz na żywo.

Natan podpiął urządzenie, sprawdził, czy działa, i wysiadł. Przeszedł do parku za rogiem, gdzie usiadł na ławce, wyjął konsolę i termos. Nie widział stąd budynku Lemańczyk, więc nie wyglądał podejrzanie, a w razie potrzeby znalazłby się pod klatką w dwie, może trzy minuty. Teraz pozostawało czekać, kto pierwszy się zjawi – mama czy syn.

Jeszcze nie wiedział, co zrobi dalej, ale przecież akurat dziś wcale nie musiał nic robić. Lemańczyk nie wyglądała na przestraszoną czy spiętą jak ktoś, kto obawia się napaści. Może Drelich niczego jej nie powiedział, ukrył się sam, przekonany, że zamknał sprawę. Zresztą kto wie, może nawet się nie ukrywał, bo naprawdę wierzył, że Zygmunt Wójcik będzie z nim chciał normalnie porozmawiać. Natan uznałby to za skrajny debilizm, ale czy byłby to pierwszy złodziej debil w jego życiu? Przez tyle lat w fachu zdążył się nauczyć, że jedyni ludzie głupszy od złodziei to ci, którzy dają im się okraść. Oczywiście nie zamierzał lekceważyć kogoś, kto w jadącym samochodzie rozprawił się z trzema uzbrojonymi ludźmi, w tym jednym naprawdę umiejącym się bić. Niezależnie od tego, jak głupio zachowali się Szary, Adaś i Pumba, poradzenie sobie z trzema osobami w ciasnej przestrzeni, w ruchu, stanowiło nie lada wyczyn.

Dlatego Natan bezpiecznie założył, że Drelich się ukrył, nie biorąc pod uwagę ataku na rodzinę. Może wierzył, że inne nazwisko żony to dla niej wystarczające zabezpieczenie. Swoją drogą, pomyślał Natan, ciekawe, czy to powrót do panińskiego, czy miała już nowego. Bo ten nowy mógł być teraz w domu.

Pytanie, czy umiał walczyć. Też był z branży? Dziwka weszła dwa razy do tej samej rzeki czy może zdecydowała się na nudnego księgowego z męskością na pastylki i dobrą historią kredytową?

Niezależnie od wszystkiego wiedział, że nie musi się spieszyć. Czas działał na jego korzyść, usypiał ewentualną czujność, dawał złudne poczucie bezpieczeństwa. Jeśli nadarzy się dobra okazja, Natan skorzysta. Jeśli nie, poczeka. Prędzej czy później zarzuci stosowną przynętę i wywabi Drelicha z miejsca, w którym się ukrył, w dodatku wściekłego, rozjuszonego i skorego do popełniania błędów. Czy odda go wtedy Wójcikowi? Nie miał pojęcia i to nie było rozważanie na teraz.

Rozplątał słuchawki i podpiął je do konsoli. Nalał sobie kubek zimnej już herbaty, telefon z włączoną aplikacją pokazującą widok z rejestratora położył obok uda. Włączył grę i ostatnie, o czym pomyślał, zanim się na niej skupił, to że jednego tylko nie będzie w stanie Drelichowi darować. Jeśli będzie zmuszony skrzywdzić jego syna.

40

Do południa Drelich zapełnił w zeszycie dwanaście stron.

Najpierw wypisał zlecenia z Pomorza i okolic. Wyszło blisko czterdzieści, w większości drobna robiona solo z celami o czystej kartotece powiązań, co znaczyło mniej więcej tyle, że nie należały do kogokolwiek z półświatka ani nie podlegały realnej ochronie. Żadna z tych robót nie dotyczyła też ostatnich kilku lat.

Następnie zabrał się za fuchy, po których ktoś mógłby czuć do niego urazę.

Nie było ich wiele, bo nie wchodził podczas pracy w relacje towarzyskie, swoją działkę wykonywał bez zarzutu i nigdy nie upominał się o większą dolę niż umówiona. Wiedział jednak, że taki poziom przezorności nie zawsze wystarcza.

Znał rzeczywistość przestępczych wyrobników – jego świat w dużej mierze opierał się na reputacji i wzajemnych poleceniach. Niewielu, jak Drelich, trzymało się jednego lub dwóch zleceniodawców i starannie dobierało roboty wedle ustalonego z góry kryterium. Większość złodziei czy silnorękich nie miała stałej fuchy, więc snuła się po kraju i łapała, co się da. Wtedy pomagała dobra fama. Sława, która ich wyprzedzała.

Drelich nigdy intencjonalnie nie poniżył współpracownika, ale zdarzało mu się przejmować stery, gdy z jakiegoś powodu – zwykle czyjejś niedbałości – robiło się gorąco. Gdy zaczynał się rządzić, ustawiać wszystkich po kątach według swojego planu C

czy nawet D, bywało, że w kimś odpalał się krewki dzieciak z remizowej dyskoteki. I wtedy trzeba było go sprawnie i skutecznie ustawić do pionu, a że czasem na szybko i przy świadkach, to niosąca się fama niektórym bardziej bruździła, zamiast pomóc.

Znalazł siedem takich przypadków z ostatnich lat. Trzy od razu wykreślił, bo jeden złodziej nie żył, a dwaj pozostali nie radzili sobie nawet z najprostszą intrygą. Czterech wziął w kółko, by podesłać ich do sprawdzenia. Czuł, że zaciągnie tą sprawą ogromny dług u Kracha, na razie jednak nie zamierzał się tym przejmować.

Następna lista, już trudniejsza, obejmowała kobiety, z którymi Drelich spał od rozstania z Izą. Nie dlatego, że było ich tak wiele, ale ze względu na charakter tych relacji.

Potrzebował seksu, nie unikał go ani nie ograniczał, choć i w tej kwestii trzymał się zwykle konkretnych zasad i wytycznych. Bez pogłębiania tematu, podtrzymywania kontaktów, z jednorazowymi imionami i nazwiskami lądującymi w koszu w ślad za zużytym kondomem. Większość kobiet, które szły na taki układ, poznał w barach – zjawiały się tam, ewidentnie szukając przygód.

I tu również, jak przy robocie, zwykle najpierw oceniał ryzyko. Unikał zranionych, ze złamanym sercem czy rewanżystek odgrywających się na partnerach za zdradę lub brak zainteresowania. Takie zresztą wypadały z puli szybciej, niż zdążył im się przyjrzeć, bo w barach zawsze roiło się od żerujących drapieżników. Omijał też te zbyt kruche i delikatne, bo gdy przychodziło co do czego, nie chciał, by hamowała go obawa, że

zrobi im krzywdę. Nie był specjalnie delikatny, choć nigdy nie ciągnęło go do przemocy.

Wziął poprawkę na fałszywe imiona i zamiast nich wypisał miejscowości. Jeśli pamiętał, uzupełniał punkt o bar, w którym wieczór się zaczynał, bądź adres, pod którym się kończył.

Po wypełnieniu trzech stron zrobił sobie przerwę na herbatę. Telefonicznie złożył zamówienie z odbiorem osobistym w pobliskim barze tajskim. Czas oczekiwania wynosił dwadzieścia pięć minut. Zerknął na zegarek i przeczytał ostatnią listę jeszcze raz, próbując przypomnieć sobie wszystkie twarze i okoliczności zdarzeń. Dopisał dwa punkty, choć głos z tyłu głowy mówił mu, że nie tędy droga.

Uznał, że potrzebuje jednak dłuższej przerwy, więc włożył buty i opuścił mieszkanie. Przeszedł przez ulicę, wszedł do parku i zadzwonił do Zośki.

– Wszystko u nas w porządku, tato – powiedziała, gdy zapytał, jak się mają. – Tylko lepiej, żebyś szybko się uwinął, bo rozważam uduszenie Niko poduszką. Nie uwierzysz, jak on się drze do ekranu. Że on w ogóle zna takie słowa. Dzisiaj zwyzywał jednoroźca i Jamesa Bonda z głową ryby, wyobrażasz to sobie?!

Roześmiał się.

– Nie da się ukryć, że ta gra rozwija wyobraźnię.

– U mnie na pewno. Oprócz opcji z poduszką wyobraziłam sobie z tysiąc innych. A jak u ciebie? Wiesz już coś? Policja coś robi?

– Działa, niedługo powinno być po wszystkim – rzucił wymijająco i szybko zmienił temat. – Mama mówiła, o której będzie?

– Tylko tyle, że w miarę wcześniej. I że będziemy razem piekły coś dla Krystiana na jego jutrzejszy przyjazd. Wisisz mi za to swoją drogą.

– Wiszę – przyznał z powagą. – Dobra, kończę teraz. Ale w razie czego...

– ...jesteś pod telefonem, tak. Kocham cię, tato.

– Ja ciebie też.

Rozłączył się i sprawdził godzinę. Miał jeszcze dziesięć minut do odebrania jedzenia.

Był ciepły, miły dzień, więc park tętnił życiem. Matki spacerowały z wózkami, starsi ludzie zajęli najbardziej nasłonecznione ławki, by siedzieć na nich ze smutno zwieszonymi głowami. Na miejskiej hulajnodze śmignął młody chłopak w garniturze, a kilka sekund później rowerowy dzwonek oznajmił zamysłonemu mężczyźnie, że nieopatrznie wszedł na ścieżkę rowerową.

Na schodkach fontanny trzech chłopców, którzy zdecydowanie powinni być teraz w szkole, ćwiczyło triki na deskorolce. Drelich przyglądał im się przez chwilę, gdy ustalali, co musi być zrobione, a najwyższy z nich i pewnie najstarszy zademonstrował kolegom, jak powinien wyglądać trik. Potem przyszedł czas na próby. Pierwszy poradził sobie całkiem nieźle, zwłaszcza jeśli był to pierwszy raz. Drugiemu deska wyśliznęła się spod nóg, więc poleciał do przodu. Upadł, ale zaraz poderwał się na nogi i otrzepał ręce. W tym momencie i z tą miną bardzo przypominał Nikodema i jego ćwiczenia na rampie pod domem. Tyle że on wolał jednak BMX-a.

O jedenastej pięćdziesiąt pięć Drelich ruszył w stronę restauracji. Tak długo, jak się dało, szedł parkiem, potem skręcił w lewo i stanął na światłach. Od wynajętego mieszkania dzieliło go teraz z pięćset metrów w linii prostej, od restauracji ze sto – właściwie widział ją z miejsca, w którym stał.

Myśl o synu sprawiła, że patrząc na sygnalizator, odruchowo uniósł rękę i w odpowiednim momencie pstryknął palcami.

– Wooo, jak pan to zrobił? – zapytał stojący obok chłopiec. Mógł mieć z pięć, może sześć lat. Brakowało mu dwójki, a pod lewym szkłem okularów miał opatrunek z gazy. Wyglądało na to, że świeży. Był z mamą, kręłą kobietą o krótkich i sądząc po odrostach, dawno już niefarbowanych włosach.

– Magia – odparł Drelich poważnie.

Matka chłopca obrzuciła go niechętnym spojrzeniem.

– Chodź, Adaś – powiedziała i pociągnęła chłopca na przejście. I wtedy do Drelicha dotarło, o czym zapomniał.

W pierwszej chwili jego samego zaskoczyło, że zaniedbał tak oczywistą rzecz jak sprawdzenie telefonu Adasia czy w ogóle wzięcie chłopaka pod uwagę jako podejrzanego w sprawie. W drodze do mieszkania, już z jedzeniem, doszedł do wniosku, że zawiniło to, co zwykle uważał za swój atut: analityczny umysł, szybkość myślenia i reagowania.

Kiedyś się nad tym zastanawiał i wyszło mu, że w sytuacjach stresowych zawsze najpierw schodził do poziomu detalu. Rozkładał wszystko na czynniki pierwsze, analizował zagrożenie i określał jego stopień, po czym opracowywał potencjalne rozwiązania.

Tym właśnie był dla niego Adaś w chwili, gdy z Pumbą i Szarym zjawili się w jego domu. Zagrożeniem. Tym większym, że zdolnym do zidentyfikowania go ze względu na starą znajomość. Wszystkie Drelichowe myśli na jego temat dotyczyły więc tego, co chłopak może o nim wiedzieć i jak wykorzystać to przeciwko niemu. Kiedy zadanie zostało wykonane, umysł Drelicha dokonał zmiany funkcji i Adaś wraz z kolegami stawał się źródłem informacji o Wójciku. Tym samym smartfon zabrany chłopakowi nie został w głowie Drelicha zakwalifikowany jako nośnik konkretnych danych, ale jako odbiornik przekazu na linii honda – on. Wreszcie, gdy za sprawą rozładowanego nadajnika stał się bezużyteczny, Drelich przestał o nim myśleć, skupiając się na informacjach potrzebnych do zbudowania szerokiej perspektywy i pełnego oglądu sprawy. Tak więc Adaś i jego telefon stali się ofiarami przejścia z detalu w ogół. Zniknęli gdzieś po drodze.

A przecież gdyby się zastanowić, chłopak stanowił idealny element tej układanki. Może to właśnie on miał romans z żoną Wójcika? Młody, wysportowany, ambitny cwaniaczek pewnie zachłysnął się sukcesem, jakim było dla niego wejście do grona zaufanych Wójcika. Uwiedzenie żony szefa mogło być symbolicznym odebraniem mu części władzy, elementem męskiego rytuału walki o dominację. Poza tym – obiektywnie patrząc – Milena Wójcik była piękną, zadbaną kobietą i jeśli szukała kochanka, Adaś wydawał się idealnym kandydatem – zmuszony do utrzymania sekretu, dostępny bez wzbudzania podejrzeń. Może nawet woził ją na zakupy czy do szkoły po dzieci.

Romans trwał jakiś czas, a gdy Wójcik zaczął mieć podejrzenia, Adaś poświęcił Milenę, przekierowując gniew szefa na kogoś przypadkowego. Na przykład dobrze wyglądającego, ale niespecjalnie groźnego złodzieja, z którym kiedyś pracował. A może wcale nie pograżył kochanki. Może sama się poświęciła, gdy mąż odkrył jej romans, ale nie chciała pociągnąć za sobą Adasia.

Im więcej Drelich o tym myślał, tym koncept bardziej składał mu się w całość, co wcale jednak go nie cieszyło. Zadowolony z siebie umysł, przekonany, że ma właściwe rozwiązanie, zaczyna wypełniać luki w faktach życzeniową narracją. Tak zazwyczaj powstawały teorie spiskowe, a ostatnie, czego Drelich teraz chciał, to wyjście z jednych myślowych sideł prosto w drugie. Jedno było pewne – musiał sprawdzić telefon Adasia, więc poszedł po aparat do samochodu.

Nie do końca wiedział, co spodziewa się tam znaleźć. Jeśli nawet miał rację i chłopak uwikłał się w romans z panią Wójcik, to na pewno nie byłby tak głupi, by trzymać w komórce jakiegokolwiek dowody. Ale czasem – o tym akurat Drelich dobrze wiedział – ślady zostawiamy całkiem mimowolnie.

Wszedł do mieszkania, podłączył telefon do prądu, przełożył jedzenie na talerz i przykrył, by nie wystygło. Rozebrał się, wziął jeszcze jeden prysznic, odkręcając na przemian to zimną, to znów gorącą wodę. Wytarł się energicznie, aż do zaczerwienienia skóry, przebrał i zapiął zegarek na nadgarstku. Odblokował podładowane urządzenie i usiadł z nim do jedzenia.

Rozłamał pałeczki, stuknął w ikonkę wiadomości. Trzecia na liście była od szefa. Drelich wybrał ją i uniósł brwi w zaskoczeniu.

Zobaczył bowiem swoje zdjęcie z wakacji sprzed czterech lat.
Ostatnich wspólnych wakacji z Izą.

41

Iza spojrzała na wyświetlacz telefonu i z nietypową mieszaniną irytacji, radości i ulgi zobaczyła, że dzwoni Krystian. Zastukała opuszką palca w bezprzewodową słuchawkę.

– Cześć – rzuciła, jednocześnie włączając kierunkowskaz i wbijając się dość stanowczo na prawy pas. Ktoś zatrąbił. Nie była pewna, czy na nią, choć z pewnością miałby powód.

– No dzień dobry! – odezwał się Krystian rześkim, wesołym głosem i z miejsca pożałowała, że nie odrzuciła tej rozmowy. – Jak się ma moja współlokatorka? Jak się spało?

– Dobrze – odparła, bo co miała powiedzieć. Że na całą nerwówkę związaną ze sprawą nałożyły się fochy Nikodema próbującego wykorzystać sytuację? Że Zośka skopała ją w nocy w łóżku i zabrała kołdrę? Że Krystian nie uprzedził, że skończył mu się papier toaletowy i kawa, a pół łazienki zavalone było praniem do zrobienia? Swoją drogą, to ostatnie ją zaskoczyło, bo przecież miał panią od sprzątania, jakąś Łotyszkę.

– Słuchaj, coś mi się zdaje, że jesteś nie w sosie – zaniepokoił się. – Niedobry moment? Zadzwoń później? A może coś ogarnąć, pomóc?

Westchnęła cicho.

Niby jak? – pomyślała. Przyjedzie szybciej? A jeśli nawet, to będzie jedynie problem ze spaniem. Krystian miał rozkładaną

kanapę i łóżko w sypialni. Niby w porządku dla czterech osób, ale...

O czym ty, do cholery, myślisz?! – napomniała się w duchu.

Skorzystała z zaczynającego się właśnie pasa zjazdowego na parking, zjechała, zatrzymała się prostopadle do zaparkowanych aut i włączyła światła awaryjne. Przed sobą widziała teraz zdjęcie kobiecych ust, do których przyłożono skalpel niczym palec wskazujący w geście prośby o ciszę. „Wyleczymy cię z kompleksów” głosił napis na billboardzie i Iza nie miała pojęcia, czy to faktycznie reklama kliniki chirurgii kosmetycznej czy zapowiedź jakiegoś sztampowego horroru.

– Przepraszam cię, Krystian – powiedziała. – Mam trudny dzień. Od rana ganiam, na niczym nie mogę się skupić, a jeszcze okazało się, że zabrałam umowy do domu, i teraz muszę po nie jechać, bo dostawca próbuje mi wmówić... – Urwała, westchnęła ciężko i podjęła znowu: – No po prostu przepraszam. Zwaliło się dziś wszystko na mnie.

– Ej, przestań, nie masz za co przepraszać – odezwał się czule i ten ton również wywołał w niej falę sprzecznych emocji. – Zastanów się, jak będę mógł sprawić, żebyś jutro wyluzowała się w tych... okolicznościach.

Zaśmiała się.

– To nie są okoliczności, tylko moje dzieci.

– To ty masz dzieci?! Nie sądziłaś, że warto było mnie uprzedzić?!

Teraz już roześmiała się w głos.

– Dzięki – rzuciła i zaraz dodała: – Naprawdę dziękuję za to, co robisz.

Z tyłu znowu ktoś zatrąbił, tym razem już na pewno na nią.

– Znowu piratujesz? – zapytał Krystian.

– Akurat stoję i gapię się na najgłupszą reklamę świata – odparła.

– Te najgłupsze najlepiej wpadają do głowy – zauważył. – Najpierw się z nich śmiejesz, potem z nimi walczysz, a w końcu, zanim się zorientujesz, kupujesz.

– Lepiej nie, to reklama kliniki chirurgicznej.

– Aa, to faktycznie lepiej nie – zgodził się. – Swoją drogą, zauważyłaś, jak ładnie nawiązałem do Gandhiego, prawda? Bo to Gandhi mówił...

– Wiem, co mówił – weszła mu w zdanie. – Razem widzieliśmy tego mema z cytatem, więc nie rób z siebie mędrca. O której jutro będziesz?

– Koło czternastej powinienem lądować. A co, przyjedziesz po mnie na lotnisko?

Zawahała się odrobinę za długo, więc zaczęli jednocześnie: ona, że się postara, on, że żartował i wcale nie trzeba, weźmie ubera, po czym na kilka długich sekund zapanowała niezręczna cisza. Tym straszniejsza, że Iza nagle nie wiedziała, co z nią zrobić.

– Ciasto! – rzuciła niemal desperacko.

– Jakie ciasto? – zdziwił się.

– No to właśnie miałam zapytać jakie – wyjaśniła. – W sensie co upiec na twój przyjazd?

Usłyszała, jak się śmieje, i odetchnęła.

– Mam być miły oraz grzeczny i powiedzieć, żebyś nie robiła sobie kłopotu? – zapytał. – Czy mogę być bezczelny i zażyczyć sobie tego czekoladowego cuda, które robiłaś ostatnio?

– Prawidłową odpowiedzią byłoby zdanie się na mnie, bo jestem specjalistką – odparła. – Ale skoro i tak za późno, to niech będzie czekoladowe. Zrobię zakupy już pod domem i będzie, jak pan sobie życzy.

Coś po jego stronie odwróciło uwagę Krystiana, jakiś gwar i szum, przytłumione głosy. Odpowiedział po angielsku, że zaraz będzie i niech już zaczynają.

– Muszę kończyć – rzucił do słuchawki. – Daj znać, jakby z remontem był jakiś problem, mam ostatnio doświadczenie w ustawianiu fachowców do pionu.

– Dobrze, dam znać – rzuciła odruchowo, choć potrzebowała kilku sekund, by sobie przypomnieć, o jakim remoncie mówi. Od razu otworzyła notatkę, by zapisać, żeby uprzedzić dzieci w temacie.

Wspólne kłamstwo, przemknęło jej przez głowę. Nic tak nie spaja rodziny, nic nie działa bardziej wychowawczo niż wspólne kłamstwo. I nic dosadniej nie pokazuje, że potencjalny partner jest jednak kimś obcym. Pieprz się, Drelich!

– A, Iza, jeszcze jedno.

– Tak?

– Kiedy to już się skończy, czy jest szansa, że podeślesz dzieci do ojca i skoczemy gdzieś razem? Chociaż na kilka dni?

– Masz jak w banku – powiedziała. Szczerze i z serca, bo naprawdę marzyła teraz wyłącznie o tym, by to paranoiczne cholerstwo już się skończyło.

Pożegnali się, Iza wyłączyła awaryjne, przejechała przez parking i sprawnie włączyła się do ruchu. I ledwie minęła niefortunny billboard, zadzwonił Drelich. Zobaczyła jego nazwisko

na wyświetlaczu i skrzywiła się, postanawiając, że tym razem nie odbierze. Zaraz jednak zdała sobie sprawę z tego, że on spróbuje ponownie, a potem uzna w tej swojej szurniętej głowie, że coś jej się stało. Psycholożka mogła mieć rację odnośnie do generowania sytuacji problematycznych i grania wybawcy.

Odebrała tylko po to, by powiedzieć, że nie może teraz gadać i zadzwoni później. Mruknął, że okej i chciał tylko zapytać... Nie dała mu jednak dokończyć. Jeśli to ważne, napisze wiadomość albo zadzwoni jeszcze raz. W tym momencie nie miała ochoty z nim rozmawiać. Zwłaszcza po tak przyjemnej, budującej rozmowie z Krystianem.

I nie chodziło o to, że winiła byłego męża za obecną sytuację. Chociaż nie, to nieprawda – właściwie miała do niego wielki żal, że swoją paranoją i potrzebą kontroli poniekąd ją szantażował. Zupełnie jakby mówiąc jej, co powinna zrobić, jak zmienić w jednej chwili wszystkie swoje plany, pytał: A może chcesz to zlekceważyć? Odważysz się po prostu machnąć ręką i zbagatelizować sprawę, gdy na szali jest być może dobro twoich dzieci?

Chodziło o jeszcze inny problem. Ten sam, który uzmysłowiła sobie pewnej bezsennej nocy z pięć, może sześć lat temu, gdy on spał na boku, posiniaczony i podrapany. Wrócił właśnie po trzech tygodniach i spędzili całą czwórką bardzo miłe rodzinne popołudnie, a potem wieczór już we dwoje, kiedy dzieci poszły spać.

Nocą kochali się w milczeniu i niby wszystko było w porządku, ale znowu pojawiło się to coś w jego ruchach, oczach, co

doskwierało jej już wcześniej, choć nie potrafiła tego nazwać. Tamtej nocy zrobiła to po raz pierwszy.

Jej mąż był gniewem. Nie nosił go w sobie jak wielu innych, on po prostu nim był. Skondensowanym, ściśniętym, uwięzionym w klatce doskonałej latami samokontroli. Opanowanym, przygaszonym, tłącym się ledwie, póki ktoś mocniej nie dmuchnął. Drelich był gniewem i coś musiało się wydarzyć w robocie, bo tamtej nocy walczył ze sobą wyjątkowo mocno. Potem już nigdy więcej nie współpracował ze stryjem czy kuzynami. Podjął decyzję, że przechodzi całkowicie na swoje, i zerwał z nimi kontakty.

Wtedy właśnie Iza zapytała samej siebie: Czy wiesz, kochana, że żyjesz na krawędzi wulkanu? I teraz, gdy ten znowu zaczął dymić...

– Czeka nas poważna rozmowa, Drelich, kiedy to wszystko się skończy – powiedziała na głos, wjeżdżając na parking pod domem.
– Bo chyba już czas, by rzeczy naprawdę się zmieniły.

Wszystkie miejsca były zajęte, więc zaparkowała na ukos przy samej klatce. Włączyła awaryjne, wzięła telefon, torebkę i wysiadła z auta.

42

Mało brakowało, a by ją przeoczył. Nie spodziewał się jej tak wcześnie, a już szczególnie nie w okolicach pierwszej, kiedy według planu Nikodem dopiero kończył szkołę. Jeżeli po niego jeździła, powinna tu być za godzinę. Jeśli najpierw zabierała go do cukierni, by tam odrobił lekcje, oboje mieliby tu nie po drodze. Do tej pory Natan brał pod uwagę jeszcze trzecią ewentualność, najmniej dla niego interesującą – że chłopiec pojawi się tutaj sam.

Tak czy owak, choć kręcił się po okolicy od dwóch godzin, raz po raz zerkając na aplikację wyświetlającą podgląd okolic właściwej klatki, zakładał, że ma jeszcze czas.

Najpierw grał trochę na konsoli, potem na chybił trafił wybrał domofon, by sprawdzić kod, jaki dostał od jednego ze swoich złodziejskich kontaktów. Rzekomo uniwersalny, ustawiony fabrycznie dla tego konkretnego modelu. I rzeczywiście działał.

Zgłodniał, więc w pobliskim barze mlecznym zamówił na wynos pierogi z mięsem, które następnie zjadł bez użycia plastikowego widelca. Gdy skończył, kupił w kiosku chusteczki wraz z magazynem dla graczy zawierającym ranking najlepszych gier na switcha.

Był w drodze na miejsce, kiedy podjechała pod klatkę. Zobaczył ją na żywo, nie przez aplikację, bo w tamtym konkretnym momencie dzieliły ich ulica, chodnik, pas zieleni z niskim żywopłotem i wąski parking. Zobaczył ją, jak wysiada ze

źle zaparkowanego samochodu, idzie w stronę klatki i zaraz po coś wraca. Bez wahania przeciął ulicę, biegnąc na skos do swojego auta.

Zastanawiał się, czy to dobry pomysł działać już teraz. W środku dnia mnóstwo rzeczy mogło pójść nie tak. Chociaż na co miałyby czekać? Ta dzielnica wyglądała Natanowi na jedną z sypialni miasta, więc trzynasta wydawała się nawet lepsza niż późny wieczór albo noc. Zresztą co to znaczy lepsza? Czy była dobra pora na to, co zamierzał jej zrobić?

Dopadł do auta i otworzył drzwi od strony pasażera. Najpierw tylne, by wziąć z siedzenia czarną koszulę z krótkim rękawem i nałożyć ją na tiszert, a następnie przednie. Ze schowka wyjął składany nóż i wsadził go do kieszeni, pistolet wepchnął sobie za pasek. Odłożył konsolę, zamknął mercedesa i truchtem podbiegł do właściwej klatki. Mógł zaczekać w jej aucie. Bez trudu dostałby się na tylne siedzenie, gdzie leżała jakaś kurtka i tyle nieposkładanych pudełek, że spokojnie by się ukrył. Ale nie podobał mu się ten pomysł, nie wzbudzał w nim emocji. Chciał dostać się do mieszkania, pokazać Drelichowi, że może naruszyć każdą granicę.

Bo gdy ją zobaczył, zorientował się, że jednak nie zamierza zostawiać sprawy Wójcikowi. Ten Drelich poradził sobie z trójką ludzi w jadącym samochodzie. Był więc wyzwaniem, którego Natan potrzebował. Którego nie zamierzał sobie odmawiać.

Zerknął przez szybę, czy Lemańczyk nie stoi za drzwiami, wpisał szybko kod i pobiegł schodami na górę.

Na właściwym piętrze przystanął, oparł ręce na biodrach i dał sobie czas na wyrównanie oddechu. Następnie wyjrzał zza winkla,

a gdy nie zobaczył nikogo, przeszedł korytarzem, mijając jej mieszkanie. Przywarł plecami do ściany zaraz za nim, rozejrzał się i lekko popchnął drzwi na wypadek, gdyby tylko je przymknęła. Okazało się, że są zamknięte, nasłuchiwał więc przez chwilę, a potem nacisnął klamkę. I tu naprawdę go zaskoczyła, bo chociaż najwyraźniej wpadła do mieszkania tylko na chwilę, o czym świadczył samochód zaparkowany na awaryjnych, zamknęła się na klucz.

Natan raz jeszcze przywarł do ściany, krzywiąc się w paskudnym uśmiechu. Robiło się coraz bardziej ekscytująco. W każdej chwili któryś z sąsiadów mógł wyjść z mieszkania i zapytać, co tu robi. Zbyłby go czy musiałby skrzywdzić? A gdyby Lemańczyk w międzyczasie wyszła? Poznała przecież jego twarz, widzieli się w cukierni. Swoim impulsywnym działaniem ryzykował, a jakże, ale skoro tak szybko dotarł do tego miejsca, łatwo znajdzie ją ponownie. Wystarczy podążać śladem dobra, ścieżką tego, co kocha. A gdy już z nią skończy, Drelich albo sam przyjdzie, albo okaże się nie wart uwagi.

Szczęknął zamek. Natan odliczył do dwóch i odbił się od ściany. Zrobił krok do przodu i ustawił frontem do drzwi. Gdy drgnęły, skoczył na nie, uderzając barkiem.

Oberwała drzwiami w wyciągniętą rękę i twarz z taką siłą, że pociemniało jej w oczach. Impet uderzenia pchnął ją na przeciwległą ścianę. Zatoczyła się, spróbowała czegoś złapać, ale w dłoni eksplodował ból niczym elektryczne wyładowanie. Jęknęła cicho i w zasadzie tyle zdążyła, bo napastnik już był przy niej.

Jedną ręką przyparł jej ramię do ściany, drugą walnął w brzuch. Mocny, krótki cios. Puścił, a że wciąż stała, znów walnął. Gdy tym razem zgięła się wpół, złapał ją za włosy na czubku głowy i szarpnął do góry.

– Nie patrz tak! – syknął. Widziała już tę twarz, ale nie mogła sobie przypomnieć kiedy. – To nic osobistego.

Uderzył z otwartej ręki. Mocno, dwa razy w lewy policzek, aż poczuł, że miękną pod nią nogi, że się osuwa. Wciąż trzymając za włosy, przeciągnął ją wzdłuż ściany i wepchnął do salonu.

Runęła na podłogę, twarzą do dołu, tylko częściowo amortyzując upadek rękami. Obejrzała się i niezdarnie podczołgała w stronę ławy i kanapy.

W drzwiach balkonowych widziała, że przygląda jej się z zaciekawieniem. Nie spieszył się. Zdjął koszulę i odwiesił na krzesło, wyjął pistolet zza paska, wyciągnął magazynek, kulę z komory i wszystko to odłożył na komodę, by nie przeszkadzało.

– Twarda jesteś, kurwo – mruknął z uznaniem. – Tym lepiej. Lubię opór.

Zaszedł ją z lewej strony i kopnięciem obrócił na plecy. Stopą rozsunął jej nogi, wszedł między nie, powoli opadł na kolana. Próbowła coś powiedzieć, ale przyłożył palec do ust. Próbowła uderzyć, ale odtrącił jej rękę i sam uderzył ją otwartą dłonią w twarz. Następnie złapał za dekolt Izy, mocnym szarpnięciem rozerwał guziki, odsłaniając prosty biały stanik.

Wierzgnęła jeszcze raz, jednak po kolejnym ciosie w twarz przestała się bronić. Patrzyła tylko, jak on uśmiecha się paskudnie, sięgając ręką do jej krocza.

Na to czekała. Ledwie dotknął łona przez spodnie, Iza drgnęła. Szybko podciągnęła prawą nogę, oparła stopę na jego udzie, po czym wybiła się na niej, wyrzucając do góry biodra.

Zamrugnął zaskoczony, widząc, jak w jednej chwili wyostrza jej się wzrok, a ruchy z chaotycznych i bezwładnych stają się nagle pewne. Bo – czego rzecz jasna nie mógł wiedzieć – sytuacja, w której właśnie się znalazła, choć pierwszy raz doświadczana na żywo, wcale nie była dla niej nowa. I gdy już Iza pokonała panikę oraz zapanowała nad strachem, pozwoliła ciału działać tak jak na treningach.

Wyrzuciwszy biodra w górę, zarzuciła mu lewą nogę na szyję, dociskając udo do jego tętnicy. Szybko przeanalizowała, czy wszystko jest na swoim miejscu, by wykonać następny ruch. Prawa noga pod jego lewą pachą – jest! Stopa lewej pod zgięcie kolanowe prawej – zgadza się! W tej pozycji złapała oburącz jego lewą rękę. Pociągnąć tak, by bark miał bliżej tętnicy – zrobione!

Wiedziała, co stanie się teraz. Co musiało się stać. Facet najpierw zacznie się szarpać i jeśli ona nie rozegra tego dobrze, w tempie, skurwiel się wyrwie. Był dużo silniejszy, głowa pulsowała jej bólem, ale wiedziała, że da radę, jeśli tylko wygra kolejne starcie z paniką. Bo tak, zaboli jeszcze bardziej, ale przecież da się znieść. Musiała tylko kontrolować oddech i umysł, zachować przytomność. Na treningach wbijano jej te ruchy do głowy raz za razem tak często, że nawet osłabiona, obolała, z rozbitym nosem czuła, że mięśnie, kończyny, robią, co trzeba. Trener byłby z niej dumny.

Szybkie pewne ruchy. Akcja, reakcja. Gdy on się szarpnął, ona złapała prawą ręką za swoją lewą stopę.

Starła się nie myśleć o jego ciepłym, obrzydliwym oddechu, nie myśleć o tym, co chciał zrobić, co by było, gdyby jednak nie wywiozła dzieciaków do Krystiana albo któryś z jego ciosów okazał się choć trochę mocniejszy. Gdzieś w jej wnętrzu wzmagał się szloch, ale na niego też nie zważała. Będzie na to czas. Teraz liczyły się tylko oddech i technika. Oddech i technika...

Wierzgnął. Powinien już słabnąć, jednak choć czerwony na twarzy, z oczami przepełnionymi wściekłością i zwierzęcym strachem wciąż jeszcze miał dość wiary, że się z tego wyrwie, i siły, by faktycznie próbować. Wyprężył się, napiął i odgiął do tyłu, sprawiając, że jej plecy oderwały się od podłoża. Wyprostował, na ile mógł, i z całym impetem opadł z powrotem. Walnęła o parkiet, czując, jak wraz z uderzeniem wyrzuciła powietrze z płuc. Łapczywie nabrała tchu. Tę próbę jeszcze przetrwała, ale kolejnej już nie wytrzyma, puści go. Przemawiała za tym przewaga masy i jego doświadczenia w walce. Ona miała tylko dobrze wykorzystany element zaskoczenia i prawidłowo wyprowadzoną technikę, która powinna już, kurwa, zadziałać!

Spróbował jeszcze raz się naprężyć i odgiąć. Nie pozwoliła mu, łapiąc go oburącz za głowę i ciągnąc do siebie, jakby chciała ją urwać. Zacisnęła mocniej uda. Najmocniej, jak mogła, do bólu, do zeszywnienia, wreszcie do braku czucia!

Szumiało jej w uszach, przed oczami migały powidoki, świat powoli się rozmywał. Bolały ją twarz, brzuch, ręka, paliło w płucach. A skurwiel nie odpuszczał, wił się, szarpał, charczał, wyprowadzając ciosy prawą ręką. Mocne, zwłaszcza pierwszy, ale niezdarne i niecelne. Odpływała. Jak przez mgłę uświadomiła sobie, że dostała w twarz i w bok głowy. Kolejne uderzenie

przypominało już tylko muśnięcie dłonią. Potem nagle zwiotczał i przestał się szarpać. Iza wiedziała, że pozbawiony tlenu stracił przytomność, ale mimo to długo nie zwalniała uchwytu.

43

Odrzucił telefon na łóżko i odetchnął głęboko. Raz, potem drugi i trzeci, aż zakręciło mu się w głowie od nadmiaru tlenu. Przeszedł od ściany do okna i z powrotem. Zatrzymał się i rozmasował skronie.

To zwyczajnie się nie składało. Nie przychodziło mu do głowy ani jedno sensowne rozwiązanie tej sytuacji. Ani jedno logiczne. No bo skąd niby mieli jego starą wakacyjną fotkę?!

Teoretycznie, kombinował, z Facebooka Izy albo któregoś z dzieci. Ale przecież rozmawiali o tym wczoraj i w takim wypadku Wójcik, jego żona, Adaś czy ktokolwiek, kto go w to wmieszał, musiałby znać wymyślone na potrzeby platformy fałszywe imiona i nazwiska dzieci albo chociażby panięnskie żony. Sprawdził to ostatecznie, specjalnie instalując w tym celu aplikację i zakładając konto. Na jej zamkniętym profilu nie było żadnych dostępnych fotek twarzy. Nawet profilowe miała z rysunkowym uśmiechniętym słonecznikiem. O nazwy profili dzieci chciał właśnie zapytać Izę, ale nie miała czasu rozmawiać. Zresztą to Wójcik wysłał zdjęcie Adasiowi, nie odwrotnie. Coś tu nie grało.

Zrobił kilka kolejnych rundek po pokoju, pilnując oddechu i tego, żeby ręce zwisały swobodnie wzdłuż ciała. Tej metody nie nauczył się od stryja, a z jakiejś książki, w której napisano: „Myśląc, pozostawaj w ruchu, niech ciało będzie możliwie

rozluźnione. Umysł czyta mowę ciała, traktuje wszelkie napięcia jako potencjalną reakcję na zagrożenia i zaczyna dzielić uwagę”.

Nie miał pojęcia, czy to prawda, ale w jego przypadku się sprawdzało, więc tego pilnował.

Skąd mogli mieć tę fotkę? – zastanawiał się, chodząc tam i z powrotem. Skąd się wzięła?

W połowie kolejnej rundy zatrzymał się nagle, marszcząc czoło. Sięgnął po telefon Adasia. Otworzył zdjęcie, wysłał sobie fotografię mejlem, po czym szybko usunął z wysłanych.

Sięgnął po laptopa, ściągnął zdjęcie na pulpit i otworzył przeglądarkę. Wiedział, że w Google’u jest funkcja, jaką chciał sprawdzić, ale nie miał pojęcia, gdzie jej szukać, więc wpisał „wyszukiwanie obrazem”. Dopiero wtedy dostrzegł ikonkę aparatu, najechał na nią i kliknął. Pojawiło się okienko, a w nim dwie opcje do wyboru: wklej adres obrazu i prześlij obraz. Wybrał to drugie, a następnie wstawił fotografię z pulpitu. Wyszukiwarka potrzebowała kilku sekund na przesłanie pliku i zaraz sypnęła wynikami.

Większość zdjęć, które Google uznało za podobne, przedstawiała po prostu mężczyzn w kąpielówkach na zapewne śródziemnomorskich plażach. Drelich przyjrzał się fotografiom, ale żadna nie była tą konkretną. Już miał zrezygnować, gdy jego wzrok przykuł trzeci z linków znajdujących się pod spodem, a prowadzący do, wedle opisu, strony zawierającej podobne obrazy.

Nagłówek głosił: „Już nie tylko amerykański żołnierz, ale także przedsiębiorca, lekarz, poeta. Stary numer oszustów

w nowych szatach”. Jedną z ilustracji obrazujących tekst stanowiła fotka Drelicha z rozpixselowaną twarzą.

„Policja ostrzega przed ciągle aktualnym przekrętem – informował pogrubiony lead artykułu – w którym oszust przez kilka miesięcy buduje zaufanie, by dzięki temu wykraść pieniądze”.

Pod ciągiem reklam, które Drelich szybko przewinął, następowało rozwinięcie tekstu opatrzone śródtytułem: „Już nie tylko żołnierz, ale schemat wciąż ten sam”.

„Mieszkanka Oławy na jednym z portali społecznościowych poznała »dobrze prosperującego biznesmana o wrażliwej duszy i z zamiłowaniem do podróży« – opisuje przekręt Komenda Wojewódzka Policji we Wrocławiu.

Jak czytamy na stronie policji, znajomość trwała kilka miesięcy i opierała się na stopniowym zdobywaniu zaufania kobiety. W końcu oszust, przedstawiając dość dramatyczne okoliczności, w wyniku których znalazł się w bardzo poważnych kłopotach finansowych w afrykańskim kraju, prosi o doraźną pomoc. Utrzymuje, że to kwestia kilku dni i niedopełnionej formalności w banku, którą już na miejscu załatwi od ręki. Niestety kobieta uwierzyła oszustowi i przelała mu środki. Komenda policji nie ujawnia kwoty...”

Drelich sunął wzrokiem po tekście, czując, jak wzbiera w nim wściekłość. Autor artykułu wspominał jeszcze o innych wariantach tego samego numeru i o tym, że oszust (lub oszuści) działał najprawdopodobniej na szerszą skalę, prowadząc jednocześnie kilkanaście lub więcej konwersacji z różnymi kobietami w całym kraju. Kluczem doboru ofiar był, jak to opisała

policja, status ekonomiczny i czytelna potrzeba emocjonalna. „Większość ofiar to osoby samotne”.

Pod spodem znajdowały się też inne fotografie, łącznie dwanaście, i tylko jeszcze jedna przedstawiała jego. Na tym zdjęciu również miał rozpixselowaną twarz, ale pamiętał koszulę, piwo i wieczór, który na nim uwieczniono.

– Kurwa – mruknął, odkładając telefon na bok. – Kurwa!

Wstał, przeszedł do kuchni i nalał sobie wody. Pił powoli, patrząc na ścianę lodówki i pilnując się z całych sił, by nie zmiażdżyć szklanki.

Od jak dawna to trwa, zastanawiał się. Jak długo policja dysponuje jego zdjęciami i używa ich w charakterze dowodów? W ilu bazach funkcjonuje, kompletnie o tym nie wiedząc? Tyle lat pilnowania się, tyle lat planowania, dbania o każdy najdrobniejszy szczegół. Tyle lat...

– Kurwa!

Cisnął szklanką i dysząc ciężko, patrzył, jak ta rozbija się na ścianie, szkło rozbryzguje się na wszystkie strony, a resztką wody spływa po białej nawierzchni.

– Tyle lat – powtórzył na głos.

Zamknął oczy, odetchnął głęboko, policzył w myślach do dziesięciu. Potem schylił się i z szafki pod zlewem wyjął szufelkę oraz zmiotkę. Gdy zabrał się do zbierania szkła, znowu miał wszystko pod kontrolą.

Ten artykuł w jakimś stopniu rozwiązywał jego problem. Mógł go wysłać Wójcikowi, pokazać, że to nieporozumienie, którego obaj padli ofiarą. Oczywiście wciąż wisiało bez odpowiedzi pytanie, skąd oszuści wzięli jego zdjęcie, ale tym zajmie się później. Mleko

się rozlało, policja miała w swoich archiwach jego twarz powiązaną z przestępstwem, chociaż w tym konkretnym przypadku nie był sprawcą ani nawet podejrzanym. Przez ostatnie miesiące często nieświadomie balansował na granicy i teraz będzie musiał dużo bardziej się pilnować, żeby w kolejnych akcjach nie zostać rozpoznany.

Gdy posprzątał, wrócił do pokoju, by zadzwonić do Izy. Już sięgał po telefon, ale to ona zadzwoniła pierwsza.

– Hej, właśnie miałem... – zaczął, nie dała mu jednak dokończyć.

– Musisz tu przyjechać – powiedziała nieswoim, jakby nieobecny głosem. – Natychmiast.

Poczuł uderzenie adrenaliny.

– Co się stało?

– To nie na telefon, Drelich. Po prostu przyjedź tu jak najszybciej.

Szybkim krokiem obszedł łóżko, złapał kluczyki i portfel.

– Co znaczy tu, Iza? Gdzie jesteś?

– W domu. U siebie znaczy.

Zerknął na zegarek, szybko przeliczył w głowie.

– Potrzebuję około dwudziestu minut, by do ciebie dojechać – powiedział, wchodząc do przedpokoju. Usiadł na podłodze, docisnął telefon ramieniem do ucha i zaczął wkładać buty. – Pół godziny, jeśli będą korki, ale nie zakładam, by były o tej porze. Czy to optymalny czas, czy mam szukać kogoś, kto dotrze szybciej?

– Nie, za pół godziny będzie okej.

Zawiązał sznurowadła, wstał. Złapał za klamkę.

- Dzieci w porządku? Są z tobą?
- Nie, nie są ze mną, i tak, w porządku.

Zamknął drzwi na klucz.

- A ty? Coś ci grozi w tym momencie?

Zawahała się.

- Nie – odparła. – Już nie.

Ciało wciąż leżało na podłodze w salonie. Drelich przewrócił je na plecy, obejrzał uważnie sińce na szyi i przeszukał kieszenie. Wyciągnięte z nich rzeczy: nóż, kluczyki, telefon oraz cienki portfel odkładał na kupkę przy roztartej plamie krwi.

Iza stała w progu balkonu i wsparta plecami o framugę przyglądała się temu, paląc papierosa. Zdążyła się już przebrać, więc miała na sobie spodnie od dresu i luźną męską koszulkę. Opuchnięta twarz bolała ją potwornie, podobnie skóra głowy pulsująca jak po oparzeniu. Jakby wciąż trzymał ją za włosy, szarpał i ciągnął.

Ruszały jej się dwa zęby. Papierosowy dym podrażniał rany na rozciętej wardze oraz te w ustach i utrudniał oddychanie, ale też w jakiś sposób działał kojąco. Ręce ciągle się trzęsły, choć Izie udało się zapanować nad głosem, co uznała za mały sukces.

– To wciąż wydaje mi się nierealne – powiedziała. – Miałam szczęście, nie?

– Inaczej definiujemy szczęście – odparł, nawet na nią nie patrząc. Nie wiedziała, czy to żart na rozluźnienie atmosfery, czy po prostu zachowuje się jak dupek, więc zmilczała.

Drelich wstał, poszedł do kuchni i otworzył jedną z szuflad. Przez moment czegoś w niej szukał.

– Gdzie przełożyłaś metrówkę? – zapytał, wychylając się zza winkla.

– Po co ci... – zaczęła, ale odpuściła. Zaciągnęła się dymem i wypuściła po chwili z cichym świstem. – Zobacz u Niko w pokoju. Na biurku powinna być.

Widziała, jak przeciął korytarz i na moment zniknął w pokoju ich syna. Kiedy wrócił, przyklęknął przy zwłokach, zgiął ciało nogi w kolanach i zmierzył długość do czubka głowy, a następnie szerokość barków. Szybko zanotował coś w telefonie, zebrał rzeczy z kupki i położył je na komodzie, obok rozłożonego pistoletu. Zaczął przeglądać portfel trupa.

– Kiedy mówiłam o szczęściu – spróbowała jeszcze raz Iza – miałam na myśli to, że dałam mu radę. Jest prawie dwa razy większy!

Drelich uniósł wzrok.

– Efekt zaskoczenia, dobrze wypracowana technika i opanowanie w sytuacji stresowej – odparł. – Założenie tego trójkąta ćwiczyłaś nawet ze mną i myślę, że gdyby udało ci się mnie zaskoczyć, a poza tym, jak ten tutaj, nie wiedziałbym, co potrafisz, załatwiłabyś mnie tak samo.

Potrząsnęła głową.

– Nie byłam opanowana.

– Byłaś. Oboje wiemy, że skoro potrafiłaś w dawnych czasach, to potrafisz i teraz. Poza tym nie zrobiłabyś tego, gdyby nie opanowanie. No i gdyby nie dał ci szansy.

– Szansy?!

Drelich wzruszył ramionami.

– Źle się wyraziłem – powiedział. – Chodzi mi o to, że gdyby chciał cię tylko zabić, byłabyś już martwa. Próba gwałtu...

Iza wypuściła dym.

– Dobra, zrozumiałam. Nie pogrążaj się już.

Rozejrzała się za czymś, co mogłoby jej posłużyć za popielniczkę. Gdy nie znalazła, roztarła żar o poręcz i wcisnęła niedopałek do ziemi w doniczce.

– Dzwoniłam do dzieci, sprawdziłam, co u nich, i powiedziałam, że mam trening, którego nie mogę odwołać. Potem je uprzedzę, że oberwałam i żeby się nie przestraszyli.

Skinął głową.

– Dobry pomysł – stwierdził. – Choć i tak się przestraszą, bo oberwałaś solidnie. Nie masz mdłości?

– Nie. I nie urwał mi się film. Nie mam wstrząsu mózgu. Mogę być w szoku, bo zabiłam, kurwa, człowieka!

– Widzę.

Skończył przeglądać portfel, wziął do ręki telefon. Odcisnął kciuk trupa na skanerze i wczytał się w wiadomości. Jego pewność siebie oraz rutyna jednocześnie drażniły ją i uspokajały. Kombinacja sprzecznych sygnałów, do której przez lata spędzone z nim zdążyła już przywyknąć.

Usiadł na kanapie, wyciągnął notes i położył telefon na blacie.

– Dobrze – zaczął. – To jest Natan, jeden z sześciu ludzi Wójcika, człowieka, który podejrzewa mnie o romans ze swoją żoną. Już wiem, że błędnie, ale teraz nie będzie okazji, by to wyjaśnić. Z tego, co się zorientowałem, Natan był najgorszy z całej bandy, a do tego, jak widać, całkiem skuteczny, bo cię znalazł. Widziałem twoje auto na awaryjnych. Dawno przyjechałaś?

– Nie, właściwie tyle co zdążyłam wejść, zabrać umowy i wychodziłam, kiedy... – Urwała i usiadła koło niego. – Myślisz, że jest ich więcej? Że właśnie jadą po dzieci?

Zastanowił się, zanim pokręcił głową.

– Nie, myślę, że na ten moment był tylko on. Oni mieli jakąś sprawę, ważny biznes do domknięcia, więc pewnie Natan zjawiał się po to, by trzymać rękę na pulsie albo namierzyć was i w ten sposób dotrzeć do mnie. Porwanie kobiety czy dziecka jest łatwiejsze niż dużego faceta.

Odruchowo uniosła rękę do twarzy, ale powstrzymała się w porę przed dotknięciem.

– Jezu...

Drelich wciąż grzebał w telefonie. Spojrzał pod światło na ekran i w oparciu o ślady odcisków na wyświetlaczu uporał się z PIN-em. Teraz za jego pomocą dodawał odcisk swojego kciuka do pamięci urządzenia.

– Mam wrażenie, że Natan wyrwał się trochę przed szereg. Tym samym mocno zaostrzył sprawę i podbił stawkę.

– Jesteś królem eufemizmów – mruknęła Iza, ale zlekceważyła docinek.

– Są i plusy – powiedział. – Jak mówię, nie sędzę, żeby na ten moment było więcej ludzi Wójcika. Trzech pojawiło się tu wcześniej i dało ciała, dwóch przyjechało po nich i razem wrócili do Gdańska. Nie sędzę, by mieli zamiar jeździć tam i z powrotem, bo to jednak kawał drogi. Widzę, że Natan komunikował się z Wójcikiem także esemesami, w ten sposób składał mu też raporty – ciągnął, nie odrywając wzroku od telefonu. – A z tych wynika, że nie zamierzali załatwić sprawy od ręki, w ciągu dnia. Co z kolei kupuje mi czas.

Odsunęła się na tyle, by na niego spojrzeć.

– Na co? Co zamierzasz? – zapytała.

Zamiast odpowiedzieć, pokazał jej odkrytą właśnie aplikację. Nieco rozmyty obraz na ekranie pokazywał wejście do klatki i jej samochód migający światłami awaryjnymi.

– Wygląda na to, że wiemy, gdzie zaparkował – powiedział, wstając.

Złapała go za przegub i zmusiła, by na nią spojrzął.

– Drelich, chcę wiedzieć, co zamierzasz zrobić.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się. Czule, szczerze, tak jak od dawna się nie uśmiechał.

– Pogadamy, gdy wrócę – odparł. – Daj mi kluczyki, przeparkuję twój wóz. A, i czy będziesz w stanie rozebrać go do naga?

Skinęła głową. Do dzisiaj nie myślała, że będzie w stanie kogoś zabić. Rozbieranie trupa przy czymś takim to betka.

Zjawił się z powrotem po niemal półtorej godzinie. Miał ze sobą dwie duże reklamówki, nowy plecak z postawionym kominem i sięgający mu do pasa wózek transportowy, jeszcze z etykietką z Castoramy.

Wpuściła go, a on od razu przeszedł do salonu, w którym na podłodze leżał rozebrany do naga blady Natan. Obok znajdowała się jego poskładana odzież.

– Dzwoniłaś do dzieci? – zapytał, odkładając reklamówki i ściągając plecak.

– Tak – odparła. – Dwa razy. Najpierw po prostu, by sprawdzić, co u nich, a potem z historyjką. Już wiedzą, że muszę odreagować, że jadę na trening i że mają być dziś ci od kickboks.

– I co?

– Niko jest obrażony, że go nie zabieram. Coś ty tu naznosił?

Zamiast odpowiedzieć, otworzył plecak i wyjął z niego kilka desek, młotek, gwoździe, poskładany karton z logo firmy Bosch oraz dwie rolki brązowej taśmy. Rozłożył to wszystko na podłodze, podszedł do trupa i stanął mu nad głową.

– Ja go wezmę pod pachy, ty pod kolana. Częściowo zeszywniał, więc będzie łatwiej.

– Miło z jego strony – mruknęła. Gdy się schyliła, przeszył ją dreszcz bólu silniejszy niż te, które towarzyszyły jej podczas rozbierania ciała.

Zanim doszli do łazienki, dwa razy musiała prosić o przerwę. Z niemałym wysiłkiem wrzucili go do wanny. Drelich sięgnął po słuchawkę prysznicową.

– Przynieś mi reklamówkę z chemią – polecił, odkręcając wodę na największe ciśnienie.

Gdy wróciła, kończył obmywać ciało. Sięgnął do reklamówki po jednorazowe rękawiczki, włożył je, a następnie zatkał wannę korkiem. Odkręcił pierwszą butelkę wybielacza, wylał zawartość na zwłoki, rozprowadził po całym ciele i powtórzył całą procedurę z drugą butelką.

Iza przyglądała się temu, stojąc w drzwiach łazienki z mieszaniną fascynacji i bezgranicznego przerażenia. Wiedziała wszak o jego pracy dużo, część nawet poznała swego czasu w praktyce, ale coś takiego? Właśnie klęczał przy wannie, myjąc wybielaczem trupa, i zachowywał przy tym całkowity spokój, a ruchy miał pewne, jakby to była dla niego rutyna. Robił to już wcześniej? Jeśli tak, to ile razy? Równocześnie chciała go o to zapytać i bała się odpowiedzi.

Gdy wstał i zdjął rękawiczki, odsunęła się mimowolnie, by przepuścić go w drzwiach.

– Chodź, pomożesz mi z pudełkiem – powiedział.

Z desek szybko i sprawnie zbili stelaż, który następnie wstawili do poskładanego pudła po, jak się okazało, lodówce, by je usztywnić. Drelich wyjął z bocznej kieszonki plecaka folię malarską i wyłożył nią karton od wewnątrz. Potem podciągnął pudło pod drzwi łazienki, kazał Izie założyć rękawiczki i wspólnie wpakowali ciało do środka. Zamknęli wieko, mocno zakleili taśmą i umocowali na wózku transportowym.

– Co teraz? – zapytała Iza, ocierając oczy. Łzawiły jej od rozchodzącego się po całym mieszkaniu smrodu wybielacza.

Drelich zdjął rękawiczki i zniknął w kuchni, skąd wrócił z dwiema szklankami wody. Podał jej jedną.

– Znalazłem jego samochód. To srebrny mercedes, stoi na ukos, po lewej od wejścia. Weźmiesz go i ruszysz za mną, zachowując odpowiedni dystans. Wyjedziemy za miasto w kierunku na Olsztyn.

– To pudło zmieści się do twojej skody? – zdziwiła się.

Pokręcił głową.

– Do jego mercedesa też nie, więc wypożyczyłem kombi, którym potem wrócisz, gdy już przełożymy ciało z pudła do bagażnika. Spokojnie, auto jest legalne. Ja wyrzucę ciało gdzieś w lesie po drodze. Zanim je znajdą i zidentyfikują, sprawa powinna być zamknięta.

Iza patrzyła w jego zimne oczy i złapała się na tym, że niemal prosi, by się wściekł. By okazał jakąkolwiek, kurwa, ludzką emocję.

Ale on tylko spojrział na swój cholerny, założony odwrotnie zegarek i podrapał się po policzku.

– Co potem? – zapytała.

– Jadę do Gdańska. Najlepiej by było, gdybyś wzięła dzieci do ojca... I tak, wiem, co chcesz powiedzieć, ale zaryzykuję. Weźcie może Krystiana i pojedźcie na kilka dni. Trzy, cztery. Muszę to sobie dobrze zaplanować, sprawdzić wiele rzeczy, żeby nie ściągnąć na nas przy okazji jeszcze większego gówna, ale myślę, że do tego czasu będzie już po sprawie.

– Chcesz w pojedynkę zabić pięciu zbirów?

– Sześciu – poprawił ją. – Nie chcę, ale nie widzę innej opcji. I wreszcie nie, mam nadzieję, że nie będę musiał zrobić tego sam.

Długo patrzyła na niego w milczeniu. Znosił to spokojnie, patrząc jej w oczy i popijając wodę małymi łykami.

– Zamierzasz zadzwonić do... niego? Do nich? – zapytała w końcu.

Miała szczerą nadzieję, że zaprzeczy, ale on znowu się uśmiechnął. Ciepło, miło, smutno. Po ludzku.

– To mój stryj i moi kuzyni, Iza, rodzina – odparł.

Potrząsnęła głową tak gwałtownie, że aż syknęła z bólu.

– Nie ma mowy, Drelich! – oświadczyła. – Nie ma mowy, żebyś znowu do tego wracał. Do nich. Odszedłeś i sam wiesz, ile to cię kosztowało. Pozwolili ci, on pozwolił, ale jeśli teraz poprosisz ich o przysługę...

– Będę mu winien przysługę – dokończył za nią. – Nie zamierzam wracać do tego, co było, Iza. Zresztą nie sądzę, by oni tego chcieli. Andrzej twierdzi, że brak mi honoru.

– Andrzej to który?

– Najstarszy.

Patrzyli na siebie przez długie sekundy, aż wreszcie Iza ponownie potrząsnęła głową.

– Nie ma mowy. Nie zgadzam się.

Znowu się uśmiechnął.

– Mam taki papier...

– Spierdalaj!

Odwróciła się, by ukryć łzy, a on podszedł do niej i położył ręce na jej ramionach. Nie straciła ich, wzdrygnęła się tylko.

– W jednym zgadzam się z Wójcikiem, Iza. Sprawa powinna zamknąć się w tak wąskim kręgu, jak to tylko możliwe. I oboje wiemy, że oni mi pomogą.



45

Parking pod Luną był niemal pusty. Przy samym wejściu do klubu zaparkowano kilka aut, w większości małych starych opli i seatów, bardziej pasujących do Biedronki niż klubu nocnego. Szary wiedział, że to wozy pracownicze, należące do tancerek, kelnerów, barmana. O tej porze mogły jeszcze stać pod samym lokalem, choć przed wieczorem znajdą się pewnie na samym końcu placu, przy pasie zieleni oddzielającym parking od chodnika. Tam, gdzie teraz stało stare sfatygowane kombi volvo.

Pumba nazywał to auto pułapką na pierdoloną drobnicę. Zwykle w piątkowe i sobotnie wieczory dostawiał jeszcze dwie takie – w strategicznych miejscach, poza zasięgiem zwykłego monitoringu, z rejestratorami ustawionymi na funkcję przesyłania obrazu na żywo.

Zdaniem Szarego pomysł pewnie by wypalił, gdyby Pumba nie był z niego tak bardzo dumny. Ale przez to, że grubas chwalił się nim na lewo i prawo, wiadomość o pułapkach dotarła już chyba do każdego, kto kiedykolwiek handlował w mieście choćby trawką.

Przy wejściu do Luny siedział ochroniarz. Niewysoki, szeroki w barach mięśniak o małych napuchniętych oczkach i mięsistych wargach zareagował na trzaśnięcie samochodowych drzwiczek, ale na widok Szarego ponownie skupił się na komórce. Podniósł głowę, dopiero gdy jego twarz znalazła się w cieniu.

– Dzień dobry – powiedział, jak gdyby nigdy nic. – Wszystko w porządku?

Szary z chęcią jebnąłby mu za to pytanie. Miał na nosie opatrunek, opuchnięte fioletozielone oko i wielką wargę mówiącą chyba dość dosadnie, że zdecydowanie nie wszystko w porządku i że to nie interes pierdolonego wikidajły.

– Pumba jest? – zapytał. – Nie widzę auta.

– Jest – odparł chłopak. – A auta nie ma, bo Karol do myjni zabrał.

– Dobra.

Szary wszedł dalej przez dwuskrzydłowe drzwi i na minutę przystanął tuż za nimi, przyzwyczajając oczy do panującego w środku półmroku. Z korytarza po lewej, od damskich toalet, niósł się ostry zapach środków dezynfekujących. Męskie wciąż jeszcze śmierdziały wczorajszą szczyną.

Sięgnął po chusteczkę i krzywiąc się z bólu, ostrożnie wysmarkał zaschnięte strzępki wydzieliny i krwi. Następnie zamrugał kilka razy i ostrożnie, by nie naruszyć opatrunku, przetarł zdrowe, nienapuchnięte oko. Gdy uznał, że jest gotowy, powoli ruszył dalej.

Kiedy wszedł do głównej sali, przez głowę przemknęła mu myśl, że chyba nigdy się nie przyzwyczai do tego miejsca w wersji bez świateł, ludzi i jazgotu muzyki. Do zamarłych w bezruchu lamp i stroboskopów, pustego parkietu, łoży, boksów. Do metalowych schodów wiodących na antresolę, na których nikt się nie cisnął. Szary widywał inne wyludnione miejsca, na co dzień pełne tłumów, ale jego zdaniem Luna była w tym względzie

wyjatkowa. O tej porze kojarzyła mu się ze starą wypindrzoną kurwą, desperacko wyglądającą klientów.

Lokal miał dwa parkiety, ale bar znajdował się tylko przy tym głównym, na górze. Ciągnął się wzdłuż całej ściany i zwykle obsługiwało go jednocześnie sześć osób, choć teraz stał za nim tylko łysy chłopak w tank topie z logo lokalu i opłukiwał pokale. Ze znużoną miną patrzył to na szkło, to znów na dwie kelnerki siedzące na hokerach ze trzy metry dalej. Jedna gestykulowała zawzięcie, druga, wyraźnie skacowana, kulila się i chowała głowę między ramionami przy każdym głośniejszym słowie koleżanki. Obie były zgrabne, żadna nie była ładna, choć pewnie dużo zyskiwały wraz z nadejściem wieczoru, jak całe to miejsce.

Szary skierował się do baru i nie bez trudu wgramolił na hoker. Barman w pierwszej chwili go nie rozpoznał, bo tylko łypnął, ale zaraz odstawił pokal na ociekacz i podszedł, zarzucając ścierkę na ramię.

- Dobry. Widzę, zły dzień pan miał. Coś podać? – zapytał.
- Piwo, kieliszek żołądkowej i zawołaj mi Pumbę.
- Szef jest tam. – Barman pokazał palcem lożę niewidoczną od wejścia. – Rozmawia z Weroniką.

Szary odwrócił się i natychmiast syknął z bólu, przykładając rękę do obolałych żeber. W loży rzeczywiście siedział Pumba rozparty jak basza, a naprzeciw niego dziewczyna. Z tej odległości widział jedynie, że bardzo się stresowała. Splecione ręce między nogami, ramiona ściągnięte, wychylona do przodu, jakby o coś prosiła. O pracę? Koleżanka barmana, dlatego znał jej imię?

Postanowił, że nie będzie przerywał i poczeka, aż skończą. Wypił wódkę, która przyjemnie podrażniła gardło, zapił zimnym

piwem. Barman wrócił do opłukiwania pokali, tyle że teraz zamiast na koleżanki, raz po raz zerkał na Szarego.

Wreszcie Pumba skończył rozmawiać. Pochylił się nad stołem, dotknął jej twarzy i nawet z daleka było widać, że dziewczyna się spięła. Wstała, dodała coś jeszcze i przecięła parkiet, kierując się do baru. Pumba patrzył za nią, skupiony na jej tyłku, i dopiero gdy zbliżyła się do kontuaru, zauważył Szarego. Przywołał go gestem.

Ten ani myślał wstawać. Zamiast tego upił piwa i uśmiechnął się do dziewczyny. Odpowiedziała nerwowym uśmiechem.

I wtedy ją rozpoznał. To tę laskę Wójcik ostatnio przywiózł, by opiekowała się jego dziećmi na czas awantury. Tamtego dnia miała szpilki, sukienkę ledwo zasłaniającą dupę i makijaż, a dziś, w luźnych płóciennych spodniach, koszuli i płaskich czółenkach, wyglądała jak pieprzona hipiska.

– To nie najlepszy pomysł, by nosić jasne spodnie – zauważył, przepijając do niej, gdy brała od barmana swoją torebkę.

Uniosła brwi.

– Nie rozumiem.

– No w te dni – wyjaśnił. – Jak masz okres, to chujowo nosić się na biało. Dziwne, że nikt ci nie powiedział.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale tylko się uśmiechnęła.

– No tak, nie pomyślałam – odparła. – Do widzenia.

Złapała torebkę i pomknęła do wyjścia.

Pumba tymczasem wygramolił się z łoży, podniósł z blatu kanciastą szklanę i również przeciął parkiet. Szedł pewnie, swobodnie jak to on, nie kuśtykał, nie miał żadnych śladów zebranego wczoraj wpierdolu. Co najwyżej sińce na szyi, których

nie dało się zobaczyć w tym świetle. Szary zdał sobie sprawę, że właściwie tylko po nim widać, co się stało, i poczuł, jak narasta w nim wściekłość na tę jawną niesprawiedliwość.

– Wyglądasz jak gówno – zauważył Pumba, gdy już zbliżył się na tyle, by nie podnosić głosu.

– Więc musisz uważać, bo dopóki nie wydobreję, mogą nas brać za bliźniaków – odparł Szary. – Idziemy do ciebie?

Pumba wzruszył ramionami.

– Gdy ostatni raz zadałem to pytanie, skończyło się na całonocnym jebaniu.

– Po tym, jak wyjebano cię wczoraj, jeszcze ci mało?

Pumba zgrzytnął zębami i obejrzał się na barmana. Ten jednak albo nic nie usłyszał, albo był już na tyle doświadczony w swoim fachu, by wiedzieć, kiedy należy udawać.

– Chodźmy do biura – polecił grubas już bez żartów.

Podniósł deskę kontuaru i przeszedł na zaplecze. Szary upił jeszcze jeden duży łyk piwa, odstawił kufel i posykując, zwał się z hokera.

Przeszli wąskim korytarzem ułożonym w literę T, mijając magazynek i pomieszczenie z otwartymi na oścież drzwiami, w którym dobrze zbudowany chłopak w czapce z daszkiem gapił się w telefon, oświetlony blaskiem kilkunastu ekranów monitoringu. Na rozwidleniu droga w prawo wiodła do garderób dla tancerek, pokoju socjalnego oraz awaryjnego wyjścia. Droga w lewo prowadziła do dwóch łazienek pracowniczych i biura Pumby.

– Ta dziewczyna – zagaił Szary, gdy już weszli do środka. – Co chciała?

– Weronika? Zwolnić się przysła. – Pumba obszedł masywne biurko i zajął miejsce na obrotowym fotelu. – Z powodów osobistych.

Szary przyjrzał się krytycznie stojącej w kącie kanapie, po czym zdecydował się jednak na fotel. Osunął się na niego powoli jak do wanny z nieco za gorącą wodą.

– Po mojemu Wójcik wziął ją na odreagowanie i pierdolnął gdzieś. Pewnie za ostro trochę i się złąła. Do końca tygodnia zostaje. A co, wpadła ci w oko?

Szary wzruszył ramionami.

– Teraz to i tak jeden chuj – odparł. – Na razie mogłaby mi co najwyżej gałę zrobić, a jak ozdrowieję, to szukać jej nie będę. Młody był u ciebie?

– Adaś? Nie, dzwonił tylko. – Pumba sięgnął do szuflady, skąd wyjął lusterko z plastikową rurką i trzema usypanymi kreskami. Wciągnął jedną, po pół do każdej dziurki, wytarł nos i schował lusterko. – Rano pojechał oddać auto do czyszczenia, a potem na trening. Mówi, że ten skurwiel Drelich wziął go z zaskoczenia, ale teraz już się nie da.

Szary parsknął.

– Teraz może się już nie dawać, jak Natan pojechał – stwierdził. – Tak po prawdzie, zresztą to właśnie Adaś zjechał, bo pytałem, jaki z tego Drelicha zawodnik, i mówił, że pizda.

Pumba poprawił się na krześle.

– Natan pojechał? Jesteś pewien?

– No a jak, skoro go wczoraj na zjebach nie było? Myślisz, że inaczej by to sobie odpuścił?

– No w sumie nie, to straszny kutas jest – zgodził się Pumba.

Podniósł się z krzesła, podszedł do kotary i odsłonił ścianę monitorów z obrazem identycznym jak ten w pokoju ochrony – kolejny dobry pomysł, który zjebał, paplając o nim na lewo i prawo. Teraz wszyscy wokoło wiedzieli, że ma u siebie podgląd.

Pomiędzy niewielkimi ekranami wisiał też jeden trzydziestocalowy i ten właśnie Pumba teraz włączył, odpalając kanał sportowy. Urządzenie ryknęło jazgotem kibiców i szybko ucichło, doprowadzone do porządku przyciskiem mute.

– Tak szczerze – powiedział – to jebać tego Drelicha. Znaczy nie żeby mu odpuszczać, ale po prawdzie mam go w dupie.

Nie miał – Szary widział to w jego ruchach, w oczach, w nalanej gębie. Grubas łągał jak pies. Grał obojętnego, niczym niechciana przez nikogo czterdziestka, udająca, że przyszła tylko potaćnić, a tak naprawdę za nic by nie odpuścił. Nie po tym, co się stało. Żaden z nich trzech nie zamierzał odpuszczać, bo teraz to była sprawa osobista także dla nich. Dlatego to, że po Drelicha pojechał Natan, nie brzmiało jak wiadomość dnia.

Nie tylko on zresztą.

– Wójcik powiedział, że jutro obstawiamy pogaduchy z auta. Wchodzi ze Stówką – powiedział Szary.

– A, czyli tak się będzie teraz bawił – zachnął się Pumba. – Będzie nam pokazywał, jak to jest na nas wielce obrażony.

– Do Kłodzka też nie jedziemy. Z nas trzech tylko Adaś, bo Wójcik chce go przedstawić.

– Kurwa. – Pumba skubnął czubek nosa i przez chwilę gapił się na retransmisję jakiegoś boksterskiego starcia. Dopiero gdy jeden z zawodników dostał solidny cios w szczękę, otrząsnął się

gwałtownie, co najmniej jakby to on właśnie oberwał. – Kurwa! To nie była nasza wina, ja pierdolę!

Szary uważał co innego, ale nie zamierzał teraz kłócić się z Pumbą. Co by to dało? Jaki miałyby sens? Obaj byli w równie głębokiej dupie i przerzucanie się odpowiedzialnością na nic by się nie zdało.

– Myślę, że kilka dni na luzaku dobrze nam zrobi – powiedział w końcu. – Będzie czas pozaczynać nasze tematy, zrelaksować się trochę. W Sopocie nowy burdel otwierają, może degustacja jakaś przedpremierowa.

Pumba zarechotał.

– Przed chwilą niby nie mogłeś – przypomniał.

– Chuja tam nie mogłem – mruknął Szary. – Boli trochę, ale czasem warto się poświęcić.

– Racja – zgodził się Pumba.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, Szary wpatrzony w komórkę, Pumba w telewizor. Za ścianą huknęła muzyka, poniosła się po ścianach głosem Rihanny i ucichła.

– Kurwa, mam nadzieję, że Natan jednak przywiezie do nas typa – przerwał ciszę Pumba. – Podziękowałbym mu.

– Ustaw się w kolejce.

– Że niby za tobą?

Szary pokręcił głową.

– Za Adasiem.

46

To wydawało się Izie zbyt proste. Zapakowali trupa we wzmocnione kartonowe pudło po lodówce, przypięli pasami do wózka i zwyczajnie, jak gdyby nigdy nic, zawieźli go do windy. W kabinie stanęli jedno obok drugiego, Iza wcisnęła parter. Na trzecim piętrze dosiadł się do nich pucułowaty staruszek, pan Kamicz.

– O, dzień dobry – powiedział pogodnie i wcisnął się tyłem mimo ewidentnego braku miejsca.

Przyjrzał się pudłu i Iza już miała w głowie filmową wizję, jak sąsiad nagle zauważa na kartonie przeciek, dotyka mokrego miejsca, wkłada w nie palec, a wtedy materiał ustępuje, ukazując trupie oko, nos, kępkę włosów. On jednak tylko zauważył logo.

– Bosh. Też mam, tyle że pralkę – powiedział. – Lodówki też są dobre, bo to lodówka, prawda?

– Lodówka – odparł Drelich. – I jeszcze nie wiemy, bo dopiero kupiona. To jest nasza stara.

Iza zerknęła na niego z ukosa, na co on wzruszył ramionami. No tak, nie jego sąsiedzi, nie jego problem, pomyślała. Jeszcze nie wiemy, cholera jasna! Nasza stara! Jakby ciągle byli parą! Wiedziała, że w tych okolicznościach irytuje się na wyrost, ale denerwowała ją swoboda, z jaką używał tej właśnie formy, znowu wpisując się w jej życie bardziej, niż tego chciała. Jakby nie wystarczyło, że przez niego właśnie zabiła człowieka, a teraz

wywoziła trupa w pudełku po lodówce. Czyżby pieprzone „póki śmierć nas nie rozłączy” z niedotrzymanej deklaracji stało się klątwą?

Winda stanęła na parterze, drzwi rozsunęły się powoli.

– No to ja życzę, żeby się nowa lodówka sprawowała – powiedział na odchodne Kamicz.

– Dziękuję – odezwał się Drelich. Znowu, do cholery! Jakby chodziło o jego lodówkę, w jego mieszkaniu!

– Mógłbyś tak nie robić? – zapytała, gdy pchnął wózek i przegiął go na siebie, by wyjechać.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Jak?

– Zachowywać się, jakbyś tu mieszkał.

Nie zdążył odpowiedzieć, bo zza winkła, tam gdzie znajdowały się skrzynki na listy, dobiegł ich najpierw dźwięk zatrzas kiwanych drzwiczek, a następnie wyłoniła się Zykowska, emerytowana nauczycielka z ostatniego piętra. Wysoka, zasuszona kobieta o wciąż pięknej twarzy, niepasującej nijak do pomarszczonej szyi i dłoni, zlustrowała najpierw karton, a następnie Izę z surowością i wnikliwością szkolnej kosi. I gdy Iza była już niemal pewna, że zaraz padnie pytanie o obrażenia na twarzy, kto jej to zrobił i czy nie potrzebuje pomocy, sąsiadka wskazała kościstym paluchem na ładunek wózka.

– Państwo wyrzucają lodówkę? Bo jeśli sprawna, to ja bym wzięła na działkę. – Zrobiła krótką pauzę, po której dodała: – Oczywiście odkupię, nie chcę za darmo.

Iza uśmiechnęła się mimo bólu.

– Niestety, musimy oddać do sklepu – odpowiedziała. – Promocja taka. Oddaje się stary sprzęt, a oni dają zniżkę na nowy.

Zykowska pokiwała głową.

– A tak, słyszałam coś – przypomniała sobie. – No nic, szkoda.

Podeszła do windy i wcisnęła przycisk

– I co, duża taka zniżka? – zapytała, gdy dotarli już do drzwi wyjściowych.

– Do trzydziestu procent – odpowiedziała Iza, zachowując spokój. Ledwie jednak wyszli na zewnątrz, nie wytrzymała.

– Dwie minuty patrzyła mi na twarz – wyrzuciła z siebie. – I słowem, słóweczkiem się nie zająknęła, czy wszystko u mnie w porządku.

Drelich wzruszył ramionami.

– To dobrze, bo nie wiem, co mogłabyś w takiej sytuacji powiedzieć, żeby usnąć...

– Kurwa, Drelich, o zasadę chodzi! – weszła mu w zdanie tak gwałtownie, że spacerująca z wózkiem, skulona kobiecina obejrzała się nerwowo. – A co, gdybyś mnie lał?

– Tu jest taki jeden, co próbował. – Drelich poklepał karton. – No już, o znieczulicy pogadamy, gdy to wszystko się skończy, co ty na to? Mamy coś do zrobienia.

Ostrożnie wprowadził wózek na zamocowane na schodach szyny.

– A jak się wywróci? – zapytała.

– Lepiej nie. Asekuruj.

Iza się rozejrzała. Oprócz kobiety spacerującej z wózkiem dostrzegła jeszcze tylko grupkę dzieciaków wracających ze szkoły ścieżką wśród drzew i staruszka o łydkach tak chudych, białych

i porośniętych siwymi włosami, że z tej odległości wyglądały jak pokryte pleśnią. Była jednak pewna, że gdyby wózek nagle się wywrócił, karton odpiął i ze środka wypadł trup, od razu znalazłoby się mnóstwo świadków patrzących akurat przez okno albo wysiadających z samochodu.

Oczyrna wyobraźni widziała już plan popularnego niegdyś programu, w którym reporter jechał na miejsce zbrodni, otaczał się taśmą wzorowaną na policyjnej i odpytywał sąsiadów z zajścia. Widziała, jak pyta Zykowską, a ta daje mu upragniony zwrot akcji, mówiąc o zaobserwowanych znamionach przemocy domowej. Ciekawe, jaką by zbudowano do tego opowieść i jak bardzo odbiegałaby od tej prawdziwej.

Mimo tych obaw bez przeszkód zjechali wózkiem na chodnik, a następnie podprowadzili do bagażnika sfatygowanego kombi stojącego na awaryjnych w miejscu jej auta. Ostrożnie, nie bez wysiłku, zapakowali pudło do samochodu, dorzucili złożony wózek i gumowe paski zabezpieczające.

– Mercedes stoi tam – powiedział Drelich, zatraskując klapę i wskazując właściwe miejsce brodą.

Dostrzegła wóz w szczelinie żywopłotu.

– Ruszysz kwadrans po mnie, jedziemy na Olsztyn – powtórzył. – Gdy znajdę dobry parking, zatrzymam się i wyjdę tak, żebyś mnie widziała z drogi.

Uśmiechnęła się.

– Jak tirówka?

– Trochę, ale bez prężenia się i przywoływania palcem, więc się skup, żeby nie przegapić – odparł. – Dokumenty masz pod

osłoną przeciwsłoneczną. Nie musisz tankować, olej chyba też w porządku, chociaż...

– Umiem sprawdzić, dziękuję – weszła mu w zdanie. – I jakby co, zadzwonię.

Skinął głową, wsiadł do auta. Wyłączył awaryjne, odpalił silnik i odłożył telefon na półeczkę pod radiem.

Gdy odjechał, przecięła parking i pas zieleni, wychodząc na wprost mercedesa. Nadusiła przycisk pilota, ale zanim jeszcze złapała za klamkę, obeszła auto, wyglądając stłuczonego reflektora, wgnieceń, uszkodzeń czy brudnych tablic – tego, co mogłoby być powodem ewentualnego zatrzymania. Jedynie przednie koło wyglądało na niedopompowane. Zapewne przez to, że stało częściowo na krawężniku, ale Iza nauczona życiowym doświadczeniem, postanowiła sprawdzić, czy w razie czego ma zapasowe koło.

Nie uśmiechało jej się ani wzywanie pomocy drogowej do auta niedoszłego gwałciciela, ani stanie gdzieś na poboczu jak niedojda bez zapasu. Obeszła mercedesa, otworzyła bagażnik i poszukała paska uchwytu, za pomocą którego podniosła dno.

W środku nie znalazła koła. Zamiast niego w specjalnie zagospodarowanej przestrzeni leżał mały arsenał złożony z dwóch pistoletów maszynowych, dwóch zwykłych, kilku noży, kilkunastu magazynków i kamizelki kuloodpornej. Iza opuściła klapę skrytki i rozejrzała się nerwowo. Nikogo nie było w pobliżu, co wcale a wcale jej nie uspokoiło.

– Kim ty, kurwa mać, byłeś? – zapytała, zatrząskując bagażnik.

Gdy otworzyła drzwi kierowcy, ze środka doszedł ją zapach rozgrzanej skóry, sztuczna chemiczna woń na bazie konwalii i jeszcze czegoś słodkiego, czego nie potrafiła określić. Od razu poczuła nadchodzącą migrenę.

Muszę się zatrzymać przy aptece, pomyślała, odpalając silnik.

Dziesiątki myśli, obrazów i zapachów z ostatnich chwil krążyły jej teraz w głowie, wciąż powracając do tego, co się właśnie wydarzyło. To wszystko, co tłumiała w sobie, czekając na przyjazd Drelicha, a potem pakując trupa, nagle eksplodowało Izie prosto w twarz. Tak samo jak słowa Drelicha. Że gdyby tamten po prostu chciał ją zabić, już by nie żyła.

I jeszcze ten arsenał. Z kimkolwiek zadarł jej były mąż, celowo czy przypadkiem, to naprawdę byli groźni ludzie. I wyglądało na to, że nie przebierają w środkach. A co, jeśli postanowią ją teraz znaleźć za wszelką cenę? Śledzić z pracy do domu, rozpytywać znajomych? Może faktycznie powinna ukryć się z dziećmi u ojca? Tylko co wtedy – ma czekać jak pieprzona dama w opresji, aż sytuacja się rozstrzygnie?!

Wpięła telefon w uchwyt, ustawiła Olsztyn jako cel podróży i włączyła się do ruchu. Na pierwszych światłach wybrała numer do Zośki i dopiero przy trzecim sygnale zorientowała się, że nie ma słuchawki w uchu. Włączyła głośnik akurat w chwili, gdy córka odebrała.

– Tak, mam? Co jest?

Iza odetchnęła z ulgą.

– Nic, kochanie – powiedziała. – Chciałam się dowiedzieć, co u was. Ja jadę właśnie na trening.

– U nas w porządku, mamó. Tylko głodni jesteśmy. Niko chce zamówić pizzę.

– Niech poczeka! Zróbcie sobie jakieś kanapki, przywiozę coś.

– Tylko nie meksykańskie, dobra?

– Nie meksykańskie – zapewniła.

Rozłączyła się i z całych sił zacisnęła ręce na kierownicy, czując jednocześnie, jak niewidzialna obręcz ściska jej głowę coraz mocniej i mocniej. Potrzebowała apteki.

Prawie w ogóle nie spała, a mimo to, gdy zadzwonił budzik, nie czuła się zmęczona, tylko trochę obolała. Po nocy spędzonej na łóżku Wanesy zeszywniał jej kark i dokuczały kolana – pewnie przez pozycję, jaką mała przyjęła, owijając się niemal wokół matki.

Spała z córką, bo Zygmunt uznał, że chce się wyspać. Miał, jak się wyraził, stresujący dzień i nie zamierzał z nikim walczyć o kołdrę. Milena zabrała więc swoją poduszkę i przeniosła się do córki, która przyjęła ją z uśmiechem na zaspanej buzi i wyciągniętymi rękami.

– Miałaś zły sen, mamusiu? – zapytała dziewczynka.

– Tak, kochanie – powiedziała, kładąc się koło niej i podciągając kolana, by zmieścić się na łóżeczku. – Ale już się z niego obudziłam.

– Aha. – Wanesa skinęła głową, zarzuciła mamie rękę na szyję i zamknęła oczy. Śmierdziało jej z rozchylonej buzi. Może nie umyła zębów, a może brało ją przeziębienie?

Upewniła się, że czoło córki nie jest rozgrzane, a potem znowu długo myślała o ostatnich dniach. O tym, w jakim położeniu znalazła się ona sama, w jakim znalazły się dzieci.

Zygmunt, była pewna, nie odpuści. Może się teraz wyciszy, udając, że wszystko jest w porządku, ale ta sprawa będzie niczym jątrząca się rana. Gdy już załatwi swoje interesy i kolejny raz

przed swoją kłódką rodziną pokaże, jak przykładnym są małżeństwem, zrobi z życia Mileny prawdziwe piekło. Tym razem nie bawiąc się już w pozory, bo i po co? Będzie miał rok do następnego rodzinnego wypadu na południe, a przecież przez rok wiele się może wydarzyć, prawda? Wypadki chodzą po ludziach, a wdowcy, w przeciwieństwie do zdradzonych mężów, zyskują szczerą sympatię i współczucie bez podśmiewania się po kątach. Czy byłby do tego zdolny? Ha, ha, ha, a czy byłby w stanie ją uderzyć?

Potem myślała o Drelichu. Jeszcze kilka godzin temu widziała w nim wybawcę, który postawiony przez Natana w sytuacji bez wyjścia, przyjedzie tu dokonać aktu zemsty na Zygmuncie. Była gotowa ściągnąć na siebie wieczne potępienie za złożenie w ofierze bliskich jej internetowego kochanka, byleby tylko ten miał właściwą motywację i determinację.

Ale w nocy, kiedy wtulona w córkę, czuła bijące od niej ciepło i słyszała jej miarowy oddech, nie miała już takiej pewności. Bo co, jeśli rozsierdzony Drelich uzna, że oko za oko? Jeśli zamiast od razu atakować Zygmunta, zechce najpierw sprawić mu emocjonalny ból i zrobić krzywdę ich dzieciom? Jej dzieciom?

Mijały kolejne godziny, a wraz z nimi pojawiały się kolejne myśli. Obracała je w panice niczym klocki Tetrisa, dopasowywała do sytuacji, ustawiała, a one znikały, kupując jej kilka sekund, na moment oczyszczając pole, ale nie przynosząc żadnego rozwiązania. Czy z tej sytuacji było jakiegokolwiek wyjście? Coś, co mogłaby zrobić? Decyzje, które mogłaby podjąć?

Gdy niebo za oknem zaczęło szarzeć, wstała do łazienki, a w drodze powrotnej uzmysłowiła sobie, że tak, jest kilka rzeczy,

których może być pewna.

Pierwszą z nich było przeświadczenie, że musi znaleźć sposób na uwolnienie siebie i dzieci od Zygmunta. Musi, jeśli nie chce wyznaczać sobie kolejnej granicy normalności, by potem i tak zorientować się, że hamulce w samochodzie nagle przestały działać. Dwa dni rozbiły iluzję jej życia, pokazały ostatecznie, w czym tkwi, i rozwiały złudzenia. Albo uwolni się z tego więzienia, albo w nim tak czy inaczej umrze. Musiała podjąć to ryzyko.

Drugą było poczucie, że obecnie jedyną jej szansą może być Drelich – przestępca, do tego sprawny i waleczny. Czy dałaby radę przekonać go do pomocy? Tylko jak sprawić, żeby stanął po jej stronie? Mogła jeszcze raz skontaktować się z nim przez Messengera, ostrzec go przed Natanem i w ten sposób zyskać jego sympatię. A wtedy co? Kupi go pieniędzmi, które jej mąż trzymał w domu? Zasugeruje zyski z polisy, gdyby śmierć Zygmunta wyglądała jak...

Złękła się tej myśli. Śmierć? Naprawdę rozważała zabicie męża? Naprawdę tym właśnie się stała? Jedno uderzenie, jeden cios w nerwach, a ona już...

– Zamknij się, suko – wycedziła cicho. Miała dość tego obrzydliwego głosiku w swojej głowie, ale też w jakiś sposób mu posłuszna nie rozwijała tej myśli.

Jedno było pewne. Musi jeszcze raz ostrzec Drelicha i ocalić jego bliskich. Czy wtedy on zechce jej pomóc? Czy w ogóle poradzi sobie z Natanem? To już zadecyduje los, Bóg czy ktokolwiek, kto tak spierdolił sprawę.

A jeśli Zygmunt odkryje, co Milena próbuje zrobić?

– Nie skrzywdzi dzieci – powiedział syntezator.

Zgadzała się z nim. I wtedy, o świcie, kwadrans, nim podniosła się z łóżka i zeszła zrobić kawę dla siebie oraz śniadanie dla dzieci, uznała, że taki gwarant jej wystarczy.

Do południa działała na autopilocie, podporządkowując myśli tej jednej, jedynej rzeczy do zrobienia. Planowała pojechać do Kauflandu, dogadać się z tym samym chłopakiem, jeśli tam będzie, albo odegrać podobną scenkę przed jego kolegą czy koleżanką – w końcu wiedziała już, czego potrzebuje. Zanim jednak skończyła robić obiad, Zygmunt pokrzyżował jej plany, biorąc się za mycie samochodu na podjeździe. Zwykle jeździł nim na myjnię, ale czasami, w wolne dni, robił z tego rodzinne święto. Pozwalał dzieciakom wyciągnąć pistolety i karabiny na wodę, a potem wszyscy razem woskowali auto. Nienawidziła tego, ale nie umiała odmawiać dzieciom, więc zazwyczaj dołączała do zabawy. Kończyła mokra niczym miss mokrego podkoszulka, a wtedy podniecony Zygmunt brał ją w garażu, na zimowych oponach, co traktowała jako pieprzony dowód uznania. Jezu, jaka była głupia!

Tym razem nikt jej nie zaprosił, co z jednej strony przyjęła z ulgą, choć z drugiej zabolalo. Bo rozumiała, że nie Zygmunt, ale Wanesa? Bartuś? Patrzyła więc na nich przez okno w przedpokoju, a oni obrzucali się pianą, strzelali wodą z kolorowych karabinów i wreszcie czule, delikatnie opłukiwali ojcowski samochód. Tego też ich najwyraźniej nauczył, nie tylko podziału ról i domowej hierarchii.

I wtedy usłyszała za plecami wibrację. Zaskoczyła ją, bo jej komórka leżała w kuchni. Odwróciła się i na szafce obok kluczy zobaczyła telefon Zygmunta. Zostawił go tutaj celowo? A może, co bardziej prawdopodobne, zrobił to przypadkiem, kiedy brał kluczyki z półki?

Tak czy owak tam leżał, a do wtóru ponownej wibracji w górze czarnego ekranu na moment pojawił się esemes. Jeszcze raz zerknęła na podwórko, a potem rozejrzała się po przedpokoju. Przypomniała sobie, że Drelich wczoraj rozmawiał z Zygmuntem, dzwonił do niego. Czyżby w telefonie był jego numer? A jeśli tak, czy mogłaby do niego zadzwonić z tego aparatu i szybko ostrzec? No przecież niemożliwe, żeby Zygmunt miał na podsłuchu własny telefon, nie widziała też nigdy, by sprawdzał swoje billingi. Gdyby więc szybko usunęła to połączenie...

Ta myśl była tak szalona, tak nagła, że Milenie zakręciło się w głowie, a nogi zaczęły drżeć. Poczowała metaliczny posmak na końcu języka, serce zabiło szybciej, obraz pojaśniał. Bała się, miała ochotę obrócić się na pięcie i odejść, trzymać się pierwotnego planu z Kauflandem. W końcu to bezpieczniejsza opcja, już raz ją sprawdziła i...

Ale czy skuteczna? Czy wiadomość tamtym kanałem na pewno dotrze? No i jeśli tak, to kiedy? Mycie oraz woskowanie samochodu zajmie im w tym tempie jeszcze przynajmniej godzinę. Potem przyjdą głodni na obiad. Co, jeśli dzieci będą nalegały, by siadła z nimi, nawet jeśli powie, że już się najadła? Może się okazać, że zanim cokolwiek zrobi, będzie już za późno i straci namiastkę szansy.

Zerknęła za okno i na telefon. Już nie wibrował. Odcinał się białą na szarej półce. Odetchnęła głęboko, przełknęła ślinę i sięgnęła po urządzenie.

Ledwie go dotknęła, ekran rozświetlił się, przedstawiając tapetę z Bartusiem za kierownicą poprzedniego auta Zygmunta. Siedząca obok Wanesa znowu robiła usta w ciup, tym razem malując się przed lusterkiem z osłony przeciwsłonecznej. Z tej samej sesji pochodziło to przekłete zdjęcie z sypialni.

Milena rzuciła szybkie spojrzenie za okno. Znała w zasadzie wszystkie hasła męża. Nie umiał ich pilnować, w dodatku zapisywał je na urządzeniach. PIN był ten sam jak na karcie, którą jej dał – cztery, trzy, siedem, jeden. Wpisała go.

Znowu spojrzała za okno. Zygmunt oberwał właśnie strumieniem wody w sam środek klatki piersiowej. Rozłożył szeroko ręce, jakby godził się na rozstrzelanie, po czym cisnął gąbką w córkę. Ta uchyliła się niezgrabnie, zachwiała, ale na szczęście nie upadła. Ze śmiechem skryła się za maską, krzycząc coś do brata uzupełniającego karabin wodą z ogrodowego węża. Milena nie słyszała co. Szumiało jej w głowie. W ustach zaschło. Sięgnęła drżącym palcem do ostatnich połączeń, jednak zamiast w ikonkę ze słuchawką telefonu uderzyła w tę z kopertą.

– Kurwa – mruknęła.

Wystraszyła się, że tym samym automatycznie odczyta wiadomości, które właśnie przyszły, co wyda ją przed mężem, ale tak się nie stało. Jej uwagę zwrócił za to esemes od Pumby zaczynający się od słów „Panie Wójcik”.

Zdziwiła się, ale szybko pokojarzyła – przecież Drelich zabrał tamtych telefony. A jeśli tak, to mogła być wiadomość od niego!

Upewniwszy się po raz kolejny co do sytuacji na podjeździe, dwa razy głęboko odetchnęła i ostrożnie nacisnęła ekran. Cała wiadomość brzmiała: „Panie Wójcik, zgodnie z rozmową przesyłam adres mejlowy, pod którym czekam na Pana decyzję. D”.

Spojrzała na adres, za okno i znów na adres. Powtórzyła sobie w myślach, że to, co robi, nie jest szaleństwem, starając się zagłuszyć spanikowany głos, wzmocniony syntezatorem, tylko najlepszym obecnie pomysłem. Skoro tego telefonu Zygmunt na pewno nie sprawdza, wystarczy, jeśli Milena wyśle mejla rozpoczynającego się od słów: „Błagam, nie odpisuj”, a potem wyłuszczy sprawę i skasuje z wysłanych. Umiała to zrobić. Nie była tylko pewna, czy się odważy.

Popatrzyła za okno. Na roześmianego Zygmunta całego w pianie, na świetnie bawiące się dzieci, również mokre. Brakowało tylko jej i Murzyna, by dopełnić obrazek sielskiej idylli. Skrzywiła się, jakby znowu dostała w brzuch. Szarpnęły nią torsje i z trudem je powstrzymała.

– Pierdol się – mruknęła cicho, po czym napisała wiadomość do Drelicha.

Gdy skończyła, usunęła wszystkie ślady, także te z ekranu, i odłożyła telefon na miejsce. Nakarmiła Murzyna.

– Będzie dobrze – powiedziała do psa.

Ten polizał ją po rękę.

Eksplozja bólu nastąpiła na środku skrzyżowania. Zmieniły się światła, ale Iza nie ruszyła od razu, dopiero ponaglona czymś klaksonem, wbiła jedynkę i uniosła stopę na sprzęgle. Miała wrażenie, że widzi wszystko jak przez łyzy, obraz rozmywał się lekko, a w skroniach łupało w rytm tykania kierunkowskazu. Nie powinna tak jechać, uzmysłowiła sobie, nie powinna w tym stanie siedzieć za kierownicą.

Zatrzymała się przed skrętem ze skrajnego lewego pasa. Zagapiła się, powinna go zmienić przed skrzyżowaniem, by za nim odbić od razu w prawo, na parking galerii. W tej sytuacji, uznała, musi ruszyć dynamicznie w momencie zmiany świateł i sprawnie zjechać jeszcze przed stojącym obok białym odrapanym busem.

Jednak gdy zmieniały się światła, walczyła właśnie z falą mdłości i chyba tylko strach, że znajduje się w aucie przestępcy, z bagażnikiem pełnym broni, powstrzymał ją przed zwymiotowaniem na boczne siedzenie. Zdała sobie sprawę, że choć miewała już bóle migrenowe, to takiego chyba jeszcze nigdy. Naprawdę powinna wysiąść. Włączyć awaryjne, wezwać pomoc. Powinna...

Klakson. Jak wrzask prosto do ucha, wrywający ze snu ryk. Wyprostowała się gwałtownie, ale nie puściła sprzęgła, więc samochód nie zgasł. Wbiła bieg, ruszyła powoli, nagle przypominając sobie o konieczności zmiany pasa.

Przyspieszyła, wchodząc w łuk, by skręcić zaraz za znakiem. Nie miała już szans wyprzedzić białego busa, ale zamierzała przeskoczyć na prawy pas, szybko wbić kierunkowskaz i na ukos wjechać na ten zjeżdżający do galerii. Ledwie jednak skręciła, ostre światło uderzyło ją prosto w oczy, wdarło się szpikulcem w punkt za nasadą nosa i wybuchło oślepiającym rozbłyskiem.

Iza wrzasnęła, szarpiąc kierownicą. Przez chwilę nie widziała dosłownie nic prócz rozżarzonej, palącej bieli. Z oddali usłyszała pisk i przeciągłe sygnały klaksonów, a każdy z nich był jak szarpnięcie za włosy. Nie, mocniej! Jak zrywanie skóry głowy bez pomocy noża.

Nie wiedziała, jakim cudem znalazła się na właściwym pasie. Nie miała siły spojrzeć w lusterko. Drżała, po policzkach spływały jej łzy, gdy powoli pokonała najbliższy skręt i krzywo wjechała na miejsce zabezpieczone pomarańczowo-białym plastikowym słupkiem. Słyszała, jak ten trzaska jej pod kołem i szura po asfalcie na ostatnich dwóch metrach.

Iza wbiła na luz, zaciągnęła hamulec ręczny i przekręciła kluczyk. Następnie otworzyła drzwi i wychylona na tyle, na ile pozwolił pas, spróbowała zwymiotować.

Ktoś do niej dobiegł. Ktoś, kto obrzydliwie śmierdział potem i dyszał jak parowóz. Miał tłustą, wilgotną rękę i naprawdę miły, ciepły głos.

– Jezu, wszystko w porządku? – zapytał.

Pomyślała, że to idiotyczne pytanie. Przecież gdyby wszystko było w porządku, nie musiałby, kurwa, podbiegać. Gdyby było w porządku, ludzie nie gromadziliby się teraz wokół jej auta niczym głodne sensacji sępy.

– Migrena – wyszeptała ochryple. – Potrzebuję...

– Wiem, czego pani potrzebuje – przerwał jej głos. – Proszę chwileczkę poczekać, zaraz wracam.

Tak jakby się gdzieś, cholera, wybierała.

Ludzie wokoło szeptali, komentowali, jakiś mężczyzna głośno rozmawiał przez komórkę. Ktoś usilnie pragnął się dowiedzieć, czy to zawał, czy karetka już jedzie. Dziecko zapytało mamy, czy ta pani w aucie jest chora. A do mózgu Izy przez zamknięte oczy lało się roztopione żelazo.

W końcu ciepły głos owiany smrodem potu wrócił.

– Proszę, to dla pani – powiedział, łapiąc oddech między słowami jak tonący albo dziecko na szkolnej akademii, i podstawił jej pod nos butelkę z musującym płynem. – To rozpuszczona solpadeina. Miewam takie same problemy. Niech pani wypije.

Zrobiła to. Małymi łyżkami, walcząc z odruchem wymiotnym. Gdy tylko skończyła, mężczyzna znowu jej dotknął, tym razem delikatnie popychając na siedzenie. Położył jej oparcie i nakrył czoło oraz oczy mokrą tkaniną.

– Proszę tu poleżeć, a ja zaraz wezwę pomoc – powiedział.

Chciała odmówić, jednak ją to przerosło. Kompres, jego chłód i błoga ciemność, jaką dostarczał, nie był cudownym remedium i nie rozprawił się z bólem, jednak przynajmniej przywrócił jej choć częściową zdolność myślenia. Zdała sobie sprawę, że siedzi w nieswoim aucie, możliwe, że notowanym, w bagażniku krył się mały arsenał, a Drelich dojeżdżał właśnie do parkingu, na którym powinni się spotkać. Pewnie gdyby teraz do niego zadzwoniła, przyjechałby tu szybciej niż wzywana właśnie karetka, ale

wiedziała, co z kolei kryje się w jego wozie, w pudełku po lodówce. Szlag by to!

– Czuje się pani lepiej? – zapytał cicho ciepły głos. – Ja wiem, że jest gorąco i...

– Tak, już lepiej, dziękuję – wyszeptała. Chciała dodać do tego prośbę, by nie wzywał karetki, ale nagle uświadomiła sobie, jak wygląda. Opuchnięta twarz, ślady po pobiciu. Właściciel głosu musiał to widzieć i teraz pewnie dodawał dwa do dwóch. Prośzenie o odwołanie pomocy byłoby więc najgorszą możliwą opcją.

– Włączę pani klimatyzację – powiedział i pochyliwszy się nad nią, przekręcił kluczyk.

Po chwili poczuła powiew. Chłodny jak przyjemna bryza.

– Zamknę tu pani drzwi, ale jakby co, będę w pobliżu.

– Dziękuję.

Nie miała pojęcia, jak długo tak leżała. W międzyczasie dwa razy zadzwonił jej telefon, ale nawet nie próbowała go odebrać. Obstawiała, że przynajmniej jedno połączenie to Drelich – na pewno się przejął, jednak choć ból powoli z niej schodził, a obręcz zwalniała uścisk na skroniach, Iza nie czuła się jeszcze gotowa na zdjęcie kompresu choćby na moment. W ustach czuła kwaśno-gorzki posmak, ciągle zbierało jej się na wymioty. Bała się drugiego dźgnięcia światła. Drugiej eksplozji.

Karetki wciąż nie było. W ogóle wokół mercedesa zrobiło się cicho, jakby wszyscy sobie wreszcie poszli, ale wtedy usłyszała ciepły głos rozmawiający z jakąś kobietą. Mówił, że nie może pójść, dopóki nie przyjedzie karetka, i że najwyżej spotkają się na

food courcie, bo przecież i tak planowali coś zjeść. Kobieta nie brzmiała przyjemnie, raczej zgryźliwie, szorstko, władczo i złośliwie. Nie miała w sobie za grosz empatii, niczym zła siostra Krystyny Czubówny.

Telefon zadzwonił po raz trzeci. Iza zaryzykowała i poruszyła się, a gdy nie przypłacała tego falą bólu, wymacała urządzenie, a następnie na chybił trafił przejechała palcem po ekranie, próbując trafić w zieloną słuchawkę. Nie udało się ani za pierwszym, ani za drugim razem. Przy kolejnej próbie telefon przestał dzwonić.

Usłyszała ciche stukanie w szybę, a następnie drzwi otworzyły się i znowu uderzył ją w nozdrza ciepły smród.

– Jak pani się czuje? – zapytał głos. – Karetki jeszcze nie ma. Dzwoniłem po raz drugi, ale na obwodnicy jest ponoć jakiś poważny wypadek i...

Spróbowała się uśmiechnąć.

– Już mi naprawdę lepiej – zapewniła.

Na dowód ostrożnie, z wyraźną obawą zsunęła kompres z oczu i jeszcze wolniej je otworzyła. Wciąż czuła ból, ale już znośny, dający się okiełznać. Rozmyty obraz wyostrzał się z każdym mrugnięciem. Spojrzała na zegarek, uzmysławiając sobie, że leżała tu prawie pół godziny. Pół godziny, podczas których nie przyjechała żadna karetka, a ten facet czekał przy niej cierpliwie.

Spojrzała na niego i do pewnego stopnia wyglądał niemal dokładnie tak, jak mogła go sobie wyobrażać po głosie i pulchnej, wilgotnej dłoni. Gruby, z potrójnym podbródkiem, w okularach i z przerzedzonymi czarnymi włosami.

Zaskoczył ją za to jego tiszert, jeden z tych patriotycznych, z wilkiem i łopoczącą biało-czerwoną flagą. Ostatnie, z czym przywykła kojarzyć ludzi ubranych w ten sposób, były troska i życzliwość względem innych.

– Pomoże mi pan wysiąść?

– Oczywiście.

Złapała torebkę i telefon i ze wsparciem wygramoliła się z auta.

Kiedy się zachwiała, zdała sobie sprawę, że mężczyzna przygląda się uważnie jej twarzy. Czyżby dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, jak mocno jest poobijana?

Wyciągnęła do niego rękę.

– Bardzo panu dziękuję za pomoc – powiedziała. – Nie wiem, jak by to się skończyło, gdyby nie pan.

Zanim podał jej dłoń, szybkim ruchem wytarł ją o spodnie.

– Jest pani pewna, że nie chce poczekać na karetkę? – zapytał.

– Tak, już mi naprawdę lepiej – odparła. – Widzi pan, chyba za mocno oberwałam na treningu i teraz to słońce...

Zmarszczył brwi. Widziała, że waha się, czy uwierzyć, czy jednak jeszcze o coś zapytać. W końcu jednak się uśmiechnął.

– Cieszę się, że mogłem pomóc, pani...

– Iza, bez pani.

– Julek.

Skinęła głową.

– Jeszcze raz bardzo dziękuję, Julek.

Gdy szła w stronę galerii, czuła na sobie jego spojrzenie. Oddaliła się, by jej nie słyszał, i sprawdziła połączenia. Wszystkie trzy od Drelicha. Oddzwoniła. Odebrał po pierwszym sygnale.

– Co się stało? – zapytał.

Streściła mu pokrótce w taki sposób, by nie chciał zaraz przyjeżdżać, i zapewniła, że już wyrusza, tylko najpierw wstąpi do apteki i podpompuje koło. Chciał coś odpowiedzieć, ale rozłączyła się, nie miała ochoty na rozmowę. Po chwili wysłał jej koordynaty GPS parkingu z prośbą, by się pospieszyła.

Zirytował ją tą uwagą. Tak jakby specjalnie robiła mu na złość i wszystko opóźniała, bo nie mogła się zdecydować, czy buty pasują jej do torebki!

W galerii udała się najpierw do łazienki, by ostrożnie opłukać twarz i poprawić makijaż. Kupiła wodę, opakowanie solpadeiny i okulary przeciwsłoneczne w sklepiku wyspie, po czym wróciła do auta. Usłyszała karetkę, jeszcze zanim ją zobaczyła. Nadjeżdżała dokładnie tą samą drogą, co ona wcześniej, torując sobie drogę sygnałem świetlno-dźwiękowym i klaksonem. Rozejrzała się za Julkiem, by jeszcze raz mu podziękować, ale mężczyzny już nie było. Odpaliła silnik, wbiła wsteczny i wyjechała z parkingu.

Gdy zjeżdżała na stację Lotosa tuż za miastem, migrena stała się już ćmiącym wspomnieniem, choć skóra głowy, twarz i brzuch bolały teraz mocniej.

Minęła dystrybutory i zatrzymała się od razu przy kompresorze. Kawałek dalej blondynek w nieskazitelnie białym polo kłął na stacyjny odkurzacz, a mężczyzna przy lawecie wyjątkowo głośno odbierał wezwanie. Iza wysiadła, złapała za przewód i przykucnąwszy przy kole, wpięła końcówkę w wentyl. Sprawdziła w internecie właściwe ciśnienie dla modelu i ustawiła dystrybutor.

Zauważyła, że przygląda jej się grupka Romów stojących pod stacją, ale nie przejęła się nimi specjalnie. Zresztą zanim napompowała pozostałe koła, już ich nie było.

49

Drelich celowo wybrał taki właśnie parking. Nieduży, zaniedbany, częściowo osłonięty drzewami od strony drogi i z powodu wąskiego wjazdu niedostępny dla ciężarówek. Brak baru, dwa stare toi toie zamiast murowanych toalet i sfatygowana drewniana wiata nie zachęcały do rodzinnych postojów, a płochliwych amatorów szybkich numerków odstraszało stojące w cieniu kombi.

W którym lada chwila zacznie cuchnąć od puszcanych przez trupa gazów, pomyślał. Zerknął na zegarek. Minęło prawie dwadzieścia minut od chwili, gdy Iza oddzwoniła do niego po jego trzech telefonach. Zrobiła to niemal w ostatniej chwili, bo zdążył już przeanalizować wszystkie dostępne scenariusze i właśnie zbierał się, by wrócić do miasta. Gdy wreszcie się odezwała, najpierw poczuł ulgę, potem wściekłość. Wreszcie dotarło do niego, że jego była żona zebrała solidny łomot, właśnie zabiła człowieka i jechała przez miasto skradzionym autem. Był jej winien o wiele więcej niż trochę cierpliwości.

Kilka razy przeszedł się wkoło parkingu, a w końcu zapuścił w głąb zarośniętej drogi wiodącej przez las. Dawno nie chodził po lesie, a przecież kiedyś tak bardzo lubił patrzeć na plamy światła i cienie na drodze, lubił miękkość i szelest ściółki, zapach i spokój. Tym razem efekt psuło trochę to, że raz po raz oglądał się na samochód i nieustannie pilnował, by zasięg telefonu nie zszedł

poniżej dwóch kresek. Starał się nie myśleć o tym, do czego musiał wziąć się od jutra. Sprawdzanie pozyskanych informacji, planowanie, analizowanie danych i szukanie słabych punktów celu było jego chlebem powszednim, ale nie w takich okolicznościach. Nie na takich warunkach i nie o taką stawkę. Odganiał myśli o czekającej go jeszcze tego wieczoru rozmowie telefonicznej, o której wiedział przecież, jak się potoczy.

Spojrzał na wyświetlacz telefonu i w tym samym momencie zadzwoniła Iza. Zupełnie jakby przywołał ją telepatycznie.

– Ktoś mnie śledzi – powiedziała, gdy odebrał. – Cyganie w czerwonym bmw.

Docisnął słuchawkę ramieniem do ucha, sięgnął do tylnej kieszeni po notes z kawałkiem ołówka.

– Jesteś pewna?

– Tak, kurwa, Drelich, jestem pewna – warknęła ostro, ale zaraz syknęła i dodała już ciszej: – Gapili się na mnie już na stacji. Gdy wyjeżdżałam, widziałam, że siedzą w aucie, jakby tylko na to czekali. Teraz za mną jadą.

– W porządku. Ilu ich jest?

– Widziałam dwóch.

Zanotował.

– Ile pokazuje GPS? I z jaką prędkością jedziesz?

– Cztery minuty. Sto dziesięć.

To również zapisał.

– Zwolnij do stu. Nie mniej, bo się połapią, że coś nie gra. Do stu.

– Jasne.

Drelich zawrócił i ruszył w drogę powrotną na parking.

– Widzisz w lusterku ich numery? – zapytał, rozglądając się. Na moment zszedł z drogi, rozkopał nogą krzaki i pnącza.

– Nie. Teraz dzielą nas dwa samochody.

– Dobrze. Gdy widziałaś ich na parkingu, mieli na sobie luźne koszule, cokolwiek, co mogłoby im ułatwić skrywanie broni?

– Aż tak się nie przyjrzałam, ale raczej nie.

– Rozłączę się teraz. Zaraz oddzwonię.

Z telefonem w jednej i notesem w drugiej ręce podbiegł do samochodu. Powiódł wzrokiem po parkingu, jeszcze raz rozważając dostępne opcje, po czym wskoczył za kierownicę i szybko przestawił auto, tak by stało prostopadle do drogi wiodącej w głąb lasu. Otworzył schowek, wygrzebał z niego kilka starych gazetek reklamowych. Przeładował pistolet Natana, wpiął słuchawki do telefonu i sprawdził godzinę. Wszystko zajęło mu minutę dziesięć. Oddzwonił do Izy.

– Jak będziesz miała kilometr do mnie, to w miarę możliwości przyspiesz, zwiększ dystans – powiedział. – Wjeżdżając na parking, nie zwalniaj, jedź drogą prosto w las. Miniesz moje auto z prawej i teraz się skup...

– Jestem skupiona, Drelich!

– Już na tej drodze zwolnisz i odbijesz w lewo. Tam jest takie wgłębienie z chaszczami, wygląda jak lej. Zjedziesz tam, wysiądziesz z auta i ukryjesz się za drzewami. Jasne?

– Jasne.

– Dystans?

Uznał, że na tym etapie to będzie precyzyjniejsza miara, skoro mogą skorzystać jedynie z GPS-u.

– Trzy kilometry.

– Okej. Pamiętaj, co masz...

– Drelich, nie wkurwiał mnie teraz, próbuję się skupić, a napieprza mnie głowa.

– Jasne.

Czekał z włączonym silnikiem. Zerknął w lusterku na stojące za nim toi toie, a potem w bok na niewielki zarośnięty rów ciągnący się wzdłuż parkingu. Skrzył się gdzieś tam, więc możliwe, że pod liśćmi kryła się woda, może błoto. Zaklął w duchu, że tego nie sprawdził. Teraz było już za późno.

– Kilometr – powiedziała Iza. – Wyprzedzam i przyspieszam.

– Tylko ostrożnie.

– Zamknij się.

Usłyszał ryk silnika na zredukowanym biegu i zorientował się, że wstrzymuje oddech. Ktoś zatrąbił, możliwe, że na nią, pewnie zmusiła kogoś z przeciwka do hamowania. Zaraz potem zobaczył, jak Iza zwalnia gwałtownie, by wejść w ostry zakręt i zmieścić się na wąskim wjeździe na parking. Zrobiła to bardzo sprawnie, w co nie wątpił, bo przecież wiedział, co potrafi. Od zawsze miała do tego talent.

Już na parkingu docisnęła gaz, wzbijając tumany kurzu, i przemknęła obok Drelicha. Natychmiast podjechał dwa metry do przodu, blokując wjazd na drogę, przekręcił kluczyk w stacyjce, szarpnął za ręczny, złapał gazetki oraz soplówkę i wyskoczył z auta do rowu.

Mimo płytkiego błota przebiegł szybko do toi toiów i schował się w pierwszym z uchylonymi drzwiami. Zdążył, zanim jadące główną drogą czerwone bmw wyłoniło się zza ciężarówki. Przez kilka sekund myślał, że po prostu pojedą dalej, ale musieli albo

zauważyć, jak Iza zjechała, albo się domyślić, bo skręcili gwałtownie na wysokości wąskiego wjazdu.

Pot i smród gryzły go w oczy, jednak wytrzymał do chwili, aż się zatrzymali. Wtedy ukrył pistolet za paskiem spodni i wyszedł, jak gdyby nigdy nic wachlując się gazetkami.

Zauważyli go od razu. Widział, że są zdezorientowani, bo kombi przesłaniało im drogę do lasu, więc z ich perspektywy mercedes po prostu zniknął. Teraz wszystko zależało od tego, jak szybko się zorientują i co w związku z tym zrobią. Drelich z twarzą skrytą za wachlarzem z gazet szedł wolno, trzymając się swojej roli. Starał się na nich nie patrzeć. Jedyne dłuższe spojrzenie zaryzykował, by upewnić się, że jest ich tylko dwóch.

W końcu pasażer bmw wskazał na niego i coś powiedział. Kierowca podjechał po łuku, zatrzymał się równoległe do kombi i opuścił szybę.

– Nie widziałeś tu mercedesa? – zapytał. Był młody. Wąsik pod nosem bardziej przypominał cień niż zarost.

Drelich udał, że się zastanawia, drapiąc się gazetkami po nosie.

– Nie – stwierdził w końcu.

Pasażer powiedział coś po romsku. Kierowca skinął głową.

– Chcę zobaczyć twój nos – oznajmił.

– Nie – powtórzył Drelich. Dostrzegając drgnięcie pasażera, wykonał szybki ruch prawą ręką, dobył broni i wycelował kierowcy w głowę. Pasażer w tym czasie sięgnął do schowka, ale zdążył go tylko otworzyć.

– Ręce na widoku – polecił Drelich. – Schowek zamknij kolanem.

Gdy wykonano polecenie, pochylił się nieco i wciąż zasłaniając połowę twarzy gazetkami, spojrzął na obu mężczyzn przez otwarte okno. Kierowca z nienawiścią patrzył mu w oczy znajdujące się tuż nad wyblakłą reklamą tanich winogron i trzech maseł w oślece w cenie dwóch.

– Już nie żyjesz – wycedził.

Drelich pokręcił głową.

– Żyję i mam się dobrze – odparł. – I wy też będziecie, bo bardzo nie chcę wam zrobić krzywdy ani z wami walczyć. Wiem, że jestem dla was obcy, a wy nie rozmawiacie z obcymi i im nie ufacie. Szanuję to i nie zamierzam tego przesadnie nadużywać. Ej, nie patrzcie po sobie. Patrzcie tu, na gazetkę. – Poczul w kieszeni wibrację telefonu, ale musiał ją teraz zlekceważyć. Zerknął w stronę drogi. – Jechaliście za mercedesem, bo jego właściciel zrobił coś, za co chcecie go dorwać – ciągnął. – Nie wam konkretnie, tylko komuś od was, bo wy nie wiecie dokładnie, jak wygląda, tylko że ma charakterystyczny nos. Płaski, prawda? Z usuniętą chrząstką?

Nie odpowiedzieli. Kierowca patrzył na niego z zaciętością, pasażer kombinował coś z rękami. Drelich napomniął go grzecznie, by tego nie robił.

– Rozumiem, że to poważna sprawa, bo zesłaliście informacje i wypatrujecie go na wszystkich okolicznych stacjach wokół Warszawy. Rozumiem też, że jechaliście tu za mercedesem, bo zgadzała się i marka, i numery. Tak, to samochód należący do faceta z płaskim nosem. Jeśli chcecie dostać auto oraz właściciela, musicie teraz zadzwonić do kogoś wyżej. Nic więcej. Zrobicie to? Namyślcie się, proszę. Muszę z nim pogadać.

Zadając ostatnie pytanie, cofnął się o krok i opuścił broń. Symbolicznie, ale nie celował już w głowę kierowcy, tylko w drzwi. Pozwolił im porozmawiać po romsku, podjąć decyzję, a w końcu sięgnąć po telefon. Dzwonił pasażer, mówił coś szybko nerwowym głosem, potem słuchał. Wreszcie wyciągnął do niego rękę z telefonem.

– Możesz mi go podać? – zapytał Drelich kierowcy. – Nie chciałbym sięgać w głąb auta.

Kierowca wykonał polecenie i nagle Drelich znalazł się w dość kłopotliwej sytuacji – musiał zdecydować, którą rękę zwolnić. Uznał jednak, że na tym etapie może sobie pozwolić na odłożenie broni. Niewiele rozumiał z romskiego, ale na tyle, na ile się orientował, naprawdę rozmawiali z kimś wyżej od siebie i nie powinni zrobić nic przynajmniej do końca rozmowy. Mimo to przesunął się na bok, w stronę tylnych drzwi, by w najgorszym razie utrudnić Romom jakiegokolwiek sztuczki. Położył pistolet na dachu, wziął telefon, zerknął na wyświetlacz. Zobaczył imię Perhan i numer, którego nie próbował nawet zapamiętać.

– Dzień dobry – powiedział.

– Podobno trzymasz na muszce moich ludzi – odezwał się szorstki głos z mocnym akcentem.

– Tak – przyznał Drelich. – Śledzili moją przyjaciółkę. Ale naprawdę nie chcę sporów. Wiem natomiast, a raczej podejrzewam, że interesuje pana płaskonosy człowiek zwany Natanem, podróżujący srebrnym mercedesem, tak?

Perhan potrzebował kilku sekund na przetrawienie tych informacji. Czas, w którym Drelich, nie pokazując twarzy zza wachlarza z gazetek, musiał docisnąć telefon ramieniem do ucha,

sięgnąć po broń i zastukać w tylną szybę, by jeszcze raz odradzić pasażerowi głupie inicjatywy.

– Rozumiem, że wie pan, gdzie on jest, panie...

– Wolałbym, żeby Natan pozostał jedynym imieniem czy ksywą, jakie padną w tej rozmowie. I tak, wiem, gdzie on jest. I chciałbym wydać go panu, jeżeli naprawdę panu na nim zależy.

Tym razem Perhan nie zastanawiał się długo.

– Za ile?

– Za darmo, o ile zgodzi się pan przyjąć trupa. Natan naraził się nie tylko panu, więc teraz jest w moim bagażniku, czysty, bez śladów. Planowałem go wyrzucić, mogę jednak przekazać panu.

W słuchawce zapadła cisza. Mógł się tylko domyślić reakcji Perhana, ale jeśli był on choć w połowie tak zaskoczony jak ci dwaj, musiał mieć naprawdę głupią minę.

– Co zrobił? – zapytał w końcu Perhan.

– Mnie? To nie ma znaczenia, proszę pana. Ma znaczenie, czy chce pan to ciało czy nie. Ja, niezależnie od pana decyzji, proszę, żeby pana ludzie nie robili mi kłopotów. Tylko tyle.

– Chwileczkę, a co z jego samochodem? Co z zawartością bagażnika?

Drelich nie wiedział, o co chodzi, ale niespecjalnie go to obchodziło.

– Jeżeli pan chce, jest pański – powiedział. – I samochód, i bagażnik. Ale tylko z trupem. To pakiet.

– Skąd mam wiedzieć, że nie jesteś policjantem?

– Powtórzę to jeszcze raz. Mam trupa w bagażniku. To przekracza wszelkie dopuszczalne policyjne prowokacje, nie sądzi pan?

Perhan znowu umilkł.

– Daj mi tamtych – powiedział w końcu.

Drelich posłusznie oddał telefon kierowcy i odsunął się od auta. Powiódł wzrokiem po linii drzew za swoim kombi, próbując wypatrzeć ukrywającą się Izę, ale nigdzie jej nie dostrzegł.

Pasażer bmw rozmawiał przez minutę z Perhanem, choć właściwszym określeniem byłoby: przytakiwał jego poleceniom. W końcu rozłączył się i spojrzał na Drelicha.

– Bierzemy i ciało, i auto – oznajmił. – Mogę wysiąść?

– Tak. – Drelich na znak dobrej woli schował broń za pasek. Począł, aż Rom obejdzie samochód i stanie obok. Był naprawdę dobrze zbudowany, a cienkie i grubsze różowe kreski na śniadych rękach świadczyły o zaprawieniu w boju. Obok oka miał bliznę, a w lewej gałce pęknięte, rozlewające się naczynko.

– Trup jest u mnie w aucie, w pudle po lodówce, mercedes ukryty w krzakach. Pójdę po niego, a wy przełóżcie ciało do siebie. Jak chcecie rozcinać, by się upewnić, zróbcie to już u siebie, dobrze? Głowa jest od strony etykiet.

Podał Romowi kluczyki i nie czekając na reakcję, wyminął go, spod przedniego siedzenia kombi zabrał reklamówkę i wszedł w las. Dopiero wtedy opuścił rękę z gazetkami. Wiedział, że mężczyzna się waha, a może nawet w tym momencie buntuje i chce za nim zawołać. Ale wiedział też, że raczej tego nie zrobi. Rozkazy z góry padły, a czas gonił. Był biały dzień, parking znajdował się przy ruchliwej drodze, więc im szybciej się z tym uporają, tym lepiej.

Przeszedł kilkadziesiąt metrów leśną drogą, aż zobaczył dach ukrytego w dole mercedesa.

– Możesz już wyjść – powiedział.

Iza wyłoniła się zza drzew.

– I co? Co się tam dzieje? – zapytała.

– Szukali go, dlatego jechali za tym wozem. Czymś im podpadł i teraz wezmą od nas trupa i auto.

Uniosła brwi.

– Tak po prostu?

– A co tu komplikować? – Sięgnął do reklamówki i wyjął z niej szmaty, wybielacz oraz sprej do tapicerki. – Chodź, musimy sprzątnąć w środku, by nie zostały po tobie ślady.

Iza podeszła do niego i wzięła szmatę, ale gdy tylko poczuła ostry smród chemikaliów, zakręciło jej się w głowie. Wsparła się na Drelichu, a następnie zgięła w pół i zwymiotowała na połamane pod kołami łądygi i liście.

– Tyle z zacierania śladów – stwierdziła, gdy już udało jej się wyprostować i utrzymać jako taki pion na rozedrganych nogach. Drelich podprowadził ją do drzewa, posadził, opierając o pień, i zabrał szmatkę.

– Usiądź sobie, ja posprzątam – powiedział.

Uśmiechnęła się.

– Wiesz, że to zdanie wypowiedane częściej mogło kiedyś uratować nasze małżeństwo?

Parsknął i pokręcił głową.

– Gdybym tylko wiedział – stwierdził. – Mielibyśmy trupa tydzień w tydzień.

Wyprowadzenie auta na drogę przerosło ich możliwości, ale Drelich uznał, że nie będą się tym przejmować, więc po

wyczyszczeniu śladów zostawili mercedesa wraz z całą zawartością bagażnika, którą jednak najpierw uważnie obejrzał i sfotografował.

– Zasłoń twarz – polecił Izie. – Nie chcę, żeby cię widzieli.

– Czym niby?

Wzruszył ramionami.

– Możesz bluzką. Jestem pewien, że po staniku cię nie rozpoznają.

Iza prychnęła, ale po namyśle ostrożnie ją zdjęła. Gdy to zrobiła, zobaczył wielki siniec na jej brzuchu i poczuł, że pięści mimowolnie mu się zaciskają.

– Usiądź za siedzeniem kierowcy – powiedział, obwiązując sobie twarz bandaną. – Nie obchodź auta.

Gdy znalazł się z powrotem na parkingu, pudło po lodówce leżało już na poskładanych tylnych siedzeniach bmw, a kierowca próbował bezskutecznie domknąć drzwi.

– Dacie radę tak jechać? – zapytał Drelich.

Pasażer machnął ręką.

– Zaraz będziemy mieli coś większego – odparł. – Gdzie mercedes?

– W krzakach – wyjaśnił, gdy wymienili się kluczykami. – Będzie wam potrzebna lina. Ach, i przepraszam za to mierzenie do was z broni.

– W porządku.

Kierowca rzucił coś po romsku, co sądząc po zwięzłości i ekspresji, było dosadnym wulgaryzmem. Drelich podał pasażerowi rękę, a ten po krótkim namyśle uścisnął ją.

– Powodzenia – powiedział przy tym.

– Wam również – odparł Drelich.

Wsiadł do kombi, włączył silnik i spokojnie wyjechał z parkingu. Gdy po niespełna kilometrze Iza, już ubrana, przesiadła się do przodu, zawrócił w stronę Warszawy.

50

– Dystans, kurwa, lewa, dystans!

Adaś dyszał ciężko. Pot spływał po nim ciurkiem, łaskotał po plecach, nogach, zalewał oczy, mięśnie drżały ze zmęczenia. Z chęcią jebnąłby temu rozwrzeszczanemu dziadowi, a potem usiadł i odpoczął. Nic nie miał przeciwko chłopakowi zamierzającemu się na niego. Nie widział w nim Drelicha, więc nie umiał się na niego wkurwić!

– Podbródkowy, dajesz! – darł się trener. – Co ty robisz?! Nie daj mu się sprowadzić do parteru! I szybciej, kurwa! Co ty, w wodzie ćwiczysz?!

Adaś uderzył raz i drugi, odepchnął od siebie przeciwnika i zatańczył, odzyskując utracony rytm kroków. Zgubienie rytmu, choćby na moment, to duży błąd. Karygodny. Wykorzystany przez dobrego przeciwnika, mógł się skończyć przegraną.

– Nogami pracuj! I lewa! No ja pierdołę, co mówiłem o dystansie?! Co ty, kurwa, dziecko jesteś?!

Przewrócony Adaś poleciał na matę. Grzmotnął o nią plecami, stracił oddech i kontrolę nad sytuacją. Przeciwnik błyskawicznie wykorzystał to, wspiął się na niego i w dosiadzie zaczął go okładać po twarzy, aż usłyszał „stop”.

Wtedy podniósł się, uśmiechnął, prezentując niebieską bokserką szczękę, i wyciągnął do Adasia rękę. Ten pokręcił głową na znak, że musi jeszcze poleżeć.

– Łap oddech i widzimy się na worku – powiedział trener. Już spokojnie, bez krzyku i wściekłego wykrzywiania twarzy. Jak mawiali tu starsi bywalcy, pstryczek wściekłości w pozycji off.

Adaś zamknął oczy. Nie spodziewał się, że będzie tak ciężko. W końcu, cholera, trzymał formę, trenował regularnie. Ale jednak co walka, to walka. Przygotowanie bezpośrednie oznaczało zmianę nawyków, przechodzenie z budowania siły w pracę nad szybkością i dawało w kość.

Zresztą, co tu kryć, Adaś odwykł od aż takiej intensywności. Gdy wczoraj, zaraz po oddaniu wozu do myjni, zgłosił się do trenera Morela, u którego ćwiczył na co dzień, odkąd przeprowadził się do Gdańska, tamten od razu stwierdził, że będzie ciężko.

– Kiedy ty się ostatni raz biłeś zawodowo, dzieciaku? – zapytał, przyglądając gęstego posiwiałego wąsa. – I co to właściwie za walka ma być?

– Najważniejsza, trenerze – odparł Adaś, nie chcąc wchodzić w szczegóły. – Taka na maksa. I raczej poza oktagonem.

Trener uśmiechnął się, po części z sympatią, ale bardziej z drwiną. Podał stawkę, a gdy ten zgodził się na nią bez mrugnięcia, zapytał go o przeciwnika.

– Niewiele mogę o nim powiedzieć – stwierdził Adaś. – Prawie na pewno parterowiec, widziałem, jak dusi. Starszy ode mnie, tak pod czterdziestkę. Metr osiemdziesiąt, podobna waga, myślę.

Umilkł, a wtedy trener znowu skubnął wąsa.

– I nie masz nic więcej na jego temat? Żadnych nagrań walk, rekordu, może choć co ćwiczył i gdzie?

Adaś pokręcił głową.

– To wszystko, co mam, trenerze.

Morel usiadł za swoim biurkiem, sięgnął po długopis. Bawił się nim ze dwie minuty, zapatrzony w jakiś punkt na ścianie, obracał między palcami i pstrykał, ilekroć przycisk znalazł się w zasięgu kciuka. W końcu sięgnął po pustą kartkę i zaczął coś rysować i pisać.

– Przyjdź jutro, z samego rana – polecił. – Daleko mieszkasz?

– Z siedem, osiem kilometrów.

– Więc na poranny trening masz tu przybiec. Zaczynamy punkt siódma.

I rzeczywiście zaczęli, najpierw od kwadransa na skakance, potem stacji, wreszcie tych cholernych sparringów. Pięć walk po cztery minuty każda, a wszystkie z młodymi dzieciakami aż palącymi się do skopania komuś dupy. Z pierwszym poszło mu nawet łatwo, więc poczuł się za pewnie i drugi szybko ustawił go do pionu. Przy trzecim ślizgał się już na własnym pocie i czuł ogień w płucach, ale pilnował dystansu, punktował i nie dał się obalić. Przy czwartym raz leżał, ale wywinął się i podniósł. Piąty był już bardziej walką z samym sobą, by ustać i utrzymać tempo.

Nad tym wszystkim niosły się krzyki Morela, może i słuszne, ale wkurwiające. Kilka razy miał ochotę odpyskować, jeszcze częściej zwyczajnie odpuścić, wtedy jednak przed oczami pojawiała mu się twarz Drelicha i jakoś zbierał się w sobie.

Skurwiel załatwił ich w tym aucie na szaro. Rozegrał jak tanie dziwki, obezwładnił jak dzieci, aż wreszcie zostawił, by się poszczali i przegrzali. A potem jeszcze Wójcik, który zjebał ich trzech po równo, chociaż wiadomo było, kto znał Drelicha i kto powinien być najlepiej przygotowany. I nie miało znaczenia, że

Adaś prowadził, że w normalnej walce nigdy by do czegoś takiego nie doszło, a już na pewno gdyby siedział tam, gdzie Szary czy nawet Pumba. Dostali wpierdol i najedli się wstydu. I teraz zamierzał zrobić wszystko, by ten wstyd odpracować. Zmierzyć się z Drelichem na normalnych warunkach i zasadach.

Tym razem nie zamierzał go lekceważyć. Chciał być gotowy jak jeszcze nigdy wcześniej. Skoro i tak kilka dni musiał spędzić w Gdańsku, by uczestniczyć w biznesach, wykorzysta je najlepiej, jak się da. Miał nadzieję, że Drelich do tego czasu się zabunkruje i Natan, który niewątpliwie pojechał do Warszawy, da dupy. Może trzeba będzie mu w tym pomóc, uzmysłowić Drelichowi, że sprawa wciąż jest w toku, a Wójcik nie odpuścił? Może znowu w jakiś sposób przez Kracha?

W każdym razie Drelich należał do niego. I Adaś tym razem będzie gotowy.

„Zajebię cię” – powtarzał w myślach, podnosząc się z maty i człapiąc w stronę worka.

Morel już tam był, jego wąż drgał nerwowo, policzki stężały.

– Dwadzieścia sekund luźnej pracy i dziesięć biegu bokserkiego na pełnej kurwie – powiedział, gdy Adaś zajął pozycję. – Dziesięć rund, czas start!

Adaś uderzył w worek.

Po przerwie obiadowej dostał wiadomość, że samochód jest do odebrania z myjni, a potem kolejną, od Wójcika, że nie musi jutro z nimi jechać na spotkanie. Nie wiedział, czy to dobry znak, jednak póki szef nie wysadził go z wyjazdu do Kłodzka, raczej nie było źle. Wszyscy jechali teraz na tym samym wózku. Gdyby

rozniosła się wieść o spartaczonej akcji z Drelichem, już nie tylko Wójcik, ale też ich czterech najadłoby się wstydu.

Drugi trening zaczęli od ćwiczenia obrony przed obaleniem. Tu spokojniejszy z początku Morel najpierw przypomniał kilka technik, potem zawołał dwóch zapaśników i Adaś ćwiczył z nimi na zmianę.

Gdy skończyli, trener już na powrót z przełączonym pstryczkiem darł się, ile wlezie, gdy kolejni młodzi gniewni z różnym skutkiem próbowali Adasia obalić.

– Biodra! Ręka na kark, druga pod pachę! No na chuj go ciągniesz za tę głowę, na chuj ciągniesz?!

Cztery rundy, każda po pięć minut. Podobnie jak rano, już trzecie starcie zamieniło się w walkę o życie i oddech. Każdy ruch był tylko po to, by Morel stulił wreszcie swój pieprzony ryj!

Ale ponieważ trener nie przestawał, to i on nie mógł. Przyjmował więc pozycję, bronił się i szarpał. Ręce i nogi pracowały same, niezależnie od głowy. Raz to wystarczało, innym razem nie, a wtedy krzyki przybierały na decybelach. Czerwona twarz trenera sprawiała wrażenie, że zaraz eksploduje. Wyglądało, jakby to on się szarpał, jakby to on pchał, ciągnął, zakładał dźwignię i wyrywał zablokowane kończyny. I może tak właśnie było, bo ręce i nogi Adasia nie słuchały już głowy, tylko niosących się po sali krzyków.

Na koniec zabrali się za leżący worek, na którym ćwiczył szybkie przechodzenie z bocznej do dosiady, kończąc rundę dziesięciosekundowym napieprzaniem w worek. Z całej siły i z całą prędkością.

Gdy skończył, padł na matę obok, dysząc ciężko.

Trener Morel wyrósł nad nim niczym cień.

– To nie był najgorszy trening, jaki widziałem – stwierdził z uśmiechem. – Może coś jeszcze z tego będzie.

51

Aż do granicy miasta jechali w milczeniu. Drelich prowadził, Iza trzymała twarz przy szczelinie uchylonego okna. Zamknęła oczy. Chłodny powiew działał kojąco, choć drgania wywołane każdą nierównością były niczym wbijający się w mózg kawałek szkła.

– Co tam właściwie zaszło? – zapytała w końcu.

– Szukali go – odparł Drelich. – Tego Natana. Nie pytałem o szczegóły, ale musiał im poważnie podpaść, więc rozpuścili wici wśród swoich, żeby go wypatrywali. Zauważyli samochód, ale nie zgadzała się osoba, więc pojechali za tobą. Tak by to pasowało. Nie chcesz się zatrzymać? Wody jakiejś?

Chciała potrząsnąć głową, jednak w porę przypomniała sobie, czym to grozi. Ból, przyczajony gdzieś za oczodołami, wciąż nie spał. Wciąż czekał okazji.

– Niczego mi nie trzeba, dzięki – odparła i zamilkła na chwilę, pozwalając dojrzeć w głowie kolejnej myśli, kolejnemu pytaniu. Starannie obróciła je w umyśle, nim wreszcie wypowiedziała na głos.

– Nie masz wrażenia, że w całej tej sytuacji nagromadziło się jakoś dużo zbiegów okoliczności?

Zerknął na nią z uśmiechem. Zmarnowanym, bo wciąż miała zamknięte oczy.

– W zasadzie to nie – odparł. – To znaczy ta sprawa zaczęła się ewidentnie od niefortunnego splotu wydarzeń i przypadek sprawił, że trafiłem czy też trafiliśmy prosto w ten splot. Ale poza tym wszystko wynika tu z siebie. Wójcik jest przekonany, że zdradza go żona, więc chce się odegrać. Kiedy identyfikuje gościa ze zdjęcia, wysyła po niego swoich zakapiorów, a gdy tym nie wychodzi, z obawy, że gach się ukryje i zacznie szukać protekcji, wysyła kogoś niebezpieczniejszego po jego rodzinę. Jak dotąd bardzo spójne, nie?

Jeszcze raz na nią spojrział, ale nie odpowiedziała, z twarzą wciąż w oknie. Niezrażony kontynuował:

– Co do Cyganów natomiast, Natan mógł im coś kiedyś zrobić i po prostu znaleźć się na ich liście, ale jakimś trafem omijał ich stacje, albo to świeża sprawa. Wtedy szanse na wpadkę w tym wozie szybują w górę, bo obstawili stacje zapewne w promieniu kilkudziesięciu kilometrów... Jak mówię, przypadek jest tu w zasadzie jeden. U podstawy.

Wyprostowała się i spojrzała na niego, nieco za szybko unosząc brwi. Syknęła.

– Zatrzymać się?

– Nie, w porządku. Co rozumiesz przez przypadek u podstawy?

– No że akurat oszuści trafili na kogoś z branży i że znalazł się ktoś, kto był w stanie mnie zidentyfikować – wyjaśnił. – Takich osób nie jest znowu aż tak wiele.

– Czekaj, czekaj, jacy oszuści?

Zredukował bieg do wyprzedzania. Wykonał manewr, zmniejszył obroty i dopiero wtedy odpowiedział na jej pytanie.

– Wiem już, skąd wzięła się cała ta sprawa. Jest takie oszustwo matrymonialne, nazywa się amerykański żołnierz i polega...

– Czytałam o tym – przerwała mu. – Numer kilka lat temu bardzo popularny w Polsce.

Wzruszył ramionami na znak, że nie może tego potwierdzić, ale też nie zamierza zaprzeczać.

– Ktoś użył moich zdjęć – powiedział. – Starych wakacyjnych fotek, wokół których zbudował fałszywą postać. I żona Wójcika musiała się na to nabrać.

– Twoich fotek? Skąd ktoś miał twoje fotki?

– Nie wiem, ale to fotki z naszych wspólnych wakacji. Zastanawiam się, skąd... – Zobaczył, że Iza znowu robi się blada.

– Zatrzymaj się – poprosiła cicho, więc zjechał na bok, wskakując na chodnik. Kilka metrów dalej był trawnik, a za nim żywopłot okalający hurtownię ceramiki. Izie z trudem udało się do niego dobiec, by zwymiotować w krzaki. Potem usiadła na ziemi, oddychając głęboko i czując, jak ból pulsuje i jednocześnie narastającym pompowanym balonem. Przymknęła oczy, czekając na najgorsze.

Drelich wyłączył silnik i zostawił auto na światłach awaryjnych. Przyklęknął przy byłej żonie, odgarnął jej włosy z twarzy, pogładził po policzku. Przechodzący ludzie patrzyli na nich, ktoś nawet zapytał, czy potrzebują pomocy. Pokręcił tylko głową.

– To może jednak być wstrząs mózgu – powiedział cicho. – Zaniosę cię do auta, dobrze?

Bardzo powoli skinęła głową, a on przykucnął i wziął ją na rękę. Ostrożnie usadził ją na fotelu, zamknął drzwi i obszedł samochód.

- Powinienem cię zawieźć na pogotowie – zauważył.
- Powinniśmy pojechać do dzieci, Drelich – odparła.
- Masz rację.

Wbił w telefonie adres Krystiana i ruszył. Starał się jechać najwolniej i najpłynniej, jak potrafił. Nawigacja pokazywała mu główną drogę oznaczoną na czerwono i alternatywną – o dziesięć minut krótsza wiodła przez dwa osiedla, w tym jedno dla domków jednorodzinnych. Ostatnim, czego Iza teraz potrzebowała, było skakanie po progach zwalniających.

- Projekt Nikodema – szepnęła cicho.

Spojrzał na nią.

- Jaki projekt?

– Nikodema, mówiłam ci – przypomniała. – Plakat rodzinny, trochę jak drzewo genealogiczne. Potrzebowaliśmy do niego zdjęć. Zniosłam do punktu pendrive z różnymi zdjęciami z wakacji i folderem do wydrukowania. Nie kasowałam reszty, bo...

Wolno wciągnęła do płuc powietrze i wypuściła je.

– Jeżeli to nasze zdjęcia z wakacji, mogli je wziąć właśnie stamtąd. Przepraszam.

– Ty nie masz za co – odpowiedział. – Zresztą to nie jest problem na teraz.

Tylko że tak naprawdę, co właśnie sobie uzmysłowił, to był problem na teraz. Skoro Cyganie przejęli Natana, jego zaginięcie spadało na nich. Drelich mógł jeszcze raz zadzwonić do Wójcika, opowiedzieć o tym, czego się dowiedział i jaki splot wypadków

doprowadził do tej niefortunnej sytuacji. Mógł obiecać dyskrecję w temacie, zapewnić, że nie żywi urazy, i liczyć na zamknięcie tematu. W tym właśnie punkcie znajdował się teraz. Gdyby tak zrobił, oszczędziłby sobie fatygowania się do Gdańska, wymyślania planu w oparciu o niekompletne informacje i wreszcie dzwonienia do stryja.

Spojrzał na siedzącą obok Izę. Na jej napuchniętą bladą twarz, pozlepiane w strąki włosy i niedużą plamę wymiocin na bluzce. Wszystko stało się dlatego, że chciał sprawę załatwić pokojowo. Stało się, bo był pewien, że ma to pod kontrolą.

Zanim dojechali na miejsce, zadzwonił do dzieci i przekazał im, że mama trochę za mocno oberwała na treningu.

– Jakiś nowy, poniosło go podczas walki – powiedział Zosi. – Mama ma opuchniętą twarz, trochę nos i brzuch, ale poza tym jest w porządku. Musiałem ją zabrać do lekarza, za pięć minut będziemy. Mówię tylko, żebyście się nie przestraszyli.

– Łatwo ci mówić – odparła i po chwili namysłu zapytała: – Tato, ale to nie jest ściema, nie? Nie pobił jej ten świr, przez którego tu siedzimy?

Mimowolnie się uśmiechnął.

– Przede wszystkim, kochanie, źle się zrozumieliśmy. To mama ostatecznie pobiła jego. On tylko parę razy jej przyłożył. Zaraz będziemy. Zrób herbatę.

Wjechali do podziemnego garażu i zaparkowali na miejscu Krystiana. Drelich obszedł samochód, gotowy wziąć Izę na rękę, ale odmówiła. Przynajmniej chwyciła go pod ramię.

Wjechali na górę, a gdy Drelich zapukał do drzwi, te otworzyły się niemal natychmiast. W progu stał wyraźnie zaniepokojony Nikodem, a za nim jego siostra.

– Jezu, mamó, ale ty wyglądasz – powiedziała Zośka.

Iza uśmiechnęła się, na ile mogła.

– Szkoda, że nie widziałaś tamtego.

Ostatni odcinek korytarza pokonała bez wsparcia i poszła prosto do sypialni, prosząc tylko, by rozrobili jej tabletki, które ma w torebce. Drelich usłyszał, jak zamyka za sobą drzwi, a potem dźwięk silniczka opuszczanych żaluzji. Już w windzie ustalili, że on posiedzi z dziećmi i opowie im ustaloną wersję. Dlatego teraz zszedł buty i przeszedł do przestronnego, całkiem gustownie urządzonego salonu z miękką na pierwszy rzut oka kanapą, dużym okrągłym stołem i wąskim regałem, wypełnionym fotograficznymi albumami, kryminałami i sensacją.

Drelich usiadł przy stole, a Zośka zaraz postawiła przed nim herbatę i talerzyk z dwoma kawałkami szarlotki z lodami.

– Świeża, robiłyśmy wczoraj.

Pokiwał głową.

– Dla Krystiana?

– Nie, on nie lubi szarlotki – mruknął Nikodem. Od wejścia wpatrywał się w niego z pełną podejrzliwości uwagą. Jakby tylko czekał, aż temu powinie się noga i coś chlapnie. – On lubi czekoladowe.

– No tak. – Drelich westchnął, uśmiechnął się i podrapał po głowie. – Dobra, chyba musimy pogadać, nie?

Nikodem wolno przytaknął, wyraźnie szukając w tych słowach haczyka. Zośka usiadła obok ojca.

– No, powinniśmy. Co się stało mamie? – zapytała.

– I dlaczego musimy tu siedzieć? – dodał Nikodem. – Tylko naprawdę. Bez pieprzenia.

Drelich uniósł palec na znak, żeby chłopiec nie przeginał, a następnie odkroił widelczykiem kawałek szarlotki.

– Przede wszystkim to, dlaczego tu siedzicie, i to, dlaczego mama oberwała, to dwie różne sprawy – wyjaśnił na wstępie. – Okej, poszła na trening, by odreagować nerwy związane z sytuacją, ale to jedyny związek.

Popatrzył na jedno, potem na drugie i widział, że oboje mają wątpliwości. No ale nie zakładał przecież, że od razu się ich wyzbędą.

– Co się natomiast tyczy waszego pobytu tutaj, to fakt, trochę was z mamą okłamaliśmy. Nie chcieliśmy, żebyście się martwili bez powodu. – Zrobił pauzę na kolejny kawałek ciasta i ostrożnie popił go gorącą herbatą. – Padłem ofiarą internetowych kanciarzy. Ktoś ukradł kilka moich zdjęć, a następnie użył ich do oszustwa. Przez to pewna kobieta myśli, że miała ze mną romans, a jej mąż się na mnie wściekł.

Obserwował uważnie reakcję syna, bo chłopak słyszał o tym po raz pierwszy. Na razie, jak Drelich odnosił wrażenie, zaskoczenie i ciekawość wygrywały ze strachem.

– Przez ostatnie dwa dni pracowałem nad sprawą z policją – podjął przerwany wątek. – I wygląda na to, że mamy już rozstrzygnięcie. Jutro albo pojutrze jadę na spotkanie z tym człowiekiem. Ej, spokojnie, bez min! Spotkanie w towarzystwie policji. Powiemy sobie wszystko, zamkniemy temat i będziecie mogli wrócić do domu. Możemy tak się umówić?

– Jasne – odpowiedziała Zośka.

Nikodem milczał, wpatrując się w ojca.

– No, chłopie, a jakie jest twoje zdanie? – zapytał Drelich.

– Mam parę pytań.

– To dawaj. – Wycelował w niego widelczykiem. – Byle nie o Fortnite’a.

Żart nie zadziałał. Chłopiec skrzywił się tylko, by zaraz zasypać go całą serią pytań.

– Ten facet groził ci bronią? Czy to policjanci kazali nam się wyprowadzić? Skąd ten typ miał twoje zdjęcia? Jak się okazało, że to oszustwo? I dlaczego nikt nie przerwał walki, gdy facet zaczął bić mamę?

Podobnie jak podczas rozmowy telefonicznej z córką, tak i teraz w Drelichu odezwała się rodzicielska duma. To były dobre pytania, świadczące o uważnym słuchaniu i mądrze wyciąganych wnioskach. Niemal aż żałował, że nie może udzielić prawdziwych odpowiedzi. Uznał jednak, że przynajmniej będą to porządne, wiarygodne kłamstwa, jak dla dorosłego.

Wyszedł dopiero po kolacji. Iza dołączyła do nich akurat, gdy kończyli oglądać czwarty albo piąty odcinek Przyjaciół na Netfliksie. Wciąż nie wyglądała za dobrze, ale przynajmniej poruszała się pewniej i zwawiej, bez ostrożnych ruchów w zwolnionym tempie.

– Idę się wykąpać – powiedziała. – Zrobicie coś do jedzenia? Dla mnie nie, mnie dzisiaj wystarczy herbata.

Zrobili więc wytrawne gofry z jajkiem, szynką oraz parmezanem i zjedli wspólnie przy okrągłym stole i wyłączonym

telewizorze. Rozmawiali o serialu, cukierni, sprawach w szkole i durnych memach, a Nikodem raz po raz wrzucał wstawki na temat Fortnite'a. Jak się okazało, osiągnął bowiem niezwykłą umiejętność sprowadzenia niemal każdej kwestii do jakiegoś motywu związanego z grą.

Gdy już Drelich się pożegnał i wyszedł, Iza odprowadziła go do windy.

– Naprawdę zamierzasz... – zaczęła, ale urwała.

Ułatwił jej, kończąc za nią zdanie.

– Załatwić ten problem? Tak. Dziś jeszcze jadę do Gdańska i jeśli mogę prosić, weź jutro wolne, dobrze?

Uśmiechnęła się.

– I darować sobie wszystkie pytania Ewy, co mi się stało? No wiesz?

Powstrzymał odruch uniesienia ręki i dotknięcia jej twarzy. Powstrzymał w tamtym momencie wiele odruchów i jeszcze więcej rzeczy, które chciał zrobić w pełni świadomie.

– Wrócę za kilka dni – powiedział, wchodząc do windy. – I tym razem na pewno wezmę dzieciaki.

– Trzymam za słowo – odparła, po czym wyraźnie się zawahała. – Naprawdę uważasz, że nie ma innego wyjścia? Że musisz po nich zadzwonić?

– Sam nie dam rady, Iza. Sześciu ludzi, różne lokacje, potrzeba szybkiego, niemal symultanicznego działania. Niewykonalne w pojedynkę przy akceptowalnym ryzyku. A odpuścić też nie możemy, bo stało się nieodwracalne. I dla niego, i dla nas.

Czekał, aż zbeszta go za to „nas”, ale nie zrobiła tego. Skinęła tylko głową, pożegnała się cicho i zniknęła w mieszkaniu. Zamknął drzwi windy, dopiero gdy usłyszał szczęk zamka.

Gdy tylko opuścił parking, zjechał na przystanek autobusowy, włączył światła awaryjne i wyjął smartfona. Wbił z pamięci numer telefonu stacjonarnego, odczekał cztery sygnały i się rozłączył. Po minucie zadzwonił prywatny numer. Odebrał.

– To ja, Marek – powiedział.

– No i? – Nosowy, nieprzyjemny głos, który rozpoznał po ledwie dwóch sylabach, choć nie słyszał go od co najmniej pięciu lat. Andrzej, najstarszy z trzech synów stryja Józefa.

– Chcę rozmawiać ze stryjem.

– W sprawie?

– W sprawie do starego. Pilnej.

– Pilnej dla niego czy dla ciebie?

– Dla mnie.

– To oddzwoni, jak będzie chciał.

Andrzej się rozłączył. Drelich czekał wciąż z telefonem w dłoni. Po pięciu minutach urządzenie znowu się rozdzwoniło. Odebrał po pierwszym sygnale.

– Marek? – Ten głos dla odmiany brzmiał staro, chorowicie i słabo. Zawsze tak brzmiał. Obok niepozornego wyglądu stryja i jego serdecznej życzliwości był największym i najlepszym kłamstwem, jakie Drelich kiedykolwiek widział. – Co tam u ciebie, Mareczku? Kopeć lat.

– Dobry wieczór, stryju. Mam sprawę. Znaczący pracę mam dla stryja i dwóch chłopaków. Za pieniądze taką. Dobre pieniądze.

Słyszał samego siebie i z zażenowaniem przyjmował te pokraczne szarpane zdania. Tylko jeden człowiek na świecie działał na niego w ten sposób. Sprawiał, że Drelich mówił tak, jakby dopiero szukał w głowie tego, co chce powiedzieć. Tymczasem w tej konwersacji znał nie tylko swoje kwestie – doskonale wiedział też, co usłyszy w odpowiedzi.

– Mareczku, ja cię bardzo proszę, nie obrażaj mnie proponowaniem pieniędzy. Jesteśmy rodziną, tak? Możemy czasem o tym zapomnieć, ale najważniejsze, że w potrzebie masz się do kogo odezwać. Ja się po prostu cieszę, że wróciłeś.

Tak, pomyślał Drelich z rezygnacją. Tego się spodziewał. I w tym momencie mało się nie rozmyślił. Ale nie było już takiej możliwości.

– No to mów, co cię tam trapi – rzucił stryj Józef. – I jak mogę ci pomóc?

Drelich streścił historię, nie wdając się w szczegóły. Potem odpowiedział na kilka rzeczowych pytań, między innymi o liczbę celów i potencjalne komplikacje w postaci zaangażowania gdańskiego bossa, gdyby coś poszło nie tak.

– Jak się nazywa ten boss? – zapytał stryj Józef.

– Ornowski.

– Ech, nie znam – przyznał starszy mężczyzna z pewnym żalem. – Zupełnie nie moje czasy. Zresztą mało kto jeszcze żyje ze starej gwardii.

Drelich wiedział, że to nieprawda. Z gwardii od dawna żył wyłącznie stryj. Zresztą do takiego stanu rzeczy dość mocno swego czasu się przyczynił.

– To co planujesz, chłopcze? – usłyszał. – I jeszcze raz: jak możemy ci pomóc?

Drelich musiał się zastanowić nad odpowiedzią. Na razie miał tylko zręb planu oparty na wszystkim, czego się dowiedział o ruskich i interesach z Amerykanami, praniu pieniędzy i coraz brutalniejszej walce o drobnicę. Nie tylko w Trójmieście. Myślał nawet, czy nie zrobić tej akcji tak, by winę zrzucić na motocyklistów, którzy dopadli Zefira. Głośna sprawa, film ze śmiercią bossa na ulicy krążył nawet po sieci, co świadczyło o bezczelności motocyklistów. Może to był trop?

– Potrzebuję ochrony dla Izy i dzieci. Chciałbym też, jeśli to możliwe, żebyśmy się spotkali jutro w Gdańsku. Wiem, że to dla was daleko, ale to właśnie tam się rozegra i...

– Będziemy – odparł stryj. – Jakaś konkretna godzina?

– Nie.

– No to do zobaczenia, Mareczku. Odezwiemy się – powiedział stryj Józef i się rozłączył.

Drelich westchnął ciężko. Wsadził telefon w uchwyt na desce rozdzielczej i wstukał do GPS-a Gdańsk. Uznał, że na miejscu poszuka sobie noclegu, teraz wolał się skupić na trasie i na tym, który wariant z rodzących mu się w głowie ostatecznie wdrożyć. Bo miał jeszcze kilka innych pomysłów, ale żaden nie wydawał mu się czysty. Ten z motocyklistami na przykład... A co, jeśli Ornowski dyskretnie z nimi trzyma i to on zlecił sprzątnięcie konkurencji? W takiej sytuacji podobna mistyfikacja rodzi więcej pytań, niż daje odpowiedzi. Uznał, że przez te trzysta pięćdziesiąt kilometrów będzie musiał wybrać opcję najmniej obciążoną ryzykiem.

Już miał ruszać, gdy przypomniał sobie, że ma jeszcze dwie kwestie do odhaczenia. Pierwszą było napisanie esemesa z telefonu Natana. Krótka wiadomość, w duchu wszystkich poprzednich, która powinna przejść bezboleśnie. „Mam dobry trop, ale potrzebuję dwóch, trzech dni, by załatwić to czysto”. Wysłał i poczekał na odpowiedź. Gdyby Wójcik zadzwonił, odpisałby, że nie może teraz rozmawiać i że się odezwie, ale to oczywiście skomplikowałoby sprawy i skróciło czas na działanie. Po dwóch minutach dostał jednak krótką wiadomość: „OK”. Odetchnął.

Druga rzecz była w zasadzie formalnością, ale mogła mu pomóc lepiej zrozumieć Wójcika. Gdyby bowiem ten jednocześnie z wysłaniem Natana wysłał Drelichowi wiadomość na podany adres mejlowy, świadczyłoby to o jego przywiązaniu do teatryku i budowaniu pozorów. Co może dałoby się jakoś wykorzystać.

Rzeczywiście na podanym koncie czekała na niego wiadomość od Wójcika, jednak tytuł sugerował, że to nie on ją napisał – „Błagam, nie odpisuj”. Otworzył i przeczytał: „Mój mąż chce skrzywdzić twoich bliskich. Wysłał po nich straszego człowieka, nazywa się Natan. Ma dziwny, płaski nos. Jest mordercą. Uważaj na niego. To nie koniec, mój mąż ci nie odpuści. Piszę z jego konta, więc nie odpisuj”.

Drelich przeczytał jeszcze raz, po czym sprawdził godzinę otrzymania mejla i porównał z czasem, kiedy Natan zaatakował Iżę. Wiadomość wysłano w bardzo zbliżonym czasie i albo stanowiła bardzo szybką reakcję na to, co się stało, albo zawierała ostrzeżenie, w dodatku z praktyczną wskazówką, kogo się wystrzegać.

Ponownie przełączył telefon na GPS, odpalił silnik i ruszył. Najpierw pod dom, by zabrać walizkę i ekspres do kawy. Niezależnie od tego, czy ta wiadomość była pułapką czy nie – a przeczucie mówiło mu, że raczej nie – to w jego głowie pojawiły się kolejne opcje do rozważenia. Z czego przynajmniej jedna stanowiła podwalinę pod całkiem solidny plan.

Kwadrans po tym, jak Drelich minął parking, na którym wcześniej oddał mercedesa Cyganom, pod blok Krystiana zajechało fioletowe tico. Zaparkowało na pustym miejscu dla niepełnosprawnych, do czego zgodnie z wywieszką na lusterku miało pełne prawo. Siedzący za kierownicą brzydki, chudy mężczyzna z kalafiorowatym uchem i długimi włosami spiętymi w kucyk wyjął z papierowej torby kanapkę z szynką, lewą ręką odpiął pas i wysiadł. Przeszedł pod blok i sprawdził numerację mieszkań w dwóch klatkach. Potem wrócił do auta i w spokoju dojadł kanapkę.

Dopiero wtedy wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer.

– Halo? – odezwał się kobiecy głos po trzecim sygnale.

– Cześć, Iza, tu Bogdan, kuzyn Marka. Spotkaliśmy się na weselu mojego brata, pamiętasz?

Słyszał, jak kobieta się spina, nerwowo przełyka ślinę.

– Tak – odpowiedziała w końcu.

– Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że stoję pod twoim oknem i możesz spać spokojnie. Nic złego się nie stanie.

Milczała długo, ale wiedział, że się nie rozłączyła.

– Dziękuję – odezwała się w końcu. – Naprawdę.

Uśmiechnął się.

– Nie ma sprawy. Ale jakbyś rano mogła mi podrzucić jakąś porządną kawę, to będę wdzięczny. Fioletowe tico właściwie na wprost twojej klatki.

– Jasne.

– Dobranoc.

– Dobranoc.

IV

52

Hotel Jutrzenka był dwupiętrowym prostokątnym klockiem o szarej chropowatej fasadzie, na której w minionej epoce zawieszono tandetny pionowy szyld, a całkiem niedawno podświetloną LED-ami tablicę z napisem „Recepcja”. Kartka na przeszklonych drzwiach kusiała niską stawką za noc i śniadaniem wliczonym w cenę.

Na parking na tyłach hotelu wjeżdżało się przez otwieraną zdalnie bramę. Gdy Drelich zaparkował, zostały jeszcze dwa miejsca z sześciu.

Dochodziła czwarta nad ranem. Wcześniej przez dwie godziny jeździł pustymi ulicami Gdańska, sprawdzając interesujące go adresy i prowadzące do nich trasy. Bez zatrzymywania się i zwracania na siebie uwagi obejrzał z zewnątrz wszystkie trzy kluby Wójcika, dom i miejscówki jego ludzi. Do każdej lokacji tworzył na telefonicznym dyktafonie osobny plik audio. Nagrania te zawierały uwagi o robotach drogowych, liczbie skrzyżowań i sygnalizacji świetlnej, możliwych objazdach, czasie przejazdu, zauważonych na pierwszy rzut oka kamerach czy ewentualnych komplikacjach w związku z parkowaniem. Dodatkowo Drelich nagrywał też wszystkie potencjalnie pomocne rozwiązania wymyślane na szybko.

W pewnym sensie robił więc to co zawsze przed każdą pracą, ale tym razem z nieprzyjemnym uczuciem, że robi to pod presją

czasu, a więc niedokładnie i niedbale. Nie znosił tak pracować, nie cierpiał półśrodków. Albo planowanie, albo improwizacja. To, co robił teraz, przypominało raczej stanie okrakiem nad płotem.

Wiedział jednak, że nie ma innego wyjścia. Sprawa musiała być załatwiona w najbliższych dniach, a w związku z tym nie było mowy o normalnych przygotowaniach. Z jednego natomiast nie mógł zrezygnować za żadną cenę: z kilku zróżnicowanych wariantów planu. Bo choć liczył, że pozyskane dotąd informacje pozwolą mu rozwiązać sprawę kompleksowo – nie tylko pozbyć się Wójcika, ale i podać lokalnym bossom wiarygodną przyczynę jego śmierci, niepowiązaną z Drelichem – musiał być gotowy na mniej subtelne akcje. I mieć nadzieję, że to do niego nie wróci.

Wyciągając z bagażnika walizkę, pomyślał o żonie Wójcika i jej wiadomości. Z pewnością mógł to wykorzystać, pytanie, w jaki sposób. Uznanie tej kobiety za potencjalną sojuszniczkę niosło za sobą ogromne ryzyko, zwłaszcza bez znajomości jej prawdziwych motywacji. Chciała się odegrać na mężu? Zrobiło jej się żal jego potencjalnej ofiary? Wciągała Drelicha w jakąś pułapkę? Wiedział tylko, że szukała w internecie okazji do zdrady i że teraz podjęła ryzyko, by ostrzec rzekomego kochanka. Mało. Nie wiedział, czy jest stabilna psychicznie, pod jaką presją działa ani tego, czy mogłaby mu się do czegoś przydać.

Jednak opcja wykorzystania jej jako karty przetargowej poza moralnymi rozterkami rodziła inne pytania, w tym w zasadzie jedno naprawdę ważne: czy Wójcik w ogóle przejąłby się losem żony?

Wreszcie pozostawał ostatni temat. Drelich co prawda odsuwał go na dalszy plan, ale przecież nie mógł od niego uciec. Jak

rozwiązać problem, że po wszystkim żona Wójcika zostanie jedynym żyjącym ogniwem łączącym go z całą tą sprawą? Oczywiście kwestia rodziny przede wszystkim, ale czym innym jest załatwienie kilku mafiozów, a czym innym zagubionej kobiety, która stała się ofiarą oszustów.

Wyjął z walizki okulary zerówki w grubych plastikowych oprawkach, trochę podobne do tych, z jakich w całym kraju słynął Jurek Owsiak, i założył je. Następnie wszedł po czterech schodkach prowadzących do drzwi budynku. Już w holu zaciągnął się mieszanką kurzu i detergentów, po czym spokojnym krokiem pokonał dystans dzielący go od biurka recepcjonisty. Młody chłopak, zapewne dwudziestolatek, o szczurzej twarzy i wyłupiastych oczach nawet na niego nie spojrział. Rozpostarty na fotelu gapił się w podwieszony pod sufitem telewizor, na którym zamiast obrazów z kamer monitoringu wyświetlał się kanał sportowy z wyciszonym dźwiękiem. Nie wyglądał na zasnętego, co trochę psuło szyki Drelicha, bo liczył na to, że wyrwie recepcjonistę ze snu. Zasnęty człowiek zwykle potrzebuje chwili, by dojść do siebie, jest bardziej ugodowy i zawstydzony tym, że zasnął, albo próbuje załatwić wszystko jak najszybciej, by znowu zapaść w sen.

Taki człowiek jest z jednej strony podatny na proste manipulacje i skłonny do drobnych ustępstw, a z drugiej słabiej zapamiętuje detale, skupiając się tylko na elementach charakterystycznych, jak chociażby okulary. Przydatna rzecz na wypadek ewentualnych przesłuchań.

Drelich zerknął na telewizor, by zobaczyć, co chłopak ogląda, i mimo wszystko uśmiechnął się, widząc amerykański wrestling.

– Czy to Roman Reigns? – zapytał, pokazując na umięśnionego osiłka o śniadej skórze, odbijającego się właśnie od lin.

Chłopak za kontuarem skinął głową, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Tak, z Undertakerem.

Drelich oparł się o kontuar.

– O cholera, faktycznie to Undertaker. W ogóle nie wiedziałem, że mają walczyć.

Chłopak nie odpowiedział, bo Reigns wystrzelił właśnie z lin niczym pocisk z procy i nabrawszy prędkości, wpadł na przeciwnika, uderzając go zgięciem łokcia w szyję. Zrobił to na tyle efektownie, że jego rywal poleciał do tyłu i wyrznął plecami o ring. Obaj, recepcjonista i Drelich, wydali z siebie jęk.

– Dobrze to było – stwierdził chłopak.

Drelich skinął głową.

– Bo Reigns w ogóle jest dobry. Choć pewnie nigdy nie wyjdzie z cienia brata.

Dzieciak dopiero teraz przeniósł wzrok z ekranu na gościa. Przyjrzał mu się z mieszaniną rozbawienia i czegoś na kształt... podziwu?

– No nie każdy może być The Rockiem – powiedział. – I widzę, że zna pan temat. Jest pan fanem?

– Już niepraktykującym – odparł. – Ale kiedyś też miałem nudne nocki w robocie i z kolegą ratowaliśmy się śledzeniem WWE. Macie jakiś wolny pokój na dwie noce?

– Jasne, dowodzik proszę.

– Już. – Drelich sięgnął do kieszeni.

Nadszedł właśnie ten moment, kiedy przydawało się zaspanie recepcjonisty. Odegrał krótką scenę z wyciągnięciem portfela i szybkim przejrzeniem kieszonek na karty. Potem zmarszczył czoło i pomacał się po innych kieszeniach.

– Chwileczkę – poprosił, przyklękając przy walizce. Nie spieszył się. W tym numerze ważne było, żeby w miarę możliwości stosowna propozycja wyszła od recepcjonisty. Człowiek zupełnie inaczej postrzega rzeczy, które w jego pojęciu inicjuje.

– Wie pan co, to może rano pan doniesie, a teraz na szybko poda mi dane, dobrze? – zaproponował chłopak.

Drelich udał, że się waha.

– Jeszcze tylko w jednej kieszonce sprawdzę. Bo wie pan, skanowałem dowód do tych cholernych hulajnóg, tej aplikacji, wie pan, i nie wiem, gdzie go wsadziłem. Pewnie w aucie zostawiłem.

Ten tekst wymyślił całkiem niedawno i był z niego bardzo zadowolony. Wreszcie udało mu się historyjka nieprzekombinowana i brzmiąca wiarygodnie. Dość dobra dla wszystkich recepcjonistów świata, dla których spisywanie danych z dowodu jest i tak zbędną formalnością.

Odczekał jeszcze kilka sekund, zanim się podniósł. Na blacie czekał już na niego formularz i długopis. Drelich wypełnił go fałszywymi danymi.

– Będzie kartą czy gotówką? – zapytał recepcjonista.

I właśnie przeszli do kolejnego ważnego momentu. Samo płacenie gotówką nie wiązało się rzecz jasna z niczym podejrzanym, ale zrobienie tego zaraz po akcji z dowodem już mogło. Szanse były niewielkie, ale po co ryzykować?

– Zapłacę kartą – powiedział Drelich pochylony nad blatem. Policzył w myślach do pięciu, patrząc, jak chłopak sięga po czytnik. – Albo wie pan co? Ile tego wyjdzie?

– Za dwie noce to będzie... A właśnie, ze śniadaniami czy bez?

– Bez.

– W takim razie dwieście pięćdziesiąt cztery.

– To może jednak gotówka, bo tyle jeszcze mam chyba – upewnił się, sprawdzając w portfelu. – Nie ma co kredytówki ruszać, jak nie trzeba, nie?

– Mhm.

– To już z parkingiem?

– Parking dla klientów jest gratis – oznajmił recepcjonista.

Ukradkiem zerknął na ekran, na którym właśnie pokazywali powtórki z kluczowych momentów starcia.

Drelich wyjął pieniądze, odliczył i położył na blacie.

– Proszę zatrzymać resztę – powiedział.

– Dziękuję.

Chłopak wstukał coś na komputerze, wyjął z szuflady plastikową kartę, zakodował ją i podał gościowi.

– Pokój sto osiem.

Drelich spojrzał na schody po swojej lewej.

– To na górze? – zapytał.

– Tak. Pierwsze piętro i zaraz na lewo. Dobrej nocy panu życzę.

– Dzięki. Miłego oglądania.

Chłopak machnął ręką.

– E, najlepsze właśnie się skończyło.

Drelich wziął walizkę i ruszył w stronę schodów. Po drodze spojrzął na zegarek. Dochodziło wpół do piątej, a on powinien jeszcze spisać notatki audio i zadzwonić do Bogdana, by upewnić się, że ten nie śpi na posterunku. To pierwsze mogło poczekać do rana, drugie zrobił, gdy tylko zamknął się w pokoju.

Bogdan nie spał i jak za starych dobrych czasów całą noc oglądał wrestling, tyle że na telefonie. Pewne rzeczy się nie zmieniają.

Drelich porozmawiał z nim chwilę, między innymi o starciu Reignsa z Undertakerem, po czym rozłączył się i wyjął ładowarkę z walizki. Kwadrans później już spał. Budzik miał nastawiony na ósmą.

Wszedł do lokalu jako drugi, po Stówce, i posłał spojrzenie oraz uśmiech w lewy kąt sali. Tam, na kanapie przeładowanej poduszkami, siedzieli już Kirył z Nikołajem. Rosjanie zjawili się we trzech kwadrans temu, ale przy eliptycznej drewnianej ławie siedziało tylko dwóch. Trzeci, masywny kark o głowie kanciastej jak pudełko po elektrycznym czajniku, zajął miejsce przy dwuosobowym stolyczku na prawo od wejścia. Zdążyli już zamówić i otrzymać napoje. Skinął im głową, a Nikołaj odpowiedział podobnym gestem.

Restauracja mieściła się w bloku eleganckiego gdańskiego osiedla i stanowiła jedną z niewielu sensownych opcji lunchowych dla pracowników pobliskich biur. Urządzona prosto i funkcjonalnie na model szwedzki, stawiała na bogatą ofertę śniadaniową i proste dania lunchowe w krótkim, regularnie zmienianym menu. Była otwarta do szesnastej, bo wieczorem w okolicy zostawali już tylko miejscowi.

Zygmunt wiedział to wszystko – nieprzypadkowo wybrał miejsce. Miał udziały w tym lokalu i równie dobrze jak model biznesowy znał jego właścicieli.

On, Leszek, ganiał kiedyś w szaliku Lechii, obstawiał bramki na dyskotekach i bary w burdelach, a potem rok czy dwa bił się w klatkach za dwa tysiąki za walkę wieczoru. Psim swędem załapał się na raczkujące MMA, choć dla niego było już za późno

na karierę. Zresztą nigdy nie był zbyt dobry – wytrzymały i silny, jednak ruszał się jak blaszany drwal z bajki.

Ona, Kaja, drobnutka seksowna laska o ładnych orzechowych oczach, podkreślonych okularami na pół twarzy. Dobra rodzina, studia, doktorat za granicą, ale też dredy, tatuaże i dwa lata związku z jakąś Hinduską. Spotkali się w Lunie, on zaimponował jej znajomością przeczytanego na nudnej zmianie Houellebecqa, ona dała mu w kiblu, drąc się tak głośno, że ludzie przystawali na parkiecie.

Zygmunt został świadkiem na ich ślubie, a do tej knajpy dołożył prawie tyle, co rodzice Kai w ramach wkładu własnego młodych. Nic więc dziwnego, że czuł się tu prawie jak u siebie.

Zerknął w stronę zaplecza i za odciągniętymi na bok koralikami zasłonki zobaczył Leszka. Stał przy blacie, z bezprzewodowymi słuchawkami w uszach i kroił coś wielkim nożem z japońskimi znakami wygrawerowanymi na ostrzu.

Trzy do trzech, pomyślał Zygmunt. Plus Szary i Pumba czekający na parkingu. Nie miało to specjalnie znaczenia, bo nie spodziewał się kłopotów. Dzisiejsza rozmowa była już w zasadzie formalnością dopinającą ostatnie szczegóły. Dlatego też nie wziął ze sobą Litwy, który do tej pory służył za łącznika. Już go nie potrzebował.

Podszedł do stojącego przy barze Stówki i klepnięciem w ramię dał mu sygnał, że on zamówi. Stówka odsunął się posłusznie

– Czarna i latte – rzucił Zygmunt do kelnerki. – I jeszcze dwa kawałki tego z truskawkami, no nie? Zjemy sobie po takim?

– Jasne, chętnie – odparł Stówka. Bez entuzjazmu, ale przynajmniej po ostatnich zjebach nie wyskakiwał już z durnymi tekstami o diecie. Wiadomo było, że i tak nie zrzuci, bo do tego trzeba hartu ducha, a nie tylko dietyki i okazjonalnych chwil refleksji przy lustrze.

Dziewczyna za ladą musiała być nowa, bo Zygmunt jej nie znał. Miała nie więcej niż dwadzieścia lat, gruby warkocz przerzucony przez ramię, znudzoną minę, śliczne dołeczki w policzkach i parę kilo nadwagi. Zdziwił się, gdy zaczęła nabijać zamówienie na kasę.

Uśmiechnął się nerwowo i zerknął w stronę ruskich.

– Do rachunku mi dopisz – powiedział.

Posłała mu tępe maślane spojrzenie i poruszyła szczęką jak krowa.

– Przepraszam, ale nie udzielamy sprzedaży na kredyt – odparła tonem, jakby wcale nie uważała, że powinna za to przeproszać. – Płatność będzie kartą czy gotówką?

Zygmunt policzył w myślach do trzech, po czym zerknął w stronę zaplecza, jakby chciał przywołać Leszka wzrokiem. Ten jednak wciąż miał słuchawki w uszach i skupiał się na robocie.

Wystarczyłoby głośniej zawołać, pomyślał Wójcik, albo nawet kazać jej poprosić szefa. Ale jedno i drugie nadałoby tej sprawie niepotrzebną rangę. Nie zamierzał się przecież prosić, podkreślać swojej pozycji, zaznaczać jej. Jeśli musisz mówić ludziom, kim jesteś, żeby cię należycie traktowali, to nie jesteś tak wielki, jak ci się wydaje.

Sięgnął po portfel, wyjął kartę i przyłożył ją do czytnika. Nagle przez głowę przemknęła mu irracjonalna paniczna myśl, że na

ekranie pojawi się napis „Transakcja odrzucona”. Płatność jednak przeszła, a on, siląc się na uśmiech, skomentował:

– Musiało się tu zmienić ostatnio.

Dziewczyna obojętnie wzruszyła ramionami. Tępa, kurwa, dzida.

– Gdzie panowie siadą?

– Tam, z tamtymi panami na kanapie. – Wskazał ręką. Przecież zawsze tam siadał, kurwa. Nawet gdy przychodził tu bez zapowiedzi i było zajęte!

– Zaraz wszystko podam.

Podeszli do stolika. Ruscy przerwali rozmowę toczoną w ojczystym języku i wstali.

Kirył, masywny pięćdziesięciolatek, farbowany blondyn z dziobatym nosem i zapadniętymi policzkami, jak zwykle ubrał się dość swobodnie – koszula w kwieciste wzory, luźne džinsy i proste mokasyny na bosych stopach. Z ozdób nosił tylko zegarek na złotej bransolecie i sygnet na małym palcu prawej ręki. No i okulary przeciwsłoneczne zasłaniające teraz zakola.

Nikołaj, młodszy, gładko ogolony i z modną, starannie ułożoną fryzurą, miał na sobie białą koszulę bez krawata, ciemne spodnie w kant i zadbane oksfordy. Rękawy podwinięte przed łokieć odsłaniały umięśnione przedramiona i prosty schludny zegarek z czarnym paskiem na lewym nadgarstku. Okulary przeciwsłoneczne leżały na stoliku na prawo od filiżanki.

Zygmunt przypomniał sobie, jak spotkali się z Nikołajem po raz pierwszy. Wcześniej wszyscy ludzie, z którymi rozmawiał w sprawie swojego pomysłu, byli podobni albo do Kiryła, albo wręcz do stereotypowych, popkulturowych rosyjskich mafiozów –

napuchniętych, czerwonogębnych dresiarzy obwieszonych złotem. Pojawienie się kogoś o prezencji Nikołaja oznaczało, że sprawa naprawdę wzbudziła zainteresowanie poważnych ludzi.

Teraz wszyscy czterej podali sobie ręce.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział Zygmunt, zajmując miejsce.

Nikołaj pokręcił głową z wyraźnym rozbawieniem.

– Nie spóźniliście się, jesteście minutę przed czasem – odparł nienaganną polszczyzną bez śladu akcentu. To z jej powodu, gdy spotkali się po raz pierwszy, Zygmunt popełnił faux pas, biorąc go w pierwszej chwili za tłumacza. Wyglądało jednak na to, że nietakt szybko poszedł w zapomnienie. – Wychodzę również z założenia, że zawsze lepiej oszczędzać to słowo na bardziej adekwatne okazje.

Zygmunt zmarszczył brwi.

– Jakie słowo? – Nie zrozumiał.

– Przepraszam – wyjaśnił Rosjanin. – Byłoby dobrze, gdybyśmy w ogóle nie musieli go wobec siebie używać, prawda?

Miał ciemne, niemal czarne oczy. Zupełnie jak dziewczyna w piosence Ivana i Delfina czy tej starej, śpiewanej pijackimi głosami przy ogniskach. Jednak obie piosenki dotyczyły kobiet i Zygmunt długo myślał, że mężczyzna nie może mieć takich oczu. Potem zrozumiał, że owszem, może, tylko nikt nie chciałby o nim słuchać piosenek, bo wcale nie czyniły pięknym. Raczej bardziej intrygującym, ponieważ Nikołaj wyglądał przez nie dziwnie, nieludzko, trochę jak naćpany albo wampir z filmu. Zwłaszcza gdy się tak uśmiechał.

Gruba dziewczyna z warkoczem, jeszcze nieświadoma, że dopełnia swojej ostatniej dniówki w tym lokalu, przyniosła tacę i rozstawiła talerzyki z ciastem oraz kawą. Oczywiście pomyliła napoje i musieli wymienić się ze Stówką. Na tym etapie Zygmunt był już pewien, że się czerwieni i może nawet poci. Dziś, kiedy zależało mu tak bardzo na tym, by pokazać, że jest prawdziwym graczem dopełniającym biznesowych formalności. Co za głupia, tępa, spasiona kurwa!

Odchrząknął i sięgnął po kartę.

– Zjemy coś? – zapytał.

Kirył pokręcił głową, a Nikołaj rozłożył dłonie.

– Nam trochę się spieszy, ale jeśli jesteście głodni, to się nie krępujcie. Powinniśmy zamknąć wszystkie sprawy, zanim dostaniecie jedzenie.

Zygmunt odłożył kartę. Upił kawy. Nie wiedział, czy ostatnia uwaga Nikołaja to dobra wiadomość czy zła.

Szary siedział na fotelu pasażera i tak manewrował wywietrznikami, by zimny powiew klimatyzacji poleciał mu prosto na twarz oraz opuchnięty nos.

Pumba za kierownicą wpatrywał się w komórkę. W pewnej chwili podniósł wzrok i rozejrzał się, marszcząc nos.

– Jezu, co tu tak capi? Szambo wywaliło czy jaki chuj?

Szary nie odpowiedział. Stary numer. Kto pierwszy czuje, ten produkuje, jak mawiało się u niego na podwórku. Nie zamierzał wdawać się teraz z grubasem w przepychanki słowne. Ustawił wreszcie wywietrznik i nacisnął dwa razy przycisk z wiatraczkiem, by zwiększyć nadmuch.

– Myślisz, że jak idzie? – zapytał Pumba, wskazując brodą na knajpę. – Bo ja mam, cholera, takie przeczucie, że na ostatniej prostej ruskie coś odjebią. Że to jakoś za gładko szło do tej pory, rozumiesz mnie?

– Rozumiem – powiedział Szary. Sam się nad tym wcześniej zastanawiał. Po co ruskim pośrednicy? Na cholere chcą się z nimi dzielić kasą, skoro wcale nie muszą? Potem doszedł do wniosku, że pewnie nie chcieli z Amerykanami z powodu narodowych zaszłości albo to raczej Amerykanie mieli z tym problem. Nic dziwnego, bo co innego jednak żołnierze z amerykańskich baz hurtowo kupujący trawę czy hasz, a co innego, gdy się nagle okazuje, że mają kontakty biznesowe ze swoim arcywrogiem. To drugie wygenerowałoby w Stanach niełichy skandal, mogłyby polecieć głowy na wszystkich szczeblach. Z wyjątkiem Trumpa. Ten kutas był niezatapialny.

Pumba odpisał coś na komórcie, odchylił się i wepchnął telefon do kieszeni marynarki. Szary pomyślał, że za pięć minut wyjmie ją znowu, a teraz zacznie narzekać i marudzić, że muszą tu siedzieć. A jednak się pomylił, bo Pumbie chodził po głowie inny temat.

– Myślisz, że Natan już dorwał tego Drelicha? – zapytał.

Szary uśmiechnął się pod nosem. To tyle, jeśli chodzi o wczorajsze „mam w dupie”.

– W sensie w ciągu tych dwudziestu minut, od kiedy Wójcik ze Stówką weszli do środka?

Pumba wzruszył ramionami.

– Ja to się w ogóle zastanawiam, wiesz? – powiedział po chwili, sięgając po telefon. Wyjąłby go, ale Szary prychnął pod

nosem, a wtedy Pumba cofnął rękę. – Zastanawiam się, na ile ta sprawa z Drelichem to nie jest aby taki znak.

– Znak?

– No, że z ruskimi to może nie jest najlepszy pomysł – doprecyzował Pumba.

Rychło, kurwa, w czas, pomyślał Szary. Szczerze nie znosił takiego filozofowania, ale znał Pumbę i wiedział, że tego wywodu nie uda się po prostu zbyć milczeniem.

– W sensie? – zapytał.

– No że rozumiesz, nie wzbudzamy szacunku. Po tylu latach w biznesie wracamy do dilowania trawką i haszem. Niby inna skala, ale jak dla mnie to cofanie się wstecz.

Szary parsknął.

– Można się cofać do przodu?

– Co? – Pumba w pierwszej chwili nie zrozumiał, a gdy dotarł do niego sens pytania, zbył je machnięciem ręką. – Ruscy nie traktują nas jak równych sobie, uważają, że można nas wyruchać. Zupełnie jak ten Drelich.

– Drelich nie ruchał nas, tylko żonę Wójcika.

– Bardzo śmieszne. Wiesz, o czym mówię.

– No właśnie nie wiem – przyznał zgodnie z prawdą Szary. – Że ruscy nie traktują nas jak równych sobie? No, kurwa, proste, że nie traktują. Ornowskiego też by nie traktowali, ani żadnego innego naszego bossa. Bo nie są równi, tylko więksi. Z nami chcą robić, bo im się to opłaca bardziej niż budowanie wszystkiego od nowa. Kupują udziały w naszych legalnych interesach, dostarczają towar i dostają wypraną forszę na waciki. I pewnie robią to bardziej dla żartu, bo bawi ich concept, że żołnierze,

którzy mają nas chronić właśnie przed nimi, będą nieustannie porobieni ruską trawą i haszem. Nie zdziwiłbym się, gdyby w ogóle Putin to zlecił, tak jak te wybory prezydenckie w Stanach.

Pumba już kilka razy otwierał usta, by coś powiedzieć, ale teraz je zamknął i zamrugał. Zanim jednak Szary zdążył się ucieszyć i uznać, że może udało mu się wreszcie przekonać do czegoś upartego grubasa, ten potrząsnął głową.

– Wałą nas w dupę, ot co. Bo nas, kurwa, nie szanują.

Zerknął na zegarek, podrapał się po głowie i puścił kolejnego cichacza, unosząc się lekko na siedzeniu. Szary westchnął, otworzył okno i wystawił przez nie głowę. Myślał przy tym, że w gruncie rzeczy Pumba miał rację. I w sprawie ruskich, i Drelicha. Dobrze by było, jakby Natan już wrócił.

Dopełnili formalności uściskiem dłoni, a potem Nikołaj przeprosił ich na chwilę i wyszedł do łazienki. Kirył zaproponował Zygmunтови i Stówce po papierosie, ale zdecydował się tylko Stówka. Wyszli we dwóch przed lokal.

Zygmunt obejrzał się, by sprawdzić, czy dołączył do nich też trzeci Rosjanin, ten z głową jak pudełko, ale nie. Facet siedział zgarbiony nad pucharkiem z deserem i kręcił kółka w roztopionej resztkie czekoladowych lodów. Na pierwszy rzut oka nie wyglądał, jakby obchodziło go cokolwiek poza tą brązową breją, jednak Zygmunt znał takich i wiedział, że raz po raz unosząc głowę, uważnie skanuje otoczenie. Wójcik zastanawiał się, ile ruscy zyskali przez lata na tym, że brano ich powszechnie za brutalnych, nieokrzęsanych i wiecznie pijanych prostaków. Albo

za chłopków z kołchozu. Oraz ile usłyszeli dzięki wynikającej z tego nieostrożności kontrahentów czy wrogów.

Co do samego spotkania, uznał, że poszło dobrze. Niemal wszystkie kwestie Nikołaj rozwiązał na jego korzyść. Nie kłócił się ani o zmieniony podział procentów – czego Zygmunt obawiał się najbardziej – ani o zwiększoną pulę na koszty własne. Zaprotestował tylko, gdy Wójcik zaproponował im udziały w swoich klubach. Zdaniem Nikołaja lokale, za pomocą których Rosjanie mieli otrzymywać wyprane już pieniądze, miały być nie tylko czyste, ale wręcz o nieposzlakowanej opinii. Restauracje, hotele, niekoniecznie na Pomorzu. Nawet tu jednak udało im się ostatecznie wypracować satysfakcjonujący kompromis. A wszystko to w czasie krótszym, niż zajęłoby Leszkowi przygotowanie bajgla tygodnia. Czyli niby dobrze... Ale czy nie za łatwo?

A może właśnie się sfrajerował, bo spokojnie mógłby wyciągnąć z tego układu dwa razy tyle? I uczynić owo wyjście na swoje interesem życia?

I w tym momencie przyszła mu do głowy kolejna myśl. Co, jeśli wcale się teraz nie uwalniał? Jasne, pomysł był jego, ale ruscy kupili go za psie pieniądze. Zatrzymali Zygmunta i jego ludzi, by odwalił za nich całą czarną robotę i wziął na siebie ryzyko. I kto wie, może udają, że wchodzą Ornowskiemu na rynek, a w rzeczywistości odpalają mu działkę, by podtrzymywał tę farsę. Jak coś się spierdoli, jedna i druga strona będzie miała czyste ręce, bo oberwie tylko gość bezpośrednio powiązany ze sprawą. Jak projekt wypali za dobrze, Ornowski z dnia na dzień przejmie temat. Co, jeśli...

– Daj spokój – mruknął.

Przecież nic tak naprawdę na to nie wskazywało. Sprawdził, analizował długo, aż pozbył się wątpliwości. Wtedy miał nadzieję, że na dobre, ale najwyraźniej wywołane wydarzeniami ostatnich dni wróciły.

Był wściekły, nie zamierzał tego kryć. Wściekły za całą tę jebaną akcją, która zachwiała jego wewnętrznym spokojem. Wściekły na Milenę, ale i na siebie, bo nie miał kiedy, kurwa, dokonać swojego odkrycia. Na tych trzech matolów, bo temat powinien być już dawno zamknięty, a tymczasem dalej jątrzy myśli niczym niedający się wyrzucić z głowy reklamowy dzingiel.

Gdy Natan przywiezie mu tego skurwiela, wszystko wróci do normy. Może Zygmunt nawet pozwoli Adasiowi się tym zająć? Chętnie by zobaczył taką walkę wieczoru. Tylko bez sędziów i odklepywania. Na gołe, kurwa, pięści.

Wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer Natana. Już miał zadzwonić, gdy kątem oka dostrzegł wracającego Nikołaja, więc zamiast tego szybko napisał esemesa: „Jak idzie? Jakieś wieści?”.

Nie czekał długo. „Nieźle. Mam szkołę dzieciaka, ale już zdążył wyjść. Spróbuję zdobyć adres domowy albo jutro wrócę pod szkołę”.

Pomyślał, że to dobra wiadomość, choć nie tak dobra jak: „Jadę, będę za godzinę”.

No ale na bezrybiu i rak ryba. Schował telefon i wstał.

Nikołaj wyciągnął rękę.

– To co, Zygmunt? Następnym razem widzimy się już w naszym wspólnym lokalu?

– Nie mogę się doczekać – odparł, ściskając podaną dłoń. – I tam już koniecznie coś zjemy, dobrze?

– Zjemy i napijemy się – zgodził się Rosjanin. W tym jednym zdaniu zdradził się akcentem. Zabawne, że akurat przy tym temacie. Zupełnie jakby z powodu pochodzenia nie był w stanie mówić o wódce inaczej niż z zaśpiewem. – Gdzie Kirył i twój kolega?

– Pałą.

– No to chodźmy do nich, tam się pożegnamy jak trzeba.

Zygmunt zerknął ponad jego ramieniem na siedzącą za kontuarem dziewczynę. Przez moment rozważał, czy jej nie odpuścić, ale uznał, że afery takie jak ta z Drelichem biorą się właśnie z tego, że się kurwom odpuszcza drobiazgi.

– Jak byś mógł poczekać na zewnątrz – poprosił. – Jeszcze tylko jedną sprawę załatwię.

54

Pierwszego uznała za omam, drugiego za przejaw nerwów i narastającej paranoi. Trzeciego jednak, przy stoisku szewsko-ślusarskim w Kauflandzie, już zlekceważyć nie mogła. To był on! Marek Drelich, jej internetowy kochanek, na którego polował obecnie najgroźniejszy człowiek Zygmunta! Blisko dobiegła temu ostrzegła go, że być może zagrożeni są jego bliscy, a teraz Drelich objawił się tutaj, rzut kamieniem od jej domu!

Wydawał się co prawda nieco starszy niż na tamtych zdjęciach, ale w zasadzie niewiele się zmienił. Fotografie pokazywały pogodnego, roześmianego i szczęśliwego mężczyznę, a dziś miał zmęczone, podkrążone oczy. We włosach migały mu siwe nitki, policzki pokrywał krótki, może dwudniowy zarost. Nieco schudł i wyraźnie spochmurniał, co nie dziwiło, zważywszy na okoliczności.

Milena usiadła na ławce na środku pasażu. Chciała ukryć się za stojącą tam wielką donicą, a poza tym nie miała pewności, czy utrzyma się na drżących nogach. Opadła ciężko na siedzisko, torbę z zakupami postawiła przed sobą. Zwiesiła głowę.

– Proszę pani, wszystko w porządku?

Miły głos, ciepły i młody. Zanim uniosła głowę, by zobaczyć, do kogo należy, przećwiczyła uśmiech.

– Tak, w porządku, dziękuję – odpowiedziała wysokiemu pryszczatemu chłopakowi o zafarbowanych na czarno włosach.

Będzie przystojny, pomyślała mimochodem, a głos w jej głowie brzmiał teraz trochę jak jej matki. Będzie przystojny i będzie łamał kobiece serca. Milena zdała sobie właśnie sprawę, że matka mówiła to zawsze takim tonem, jakby to było coś dobrego.

Gdy chłopak odszedł, pochyliła się i wyjrzała zza donicy. Drelich wciąż tam był, oglądał po kolei przedmioty rozłożone przed nim na ladzie, wyciągnięte z jednej ze szklanych szafek z podróbkami zapalniczek Zippo, bongami i lufkami, otwieraczami do piwa i nożami.

Miał na sobie dopasowane džinsy i luźny szary tiszert. Na dekolcie w serek zawieszono okulary przeciwsłoneczne, na stopach buty sportowe. Milena zastanawiała się, czy to możliwe, że faktycznie widziała go już dzisiaj wcześniej. Czy widziadło numer trzy mogło być jednocześnie widziadłem numer jeden, czyli facetem siedzącym rano w parku dwieście metrów od jej domu? Tamten miał na sobie džinsową koszulę z podwiniętymi rękawami i zamiast okularów bejsbolówkę z logo NY, ale przecież koszulę mógł zdjąć, a czapkę zostawić w samochodzie. Tym samym, do którego wsiadł potem jako widziadło numer dwa na stacji benzynowej. Zobaczyła go na ekranie monitoringu.

Zastanawiała się, co powinna teraz zrobić. Wiele zależało od tego, po co Drelich tu jest. Czy dlatego, że dostał od niej wiadomość? A może właśnie nie dostał i przyjechał tu dogadać się z Zygmuntem? Wytłumaczyć mu całą sytuację, może przeprosić za fatygę. Może wydaje mu się, że znalazł sposób, by to pokojowo rozwiązać i wymiksować się ze wszystkiego.

Nagle razona własną myślą wyprostowała się, przylegając łopatkami do oparcia ławki.

A co, jeśli Natan zrobił już krzywdę jego bliskim albo ich porwał i Drelich przyjechał tu, by się zemścić lub zdobyć kartę przetargową? Co, jeśli rano obserwował dom i układał plan skrzywdzenia jej i dzieci?!

Odetchnęła kilka razy głęboko, przykładając prawą dłoń do lewej piersi, jakby szykowała się do ważnego ślubowania. Jej serce tłuło się teraz niczym ptak uwięziony w oknie między dwiema taflami szkła, łydki oraz dłonie mrowiły i swędziały, a wszystkie dźwięki dochodziły zniekształcone przez narastający szum.

Wyciągnęła telefon i obróciła go w drżących palcach. Odblokowała i przejechała wzrokiem po ostatnio wybieranych numerach. Mogła zadzwonić do męża i wyrazić tym samym swoją lojalność. Pewnie jeszcze przedwczoraj rano tak by właśnie zrobiła, ale to było, zanim przekroczył granicę. Dziś wcale już nie miała pewności, czy telefon do niego wyszedłby jej na dobre.

Spojrzała na numer matki, która została z dziećmi. Musiała ją jakoś ostrzec, żeby nie wychodziła na spacer. Tylko jak to powiedzieć, by nie wzbudzić niepokoju? Nie przestraszyć. Zresztą potencjalnego sprawcę napadu Milena miała kilka kroków od siebie. Wystarczyło go pilnować!

Schowała telefon i jeszcze raz wyjrzała zza donicy. Wciąż tam stał i rozmawiał z facetem za ladą jak gdyby nigdy nic! Jakby był zwyczajnym klientem, który wybrał się na przedpołudniowe zakupy i postanowił nabyć dziadostwo ze szklanej gablotki! Może zapalniczkę?

Nie dawało jej to spokoju. Dlaczego on się nie boi?! Stoi sobie tak otwarcie, nie rozgląda się, nie upewnia, że jest bezpieczny.

Skąd ten brak ostrożności?! Jest głupi? Zbyt pewny siebie? Nie wie, w co się władował?! I co teraz, cholera, co teraz?!

Złapała się na tym, że prawie przygryzła paznokieć. Dawny odruch, jeszcze z czasów szkolnych, z którym walczyła przez te wszystkie lata, niespodziewanie powrócił. Powstrzymała się w ostatniej chwili, odciągając dłoń od ust. Spojrzała przed siebie, gdzie szczupła, nieco zasuszona kobieta przy kasie upuściła właśnie karton mleka. Schyliła się, trącając kolejny wózek ze sterczącym niczym żagiel, złożonym kartonowym zamkiem.

Myśl, Milena, myśl. Przymknęła oczy, przypominając sobie tamto auto na monitoringu stacji. Czy będzie je w stanie rozpoznać na parkingu? Doszła do wniosku, że nie. Ale przecież sama zaparkowała niedaleko wejścia! Wystarczy, że teraz pójdzie do samochodu, zajmie miejsce za kierownicą i zaczeka na Drelicha, a potem zobaczy, do którego auta on wsiada, i zrobi zdjęcie rejestracji. A może za nim pojedzie?

To ostatnie brzmiało zwariowanie, szalenie, trochę jak motyw z sensacyjnego filmu. W zasadzie jednak dlaczego nie miałyby spróbować? Przecież skoro on zachowuje się tak nonszalancko, to może śledzenia też nie bierze pod uwagę?

Był tylko jeden kłopot. Żeby dostać się do auta, Milena musiała przejść nie tak znowu szerokim pasażem niemal tuż za plecami Drelicha. Wystarczyło więc, by się odwrócił, a wtedy...

Jeszcze raz wyjrzała zza donicy i poczuła, jak zimny dreszcz przebiega jej po plecach. Drelich bowiem w tym momencie podniósł jeden z leżących przed nim przedmiotów i oceniał go z poważną miną. Milena dopiero teraz zdała sobie sprawę, co on właściwie przez cały ten czas oglądał. Długie myśliwskie noże.

Ty głupia idiotko, zwyzywała się w myślach. Teraz już musiała spleść dłonie na podołku i wepchnąć je między uda, by opanować drżenie.

Uspokój się, powtarzała. Tylko jak miała się uspokoić, skoro on oglądał noże! Wielkie myśliwskie noże. Z ząbkami, ostrzem jak jej przedramię. Jednym z nich przeszyłby ją na wylot, gdyby wbił jej go w brzuch!

Ale przecież tego nie robi, kontrował rozsądek Mileny. Nie na środku sklepu! Bądź poważna, nie rzuci się na ciebie w tłumie. Wszędzie tu są kamery, monitoring. Zresztą wystarczy, że krzykniesz, wezwiesz policję albo zrobisz mu awanturę. Nie zaryzykuje, nie odważy się! Nikt normalny nie zrobiłby czegoś takiego!

Jednak syntezytor w jej głowie, który dotąd nie brał udziału w dyskusji, był innego zdania.

Jesteś pewna? – pytał. – A skąd wiesz, że on jest normalny? A jeśli okaże się, że nie masz racji, to kto ci pomoże?

Obejrzała się na leciwego, zgarbionego ochroniarza gapiącego się w książki na wystawie saloniku Inmedio, a potem na drugiego – wielkiego, grubego podrostka czuwającego przy wózkach. Wiedziała, że w niczym jej nie pomogą. Ten chłopak ze sklepu z telefonami też nie wydawał się materiałem na bohatera, ale przecież...

– Nie mogę tu tak siedzieć – zwerbalizowała tę myśl. Głos drżał jak ręce, do tego był cichy i słaby. Spojrzała na torbę przy swoich nogach nagle dziwnie pewna, że nie da rady jej unieść, a co dopiero dyskretnie z nią przemknąć korytarzem za plecami

internetowego kochanka, który właśnie przerodził się w krwawego mściciela rodem z horroru. I nieważne, że jeszcze wczoraj upatrywała w nim swojej szansy, nadziei na lepsze jutro. Tamte myśli przypominały raczej dziewczęce marzenia o księciu, rycerzu w lśniącej zbroi. Tu jest rzeczywistość. I w niej rycerz, który rano siedział w parku nieopodal jej domu, potem tankował na pobliskiej stacji, a teraz kupował wielki myśliwski nóż.

Pomyślała o dzieciach. O tym, że ludzie tacy jak jej mąż i Drelich bywają w pewnych sprawach bezwzględni. I właśnie ta myśl sprawiła, że Milena podniosła się gwałtownie, mocno chwytając torbę.

Wyjrzała zza donicy. Drelich albo już wybrał, albo bardzo ograniczył wybór, bo mężczyzna za ladą zabrał część noży, by odłożyć je do gabloty. To znaczyło, że Milena miała ostatnią szansę, jeśli zamierzała dotrzeć do samochodu przed nim i śledzić go, by dowiedzieć się, co on tu robi, co planuje i na co mu ten nóż.

– Nie myśl o tym – szepnęła do siebie. Czuła, że wszystko ją swędzi, zasycha jej w gardle, a nogi ma jak z waty. Obeszła ławkę łukiem i ruszyła wzdłuż witryn.

Szła blisko, przy samej ścianie, raz po raz zerkając w wystawy i obserwując w odbiciu jego szerokie plecy.

Byle go minąć, myślała. Od tyłu raczej jej nie rozpozna. Nie zna przecież jej chodu, zapachu perfum. Wystarczy więc, że Milena go minie, a potem utrzyma to samo tempo i jeśli nie przyspieszy i nie zrobi niczego podejrzanego, zaraz znajdzie się w swoim samochodzie. I to nie będzie jeszcze koniec, ale na pewno zamknięcie jakiegoś etapu. Małe kroczki, pomyślała, małe kroczki. Jeszcze tylko chwileczka, Inmedio, potem pralnia

pozbawiona witryny, akurat w miejscu, gdzie będą się mijać. Jeśli w tym jednym momencie się obejrzy, ona nie będzie o tym wiedziała.

Jeszcze cztery kroki, Drelich wciąż tyłem, sprzedawca coś mówi, Drelich odpowiada, obaj zanoszą się śmiechem. Ma zwyczajny głos, taki ani przyjemny, ani nie. Spokojny, obojętny.

Przy piekarni stały baby wpatrzone w gablotę jak sroki w gnat. Milena zatrzymała się przy nich, poprawiając uchwyt reklamówki wpijający się w palce. Ręce miała mokre od potu i tylko tego brakowało, żeby torba się wysliznęła, a rzeczy rozsypały wokoło. Widziała to już oczyma wyobraźni. Jak się odwraca, gotowy, żeby pomóc, pochyla się, sięgają równocześnie po tę samą puszkę brzoskwiń, jego dłoń muska jej, a ich spojrzenia spotykają się nagle niczym u pary kochanków w romantycznej komedii. Przeskakuje iskra zrozumienia i nagle...

Zamknij się, idiotko! Zamknij się, zamknij się, zamknij się!

Zerknęła w odbicie na ladzie. Drelich wyciągnął portfel. Dopiero teraz. Rozchylił go, wyjął kilka banknotów.

Oczywiście, że banknotów, pomyślała. Nie płacisz za myśliwski nóż kartą! Jezu, jak mogła być tak głupia, myśleć, że będzie chciał jej pomóc. Po jaką cholere go ostrzegała, zwracała na siebie uwagę. Po co, kurwa, po co?!

Ktoś potrącił ją barkiem. Przeprosił. Wysoki mężczyzna z długą elegancką brodą, pachnący słodkimi perfumami i francuskimi ciasteczkami Fornetti ze stoiska przy wejściu. Powiedziała, że nic się nie stało, i zerknęła w przeszklone drzwi, by sprawdzić, czy Drelich zauważył.

Ale jego już nie było.

Obejrzała się gwałtownie, choć w jej głowie ryknęła właśnie alarmowa syrena. Omiotła wzrokiem pasaż. Jest. Wyszedł właśnie z saloniku Inmedio i ruszył na główny sklep, przechodząc obok donicy. Jakim cudem zrobił to tak szybko?! I całe szczęście, że już tam nie siedziała. Powinna potraktować to jak dar od losu, okazję, by spokojnie dotrzeć do samochodu i...

– Ej, ale tu ludzie chcą przejść – usłyszała. – Stanie taka i ani wte, ani wewte!

Wtuliła głowę w ramiona, uśmiechając się przeproszająco. Gdy wyszła, uderzył w nią blask dnia i fala ciepła. Odetchnęła i szybko przecięła drogę tuż za progiem zwalniającym. Obeszła wóz, włożyła zakupy do bagażnika i usiadła za kierownicą. Spojrzała na wejście. Miała stąd świetny widok – ona widziała wszystko, a sama była po prostu elementem tła, na który nie zwraca się uwagi. To znaczy, że się udało. Powoli zaczęło schodzić z niej napięcie, mięśnie się rozluźniały, przychodziła błogość. Teraz wystarczyło poczekać i...

Nie dokończyła tej myśli. Usłyszała dźwięk otwieranych drzwi. Zdążyła się obejrzeć i zobaczyła, jak Drelich wsiada do jej auta. Złapała za klamkę, ale on chwycił ją za ramię. Mocno, pewnie, choć nie tak, żeby skrzywdzić. Jeszcze nie.

– Teraz porozmawiamy – powiedział spokojnie. – Daj mi swój telefon.

Wykonała polecenie.

– Odblokuj go, proszę.

Gdy to zrobiła, Drelich sprawdził szybko ostatnie połączenia, mejle, esemesy. Następnie wyłączył urządzenie i wrzucił do

schowka. Wszystko to jedną ręką, drugą wciąż trzymając Milenę Wójcik za ramię.

– Popatrz na mnie – polecił. – Nie zamierzam zrobić ci krzywdy. Dostałem twoją wiadomość.

Dał jej kilka sekund, by to przetrawiła, po czym podjął:

– Chcę z tobą spokojnie porozmawiać o zaistniałej sytuacji. Wolałbym tego nie robić na widoku. Czy możemy pojechać w jakieś spokojniejsze miejsce?

W pierwszej chwili pokiwała głową, ale zaraz potrząsnęła nią gwałtownie.

– Nie, bo ci nie wierzę! Nigdzie nie pojedę!

– Wiesz, że gdybym chciał cię zabić, już bym to zrobił, prawda? Nawet tu, w samochodzie?

Przełknęła ślinę.

– To po to ci ten nóż?

Uśmiechnął się.

– Nie kupiłem noża. Chciałem, żebyś mnie zobaczyła. Teraz, rano i na stacji też. Byłem ciekaw, jak zareagujesz i jaką podejmiesz decyzję. – Dotknął schowka, do którego przed chwilą wrzucił telefon. – I już widzę, że podjęłaś właściwą. Cieszy mnie to.

– To znaczy? – Nie zrozumiała.

– Nie zadzwoniłaś po męża i jego ludzi, co w połączeniu z wiadomością z wczoraj pozwala mi uznać, że jesteśmy mniej więcej po tej samej stronie.

Zrobił kolejną pauzę, by mogła to sobie przemyśleć, po czym puścił jej ramię, usiadł prosto i sięgnął po pas.

– Jedźmy gdzieś, dobrze? Możesz wybrać miejsce.

Obserwował ją kątem oka. Jak najpierw patrzy na niego, potem rozgląda się po parkingu, upewniając się, że nie jest to pułapka zorganizowana przez męża. W końcu sięgnęła kluczykiem do stacyjki, odpaliła silnik. Zwolniła hamulec ręczny, ale zamarła z dłonią na drążku. Spojrzała na niego.

– Powiedziałeś o wiadomości z wczoraj. A co z tą wcześniejszą? Na Messengerze?

Spojrzał jej w oczy. Znowu ten smutny uśmiech.

– Ten mejl był pierwszą wiadomością, jaką kiedykolwiek od ciebie dostałem – odparł. – Wyjaśnię ci wszystko, ale jedźmy już. Zapnij, proszę, pas i pamiętaj o światłach.

– Dokąd jedziemy?

– Pokieruję cię. Jedź.

Iza długo się zastanawiała nad przyjazdem na Okęcie i powitaniem Krystiana na lotnisku. Czy to bezpieczne, czy nie naraża aby siebie i dzieci, czy to w ogóle potrzebne? Przecież Krystian zrozumie. I chociaż ostatecznie udało jej się przekonać samą siebie, to jednak w hali przylotów uznała, że popełniła błąd. Stała tu bowiem z blachą świeżo upieczonego ciasta ledwie kwadrans, a i tak ciągnęła już ostatkiem sił. Wkurzał ją panujący harmider i jazgot, przelewający się tłum ludzi z walizkami na kółkach. Wkurzali kierowcy z tabliczkami, gorące, głośnie rodzinne powitania czy policjanci skupieni na wszystkim, tylko nie obserwowaniu podejrzanego zachowania. Wkurzali ludzie przyglądający jej się odrobinę za długo i Bogdan, który siedział co prawda przy stoliku w Coście, ale i tak się spinał, ilekroć ktoś podchodził do niej za blisko.

Nade wszystko jednak swędziała ją twarz. Tak paskudnie, że miała ochotę cisnąć tą cholerną blachą z ciastem o podłogę i pognać do łazienki, żeby na przemian drapać policzki i oblewać je zimną wodą. Robiłaby to tak długo, aż zdarłaby z nich nie tylko nakładane przez cały poranek warstwy kosmetycznej tapety, ale i skrytą pod nimi napuchniętą, pożółkłą skórę. Najgorsze było jednak to cholerne, obrzydliwe pulsowanie, jakby coś ruszało się pod skórą. Gdyby ktoś jej powiedział, że wczoraj umarła na

podłodze swojego mieszkania i teraz jej twarz trawi wijące się robactwo, pewnie na wszelki wypadek sprawdziłaby to w lustrze.

Stała oparta bokiem o filar. Wcześniej opierała się o niego plecami, ale wtedy Bogdan napisał, że jej nie widzi. Odpisała, że nie musi go słuchać i najwyżej niech on zmieni punkt obserwacji. Wtedy Bogdan zapytał, czy ma stanąć koło niej. Skapitulowała więc, oparła się o filar ramieniem, tak by było ją w całości widać z Costy.

Dzieci czekały przy samej barierce. Zośka nie chciała, uważała, że to głupie i na pokaz, ale ostatecznie – jak stwierdziła – Nikodem sam stać nie powinien, a obitą gębą mamy nie ma co Krystiana witać już na wejściu. Fajna była ta jej Zośka. Jeszcze nie całkiem dorosła, ale już tam, gdzie trzeba.

Lot miał opóźnienie, co na szczęście sprawdzili przed wyjazdem z domu. Teraz Krystian czekał już na rękaw, co wraz z czekaniem na bagaże oznaczało pewnie jeszcze dobre pół godziny. Na cholerę, pomyślała, powstrzymując odruch drapania, w ogóle brała to pieprzone ciasto?! Przecież i tak zjedzą je dopiero w domu!

Zawibrował telefon. Spojrzała na wyświetlacz i westchnęła. No tak, jeszcze Drelicha jej brakowało. Odebrała.

– Cześć – rzuciła oschle.

– Cześć – odpowiedział. – Potrzebuję cię przez najbliższe kilka minut.

– To źle wybrałeś moment. Jestem na lotnisku i... – zaczęła, ale wszedł jej w zdanie.

– Wiem, gdzie jesteś. Samolot dopiero wylądował, więc to jeszcze trochę potrwa, a ja mam naprawdę ważną sprawę. Wzięłaś

słuchawki?

Nie zdziwiło ją, że wie wszystko. Mogła iść o zakład, że odkąd wyszła z domu, rozmawiał z Bogdanem przynajmniej ze dwa razy. Miała dosyć tej inwigilacji. Jak to się skończy, dopilnuje, by zmienić ich relację. Jeszcze nie wiedziała jak, ale zmiana była konieczna.

W kwestii słuchawek w pierwszym odruchu chciała zaprzeczyć, tak z czystej złośliwości. Tyle że to byłoby niedojrzałe, a on mimo wszystko nie dzwonił z pierdołą ani by zapytać, czy u nich okej. To już wiedział. Więc po co?

– Poczekaj moment – powiedziała.

Położyła blachę na podłodze i sięgnęła do torebki. Włożyła słuchawki, podniosła z powrotem blachę i ulokowała telefon na osłaniającej ciasto folii.

– Co się stało? Czy ty już...

– Jeszcze nie, ale potrzebuję twojej pomocy, bo... – Urwał, co już samo w sobie brzmiało dziwnie, a gdy podjął wątek po krótkiej przerwie, zaskoczył ją jeszcze bardziej. – Nie jestem pewien, co zrobić.

– Jeśli nie jesteś pewien... – zaczęła, ale się rozmyśliła. Spróbowała jeszcze raz. – To ma związek ze sprawą?

– Zasadniczy.

– To mów, jak mogę ci pomóc.

Milczał tak długo, aż pomyślała, że się rozłączył. Już miała sprawdzić telefon, gdy Drelich wreszcie się odezwał:

– Za moment zobaczysz na ekranie obraz z kamery i usłyszysz moją rozmowę z żoną Wójcika. Z tą, z którą rzekomo

mam romans... Nie przerywaj. Jestem z nią teraz. To znaczy ona czeka na mnie, a ja dzwonię z łazienki.

Iza poczuła dreszcz przebiegający po plecach. Szczypawica, tak na to za dzieciaka mówili i z jakiegoś powodu teraz właśnie jej się przypomniało. Przebiegła po niej szczypawica.

– Porwałś ją? – zapytała cicho, jednocześnie rozglądając się na boki, czy nikt nie nasłuchuje. Wydało jej się, że to jedno z tych słów, których nigdy nie powinno się wymawiać na lotnisku. Podobnie jak „terrorizm” czy „bomba”.

– Nie – odparł. – Nie porwałem. Wczoraj napisała do mnie wiadomość na adres, który podałem jej mężowi. Musiała to zrobić bez jego wiedzy, bo ostrzegła mnie w mejlu przed Natanem i chyba nawet zrobiła to w porę, tylko ja... – Znowu się zawahał. – Nie zaglądałem do poczty aż do wieczora. W dodatku podobno wcześniej też próbowała się ze mną skontaktować, od razu, gdy sprawa wyszła, ale nie wiedziała, że ma do czynienia z oszustwem i...

Urwał. A może to ona przestała słuchać? Swędzenie twarzy nagle się wzmogło, w ustach poczuła nieprzyjemny posmak, a światło zrobiło się za ostre. Trochę jak migrena, choć tym razem bez bólu. Wyrównanym oddechem próbowała uspokoić tłukące się w piersi serce.

– Iza?

Odchrząknęła.

– Tak, jestem – odpowiedziała. – Myślisz, że to dobry pomysł? Rozmawiać z nią?

– Na to pytanie jest już za późno – przyznał. – To znaczy od rana ją sprawdzam i oceniłem ryzyko jako dopuszczalne.

Prawdopodobieństwo, że to pułapka, jest znikome, a potencjalne warianty mieszczą mi się w zaplanowanych opcjach.

Przewróciła oczami. No tak, warianty, opcje. Pieprzony robot.

– Więc w czym problem? – zapytała.

– Bo ja, cholera, chyba straciłem dystans do tego wszystkiego. Zaangażowanie jej w temat, pozyskanie informacji, wykorzystanie przewagi, to wszystko kusi, ale też niesie ze sobą ryzyko. Duże ryzyko. I dzwonię do ciebie, bo ze stryjem o tym nie pogadam. Wiem, co powie. Zresztą tu potrzeba kobiety, rozumiesz?

Odruchowo skinęła głową. Zerknęła najpierw w stronę dzieci, potem zasuniętych szklanych drzwi. Jeszcze nikt z pasażerów lotu Krystiana nie wyszedł. Obejrzała się przez ramię, by się upewnić, że w razie czego Bogdan jest na miejscu. Sącył kawę i w ogóle nie było po nim widać nieprzespanej nocy.

– Jak mogę ci pomóc? – powtórzyła pytanie.

– Muszę wiedzieć, czy ta kobieta jest sojuszniczką czy problemem.

Kolejna szczypawica popędziła w dół kręgosłupa. Problemem? Co to, kurwa, znaczy problemem?! Oczywiście wiedziała co i to właśnie było najgorsze. Że powiedział to takim tonem, jak gdyby poprosił ją o pomoc w sporządzeniu listy zakupów. W wyborze koloru koszuli. Problem oznaczał, że będzie musiał jej się pozbyć, tak jak całej bandy. Po to przecież tam pojechał. By wyeliminować zagrożenie!

Dostrzegła, że Nikodem odkleja się od barierki, odwraca się i idzie w jej stronę, więc pokazała mu gestem, że rozmawia. Pokiwał głową i ruszył w stronę toalety. Nie zdążył zniknąć za rogiem, a Bogdan już znalazł się kilka kroków za nim.

– Nie wiem, czego ode mnie oczekujesz, Drelich, ale...

Znowu nie dał jej dokończyć.

– Nie chcę cię naprowadzać. Domyślisz się, o co mi chodzi. No i muszę się przekonać, czy te reakcje są szczerze.

– Mam być wykrywaczem babskich kłamstewek?

– Tak.

– Ale wiesz, że ja się na tym nie znam, prawda?

– Myślę, że się znasz, pośrednio. Ale znowu, nie chcę cię naprowadzać. I jesteś ogólnie dobrą obserwatorką.

Westchnęła, nie wiedząc, czy to komplement.

– Dobra, dawaj ją.

– Poczekaj.

Iza rozejrzała się po hali przylotów. Zobaczyła śniadych mężczyzn stojących wkoło klęczącego kolegi, któremu najwyraźniej zepsuła się sportowa torba. Kobieta z grupką dzieci pędziła zapewne z przystanku kolejki miejskiej w kierunku ruchomych schodów prowadzących do hali odlotów. Za nimi próbował nadążyć brzuchaty mężczyzna, walcząc z dwiema wielkimi plastikowymi walizami na kółkach. Otyła kobieta z obsługi lotniska, o zaciętych oczach i krwistoczerwonych ustach, przejechała przez hol na wózku akumulatorowym. Zza przeszklonych drzwi wyszedł najpierw jeden pilot, a zaraz po nim kolejny, w towarzystwie stewardes. Nikodem wrócił przed barierki, Bogdan zatrzymał się przy saloniku prasowym.

Nagle na wyświetlaczu pojawił się obraz. Zestresowana blondynka koło czterdziestki siedząca przy ogródkowym stoliku. Ale to nie była kawiarnia, raczej stacja benzynowa z częścią restauracyjną. W tle ruchliwą drogą pędziły samochody. Kobieta

rozglądała się nerwowo na boki, reagowała na każde auto. Co chwilę przykładła złączone palce lewej dłoni do nosa, jakby je wachała albo próbowała zasłonić sobie usta. Przed nią, na stole stał kubek z kawą bez przykrywki.

– Dobrze, to zacznijmy od początku, żebym dobrze zrozumiał – Iza usłyszała nagle spokojny głos Drelicha. – Dlaczego napisałeś do mnie te wiadomości?

Oczy blondynki strzeliły w lewo i w prawo, palce powędrowały do czubka nosa.

– Natan to chory człowiek – powiedziała tak cicho, że jej głos ledwie się przebił przez szum stacji. – Bałam się, że on i mój mąż skrzywdzą... No, że stanie się coś złego twoim bliskim. Zaraz, czy ty to nagrywasz?!

Spięła się wyraźnie, wyprostowała, a oczy rozszerzyły się nagle. Wszystko w jej mowie ciała mówiło, że rozważa w tym momencie ucieczkę. Nieważne jak i gdzie. Po prostu ucieczkę.

– Nie nagrywam. Później będę, żeby sobie lepiej poukładać fakty, ale najpierw cię o tym poinformuję – odparł spokojnie Drelich. – A co do krzywdy wyrządzonej moim bliskim, to za późno. Już się stało.

Blondynka zamrugła gwałtownie, jakby dostała w twarz. Otworzyła usta, zamknęła je, znowu zamrugła, tym razem strząsając z powiek wielkie łzy. Podbródek jej drżał. Sięgnęła dłonią do nosa.

– Jezu, ja... ja... – Próbowała, ale nie była w stanie pójść z tym zdaniem choćby słowo dalej.

Drelich się nie spieszył. Uniósł puszkę z napojem magnezowym do ust – musiał mieć kamerę wpiętą w tizert na

wysokości splotu, bo Iza słyszała, jak przełyka. Odchrząknął i zapytał:

– Mąż cię bije?

Blondynka zmrużyła oczy. I znowu ręka – nos, jak w tej dziecięcej zabawie z lampą. Strach spłoszonego zwierzątka. I wstyd, wstyd, że ktoś wie.

– Przedwczoraj uderzył mnie pierwszy raz – powiedziała. Spokojnie, zaskakująco chłodnym, opanowanym głosem.

Iza zwróciła uwagę na dobór słów. „Uderzył pierwszy raz”. Gdyby zakładała, że na tym się skończy, czy nie powiedziałaaby raczej „jeden raz”? Albo po prostu „raz”? Pierwszy oznaczało początek czegoś. Tak samo mówiła Justyna, jej koleżanka ze studiów, której Iza kiedyś pomagała. Pewnie to miał na myśli Drelich, mówiąc o pośredniej znajomości tematu.

Chciała mu powiedzieć, żeby zapytał o inne formy znęcania, ale nie upewniła się przecież, czy może się odzywać. Czy on ją w ogóle teraz słyszy? Na szczęście on sam z siebie wiedział, jak prowadzić tę konwersację.

– Czy mąż znęcał się nad tobą w inny sposób? Zastraszał, kontrolował, wyzywał?

Blondynka rozejrzała się, opuściła głowę i potrząsnęła nią.

– To nie ma sensu – powiedziała.

– Co nie ma sensu?

– No ta rozmowa, to wszystko tutaj.

Wielka jak groch łąza rozprysnęła się o stolik. Potem kolejna. Drelich podał jej serwetkę z logo stacji.

– Co Natan zrobił twoim bliskim? – zapytała, gdy oczyściła już nos.

– Krzywdę – odparł Drelich.

– Ale poważną?

– Nie ma innych.

Uśmiechnęła się smutno i sięgnęła do torebki. Wyjęła stamtąd chusteczki i ostrożnie wytarła najpierw jedno oko, potem drugie.

– Spotkałeś go? – zapytała. – Natana w sensie?

– Tak.

– Zabiłeś go?

Tym pytaniem totalnie zbiła Izę z tropu. Nic wcześniej nie wskazywało, że ta roztrzęsiona i zdenerwowana kobieta może zapytać o to w taki sposób. Chłodno i... zwyczajnie. Tam już coś pękło, uzmysłowiła sobie. Ta sama granica, którą na pewnym etapie przekroczyła też jej koleżanka, Justyna, mówiąc w sądzie spokojnym głosem o biciu i gwałtach małżeńskich. Do Izy dotarło, że to był ten sam ton. Ta sama mina.

– Natan nie żyje, tak – odezwał się Drelich spoza kadru.

Blondynka powoli skinęła głową. Raz jeszcze wyczyściła nos, po czym zwinęła chusteczkę w kulkę, ukryła w jednej dłoni i przykryła ją drugą.

– Gdy Zygmunt się dowiedział, co zrobiłeś Pumbie, Szaremu i Adasiowi, strasznie się wściekł – powiedziała. – To wtedy mnie uderzył. Raz, w brzuch, mocno. A potem zapytał Natana, czy mnie nie chce. I Natan nie chciał. To w jakiś popierdolony sposób zabolalo mnie bardziej niż uderzenie. Że komuś takiemu jak Natan... I że on nie chce.

Zaśmiała się nerwowo.

– Jestem głupia, nie?

– Nie wiem, jaka jesteś – odparł Drelich, a Iza mimowolnie przewróciła oczami. Cały on, pieprzony mistrz taktu i wrażliwości. Jak zawsze! – Nie oceniam twoich życiowych wyborów. Chcę tylko wiedzieć, czy jesteśmy po tej samej stronie.

Na lotnisku, zza przeszklonych drzwi zaczęli wychodzić pierwsi pasażerowie. Grupa nastolatków, starszy pan z teczką i skórzaną walizką dziarsko trzymaną w dłoni, dwóch dobrze wyglądających mężczyzn w garniturach, z czego jeden z marynarką przewieszoną przez przedramię. Zosia obejrzała się na mamę.

Na stacji gdzieś na Pomorzu Drelich właśnie zapytał blondynkę o dzieci i ta znowu się spięła i wystraszyła. Coś tam zaczęła mówić o córeczce i synku, o jakimś podartym zdjęciu. Mówiła teraz ciszej i Iza mogła jedynie wyłapać pojedyncze słowa bądź zwroty. W tym ten, po którym kobieta znowu się popłakała: „Tata tobie kazał”.

– Wszystko w porządku, mamó?

Aż podskoczyła. Uniosła głowę i zobaczyła Zosię przyglądającą jej się z niepokojem.

– Tak, kochanie – odpowiedziała, wymuszając bolesny uśmiech i odruchowo unosząc blachę, by zasłonić przed córką ekran telefonu.

Kolejny raz spojrzała na rozsuwające się przeszklone drzwi. Obściskująca się para, wysoki typ w dresie, z komórką przy uchu, dziewczyna z dredami spiętymi w palmę. Gdzieś w tle zamajaczyła jej znajoma sylwetka. Wysoki, postawny, w krótkich luźnych spodniach i kwiecistej koszuli. Śmiał się, rozmawiając z kimś. Szarmancko przepuścił w drzwiach jakąś kobietę.

– Weź ode mnie ciasto – postanowiła nagle Iza. – Muszę do łazienki.

– Ale mamo, oni właśnie wychodzą.

– Wiem, zaraz będę.

Wcisnęła córce blachę w ręce, złapała telefon, po czym nie oglądając się za siebie, pobiegła do łazienki. Wparowała do środka i wyprzedziła kogoś na ostatniej prostej do kabiny. Zamknęła się, usiadła na zamkniętym sedesie i spojrzała na ekran.

Blondynka patrzyła gdzieś w dal z ręką pod brodą, jakby pozowała do wyjątkowo pretensjonalnego zdjęcia. Zastanawiała się nad pytaniem, którego Iza nie usłyszała.

– Nie, myślę, że nie – powiedziała w końcu, znowu patrząc w oczy Drelichowi. – Nie odpuści ani tobie, ani mnie. To znaczy mnie może na chwilę, ale potem...

W górze ekranu telefonu Izy pojawiła się informacja o próbie połączenia. Dzwonił Nikodem, co oznaczało, że najpewniej zobaczył Krystiana. Może nawet już się widzieli? Przypomniała sobie, że nie powiedziała Bogdanowi, jak wygląda jej chłopak. Czy to też wiedział od Drelicha? Miał zdjęcie? A może po prostu się domyśli, że dzieci nie reagują pozytywnie na kogoś obcego? Cholera wie, ale powinna wracać. Po to tu przyjechała z tą obitą, swędzącą gębą.

Drelich przeprosił na chwilę swoją rozmówczynię. Wstał, a potem wszedł z wciąż włączoną kamerką do budynku. Stał w jednej z alejek i obraz zatrzymał się na regale z czekoladami.

– I co? – zapytał Drelich. – Co sądzisz?

– To skrzywdzona kobieta, Drelich. Bardzo – odpowiedziała. – Myślę, że ma dość męża, kontroli i wszystkiego. To widać w jej

oczach. Może by się wycofała, gdyby mogła, ale chyba właśnie sobie uświadomiła, że nie może.

– Też tak myślę – odparł. – Dziękuję. Wiem, że postawiłem cię w niekomfortowej sytuacji. To znaczy mam na myśli tę teraz, bo o reszcie...

– Tak, wiem – przerwała mu. – Pogadamy o tym, jak to wszystko się skończy. Tylko Drelich... – Zawahała się, a on czekał, aż dokończy.

– Tak? – zapytał wreszcie.

– Spróbuj jej nie skrzywdzić bardziej, dobrze?

Teraz to on potrzebował paru sekund, by zastanowić się nad odpowiedzią.

– Sądzę, że to nie będzie konieczne – powiedział i się rozłączył.

56

Nie wrócili pod Kaufland. Milena wysadziła go na przystanku pół kilometra wcześniej. Zanim wysiadł, powiedziała, że wie, co ma zrobić, i się odezwie. Podziękował, bo przez ostatnią godzinę powiedzieli sobie tyle, że nic już nie trzeba było dodawać. Począł, aż ona odjedzie, udając, że sprawdza rozkład, a następnie pieszo wrócił na parking.

Bił się z myślami. Czy mógł rozegrać to lepiej? Upewnić się jeszcze bardziej, że są z Mileną Wójcik po tej samej stronie? Oczywiście tak, gdyby miał więcej czasu na przygotowanie. W tych okolicznościach zrobił, ile mógł. Sprawdził, czy skontaktowała się z mężem, zasięgnął drugiej opinii, a już podczas właściwej rozmowy zadał szereg podchwytliwych pytań w oparciu o wiedzę, jaką nabył z podsłuchu w hondzie i z dokumentów od Krasowskiego. Odpowiadała konkretnie, rzeczowo, czasem mówiąc „nie wiem”, a czasem dziwiąc się, że coś wie. Uzupełniła jego informacje na przykład w temacie ruskich i Amerykanów czy lunaparków na południu Polski. Dużo wiedziała o sprawach męża.

Wsiadł do auta, wpiął telefon do ładowarki, włożył słuchawki do uszu.

No właśnie, myślał, odpalając silnik. Zaskakująco dużo, ale czy też niepokojąco? Jej wypowiedzi, gdy już trochę się uspokoiła, świadczyły o umiejętności kojarzenia faktów. Milena Wójcik raczej

nie była tępą dziunią wyrwaną na podmiejskiej dyskotece i oddającą się bezmyślnie za marzenie o willi i szpanerze w drogim aucie. To kobieta, która dała się stłamsić, może nawet nieświadomie, i właśnie odkryła w sobie supermoc typową dla wszystkich żebraczych gangów na świecie – niewidzialność przez niedocenienie. Gdy ktoś nie traktuje cię poważnie, w pewnym momencie przestaje być przy tobie ostrożny. Mówi słowa, potem kawałki zdań, wreszcie całe kwestie w twojej obecności, zupełnie nie biorąc pod uwagę, że uważny słuchacz może z tego wiele wyciągnąć.

Pokonał dwa kilometry szeroką czteropasmówką, po czym ugrzązł w korku, gdy remontowana jezdnia zwężyła się nagle do pojedynczego pasa. Dziesięć minut pełził do ronda, by następnie odbić w prawo i już spokojnie dotrzeć do punktu docelowego – niewielkiego, nierównego podwórka przy rzędzie starych ceglanych domów przypominających śląskie familoki. Ukrytego od strony drogi, od domu Wójcików oddzielonego ledwie parkiem. Gdyby pojechał za Mileną, byłby tam w trzy minuty, ale nie chciał dać się zapamiętać.

Kiedy dotarł na miejsce, wyłączył silnik, rozpiął pas i uchylił drzwi.

Powodem, dla którego Drelich tak bardzo bił się z myślami, był nowy wariant planu zrodzony po rozmowie z Mileną. Bardziej skomplikowany w realizacji niż ten poprzedni – co stanowiło jego oczywistą wadę – choć jednocześnie nieco bardziej kompleksowy. Nie tylko likwidował problem, ale też całkowicie odwracał uwagę od Drelicha, przekierowując myśli i podejrzenia gdzie indziej. Wiarygodnie i nienachalnie odpowiadał na pytania, które zada

sobie wielu groźnych ludzi. A na pewno Ornowski, gdy już jego pieniądze znajdą się w bezpośrednim zagrożeniu.

Z tego, co mówiła Milena, a co zgadzało się z domysłami Drelicha, Wójcik podejmował właśnie współpracę z Rosjanami, by w ich imieniu sprzedawać miękkie narkotyki Amerykanom w bazach. Usługa z praniem wliczonym w koszty, robiona na boku i rzekomo bez udziału bossów. Za ich wiedzą czy nie – to już nie miało takiego znaczenia. Zawsze możesz poprosić o zgodę na coś mniejszego i za tym parawanikiem kręcić większe wałki. Zawsze też możesz spróbować zdobyć nadprogramowy kapitał, by zainwestować więcej w nowy biznes.

I to prowadziło do drugiej kwestii, czyli lunaparków. Rodzinnego biznesu, który zbudował pozycję Wójcika. Milena opowiedziała mu o dwóch tradycjach związanych z tą robotą – rodzinnym wyjeździe w tamte strony na Dzień Dziecka, wraz z kobietami i potomstwem ludzi Zygmunta, oraz transporcie sporej gotówki do wyprania w sezonie. Sporej, bo – co Drelich wiedział już od Krasowskiego – przychód z tych kilkunastu mniejszych i większych parków był ogromny, a potencjał szarej strefy jeszcze większy.

W tym roku z pieniędzmi mieli jechać Stówka i Litwa, zaś Adaś dołączyć do Mileny, Wójcika i dzieci, bo szef chciał go przedstawić wujowi. Nie wiedziała, kiedy ma się odbyć przewóz gotówki, ale na pewno nocą, czyli jutro, pojutrze i ewentualnie popojutrze, choć w tym ostatnim przypadku chłopaki po robocie spałyby cały dzień zamiast się bawić.

Czyli jutro albo pojutrze. Drelich zastanawiał się intensywnie, co urządziłoby go bardziej. Z jednej strony, im szybciej, tym lepiej

i mniejsze ryzyko, że coś się wysypie, bo miał już na tym etapie dwa słabe ogniwa – martwego Natana, do którego zniecierpliwiony Wójcik w każdej chwili może zacząć się dobijać, i Milenę, której przecież może się odwiedzić. Z drugiej strony, dzień więcej na przygotowania to w takim tempie wieczność.

Cokolwiek wołał Marek Drelich, i tak nie miało to znaczenia. Po prostu musiał przygotować się na oba warianty, a ostateczną decyzję podjąć, zanim zjawi się stryj. Teraz czekał, sprawdzając na mapie ważną, przywołaną z pamięci miejscówkę na później – na wynik ostatniego sprawdzianu Mileny.

Zapraszam na zajefajna.com

Weszła do domu, położyła klucze na szafce, zsunęła buty i wstukała kod na panelu alarmu. Zza winkła wyłonił się Murzyn, przystanął niepewny, czy do niej podejść, czy jednak zawrócić, a potem opadł na podłogę, jakby całe to myślenie strasznie go zmęczyło. Przywarł pyskiem do płytek i wpatrywał się w nią ciemnymi ślepiami.

Zygmunt jeszcze nie wrócił, podobnie mama, z którą rozmawiała pół godziny wcześniej – przerywając na moment rozmowę z Drelichem – i przed pięcioma minutami. Mimo to sprawdziła kuchnię, łazienkę oraz wszystkie pomieszczenia na górze, zanim usiadła na kanapie z torebką na kolanach.

A więc to tak, pomyślała. Tak pali się za sobą mosty.

Przerażał ją jej własny spokój. Przerażał, ale i w jakiś pokrętny, być może szalony sposób bawił. Przypominając sobie siebie w Kauflandzie, splakaną, rozedrganą, błagającą o pomoc, nie mogła się teraz nie uśmiechnąć. Głupia Mileno sprzed czterech dni. Ha, to brzmiało jak początek piosenki disco polo!

Próbowała wymyślić kolejny wers, jednak nie miała żadnego pomysłu, nic, co by się fajnie rymowało. Zajrzała do torebki. W środku spoczywał telefon od Drelicha i prostopadłościan wielkości powerbanku.

– Umiesz wymienić gniazdko? – zapytał ją w aucie Drelich, sięgając do kieszeni po ten telefon. Gdy zaprzeczyła, wyjął

prostopadłościan. – W takim razie zamontuj to w gabinecie męża. Najlepiej wysoko na szafie, poza zasięgiem jego wzroku.

Zapytała, czy to podsłuch, a on potwierdził.

– Normalnie takie rzeczy instaluje się w gniazdkach, by urządzenie miało stały dostęp do prądu. To na baterię uruchamia się na dźwięk i może wytrzymać do kilkunastu godzin. Nam nie będzie potrzeba więcej.

Uderzyła ją pewność w jego głosie przy tych słowach i wtedy, ten jeden, jedyny raz zapytała, co konkretnie zamierza. „Zamykam sprawę” – zapewnił, ucinając temat. Zupełnie niczym Zygmunt, jakby nie traktował jej do końca poważnie. Ogólnie Milena miała nieodparte wrażenie, że w wielu sprawach ci dwaj byli do siebie podobni, ale nie chciała się w to zagłębiać. Bo co, jeśli okaże się, że – jak zwykł mawiać tata – zamienił stryjek siekierkę na kijek?

Teraz wpatrywała się w urządzenie schowane między nowym telefonem, paczką nawilżanych chusteczek a zwiniętą w kulkę foliową torbą na zakupy. Żeby je włączyć, wystarczyło przytrzymać owalny przycisk tak długo, aż zapalą się dwie niebieskie diody, a potem położyć tak, by nie było ich widać. Tyle. Nie takie trudne. Nie musiała nawet dzwonić do Drelicha, że już wszystko okej – urządzenie samo da mu sygnał.

Odetchnęła głęboko, odłożyła torebkę i przeszła do kuchni po szklankę wody. Nalała do połowy, wypila, znów nalała. Wiedziała, że czas nie działa na jej korzyść. Że gdy Zygmunt wróci, a wrócić przecież mógł w każdej chwili, będzie już za późno.

Nie będzie drugiej szansy, odezwał się w głowie Mileny syntezytor. Najwyraźniej zmienił front, ale nie brzmiał przez to

bardziej ludzko.

Czekała na jeszcze jeden głos, ten, który brała za sumienie i wrażliwość. Czekała, aż się odezwie i zacznie histeryzować, że Drelich zabił Natana i zamierza pewnie zabić Zygmunta oraz wszystkich pozostałych. No bo co innego może znaczyć w tym kontekście „załatwię sprawę”? Przecież już się nie pogodzą. Nie, jeśli faktycznie Natan skrzywdził Drelichowi bliskich. A skoro tak, skoro mieli umrzeć ludzie, to ona, Milena, zaraz pomoże w ich zabójstwie. Pomoże w zabiciu człowieka, któremu przysięgała!

Ku własnemu zdziwieniu odkryła, że to nie ma już znaczenia. Ani to, ani żadne pozytywne wspomnienie jeszcze z tych szczęśliwych czasów. Żaden romantyczny wypad, czuły seks, śmiech, żadna wspaniała chwila. Wszystkie te myśli zyskiwały mroczne drugie dno. Wszystkie przykrywały czarne karty ostatnich dni. Życie tamtych albo życie Mileny i przyszłość jej dzieci. Kim się staną, kim będą, jeśli ona teraz stchórzy?

– Pieprzyć to – mruknęła pod nosem. – Pierdolić!

Odstawiła szklankę, umyła ręce i starannie wytarła je w papierowy ręcznik. Pewnie nim zdąży wyjąć urządzenie z torebki, znowu będą wilgotne od potu i rozedrgane. Ale może nie?

– Głupia Mileno sprzed czterech dni – szepnęła, by zaraz dodać: – Ciebie już nie ma, ja to nie ty.

Nie był to najlepszy wers, jednak czuła, że jest prawdziwy. Przed czterema dniami błagała o pomoc tamtego dzieciaka. Przed dwoma leżała na podłodze przed gabinetem Zygmunta, błagając w duchu, by nie otworzyły się drzwi i nie zobaczyły jej dzieci.

Poprzedniego dnia przeszukała telefon męża i napisała mejla, który doprowadził do dzisiejszej rozmowy. I poradziła sobie z nią! Dziś mogła zrobić krok do przodu albo cofnąć się do tamtej chwili, gdy przeczytała najstraszniejsze zdanie w swoim życiu. Zatopić się w niej jak mucha w bursztynie.

Ruszyła energicznym krokiem w stronę torebki, ale zatrzymała się w pół drogi. Zrobiła to tak gwałtownie, że mało nie upadła. Murzyn obejrzał się na nią i zaraz znowu przywarł łbem do posadzki.

A co, pomyślała, jeśli Zygmunt ma w gabinecie podsłuch? Jeśli dowie się, że tam była pod jego nieobecność? Jeśli...

Swoją reakcją zaskoczyła samą siebie. Zamiast stać tam i się zastanawiać, przeszła przez przedpokój, przestąpiła nad psem i wspiąwszy się na niski taborecik, otworzyła skrzynkę z bezpiecznikami. Wykręciła je jeden po drugim. Takie rzeczy zwykle instaluje się w gniazdkach, powiedział przecież Drelich. Czyli potrzebują dostępu do prądu.

Uznała, że jeśli się myli, to trudno. Uwolni się albo nie. Nic gorszego już jej nie spotka.

Głupia Mileno sprzed czterech dni...

Będziesz wdzięczna lub mi nie wybaczysz.

Wróciła do salonu po urządzenie i zaniósła je do gabinetu. Omiotła pomieszczenie wzrokiem, jakby widziała je pierwszy raz, choć przecież znała ten wystrój doskonale, wiedziała, co gdzie jest. I gdzie powinien być podsłuch. Na regale i tak zalegała już gruba warstwa kurzu. Zygmunt nigdy tam nie zajrzy, a na pewno nie przez najbliższe kilka dni.

A potem co?

Zapytała o to Drelicha, a on powiedział, że potem będzie po sprawie. Milena będzie mogła zacząć żyć po swojemu i nie będzie już musiała o nic się bać. Nie była tego taka pewna, w końcu strach ma wiele twarzy, przyjmuje wiele form. Równie dobrze może być też rachunkiem za wodę, prywatną wizytą lekarską z dzieckiem, za którą nie ma jak zapłacić, komornikiem.

– Dasz sobie radę – zapewniła się na głos, uruchamiając urządzenie i kładąc je na regale. I, co najbardziej ją w tym wszystkim dziwiło, wierzyła w te słowa.

Pójdzie do pracy, wynajmie mieszkanie, przełamie dumę i poprosi o pomoc rodziców, przyjaciół, nawet jakieś fundacje. Cokolwiek się stanie, nie będzie jedną z kobiet, które przywalone całym tym głównym odpuszczają. Ma dzieci. Da sobie radę.

Wróciła do przedpokoju, wkręciła bezpieczniki i poszła do salonu po telefon od Drelicha. Musiała go gdzieś ukryć, tak by miała do niego swobodny dostęp, ale by Zygmunt go nie znalazł. Na razie zobaczyła na ekranie esemesa.

„Działa”.

A więc to już, pomyślała, osuwając się na kanapę. Wyjęła z torebki chusteczki. Miała wrażenie, że obraz rozmył się od jej łez i że ona zaraz wybuchnie płaczem. Ale nie rozplakała się. Posiedziała chwilę, a potem wstała zrobić dzieciom obiad. Czy też raczej obiadokolację, bo maluchom wcale się dziś do domu nie spieszyło.

Kwadrans później zjawił się Adaś. Powiedział, że przyjechał prosto z treningu i Zygmunt kazał mu tu zaczekać, bo wkrótce będą.

– Podobno są straszne korki – stwierdził. – Kurczę, czasem chciałbym tak sobie mieszkać na uboczu. Niby daleko, ale przecież wszystko pod ręką, prawda? Mogę prosić o coś do picia?

– Jasne. Mrożona herbata? Mamy jeszcze końcówkę malinowej.

– Brzmi pysznie – powiedział, rozglądając się na boki. – Dzieci nie ma?

– Nie, jesteśmy sami – oznajmiła, otwierając drzwi lodówki. Gdy sięgnęła ręką po dzbanek, doszło do niej, że to zdanie można odczytać wielorako, zwłaszcza w kontekście ostatnich wydarzeń. Czy gdyby zdecydowała się szukać pomocy wśród zaufanych Zygmunta, Adaś nie byłby najlepszym możliwym wyborem? Mimowolnie uśmiechnęła się do tej myśli.

– Jesteś głodny?

– Jak wilk – odparł.

– Kanapki z szynką i serem?

– Sztos!

Wyjęła z lodówki potrzebne produkty, chleb z chlebaka i zajęła się szykowaniem kanapek. Czuła na sobie jego wzrok i jednocześnie nie mogła przestać myśleć, czy właśnie nie szykuje mu jednego z ostatnich posiłków. I czy ten chłopak zasłużył na to, co go spotka? Bo przecież spotka, ich wszystkich. Drelich nie może zostawić przy życiu żadnego z nich. Nie miała co do tego wątpliwości, ale czy akurat Adaś, taki w gruncie rzeczy młody, pogodny, naprawdę powinien być potraktowany tak samo jak Natan czy jej mąż?

To nie jest twoja decyzja, napomniała się w myślach. Ty już zrobiłaś swoje.

Postawiła talerz z kanapkami na blacie i sobie też naląła mrożonej herbaty.

– Smacznego. Jak trening? – zapytała, opierając się pośladkami o kuchenkę.

– Intensywnie, ale dobrze, dziękuję – odparł.

– Szykujesz się do czegoś?

Wyszczерzył się jak jeden z tych wesołych psów w internetowych memach. Z ust sterczał mu kawałek chleba z plastrem szynki i strzępem sałaty.

– Można tak powiedzieć.

Potrzebowała kilku sekund, by zrozumieć sens tych słów, i natychmiast zakodowała sobie w głowie, by napisać o tym Drelichowi. Że chłopak się na niego szykuje.

Upiła herbaty i odstawiła szklankę do zlewu.

– O, chyba już są – powiedział Adaś. Wziął talerz z kanapkami w jedną i szklankę w drugą rękę. – To ja zaczekam u szefa. Dziękuję.

– Jasne.

Zaraz potem do domu weszli Zygmunt i pozostali. Żaden się nie przywitał, skierowali się od razu do gabinetu. Mieli ze sobą własne jedzenie. Sądząc po zapachu, gruzińskie.

Do godziny piętnastej szesnaście prowadzący nasłuch Drelich miał w zasadzie gotowy nowy plan i złożone zapotrzebowanie u Krasowskiego, ale wciąż brakowało mu jednego ważnego detalu – daty. Nie był to tak naprawdę poważny problem, jednak znajomość daty wiele by ułatwiła, pozwoliłaby inaczej rozłożyć siły, spokojniej i pewniej ustalić działania. Tyle że rzeczywistość, przynajmniej na razie, nie zamierzała mu iść na rękę.

Wójcik, choć dużo mówił o dealu z Rosjanami – „no to, panowie, zaczynamy!”, jak i o toczącej się sprawie Drelicha – „Natan pisał rano, że już skurwiela namierzył i wkrótce przywiezie”, akurat na temat tej daty milczał. Odnośnie do wyjazdu na południe padały tylko pojedyncze zdania. Pumba znowu snuł swoje teorie na temat związku błędnika z kobiecym popędem, a Wójcik przypominał mu, że nigdzie w tym roku nie jedzie i może to go nauczyć. Potem zapytał, kto podskoczy do Ornowskiego, i zgłosił się jeden z nieznanych Drelichowi głosów. Chciał też wiedzieć, ile tego będzie.

– A co cię to, kurwa, obchodzi? Cztery torby – odparł wyraźnie wzburzony Wójcik. – I to jedyna wiedza, jakiej potrzebujesz. Wszystkie kwity są w środku, masz zawieźć, nie rozliczać.

Nieznany głos powiedział, że jasne, w porządku i o co te nerwy, w końcu tylko zapytał, tak? Gdy zaraz potem chciał wiedzieć, kiedy ma pojechać, Drelich nadstawił ucha, ale

odpowiedzią było gówniane „wkrótce, dadzą znać, jak będzie gotowe”.

– Ode mnie też będzie paczuszka. Wsadzicie ją do jednej z toreb, dowolnej – dodał Wójcik, jednak nikt nie podjął wątku, więc na tym się urwał. Wreszcie Adaś poszedł, bo miał kolejny trening, a Szarego podobno ryj już tak napierdalał, że musiał się walnąć.

– Czekaj, może Milena coś ma – powiedział Wójcik. Rozległy się kroki i dźwięk otwieranych drzwi. – Kochanie, pozwolisz tu na chwilę?

Gdy usłyszała, jak otwierają się drzwi gabinetu, a zaraz potem Zygmunt zawołał ją, zaczynając zdanie od „kochanie”, ugięły się pod nią nogi.

Znalazł pluskwę! Jezus Maria, znalazł pierdolony podsłuch!

Nie wiedziała, co robić. Uciec? Złapać za nóż i próbować się bronić? Wyciągnąć telefon od Drelicha z pojemnika na kaszę i zadzwonić po pomoc? Wszystkie te opcje wydały jej się równie nieprawdopodobne. Równie idiotyczne. Dzieci były poza domem. Jeśli faktycznie Zygmunt znalazł podsłuch...

– Kochanie? Jesteś tam?

Odchrząknęła. Miała nadzieję, błagała Boga, by głos jej się teraz nie złamał. Nabrała tchu.

– W kuchni jestem – spróbowała. I alleluja, udało się! Odważyła się na następne zdanie. – Dzieci zaraz będą, obiad robię.

– A coś przeciwbólowego masz może? Mocniejszego takiego?

Teraz już czuła, że pot płynie jej strużką po plecach. Drwi z niej. Drwi jak tym pierdolonym esemesem sprzed czterech dni. Tamto też zaczynało się od „kochanie”, a skończyło... skończy... skończy...

Zaczęła nagle tak drzeć, że z trudem ustała. Uchwyciła się blatu. Opanuj się, dziewczyno, opanuj się. Opanuj, kurwa! Odetchnęła kilka razy głęboko, wolno, jak na jodze.

– A co potrzeba? – zapytała. Trochę piskliwie, ale nie było źle. Chyba nie było. Nie było, prawda? Boże, nie było źle?!

– Coś mocnego, bo nam tu zaraz Szary zjedzie od tego poobijanego ryja. I wodę jakąś, dobrze? Dzięki.

– Jasne, już!

Fala ulgi uderzyła w nią niczym orgazm. Ręka, na której Milena się wsparła, ugięła się nagle w łokciu i kobieta powoli osunęła się na podłogę.

Tym razem lzy poleciały same. Otarła je nerwowo wierzchem dłoni, dwa razy, tam i z powrotem.

– Obyś zdechł – wyszeptała przez zaciśnięte zęby. – Obyś, kurwa, zdechł w męczarniach.

60

O godzinie piętnastej czternaście w gabinecie zadzwonił telefon. Nie było już wtedy Adasia, Pumby i Szarego, tylko Wójcik, Stówka i Litwa. Ten ostatni, jak zorientował się Drelich, zadawał wcześniej pytania. Stówka prawie się nie odzywał.

Wójcik odebrał, kilka razy przytaknął i się rozłączył.

– Jutro o dwudziestej trzeciej pod Skąpym Rybakiem – powiedział, a Drelich zanotował i odruchowo podkreślił. – Wjazd od tyłu, jak zawsze. Tylko bez ociągania i pogaduszek. Szast-prast i od razu ruszacie. Dam znać, że będziecie na miejscu koło szóstej.

Drelich nasłuchiwał jeszcze pół godziny, do momentu, kiedy wszyscy wyszli z gabinetu. Potem urządzenie włączało się już tylko sporadycznie, wyłapując pojedyncze dźwięki dochodzące z przedpokoju. Raz, gdy wróciły dzieci, robiąc przy tym sporo rabanu, i drugi, gdy pies, którego nazywali Murzyn, porwał coś i wszyscy wołali „oddaj to”. W międzyczasie Drelich wpisał godzinę we wszystkie brakujące miejsca w planie, uzupełnił uwagi i zadzwonił do Krasowskiego.

– Zaraz wyślę ci listę. Potrzebuję na jutro i wiem, że będzie drożej – powiedział, gdy tamten odebrał i potwierdził, że mogą bezpiecznie rozmawiać. – Na koło piętnastej.

– Jasne, będzie czekało – odparł Krasowski. – Odbierasz osobiście?

– Nie.

- W porządku. A czy ma to związek...
- Trzymaj się, Krach. Dziękuję.

Rozłączył się i jeszcze raz przyjrzał odpalonej na laptopie mapie. Zbliżył oznaczone wcześniej fragmenty, włączył widok z ulicy. I tak trzeba będzie sprawdzić osobiście, pomyślał, ale wyglądało obiecująco.

Przełączył zakładkę, spojrzął na drugą mapę i zrobił to samo. Uważnie obejrzał zaznaczone punkty z góry i z poziomu ulicy. Nie miał nowych uwag, więc zamknął komputer i schował notes.

Zastanawiał się, czy napisać do dzieci, ale uznał, że tę akcję powinien traktować jak normalną robotę, a na normalnej robocie ograniczał kontakt z dziećmi do minimum i nigdy, przenigdy go nie inicjował. Skupienie na celu, żadnych rozpraszaczy. Umysł skoncentrowany na przetwarzaniu możliwych wariantów. Zadzwoił więc do Bogdana.

– Są w domu u tego Krystiana – zaraportował tamten głosem rzeńskim jak na kogoś, kto ostatnią dobę spędził na czuwaniu. – Wcześniej zatrzymali się na obiad w pizzerii, tu w okolicy.

– W porządku, dzięki – rzucił Drelich i po chwili wahania zapytał: – Jak ten Krystian zareagował na twarz Izy?

– Rękami nie machał. Rozmowy nie słyszałem.

– Okej. Dzięki Bogdan. Teraz możesz iść się trochę przespać.

– Jesteś pewien?

– Tak. Wszystkich podejrzanych mam tutaj, Iza obiecała dać znać, gdyby chciała wyjść z dziećmi. Jeśli wrócisz na noc, będę spokojniejszy, a teraz odeśpij.

– Dobra, w kontakcie.

Drelich rozłączył się i sam pozwolił sobie na krótką drzemkę. O szesnastej trzydzieści odebrał telefon z nieznanego numeru.

– Jesteśmy – powiedział Andrzej, najstarszy syn stryja Józefa.

– Podaję adres...

Drelich złapał długopis leżący w schowku i szybko zanotował, po czym sprawdził w wyszukiwarce – kwatera prywatna, domek jednorodzinny. Według Map Google'a sześć kilometrów. Dwadzieścia dwie minuty.

61

Pierwsza historia, jaką Drelich kiedykolwiek usłyszał o swoim stryju, okazała się nieprawdziwa.

Według niej w czterdziestym pierwszym roku siedmioletni chłopiec zjawił się na progu sierocińca sióstr urszulanek, niosąc na rękach niespełna dwuletniego braciszka. Obaj warczeli jak zwierzęta i byli mocno pokaleczeni, bo zaplątali się w zasieki, gdy próbowali wydostać się z okupowanej Warszawy.

W tej opowieści na pewno zgadzało się tylko owo zaplątanie w zasieki. Stryj w pewnym momencie życia faktycznie miał taki epizod, co poznały go bliznami na rękach, barkach i twarzy oraz nieomal kosztowało lewe oko. Reszta to stek bzdur albo pomieszanie faktów.

Przede wszystkim w czterdziestym pierwszym roku nie miał siedmiu lat. Na ile udało się to kiedyś ustalić ojcu Drelicha, a przyrodniemu bratu stryja, Józef urodził się między czterdziestym czwartym a nawet czterdziestym dziewiątym rokiem. Faktycznie spędził dwa albo trzy lata u sióstr, ale nie urszulanek, tylko elżbietanek, bo tam dziadek Drelicha miał ciotkę. Podobno rzeczony dziadek przebywał wtedy w więzieniu albo się ukrywał. Tyle faktów.

Dalszą biografię stryja również należało czytać przez palce, bo wypełniały ją w zasadzie same ogólniki, zaprzeczenia i piętrzące się pytania albo opowieści tak niesamowite, że ocierały się

momentami o horror i groteskę. Na pewno odbył przeszkolenie wojskowe, ale w jakiej armii, jakiej formacji? Na pewno boksował i uprawiał judo. Dobrze posługiwał się bronią, mówił biegle po rosyjsku i niemiecku, całkiem znośnie po angielsku. Podobno swego czasu zajmował się handlem, jednak nikt nie wiedział, czym handlował i ile z tych działań było legalnych, a ile nie. Kilkakrotnie siedział w więzieniu i przynajmniej raz z niego uciekł – w innej wersji historii robił to za każdym razem – a potem się ukrywał. Tak poznał miłość swojego życia, z którą nigdy się nie ożenił, ale też, jak wieść głosi, nigdy jej nie zdradził. Był dobrym złodziejem i całkiem sprawnie zabijał, nie wiadomo ilu i w czyim imieniu. Na pewno od zmiany ustroju na początku lat dziewięćdziesiątych działał już tylko sporadycznie, pozostając poza wielkimi układami z głównych miast. Jeśli miał jakieś koneksje, korzystał z nich rzadko i niechętnie. Zlecenia i roboty brał swego czasu różne i bez specjalnie zarysowanego wzoru.

Mimo iż w latach osiemdziesiątych niemal na pewno współpracował z SB, to gdy przed piętnastoma laty urządził sobie skromny pogrzeb – by ostatecznie wypisać się z tego pierdolnika, jak to ujął, mając na myśli Polskę – największy wieniec był od dwóch legend Solidarności. Jakoś dowiedzieli się o pogrzebie i przyjechali z drugiego końca kraju. Pustą trumnę nieśli wtedy Drelich i synowie starego: Bogdan, Hubert i Andrzej. Cała trójka mieszkała z nim na jego ziemi.

Co zabawne, po rzekomej śmierci stryj nigdy nie krył się w swojej rodzinnej wsi. To była sprawa dla urzędów, dla miastowych, słowem, dla obcych. Ludzie sami z siebie milczeli, trochę z szacunku, trochę ze strachu. Poza wsią wiedziała jeszcze

garstka osób, w tym chociażby Iza i część jej rodziny, która pamiętała ich wesele. Akt zgonu z rozmytą datą urodzenia stryj trzymał w ramce naprzeciw łóżka. Rzekomo po to, by przypominał mu, iż faktycznie kiedyś umrze.

Najstarszego z kuzynów Drelich zobaczył zaraz, gdy wjechał w wąską, wyłożoną brukiem ulicę, obsadzoną z obu stron szeregiem jednorodzinnych domków. Andrzej, z postury zbliżony do niego, był mężczyzną po pięćdziesiątce, z twarzą człowieka, który dołożył wszelkich starań, by wbrew naturalnym warunkom nie wyglądać dobrze. Krzywy nos, permanentnie nabrzmiały łuk brwiowy, wory pod oczami i policzki pełne zmarszczek oraz blizn – nic z tego nie dostał od natury i na wszystko sam starannie zapracował, chyba jak żaden z braci kierując się ojcowskim, nie do końca jasnym poczuciem honoru.

Na widok samochodu kuzyna otworzył bramę na podjazd dwukondygnacyjnego domku o spadzistym dachu. Gdy Drelich wjechał, Andrzej najpierw ją zamknął, a dopiero potem otworzył dwustanowiskowy garaż. Wszedł za pojazdem i przywitał się skinieniem głowy.

– Jak podróż? – zapytał Drelich, sięgając po torbę z komputerem i notatkami.

Kuzyn zmierzył go spojrzeniem.

– Nie bądź śmieszny.

Przeszli do części mieszkalnej i stamtąd do salonu skąpanego w półmroku za sprawą wielkich, ciężkich rolet – światło wpadało tylko przez okno w kuchni i drugie na przestrzał.

Stryj drzemał na rozkładanym fotelu, z dłońmi zaplecionymi na brzuchu. Miał półprzymknięte powieki, przez co wyglądał jak dziecko oszukujące w chowanego.

Był niewysokim żylastym mężczyzną noszącym się trochę jak kozak z Sienkiewiczowskiej Trylogii: gęsty opadający wąs, wysoko podgolony łeb, na górze kępka siwych włosów. Łatwo się opalał, od razu na brąz, i wtedy blizny odznaczały się wyraźnie, jakby dociskał twarz do nieregularnej siatki. Od lewego oka niczym kurza łapka ciągnęła się haczykowata, wywinięta do góry blizna przypominająca, jak niewiele kiedyś brakowało.

– Gdzie Hubert? – zapytał Drelich.

Andrzej wskazał brodą na schody, po czym wszedł do kuchni.

– Pijesz coś?

– Wodę.

Stryj Józef poruszył się niespokojnie, pociągnął nosem i oblizał wargi, ale się nie obudził. Drelich usiadł więc na stojącym pod ścianą krześle, skrzyżował ręce na piersi, dłonie wsuwając pod pachy. Gdy dostał wodę, wypił ją małymi łykami i odstawił szklankę koło krzesła, po czym zamarł w poprzedniej pozycji. Wiedział, że nie ma sensu próbować niczego przyspieszać czy poganiać. Równie dobrze stryj mógł w tej chwili udawać sen, świetnie się przy okazji bawiąc. Jego poczucie humoru było... Cóż, dość nieprzewidywalne. I kompletnie niezrozumiałe dla kogokolwiek prócz niego samego i jego synów.

Andrzej robił coś na kuchennym blacie, odwrócony plecami do salonu. Sądząc po zapachu oraz dźwiękach, czyścił i składał broń. Mięśnie pleców pod opiętym tiszertem zdawały się poruszać

w takt trzasków i kliknięć, jakby mężczyzna sam był maszyną pełną sprężyn i zapadek.

– Ta kobieta, o którą chodzi – rzucił w końcu, nie odwracając się. – Spałeś z nią?

– A co to za różnica? – zapytał Drelich.

– No tak, dla ciebie pewnie żadna – odparł najstarszy kuzyn. Poruszyły się ramiona i łokcie, trzasnął zamek. – Ale ja lubię wiedzieć, czy walczę w słusznej, honorowej sprawie.

– Walczysz, bo każe ci ojciec – stwierdził Drelich. – Tu nie chodzi o mnie i moją sprawę.

Andrzej zamarł, lecz po kilku sekundach zabrał się do dalszej pracy.

– Rzeczywiście, masz rację – powiedział cicho. – To zobowiązanie wobec rodziny. Nie chodzi o ciebie.

Hubert, środkowy z braci, zszedł na dół i również przywitał się skinieniem głowy. Z całej czwórki on jeden zasługiwał na miano przystojnego, a przynajmniej kogoś, kto jako tako o siebie dba. Miał lekko kręcone włosy sięgające za uszy, krótką, starannie przystrzyżoną brodę, a na nosie gustowne okulary w cienkich oprawkach.

– To jak, jest już jakiś plan? – zapytał Drelicha.

– Jest – odparł tamten. – Trochę skomplikowany, ale jest.

Hubert pokręcił głową.

– Ojciec nie lubi skomplikowanych.

– Powiedział, że planowanie należy do mnie – oznajmił Drelich. – Zresztą akurat dla niego mam prosty przydział.

Andrzej prychnął pogardliwie, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, rozległ się inny głos, do tej pory nieobecny

w rozmowie. Cichy, jednak stanowczy, lekko świszczący i suchy.

– Dzień dobry, Mareczku – odezwał się stryj Józef.

Drelich spojrzał w jego stronę. Oczy starego skrzyły się w półmroku. Pod wąsem lśniły w uśmiechu zęby, nieco pożółkłe, ale podobno – tak przynajmniej było, gdy widzieli się ostatni raz – co do jednego wciąż jego własne. Mimo wszystko jego widok sprawił Drelichowi przyjemność. Stęsknił się.

– Dzień dobry, stryju – powiedział. – Cieszę się, że przyjechałeś.

Stary się uśmiechnął. Dla każdego, kto go nie znał, mógł to być miły starczy uśmiech.

– Nie mogłem odmówić, bratanku marnotrawny, wiesz przecież. Ale powiedz mi, bo mnie również ciekawi kwestia, którą poruszył Andrzej. Bijemy się dla słusznej sprawy czy po prostu się bijemy?

Drelich westchnął.

– Dla słusznej, stryju – odparł. – Człowiek, którego ścigamy, myśli, że mam romans z jego żoną, bo ktoś użył moich zdjęć, by wyłudzić od niej pieniądze.

– Powiedziałeś mu to? – zapytał Andrzej. – Temu facetowi?

Drelich milczał, czekając, aż to samo pytanie cierpliwie i nawet z pewnym rozbawieniem zada stryj.

– Próbowałem się z nim dogadać, jeszcze zanim się dowiedziałem, na czym polega oszustwo, i już po tym, gdy nasłał na mnie swoich ludzi. Nie zdążyłem zadzwonić drugi raz, bo jego człowiek zaatakował Izę.

To musiała być nowość dla Andrzeja, gdyż nagle zmrużył oczy i podrapał się po zarośniętym policzku.

– Zrobił jej coś? Coś poważnego?

– Nic poważnego – odparł Drelich. – Usiłował zgwałcić, ale dała sobie radę, i ta kwestia jest już zamknięta. Podobnie jak...

– Pokojowe możliwości rozwiązania sprawy. Rozumiem – przerwał mu stryj. – Czyli bez gadania, skupmy się na tym, po co tu jesteśmy.

– Dobrze, stryju.

Drelich rozłożył notatki na ławie przed Józefem i poczekał, aż Hubert włączy światło.

– Plan zmieniał się do ostatniej chwili, stąd tyle skreśleń – wytłumaczył, dostrzegając grymas na twarzy najstarszego kuzyna. – Ale od początku stoi na tych samych mocnych filarach. Jednym z nich jest wąskie grono do wyeliminowania. To zamknięty krąg ludzi wtajemniczonych w sprawę, którym zależy, by moje nazwisko nie wyszło dalej. Druga kwestia to kluczowe w tej operacji zainteresowanie Ornowskiego, lokalnego bossa. Tego nie unikniemy, zatem musimy mu dać odpowiedzi na pytania, które na pewno będzie chciał zadać. Wiarygodne, odnoszące się do interesów prowadzonych na boku, a jednocześnie nieprowadzące do mnie i moich bliskich. To się nie zmieniło od momentu, kiedy do was zadzwoniłem. W międzyczasie jednak odkryłem nowy ważny element, który pozwoliłby sprawę rozwiązać najpełniej, zatem obecnie główny wariant wygląda następująco...

– Ile masz wariantów? – wszedł mu w zdanie Hubert.

– Dwa duże, bo poprzednią wersję wciąż trzymam w odwodzie. Kilka możliwych modyfikacji na każdym.

– I ten drugi jest prostszy?

Drelich skinął głową.

– Tak, ale jak mówiłem, pierwszy jest kompleksowy – odparł, zerkając ukradkiem na stryja. – Cel główny to sześć trupów, a nadrzędny to ochrona mojej rodziny przed potencjalną zemstą czy choćby śledztwem prowadzącym...

– To twoja akcja, Mareczku – przerwał stryj. – Twoja odpowiedzialność. Jeśli mówisz, że trzeba zabić, to trzeba. Jeśli mówisz, że mamy przy tym zrobić teatrzyk... Cóż, zrobimy.

Drelich skinął głową. Wiedział, co kryje się za tymi słowami. Wiedział, że gdy przyjdzie zapłacić za to, co się tu wkrótce stanie, on będzie musiał mieć dokładnie to samo podejście.

– A więc plan jest taki...

Omawianie wszystkich szczegółów trwało prawie trzy godziny. Po tym czasie stryj poszedł spać, a Drelich z kuzynami wsiedli do samochodu i pojechali obejrzeć posterunki. Drelich nie musiał robić nowych notatek, bo jego zadania pokrywały się z tym, co przygotował wcześniej, jeszcze do poprzedniej wersji planu. Zajęło im to kolejne dwie godziny i gdy skończyli, było już późno. Za późno na przynajmniej jedną kwestię, którą wolałby mieć dograną jeszcze dziś. No ale cóż, próbował przekonać sam siebie, zważywszy na tempo, z jakim to wszystko powstało, i tak poszło nieźle.

Mimo to, gdy zatrzymali się na stacji benzynowej i Andrzej wyszedł po papierosy, Drelich odwrócił się do Huberta siedzącego z tyłu.

– Powiedz mi, ale tak szczerze – rzucił. – Co sądzisz?

Hubert wzruszył ramionami.

– Plan w zasadzie w porządku i nie brzmi przesadnie skomplikowanie – odparł. – Nawet synchronizacja aż tak bardzo nie trzyma nas za mordy, mamy pole do manewru. Miejsc na finał jesteście pewien?

– Tak, znam je dobrze. Są w zasięgu, przejezdne i pasują idealnie.

– A tego gościa, który ma załatwić ojcu sprzęt?

– Też. Krach jest w porządku, pracuję z nim od dawna. Dostarczy, co trzeba i jak trzeba, na wyznaczone miejsce. Dyskretnie.

– Okej. To jedna rzecz tylko.

– Jaka?

– Chciałeś, żeby ojciec zabrał z Warszawy Bogdana. Ale on tego nie zrobi. Ostatnio bardzo podkreśla własną samodzielność i dlatego zajmie się tym sam. Na szczęście jest w formie, jednak uwzględnij to w swoim planie. No i masz wolnego człowieka.

Drelich pokiwał głową.

– Słuszna uwaga – przyznał. – Dziękuję.

Gdy dotarł do Jutrzenki, rozebrał się, wziął prysznic i napisał esemesa do Mileny: „Wszystko idzie dobrze. Skontaktuję się jutro”, a potem położył się spać. Budzik nastawił na ósmą, świadom, że czeka go naprawdę długi dzień.

62

To była jej ulubiona ławka. Tylko w połowie skryta w cieniu, dlatego gdy już zajęła akurat tę połówkę, mogła być spokojna, że w tak skwarny dzień nikt się nie dosiadzie. Mamy, które chciały się opalać, wybierały zwykle miejscówki po lewej, gdzie słońce operowało od rana do wieczora. Ci, którzy woleli cień, zostawali pod drzewami. Ta jedna ławka była inna, w dodatku mniej wygodna, bo w oparciu brakowało deski. Na wszelki jednak wypadek Milena rozłożyła obok siebie kocyk i ustawiła na nim butelki z wodą dla dzieci, pojemniki z owocami i naleśnikami oraz dodała kilka kolorowych magazynów. Oczywiście, gdyby ktoś się uparł, na przykład jakaś pyskata stara raszpla, cała ta wystawka nic by nie dała. Ale raszple rzadko wychodziły w taki upał.

Milena siedziała z nogą założoną na nogę, leniwie przeglądając newsy w telefonie. W uszach miała słuchawki bezprzewodowe sparowane z drugim telefonem, tym w rozchylonej torebce. Gdyby ktoś zadzwonił, wystarczy jej rzut oka i stuknięcie w ucho, by odebrać. Patrzyła, jak Bartuś wspina się na pajęczynę z lin i przypomniła sobie swój strach, gdy robił to po raz pierwszy. Spadł wtedy, najadł się piachu, a ona nie wiedziała, czy płakać, czy się śmiać, bo zaraz się poderwał i wyglądał tak komicznie, skacząc jak w szalonym indiańskim tańcu deszczu i plując na wszystkie strony.

Wanesa siedziała z koleżanką na zjeżdżalni, blokowały ją już dobre pięć minut, rozmawiając jedna z góry, druga z dołu. Córka miała różne fazy i raz była już za duża na zjeżdżalnię, a raz wręcz przeciwnie.

Milena zastanawiała się, czy jak przyjdzie co do czego i będzie musiała sprzedać dom oraz się przeprowadzić, będzie tęsknić za tym placem zabaw. Doszła do wniosku, że nie. Był zwyczajny, niczym się nie wyróżniał i...

Poczuła nagły ścisk w gardle, ręce znowu zaczęły drżeć. Mogła się oszukiwać, ale myśl o tym, co się zbliżało, nigdy nie odchodziła daleko. Krążyła, kąsając coraz to nowymi wątpliwościami.

Zadzwoił telefon. Spojrzała w głąb torebki i odebrała.

– Nie odwracaj się teraz – powiedział Drelich. – Jestem kilka ławek od ciebie, siedzę tu już dłuższą chwilę i nikt cię nie obserwuje. Możesz swobodnie mówić, ale gdy powiem stop, milknij natychmiast, okej?

– Tak – szepnęła prawie niesłyszalnie, po czym zaraz się poprawiła. – Tak.

Sięgnęła do torebki po chusteczkę i ostrożnie wytarła różkiem kąciki załzawionych oczu. Musiał to zobaczyć, bo od razu zapytał:

– Jak się czujesz? Dajesz jakoś radę?

– Chyba tak. Choć czasami... – Urwała. – Jak idzie... No wiesz, to, co planujesz? Przygotowania.

– Bardzo dobrze – odparł. – O tym też chciałbym porozmawiać, ale najpierw inna kwestia, dobrze? Ważniejsza.

Poprawiła się nerwowo, obciągnęła spódniczkę i odruchowo rozejrzała.

– To znaczy? – zapytała.

– Masz dwójkę dzieci i jestem przekonany, że się o nie martwisz – powiedział Drelich. – Podobnie jak o siebie. Wiem, że twój mąż do tej pory utrzymywał dom i że możesz się martwić, co będzie po wszystkim. Mam to na uwadze. Tobie i twoim dzieciom nie stanie się krzywda, rozumiesz?

– Przestań. – Przerwała mu, gdy do oczu napłynęły jej łzy. Zaciśnęła zęby. Nie rozryczy się teraz! Nie będzie tu, kurwa, płakać! Jeżeli faktycznie dziś stanie się to, co się stanie, będzie potrzebowała tych łez! Wytarła oczy. Sięgnęła po butelkę Bartusia i przepłukała usta. – Chciałeś jeszcze o czymś mówić – powiedziała już normalnie, choć ręce wciąż trochę jej się trzęsły.

– Tak. Muszę wiedzieć, czy jesteś w stanie...

– Możesz przestać pierdolić? – warknęła nagle ostrzej, niż zamierzała. – Obchodzić się jak z jajkiem? Nie wiesz, do czego jestem zdolna, ale jeśli wydaje ci się, że mogę to zrobić, to znaczy... to znaczy...

Czuła, że łamie jej się głos, więc umilkła.

Dokończył za nią.

– To znaczy, że możesz. Rozumiem. Pewna bliska mi kobieta też tak ma. Ten sam upór.

Milena pociągnęła nosem. Choć było to na wskroś idiotyczne, w jakiś sposób zabolą ją ta „bliska kobieta”.

– To ją skrzywdził Natan? – zapytała. – To dlatego musiałeś go zabić?

– Nie ja go zabiłem – odparł. – Ona sama to zrobiła, w obronie własnej. To silna kobieta. Mówiłem ci, że jesteście podobne.

– Nic o mnie nie wiesz – szepnęła, czując, że znowu wzbiera w niej szloch. Przypomniała sobie zdjęcia, które dostała od

oszusta podającego się za Drelicha, jego słowa. Pomyślała, że to, co powiedział teraz, było bliskie tamtemu. Tylko w jakiś sposób... naturalne? Szczere?

– Co mam zrobić? – zapytała.

– Potrzebuję lokalizatora w samochodzie, który pojedzie w nocy do Kłodzka. Wiem, że są dwa. Trzeba włożyć małe krążki pod dywanik za siedzenie kierowcy do obu wozów. Oczywiście, jeśli to problem, poradzę sobie inaczej, ale...

– Dam radę – powiedziała z przekonaniem, bo to akurat zadanie nie wymagało wielkiego wysiłku. Samochody stały na podjeździe otwarte, Bartuś często do nich wchodził, siadał za kierownicą, kładł się na tylnym siedzeniu. Zygmunt nigdy mu tego nie odmawiał, cieszył się nawet, że małego ciągnie do aut. Tylko jego samochód stanowił tabu. – Ale po co do... Zaraz, ty chcesz ukraść pieniądze? Zwariowałaś? Wiesz, do kogo one należą?

– Wiem – odparł. – I zapewniam cię, że wiem też, co robię. Nie zamierzam brać pieniędzy Ornowskiego, jasne? Musisz mi zaufać.

Wydało jej się to w jakiś smutny i zarazem przerażający sposób zabawne. Bo faktycznie musiała.

– Zrobię to. W sensie wsadzę te nadajniki. Jak mi je podasz? I kiedy?

– Sięgnij pod ławkę, znajdziesz tam papierową torebkę. W środku są dwa małe krążki. Żeby je włączyć, wystarczy ścisnąć, aż klikną. Zrób to przed samym ulokowaniem ich.

– Podłożyłeś je? – zdziwiła się. – Ale jak? Kiedy?

– Jedyna ławka do połowy skryta w cieniu – odparł rozbawiony. – Też bym ją wybrał, gdybym był kobietą, która chce

siedzieć sama.

Zaśmiała się.

– Co teraz będzie?

– Jeśli masz taką możliwość, śpij dziś z dziećmi u rodziców. Albo niech chociaż one u nich śpią. Jesteś w stanie to załatwić?

Zastanowiła się przez moment, jednocześnie odganiając kotłujące się myśli. Co to oznacza? Dlaczego o tym mówi? Dlaczego...

– Chyba tak. Coś wymyślę.

– Wymyśl, bo to ważne. I tyle, resztą się zajmę.

– Czyli to dziś, tak?

– Tak – odparł. – To dziś. Jutro będzie gorzej, ale ruszy ku dobremu. Spotkamy się już tylko raz i wtedy powiem ci wszystko, co jeszcze musisz wiedzieć.

Rozłączył się. Milena sięgnęła pod ławkę i rzeczywiście znalazła tam papierowe opakowanie. Zajrzała do niego, potem wrzuciła do torebki.

Wciąż jeszcze mogła się wycofać. Miała teraz dodatkowy argument – przecież gdyby ostrzegła Zygmunta, ratując jego życie i pieniądze Ornowskiego...

Potrząsnęła głową.

To dziś.

V

.

.

.

63

Punktualnie o godzinie dziewiętnastej rozległ się dzwonek domofonu. Szary siedział akurat na kiblu i ze znużeniem wciskał kolorowe żelki na ekranie komórki.

– Ki chuj? – mruknął, ale nie ruszył się z miejsca. Parę sekund później sygnał rozległ się znowu.

Szary podniósł się z trudem, posykując, gdy zaczęły pracować obolałe zebra. Podtarł się ostrożnie, podciągnął spodnie, spuścił wodę i umył ręce. W międzyczasie domofon zadzwonił jeszcze raz, a potem odezwała się komórka. Nieznany numer.

Odebrał.

– Kurier.

– To ty napierdalasz mi do drzwi? – warknął Szary. – I czego chcesz o tej porze? Nic nie zamawiałem, a dla sąsiadów nie wezmę.

– Przesyłkę mam na ten adres – powiedział niezrażony kurier.
– Tu jest napisane, że...

– Chuj mnie obchodzi, co masz napisane. Nic nie zamawiałem, nic nie przyjmuję.

Kurier zastanawiał się przez moment.

– Okej, w porządku – odparł. – U sąsiadów zostawię jakby co. Miłego dnia.

Szary wyszedł z toalety i podszedł do drzwi. Spojrzał przez wizjer, wyszedł na klatkę. Rzeczywiście słyszał na niej kroki.

Przechylił się ostrożnie przez balustradę i zobaczył kuriera.

– Chodź pan tu – stwierdził po namyśle. – Zobaczymy co to.

Kurier był wysokim, dojrzałym mężczyzną o przystojnej twarzy okolonej krótką brodą i nieco za długich włosach, wystających spod czapki z logo firmy. Takie samo logo widniało z przodu luźnej koszulki i na naklejce paczki, którą trzymał.

– Och, co się panu stało? – zapytał, gdy zobaczył Szarego z bliska.

Ten skrzywił się tylko.

– Czy ja się pana pytam, co dorosły facet robi w robocie dla dzieciaków? Co to za paczka?

Kurier skrzywił się, wyraźnie dotknięty i wzruszył ramionami.

– Ja tylko dostarczam. Proszę. – Podał mu paczkę i sięgnął po urządzenie do tylnej kieszeni. – Jeszcze mi pan tu pokwituje.

Otworzył pole do edycji i powiększył je. Gdy Szary pochylił się nad ekranem, kurier cofnął się o krok, rozejrzał i z impetem kopnął go całą stopą, wpychając w głąb mieszkania. Kopnięcie było tak mocne, że Szary zdążył tylko jęknąć i nawet nie upuścił trzymanej paczki. Potknął się o próg, poleciał do tyłu i walnął plecami o płytki. Pociemniało mu przed oczami, stracił resztkę oddechu, a rozdzierający ból sparaliżował go do reszty.

Kurier tymczasem zgrabnie przyklęknął, by podnieść opuszczony telefon, kopnął nogi Szarego na bok i wszedłszy do środka, zamknął za sobą drzwi. Przekręcił zamek.

– Krzyknij, a rozpiardolę ci krtań – powiedział spokojnie. – Ręce razem.

Szary nie miał zamiaru współpracować, ale kopnięcie w obolałe zebra sprawiło, że zmienił zdanie. Wyciągnął ręce do

góry, a kurier szybko spiął je trytytką. Potem pomógł mu wstać i zaprowadził do salonu, gdzie usadził na fotelu, spiął nogi i osobną trytytką przypiął je do poręczy. Uważnie sprawdził wszystkie pomieszczenia. Mieszkanie było dwukondygnacyjne, więc zajęło mu to z pięć minut, ale raz po raz wracał, by sprawdzić, czy Szary nie próbuje niczego głupiego. Gdy skończył, postawił sobie taboret dokładnie naprzeciwko fotela, wziął przyniesioną paczkę i rozpakował na oczach gospodarza. W środku leżała akumulatorowa wiertarka.

Kurier pokazał urządzenie, nie wyciągając go jednak z pudełka. Zamiast tego wyjął z kieszeni dyktafon i dwie kartki papieru.

– Kim ty, kurwa, jesteś? – wycedził Szary.

Kurier wzruszył ramionami.

– To teraz nieistotne – odparł. – Liczy się bardziej, czego chcę. A chcę, żebyś mi nagrał jedną rzecz. I obaj wiemy, że to zrobisz, nawet gdy bardzo, bardzo ci się to nie spodoba.

Szary milczał. Rozwagał opcje, oddychając płytko i walcząc z bólem, jaki czuł w żebrach i w głowie. Miejsce, w które został kopnięty, pulsowało i paliło.

– Słuchaj – powiedział w końcu. – Ten, kto cię przysłał. Kto to jest? W sensie ja nie pytam o nazwisko, tylko czym, kurwa, podpadłem, bo nie wiem. Ten ktoś widzi w ogóle jakieś szanse dla mnie?

Kurier uśmiechnął się i podniósł pierwszą kartkę.

– Tu w ogóle nie chodzi o ciebie, gringo – rzucił. – Raczej o twojego kolegę Pumbę. Przejechał sobie bardzo i teraz wydał na siebie wyrok. Pytanie, czy zdychasz z nim, czy idzie na dno sam.

Szary szybko przebiegł wzrokiem po kartce. Krótki komunikat, faktycznie wyglądało na pułapkę.

– Czym Pumba podpadł? – zapytał. – Bo może...

Kurier przyłożył palec do ust i Szary natychmiast się zamknął.

– Kolegi nie uratujesz, Szary. Pytanie, jak z tobą. Nagrywamy czy nie?

Szary przymknął oczy. W końcu wolno pokiwał głową.

– Świetnie – ucieszył się kurier. – No to normalnym głosem.

W zaznaczonych miejscach robisz odstęp. Gotowy?

– Tak.

Kurier włączył dyktafon i przysunął mu go do ust.

– Wyjdź na parking, muszę ci coś pokazać – przeczytał Szary. Posłusznie zrobił pauzę, by zaraz doczytać resztę z właściwie dobranym tonem: – To takie, kurwa, trudne, ruszyć dupę? – Kolejna pauza. – Rusz się, nie będę tu stał całą noc. – I kolejna. – Zobaczysz, jak przyjdiesz. Cześć.

Kurier wyłączył dyktafon.

– Za pierwszym razem, brawo – pochwalił. Sięgnął po wiertarkę i ostrożnie ją wyjął.

Szary przyglądał się jego ruchom. Bał się jak cholera, ale wiedział, że strachem nic nie ugra.

– Czyli nie jesteśmy jeszcze kwita? – zapytał.

Kurier pokręcił głową.

– Nie, nie jesteśmy – odparł, jednak odłożył wiertarkę na bok, wyjął z paczki warstwę brązowego papieru, a spod niej szmacianą kulkę i taśmę klejącą. – Rzecz w tym, że musimy nagrać coś jeszcze. I tu nie będziesz już taki chętny. A i powinieneś brzmieć trochę inaczej. Otwieraj usta.

Szary nie chciał, więc kurier uderzył go w żebra, a potem wepchnął kulkę mocno w rozdziawioną gębę. Wstał i sprawnie zabezpieczył knebel przed wypluciem dwoma owinięciami taśmy wokół głowy. Następnie rozejrzał się po pokoju za pilotem. Włączył telewizor akurat na jakieś głupie reality show z mnóstwem młodych i pięknych na rajskiej wyspie. Pogłodził, po czym wyjął z pudełka jednorazową pelerynę fryzjerską, folię malarską i kastet.

Szary opuścił wzrok i zobaczył na podłodze drugą kartkę. Była do góry nogami, ale udało mu się odczytać jej treść. I ledwie to zrobił, zdał sobie sprawę, że cokolwiek się stanie, dziś umrze.

64

Adaś wyszedł z sali treningowej o dwudziestej drugiej. Oprócz jego hondy na parkingu stał jeszcze tylko jeden samochód.

Szedł powoli, ze zwieszoną głową, prawie ciągnąc nogi po asfalcie. Dziś dał sobie prawdziwy wycisk, testując nowe interwały, i miał wrażenie, że trochę przeholował.

Wieczorne powietrze było ciepłe, wręcz gorące, ale każdy powiew wiatru muskający wilgotne po myciu włosy stanowił przyjemne orzeźwienie. Adaś myślał o tym, że przydałby mu się masaż. I relaksujący lodzik. Przede wszystkim jednak koniecznie musiał coś zjeść, i to szybko. Wyjął z kieszeni nowy telefon i przewijając palcem listę kontaktów, rozważał kolejne kandydatki, które podjęłyby się wszystkich trzech rzeczy. Wiedział, że lista jest niekompletna, bo nie wszystkie numery miał zapisane w chmurze. W razie czego został mu jeszcze Messenger albo ostatecznie Uber Eats i kurewki.

Dotarł do samochodu i położył torbę na dachu. Kątem oka dostrzegł, że do drugiego auta, niebieskiego renault laguny, ktoś właśnie podszedł. Czknął zamek, facet wsiadł do środka, ale nie odjeżdżał, tylko sprawdzał coś w telefonie.

Adaś wcisnął przycisk na pilocie, jednak honda nie zareagowała. Spróbował ponownie. Znowu nic. Zdziwił się, spojrzął na pilota i wdusił przycisk po raz trzeci. Dioda na urządzeniu mignęła, więc to nie była kwestia baterii.

– Kurwa – mruknął i wepchnął kluczyk do zamka. Otworzył drzwi, wsiadł i spróbował odpalić auto – bezskutecznie. Na kosmicznym panelu hondy nie zapaliła się ani jedna kontrolka, pojazd nie wydał żadnego dźwięku. Adaś dotknął gałki kierunkowskazu i sprawdził pokrętko świateł. Zaklął po raz drugi, lokalizując źródło problemu.

– Tacy są właśnie ludzie, kurwa – mruknął, wysiadając z auta. – Pełny parking, wszyscy cześć, cześć, ale zapytać, kto zostawił włączone, to nie ma, kurwa, komu.

Jakby w odpowiedzi na to narzekanie w renault zapaliły się światła i pojazd powoli ruszył.

Adaś wyszedł na drogę, machając rękami.

Kierowca zatrzymał się i opuścił szybę.

– Co tam? – zapytał. – Stało się coś?

Miał pobrużdżoną, pokancerowaną twarz gościa zaprawionego w boju i Adaś pomyślał, że na takich to zawsze można liczyć. Wojownik. Swoje przeszedł. Nie zostawia ludzi w opałach.

– Akumulator, szefie – powiedział, siląc się na uśmiech. – Światła zostawiłem i padł.

Tamten pokiwał głową.

– Kable masz? – zapytał.

Adaś podrapał się po głowie.

– Nie, cholera. Znaczą sprawdzę, ale...

– Czekać, bo ja chyba mam.

Gość wyłączył silnik, zaciągnął ręczny i wysiadł. Otworzył bagażnik, zajrzał do środka i w tryumfalnym geście uniósł dwa przewody, czarny oraz czerwony zakończone klamrami. W półmroku wyglądały jak węże.

– Dobra – powiedział. – Podnoś klapę.

– Dzięki, człowieku, życie mi ratujesz. – Adaś wrócił do samochodu i pochylił się, by namacać dźwignię klapy. Zdziwiło go, że jest ułamana. Czyżby zrobił to nogą? Albo może na myjni?

Z głową nisko, a ręką wyciągniętą w dół zorientował się, że coś jest nie tak, o sekundę za późno.

– Ej, co... – zdążył mruknąć, zanim gość z renault jedną ręką przytrzasnął go drzwiami, blokując nogę, a drugą przyładował mu taserem w kark.

Adaś wyprężył się i zwiotczał. Napastnik na wszelki wypadek poprawił drugi raz. Sprawnie spiął mu ręce i nogi, zabrał portfel oraz telefon i wepchnął chłopaka do swojego auta między kanapę a siedzenia. Następnie podłożył Adasiowy smartfon pod koła, by go zmiażdżyć, a zgnieciony wrzucił do schowka. Zamierzał się go pozbyć w innym miejscu.

– Coś ty, chłopie, nie masz szczęścia, co? – powiedział, odpalając silnik. – Drugi raz w ciągu tygodnia w identycznej sytuacji...

Adaś poruszył się, ale nie miał szans się odwrócić, bo siedzenia mocno trzymały go w kleszczach.

– Jesteś od niego, tak? – zapytał. – Od Drelicha?

Kierowca się roześmiał. Z A J E F A J N A. P L

– Poprawka, synku. Ja jestem Drelich.

– Rodzina?

– Tak się niestety składa. Kuzyn.

Adaś zapał się, gdy weszli w zakręt. Stęknął.

– Powiedział ci, co zrobił?

– W sensie, że z wami w aucie? Czy co zrobił, że go ścigacie?

– Że go ścigamy.

– A to ma jakieś znaczenie?

– Ruchał żonę naszego szefa.

– Rozumiem – odparł kierowca i przez chwilę jechali w milczeniu.

– Dostałby wpierdol w otwartym starciu – mruknął w końcu Adaś. – Ty pewnie też.

Kierowca znowu się roześmiał.

– Fajny jesteś, dzieciaku – powiedział. – Podobasz mi się. Otwarte starcie, dobre! Przypomnisz mi, ilu was tam po niego pojechało?

Adaś umilkł.

Kilkanaście razy zatrzymali się na światłach, objechali kilka rond, aż wreszcie opuścili miasto.

– Co ze mną będzie? – zapytał w końcu Adaś.

Kierowca nie odpowiedział.

65

Gdyby teraz, o dwudziestej trzeciej pięć, Drelich chciał parkować w okolicach Luny, musiałby szukać miejsca ze trzy ulice dalej. Miał tego świadomość, dlatego za zabezpieczenie przestrzeni wziął się już od dziewiątej wieczorem. Wcześniej przez blisko dwie godziny snuł się po osiedlowych parkingach, wybierając pospolite, najlepiej kilkunastoletnie auta o łatwych do sforsowania zamkach i zapłonach. Kluczowe były dwie kwestie. Po pierwsze, nie mógł zacząć za wcześnie. Ważne było bowiem, by właściciele nie zdążyli zgłosić kradzieży. Po drugie, nie mógł szukać zbyt blisko Luny, by nikt przypadkiem nie zobaczył swojego samochodu przed klubem nocnym. Wsiadał więc do losowo wybranych autobusów, jechał dwa, trzy przystanki i po chwili wracał wozem. Koło dziewiątej, gdy parking Luny wypełnił się w dwóch trzecich, za pomocą tych kilku skradzionych z ulic aut zabezpieczył kwadrat w jego lewym górnym rogu. Blisko drogi i poza zasięgiem kamer. To oczywiście nie eliminowało ryzyka całkowicie – zwłaszcza że stało tam już sfatygowane volvo, co dawało przynajmniej jednego potencjalnego przypadkowego gapia – ale znacząco zmniejszało prawdopodobieństwo, że w kluczowym momencie pojawią się świadkowie. Dwa auta ustawił tak, żeby w sumie zajmowały trzy miejsca, dzięki czemu szybko da się je przestawić i wjechać dodatkowym, po czym spokojnie poszedł coś zjeść.

Wiedział, że przez najbliższe dwie godziny i tak raczej nic ważnego się nie wydarzy, więc wolał nie kręcić się po parkingu. Ryzyko w tej części planu i tak było duże. Pumba zwykle siedział w klubie już od rana, a w weekendy, zdaniem Mileny, nawet czasem tam sypiał. Dorwać go w domu było zatem trudno, a wejść po niego do biura niemal niemożliwe. Pozostawało wywabienie go na zewnątrz i szybka akcja we dwóch. Jednak z tym musieli poczekać, aż się ściemni.

Dlatego Drelich usiadł w pobliskim barze, dość obskurnym, ale jeszcze nie spelunie, zamówił bezalkoholowe i sączył, gapiąc się to w telewizor zawieszony w kącie, to na ekran komórki.

W głębi lokalu czterech mężczyzn grało w bilard. W kącie grupka studentów piła piwo nad planszówką. Ktoś też siedział przy stoliku za winklem, jakaś kobieta – ze swojego miejsca Drelich widział tylko nogę.

Barman, młody chłopak z kozią bródką i włosami w żelowe kolce, rozmawiał z kimś przez telefon, segregując drobne. Urządzenie miał wpięte do ładowarki, więc było mu trochę niewygodnie.

Drelich też na wszelki wypadek podpiął swojego smartfona do niewielkiego powerbanku, chociaż aparat na razie nie potrzebował ładowania. Lepiej, by bateria mu nie padła w trakcie akcji. Ten powerbank i telefon były zresztą jedynymi rzeczami, jakie zabrał z walizki. Reszta czekała w aucie na osiedlowym parkingu daleko stąd, aż po nią wróci za kilka dni.

Do tej pory szło dobrze.

O godzinie dwudziestej siedem przyszedł esemes z wiadomością od Huberta: „Wszystko zgodnie z planem, będę u

ciebie dwudziesta trzecia dziesięć”.

O dwudziestej drugiej siedemnaście jeden z oznaczonych samochodów ruszył spod domu Wójcików.

O dwudziestej drugiej czterdzieści sześć napisał Andrzej. Czekał na sygnał, by zjawić się w punkcie zbornym z Adasiem.

Osiem minut później z komunikatem „Jestem na miejscu. Zabieram się do pracy” odezwał się stryj Józef.

Tuż po dwudziestej trzeciej samochód ze Stówką i Litwą zatrzymał się na samej niemal granicy z Sopotem i po kilku minutach znów ruszył.

Wtedy Drelich jednym haustem dopił piwo. Od tego momentu czas operacyjny wynosił między siedem a osiem godzin. I maksymalnie dwie na domknięcie pierwszej fazy.

Kolejny esemes od Huberta był krótki: „Pięć minut”.

Moja kolej, pomyślał Drelich, wstając.

66

Zgodnie z rozpiską w grafiku Weronika spędzała ostatni wieczór w pracy. Całkiem miły, gdyby spojrzeć na niego z boku. Za konsolętą stał Hirex, jej ulubiony DJ, więc leciała bardzo fajna muzyka, ludzie na barze byli w świetnych humorach, napiwki spore, a nawalonych królów świata, więc i chamskich zaczepek, jakoś mniej niż zwykle. Kiedyś nazwałaby taki wieczór bardzo dobrym, ale dziś, niezdolna patrzeć z boku, męczyła się każdą spędzaną tu minutą.

Jeszcze tylko sześć godzin, powtarzała sobie, zaciskając zęby. Za sześć godzin już nigdy więcej tu nie wrócisz. Potem pięć, cztery, aż wreszcie przyszła Dżesika i powiedziała, że Pumba chce ją widzieć u siebie w biurze. Wtedy świat zwałił się jej na łeb.

Szła tam na drżących nogach, z trudem powstrzymując się przed ucieczką. Rozsądek podpowiadał, że nie miałyby najmniejszego sensu. Gdyby chcieli ją znaleźć, zrobiliby to bez trudu. Cholera, może nawet czekali na nią pod domem.

Doszła do końca korytarza, skręciła w lewo, mijając pustą dyżurkę monitoringu. Zwykle siedzieli w niej Misiek albo Gruczoł, ale teraz pewnie ten, kto miał zmianę, był w kiblu albo na fajce. Wolałaby Gruczoła, bo chyba trochę się w niej durzył. Czy pomógłby, gdyby go zawołała?

A może wcale nie trzeba będzie pomagać, pomyślała. Może nie chodzi o nic złego. Pumba wołał ją do siebie, bo to jej ostatni dzień

w pracy. Przecież ostatnim razem zachowywał się w porządku i nie robił problemów z tym, że Weronika odchodzi. Może czegoś brakowało w papierach? Co prawda dochodziła północ, ale przecież w takim miejscu jak Luna to był środek dniówki, nie? Idealny moment na dopełnienie formalności.

Mimo to zawahała się tuż przed jego drzwiami, a potem zapukała tak cicho, że sama ledwie słyszała. Spięła się więc i zastukała głośniej.

– Wejść – zawołał, a ją przeszedł dreszcz i w jednej chwili zrobiło jej się niedobrze.

Pumba siedział za biurkiem. Faktycznie pochylał się nad papierzyskami. Był w jasnej koszuli z rękawami podwiniętymi do łokci. Pod ręką miał szklaneczkę z bourbonem. Gdy Weronika weszła, spojrzał na nią i przywołał ją gestem.

– Super, że jesteś, wejdz. Mam tu taką sprawę jedną, zanim sobie od nas pójdziesz. Zamknij drzwi.

Zrobiła to i posłusznie ruszyła w stronę biurka. W jej głowie krążyła już tylko ta jedna myśl. Że jednak papiery, że to formalność, że zaraz będzie mogła wrócić do odliczania, a potem wyjść stąd i...

Zatrzymała się w pół kroku, gdy zobaczyła spodnie przewieszane przez oparcie kanapy. Obok stały buty. W jednej chwili poczuła, jak paraliżująca mieszanina strachu, bezsilności i obrzydzenia rozlewa się po niej, zaciska gardło wielką kulą, oczy wypełnia łzami. Nie zrobi tego! Nie zrobi, choćby jej groził! Nie ma, kurwa, mowy! Nie pozwoli, żeby po raz drugi zrobiono jej coś takiego!

Pumba dostrzegł wahanie dziewczyny i już otwierał usta, gdy zadzwoniła komórka leżąca obok szklaneczki. Mruknął coś i odebrał.

– Nie teraz, Szary, zajęty...

Słuchał przez moment.

– Nie będę teraz latał...

Urwał i spojrział zdziwiony na telefon, a potem na Weronikę.

– Rozłączył się – powiedział niczym zaskoczone, oburzone dziecko. – Kurwa, rozłączył się ze mną!

Weronika nie odpowiedziała. Nie była w stanie. Patrzyła tylko, jak Pumba otwiera szufladę, wyciąga pilota i przełącza obraz na telewizorze na widok z kamer. Zmrużył oczy, przechylił głowę, wreszcie jego twarz wykrzywiła się paskudnie.

– O kurwa! – Popatrzył na nią. – O kurwa!

Znowu wziął do ręki telefon i szybko wybrał inny numer.

– Szefie! On tu jest! No jak to kto?! Drelich, kurwa!... Tak, jestem pewien! Jest tu, łązi po parkingu pod Luną i chyba ma Szarego, bo... Nie spłoszę go, spokojnie... Dobra, czekam!

Rozłączył się i rzucił smartfona na biurko.

– Chuja tam będę czekał! – oznajmił, wstając. Rzeczywiście nie miał na sobie spodni. Podszedł po nie teraz, założył, usiadł i sięgnął po buty. – Pierdolony Natan nie taki dobry, co? Kto jest dzisiaj na bramce?

Weronika potrzebowała kilku sekund, by zdać sobie sprawę, że to pytanie było do niej.

– Ee, na pewno Wiking i Radek – przypomniała sobie.

– Leć po nich. I tych, którzy są na parkiecie. Mają wziąć zabawki, wyjść tylnym wejściem i obejść parking łukiem.

Spotkanie przy volvo, tak im powiedz.

Wstał i podszedł do biurka, wyjął z szuflady pistolet, po czym wepchnął go z tyłu za pasek i zasłonił wypuszczoną ze spodni koszulą.

– Kurwa, śmiali się ze mnie, jak ustawiałem to pieprzone auto, to teraz, kurwa, zobaczymy. Zobaczymy, kto się, kurwa, będzie śmiał!

Minął Weronikę i wyszedł. Słyszała jeszcze, jak na korytarzu werbuje kogoś z dyżurki, mówiąc coś o szybkim wypadzie na wpierdol.

– Jeden chuj, szybka, kurwa, akcja – rzucił. Był wyraźnie nakręcony.

Weronika spojrzała na monitor. Na tym z widokiem z parkingowego auta stał dobrze zbudowany mężczyzna oparty o niskiego busa.

67

Sprytne dziewczynki najłatwiej wywieść w pole, pomyślała Milena, gdy okazało się, że to właśnie Wanesa dostarczyła jej pretekstu, by podrzucić dzieci dziadkom.

Gdy mała zobaczyła w Empiku nową część Dzwoneczka, od razu zapragnęła ją mieć, tu, teraz, natychmiast. Milena kupiła płytę, ale powiedziała, że obejrzą dopiero po powrocie z lunaparku za kilka dni, bo według tatusia oglądają za dużo bajek i muszą sobie zrobić przerwę. Co było częściową prawdą, bo Zygmuntowi rzeczywiście zdarzyło się tak kilka razy powiedzieć.

– Tatuś nie pozwala na tak dużo jak babcia – rzuciła mimochodem, a potem już tylko czekała, aż mała cwana rybka połknie haczyk. Dużo czasu to nie zajęło.

– Mamo, a możemy dziś spać u babci? – zapytała Wanesa.

Milena udała, że się waha. W końcu pokiwała głową.

– Dobra, ale nie mów tatusiowi, że chodzi o film, bo się nie zgodzi.

– Dobrze – powiedziała mała i spisek został uknuty. Bartuś lubił spanie u dziadków, więc nigdy nie protestował.

Pozostawała kwestia, gdzie powinna spać sama Milena. Teoretycznie mogła pójść z nimi, ale nie chciała, by Zygmunt uznał, że coś kombinuje – na przykład powiedziała matce o ostatnich zajściach i tym samym zszargała jego opinię w jej oczach. Chociaż równie dobrze mogło go to wcale nie obejść,

trudno było przewidzieć. Po namyśle uznała jednak, że jakoś się przemęczy, zostanie w domu i zwyczajnie położy się wcześniej. Jeśli on uzna jej zachowanie za dziwne, to przecież po ostatnich dniach miała ku temu pieprzone powody!

Zygmunt po powrocie do domu przyjął decyzję dzieci ze spokojem i obojętnością, stwierdzając tylko, że ma ochotę na piwo, więc on ich odwozić nie będzie. Zapytał za to, co jest na kolację, i był bardzo niepokieszony, że nic nie przygotowała.

– Jasne, zrobię coś sobie – rzucił, wchodząc do kuchni. – Przecież to nie tak, że zapieprzam całymi dniami. Mogę jeszcze gotować.

Milena odwiozła dzieci i poradziła z tym sobie całkiem nieźle. Kryzysowy moment nastąpił, gdy mama zapytała, czy wszystko w porządku. Wtedy mało się nie rozpląkała, ale zaraz pojawiło się pytanie, czy Zygmunt ma się dobrze, a to już skutecznie zmroziło jej łzy. Popłynęły dopiero w drodze powrotnej. Zjechała na pas techniczny obwodnicy, włączyła awaryjne i dała sobie upust. Potem ogarnęła się na najbliższej stacji i wróciła do domu.

Gdy dotarła, siedział akurat w salonie i oglądał mecz, jeden z tych, które kiedyś sobie nagrał. Obok siebie miał talerz z kanapkami, przestrzeń między kanapą a podnóżkiem zajął Murzyn. Głos komentatora niósł się na fali gwaru uradowanych kibiców rozchodzącego się po pustym i ciemnym domu. Nagle nie wiedzieć czemu Milena wyobraziła sobie, że dom faktycznie jest pusty. Że nie ma już dzieci, nie ma ich, w ogóle nie ma nikogo. Tylko ten telewizor, komentator ekscytujący się dawno zapomnianą rozrywką. Dom to tylko pusta skorupa, mówiła kiedyś Milenie babcia. Liczy się, kto w nim mieszka.

– Masło się skończyło – powiedział Zygmunt z pełnymi ustami, gdy tylko zobaczył ją kątem oka.

– Możliwe. Jutro zrobię większe zakupy, przepraszam – odparła cicho. – I jakbyś teraz potrzebował, jest jeszcze osełka w małej lodówce na tarasie.

Skinął głową, najwyraźniej nie zamierzając nic z tym robić. Podniósł się tylko, by odstawić talerz na ławę i sięgnąć po następne piwo.

Milena weszła do kuchni i dla pewności zajrzała do lodówki. Dwie kostki masła, nieruszone, leżały na półce w drzwiach na wysokości jej oczu. Zmilczała to rzecz jasna i napiła się wody. Omiotła wzrokiem przestrzeń wokół siebie i westchnęła. Oczywiście do zrobienia pięciu kanapek musiał użyć trzech noży i zaświnić cały blat, a ona, karna żona, zaraz to grzecznie sprzątnie i położy się spać. Nie musiała nawet udawać, że źle się czuje, by pójść wcześniej do łóżka, bo to była jej naturalna pora. Zegarek na piecyku pokazywał dwudziestą trzecią dziesiątą.

Nagle dźwięki meczu ucichły. Zygmunt wstał, wziął z ławy telefon i ruszył w stronę łazienki. We wszechobecnej ciszy rozległ się dźwięk rozpinanego paska, po czym poluzowany sedes skrzypnął pod ciężarem. Sekundę później ktoś zadzwonił i Zygmunt odebrał z krótkim: „Tak?”.

Od razu miała przeczucie, że to coś złego, bo kto dzwoniłby z czymś innym o takiej porze, ale gdy tylko usłyszała następne zdanie, przeszył ją zimny dreszcz.

– Spokojnie, Pumba. Kto tam jest?

Zabrakło jej tchu, jak po uderzeniu plecami o ziemię. Jakby w jednej chwili zapomniała, jak się oddycha. Wszystko stracone! –

wrzasnął w głowie Mileny spanikowany głos. Mają go, znaleźli!

Uderzyła w nią fala gorąca, ręce i kolana wpadły w rezonans. Ale tym razem nie zamierzała się poddać. Potrząsnęła energicznie głową, gotowa uderzyć się z całej siły w twarz, jeśli to miałyby pomóc.

Myśl, kurwa, Milena. Myśl!

Przypomniała sobie o tamtym telefonie. Mogła zadzwonić do Drelicha, ostrzec go. Ale czy w tym momencie miało to jeszcze sens?

– Jesteś pewien? – Zygmunt mówił coraz głośniej. – Dobra, kurwa, nic nie rób, zaraz tam będę. Ściągam chłopaków i jadę.

Myślała gorączkowo. Sądząc po tym, co krzyczał Zygmunt, jeszcze go nie mieli. Pumba go zauważył, fakt, jednak to nie przesądzało sprawy. Co innego, jeśli pojawi się tam Zygmunt i reszta chłopaków. Wtedy na pewno się nie uda. Jeden Pumba był gównem wart, Drelich dał już radę trzem naraz. Pytanie, czy Drelich od niego zaczął, czy postanowił na nim skończyć. Czy...

– Nic nie rób, słyszysz?! – darł się jej mąż. – Nie spłosz go! Kurwa!

I to chyba właśnie ten ryk, ta pełna wściekłości „kurwa” przesądziła sprawę, stała się momentem podjęcia decyzji, która zaskoczyła ją samą. Milena rozejrzała się, prawą ręką złapała za brudny nóż, lewą za leżące w miseczce kluczyki do wypieszczonego ametrynowego bmw M8 gran, kurwa, coupe i szybkim krokiem ruszyła przez ciemny przedpokój. Prawą rękę kryła za sobą, wmawiając przerażonemu głosowi w głowie, że do ostatniej chwili może się wycofać. Dlatego wzięła kluczyki – jeśli

spanikuje, poda mu je jak kochająca żona, by nie musiał szukać. Ale wiedziała, że to bzdura.

Jej mąż podniósł się z sedesu. Stęknął, podcierając tyłek, bo z jakiegoś powodu zawsze wydawał wtedy z siebie głębokie, pojedyncze westchnienie. Spuścił wodę, a potem brzdęknęła klamka paska unoszonych spodni. Idealny moment. Oby tylko nie zamknął drzwi.

Szarpnęła za klamkę i spojrzała wprost w jego zaskoczoną twarz. Właśnie się prostował, spodnie i gacie miał poniżej zaznaczonej opalenizną linii bokserek. Między palcami lewej ręki trzymał telefon.

– Co ty, kurw... – zdążył powiedzieć, zanim wzięła krótki zamach i z impetem dźgnęła go w brzuch.

Spocona dłoń minimalnie osunęła się po rękojeści, ale Milena mocniej zacisnęła palce, wyszarpnęła nóż z trzewi męża i szybko pchnęła jeszcze raz i jeszcze, i kolejny. Widziała na filmach o więzieniach, że tak się właśnie robi. Kilka energicznych pchnięć, by zniszczyć jak najwięcej organów i nie dać szansy na odratowanie. Nie spodziewała się tylko, że trzeba do tego aż takiej siły. I że ona tę siłę ma!

Przy którymś z kolei pchnięciu Zygmunt ją uderzył. Toaleta była jednak za mała, nie mógł się zamachnąć, więc cios sprowadził się do niezdarnego uderzenia w ucho. Spróbował ponownie, ale wtedy jego ręka śmignęła już tylko nad jej głową. Milena pchnęła go, a on, uderzając zgięciemi kolan o sedes, poleciał do tyłu. Klapnął na deskę, złapał się za poraniony brzuch i spojrzał na żonę z groteskowo dziecięcym wyrzutem.

– Zabiję cię, kurwo! – wycedził.

Nie odpowiedziała. Cofnęła się o krok, dysząc ciężko, i wtedy zauważyła, że jakimś cudem mąż w zakrwawionej dłoni nadal trzyma komórkę.

– Telefon – poleciała. – Rzuć go.

Skrzywił się paskudnie, przypominał teraz zwierzę odsłaniające kły.

– Myślisz, że jesteś taka cwana, dziwko? – powiedział. – Że co, przyjechał twój kochaś i możesz mnie tak, kurwa, traktować?!

Chciał się podnieść, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Zgarbił się i złapał mocniej za brzuch.

Patrzyła na niego w milczeniu, oparta o drzwi. Nóż na wszelki wypadek wciąż trzymała w pogotowiu, a serce tłukło jej się w piersi jak oszalałe.

I może miała na to wpływ adrenalina, szok czy cokolwiek innego, w każdym razie nie czuła się źle. Ani dobrze. Setki myśli pędziły jej teraz przez głowę, w każdym kierunku, a ona obserwowała je bezwolnie niczym dziecko na kładce wpatrzona w pojazdy na autostradzie.

– Natan też już nie żyje, wiesz? – powiedziała w końcu. Nie wiedziała, dlaczego akurat to. Pomyślała po prostu, że powinien wiedzieć.

Zygmunt poderwał głowę na „też”, jakby dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę, że w zasadzie już jest martwy. Że to ostatnie chwile i że z tego nie wyjdzie. Właśnie wtedy zobaczyła w jego oczach, że się boi. Ten strach nie udzielił mu się jeszcze całkowicie, nie przejął zdominowanej przez wściekłość twarzy, ale już tam był, czaił się, zbliżał i narastał. Nagle zrobiło jej się go żal. Cofnęła się o dwa kroki i odłożyła nóż na podłogę. Następnie

wróciła na miejsce i przykucnęła przy nim. Wyciągnęła nawet rękę, ale się cofnęła.

Milczał, zaciskając wargi. Trząsał się tylko, coraz mocniej przykładając telefon i rozcapierzone palce do podziurawionego brzucha. Wokół rozchodził się ostry, kwaśnosłony smród gówna, od którego Milenie zbierało się na wymioty.

– Nie chciałam tego – odezwała się. – Nie chciałam, żeby nasze życie tak wyglądało.

Łypnął na nią, robiąc kolejny płytki wdech. Jego grdyka poruszyła się, oczy zamykały na coraz dłużej i otwierały coraz rzadziej. Spomiędzy palców sączyła się ciemna krew niczym czekoladowa masa z ciastka lawy, kapiąc na obkurczonego penisa.

W pewnym momencie Milena przypomniała sobie o Drelichu. Poderwała się z klęczek, podbiegła do kuchni i wróciła z torebką.

Zadzwoiła, ale nie odebrał. Próbowwała jeszcze kilka razy, postanawiając, że jeżeli odbierze ktokolwiek inny albo nie pozna głosu, po prostu się nie odezwie i rozłączy.

Gdzieś między jedną a drugą próbą połączenia Zygmunt stracił przytomność i zwolnił uścisk. Telefon zsunął się po okrwawionej koszuli i wpadł między nogawki opuszczonych spodni.

Drelich uważnie obserwował jasno oświetlone wejście do Luny. Miał dobry widok, skryty w cieniu między dwoma samochodami – podniszczonym seatem ibizą a niskim nowoczesnym busem mercedesem vito, którym przyjechał Hubert. Kuzyn stał kilkanaście metrów dalej i prowadził obserwację od strony ulicy, a jego zadaniem było przekierowanie potencjalnych świadków i trzymanie ich z dala od martwej strefy parkingu wyznaczonej kradzionymi autami.

Był ciekaw, czy Pumba pojawi się sam czy z kimś. Wyjdzie wściekły, zaskoczony czy zacznie się rozglądać. No i czy zadzwoni. Wtedy Drelich przywołałby go z mroku, machając do niego komórką. Musiał ściągnąć go między auta, poza zasięg kamer. Jeśli się nie da, trzeba będzie odpuścić i spróbować inaczej, już po przejęciu Wójcika.

Nagle zorientował się, że coś jest nie tak. Kątem oka dostrzegł ruch między samochodami, jakby nad poznaczoną odpryskami maską ibizy mignął nagle czubek głowy. Zanim jednak zdążył zareagować, z drugiej strony wyskoczył na niego dobrze zbudowany chłopak uzbrojony w tonfę.

Uderzył celnie, mocno, ale odrobinę za wolno. Pałka zamiast w głowę, uderzyła w ścianę volkswagena, zostawiając wyraźne wgniecenie. Zaatakowany zdążył kucnąć, opaść na jedno kolano, skręcając jednocześnie biodra, i z pięści uderzył napastnika

w krocze. Gdy tamten się zgiął, Drelich poderwał się, uderzając mocnym hakiem z taką siłą, że facet poleciał na ziemię. Drelich przeanalizował szybko, czy zdąży sprawdzić, na ile wyłączył typa z gry, jednocześnie odliczając sekundy, jakie potrzebne będą temu drugiemu, czającemu się za autem, do obiegnięcia seata i ataku. Ten jednak wskoczył na maskę i złapawszy równowagę, kopnął.

Tym razem Drelich okazał się za wolny. Zdążył odwrócić się w ciasnej przestrzeni między autami i zaraz zaliczył kopnięcie w twarz. Na szczęście dla niego stopa napastnika poszła nieco bokiem, zahaczając o jego policzek, i główna siła trafiła w ścianę samochodu.

Przymroczony Drelich potrząsnął głową i cofnął się, uważając, by nie wejść na nogi mężczyzny, którego powalił wcześniej. Obserwował tego na masce, czekając, aż zbliży się na tyle, by miało sens rzucenie mu się do nóg. Na tym bowiem etapie efekt zaskoczenia zniknął i znajdowanie się wyżej, w dodatku na nierównym śliskim podłożu, stanowiło już tylko słabość.

Napastnik musiał to wiedzieć, bo zamiast zaatakować z góry, zeskokczył między auta. Zrobił to jednak niezdarnie – źle ocenił szerokość przesmyku i stracił tym samym czas na odnalezienie się w nowej przestrzeni. Głupi błąd, który Drelich natychmiast wykorzystał. Wyrzucił przed siebie obie ręce i splótł je na karku przeciwnika. Przyciągnął go do siebie, jednocześnie unosząc kolano. Kopał naprzemiennie, raz, drugi i trzeci.

– Puść go! – rozległo się nagle. – Puść go, kurwa!

Drelich znał oczywiście ten głos i spodziewał się go usłyszeć, choć mimo wszystko liczył na nieco inne okoliczności.

Pumba stał kilka metrów dalej, mierząc do niego ze spluwy.

– Puść go, kurwa, mówię – powtórzył. – Co, myślisz, że ci łba nie rozjebię? To moje miasto, tu mógłbym ci gardło poderznąć w kolejce po kawę i chuja by kto zareagował. Puść go!

– Jasne.

Drelich rozplótł dłonie i odsunął się odrobinę od przeciwnika, unosząc niewysoko ręce. Mógł to zrobić bezpiecznie – wiedział, że Pumba nie strzeli. Będzie chciał się odegrać, może odzyskać utracone punkty u Wójcika i dlatego powstrzyma chęć pociągnięcia za spust. Zabijając Drelicha tutaj, pod klubem, tylko by rozsierdził szefa.

– Dobra, teraz wyciągnij przed siebie ręce, a ty...

Tyle zdążył, zanim Hubert, który wyłonił się właśnie zza jego pleców, przyłożył mu nóż do szyi.

– Opuść broń – powiedział spokojnie.

Pumba drgnął i uśmiechnął się krzywo.

– Ściągnąłeś kolegów, co? Tchórze?

Drelich wzruszył ramionami i korzystając z nieuwagi stojącego obok chłopaka, z całej siły wyrzucił go łokciem w twarz. Chrupnął łamany nos, a chłopak osunął się na ziemię.

– Ej! – Pumba jęknął, jakby to on oberwał, i wymierzył ze spluwy, ale na kolejne polecenie Huberta powoli opuścił broń. Kuzyn Drelicha wyjął mu ją z dłoni i odrzucił na bok.

– Teraz bez gwałtownych ruchów – dodał. – Cofam nóż i pogadamy.

– O czym niby chcesz gadać? Twój kumpel jest już trupem. Cała jego rodzina...

– Ja jestem jego rodziną.

Nóż cofnął się od szyi, ale nim brzęknął o asfalt, Pumba miał już pod szyją zgięcie łokcia Huberta. Szarpnął się, jednak choć większy, nie był w stanie oswobodzić się z tego uścisku. Po chwili osunął się na ziemię.

– Bierz tamtych, szybko – polecił kuzyn.

Drelich odwrócił się. W samą porę, bo tym właśnie ruchem uniknął ciosu nogą tego, który zaatakował go jako pierwszy. Cwaniak udawał nieprzytomnego, czekał na swój moment i teraz postanowił go wykorzystać. Nieudolnie, bo Drelich bez trudu zbił cios i z całej siły kopnął napastnika w krocze. Gdy tamten odruchowo podkurczył nogi i przekręcił się na bok, Drelich opadł na niego, by wsunąć mu rękę pod brodę i tym samym założyć duszenie. Musiał w tym celu kilka razy uderzyć chłopaka łokciem, ale w końcu mu się udało.

Gdy skończył, spiął go trytytkami i to samo zrobił z jego kolegą, do którego mierzył już Hubert z podniesionej broni Pumby.

Usiadł, opierając się plecami o busa i dysząc ciężko. Dał sobie cztery oddechy, po czym otrzepał ręce i rozejrzał się za telefonem. Wypadł mu gdzieś i teraz dzwonił raz po raz, wibrując na asfalcie.

– Zbieramy się – powiedział Hubert. – Póki nikt nas nie widzi.

Drelich pokiwał głową. Spojrzał w stronę lokalu, gdzie rozbawiony tłum jak gdyby nigdy nic czekał w kolejce do wejścia.

– Ktoś zwrócił uwagę?

– Na razie nie, ale zaraz może się zainteresować. Grubasa trzeba zapakować do auta. Co z tymi dwoma?

Drelich spojrzał najpierw na jednego, potem na drugiego. Ten ze złamanym nosem był przytomny i choć ledwo kontaktował,

wyraźnie się bał.

– Zabieramy ich ze sobą – stwierdził. – To temat na później.

– Jasne. – Hubert otworzył pakę vito. – To dawaj, pomożesz mi. Zwłaszcza z grubasem.

Drelich namierzył telefon, który leżał pod seatem, ekranem do dołu. Sięgnął po niego i spojrział na wyświetlacz. Siedem połączeń od Mileny. Błyskawicznie połączył w głowie kropki. Ten atak Pumby i siedem telefonów? To musiało się jakoś wiązać.

Oddzwonił, układając jednocześnie warianty planu awaryjnego.

Weronika widziała niemal wszystko. Na pewno ten moment, gdy Misiek z Gruczołem atakują faceta przy aucie i gdy pojawia się Pumba. Było jak w kinie, jak na filmie, który oglądała na stojąco w gabinecie szefa z rękami przy ustach. Rozedrgana i zapłakana, bo cudem uniknęła kolejnego gwałtu. Widziała, jak jeden facet otwiera drzwi busa i ładuje najpierw Gruczoła, a potem męczy się z Miśkiem, podczas gdy drugi rozmawia przez telefon. Wreszcie obaj pakują do wozu Pumbę i kłapa się zamyka. Weronika miała wrażenie, że z tyłu wozu dojrzała kogoś jeszcze, ale nie mogła być tego pewna.

Odwróciła się i na drżących nogach wyszła z gabinetu. Chwiejąc się, przeszła przez pusty korytarz. Dostrzegła zamknięte drzwi do pokoju tancerek i uchylone do dyżurki. Przypomniała sobie nagle, że Gruczoł pokazywał jej kiedyś, gdzie wpina się dysk rejestrujący zapisy z kamer i jak łatwo go usunąć na wypadek... No, naglej konieczności. Nie wiedzieć czemu uznał, że jej to zaimponuje.

Przystanąła. Rozejrzała się. Wokół nie było nikogo.

Zapytała siebie, po co właściwie chce to zrobić, ale знаła już odpowiedź. Po pierwsze, była coś winna tamtym dwóm na parkingu. W pewnym sensie właśnie ją uratowali. Drugi powód wydawał się jednak ważniejszy. Kamery znajdowały się także tu, na korytarzu prowadzącym do biura szefa. Kogoś może

zainteresować, kto jako ostatni widział Pumbę. I zadać jej potem kilka pytań.

Wśliznęła się do dyżurki i powiodła wzrokiem po urządzeniach. Dysk znajdował się tam, gdzie zapamiętała, i faktycznie dał się wypiąć jednym kliknięciem.

Wrzuciła go do torebki. Wychodząc, rozejrzała się ostrożnie, ale korytarz nadal był pusty. Przez nikogo nie niepokojona przeszła nim do tylnego wyjścia i opuściła Lunę, pewna, że już nigdy tam nie wróci.

Andrzej uważnie obserwował parking. W tym celu specjalnie przestawił lusterka w aucie, by widzieć jak największą przestrzeń także za samochodem.

Musiał przyznać, że parking stanowiący punkt zborny był dobrany dość dobrze. Niezbyt duży i raczej niedostępny dla ciężarówek z uwagi na wąską i słabej jakości drogę dojazdową. Jednocześnie na tyle blisko terenu zabudowanego, że z doprowadzonym doń prądem, a więc oświetlony dwiema słabo działającymi latarniami. W ich pomarańczowym blasku nawet nadpalony kiosk, wymalowany sprejem i zasypany śmieciami po zapadnięty dach, nabierał dostojnego wyglądu.

Spętany dzieciak uwięziony między siedzeniami znowu zaczął się ruszać. Wcześniej albo spał, albo przyjął jakąś wygodniejszą pozycję i uznał, że nie ma sensu rozmawiać.

Andrzej przestawił lusterko tak, by na niego zerknąć.

– Długo jeszcze będziesz mnie tu trzymał? – zapytał Adaś.

Andrzej zerknął na zegarek. Nosił go normalnie, od zewnętrznej strony dłoni, nie jak ojciec czy kuzyn. Duży, masywny i prosty czasomierz na skórzanym pasku.

– Jeszcze trochę – powiedział.

– I co potem?

– To, że cię tu przywiozłem, nie robi ze mnie przewodnika wycieczki – odparł Andrzej. – Widziałem cię tam, na sali.

Szykowałeś się do jakiejś walki, prawda?

Adaś poruszył się nerwowo i ponownie spróbował wydostać spomiędzy siedzeń. Bezskutecznie.

– Ten twój Drelich, po którego jechaliśmy – mruknął w końcu.
– Pracowałem z nim kiedyś i go... No, tak jakby... Nie doceniłem go. Przez to spuścił nam wpierdol w aucie.

– Łatwo go nie docenić, to prawda – stwierdził Andrzej. – Równie łatwo przecenić.

– Nie lubisz go?

Andrzej otworzył okno, wyjął papierosy ze schowka. Zapalił.

– Rodzina nie jest od lubienia – powiedział w końcu.

A potem palił w ciszy, patrząc to na parking, to na zegarek. Telefon leżał na siedzeniu pasażera wyświetlaczem do góry. Powinien już dzwonić.

– Zabijesz mnie? – zapytał Adaś.

Andrzej wypuścił dym, palcem strzepnął żar i wrzucił niedopałek do wyjętego z kieszeni foliowego woreczka.

– Myślisz, że pozwolono by ci z nim walczyć? – zapytał. – Że twój szef z dorobionymi rogami pozwoliłby ci się z nim bić zamiast samemu go torturować w piwnicy czy po prostu odstrzelić?

– Nie wiem – odparł Adaś. – Zamierzałem go poprosić.

– Poprosić! – Andrzej parsknął. – Poprosić. Faceta, który do gacha żony wysyła trzech drabów, chciałbyś prosić o honorową walkę? Jesteś naiwny, dzieciaku. Dziś nie ma honoru.

Adaś poruszył się nerwowo i odchrząknął.

– No tak, bo ty załatwiłeś mnie honorowo na maksa.

Andrzej się roześmiał. Szczerze i głośno, co nie zdarzyło mu się od naprawdę dawna.

– Dla mnie to nic osobistego, dzieciaku. Praca – powiedział, po czym zerknął na wyświetlacz telefonu, a następnie w lusterko. – Więc mówisz, że zamierzałeś poprosić o walkę.

– No tak.

– Więc zastanawia mnie jedno, dzieciaku. Dlaczego teraz nie prosisz?

71

– Blżej środka jedź – powiedział Drelich. – Zaraz za progiem wchodzisz w zasięg kamer z hurtowni.

– To może od drugiej strony? – zapytał Hubert.

Drelich pokręcił głową.

– Nie ma sensu kluczyć. Ta kamera to Qoltec, mają przeciętny tryb nocny, a w dodatku tę z jakiegoś powodu ustawili na sztywno. Zjedź do środka i zasłoń twarz. Wystarczy.

Hubert wykonał polecenie i jeszcze przed progiem zwalniającym odbił na środek jezdni. Przejechał powoli i nieznacznie przyspieszył zaraz za nim.

– Ładna okolica – stwierdził, cofając rękę od twarzy. – Trochę za dużo murków i płotów, ale ładna.

Drelich nie odpowiedział. Rejon domu Wójcików zdążył już przez ostatnie dwa dni poznać i obejrzeć, a obecnie myślał o tym, co usłyszał od Mileny przez telefon i jak bardzo komplikuje to jego plan. Zajście w jej domu trochę psuło mu narrację i wymagało zmiany. Tyle że uwzględniając okoliczności, pośpiech i stawkę, nie poszło aż tak źle. Stryj na miejscu, ekipa wyłapana. Musiał tylko uwzględnić ten jeden dodatkowy element – serię ran kłutych, masakrujących wnętrze Zygmunta Wójcika.

Obejrzał się na leżących na pace ludzi. Cztery osoby, z czego tylko dwie zaplanowane. Kolejna komplikacja. Ta była prostsza do

rozwiązania, ale niestety pochłaniała za dużo czasu. Nie mieli go aż tyle.

– Mocno nam ta zmiana komplikuje? – zapytał Hubert.

– Dojedziemy, zobaczymy.

Pokonali łagodny łuk i Drelich pokazał ręką bramę po lewej.

– To tu – powiedział.

– Monitoring?

– Wyłączony. Ale i tak zasłoń się na wjeździe.

Sam wyciągnął z kieszeni bandanę i przewiązał nią twarz na wzór westernowego bandyty.

Brama zaczęła się otwierać i wjechali na wstecznym pod same wejście do domu.

– Wysiadać? – zapytał Hubert, również sięgając po bandanę.

– Tak, ale poczekaj, ja pierwszy.

Kuzyn zmarszczył czoło.

– Myślisz, że to może być jednak pułapka?

Drelich potrząsnął głową.

– Nie sądzę. Ale nigdy nie wiadomo.

– Dobra, idź pierwszy. Wezmę rzeczy.

Drelich otworzył schowek, wyjął z niego pistolet. Wsiadł, wepchnął broń za pasek i ruszył, mijając SUV-a. Przez moment kusiło go, by otworzyć drzwi i zabrać, a przynajmniej sprawdzić lokalizator. Naprawdę był w aucie? Bo jeśli nie...

Wiedział jednak, że nie ma czasu ani na sprawdzanie, ani na takie myśli. Plan wszedł już w życie i tym razem Drelich nie mógł odstąpić od działania w przypadku wątpliwości. Podszedł więc do drzwi, starając się mieć ręce na widoku. Gdy już stanął na wycieracze, zsunął bandanę.

– To ja – powiedział. – Jest ze mną człowiek, który nam pomaga.

Za mlecznym szkłem zamajaczyła kobieca sylwetka, po czym drzwi się otworzyły. W progu stanęła Milena Wójcik. Miała zaczerwienione oczy, rozczochrane włosy i ślady krwi na wardze. W pierwszej chwili uznał, że oberwała, ale zaraz zdał sobie sprawę, że to wynik przygryzania.

– Jak poszło? – zapytała spokojnym, rzeczowym głosem.

Jest w szoku, pomyślał.

– Mniej więcej zgodnie z planem – odparł. – Drobne zmiany. I jedna większa.

Skinęła głową i przesunęła się na bok.

– Jest w toalecie. Na wprost.

Drelich ruszył w tamtą stronę. Po dwóch krokach przystanął, dostrzegając ruch w wyciemnionej kuchni.

– To pies – wyjaśniła Milena, podążając za jego wzrokiem. – Spokojnie, jest stary i podzieliłam się z nim xanaxem.

Uśmiechnęła się smutno, na co odpowiedział lekkim uniesieniem kącika ust. Nieźle się trzymała, musiał to przyznać. Cokolwiek mówiła sobie, od kiedy zadzwoniła do niego aż do teraz, cokolwiek też w tym czasie wzięła, działało. Nie była przymulona ani rozkojarzona, za to faktycznie spokojna.

Doszedł do toalety i wsunął stopę w szczelinę uchylonych drzwi, by je otworzyć bez dotykania klamki.

Wójcik siedział na sedesie z opuszczonymi spodniami i podbrzuszem pokrytym skorupą krwi. Głowę miał zwieszoną, twarz nisko, jakby wpatrywał się w ekran komórki, nie orientując się, że ktoś mu ją zabrał.

Drelich przyjrzał mu się, nie przekraczając progu toalety. To samo zrobił ze ścianami i podłogą.

– Dobrze, że mieliście ten dywanik – powiedział, wskazując na podgumowany kawałek materiału przy sedesie. – Inaczej krew weszłaby w fugę i byłby większy kłopot.

Milena pokiwała głową i wzdrygnęła się. Widział, że stara się nie patrzeć na zwłoki męża, ale wzrok raz po raz ucieka jej w stronę ciała. Odsunął się i zamknął drzwi.

– Gdzie nóż? – zapytał.

– W kuchni.

– Myłaś go?

– Tak.

– W takim razie musimy też wyczyścić blat i zlew. Co miałaś na sobie, gdy... to się stało?

Pokazała mu worek na śmieci stojący w kącie.

– O tym pomyślałam – odparła, znowu próbując uśmiechu.

W drzwiach stanął Hubert z niewielką torbą sportową. Skłonił się lekko Milenie, a Drelich wskazał palcem drzwi toalety.

– Ciuchy w rogu – powiedział. – Ja zajmę się nożem i kuchnią.

Hubert ponownie przytaknął, otworzył torbę i podał mu lateksowe rękawiczki, dokładnie takie, jakie sam miał na rękach, butelkę ze spryskiwaczem, ręczniki papierowe i dwie ściereczki z mikrofibry. Milena przyglądała się temu z uwagą.

– Często robicie takie rzeczy? – zapytała.

Drelich wzruszył ramionami.

– W tym tygodniu to już drugi taki telefon – stwierdził. – Damy w opresji najwyraźniej biorą sprawy w swoje ręce i pozostaje nam jedynie sprzątnąć.

Zaśmiała się w głos. Nieco histerycznie, aż półprzytomny Murzyn uniósł głowę znad miski.

Drelich nałożył rękawiczki i wszedł do kuchni.

– Nóż – polecił. – Z powrotem do umywalki.

Milena posłusznie wykonała polecenie i odsunęła się o krok.

– Co się teraz stanie? – zapytała po chwili.

Odkręcił wodę, zatkał zlew i nalał płynu. Wcześniej nie miał zamiaru zdradzać tej kobiecie szczegółów planu. Nic poza tym, co było naprawdę konieczne. Teraz jednak uznał, że jej się należy. Jest częścią tego, co się dzieje. Pomogła. No i, nie mógł tego ukrywać, w jakiś sposób najwyraźniej uratowała mu dupę. Przecież gdyby Wójcik wezwał pomoc, wszystko posypałoby się w jednej chwili jak domek z kart. Jaki zasięg miałby jego alarm? Jak bardzo zwróciłby na siebie uwagę? Ilu ludzi ściągnąłby, wiedząc, że nie ma już swoich najwierniejszych, a Drelich po niego idzie? Jakie środki ostrożności i następnie narzędzia zemsty by w związku z tym wybrał?

Dzięki Milenie nie musiał o tym myśleć i chociażby dlatego winien jej był tę odpowiedź. Choćby najbardziej zdawkową.

– Wedle pierwotnego planu – zaczął, biorąc nóż w ręce i myjąc go starannie – dziś w nocy twój mąż zamierzał okraść Ornowskiego. Częściowo by mu się to udało, ale potem sprawy miały pójść źle.

Przerwał, opłukał nóż z piany i położył na bok. Spuścił wodę w zlewie, oczyścił go starannie i wysuszył papierowymi ręcznikami. To samo zrobił z nożem i dopiero wtedy sięgnął po butelkę ze spryskiwaczem.

– Wedle nowej wersji – podjął – twój mąż okaże się po prostu pierwszą ofiarą cudzego spisku. Kto wie, może to nawet lepiej?

Milena przyglądała mu się uważnie przez długie sekundy. W końcu skinęła głową.

– Co mam mówić, jakby ktoś pytał?

– Niewiele – odparł. – Ostatnio mieliście problemy małżeńskie, chciałaś to naprawić, odesłałaś dzieci do dziadków. Czekalaś, ale mąż nie wrócił do domu. Nie zgłaszałaś na policję, bo mąż by tak nie zrobił. Za dwa dni zadzwonisz najpierw pod Kłodzko, a potem pod numer, który ci wyślę, i powiesz, że twój mąż zaginął.

– Co to za numer?

– Człowieka od Ornowskiego.

Przytaknęła.

– Dobrze, to teraz daj mi telefony. Swój, męża, ten ode mnie. A także pluskwę z gabinetu i nadajnik z auta. I jeszcze komputery, jego, twój i...

– Po co mój komputer i telefon? – zdziwiła się.

– Skądś musiał mieć zapis twojego czatu, prawda? Najprawdopodobniej zainstalował ci coś tu albo tu. Hubert to sprawdzi.

Przymknęła oczy, westchnęła.

– Jeszcze jedno, Drelich. Powiedziałaś, że po wszystkim pomożesz mnie i dzieciom. To nadal prawda? Teraz, kiedy... kiedy już nie mam odwrotu?

– Prawda – potwierdził i wiedząc, że to nie wystarczy, rozwinął tę myśl: – Za miesiąc skontaktuje się z tobą pewien człowiek i powie ci o środkach, którymi dla ciebie zarządza. Nie

wiem, ile tego będzie, ale dość, byś sobie poradziła niezależnie od ewentualnych polis i spadków. Pasuje?

Skinęła głową, choć nie wyglądała na do końca przekonaną.

Nagle dobiegł ich łoskot od strony przedpokoju. To Hubert właśnie zrzucił na podłogę ciało zapakowane w worek. Dywanik upchnął do worka z ciuchami Mileny.

– Jest jeszcze trochę roboty – powiedział szeptem, tak że ledwie słyszeli go przez bandanę. – Skończę tu i dojadę. Ty weź ten drugi wóz.

– Zabieracie SUV-a? – zapytała Milena.

– Nie – odparł Drelich. – Zabieramy auto twojego męża. Daj mojemu koledze wszystko, o co poprosi. Ja jadę domknąć sprawę.

– Dasz znać, gdy...

– Dam – odparł. – I jeszcze przez jakiś czas będę miał oko na to, co się tu dzieje. Choć raczej z ukrycia.

Zdjął rękawiczkę i wyciągnął do niej rękę. Uśmiechnęła się smutno, ściskając podaną dłoń.

– Nie takie rzeczy obiecywałeś, gdy wreszcie się spotkamy – powiedziała.

– Nie byłem sobą – odparł, także z uśmiechem.

– Dlaczego teraz nie prosisz?

Gdy Adaś usłyszał to pytanie, pomyślał, że koleś, który go tu przywiózł, najwyraźniej świetnie bawi się jego kosztem, i poczuł nagły przypływ wściekłości. Ta emocja była tak silna, że nagle wyparła niemal cały strach. Tak samo jak nadzieję, że może uda mu się z tego jakoś wykaraskać. W tej jednej chwili miał w dupie, co się z nim stanie. „Dlaczego nie prosisz”, kurwa! Kolejny cwaniak. Chojraczek z taserem atakujący ludzi z zaskoczenia!

Przełknął ślinę.

– Bo nie widzę sensu – odparł spokojnie. – Ty akurat głównie możesz, jesteś pionkiem i musiałbyś pewnie gdzieś zadzwonić, a Drelich to tchórz i by się nie zgodził. Możesz sobie pierdolić o honorze, koleś, może chcesz, żebym prosił, bo ci od tego staje. Ale nic z tego. Pierdol się, typie.

W lusterku dostrzegł, jak widoczna w odbiciu część twarzy stężała. Tylko na moment, ale Adaś i bez tego wiedział, że trafił w punkt. Bo może nigdy nie zaliczał się do superobserwatorów czy znawców ludzkich charakterów, ale znał takich gości jak ten. Jego ojciec był właśnie taki. W gadce wielki bohater na przekór światu, co to ciągle gada o honorze i uczciwości, ale gdy przychodziło co do czego, zachowywał się jak wszyscy.

Zastanawiał się, czy nie powiedzieć czegoś jeszcze, ale uznał, że nie ma sensu. Zresztą koleś zaraz po tym wyjął kluczyk ze

stacyjki i wysiadł, trzaskając drzwiami. Ewidentnie się wściekł, co Adaś mimo wszystko potraktował jak małe zwycięstwo.

Poprawił się trochę, by odciążyć lewą rękę, na której leżał. Nie chciał dopuścić do odrętwienia, więc już w czasie jazdy raz po raz klinował się w szczelinie żebrami i barkiem, dając odpocząć łokciowi. Teraz spróbował zrobić to samo, gdy nagle tylne drzwi od strony pasażera otworzyły się i poczuł szarpnięcie za nogi.

Kierowca wyciągnął go do połowy, po czym rozciął nożem spinającą kostki trytytkę.

– Wysuń się ostrożnie, na tyłku – polecił. – Umiesz zrobić mostek, nie?

– Umiem – powiedział zaskoczony Adaś. Takiego obrotu spraw kompletnie się nie spodziewał, ale karnie wysunął się z samochodu, wycierając tyłkiem kanapę. Gdy właściwie niemal cały znalazł się już na zewnątrz, opierając się o siedzenie tylko barkami i głową, kierowca złapał go za tizert na wysokości klaty i pociągnął do przodu.

– Na kolana, głowa w dół – polecił.

Adaś nie protestował. Syknął tylko, gdy trafił kolaniem na kamień. Poczul, jak kierowca łapie go za spięte z tyłu ręce, unosi je lekko i rozcina plastik. Potem facet natychmiast cofnął się o krok.

Adaś pozwolił, by jego ręce opadły swobodnie wzdłuż ciała. Powiódł wzrokiem po wysypanej kamieniami krawędzi parkingu i trawie, która opadała w rów melioracyjny. W zasięgu wzroku dostrzegł buty i pomyślał, że kierowca wcale nie stoi tak daleko.

– Mogę poprawić nogę? – zapytał. – Chyba wbiłem sobie kamień w kolano.

– Możesz, ale wolne ruchy. Bardzo wolne.

Adaś uniósł kolano i rozmasował je powoli, bardziej po to, by się upewnić, że ma sprawne ręce. Jednocześnie wciąż badał teren. Tuż obok stopy dostrzegł na przykład fajny kamień, trochę przypominający grot włóczni jaskiniowca. W myślach sięgnął do niego kilka razy, za każdym podejściem trochę inaczej, by nie wzbudzić podejrzeń. Spojrzał jeszcze raz na stopy przeciwnika i nagle dostrzegł swoją szansę.

– Naprawdę zamierzasz pozwolić mi z nim walczyć?

– Wciąż czekam, aż poprosisz.

Adaś zaśmiał się cicho.

– No tak. A co później? – zapytał. – Znaczą, jak już wygram?

– Nie wiem, czy powinienę sięgać myślami... – zaczął kierowca, ale urwał, gdy Adaś poderwał się nagle do góry z przykłęku i zamachnął się prawą ręką uzbrojoną w kamień.

Kierowca zgodnie z jego oczekiwaniem zrobił unik, odchylając się do tyłu i cofając lewą stopę. Jego pięta zawisła nagle nad krawędzią rowu. Złapał równowagę, jednak kosztowało go to cenne ułamki sekund, które Adaś w pełni wykorzystał. Skoczył i wymierzył szybki cios kamiennym grotem prosto w skroń przeciwnika. Jednocześnie napał na niego i pchnął do rowu. Polecieli obaj, ale gdy wylądowali, Adaś wciąż znajdował się na górze. I wciąż miał kamień w dłoni. Uderzył nim dwa razy, z całej siły prosto w twarz. Facet próbował się zasłonić, jednak choć reagował prawidłowo, to jednak za wolno i za słabo. Bo Adaś był silniejszy, szybszy i, co najważniejsze, wściekły.

– Zdychaj, jebana pizdo! – wydyszał, uderzając raz po raz i rozbijając twarz tamtego na miazgę.

Przestał, gdy przeciwnik najpierw wierzgnął konwulsyjnie, a potem zastygł w bezruchu. Dopiero wtedy zsunął się z niego, dysząc ciężko, i usiadł obok, w wodzie gromadzącej się w rowie. Dał sobie chwilę na wyrównanie oddechu i po chwili pochylił się nad zwłokami, sprawdzając kieszenie.

– Kurwa mać! – warknął, gdy znalazł łamacz. Proste narzędzie z mocnej stali, w kształcie zbliżonym do kluczyka, służyło do odpalania kradzionych aut przez siłowe wyłamanie zapadek w stacyjce. Adaś widział kilka razy, jak używano takich zabawek, i był świadom, że po takiej akcji we wnętrzu zamka zostaje gruz. Dlatego łamacza nie wyjmowało się z zamka aż do przyjazdu do dziupli. Ale najwyraźniej ten samochód nie miał już nigdzie jechać.

Mimo wszystko wepchnął łamacz do kieszeni, po czym przewrócił ciało i poszukał telefonu. Urządzenie, mimo iż zamoczone, wciąż działało. Tyle że do odblokowania potrzebny był PIN, bo nie miało ustawionej biometrii.

– Kurwa! Kurwa! Kurwa!

Wyszedł z rowu i wsiadł do auta. Wyjął z kieszeni łamacz i spróbował wepchnąć go do zamka. Niestety, tak jak się obawiał, narzędzie weszło do połowy, potem zaklinowało się, chrobocząc wyłamanymi zapadkami. Spróbował je wbić mocniej, bez skutku. Wyszarpnął i zaatakował jeszcze raz, ale to też nie przyniosło rezultatu. Zaklął i wysiadł. Nie wiedział, co robić. Iść pieszo? Łapać stopa? Był, kurwa, cały we krwi, w tym stanie dojechałby wyłącznie na najbliższy posterunek.

I wtedy przyszło mu do głowy, że zaczeka na Drelicha. Jeśli tamten będzie z kimś, to chuj, schowa się w chaszczach i zwieje

później. Ale jeśli będzie sam...

– Zajebię go – powiedział na głos.

Krystian zasnął szybko, szczęściarz. Dwadzieścia minut temu skończyli się kochać, cicho, by nie zdradzić się przed dziećmi, i delikatnie ze względu na obrażenia Izy. Potem wyjątkowo zgodnie wybrali film i po pierwszych dziesięciu minutach oglądania Iza usłyszała ciche pochrapywanie.

Cóż, przynajmniej udało jej się uniknąć trudnej, a przecież wiszącej nad nimi rozmowy. Tymczasowa przeprowadzka, pobicie, fakt, że dzieciaki są z nią, nie z ojcem. Każda z tych rzeczy miała swoją historyjkę, ale Krystian nie był głupi i wiedział, że te kropki nie łączą się w nic sensownego.

Wiedziała, że w końcu zapyta, i będzie musiała nakłamać mu jeszcze bardziej, dlatego robiła wszystko, by ta chwila nadeszła jak najpóźniej. Stąd ten wspólny rodzinny obiad, granie w planszówkę i spacer po Polu Mokotowskim. Dzieciaki czuły się niezręcznie, Krystian też, ale udawała, że tego nie widzi. Granie szczęśliwej rodziny przynajmniej pozwalało nie skupiać się chwilowo na problemach.

Zresztą, pomyślała, to nie tak, że nic z tego nie miał. Bo przecież i ciasto, i seks, na który dziś zdecydowanie brakowało jej nastroju i ochoty, a jednak proszę. Kompromisy. Czyż nie z nich składają się wszystkie związki?

Film zaczął się dobrze i nawet wciągnął ją do tego stopnia, że gdy Krystian zasnął, ona oglądała dalej, ale po mniej więcej

godzinie fabuła utknęła w bagnie zagmatwanych nielogiczności. Reszta seansu stanowiła już desperackie, mniej lub bardziej skuteczne próby utrzymania na powierzchni choćby głównego wątku. Siedziała przed telewizorem z zażenowaniem tylko dlatego, że po pilota musiałaby wstać albo przeturlać się nad Krystianem.

– Mamo?

Odwróciła się gwałtownie, odruchowo podciągając kołdrę, choć przecież była ubrana. W progu stał Nikodem.

– Synek, na litość, nie możesz pukać? – wyszeptała.

– Pukałem, ale cicho – odparł chłopiec. – Mamo, czy tata dzwonił?

– Nie – odparła, oglądając się na Krystiana. Pomyślała, że jeśli usłyszał, pewnie w tym momencie połączył kropki. Czy dobrze, czy błędnie, to nie miało teraz znaczenia. Doda do tego spóźnione przywitanie na lotnisku i nerwowe zerkanie na telefon przez cały dzień. Jezu, czy nie po to właśnie się rozwiodła? By mieć z tym wreszcie spokój?!

Na szczęście Krystian wciąż spał. Tego pochrapywania chyba nie umiałby udawać.

– Wyjdź i zamknij drzwi, dobrze? – powiedziała cicho do Nikodema. – Zaraz do ciebie przyjdę.

– Dobrze.

Gdy wyszedł, powoli odsunęła kołdrę i ostrożnie opuściła nogi na podłogę. Obeszła łóżko, chwyciła pilota. Wyłączyła telewizor.

– Twój były, prawda?

Tym razem ledwie drgnęła. Zakłęła w myślach i powoli się odwróciła. Jednak nie spał albo właśnie się przebudził i patrzył

na nią teraz przenikliwie z lewą ręką pod głową, a drugą na kołdrze. Palce rozcapierzał tak, jakby w każdej chwili był gotów tę kołdrę szarpnąć i rzucić na bok. Na piersi leżał mu wisiołek w kształcie grotu. Obok odcisnęło się jego odbicie.

– Co mój były mąż? – zapytała, siląc się na drwinę. – Jest ojcem moich dzieci? Tak. To żadna...

Krystian zaśmiał się, podciągnął wyżej, by usiąść, i poprawił poduszkę za plecami. Następnie wskazał ręką na jej twarz.

– To wszystko. To on, nie?

Prychnęła.

– Myślisz, że mnie uderzył?

– Nie. Myślę, że to mocno nieposkładany człowiek, który władował w kłopoty ciebie i dzieci. A ty jesteś dobra i trochę naiwna, więc dajesz się...

– Nie będziemy o tym rozmawiać, Krystian – rzuciła oschle.

Wzruszył ramionami.

– Teraz może nie, ale na przyszłość...

– Nie rozmawiajmy o przyszłości, dobrze? W sensie dziękuję za to, co dla mnie zrobiłeś, bardzo doceniam, ale takimi tekstami sprawiasz, że przyszłość to nic, kurwa, pewnego.

Nie odpowiedział, choć dała mu szansę, stojąc tam i patrząc w milczeniu. W końcu wzięła telefon i wyszła z pokoju.

Już za progiem sypialni napisała esemesa: „Wiem, że to wbrew zasadom, ale Nikodem chce cię usłyszeć. Zadzwoń, jeśli możesz”.

W kuchni naląła sobie wody. Wkurzało ją, że nie jest u siebie. Wkurzało, że szklanki stoją nie tam, gdzie trzeba, a filtr wody prosi się o wymianę. Wkurzało, że musi tłumić śmiech, mówić szeptem i że zaraz wróci do tej cholernej sypialni, gdzie świetny

facet wyłącznie z troski o nią i dzieci będzie ją wkurwiał niezależnie, co teraz robi.

Drelich oddzwonił po dwóch minutach.

Do wybranego parkingu miał pół godziny trasą główną albo trzydzieści osiem minut awaryjną. Jechał przepisowo, nawet gdy pojawiły się zupełnie niezasadne ograniczenia do czterdziestu, a nawet trzydziestu kilometrów. Wiedział, że na Pomorzu, zwłaszcza gdy robiło się ciepło, policja niezwykle chętnie ruszała na łowy w radiowozach z suszarkami i beemwicach. Ostatnie, czego potrzebował, jadąc busem z pięcioma ludzkimi pakunkami leżącymi prawie jeden na drugim, to kontrola. Wystarczyłby jakikolwiek dźwięk z tyłu.

Podłączył zestaw słuchawkowy i zadzwonił do Bogdana. Ten odebrał po sygnale i poinformował, że jest w okolicy, odespał i właśnie wraca na posterunek. Drelich podziękował, odpowiedział zdawkowo na pytanie, jak im idzie, i się rozłączył.

Zaraz potem przyszła wiadomość od Huberta, że kończy i powinien zaraz ruszać na parking, a potem od Izy z prośbą o telefon. Kiedy wybrał jej numer, odebrał Nikodem.

– Cześć, tato – powiedział trochę zmęczonym, ale normalnym głosem. Widać już sama opcja, że faktycznie będzie mógł porozmawiać z ojcem, dużo mu dała. – Chciałem tylko zapytać, czy wszystko u ciebie w porządku.

– Jak najlepszym – odparł. – Sprawa załatwiona i miałem już dzisiaj przyjechać, ale jestem zmęczony i nie chcę ryzykować. Będę jutro, dobra? Pewnie po południu albo pod wieczór.

– Jasne, tato. Cześć.

Drelich usłyszał, jak Iza przejmuje telefon i mówi synowi, żeby szedł spać. Był pewien, że zaraz się rozłączy, gdy nagle zapytała:

– To prawda, co powiedziałaś?

– Że już? Nie, jestem w trakcie. Ale rano będzie po wszystkim.

Słyszał jej oddech. Słyszał, jak dwa razy zbiera się do zadania pytania, ale w ostatniej chwili rezygnuje.

– Jak... No wiesz, oni?

Uśmiechnął się pod nosem.

– Nie możesz swobodnie rozmawiać, co? – zapytał. – Cóż, jeśli przez oni masz na myśli stryja i chłopaków, to dobrze. Jeśli tych z Gdańska, to źle. Dla nich źle.

– A ta kobieta?

– Atrakcyjna, majątna, wkrótce wdowa. O to pytasz?

Usłyszał jej cichy śmiech. Trochę go dotknęło, że musi go tłumić.

– Wszystko jest w porządku, Iza. Robota idzie dobrze, widzimy się jutro, a wy rano możecie wracać do domu. Wyślę ci wiadomość, gdy skończymy, dobrze?

– Dobrze.

– Dobranoc w takim razie.

– Głupek.

Rozłączył się. Zerknął na licznik i dostrzegł, że mimowolnie przyspieszył i jechał teraz w terenie zabudowanym prawie osiemdziesiątką. Sklął się w myślach i zwolnił akurat tuż przed szkołą, znakiem „uwaga dzieci” i przejściem dla pieszych ponabijanym mieniącymi się odblaskami.

Po lewej będzie sklep spożywczy, trzy schodki, krata, niebieski włącz do piwnicy, przypomniał sobie. Po prawej za pięćdziesiąt metrów klockowaty budynek poczty, a za nim remiza Ochotniczej Straży Pożarnej. Jechał tędy tylko raz, dziś rano, sprawdzając przejezdność trasy, ale zakodował takie detale, by w miarę możliwości nie musieć korzystać z GPS-a.

Za remizą w lewo, sad z wałącym się płotem, rudera z częściowo zapadniętym dachem i wypłowiałym talerzem satelitarnym Polsatu. Skręt, dojazd do głównej, kolejny skręt w lewo, pokonał dwa kilometry i zjechał na parking.

Tak jak przewidział, miejsce było niemal puste. Od razu zobaczył samochód Andrzeja i podjechał bliżej, ale nie na tyle blisko, by ktoś wziął ich za bandziorów ubijających tu biznes.

Wysiadł, przeciągnął się i sięgnął po papierowy kubek bez pokrywki z niedopitą kawą, zrobioną mu jeszcze przez Milenę. Zerknął w stronę samochodu kuzyna, którego nie widział w aucie. Czyżby poszedł się odlać?

Upił łyk kawy i powiódł wzrokiem najpierw po pasie zieleni i drzewach przy drodze, a potem, wolno ruszając spacerem w stronę drugiego pojazdu, zerknął także na las. Tam również nie dostrzegł żadnego ruchu, co go zaniepokoiło. Gdyby Andrzej po prostu poszedł się wysikać, nie kryłby się. Był przecież normalnym facetem na parkingu. Zostawianie porzuconego auta za miastem wzbudzało podejrzenia. Kto jak kto, ale Andrzej powinien doskonale znać takie podstawy!

Przystanął kilka kroków od renault, dopił kawę i przykucnął, by postawić kubek na żwirze. Wyjął z kieszeni telefon i prostując się, wybrał numer kuzyna. Usłyszał dochodzący z krzaków

stłumiony odgłos wibracji. Odwrócił się w tamtą stronę i wtedy zza wozu wypadł na niego przyczajony Adaś.

Chłopak błyskawicznie skrócił dzielący ich dystans, łapiąc rytm w dwóch krokach, i wyrzucił do przodu lewą rękę.

Drelich zbyt zaskoczony, by choć pomyśleć o uniku, poderwał rękę do gardy, ale nie było mowy, żeby zdążył. Uderzenie dosięgło celu, trafiło prosto w łuk brwiowy i eksplodowało mu w głowie przytłumionym hukiem. W uszach głucho zapulsowała ciemność, a pod powieki wpadły setki rozgrzanych, świecących iskier bólu. Znał to wrażenie jakby podwodnej eksplozji z perspektywy nurka. Znał, a jego nauczone doświadczeniem ciało pamiętało, że za takim ciosem zawsze idzie kolejny, jeszcze mocniejszy.

Atakujący zajadle Adaś szybko poprawił uderzeniem z prawej, wymierzonym na brodę. Największe starcia nieraz trwały zaledwie sekundę właśnie za sprawą ciągnących się wzdłuż szczęki końcówek nerwów. Drelich poczuł miękkość w nogach. Kolana się pod nim ugięły i tylko dlatego cudem uniknął kolejnego ciosu, który z pewnością domknąłby temat.

Jest szybki, przemknęło mu przez myśl. Szybki i znacznie silniejszy.

Wiedział, że nie utrzyma się w pionie, więc sięgnął ręką przed siebie. Zrobił to na oślep, bo krew z rozciętego łuku brwiowego zalała mu już pół twarzy, ale zdołał chwycić Adasia za bluzę i szarpnąć się do tyłu. Resztę załatwiła grawitacja. Chłopak zachwiał się i poleciał prosto na przeciwnika, gdy ten grzmotnął plecami o asfalt.

Drelich na moment stracił dech. W plecy wbiły mu się kawałki żwiru, w głowie się zakręciło. Co gorsza, w tej pozycji Adaś wciąż

miał przewagę, a nadzieja, że wraz ze zmianą płaszczyzny zmieni się dynamika starcia, umknęła z kolejnym mocnym ciosem. Tym razem Drelich dostał w nos. Na zewnątrz rozległo się ciche chrupnięcie, które wewnątrz głowy niosło się głośnym echem pulsującego bólu. Świat się rozmył i pociemniał, oczy zaszklily, a wizja, że Drelich może przegrać, stawała się coraz bardziej realna. Adaś nie był byle chłystkiem jak Szary, Pumba czy te dzieciaki z parkingu. Umiał walczyć, a Drelichowi skończyły się triki do odwrócenia jego uwagi czy nieuczciwego wyrównania sił. Tym razem liczyły się determinacja, siła, szybkość i umiejętności. Przynajmniej w trzech z nich Adaś miał miażdżącą przewagę.

Mimo to Drelich nie zamierzał odpuszczać. Szybko oplótł przeciwnika nogami w pasie i skupił się na tym, by chronić twarz przed ciosami. Udało mu się nieco wyhamować ich impet, jednak z każdym kolejnym coraz bardziej słabł, coraz mniej widział na zapuchnięte oko i z coraz większym trudem oddychał przez złamany, zalany krwią nos. Siły oszczędzane jak zwykle na ostatni zryw zdawały się przeciekać przez nieszczelną gardę.

I wtedy właśnie nadarzyła się okazja! Cios Adasia nadział się nagle na wzniesione do obrony lewe przedramię i zbity poszedł bokiem. Drelich natychmiast wyrzucił prawą rękę przed siebie, po skosie nad prawym barkiem przeciwnika. Oplótł jego szyję, złapał prawą dłoń za lewą i wyprężył ciało w zabójczo skutecznej gilotynie. Głowa chłopaka znalazła się pod pachą Drelicha. Miał skurwiela! Udało się! Cudem, ale się udało! Teraz musiał tylko przetrzymać serię desperackich ciosów, z których – wiedział to dobrze – każdy kolejny okaże się słabszy od poprzedniego.

Jednak ku jego zaskoczeniu Adaś najwyraźniej nie zamierzał uderzać. Szarpnął się, złapał oparcie dla nóg i poderwał, unosząc go do góry, zupełnie jakby robił martwy ciąg. Nie panikował, nie miotał się przerażony, że oddechu ma raptem na kilka sekund, tylko z całej rzucił się do przodu.

I choć Drelich nie zwolnił uścisku, już wiedział, że to koniec. Że przegrał. Zaraz potem grzmotnął plecami o żwir i stracił przytomność.

Milena zamknęła bramę za Hubertem, wróciła do domu i usiadła na kanapie z podciągniętymi pod brodę kolanami. Murzyn przyglądał jej się przez chwilę, w końcu podniósł się, podszedł i położył pysk na stopie swojej pani. Poglaskała go, uśmiechając się bezwiednie.

Czuła się... dziwnie. Trochę oderwana od wszystkiego, co wokół. Jakby tylko to sobie wyobraziła. Świadomość ostatnich wydarzeń przesączała się do niej przez gazę odrętwienia. Milena wiedziała, że to tylko kwestia czasu, kiedy zacznie płakać, kiedy zacznie naprawdę się bać. W tym konkretnym momencie jednak myślała wyłącznie o tym, że Drelich powiedział jej, jak odpowiadać na pytania, które mogą paść w najbliższych dniach. Nie powiedział natomiast, jak uporać się z odpowiedzią na to jedno, które padnie na pewno i ostatecznie złamie jej serce: „Mamo, a gdzie jest tatuś?”.

– Dam radę – odezwała się. Zabrzmiało to jakoś niepewnie, zbyt cicho, więc powtórzyła głośniejszym głosem: – Dam radę!

76

Ocknął się nagle, łapczywie zaciągnął powietrzem przez usta, a ból, który natychmiast wybuchł ogniskami w całym ciele, błyskawicznie go otrzeźwił. Drelich poruszył się niepewnie i ze zdumieniem skonstatował, że wciąż jest przygnieciony przez Adasia i ściska jego głowę pod pachą. Zdziwił się, że ciągle leży w tej pozycji i że jeszcze żyje, ale to nie był czas, by cokolwiek roztrząsać. Ogromnym wysiłkiem wzmocnił uścisk i policzył do dwudziestu. Dopiero gdy miał pewność, że chłopak jest martwy, wygrzebał się spod niego, odsunął i przewrócił na brzuch. Szarpnęły nim torsje, ale tylko splunął śliną i krwią. Przejechał językiem po porozcinanych dziąsłach i ruszających się zębach, po czym bardzo powoli stanął na czworakach, a potem na równe nogi.

Kręciło mu się w głowie, na jedno oko nie widział wcale, a na drugie ledwo. Prawą część twarzy pokrywała mu zaschnięta skorupa krwi z rozciętego łuku brwiowego. Złamany nos pulsował tępy bólem, gdy Drelich oddychał przez usta.

Dopiero patrząc na martwe ciało Adasia, zaczął analizować zaistniałą sytuację. Na ile pozwalał mu obtłuczony łeb, cios po ciosie, ruch po ruchu przyglądał się temu, co zaszło. Mieszało mu się to wszystko. Czy w nos dostał, jeszcze zanim upadł czy już później? No i kiedy właściwie dostał w oko? Raz czy więcej?

Musiał się skupić, by przypomnieć sobie chwilę, gdy oplótł przeciwnika nogami, a potem jak zbity cios otworzył mu drogę do gilotyny. Zapiął ją, tego był pewien. Ścisnął, a mimo to Adaś zdołał wstać i rzucić się do przodu. To znaczyło, że był naprawdę dobry, nie panikował i z pewnością wyćwiczył to zagranie na macie. Bo dzięki niemu miał szansę z tego wyjść. Gdyby osłabiony Drelich zwolnił uścisk, Adaś by się wyrwał. A tak, przytrzymana do ostatniej chwili, uwięziona pod pachą głowa wyrznęła o asfalt i obaj stracili przytomność. Tak, właśnie tak to musiało wyglądać. I Drelich po prostu ocknął się wcześniej.

Znowu szarpnęły nim torsje, zamiast wymiocin wyrzucił z siebie tylko plwocinę. Zachwiał się przy tym i poleciał na tyłek, a w jego głowie nastąpiła kolejna rozdzierająco jasna kanonada bólu. I wtedy w tylnej kieszeni spodni Adasia zobaczył taser. To przypomniało mu o Andrzeju.

Podniósł się powoli i zataczając się, doszedł do renault. Sprawdził w środku, po czym wsparty o karoserię, ostrożnie obszedł wóz.

Kuzyna znalazł w rowie, choć właściwie musiał się domyślić, że to on. Na widok ciała w dziwnej wykrzywionej pozie, z rozbitą na miazgę twarzą, opadł z resztki sił i osunął się po bagażniku, łapiąc płytkie oddechy.

W tym samym miejscu zastał go Hubert, gdy niedługo potem wjechał na parking. Luksusowe bmw omiotło reflektorami parking, dwa samochody i leżące na asfalcie ciało Adasia, a potem zatrzymało się nagle pod kątem, tak że Drelich znalazł się w snopie światła. Hubert wyskoczył z wozu z pistoletem w ręku i dobiegł do kuzyna.

– Co się stało? – zapytał.

Drelich otworzył usta, by odpowiedzieć, ale wtedy Hubert uniósł lekko wzrok i zobaczył brata.

Położył broń na ziemi, podniósł się i powoli zszedł do rowu, gdzie na chwilę przykucnął nad ciałem. Zatrząsł się, spazmatycznie raz i drugi zassał powietrze, ale zaraz się opanował. Ręką sięgnął do głowy Andrzeja, upewniając się, że nie ma już żadnych czynności życiowych, po czym wsunął ręce pod jego kolana oraz pachy i z wysiłkiem podniósł.

– Musisz mi otworzyć pakę – powiedział do Drelicha, łapiąc równowagę, po czym rozejrzał się za najłagodniejszym wyjściem z rowu. – Słyszysz? Marek, musisz...

– Słyszę – wycedził Drelich. Podniósł się bardzo powoli i równie wolno, zgięty w pół poczłapał w stronę mercedesa. Szarpnął za klamkę i otworzył najpierw jedno, potem drugie skrzydło drzwi. Po chwili Hubert położył ciało obok skrępowanych szamoczących się ludzi.

– Idę po tego drugiego – powiedział i faktycznie po chwili wrócił z Adasiem. Ulokował go obok Andrzeja i zamknął samochód.

Dopiero wtedy przyjrzał się kuzynowi.

– Wiesz, co tu się stało? Jak się uwolnił?

– Nie wiem – odparł Drelich. – Gdy przyjechałem, już się na mnie czaił.

Hubert pokiwał głową. Jego twarz w tym momencie nie wyrażała za wiele, choć nie trzeba było uważnego obserwatora, by dostrzec rozmazane zacieki na policzkach. Gdy sięgnął po

papierosa i go odpalał, jego ręka drżała lekko, co – o ile Drelich pamiętał – nigdy wcześniej mu się chyba nie zdarzyło.

Zaciągnął się, dmuchnął na bok i wyjrzał zza auta.

– Zaraz musimy cię choć częściowo opatrzyć. Nastawić nos, naciąć i zakleić to kurewstwo. – Zakreślił papierosem koło wokół nabrzmiałej buły nad okiem Drelicha. – Dasz w ogóle radę jechać czy musimy dzwonić do ojca i zmieniać plan?

– I tak chyba powinniśmy zadzwonić – zauważył Drelich.

Hubert pokręcił głową.

– Z tym... nie. Powiem mu na miejscu. Teraz musimy posprzątać auto, rów, asfalt. No i muszę wiedzieć, czy dasz radę, Marek. Bo jak nie, to wszystko chuj!

– Dam radę – zapewnił Drelich.

Po tej deklaracji kuzyn przyglądał mu się długo, raz po raz zaciągając się papierosem. W końcu zgasił, wyjął torebkę na niedopałki i westchnął.

– Skomplikowane plany, kurwa mać. Dobra, bierzemy się najpierw za ciebie. W bmw jest moja torba. W vanie, za siedzeniem, powinny być jeszcze dwie wody. Do roboty, bo naprawdę nie ma już czasu.

Niecałe dwadzieścia minut później, gdy uporali się ze wszystkim, Hubert zajął miejsce za kierownicą vana i odjechał. Drelich z jako tako obmytą twarzą, nastawionym nosem i zaklejonym kropelką łukiem brwiowym doszedł powoli do drzwi bmw. Zanim wsiadł, wyjął z kieszeni dwie nacięte trytytki i znaleziony w trawie tapicerski nożyk z krótkim ostrzem. Położył je na siedzeniu obok, by wyrzucić po drodze.

Dochodziła czwarta trzydzieści, gdy na wysokości Wrocławia Stówka zmienił się za kółkiem z Litwą. Nie chciał tego robić, bo nie był fanem jego gwałtownego, szarpanego stylu jazdy, ale dochodziła czwarta i oczy już mu się kleiły. Miał wrażenie, że gubi coraz dłuższe odcinki trasy, a przypominający wielorybi śpiew dźwięk zwiastujący zjazd na pobocze zdarzał się coraz częściej.

Wszystko przez tego cholernego big maca, pomyślał zły na siebie, że dał się skusić. Nie planowali postoju na jedzenie, jednak pod Poznaniem zatrzymali się, żeby zatankować, i Litwa przypomniał sobie, że nie jadł kolacji.

Restauracja była zamknięta, ale działał McDrive, więc zamówili po zestawie i zjedli w aucie, na miejscu parkingowym dla specjalnych zamówień. I właśnie teraz ten big mac z powiększonym zestawem frytek i sprite'em rozchodziły się po jego ciele sennym ciepłem, sprawiając, że musiał oddać kierownicę. Akurat na najmniej fajny odcinek drogi. Taki, na którym ostre wchodzenie w zakręty, gwałtowne hamowanie czy w ogóle zmiana tempa jazdy dopiero się zaczynały. No ale cóż, jak ktoś jest głupim obżartuchem, to ma za swoje. Nikt mu przecież nie kazał.

Jednak wbrew obawom Litwa jechał tego dnia wyjątkowo spokojnie. Skupiony, zapatrzony przed siebie w jasny rożek świata wycięty światłami wozu.

– Możesz spać – powiedział. – Obudzę cię, jak dojedziemy.

– Dzięki – odparł Stówka, ale ledwie usiadł na miejscu pasażera, senność odeszła jak ręką odjął. Może zaraz wróci, pomyślał. A może po prostu samo wyjście z auta w chłodną noc i szybkie sikanie pod krzakiem odebrały mu tę burgerową senność? Rozbudzony wyjął komórkę i przejrzał ostatnie wiadomości.

Szeroka i dobrze oznaczona dotąd droga miała coraz więcej przewężeń i ostrych zakrętów. Wznosiła się i opadała, wiodąc przez wioski, miasteczka oraz lasy. Odcinków pod górę Stówka bał się najbardziej, więc ilekroć na taki wjeżdżali, odkładał telefon i włączał się do obserwacji drogi, wypatrując błysku zielonych oczu. Lisa tym autem pewnie nawet by nie odczuli, traktując jak dziurę albo wybój, ale już sarnę czy jelenia? Albo jeszcze gorzej: dzika?

Do tego dochodziła pora. Bo niby słońce już weszło i nawet w lesie było bardziej szaro niż ciemno, ale zawodowi kierowcy mówili, że to najbardziej zdrażliwa godzina.

– Co tak zerkasz? – zapytał Litwa ze śmiechem. – Na dziwki to już za późno trochę. Albo za wcześnie.

– Nigdy nie jest za późno, jak masz furę i szmal.

– A my, tak się składa, mamy jedno i w pizdu drugiego – zauważył Litwa i znowu się zaśmiał, ale jakby nieco bardziej nerwowo, sztucznie.

– No, mamy, to prawda – odpowiedział Stówka i umilkł, pogłaśniając radio. W nim akurat Piasek prosił kogoś, by został czy została, bo ta noc płacze deszczem.

Litwa zerknął na kolegę.

– Myślisz, że ile tego jest tym razem? – zapytał. – Sporo, nie? Wydaje mi się, że jakoś więcej niż zwykle.

Stówka westchnął. Schował telefon i jednak przyciszył radio.

– Opowiem ci historię, okej? – zaproponował.

Zdziwiony Litwa zmarszczył czoło, ale podjął temat.

– Dobra jakaś? – rzucił.

– Ocenisz – stwierdził Stówka, poprawiając się na siedzeniu. – Jak byłem mały, miałem ciotkę. Niewiele starsza ode mnie, ze cztery albo pięć lat, rozumiesz. Cyganiucha taka, po dziadku chyba. Włosy czarne, latem opalała się na złoto. Szczuplutka, ale cycki i tyłek takie, że waliłem co wieczór pod fotkę z rodzinnego sylwestra, gdzie była w czerwonej kiece.

Litwa zerknął na kolegę skonsternowany.

– Waliłeś pod zdjęcia własnej ciotki? – upewnił się. – Serio?! Stary, na pewno to tę historię chcesz mi opowiedzieć?

Stówka potwierdził i podjął przerwany wątek.

– Ciotka była też świetną jajcarą i bardzo się lubiliśmy. Kręciliśmy niezłe żarty. Wiesz, a to wmówiliśmy małemu synowi kuzynki, że prezenty od Mikołaja kryją się pod pokrywą w szambie, gdzie trzyma je w specjalnych szczelnych workach, bo nikt by tam nie szukał. Albo wujkowi, co to chwalił się, jak wojsko zrobiło z niego faceta, wysłaliśmy pocztą fałszywe zawiadomienie mobilizacji rezer... Uważaj!

Litwa zwolnił, ale czający się przy drodze lis nie wybiegł na drogę, tylko ukrył się z powrotem w chaszczach.

– Sobie też nie odpuszczaliśmy – ciągnął Stówka. – Któregoś razu, jak wieszałem obrazek, ściągnęła mi dresy. No to ja jej odkurzaczem zadarłem sukienkę...

Litwa parsknął śmiechem.

– Dobra, jesteś w chuj dziwny.

– Może tak, może nie – powiedział Stówka, wzruszając ramionami. – My uważaliśmy, że to zabawne. Pewnego razu powiedziałem jej, że waliłem pod zdjęcie z sylwka. Śmiała się, ale kilka dni później przyniosła mi inne. Wiesz, dla żartu. Robiła na nim głupią minę, tyle że była goła od pasa w górę. I wierz mi, stary, miała świetne cycki. No to w odpowiedzi wysłałem jej dwudziestocentymetrową linijkę z kreską na osiemnastu. I tak to szło. Mnóstwo wspólnych żarcików, które rozumieliśmy tylko my.

Znowu przerwał – tylko po to, by zbudować należyte napięcie. I chyba działało, bo Litwa najpierw zerknął, a potem ponaglił krótkim:

– No i?

– No i raz, gdy ciotka przyszła do nas, nikogo akurat nie było. A my uznaliśmy, że to dobry pomysł. Rzuciliśmy się na siebie jak zwierzęta i jebaliśmy się po kątach jak dzicy. Robiliśmy tam wszystko, stary. Wszystko!

– Z własną ciotką, kurwa?!

– Nie inaczej. W gębę, w dupę, jak chciałem. Nigdy nie miałem takiego ruchania. Ale dowiedział się o tym jej mąż, wielki typ.

– I co?

– No i tyle, że ja wylądowałem na miesiąc na szpitalnym wyciągu, a ciotka pewnie do dziś kurwi się gdzieś pod Zabrzem. Ale po tym, co jej zrobił z ryjem, wątpię, by brała dużo.

Stówka umilkł i sięgnął do kieszeni w drzwiach po butelkę. Odkręcił ją i spokojnie dopił do połowy, czując na sobie spojrzenie

Litwy. Dobry kwadrans jechali w absolutnej ciszy, otoczeni z obu stron ciemnym lasem, który w szarości świtu wyglądał jeszcze upiorniej niż w nocy. Jakby był martwy.

– Na chuj ty ludziom opowiadasz takie rzeczy?! – zapytał w końcu Litwa.

– Właściwie trzymałem tę historię dla Adasia – wyjaśnił Stówka. – Wiesz, jakby zaczęły mu krążyć po głowie myśli w stylu „wiem, że to zły pomysł, ale zabawnie byłoby, gdyby...”.

– Gdyby co? Bo nie rozumiem.

– Ta kasa w bagażniku – odparł Stówka. – Gdyby Adaś jechał z nami, nie z szefem, byłby dziś na kursie po raz pierwszy, więc trzymałem tę historię dla niego, bo to jeszcze dzieciak, może mieć głupie pomysły. A gdy usłyszałem, jak u Wójcików pytasz, ile tego będzie, i jak jeszcze zacząłeś mówić o tej kasie przed chwilą...

– To ty zacząłeś – poprawił Litwa.

– Ja powiedziałem jedno słowo, ty poszedłeś w badanie gruntu. I już na końcu języka miałeś „zabawnie by było, gdyby...”, co nie? Stary wyga, a i tak zacząłeś myśleć, ile już w życiu przewiozłeś, ile z tego masz i czy nie dałoby się więcej. To właśnie sobie pomyślałeś, prawda? Że może nie całość, tylko trochę. Żeby tak uszczknąć. Więc uznałem, że historia dla młodego sprawdzi się też w przypadku wypalonego weterana.

Litwa trącił kciukiem nos i cmoknął cicho. Namyslał się minutę lub dwie.

– Czyli nie było żadnej ciotki? – zapytał w końcu.

– Nie było – przyznał Stówka. – Tak jak nie ma żadnych pieniędzy. Nie dla nas, stary. Są torby, które dostarczamy z miejsca A do miejsca B.

Litwa pokiwał głową i parsknął.

– Jebanie ciotki – mruknął, po czym ponownie włączył radio. – Naprawdę nie mogłeś wymyślić nic mądrzejszego? To było jak porno wersja Trudnych spraw.

Stówka wzruszył ramionami.

– Moja ogląda to do prasowania. Mówi, że ją relaksuje.

– Trudne sprawy?

– Nie, porno.

Litwa zaśmiał się i zwolnił, by powoli wejść w ostry zakręt. Kiedy go pokonali, zobaczyli przenośną sygnalizację świetlną rozstawioną na drodze dwieście metrów dalej i zamocowaną na płotku blokującym cały prawy pas.

– A tu co się, kurwa, stało?

Odpowiedź przyszła zaraz potem, gdy podjechali bliżej i w świetle reflektorów zobaczyli, że kawałek drogi za płotkiem aż do kolejnego zakrętu lśni idealną czernią.

– Asfalt po nocy kładą? – zapytał Litwa.

– W sumie niegłupio, że po nocy. Korki się nie robią – odparł Stówka, rozglądając się na boki. – Wiesz, ile tu w ciągu dnia samochodów musi czasem zapieprzać do lunaparku? A teraz? Ile nas aut po drodze minęło? Z pięć na ostatnich trzydziestu kilometrach? Sześć?

– Jedzie siódmy – powiedział Litwa, pokazując na nadjeżdżający z przeciwka pojazd.

Był to pomarańczowy bus służby drogowej z żółto-czarnymi oznaczeniami i zamontowanym na dachu kogutem. Za kółkiem siedział chudy wąsaty facet w pomarańczowej kamizelce

z odblaskami. W lewej ręce wystawionej za otwarte okno trzymał zapalonego papierosa.

– Nie spieszy mu się, kurwa – mruknął Litwa.

Rzeczywiście, bus sunął bardzo powoli przez cały zwężony odcinek. Kierowca raz po raz zaciągał się papierosem, palcami lewej ręki uderzając w rytm discopolowej piosenki dochodzącej z radia.

Litwa sapnął.

– Płacą mu chyba od godziny.

– A co za różnica? – Stówka wzruszył ramionami. – I tak masz czerwone.

– Ta, czerwone, kurwa, w środku lasu.

Gdy kabiny obu pojazdów zrównały się, bus stanął. Wąsacz puścił kierownicę, powoli przeniósł wzrok na Litwę i zakręcił młynka dłonią z papierosem, sugerując, by otworzyli okno. Z bliska, skąpany w czerwonym blasku z sygnalizatora, wyglądał z tą swoją pomarszczoną, pełną blizn gębą na co najmniej sto lat.

To pojebane, że starzy ludzie muszą tyle pracować, pomyślał Stówka. Jak mają się, kurwa, nacieszyć życiem na emeryturze? Już miał tę myśl wygłosić na głos, ale Litwa właśnie nadusił przycisk, rozległ się bzyk i szyba ruszyła w dół.

Staruszek poczekał cierpliwie, aż opadnie do samego końca.

– Co jest? – warknął Litwa.

– Nic takiego – odpowiedział tamten z uśmiechem.

Szybkim ruchem uniósł prawą rękę z pistoletem i oddał cztery strzały. Natychmiast z okolicznych drzew poderwały się wystraszone ptaki.

Stówka dostał jako pierwszy. Kula trafiła go w twarz, ale poszła bokiem, rozrywając policzek i żuchwę. Następne dwa pociski trafiły w Litwę – głowa i ramię. Stówka zdążył jeszcze zobaczyć przez krwawą mgłę, jak jego kolega leci w bok, jakby chciał zrobić unik. Pasy stawiały opór, więc zatrzymał się na nich i zaraz opadł do przodu niczym pijak zasypiający na siedząco albo manekin z testów zderzeniowych na zwolnionym filmie.

Ostatnim, co Stówka usłyszał, nim kolejna kula wryła się tym razem prosto w jego mózg, był przeciągły dźwięk klaksonu. Niczym sygnał z respiratora ogłaszający linię prostą.

Zapraszam na zajefajna.com

Stryj Józef odłożył pistolet na boczne siedzenie, wbił jedynekę i podjechał metr do przodu. Wziął broń, wysiadł i wsadził pistolet do pustej kabury zamocowanej na udzie. Podszedł do drzwi SUV-a, po czym ostrożnie ściągnął głowę Litwy z klaksonu.

Z ich bagażnika zabrał torby z pieniędzmi, przenosząc je pojedynczo do busa, by nie nadwyrężyć pleców. Potem sięgnął na pakę po pięciolitrowy kanister i wylał całą zawartość na ciała. Pusty odstawił z powrotem i odjechał kawałek. Wrócił pieszo, by podpalić SUV-a.

Pięć minut po opuszczeniu miejsca zdarzenia zobaczył na drodze pierwsze auto jadące w tamtą stronę. Żółty ford mondeo. Gdy się mijali, Józef zasłonił twarz dłonią od oczu w dół. W samochodzie siedziała para. On, chudy, łysiejący i w okularach, ona również w okularach, o okrągłej twarzy i włosach sięgających do linii szczęki. Z tyłu śpiące dziecko. Pierwsi świadkowie, którzy raczej nie zatrzymają się przy wraku, tylko od razu pojedą dalej, tłumacząc się pewnie dobrem malca. Może kawałek dalej zadzwonią z drogi na policję, ale na pewno nie sprawdzą dokładnego kilometra na słupku, co nie pozwoli na podjęcie szybkich działań.

Na pierwszym skrzyżowaniu stryj Józef skręcił w lewo, a potem na rondzie w prawo. Dwadzieścia kilometrów dalej wjechał na niewielki parking pod lasem i stanął obok pojemnika

na piasek z nowym skoblem. Otworzył kłódkę, przerzucił do środka worki z pieniędzmi oraz broń, przykrył kocem i przysypał piaskiem.

Kolejne dziesięć kilometrów pokonał, objeżdżając szerokim łukiem leśny cypel. Zaparkował po przeciwnej stronie tego samego lasu – jak wynikało z mapy, w prostej linii między drzewami oba parkingi dzieliły niespełna dwa kilometry. Pół godziny spokojnego spaceru. Sprawdził czas, jeszcze raz przeliczył wszystko w głowie, by mieć pewność, że zdąży na umówione miejsce o uzgodnionej porze. Gdyby nie, to byłby właściwy moment, by dać chłopcom znać.

Wyczyścił kierownicę, gałkę biegów i klamki, zalał kabinę oraz pakę wybielaczem. Upewnił się, że nikt nie nadjeżdża, po czym wszedł w las.

Gdy dwadzieścia minut później wyłonił się po drugiej stronie, czekał tam już na niego mercedes vito zaparkowany blisko pojemnika na piasek. Hubert stał oparty o maskę i palił papierosa.

– Miał być Andrzej – zauważył stryj Józef.

Hubert wolno skinął głową. Zaciągnął się ostatni raz i strącił żar palcem. Niedopałek schował do woreczka wyjętego z kieszeni.

– Tak, tato – odparł. – Miał być.

Drelich zatrzymał bmw na poboczu, na pierwszym względnie płaskim miejscu wzniesienia, skąd rozpościerał się widok na skąpaną we mgle zieloną kotlinę. I mimo że obolały i zmęczony, nie mógł nie docenić piękna tego niemal baśniowego krajobrazu pełnego czerwonych spadzistych dachów, wież zabytkowych kościółków, pałaców i zamków – a wszystko to przetkane zielenią niczym z dawna opuszczony chodnik, odzyskiwany stopniowo przez naturę.

Wysiadł, posykując, resztką wody z butelki opłukał twarz, ostrożnie przemywając napuchnięte oko i nos.

Czuł się, jakby zaraz sam miał zejść. W czasie jazdy, zwłaszcza pod koniec, kilka razy ocknął się na nie swoim pasie i potem już zjeżdżał na minutę albo dwie na co drugi parking, by dać odpocząć oczom czy ostrożnie wziąć głębszy wdech. Mimo wszystko to, że w ogóle tu dojechał z drugiego końca Polski, było niezwykle. To, że o czasie, graniczyło z cudem.

Przed sobą miał teraz ten cholerny leśny zakręt. Dobrze go zapamiętał, bo to tutaj kilka lat wcześniej mało nie zabił swojej śpiącej rodziny. Jechali z Łądka-Zdroju, gdzie odwiedzili teścia przebywającego w sanatorium. Następnego dnia Drelich zaczynał robotę, więc umówili się z Izą, że zawiezie ich do Opola, skąd pojedą do Warszawy nocnym pociągiem. Czasu było mało, a najkrótsza droga zdaniem GPS-u, któremu wtedy chyba zaufał

tak naprawdę po raz ostatni, wiodła górami, z odcinkiem przez Czechy. Przez ten zakręt.

Wyglądał dokładnie tak samo jak ostatnio. Długi prosty odcinek lasem zgodnie z ustawionym przy drodze znakiem przechodził w serię niebezpiecznych zakrętów. Pierwszy był w lewo, łagodny, ale i zdradziecki, bo zaraz za zasłaniającym widok pagórkiem wchodził w kolejny zakręt, tym razem ostry i w prawo. Wystarczyła mokra droga lub nawiane liście – jeśli kierowca zlekceważył ograniczenie do trzydziestu na godzinę, wypadał z wirażu prosto na opadające zbocze zakończone skarpą.

Tak by się to wtedy skończyło, pomyślał Drelich, gdyby nie napęd na cztery koła, krzyk przebudzonej nagle Izy, jego refleks i – nie zamierzał tego kryć – łut szczęścia. A przecież wcale nie jechał aż tak szybko.

Miejsce to rozbłysnęło w głowie Drelicha od razu, kiedy tylko usłyszał o okolicach Kłodzka. Gdy natomiast zaczął pracować nad ostatecznym wariantem planu, wielki, ale wciąż wiarygodny finał był już gotowy. Właśnie tu, zaraz za zakrętem brawurowa akcja miała się zakończyć porażką za sprawą zbytnej pewności siebie, rozluźnienia i narkotyków. Tak właśnie kończą nieśmiertelni królowie świata.

Zawibrował telefon. Hubert dał znać, że przejął ojca i jada w jego stronę. Suchy komunikat z ukrytą między wierszami informacją, że plan cały czas jest w grze. Ta wiadomość uzmysłowiła Drelichowi, że za chwilę zobaczy twarz stryja, który już wie. Spojrzy mu w oczy, będzie musiał coś powiedzieć. W tym momencie niczego tak bardzo nie pragnął, jak mieć to za sobą.

Włączył awaryjne, po czym zamknął auto i ruszył wzdłuż drogi. Przez złamany nos nie czuł zapachów, ale wyobrażał sobie, że górskie powietrze pachnie świeżością, żywicą i wilgocią. Ptaki ćwierkały, jeszcze słabe o tej porze słońce leniwie wyglądało zza kołysanych wiatrem gałęzi.

Szedł wolno, oszczędzając siły, a pod jego stopami zgrzytał żwir pobocza i trzeszczało wysuszone igliwie oraz stare liście nawianej ściółki. Przystanął tuż za tym zdradliwym, zasłaniającym drogę wzniesieniem, jeszcze przed skrzyżowaniem w prawo. Od strony zbocza stały tu teraz drewniane barierki pomalowane ostrzegawczo na biało i czerwono. Nie było ich tutaj ostatnim razem, ale nie przejął się specjalnie, bo nie wyglądały na mocne. Na pewno nie stanowiłyby przeszkody dla rozpędzonego auta.

Kilka metrów dzielących krawędź drogi od skarpy porastały niewielkie młode drzewka. One również nie stanowiły aż tak wielkiego problemu – masa auta i grawitacja działały na korzyść – ale Drelich zdał sobie sprawę, że akcję trzeba będzie przeprowadzić na dwa razy. Staranować barierkę osobno, by wyglądało to wiarygodnie, a potem, trzymając się tego samego kąta, zająć się resztą. Na końcu tylko będą musieli wziąć pod uwagę wybite poduszki, odcięty zapłon i wspomaganie.

Gdy wrócił, przy bmw Wójcika stał już mercedes vito na awaryjnych światłach. Hubert i stryj Józef palili przy skraju drogi, a przy ich nogach leżały czarne sportowe torby. Kuzyn dostrzegł go i uniósł lekko rękę na powitanie. Stryj stał bokiem wpatrzony w kotlinę.

– Sprawdzalem ten zakret – powiedzial Drelich, uprzedzajac pytanie. Hubert skinal glowa.

– I co?

– Doszly barrierki, latwe do staranowania, ale trzeba bedzie na dwa razy – odparl, uwaznie obserwujac stryja. Wiedzial, ze nie moze poruszyc tematu pierwszy, wiec po prostu czekal.

W koncu stryj dopalil, odwrócił się i podal peta synowi. Kiedy siegnal do kieszeni po zlozona male, jego twarz nie wyrazala nic, zadnej emocji. Pokazal Drelichowi dwa zaznaczone na czerwono punkty.

– Tu ustawilem punkt zero, a tu porzucilem auto. Mamy nasluch. Przy pierwszym juz trwa akcja, standardowe procedury. Jako sugerowany kierunek uciezki wskazalem Walbrzych.

Drelich skinal glowa i wylowil z kieszeni kluczyki.

– Dziekuje, stryju. Naprawde.

Stary prychnal cicho, a gdy tylko otworzyl sie bagaznik bmw, siegnal po pierwsza torbe.

– Jeszcze jedno odstepstwo od planu, widze – stwierdzil, zagladajac do srodka i wskazujac na lezace w bagazniku ciało Wójcika. – Masz pewnośc, ze sie zmiesci?

– Najwyzej damy jedna torbe na tyl – odparl Drelich, po czym zaraz dodal: – Ale niech stryj poczeka, musze z jednej cos wyjac.

Stary zmarszczyl czoło.

– Mieliśmy nic nie ruszac – zauwazył. Mowil nad wyraz spokojnie i cicho, a Drelich przypomniał sobie słowa Huberta o tym, ze ojciec nie lubi skomplikowanych planów.

– Nie zabieramy nic z pieniedzy Ornowskiego – wyjasnil. – To jest paczka Wójcika. Tym musze zaplacic za Kracha i sprzet.

Nie był pewien, czy takie wyjaśnienie wystarczy, ale stryj nie drażył, tylko wzruszył ramionami i postawił torbę obok pozostałych, po czym bez słowa ruszył w stronę zakrętu. Drelich z Hubertem szybko namierzyli zaklejoną taśmą reklamówkę, którą następnie Drelich wrzucił do szoferki busa.

Kiedy torby znalazły się już w bagażniku i na tylnym siedzeniu bmw, przyszedł czas na zdaniem Drelicha najgorszą część roboty.

– Dobra – westchnął. – To ja się zajmę Pumbą i Szarym, a ty...

Urwał, gdy Hubert pokręcił głową.

– Zrobieni są – powiedział kuzyn. – Tata się nimi zajął, gdy jechaliśmy. Kieszenie sprawdzone, młodemu, tak jak chciałeś, podrzuciliśmy jego stary telefon. Który ma niby wyskoczyć? Bo rozumiem, że grubas to kierowca?

– Zgadza się.

– No to chodźmy na pakę. Zaczniemy od młodego. Pod pachy i dawaj go na pasażera. Dasz radę? Ledwo patrzysz i oddychasz.

– Dam.

Podeszli do busa i otworzyli tylne drzwi. Ze środka uderzył smród moczu i kału, aż Drelichowi załzawiły oczy i to napuchnięte zapiekło straszliwie. Przetarł je delikatnie, zrobił kilka płytkich wdechów i wszedł na wypełnioną ciałami pakę.

Dopiero wtedy dostrzegł Andrzeja, który pólleżał tuż za siedzeniami szoferki, prostopadle do reszty. Gdyby nie zmasakrowana twarz, z dłońmi złożonymi na piersi i zwieszoną głową wyglądałby jak zawsze, gdy ucinał sobie piętnastominutową drzemkę. Kowbojską, jak zwykł ją nazywać. Na ten widok i na

myśl, że kuzyn lub stryj zatrzymali się w pewnym momencie, by ułożyć go w aucie właśnie w tej pozie, Drelichowi zacisnęło się gardło.

Szybko złapał Adasia pod pachy i wysunął nieco, by Hubertowi łatwiej było go złapać. Posadzili go na siedzeniu pasażera i przypięli pasami.

Hubert zamknął pakę, wyjął z kieszeni bokserską szczękę, po czym odwinął ją z folii.

– Podjedź busem – powiedział i wsunął szczękę do ust. Wyciągnął rękę po kluczyki.

Zaraz potem wyrwał z rykiem silnika i niebezpiecznie szybko wszedł w zakręt, a Drelich pomyślał, że jeszcze tylko tego brakuje, by nie wyrobił, nie wyhamował. By stryj Józef stracił przez tę sprawę drugiego syna.

Rozległ się huk i trzask. Drelich wsiadł za kierownicę busa i ruszył.

Gdy dojechał, barierka była staranowana, a bmw z wyraźną drogą hamowania odcinającą się czernią na asfalcie znajdowało się poza drogą, prostopadle do pobocza.

Hubert już się wydostał i spokojnie, jak gdyby nigdy nic, poinstruował Drelicha, gdzie zaparkować. Gdy ten zatrzymał się we właściwym miejscu, kuzyn otworzył pakę i sprawnym ruchem, po strażacku, zarzucił sobie na ramię ciało Szarego. Ułożył go pod drzewem z telefonem w rękę, a potem nogą roztarł igliwie, by zasugerować, skąd denat się tam wziął.

– Trzymaj – odezwał się stryj Józef, podając Drelichowi dodatkowe jednorazowe rękawiczki. – Musimy ulokować kierowcę.

To był najbardziej ryzykowny moment całej operacji. Już samo wyciągnięcie z vana ciężkiego Pumby stanowiło problem, poza tym gdyby ktoś teraz nadjeżdżał, mieliby naprawdę poważny kłopot. Kolejny.

W końcu jednak się udało. Pumba znalazł się za kierownicą, stryj zamknął drzwi, a następnie zepchnęli auto. Dwa razy musieli w tym celu podłamywać co oporniejsze drzewka, ale wreszcie pojazd znalazł się na krawędzi, za którą rozciągała się głęboka na siedem, może osiem metrów skalista przepaść. Przednie koła zawisły w powietrzu, a potem ametrynowe bmw M8 gran coupe poleciało prosto w dół niczym źle złożony papierowy samolocik o za ciężkim dziobie. Uderzyło o dno wąwozu z trzaskiem i hukiem, a echo spotęgowało ten dźwięk i poniosło się skalistym wąwozem w obu kierunkach. Wóz przez moment sterczał jakby wbity pionowo w ziemię, po czym przewrócił się na dach.

Stryj Józef spojrział w dół, a następnie na zegarek.

– Musimy się pospieszyć – powiedział.

Gdy wrócili na drogę, Hubert wykonywał akurat ostatni element planu. Dał im znać gestem, by byli cicho, wybrał numer w telefonie i czekał. Jeden sygnał, drugi, trzeci, czwarty, wreszcie poczta. Krótki spersonalizowany komunikat, by zostawić wiadomość. Czyli zgodnie z ich planem opcja numer dwa. Hubert przełączył nagranie na dyktafonie i wcisnął play.

– Panu Ornowskiemu... przekaz, że błąd... – rozległ się bełkotliwy, pełen bólu głos Szarego. – To był błąd i... Jezu... Naprawdę przepraszam... To nie miało tak... Nie miało tak...

Hubert rozłączył się i na ten sam numer udostępnił rozmówcy swoją pozycję GPS.

– Gotowe – powiedział, chowając telefon.

Stryj skinął głową i zajął miejsce na pace obok Andrzeja. Drelich usiadł na siedzeniu pasażera, Hubert za kierownicą. Przez prawie godzinę nikt w aucie się nie odezwał. Dopiero gdy Drelich wysiadał w Nysie, z tyłu dobiegły go słowa stryja:

– Zadzwoń w sprawie pogrzebu, Mareczku.

– Dobrze, stryju.

Epilog

Dzięki wskazówkom Gracjana, który na widok jego auta z niezwykłą jak na swoje rozmiary zręcznością poderwał się z miejsca, Drelich zaparkował niemal pod samą cukiernią. Wyłączył silnik, wziął portfel i poprawił duże przeciwsłoneczne okulary. Od tamtej nocy minęły przeszło dwa tygodnie i oko wyglądało już dobrze, ale się przyzwyczaił. Dobrze się trzymały na opuchniętym nosie

– Dziękuję – powiedział do Gracjana, wysiadając.

Ten rozłożył ręce z uśmiechem.

– No co ja mogę, że nie umiem człowiekowi w potrzebie odmówić – stwierdził. – A pan to wygląda, jakby w potrzebie był, że ho, ho. To u was rodzinne tak na mordę brać? Sąsiedztwo złe czy jaki chuj?

– Można tak powiedzieć.

Gracjan pokręcił głową.

– W ogóle to ma pan szczęście, boś się pan z tym nowym gachem pani słodkiej rozminął o dosłownie kilka minut. To miejsce to po nim, ciepłe jeszcze.

– On zajmuje moje miejsce, a ja jego. – Drelich przeczesał włosy palcami. – Krąg życia.

Żuł machnął ręką.

– Ja tam nikomu w jego sprawy nie zaglądam. Byle by pani słodka...

– Tak, wiem, szczęśliwa była – dokończył Drelich. – U siebie jest?

Gracjan podrapał się po nosie.

– Jest. Co ma nie być? – odparł. – Zaanonsować?

Drelich roześmiał się, wyjął z portfela dychę i wręczył rozmówcy.

– Za ciepłe miejsce – powiedział i wszedł do środka.

Przy stolikach nie było nikogo. Na jednym tylko pusta filiżanka z niedopitą kawą i zgniecioną w kulkę serwetką świadczyła o leniwym dniu. Za ladą stała Iza i zwrócona bokiem do wejścia rozmawiała przez telefon. Opuchlizna z jej twarzy zeszła już do tego stopnia, że niemal wszystko dało się ukryć pod makijażem. Wyglądała teraz ładnie. Nie oszałamiająco, jak przecież potrafiła, ale ładnie. Wyraźnie wypoczęła przez kilka ostatnich dni krótkich wakacji, które on dla odmiany spędził z dziećmi na zwyczajnych rodzicielskich sprawach. Przeplecionych rzecz jasna biernym śledzeniem tego, co działo się w Gdańsku i okolicach Kłodzka, ale z wyraźnie ustawionymi priorytetami. To były miłe dni, choć teraz, gdy tak na nią patrzył, opaloną i szczęśliwą, zaskakująco zakłuło go w sercu.

– Nie, proszę pani. – Uniosła palec, dając mu znak, że za chwilę będzie wolna. – Potrzebuję dokładnie takie pudełko, jak napisałam. Nie jestem zainteresowana promocją i nie interesuje mnie... Nie, proszę pani, jeszcze raz... W takim razie poproszę o zwrot zaliczki.

Drelich coś sobie przypomniał. Sięgnął do portfela po sfatygowaną wizytówkę, wyprostował ją i położył na blacie.

– Cześć – powiedziała Iza, odkładając telefon. – Co to?

Wzruszył ramionami.

– Słyszałem, że potrzebne pudełka. Niedawno pomogłem takiemu gościowi na drodze, hurtownik jakiś czy tam drukarz. Obiecał mi zniżki, jakby co.

Uśmiechnęła się i wzięła wizytówkę.

– Dzięki. Usiądziesz?

– Tak.

Zajął miejsce przy stoliku, wyjął telefon i przejrzał wiadomości. Dostał kilka nowych, od kiedy sprawdzał ostatnio, ale nic ciekawego i nic związanego ze sprawą. Zresztą wszystkie te, na które czekał, spłynęły już w ciągu ostatnich dni. I, co stwierdził z nieklamana ulgą, żadna nie przyniosła problemów czy zaskoczeń.

Wiedział, że policja prowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa Wójcika, bo przez chwilę donosiły o tym nawet ogólnokrajowe gazety i telewizja, ale jeżeli nawet zaistniał w śledztwie wątek sportowych toreb z pieniędzmi, to nie trafił do mediów ani nie dotarł do informatorów Kracha.

Czyli najpewniej jakimś sposobem Ornowski je odzyskał. Może za pomocą rodziny Wójcika? Może całą tą akcją Drelich przysłużył się bossowi, eliminując zbędnego pośrednika? Ornowski, owszem, niuchał coś w temacie, bo i rozmawiał z Mileną, i dzwonił do Kracha w sprawie tamtego kontaktu, ale, na ile Krasowskiemu udało się zorientować, robił to raczej dla zasady. Ogólnie, jak wieść głosiła, przyjęto następującą narrację: Pumba, Szary i Siwy zabili kumpli, by ukraść brudne pieniądze, a potem najprawdopodobniej chcieli zrzucić to na Wójcika, więc jego też zabili, zabrali wóz i planowali zasugerować, że uciekł z gotówką,

zostawiając żonę oraz dzieci. Kradzież im się udała, ale przeszarżowali podczas ucieczki. Pieniądze w bagażniku uwiarygadniały historyjkę.

Dużo bardziej Drelicha cieszyło to, że Milena Wójcik wypadła przekonująco w roli zaskoczonej i załamanej sytuacją wdowy. Podobno – tu znowu źródłem był trzymający rękę na pulsie Krach – współpracowała z policją chętnie i jednocześnie zgodnie z wytycznymi od ludzi Ornowskiego. I żaden trop nie wiódł do niej ani tym bardziej do Drelicha.

– Silna babka – pochwalił ją Krach. – Jesteś pewien, że nie chcesz się za nią brać?

Drelich pokręcił głową.

– Już widmowy romans z nią kosztował mnie masę zdrowia – odparł. – Nawet nie chcę myśleć, co by się działo przy prawdziwym.

Myślał tak, analizował, a tymczasem Iza wyłoniła się z zaplecza, niosąc szarlotkę z lodami. Kawalek był spory, zdecydowanie większy niż standardowa porcja. Lody waniliowe, do tego cienkie złotawe pasemka toffi. Postawiła przed nim deser i zajęła miejsce naprzeciwko.

– Co u dzieci? – zapytała, gdy odkroił sobie pierwszy kawałek.

– Naprawdę musisz pytać? Dzwoniłaś do nich po kilka razy dziennie przez cały wyjazd.

Wzruszyła ramionami.

– Sprawdzam, czy ty jesteś na bieżąco.

– Rano było w porządku. A jak wakacje? Udane? Barcelona ładna?

– Mogę ci pokazać zdjęcia, jeśli chcesz.

Uśmiechnął się.

– Chyba podziękuję – powiedział i rozbełtał lodową gałkę w ciepłej jabłkowej masie. Do tego stopnia skupił się na tej czynności, że nie od razu zauważył baczne spojrzenie byłej żony.

Gdy wreszcie ich oczy się spotkały, zapytała:

– A jak ze stryjem? Odezwał się już?

– W sensie po pogrzebie? Nie – odparł i umilkł na dłuższą chwilę. Musiał ułożyć sobie w głowie następne słowa. – Nie i na razie się nie zapowiada. Kto wie, może w ogóle tego nie zrobi. Na pogrzebie był taki... Nie wiem, jak to powiedzieć, Iza. Jakby coś się skończyło. Mam wrażenie, że kiedy zadzwoniłem z prośbą o pomoc tamtej nocy, to on czekał na mój telefon. W sensie, że przez te wszystkie lata czekał, aż wrócę do rodziny. A teraz, jak rozmawialiśmy, to...

Przerwał, zjadł kolejny kawałek, ale po chwili odsunął talerzyk na bok.

Iza przyglądała mu się z uwagą.

– Myślisz, że wini cię za śmierć Andrzeja?

Drelich potrząsnął głową.

– Myślę, że wini siebie – powiedział. – Po prostu nie wiem, co jest gorsze. Natomiast w temacie tego, czy się odezwie czy nie, myślę, że może nigdy tego nie zrobi.

Iza sięgnęła po talerzyk, ale powstrzymał ją. Dojadł deser, poprosił o kawę, a gdy jego była żona zniknęła na zapleczu, wyszedł na chwilę przed lokal, bo właśnie zadzwonił Krasowski.

– Cześć, Krach, co jest?

– Namierzyłem tego gościa od zdjęć. Wiesz, od przekrętu, w który cię...

- Wiem. Masz adres?
- Właśnie ci wysłałem. Domowy i do roboty. W gratisie.
- Dzięki.

Rozłączył się i schował telefon, nie sprawdzając wiadomości.

To nie był temat na dziś.

Posłowie

Ta książka pewnie by nie powstała, gdyby do księgarni wolno było wchodzić z lodami.

Któregoś letniego przedpołudnia spacerowałem sobie po rynku pewnego małego miasteczka i zatrzymałem się przy wystawie, bo zainteresowała mnie jedna publikacja. Postanowiłem wejść i przynajmniej ją przejrzeć, no ale właśnie... Z lodami nie wolno. Usiadłem więc na pobliskiej ławce.

Nie zdążyłem się rozsiaść, gdy na chodniku po przeciwnej stronie ulicy zatrzymał się samochód firmy konwojenckiej i wysiadło z niego dwóch mężczyzn w kamizelkach. Weszli do sklepu doładować bankomat, nie było ich chwilę, wyszli i pojechali. Tyle. A ja zacząłem się zastanawiać, ile pieniędzy jest w takiej skrzynce, jak często zdarzają się napady na konwoje, kto ich dokonuje i w jaki sposób. Pytań miałem bez liku i gdy tylko skończyłem jeść lody, zamiast wejść do księgarni, poszedłem do sklepu, by porozmawiać ze sprzedawcą.

Lubię, gdy moje książki tak powstają. Gdy biorą się z przypadkowego zdarzenia, z pytań i późniejszych rozmów z ludźmi, których w innych okolicznościach bym nie poznał. Z szukania ekspertów różnych dziedzin, z godzin zastanawiania się nad taką czy inną akcją, żeby wypadła wiarygodnie. Bo Drelich. Prosto w splot to oczywiście powieść sensacyjna czerpiąca pełnymi garściami z zasad i reguł gatunku, ale bardzo chciałem,

żeby przyniosła czytelnikowi – także temu obeznanemu z gatunkiem, doświadczonemu – kilka zaskoczeń. Czy też, by ująć to bardziej dosadnie, zależało mi, by w uczciwy sposób wepchnąć czytelnika w sidła jego własnych czytelniczo-filmowych przyzwyczajień.

Kluczem do większości niespodzianek okazał się sam Drelich, doświadczony, utalentowany i bardzo skrupulatny złodziej, który nieustannie analizuje sytuację wokół siebie i stara się być przygotowany na każdy jej wariant. Nie przygląda się biernie wydarzeniom, tylko raczej minuje teren wokół domu i nasłuchuje, która mina wybuchnie pierwsza, by wdrożyć odpowiedni plan działania.

Takie igranie z przyzwyczajeniami czytelnika jest jednak bardzo niebezpieczne, bo kiedy celowo wychodzi się z ram konwencji, trzeba tym bardziej zadbać o wiarygodność scen. Musiałem znaleźć na przykład odpowiedź na pytanie, czy da się podsłuchiwać rozmowę w aucie za pomocą telefonu ukrytego w schowku w bagażniku. Albo jakie okoliczności musiałyby zaistnieć, by drobna Iza była w stanie poradzić sobie w walce z doświadczonym bokserem Natanem.

Pierwszą kwestię mogłem sprawdzić sam, do drugiej miałem na podorędziu eksperta. Wszystkie opisane w tej książce walki były długo i starannie konsultowane z moim wspaniałym przyjacielem, mistrzem sztuk walki, Mackiem „Lobo” Linke. Maciek, z którym spędzam bardzo dużo czasu – na co dzień tworzymy standupowy duet Zbiry Standupu – cierpliwie odpowiadał na moje pytania, tłumaczył, demonstrował, a nawet angażował własne dzieci, by na potrzeby tej książki zaaranżować

dla mnie konkretną scenę. Opowieść o Drelichu ma więc swojego choreografa walk, za co serdecznie Ci, Maćku, dziękuję.

A skoro już tak płynnie przeszedłem do podziękowań:

Wszystkiego, co Iza wie o wypiekach i cukiernictwie, dowiedziałem się od imienniczki mojej bohaterki, Izy Salamuchy. Można spokojnie powiedzieć, że to właśnie ona wyposażyła i urządziła Cake Is a Lie oraz przedstawiła mi codzienne problemy w tym fachu i sposoby ich rozwiązania. Robi też najlepsze eklery świata, to tak na marginesie. Dzięki, Iza.

Dziękuję również za doraźną pomoc w konkretnych scenach i sprawach podinspektorowi Adamowi Bigajowi, Krzysztofowi Wojciechowiczowi i Adamowi Szai, a Uli, Zuzi i Samkowi Ćwiekom za wsparcie w budowaniu wątków życia rodzinnego Drelicha i godziny przegrane w Crash Team Nitro Racing Fueled. Mój syn ma też niemałą zasługę we wpojeniu mi reguł rządzących Fortnite'em, do którego jako gracz nie mogłem się nigdy przekonać.

Dziękuję moim betatesterom, a w szczególności Agnieszce Włóce i Wojtkowi Chmielarzowi, za cenne porady, które poprawiły niejedną scenę, a nawet szeroko rozumiany finał. Jako że mam wgląd do poprzednich wersji, mogę spokojnie powiedzieć – bez Was ta książka byłaby dużo gorsza i nie wybrzmiałaby jak należy.

No i wreszcie, last but not least, dziękuję Karolinie Macios za zredagowanie tej książki. Za jej nieodmiennie otwarty umysł, cenne uwagi i pilnowanie, bym się nie wygłupił. A kilka razy, wierzcie mi, było naprawdę blisko.

Drelich oczywiście powróci. We wczesnej fazie przygotowań jest już druga część, marzy mi się też napisanie serii z tym

bohaterem. Tak więc znowu rozmawiam z ciekawymi ludźmi, zbieram informacje i chodzę po parku, gadając do siebie i machając rękami, a obrazki w głowie składają się powoli w opowieść. Gdy będzie gotowa, oczywiście Was zaproszę, a na razie dziękuję, że jesteście. I że dotarliście aż tutaj.